



POŻOGA



TERRY GOODKIND

Terry Goodkind

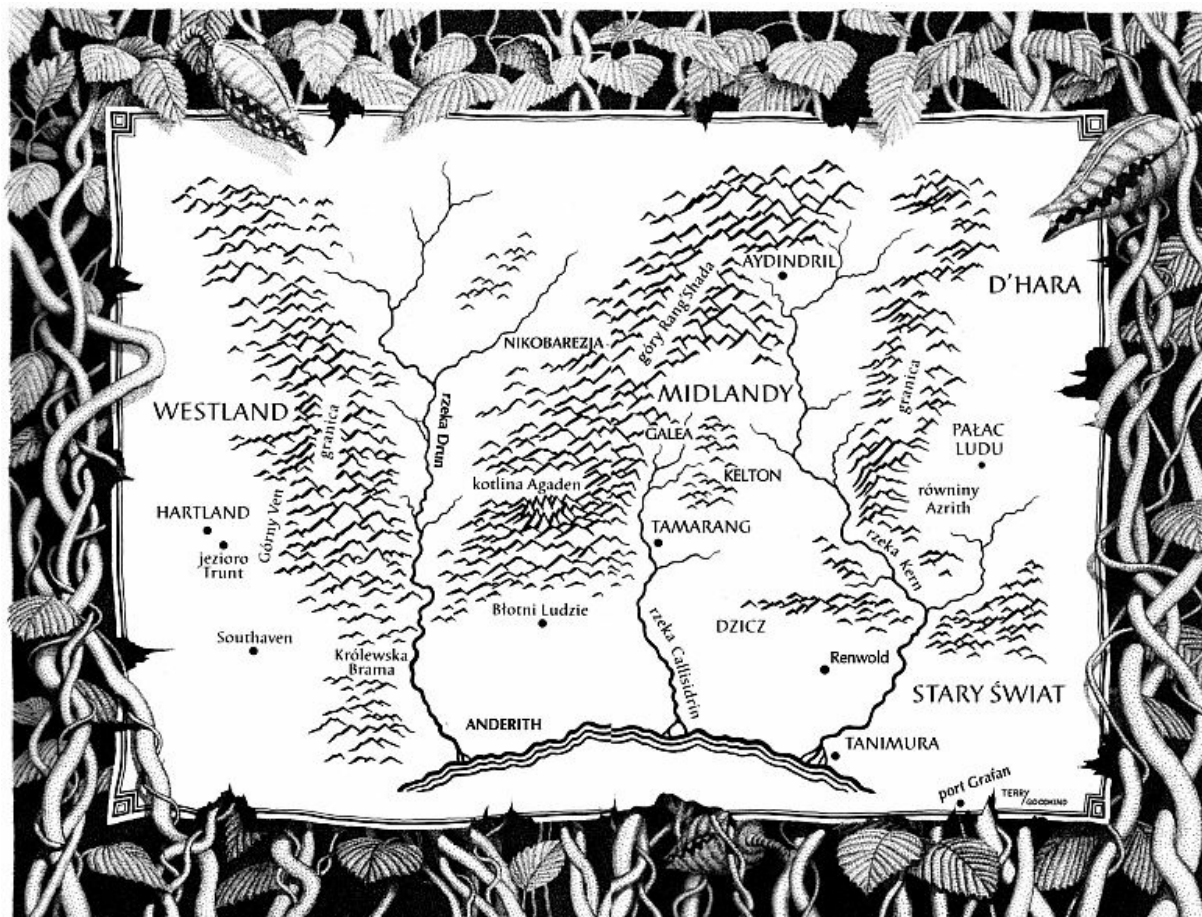
Pożoga

Tom IX serii

Przełożyła Lucyna Targosz

Dom Wydawniczy REBIS

*Vincentowi Cascelli,
człowiekowi obdarzonemu bystrym umysłem,
poczuciem humoru, siłą i męstwem...
przyjacielowi, na którego zawsze mogę liczyć*



ROZDZIAŁ 1

- Wiele tu jego krwi?

- Boję się, że to głównie jego krew - odparła druga ze spieszących u jego boku kobiet.

Richard za wszelką cenę starał się nie zemdleć; miał wrażenie, że ich zdyszane głosy docierają do niego z wielkiej odległości. Nie miał pojęcia, kim są. Wiedział, że je zna, lecz teraz nie miało to znaczenia.

Nękał go i przerażał rozdzierający ból w lewej połowie piersi i brak mu było tchu. Oddychał z wielkim trudem.

Ale i tak miał większe zmartwienie.

Z całych sił starał się powiedzieć, co go dręczy, ale nie był w stanie wymówić słowa; mógł jedynie cichutko jęczeć. Chwycił ramię jednej z towarzyszących mu kobiet, desperacko próbując ją zatrzymać, zmusić, żeby go wysłuchała. Opacznie pojęła jego gest i kazała niosącym go mężczyznom jeszcze przyspieszyć, chociaż i tak dyszeli już z wysiłku, dźwigając go po kamienistym gruncie w gęstym mroku pod olbrzymimi sosnami. Starali się - na ile mogli - nieść go ostrożnie, lecz nie ośmielali się zwolnić.

Gdzieś w pobliżu zapiał kogut, jakby ten poranek niczym się nie różnił od innych.

Richard z dziwną obojętnością obserwował zaafierowanie towarzyszących mu ludzi. Jedyne bóle były realne. Pamiętał, że kiedyś usłyszał, iż umierając, jest się samotnym, choćby było się otoczonym przez wielu ludzi. I teraz właśnie miał poczucie, że jest samotny.

Kiedy wyszli z gęstwiny na słabo zalesioną, pokrytą kępami trawy połąć, zobaczył ponad gałęziami ołowiane niebo grożące potężną ulewą. Deszczu najmniej teraz potrzebował. Oby tylko się nie rozpadało.

Szli pospiesznie. Ukazały się nie malowane drewniane ściany małego domku, a potem poszarzały ze starości płoty odgradzające żywy inwentarz. Wystraszone kury z gdakaniem uciekały im z drogi. Wykrzykiwano rozkazy. Richard, wymęczony przeraźliwym bólem po ciężkiej podróży, ledwo zauważał ziemiste twarze ludzi, którzy go mijali. Czuł się tak, jakby go rozszarpywano na strzępy.

Otoczający go tłumek przecisnął się przez wąskie drzwi do jakiegoś

ciemnego pomieszczenia.

- Tutaj - odezwała się pierwsza z kobiet. Richard dopiero teraz uświadomił sobie ze zdumieniem, że to głos Nicci. - Tu go połóżcie, na stole. Szybko.

Usłyszał, jak brzęknęły cynowe kubki, które ktoś zmiotł na bok. Małe przedmioty spadły ze stołu i potoczyły się po brudnej podłodze. Gwałtownie otwarto okiennice, żeby wpuścić do zatechłej izby choć trochę mętnego światła.

Był to opuszczony wiejski dom. Ściany chyliły się pod dziwacznym kątem, jakby budynek lada chwila miał się zawalić. Opuścili go ludzie, dla których był domem, ludzie, którzy go zbudowali i wypełniali życiem - i teraz miało się wrażenie, że czeka, by się w nim zagnieździła śmierć.

Mężczyźni trzymający ręce i nogi Richarda podnieśli go i ostrożnie położyli na z grubsza obrobionym drewnianym blacie. Chłopak chętnie by wstrzymał oddech, tak straszliwie zaboląa go lewa strona piersi, lecz i tak z trudem łapał powietrze.

Musiał oddychać, żeby mówić.

Błysnęło. Chwilę później zagrzmiało.

- Szczęście, żeśmy zdążyli pod dach przed deszczem - odezwał się jeden z mężczyzn.

Nicci machinalnie przytaknęła; nachyliła się i palcami badała pierś Richarda. Krzyknął, wygiął plecy na drewnianym blacie, chciał się usunąć spod jej dłoni. Druga kobieta natychmiast przycisnęła mu ramiona, unieruchamiając go.

Usiłował się odezwać. Prawie mu się udało wydusić jakieś słowa, ale wtedy wykaszłał skrzepłą krew. Krztusił się, starając się złapać oddech.

Kobieta przytrzymująca jego barki przekręciła mu głowę na bok.

- Wypluj - powiedziała, nachylając się nad nim. Przeraził się, bo nie mógł odetchnąć, ale zrobił, jak nakazała.

Wsunęła mu palce do ust, starając się odetkać gardło. Przy jej pomocy udało mu się w końcu odkaszlnąć i wypluć tyle krwi, że wreszcie mógł zaczerpnąć powietrza, którego tak desperacko potrzebował.

Nicci badała palcami miejsce, z którego sterczała strzała, i klęła pod nosem.

- O drogie duchy - wyszeptała, rozrywając przesiąkniętą krwią koszulę -

sprawcie, żeby nie było za późno.

- Bałam się wyciągnąć strzałę - odezwała się druga kobieta. - Nie miałam pojęcia, co by się stało, gdybym to zrobiła, więc uznałam, że lepiej ją tak zostawić i mieć nadzieję, że cię odnajdę.

- Ciesz się, żeś nie próbowała jej wyciągnąć - odparła Nicci, wsuwając dłoń pod plecy skręcającego się z bólu Richarda. - Gdybyś ją wyciągnęła, już by nie żył.

- Ale zdołasz go uleczyć... - Było to bardziej błaganie niż pytanie.

Nicci nie odpowiedziała.

- Możesz go uleczyć. - Tym razem słowa zostały wysyczone przez zaciśnięte zęby.

Cierpliwość się skończyła i głos zabrzmiał rozkazująco - Richard rozpoznał Carę. Nie zdążył jej powiedzieć, zanim ich zaatakowano. Na pewno powinna była wiedzieć. Lecz jeżeli wiedziała, to czemu nic nie mówiła? Dlaczego nie rozwiąła jego obaw?

- Gdyby nie on, toby nas zaskoczyli - odezwał się jeden ze stojących z boku mężczyzn. - Wszystkich nas ocalił, rzucając się na podkradających się do nas żołnierzy.

- Musisz mu pomóc - nalegał inny. Nicci Niecierpliwie machnęła ręką.

- Wyjdźcie stąd, wszyscy. I tak tu ciasno. Nie mogę się teraz rozpraszać. Potrzebne mi spokój i cisza.

Znów błysnęło, jakby dobre duchy zamierzały jej odmówić tego, czego tak potrzebowała. Zagrzmiało - zbliżała się burza.

- Przyślesz do nas Carę, jak tylko będziesz coś wiedziała? - spytał jeden z nich.

- Tak, tak. Wyjdźcie.

- I upewnijcie się, czy w pobliżu nie ma innych żołnierzy - dorzuciła Cara. - Gdyby byli, to się ukryjcie. Nie wolno dopuścić, żeby nas teraz odnaleźli.

Przysięgli, że zrobią, jak kazała. Otwarto drzwi i na wyblakły tynk ścian padło trochę mglistego światła. Cienie wychodzących mężczyzn przesuwają się w plamie światła niczym opuszczające Richarda dobre duchy.

Jeden z wychodzących dotknął ramienia chłopaka - gest mający pocieszyć i dodać odwagi. Richard jak przez mgłę rozpoznał jego twarz. Sporo czasu nie widział tych ludzi. Przyszło mu na myśl, że to nie pora na

ponowne spotkanie. Wyszli i zamknęli drzwi, plama światła zniknęła; izbę znów rozjaśniały nieliczne promienie sączące się przez jedyne okno.

- Nicci - szepnęła natarczywym tonem Cara - możesz go uleczyć?

Richard szedł właśnie na spotkanie z Nicci, kiedy oddziały wysłane, żeby stłumić powstanie przeciwko tyrańskiej władzy Imperialnego Ładu, przypadkowo natrafiły na jego położone na uboczu obozowisko. Akurat myślał, że musi odszukać Nicci, gdy żołnierze się na niego natknęli. W czarnej rozpaczy pojawiła się iskierka nadziei; Nicci mu pomoże.

Musiał ją tylko nakłonić, żeby go wysłuchała.

Nachyliła się niżej i wodziła pod nim dłońmi, starając się sprawdzić, ile brakowało, żeby strzała przeszła na wylot. Richardowi udało się pochwycić osłonięte czarną suknią ramię. Zobaczył, że ma okrwawioną dłoń. Kiedy zakaszła, krew pociekła mu po twarzy.

Nicci zwróciła ku niemu błękitne oczy.

- Wszystko będzie dobrze, Richardzie. Leż spokojnie. - Pukiel blond włosów zsunął się jej z drugiego ramienia, kiedy chłopak usiłował ją ku sobie przyciągnąć. - Jestem przy tobie. Uspokój się. Nie odejdę. Nie ruszaj się. Wszystko w porządku. Pomogę ci.

W jej głosie pobrzmiwała panika, choć bardzo się starała ją ukryć. Uśmiechała się pokrzepiająco, lecz w oczach miała łzy. Pojął, że jej moc uzdrawiania może nie wystarczyć, żeby uleczyć tę ranę.

Więc tym bardziej powinna go wysłuchać.

Richard otworzył usta, próbował coś powiedzieć. Brakowało mu tchu. Drżał z zimna, walczył o każdy oddech. Nie mógł umrzeć - nie tutaj, nie teraz. Oczy zapiekły go od łez.

Nicci łagodnie i ostrożnie na powrót go ułożyła.

- Leż spokojnie, lordzie Rahlu - powiedziała Cara. Zdjęła jego dłoń z ramienia Nicci i mocno ścisnęła. - Nicci się tobą zajmie. Wyzdrowiejesz. Tylko się nie ruszaj i pozwól, by zrobiła, co musi, żeby cię uleczyć.

Blond włosy Nicci były rozpuszczone, a Cary - splecione w warkocz. Choć Richard wiedział, jak przejęta i zatroskana jest Cara, to i tak w jej pozie mógł dostrzec tylko silną osobowość Mord-Sith, a w jej rysach i stalowobłękitnych oczach - siłę woli. Owa siła i pewność siebie dawały mu tak potrzebne teraz wsparcie.

- Strzała nie przeszła na wylot - oznajmiła Nicci, wysuwając dłoń spod

pleców Richarda.

- I tak ci powiedziałam. Zdołał ją trochę odbić mieczem. To dobrze, prawda? Lepiej, niż gdyby przeszła na wylot?

- Nie - odparła cicho Nicci.

- Nie? - Cara pochyliła się ku niej. - Niby czemu gorzej, że nie przebiła mu pleców?

Nicci popatrzyła na Mord-Sith.

- Gdyby mu sterczała z pleców albo była na tyle blisko, że wystarczyłoby tylko trochę ją popchnąć, to byśmy mogły odciąć grot z zadziarami i wyciągnąć drzewce. - Przemilczała, co teraz będą musiały zrobić.

- Ale nie krwawi za bardzo - poddała Cara. - Choć to się nam udało powstrzymać.

- Może zewnętrzne krwawienie - odrzekła Nicci. - Ale wewnątrz krwawi: krew wlewa się do lewego płuca.

Tym razem to Cara złapała Nicci za ramię.

- Ale przecież coś zrobisz... Przecież coś...

- Oczywiście - burknęła Nicci, wrywając się Carze. Richard boleśnie zachłysnął się oddechem. Jeszcze chwila i ogarnie go panika.

Nicci położyła mu dłoń na piersi - żeby go unieruchomić i zarazem dodać otuchy.

- Może zaczekasz z tamtymi, Caro.

- Mowy nie ma. Lepiej zabieraj się do roboty.

Nicci przelotnie spojrzała Carze w oczy, potem się pochyliła i znów zamknęła dłoń na drzewcu strzały sterczącej z piersi Richarda. Poczuł, jak magia wnika po strzale w głąb niego. Rozpoznał moc Nicci, podobnie jak rozpoznawał jej aksamitny głos.

Wiedział, że nie może odkładać tego, co musiał zrobić. Bo kiedy Nicci zacznie, to nie wiadomo, ile czasu upłynie, aż on znów się ocknie... o ile się ocknie. Wytężył wszystkie siły i rzucił się do przodu, złapał suknię tuż przy kołnierzu, uniósł się lekko i przyciągnął Nicci ku sobie, żeby go dobrze słyszała.

Musiał spytać, czy wiedzą, gdzie jest Kahlan. A gdyby nie wiedzieli, to trzeba poprosić Nicci, żeby mu pomogła ją odnaleźć. Zdołał wymówić tylko jedno słowo.

- Kahlan - wyszeptał, wytężając wszystkie siły.

- W porządku, Richardzie, w porządku. - Nicci ujęła go za nadgarstki i odsunęła ręce chłopaka od sukni. - Posłuchaj! - Ponownie odchyliła go na stół. - Słuchaj. Nie mamy czasu. Musisz się uspokoić. Nie ruszaj się. Odpręż się i daj mi działać. - Odgarnęła mu włosy, położyła troskliwie dłoń na czole, a drugą znów uchwyciła przekłętą strzałę.

Richard desperacko starał się zaprotestować, powiedzieć im, że muszą odnaleźć Kahlan, lecz mrowienie magii już się wzmagalo, aż do paralizującego bólu.

Obezwładnił go straszliwy ból przeszywającej go mocy. Widział nad sobą twarze Cary i Nicci. A potem w izbie zapada ciemność.

Nicci już go kiedyś leczyła. Richard znał dotknięcie jej mocy. Tym razem coś było inaczej. Niebezpiecznie inaczej. Cara wstrzymała oddech.

- Co ty robisz?!

- To, co muszę, żeby go ocalić. To jedyny sposób.

- Ale nie możesz...

- Jeśli wolisz, żebym go oddała śmierci, to mi powiedz. Albo pozwól mi zrobić to, co muszę, żeby go zatrzymać wśród nas.

Cara przez chwilę przyglądała się rozgniewanej Nicci, a potem westchnęła i skinęła przyzwalająco głową.

Richard sięgnął do nadgarstka Nicci, lecz Cara zdążyła pochwycić jego dłoń i przycisnęła ją do stołu. Palce chłopaka natrafiły na wypukły złoty napis na rękojeści miecza - słowo PRAWDA. Znów wymówił imię Kahlan, ale tym razem z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk.

Cara zmarszczyła brwi i pochyliła się ku Nicci.

- Słyszałaś, co mówił? Co to było?

- Bo ja wiem. Jakieś imię. Chyba Kahlan.

Richard usiłował krzyknąć: „Tak”, ale tylko ochryple jęknął.

- Kahlan? - spytała Cara. - Kim ona jest?

- Nie mam pojęcia - odszepnęła Nicci, koncentrując się na czekającym ją zadaniu. - Najwyraźniej majaczy z upływu krwi.

Nagły atak bólu sprawił, że Richard nie mógł złapać tchu.

Ponownie błysnęło i zagrzmiało - i tym razem ulewa zabębniła o dach.

Choć się bronił, ich twarze zaczęły tonąć w mroku.

Zanim Nicci użyła całej swojej mocy, zdążył jeszcze po raz ostatni wyszeptać imię Kahlan.

A potem świat zniknął.

ROZDZIAŁ 2

Dalekie wycie wilka wyrwało Richarda z głębokiego snu. Żalospny głos odbił się echem wśród gór, ale odpowiedź nie nadeszła. Richard leżał na boku w nierealnej poświacie przedświt, nasłuchiwał, czekał, lecz żaden wilk nie odpowiedział.

Choć starał się jak mógł, potrafił jedynie na moment otworzyć oczy i zupełnie nie miał sił, żeby podnieść głowę. W gęstym mroku kołysały się ledwo widoczne gałęzie drzew. Dziwne, że obudził go taki zwyczajny te dźwięk - wycie wilka.

Pamiętał, że to Cara miała trzecią wartę. Pewnie wkrótce się zjawi, żeby ich obudzić. Z ogromnym wysiłkiem przetoczył się na drogi bok. Pragnął dotknąć Kahlan, przytulić ją i zasnąć jeszcze na kilka rozkosznych chwil, trzymając ją w ramionach. Ale jego dłoń natrafiła na puste miejsce. Kahlan tu nie było.

Gdzież się podziewała? Dokąd odeszła? Może się wcześniej przebudziła i poszła porozmawiać z Cara.

Richard usiadł. Instynktownie sprawdził, czy ma w zasięgu ręki miecz. Poczuł pod palcami gładką pochwę i oplecioną szychem rękojeść. Miecz leżał na ziemi obok niego. Słyszał cichy, monotony plusk deszczu. Przypomniał sobie, że z jakiegoś powodu nie chciał, żeby padało. Lecz skoro już padało, to czemu tego nie czuł? Dlaczego miał suchą twarz? Czemu, ziemia była sucha?

Siedział, przecierając oczy, starając się zebrać myśli, usiłując rozeznaczyć się w sytuacji. Wpatrzył się w mrok i pojął, że wcale nie jest na zewnątrz. Nikłe światło brzasku wpadające przez jedyne okienko ukazało mu opuszczoną, zdewastowaną izbę. Czuć było woń mokrego drewna i zgnilizny. W ścianę naprzeciwko Richarda wbudowano palenisko - w popiele jeszcze się tlił dogasający żar, Z jednej strony paleniska wisiała poczerniała drewniana łyżka, po drugiej stronie stała prawie do cna zdarta miotła; poza tym nie było niczego, co by mogło powiedzieć coś o ludziach, którzy tutaj mieszkali.

Do świtu zostało jeszcze trochę czasu.. Nieustanny plusk deszczu o dach wskazywał, że ów chłodny, wilgotny dzień nie zobaczy słońca. Woda skapywała do środka przez dziury w dachu, przesączała się wokół komina,

robiąc nowe plamy i zacieki na wyblakłym tynku.

Widok tynkowanej ściany, paleniska i zbitego z desek stołu przywołał urywki wspomnień.

Richard musiał wiedzieć, gdzie się podziała Kahlan, wstał więc z trudem; jedną dłoń przycisnął do pobolewającego miejsca po lewej stronie piersi, drugą wsparł się o stół.

Cara, siedząca w pobliżu na krześle, usłyszała, że Richard wstaje, i skoczyła na równe nogi.

- Lordzie Rahlu!

Spostrzegł swój miecz na stole. A myślał...

- Obudziłeś się, lordzie Rahlu!

W mętnawym świetle dojrzał, jaka jest zachwycona. I że ma na sobie czerwony skórzany uniform.

- Wilk zawył i obudził mnie. Cara potrząsnęła głową.

- Siedziałam tu i czuwałam nad tobą. Żaden wilk nie był. Musiało ci się przyśnić. - Znów się uśmiechnęła. - Lepiej wyglądasz!

Przypomniał sobie, że nie mógł oddychać, nie mógł zaczerpnąć tyle powietrza, ile potrzebował. Spróbował głęboko odetchnąć - łatwo poszło. Ciągle jeszcze prześladowało go wspomnienie straszliwego bólu, choć już nie cierpiał.

- Tak, chyba już jestem zdrowy.

Przez pamięć Richarda przemknęły błyski wspomnień. Pamiętał, jak stał nieruchomo w nierealnym wczesnym blasku dnia, a wśród drzew szli ławą żołnierze Imperialnego Ładu. Pamiętał ich szaleńczy atak, uniesiony oręż. Pamiętał, jak zaczął taniec ze śmiercią. Pamiętał również grad strzał i bełtów i to, że do walki włączyli się inni żołnierze. Uniósł koszulę, przyjrzał się jej - nie pojmował, dlaczego jest cała.

- Twoja była całkiem zniszczona - wyjaśniła Cara, widząc jego zdumienie. - Umyłyśmy cię i ogoliły, a potem ubrałyśmy w czystą koszulę.

My. To słowo było dla Richarda ważniejsze od wszystkich innych. My. Cara i Kahlan. Cara na pewno to właśnie miała na myśli.

- Gdzie ona jest?

- Kto?

- Kahlan - rzekł, odstępując od dającego oparcie stołu. - Gdzie ona?

- Kahlan? - Cara uśmiechnęła się prowokująco. - A któż to ta Kahlan?

Richard westchnął z ulgą. Gdyby Kahlan była ranna lub w tarapatach, Cara by się tak z nim nie droczyła - tego był całkowicie pewny. Wszechogarniająca ulga przegnała strach, dodała sił. Kahlan nic nie groziło. Rozbawiła go również szelmowska mina Cary. Lubił, kiedy się uśmiechała radośnie, zwłaszcza że tak rzadko to robiła. Uśmiech Mord-Sith był zwykle groźną zapowiedzią czegoś nadzwyczaj nieprzyjemnego. Tak samo jak czerwony uniform.

- Kahlan - powiedział, wpadając w jej ton - no, wiesz, moja żona. Gdzie ona jest?

Cara zmarszczyła nos, demonstrując tak rzadko u niej widoczne rozbawienie. Owa mina była dla niej tak niezwykła, że nie tylko zdumiała Richarda, ale i skłoniła do uśmiechu.

- Zooona - przeciągnęła, nagle pełna rezerwy. - To coś nowego: lord Rahl biorący sobie żonę.

Nawet i teraz bywały chwile, kiedy nie mógł uwierzyć, że jest lordem Rahlem, władcą D'Hary. O czymś takim leśny przewodnik, dorastający w dalekim Westlandzie, nigdy by nie śmiał marzyć.

- Cóż, któryś z nas musiał to pierwszy zrobić. - Przesunął dłonią po twarzy, starając się do końca otrząsnąć ze snu. - Gdzie ona jest?

Cara uśmiechnęła się szeroko.

- Kahlan. - Pochyliła ku niemu głowę, uniosła brew. - Twoja żona.

- Tak, Kahlan, moja żona - rzekł spokojnie; już dawno się nauczył, że lepiej nie pokazywać Carze, iż dokuczyły mu jej kpiny. - Przecież ją pamiętasz: mądre zielone oczy, wysoka, długie włosy. Najpiękniejsza kobieta, jaką w życiu widziałem.

Skórzany uniform Cary zatrzeszczał, kiedy się wyprostowała i skrzyżowała ramiona.

- Chcesz, rzecz jasna, powiedzieć, że najpiękniejsza zaraz po mnie... - Uśmiechnęła się, oczy jej błyszczały, ale Richard nie podjął gry. - No cóż - dodała w końcu, wzdychając - lordowi Rahlowi najwyraźniej śniło się coś ciekawego, kiedy tak długo spał.

- Kiedy długo spałem?

- Spałeś całe dwa dni po tym, jak Nicci cię uleczyła. Richard przeczesał palcami brudne, zmierzwiłone włosy.

- Dwa dni... - powtórzył, starając się ułożyć w całość fragmenty

wspomnień; zaczynały go irytować kpinki Cary. - No więc gdzie ona jest?

- Twoja żona?

- Tak, moja żona. - Wsparł się pod boki i pochylił ku irytującej niewieście.

- No wiesz, Matka Spowiedniczka.

- Matka Spowiedniczka! No, no, no, lordzie Rahlu! Ty jak już śniesz, to śniesz! Bystra, piękna i na dodatek Matka Spowiedniczka. - Cara nachyliła się ku niemu z drwiącą miną. - I pewnie do szaleństwa w tobie zakochana?

- Cara...

- Chwileczkę. - Uniosła dłoń, uciszając go, nagle całkiem poważna. - Nicci chciała, żebym ją zawołała, kiedy się obudzisz. Bardzo na to nalegała. Mówiła, że musi cię obejrzeć, jak tylko się ockniesz. - Ruszyła ku drzwiom w tyle izby. - Śpi dopiero parę godzin, ale powinna wiedzieć, że się już obudziłeś.

Cara ledwo co zniknęła w tylnej izbie, a już z mroku wypadła Nicci, przelotnie tylko chwytając się framugi drzwi.

- Richardzie!

Nim zdążył coś powiedzieć, skoczyła ku niemu - uradowana tym, że on żyje - i chwyciła go w ramiona, jakby sądziła, że jest dobrym duchem, który się zjawił w świecie żywych, i że tylko jej mocny uścisk go tu zatrzyma.

- Tak się martwiłam. Jak się czujesz? - Sprawiała wrażenie równie wyczerpanej jak on. Grzywa blond włosów nie była wyszczotkowana i Nicci na pewno spała w tej swojej czarnej sukni. Ale to i tak wcale nie umniejszało jej wyjątkowej urody.

- Całkiem nieźle, chociaż jestem wyczerpany i w głowie mi się kręci mimo tego długiego snu, o którym mówiła Cara.

Nicci machnęła smukłą dłonią.

- Można się było tego spodziewać. Wypoczniesz i wkrótce całkiem odzyskasz siły. Straciłeś mnóstwo krwi. Twój organizm potrzebuje czasu, żeby wrócić do pełnego zdrowia.

- Nicci, muszę...

- Ciii - powiedziała, przykładając mu jedną dłoń do pleców, a drugą do piersi. W skupieniu ściągnęła brwi.

Wyglądała niemal na jego rówieśnicę, lub co najwyżej na starszą o rok albo dwa, lecz bardzo długo mieszkała, jako Siostra Światła, w Pałacu Proroków - a dla mieszkańców pałacu czas płynął inaczej niż dla innych

ludzi. Elegancja i wdzięk Nicci, bystre spojrzenie błękitnych oczu i szczególnie, powściągliwy uśmiech (zawsze przesyłany ze znaczącym spojrzeniem w oczy Richarda) najpierw oszalały, potem niepokoiły, aż wreszcie stały się czymś znajomym i zwyczajnym.

Richard drgnął, czując, jak wnika weń moc Nicci, przepływająca pomiędzy jej dłońmi. To było osobliwe i niepokojące doznanie. Serce zaczęło mu nierówno bić. Poczł mdłości.

- Podziałało - szepnęła do siebie Nicci i dopiero wtedy spojrzała mu w oczy. - Żyłł są całe i mocne. - Zachwył w jej oczach zdradzał, jak niepewna była, czy jej się powiedzie. Powrócił pokrzepiający uśmiech. - Nadal potrzebny ci wypoczynek, ale już wszystko w porządku, Richardzie, naprawdę.

Skinął głową, rad słyszając, że już jest zdrowy, chociaż ją to najwyraźniej nieco dziwiło. Teraz trzeba było rozproszyć pozostałe troski.

- Gdzie jest Kahlan, Nicci? Cara jest tego ranka nie w humorze i nie chce powiedzieć.

- Kto? - spytała skonsternowana Nicci.

Richard chwycił nadgarstek Nicci, odsunął jej dłoń od swojej piersi.

- Co się dzieje? Jest ranna? Gdzie się podziewa? Cara przechyliła głowę ku Nicci.

- Lord Rahl wyśnił sobie żonę. Nicci spojrzała na nią ze zdumieniem.

- Żonę?!

- Pamiętasz, jakie imię wołał, mającąc? - Mord-Sith porozumiewawczo się uśmiechnęła. - To właśnie ją poślubił w swoim śnie. Jest piękna i, ma się rozumieć, bystra.

- Piękna. - Nicci patrzyła na nią ze zdumieniem. - I bystra. Cara zrobiła znaczącą minę.

- I jest Matką Spowiedniczką. Nicci nie mogła w to uwierzyć.

- Matką Spowiedniczką - powtórzyła.

- Dosyć tego. - Richard puścił jej nadgarstek. - Natychmiast przestańcie. Gdzie ona jest?

Obie kobiety od razu pojęły, że skończyła mu się cierpliwość i dobry humor. Zdecydowany ton głosu i gniewne spojrzenie natychmiast je uciszyły.

- Richardzie - odezwała się ostrożnie Nicci - byłeś bardzo ciężko ranny.

Przez chwilę wątpiałam... - Odgarnęła za ucho pasmo włosów i podjęła: - Kiedy ktoś jest w tak ciężkim stanie, jak ty byłeś, to umysł potrafi mu płać dziwne figle. To zupełnie normalne. Już się z tym spotykałam. Przez tę strzałę nie mogłeś oddychać. A kiedy nie możesz zaczerpnąć powietrza, na przykład kiedy się topisz, to...

- Co z wami? Co się dzieje? - Richard nie rozumiał, dlaczego go zwodzą. Serce zaczęło mu bić jak szalone. - Jest ranna? Mówcie!

- Richardzie - rzekła Nicci opanowanym tonem, najwyraźniej mającym go uspokoić - ta strzała o mało nie przeszła ci serca. I gdyby tak się stało, nie mogłabym nic na to zaradzić. Nie potrafię wskrzeszać zmarłych. Grot na szczęście minął serce, ale i tak wyrządził wiele szkód. Ludzie z taką raną jak twoja po prostu umierają. W zwykły sposób nie zdołałabym cię uleczyć. Nawet nie było czasu na to, żeby jakoś inaczej wyjąć strzałę. Miałeś wewnętrzny krwotok. Musiałam... - Umilkła, patrząc mu w oczy.

Richard nieco się ku niej pochylił.

- Co musiałaś?

Kobieta odruchowo poruszyła ramieniem.

- Musiałam się posłużyć magią subtraktywną.

Nicci miała wrodzony dar potężnej magii, a poza tym - co czyniło ją kimś niezwykłym - potrafiła się posługiwać mocami zaświatów. Niegdyś była zaprzędana owym mocom. Zwano ją wtedy Panią Śmierci. I uzdrawianie, prawdę mówiąc, nie było wtedy jej fachem.

Richard natychmiast się zaniepokoił.

- Dlaczego?

- Żeby wyciągnąć strzałę.

- Pozbyłaś się strzały za pomocą magii subtraktywnej?

- Nie było ani czasu, ani innego sposobu. - Znów chwyciła go za ramiona, tym razem ze współczuciem. - Raz-dwa byś umarł, gdybym nic nie zrobiła. Musiałam.

Richard popatrzył na ponurą minę Cary, potem znów na Nicci.

- Cóż, pewnie masz rację.

Przynajmniej sensownie to brzmiało. Nie miał pojęcia, czy naprawdę tak było czy nie. Richard, wychowany w bezkresnych lasach Westlandu, mało co wiedział o magii.

- I trochę twojej krwi - dodała cicho Nicci. To już mu się nie spodobało.

- Co?

- Miałaś wewnętrzny krwotok. Jedno płuco już było niewydolne. Wyczułam, że przepchnęło ci serce na bok. Nacisk groził rozerwaniem głównych tętnic. Musiałam się pozbyć tej krwi, żeby cię uleczyć, żeby twoje płuca i serce pracowały jak należy. Bo przestawały działać. Byłeś w szoku, majaczyłeś. Omal nie umarłeś. - Łzy napłynęły do błękitnych oczu Nicci. - Tak się bałam, Richardzie. Prócz mnie nie było tu nikogo, kto mógłby ci pomóc, a ja tak się bałam, że mi się nie uda. Nawet wtedy, kiedy już zrobiłam co w mojej mocy, żeby cię uleczyć, wcale nie byłam pewna, czy się ockniesz.

Richard widział ów przeżyty strach w wyrazie jej twarzy, wyczuwał w drzeniu zaciśniętych na jego ramionach palców. Wiele to świadczyło o drodze, jaką przebyła, od kiedy odrzuciła sprawę Sióstr Mroku i Imperialnego Ładu.

Udręczona mina Cary potwierdzała, że naprawdę było tragicznie. Wyglądało na to, że każda z nich pozwalała sobie jedynie na krótkie drzemki, kiedy on spał. To musiało być pełne grozy czuwanie.

Deszcz bez ustanku bębnił o dach. Poza tym nic nie mąciło ciszy zimnego i wilgotnego domku. W opuszczonym domostwie życie wydawało się jeszcze bardziej ulotne. Mroziło to Richardowi krew w żyłach.

- Uratowałaś mi życie, Nicci. Pamiętam, że się bałem, że umrę. Ale ty mnie ocaliłaś. - Dotknął palcami jej policzka. - Dzięki. Żałuję, że nie potrafię lepiej tego wyrazić, inaczej powiedzieć, jak bardzo jestem wdzięczny za to, co zrobiłaś.

Słaby uśmiech Nicci i skinienie głową świadczyły, że rozumie, jak głęboko jest wdzięczny.

Wtem coś przyszło mu na myśl.

- Chcesz powiedzieć, że posłużenie się magią subtraktywną spowodowało pewne... problemy?

- Nie, Richardzie, nie. - Nicci ścisnęła mu ramię, chcąc rozproszyć obawy. - Nie. Nie sądzę, żeby to wyrządziło jakąś szkodę.

- Co to znaczy, że nie sądzisz, żeby to wyrządziło jakąś szkodę? Milczała przez chwilę, zanim zaczęła wyjaśniać.

- Nigdy przedtem czegoś takiego nie robiłam. I nigdy nie słyszałam, by ktoś tego próbował. O drogie duchy, nawet nie wiedziałam, że to możliwe. Z całą pewnością rozumiesz, że takie wykorzystanie magii subtraktywnej jest

bardzo ryzykowne, najłagodniej mówiąc. Dotknięcie owej magii może zniszczyć wszystko, co żywe. Musiałam użyć drzewca strzały jako drogi wniknięcia magii. Postępowałam najostrożniej jak mogłam, żeby wyłącznie usunąć strzałę... i krew, która wypłynęła.

Richard zastanawiał się, co się działo z tym, czego dotknęła magia subtraktywną - co się stało z jego krwią - ale już mu się w głowie kręciło od tego wszystkiego i chciał, żeby Nicci wreszcie skończyła wyjaśnienia.

- Ogromny krwotok, rana, ciężkie zaburzenia oddychania, wstrząs wywołany leczeniem magią addytywną, że już nie wspomnę o nieznanym czynniku dodanym do tego wszystkiego przez magię subtraktywną. Doświadczyłeś czegoś, czego skutków nie da się przewidzieć - dorzuciła Nicci. - Taki kryzys może wywołać zupełnie nieoczekiwane efekty.

Richard nie miał pojęcia, do czego Nicci zmierza.

- Jakie nieoczekiwane efekty?

- Nie wiadomo. Nie miałam wyboru, musiałam zastosować ostateczne środki. Znalazłeś się poza wszelkimi możliwymi do przekroczenia granicami. Musisz zrozumieć, że przez jakiś czas nie byłeś sobą.

Cara wsunęła kciuk za czerwony skórzany pas.

- Nicci ma rację, lordzie Rahlu. Nie byłeś sobą. Szarpałeś się z nami. Musiałam cię unieruchomić, żeby Nicci mogła ci pomóc. Obserwowałam ludzi stojących na granicy życia i śmierci. Osobliwe rzeczy się wtedy z nimi dzieją. Uwierz mi, tej pierwszej nocy długo tam tkwiłeś.

Richard świetnie wiedział, co miała na myśli, mówiąc, że obserwowała ludzi stojących na granicy życia i śmierci. Fachem Mord-Sith były tortury - dopóki on tego nie zmienił. Nosił przecież Agiel Denny, która niegdyś trzymała go na granicy życia i śmierci. Dała mu swój Agiel w podzięcie za to, że ją uwolnił od przerażających obowiązków... a przecież wiedziała, że ceną owej wolności będzie cios mieczem prosto w serce.

W owej chwili Richard uświadomił sobie, jak daleką przebył drogę od spokojnych lasów, w których dorastał.

Nicci rozłożyła ręce w błagalnym geście - chciała, żeby bardziej się postarał to zrozumieć.

- Przez jakiś czas byłeś nieprzytomny, a potem spałeś. Musiałam cię na tyle wybudzić, żebyś wypił wodę i bulion, ale chciałam, żebyś spał głębokim, przywracającym siły snem. Musiałam się posłużyć zaklęciem, żeby cię

utrzymać w owym stanie. Straciłeś mnóstwo krwi; gdybym ci się pozwoliła wcześniej wybudzić, mógłbyś stracić resztę sił i nas opuścić.

Mógł wtedy umrzeć - to miała na myśli. Mógł umrzeć. Richard głęboko odetchnął. Nie wiedział, co się wydarzyło w ciągu trzech ostatnich dni. W zasadzie pamiętał walkę i to, że obudziło go wycie wilka.

- Nicci - powiedział, starając się okazać, że jest spokojny i pełen zrozumienia, choć wcale tak nie było - a co to ma wspólnego z Kahlan?

Na twarzy miała wypisane współczucie i niepokój.

- Richardzie, ta kobieta, Kahlan, to wytwór twojego umysłu. Wyobraziłeś ją sobie, kiedy byłeś w szoku i malignie, zanim cię uleczyłam.

- Nicci, wcale sobie nie wyobraziłem...

- Byłeś na skraju śmierci - rzekła, uciszając go gestem dłoni. - Twój umysł gorączkowo szukał kogoś, kto by ci mógł pomóc; kogoś takiego jak owa Kahlan. Uwierz mi, że to zupełnie rozumiałe. Ale teraz już się obudziłeś i musisz spojrzeć prawdzie w oczy. Była wytworem wyobraźni, zrodzonym w tym ciężkim stanie.

Richard osłupiał, słysząc to. Spojrzał na Carę, błagając, żeby się opamiętała i przyszła mu z pomocą.

- Jak mogłaś coś takiego w ogóle wymyślić? Jak możesz w to wierzyć?

- Czy nigdy ci się nie śniło, że jesteś przerażony i że spieszy ci na pomoc matka, w rzeczywistości dawno zmarła? - Cara nie patrzyła mu w oczy. - Nie pamiętasz, jak się budziłeś z takich snów, przekonany, że to była prawda i że twoja matka znowu żyje i pomoże ci? Nie pamiętasz, jak bardzo chciałeś się uczyć tego przekonania? Jak desperacko pragnąłeś, żeby to była prawda?

Nicci musnęła miejsce, w którym przedtem tkwiła strzała, teraz znowu całe i zdrowe.

- Kiedy cię uleczyłam na tyle, że wyszedłeś z najgorszego stanu, zapadłeś w długi sen. I zabrałeś ze sobą swoje złudzenia. Śniłeś o nich, rozbudowywałeś je, przeświadczony, że to jawa; dla ciebie trwało to dłużej niż zwyczajny sen, a dodająca otuchy iluzja wniknęła w każdą twoją myśl, przepoiła cały twój umysł, stała się dla ciebie czymś realnym, jak powiedziała Cara. Spałeś bardzo długo, co jeszcze wzmocniło jej wpływ. Dopiero co się obudziłeś z tego długiego snu, więc masz trochę kłopotów z odróżnieniem, co ci się przyśniło, a co było realne.

- Nicci ma słuszność, lordzie Rahlu. - Richard jeszcze nigdy nie widział

tak śmiertelnie poważnej Cary. - To ci się po prostu przyśniło, jak wycie wilka, które podobno słyszałeś. To musiał być wspaniały sen, ta kobieta, którą poślubiłeś, lecz to był jedynie sen.

Richardowi zakręciło się w głowie. Przerzązał go pomysł, że Kahlan była jedynie snem, zrodzonym w malignie wytworem wyobraźni. Ogarnął go nieokiełznany strach. Jeżeli one mówią prawdę, to on wcale nie chce się obudzić. Skoro to prawda, to szkoda, że Nicci go uleczyła. Nie chciał żyć w świecie, w którym nie było Kahlan.

Szukał jakiegoś punktu zaczepienia w owym mrocznym chaosie, zbyt oszołomiony, żeby walczyć z tak przeraźliwym lękiem. To, że niezbyt pamiętał dopiero co minione cierpienia, tylko mu mąciło w głowie. Zaczynało go ogarniać zwątpienie.

Wziął się w garść. Nie był taki głupi, żeby wierzyć obawom i tym samym zmieniać je w prawdę. Chociaż nie pojmował, jak one mogły wpaść na taki koszmarny pomysł, dobrze wiedział, że Kahlan mu się nie przyśniła.

- Jak możecie twierdzić, że Kahlan to tylko sen, skoro tyle razem z nią przeszłyście?

- Istotnie, jak mogłybyśmy, gdyby twoje opowieści były prawdziwe? - spytała Nicci.

- Nigdy nie byłybyśmy tak okrutne, lordzie Rahlu, żeby cię oszukiwać w tak dla ciebie ważnej sprawie.

Richard wpatrywał się w nie. Czyżby miały rację? Gorączkowo się zastanawiał, czy one mogą mówić prawdę. Mocno zacisnął pięści.

- Przestańcie!

Było to wołanie o umiar. Wcale nie chciał, żeby zabrzmiało jak groźba - ale tak się stało. Nicci cofnęła się o pół kroku, Cara nieco pobladła.

Richard nie mógł zapanować nad przyspieszonym oddechem i rozszalałym sercem.

- Nie pamiętam swoich snów. - Spojrzał najpierw na jedną z kobiet, potem na drugą. - Od kiedy podrosłem. Nie przypominam sobie snów z chwil, kiedy byłem ranny ani kiedy spałem. Żadnych. Sny nic nie znaczą. Kahlan zaś przeciwnie. Proszę, nie róbcie mi tego. To wcale nie pomaga, tylko szkodzi. Muszę wiedzieć, jeśli Kahlan coś się stało.

To na pewno to. Coś się jej stało, a one uważają, że jest jeszcze za słaby, żeby znieść tę wiadomość. Przypomniał sobie, jak Nicci mówiła, że nie

potrafi wskrzeszać zmarłych, i ogarnął go jeszcze większy lęk. Czyżby to chciały przed nim ukryć? Zaciśnął zęby, powstrzymując się od wrzaśnięcia na nie i próbując zapanować nad tonem głosu.

- Gdzie jest Kahlan?

Nicci lekko skłoniła głowę, jakby błagając go o wybaczenie.

- Ona jest tylko w twoim umyśle, Richardzie. Wiem, jak realne może się to wydawać, lecz takie nie jest. Wyśniłeś ją, kiedy leżałeś ranny, i tyle.

- Nie wyśniłem Kahlan - teraz skierował apel do Mord-Sith. - Byłaś z nami ponad dwa lata, Caro. Walczyłaś u naszego boku, walczyłaś dla nas. Kiedy Nicci była Siostrą Mroku i uprowadziła mnie do Starego Świata, ty zamiast mnie chroniłaś Kahlan. A ona strzegła ciebie. Mało kto potrafi pojąć, coście wspólnie przeżyły. Zaprzyjaźniłyście się.

Wskazał Agiel Cary - oręż wyglądający jak zawieszony na okalającym prawy przegub złotym łańcuszku niepozorny krótki pręt z czerwonej skóry.

- Nawet nazywałaś Kahlan siostrą w Agielu. Cara stała sztywna i milcząca.

Nazwanie Kahlan siostrą w Agielu było dowodem najwyższego uznania dla kobiety, którą zaczęła szanować i darzyć zaufaniem, chociaż wcześniej była jej nieprzejednanym wrogiem.

- Zaczęłaś jako strażniczka lorda Rahla, Caro, lecz dla Kahlan i dla mnie stałaś się kimś więcej. Stałaś się dla nas członkiem rodziny.

Cara chętnie i bez wahania poświęciłaby życie w obronie Richarda. Chroniąc go, nie znała strachu ni litości. Bała się tylko jednego - że go zawiedzie. Ten strach był wyraźnie widoczny w jej oczach.

- Dziękuję, lordzie Rahlu - powiedziała na koniec potulnie - że i mnie włączyłeś do swojego wspaniałego snu.

Richard zlodowaciał ze zgrozy. Do głębi poruszony, przycisnął dłoń do czoła, odgarnął włosy. Te kobiety nie wymyślały jakiejś tam historyjki, bo bały się przekazać mu złe wieści. Mówiły mu prawdę. A przynajmniej to, co one uważały za prawdę. Prawdę, która jakimś sposobem zmieniła się w koszmar.

Nie potrafił tego przyjąć do wiadomości, zrozumieć. Tyle wspólnie z Kahlan przeżyły, a teraz wmawiają mu takie rzeczy. Nie mógł pojąć, jak tak mogą. A jednak to robiły.

Najwyraźniej stało się coś okropnego - choć nie wiedział co ani dlaczego.

Ogarnęły go złe przeczucia. Miał wrażenie, że cały świat się rozpadł, a on nie może go na powrót poskładać. Musiał coś zrobić - to, co miał zrobić, zanim żołnierze Ładu ich zaatakowali. Może jeszcze nie było za późno.

ROZDZIAŁ 3

Richard ukląkł obok śpiwora i zaczął wpychać ubrania do plecaka. Zostawił tylko pelerynę, bo nic nie zapowiadało, żeby widoczna przez niewielkie okno zimna mżawka miała się wkrótce skończyć.

- Co robisz? - zapytała Nicci. Chwycił leżącą w pobliżu kostkę mydła.

- A jak ci się zdaje?

I tak stracił za dużo czasu; stracił dni. Nie mógł już zmarnować ani chwili. Schował do plecaka kawałek mydła, paczuszki suszonych ziół i przypraw, woreczek suszonych moreli i szybko zrolował śpiwór. Cara nie sprzeciwiała się, o nic nie pytała - zabrała się do pakowania swoich rzeczy.

- Przecież wiesz, co miałam na myśli, Richardzie. - Nicci przykucnęła przy nim, ujęła za ramię i obróciła ku sobie. - Nie możesz nigdzie iść, Richardzie. Potrzebny ci wypoczynek. Mówiłam, że straciłeś mnóstwo krwi. Nie masz sił na gonienie za urojeniami.

Zdusił pełną oburzenia odpowiedź i mocno opasał rzemieniem śpiwór.

- Świetnie się czuję.

Oczywiście wcale tak nie było, ale czuł się dość dobrze. Nicci dopiero co spędziła sporo dni, z wysiłkiem go ratując. Martwiła się o niego i na dodatek była wyczerpana, zapewne jej myśli nie były jasne. Wszystko to bez wątpienia sprawiało, że myślała, iż Richard zachowuje się nieodpowiedzialnie. Ale i tak się złościł, że bardziej mu nie wierzy. Wiązał ciasno drugi rzemień, a Nicci mocno chwyciła go za koszulę.

- Nawet sobie nie zdajesz sprawy, Richardzie, jaki jesteś osłabiony. Narażasz na szwank własne życie. Musisz wypoczywać, żeby twoje ciało odzyskało dawne siły. Miałeś na to zbyt mało czasu.

- A ile czasu zostało Kahlan? - Rozgniewany, mocno chwycił Nicci za ramię i przyciągnął ku sobie. - Jest nie wiadomo gdzie, w tarapatach. Ty i Cara sobie tego nie uświadamiacie, ale ja tak. Sądzisz, że będę tu leżeć, kiedy osoba, którą najbardziej na świecie kocham, ma kłopoty? A gdyby tobie coś groziło, Nicci, chciałabyś, żebym tak łatwo cię zostawił na pastwę losu? Może byś wolała, żebym cię spróbował ocalić? Nie mam pojęcia, co się wydarzyło, ale na pewno stało się coś złego. Jeżeli mam rację, a mam, to jeszcze się nawet nie zacząłem domyślać, co i dlaczego, i jakie będzie miało skutki.

- Co to znaczy?

- Jeżeli masz rację, to po prostu wyśniłem sobie to wszystko. Lecz jeśli to ja mam rację - a nie ma wątpliwości, że obie z Cara nie możecie mieć jednocześnie identycznych luk w pamięci - oznaczałoby to, że działa tu jakaś wroga siła. Nie mogę sobie pozwolić na zwłokę i tkwić tutaj, starając się was przekonać. Już i tak straciliśmy za dużo czasu. Stawka jest zbyt wysoka.

Jego słowa tak oszołomiły Nicci, że milczała. Richard puścił ją i zaczął sznurować plecak. Nie miał czasu na dociekanie, co się dzieje z Cara i Nicci.

W końcu Nicci odzyskała głos.

- Czy nie rozumiesz, Richardzie, co robisz? Zaczynasz wymyślać jakieś absurdalne wyjaśnienia, żeby usprawiedliwić to, w co chcesz wierzyć. Sam powiedziałeś, że Cara i ja nie możemy jednocześnie mieć tych samych zaburzeń umysłowych. Zostań i wypoczywaj. Spróbujemy odkryć naturę owego marzenia, które się tak mocno wryło w twój umysł, i skorygować to. Zapewne ja je wywołałam, kiedy starałam się ciebie uleczyć. Jeżeli tak, to przepraszam. Proszę cię, Richardzie, zostań tu jeszcze trochę.

Koncentrowała się wyłącznie na tym, co uważała za problem. Zedd, dziadek Richarda - człowiek, który pomagał go wychowywać - często mawiał dorastającemu chłopcu: „Nie zastanawiaj się nad problemem, myśl o rozwiązaniu”. Rozwiązaniem, na którym się teraz powinien skoncentrować, było odnalezienie Kahlan, zanim będzie za późno. Szkoda, że nie było tutaj Zedda, pomógłby mu się domyślić, gdzie ona jest.

- Zagrożenie jeszcze nie minęło, Richardzie - upierała się Nicci, uchylając się przed przeciekającymi przez dziury w dachu strużkami deszczu. - Zbyt ni wysiłek może ci poważnie zaszkodzić.

- Rozumiem to, naprawdę. - Richard sprawdził nóż i na powrót wsunął go do wiszącej u pasa pochwy. - Nie zamierzam lekceważyć twoich rad. Postaram się nie przemęczać.

- Wysłuchaj mnie, Richardzie - odezwała się Nicci, masując palcami skronie, jakby ją bolała głowa. - Nie tylko w tym rzecz. - Zamilkła. Szukając słów, przygładziła włosy. - Nie jesteś niezwyciężony. Miecz nie zawsze zdoła cię ochronić. Twoi przodkowie, każdy poprzedni lord Rahl, chociaż mistrzowsko władali swoim darem, zawsze mieli wokół siebie straż przyboczną. Urodziłeś się z darem, lecz nawet gdybyś potrafił nim biegle władać, to i tak owa moc nie gwarantowałaby ci całkowitej ochrony, a już

zwłaszcza nie teraz. Strzała jedynie dała świadectwo, jaki jesteś w istocie bezbronny. Jesteś bardzo ważną osobą, Richardzie, to prawda, ale jesteś jedynie człowiekiem. Wszyscy cię potrzebujemy. Rozpaczliwie potrzebujemy.

Richard odwrócił wzrok od pełnych udręki błękitnych oczu Nicci. Dobrze wiedział, na co jest narażony. Wysoko cenił życie i wcale nie uważał, że dostał je na wieczność. Prawie nigdy się nie sprzeciwiał stałej obecności Cary. Tak ona, jak i pozostałe Mord-Sith oraz inni strażnicy - wszystkich ich najwyraźniej odziedziczył - niejedną raz dowiedli swojej przydatności. Ale to wcale nie oznaczało, że jest bezradny ani że pozwoli, by ostrożność powstrzymała go od zrobienia tego, co konieczne.

Zrozumiał również ogólniejsze znaczenie słów Nicci. Kiedy był w Pałacu Proroków, dowiedział się, iż Siostry Światła są przekonane, że jest głęboko uwikłany w starodawne proroctwo. Że jest osią rozgrywających się wydarzeń.

Wedle Sióstr jedynie Richard mógł je i ich sprzymierzeńców poprowadzić do zwycięstwa nad przysiężonymi przeciwko nim ciemnymi mocami. Proroctwo głosiło, że bez niego wszystko przepadnie. Ksieni Sióstr, Annalina, większość życia poświęciła na takie sterowanie zdarzeniami, żeby Richard zdołał przeżyć, dorosnąć i przewodzić im w owej walce. Wedle słów Ann, w nim była jedyna nadzieja na ocalenie wszystkiego, co im drogie. Na szczęście Kahlan wybiła jej to z głowy. Wiedział jednak, że wielu nadal tak myśli. Wiedział również, że dzięki swojemu darowi przewodzenia poderwał do działania wielu ludzi, którzy po prostu chcieli być wolni.

Richard był w podziemiach Pałacu Proroków i przeglądał niektóre z najważniejszych i dobrze strzeżonych ksiąg proroctw, jakie się zachowały. Musiał przyznać, że pewne przepowiednie były dość niepokojące. Ale z doświadczenia wiedział, że proroctwo mówi to, co ludzie chcą zeń wyczytać. Na własnej skórze doświadczył efektów działania proroctw dotyczących jego samego i Kahlan (zwłaszcza przepowiedni więdźmy Shoty). W jego przypadku proroctwa przynosiły mało pożytku, za to powodowały mnóstwo kłopotów.

Uśmiechnął się z przymusem.

- Mówisz jak Siostra Światła, Nicci. - Nie rozbawiła jej ta uwaga. - Będzie ze mną Cara - dodał, żeby ją uspokoić.

Powiedział to i uświadomił sobie, że obecność Cary nie uchroniła go przed strzałą. A właściwie to gdzie była Cara podczas tej walki? Nie przypominał sobie, by była u jego boku. Cara nie bała się walczyć, nawet tabun koni nie odciągnąłby jej od chronienia go. Na pewno musiała być gdzieś w pobliżu, a on po prostu nie mógł sobie przypomnieć, że ją widział.

Richard zapiął szeroki skórzany pas. I pas, i reszta stroju - należące niegdyś do potężnego czarodzieja - pochodziły z Wieży Czarodzieja, gdzie teraz czuwał Zedd, broniąc wieży przed imperatorem Jagangiem i jego hordami ze Starego Świata.

Nicci westchnęła zniecierpliwiona - Richard aż za dobrze znał jej upór i nieustępliwość. Wiedział też, że i tym razem kieruje nią troska o jego dobro.

- Nie możemy sobie na to pozwolić, Richardzie. Musimy porozmawiać o ważnych sprawach. Przede wszystkim dlatego chciałam się z tobą spotkać. Nie dostałeś mojego listu?

Richard znieruchomiał.

- List... list... A tak. - W końcu sobie przypomniał. - Dostałem twój list. Wysłałem ci odpowiedź przez żołnierza, którego Kahlan dotknęła swoją mocą.

Spostrzegł, jak Cara spojrzała na Nicci - jej zdumiona mina mówiła, że niczego takiego sobie nie przypomina. Nicci przyjrzała mu się z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- Twój list nigdy do mnie nie dotarł.

Richard, trochę zdziwiony, wskazał ku Nowemu Światu.

- Ten żołnierz w zasadzie miał iść na północ i zamordować imperatora Jaganga. Kahlan dotknęła go mocą Spowiedniczki i prędkiej by umarł, niż sprzeniewierzył się jej rozkazowi. Skoro nie mógł cię odnaleźć, pewnie ruszył na Jaganga. Przypuszczam też, że coś mogło mu się przytrafić. W Starym Świecie czyha wiele niebezpieczeństw. - Widząc minę Nicci, poczuł się tak, jakby jej dostarczył kolejnego dowodu na to, że traci rozum.

- Czy naprawdę, nawet w najbardziej szalonych marzeniach, wyobrażałeś sobie, że tak łatwo da się wyeliminować Nawiedzającego Sny?

- Nie, jasne, że nie. - Wepchnął głębiej wybrzuszący plecak kociołek. - Spodziewaliśmy się, że żołnierz zginie przy próbie zamachu. Wysłaliśmy go na Jaganga, bo był krwiożerczym zbirzem i zasługiwał na śmierć. Uważałem jednak, że jest szansa, by mu się udało. A jeśli nawet nie, to chciałem, żeby

świadomość, iż każdy z jego ludzi może się okazać mordercą, choć trochę zakłóciła Jagangowi sen.

Zbyt opanowana mina Nicci świadczyła, że i to uważa jedynie za część wielowątkowych rojeń o kobiecie, którą sobie wyśnił. Wtedy Richard przypomniał sobie, co jeszcze się stało.

- Nicci, zaatakowano nas zaraz po tym, jak Sabar dostarczył twój list. Zginął w walce.

Ukradkowe spojrzenie na Careę, która potwierdziła skinieniem głowy.

- Drogie duchy - powiedziała Nicci, zasmucona wieścią o doli młodego Sabara.

Richard podzielał jej uczucia. Pamiętał, że Nicci w liście ostrzegła, iż Jagang zaczął zmieniać mających dar w oręż, jak to czyniono przed trzema tysiącami lat, podczas wielkiej wojny. Sądzono, że już nikt nie potrafi czegoś tak strasznego dokonać, lecz Jagang znalazł na to sposób, wykorzystując trzymane w niewoli Siostry Mroku. Kiedy zaatakowano ich obóz, list Nicci wpadł w ognisko. Richard nie zdążył przeczytać całości, lecz to, co przeczytał, wystarczyło, żeby zrozumiał zagrożenie. Ruszył po leżący na stole miecz, lecz Nicci zagroziła mu drogę.

- Wiem, że to trudne, Richardzie, ale musisz odrzucić te swoje urojenia. Nie mamy na nie czasu. Musimy porozmawiać. Skoro dostałeś mój list, to przynajmniej wiesz, że nie możesz...

- Nicci - przerwał jej - muszę to zrobić. - Położył dłoń na jej ramieniu i mówił z całą cierpliwością, na jaką potrafił się zdobyć w tej sytuacji, lecz ton głosu świadczył, że nie zamierza dłużej o tym dyskutować. - Jeżeli z nami pójdziesz, to porozmawiamy, kiedy będzie na to pora i kiedy mi to nie przeszkodzi w tym, co muszę zrobić. Lecz teraz nie mam czasu na dyskusje, zresztą Kahlan też nie.

Richard odsunął Nicci i podszedł do stołu. Podniósł pochwę z mieczem i przelotnie zadumał się nad tym, dlaczego uważał, że miecz leży przy nim na ziemi, kiedy go zbudziło wycie wilka. Może przypominał sobie fragment snu. Odpędził te myśli, chcąc jak najszybciej wyruszyć.

Przełożył przez głowę starodawny skórzany pendent i poprawił miecz u lewego biodra, upewniając się, że pochwa jest dobrze zamocowana. Nie pamiętał wszystkiego, co się działo w trakcie walki, i nie przypominał sobie, by sam odłożył miecz. Wysunął klingę z pochwy nie tylko po to, żeby

sprawdzić, czy luźno siedzi, ale i po to, by się przekonać, czy nie jest uszkodzona. Ostrze pokrywała zakrzepła krew.

Pojawiły się fragmenty wspomnień z walki. Była nagła i nieoczekiwana, lecz kiedy już dobył w gniewie miecza, przestało to mieć znaczenie. Za to, niestety, dalej się liczyła tak znaczna przewaga wroga. Aż za dobrze pojmował, że Nicci słusznie twierdziła, że nie jest niewyciężony.

Wkrótce po tym, jak chłopak poznał Kahlan, Zedd, jako Pierwszy Czarodziej, obwołał Richarda Poszukiwaczem i podarował mu miecz. Początkowo Richard nienawidził miecza za to, co - jak błędnie sądził - ów oręż reprezentował. Zedd wyjaśnił mu, że Miecz Prawdy jest jedynie narzędziem i że liczą się wyłącznie intencje osoby nim władającej.

A teraz miecz był spojony z Richardem, z jego intencjami, uderzał zgodnie z jego wolą. Chłopak od samego początku chciał i zamierzał bronić swoich bliskich. Uświadomił sobie, że w tym celu powinien się przyczynić do ukształtowania takiego świata, w którym mogli spokojnie i bezpiecznie żyć.

To pragnienie sprawiło, że miecz nabrał dla Richarda znaczenia. Klinga z brzękiem wsunęła się do pochwy. Teraz pragnął odnaleźć Kahlan. Jeżeli miecz mógłby mu w tym pomóc, to nie zawaha się go użyć. Uniósł plecak i zarzucił go na ramię. Rozejrzał się po niemal pustej izdebce, sprawdzając, czy czegoś nie zapomniał. Na podłodze, koło paleniska, zobaczył suszone mięso i podróżne suchary. Obok nich leżały inne paczki z prowiantem. Stały tam też drewniane miseczki Cary i Richarda - jedna z bulionem, druga z resztkami owsianki.

- Caro - powiedział, zawieszając sobie na szyi trzy bukłaki - zabierz cały prowiant, który się nadaje na taką podróż. Nie zapomnij miseczek.

Mord-Sith skinęła głową. Wiedziała już, że jej nie zostawi, więc metodycznie wszystko pakowała. Nicci złapała go za rękaw.

- Nie żartuję, Richardzie, musimy porozmawiać. To bardzo ważne.

- Więc zrób, jak prosiłem. Spakuj swoje rzeczy i chodź ze mną. - Chwycił łuk i kołczan. - Możesz gadać, ile zechcesz, jeśli tylko nie będziesz mnie opóźniać.

Nicci z rezygnacją pokiwała głową, przestała protestować i skoczyła do tylnej izby pakować swoje rzeczy. Richard nie miał nic przeciwko towarzystwu Nicci, potrzebował jej pomocy; jej dar mógłby być pomocny w odnalezieniu Kahlan. Prawdę mówiąc, zamierzał odszukać Nicci i prosić ją o

pomoc, kiedy się zbudził przed atakiem i przekonał, że Kahlan nie ma.

Richard zarzucił na ramiona pelerynę z kapturem i ruszył ku drzwiom. Cara spojrzała od paleniska, gdzie pospiesznie zbierała swoje rzeczy, i skinęła głową na znak, że zaraz doń dołączy. W tylnej izbie dostrzegł pospiesznie krzątającą się Nicci.

Tak bardzo pragnął odszukać Kahlan, że wyobraźnia zaczynała mu płatać figle. Podsuwała mu obrazy Kahlan rannej i cierpiącej. Myśl, że Kahlan jest sama i w tarapatach, sprawiała, że serce przyspieszało rytm, i budziła strach.

Wbrew woli Richarda napłynęły wspomnienia o tym, jak ją pobito niemal na śmierć. Odsunął na bok wszelkie sprawy i zabrał ją w góry, gdzie nikt ich nie mógł odnaleźć, żeby była bezpieczna i miała czas wydobrzeć. To lato - gdy Kahlan zaczęła odzyskiwać siły i zanim pojawiła się Nicci - było jednym z najwspanialszych w jego życiu. Nie potrafił zrozumieć, jak Cara mogła zapomnieć tak wspaniałe chwile.

Z przyzwyczajenia sprawdził, czy miecz luźno siedzi w pochwie, i otworzył skromne drewniane drzwi. Powitały go wilgotne powietrze i szarawy blask poranka. Z okapu ściekała woda i ochlapywała mu buty. Zimna mżawka kłuła w twarz. Przynajmniej nie była to już ulewa. Ciężkie chmury wisiały nisko, kryjąc czuby dębów, rosnących za niewielkim pastwiskiem, gdzie nad lśniąca od wilgoci trawą niczym duchy snuły się kłęby mgły. Wśród masywnych, sękatych pni czał się gęsty mrok.

Richard był zły, że akurat teraz musiało padać. Gdyby nie deszcz, miałby większe szansę. No ale nic straconego. Jakieś ślady zawsze zostają. Deszcz może utrudnić ich odczytanie, ale nawet taka ulewa nie zmyje wszystkich. Richard dorastał, tropiąc w lasach zwierzęta i ludzi. I w deszczu potrafi iść tropem. To trudniejsze, bardziej czasochłonne i wymaga baczniejszej uwagi - ale na pewno da sobie radę.

Wtem zrozumiał. Kiedy odnajdzie trop Kahlan, zdobędzie dowód, że ona naprawdę istnieje. Cara i Nicci nie będą już miały wyboru - będą musiały mu uwierzyć.

Każdy zostawia charakterystyczne dla siebie ślady. Znał te pozostawiane przez Kahlan. Wiedział, którą drogą przyszli. Będą tam, widoczne dla wszystkich, ślady nie tylko jego i Cary, ale także Kahlan. Poczul ulgę, a zarazem nadzieję. Jak tylko znajdzie wyraźne tropy i pokaże je Nicci i Carze,

to już nie będą się mogły z nim sprzeczać. Pojmą, że to nie był sen i że naprawdę stało się coś bardzo złego. Będzie mógł iść śladami Kahlan od obozu i odnajdzie ją. Deszcz spowolni jego wysiłki, ale go nie powstrzyma, a być może Nicci zdoła pomóc, sprawi, że poszukiwania będą trwały krócej.

Dostrzegli go kręcący się w pobliżu żołnierze i przybiegli. Prawdę powiedziawszy, nie byli to regularni żołnierze. Byli to woźnice, młynarze, cieśle, kamieniarze, farmerzy i kupcy, trudzący się całe życie pod uciskiem Ładu, usiłujący związać koniec z końcem i utrzymać rodzinę. Dla większości z nich życie w Starym Świecie oznaczało życie w strachu. Każdy, kto się ośmielił powiedzieć coś przeciwko metodom Ładu, zostawał raz-dwa aresztowany, oskarżony o nawoływanie do buntu i stracony. Oskarżenia i aresztowania - słuszne lub nie - trwały bez przerwy. Taka rychliwa „sprawiedliwość” utrzymywała ludność w posłuchu i pokorze.

Nieustanna indoktrynacja - zwłaszcza młodych - doprowadziła do tego, że znaczna część ludności fanatycznie wierzyła w normy i zasady Ładu. Dzieciom od urodzenia wpajano, że myślenie o sobie jest grzechem i że gorąca wiara w bezinteresowne poświęcenie się dla większego dobra jest jedynym sposobem na pośmiertne trwanie w blasku Stwórcy i jedyną drogą uniknięcia skazania na wieczne przebywanie w mrokach zaświatów, na łasce bezlitosnego Opiekuna. Myślenie o innych normach i zasadach było złem i grzechem.

Żarliwi wyznawcy aż za bardzo pragnęli, żeby wszystko zostało po staremu. Obietnica podzielenia się bogactwami ze zwykłymi ludźmi sprawiała, że pobożni zwolennicy Ładu bezustannie czekali na należną im część krwawicy innych, na ich część majątku grzeszników, którzy - jak ich uczono - byli przecież samolubnymi krwiopijcami, a co za tym idzie i grzesznikami, którzy sobie zasłużyli na swój los.

To spośród owych prawomyślnych wywodzili się młodzi ludzie - ochotnicy zaciągający się do armii, pragnący brać udział w szlachetnej walce zdławienia niewiernych, ukarania nikczemników, skonfiskowania grzesznie zdobytych majątków. Usankcjonowanie grabieży, brutalności i gwałtów spowodowało pojawienie się bezwzględного i bestialskiego fanatyzmu. Powstała armia zbirów.

Tacy byli żołnierze Imperialnego Ładu, którzy wdarli się do Nowego Świata i teraz grasowali - prawie nie napotykać oporu - po ojczystych

ziemiach Richarda i Kahlan.

Świat znalazł się na krawędzi mrocznych czasów.

Ann wierzyła, że Richard urodził się po to, żeby walczyć z owym zagrożeniem. Wierzyła, jak wielu innych, że proroctwo głosi, iż wolni ludzie mają szansę zwyciężyć w tej walce tylko wtedy, kiedy Richard będzie im przewodził.

Ci stojący przed nim ludzie przejrzeni puste idee i czcze obietnice Ładu; pojęli, czym Ład jest w istocie - tyranią. To uczyniło z nich bojowników walczących o wolność.

Spokój wczesnego poranka zakłóciły powitalne i radosne okrzyki. Otoczyli Richarda i mówili jednocześnie - pytali, jak się czuje, czy jest już zdrowy. Wzruszyło go to szczere zatroskanie. Richard, choć tak się spieszył, uśmiechał się do nich i witał z tymi, których znał z Altur'Rang. Właśnie takiego spotkania oczekiwali.

Richard pracował z niektórymi z nich, innych znał; wiedział też, że jest dla nich symbolem wolności - lordem Rahlem z Nowego Świata, lordem Rahlem z krain wolnych ludzi. Przekonał ich, że i dla nich jest to możliwe. Ukazał, jak mogliby żyć. Siebie samego uważał w duchu za takiego samego leśnego przewodnika, jakim zawsze był - chociaż ogłoszono go Poszukiwaczem i władał imperium D'Hary. Wiele przeżył, od kiedy opuścił rodzinne strony, lecz pozostał sobą, nie zmienił przekonań. Niegdyś przeciwstawiał się łobuzom, teraz - armiom. Skala była odmienna, lecz zasady te same. W tej chwili jednak zależało mu przede wszystkim na odszukaniu Kahlan. Bez niej życie i świat niewiele dlań znaczyły.

W pobliżu, wsparty o słupek, stał muskularny mężczyzna - nie uśmiechał się, lecz groźnie łypał - owa sroga mina trwale porała mu czoło bruzdami. Skrzyżował na piersi krzepkie ramiona i przyglądał się tym, co witali Richarda. Aten przebił się przez tłum, ściskając po drodze dłonie, i pospieszył ku pochmurnemu kowalowi.

- Victorze!

Groźna mina ustąpiła miejsca uśmiechowi od ucha do ucha. Uścisnęli sobie ręce.

- Nicci i Cara tylko dwa razy pozwoliły mi na ciebie rzucić okiem. Gdyby mnie do ciebie tego ranka nie wpuściły, tobym im okręcił dokoła szyi metalowe sztaby.

- Czy tego pierwszego ranka to byłeś ty? Minąłeś mnie, wychodząc z izby, i dotknąłeś mojego ramienia?

Victor z uśmiechem przytaknął.

- Tak. Pomagałem cię tu nieść. - Położył krzepką dłoń na ramieniu Richarda i potrząsnął nim na próbę. - Trochę blady, ale zdrowy. Mam lardo, doda ci sił.

- Ze mną w porządku. Może później. Dzięki, że mnie tu przyniosłeś. Widziałeś Kahlan, Victorze?

- Kahlan? - Kowal zmarszczył brwi.

- Moją żonę.

Victor patrzył, nie rozumiejąc. Na jego włosach widać było krople deszczu. Uniósł brew.

- Zdążyłeś się ożenić, jak odszedłeś, Richardzie?

Richard niespokojnie obejrzał się przez ramię na przyglądających mu się mężczyzn.

- Czy któryś z was widział Kahlan?

Jedni patrzyli nań bez wyrazu, inni wymieniali zdumione spojrzenia. Zapanowała cisza. Nie mieli pojęcia, o kim mówi. Wielu z nich znało Kahlan i powinni ją pamiętać. Teraz kręcili głowami, wzruszali ramionami.

Richard podupadł na duchu; sprawa była poważniejsza, niż przedtem sądził. Myślał, że to się przydarzyło wyłącznie z pamięcią Nicci i Cary. Znów spojrzał na zachmurzoną twarz kowala.

- Mam kłopoty, Victorze, i brak mi czasu, żeby to wytłumaczyć. Nawet nie wiem, jak mógłbym to wyjaśnić. Potrzebna mi pomoc.

- Co mogę zrobić?

- Zaprowadź mnie tam, gdzie walczyliśmy. Victor kiwnął głową.

- Nie ma sprawy. - Odwrócił się i ruszył ku mrocznym lasom.

ROZDZIAŁ 4

Nicci, idąca za kilkoma żołnierzami przez gęsty las, odsunęła dłonią mokrą balsamiczną gałąź. Znalazłszy się na krawędzi gęsto zalesionej grani, ruszyli w dół szlakiem wijącym się po stromym stoku. Śliskie głązy dodatkowo utrudniały zejście. To była trasa krótsza od tej, którą nieśli rannego Richarda do opuszczonej farmerskiej chaty. U stóp stoku ruszyli przez odsłoniętą spękaną skałę, wśród głazów, omijając obrzeże bagniska. W stojącej wodzie tkwiła grupa potężnych, uschniętych, wysrebrzonych przez niepogody cedrów.

Spływające z porośniętych mchem skarp strumyczki żłobiły głębokie bruzdy w gliniastym podłożu, odsłaniając ostry granit. Po kilku dniach nieustannego deszczu w zagłębieniach terenu potworzyły się bajorka. Deszcz nappełnił lasy miłą wonią wilgotnej gleby, lecz w wykrotach butwiały rośliny, wydzielając niemiły odór.

Pospieszny marsz rozgrzał Nicci, a mimo to palce i uszy drętwiały jej od chłodnego, wilgotnego powietrza. Wiedziała, że tak daleko na południu Starego Świata gorąco i wilgotna duchota szybko powróci i sprawi, że zatęskni za urokiem chłodniejszej pogody.

Nicci dorastała w mieście i niewiele czasu spędzała pod gołym niebem. W Pałacu Proroków zaś, gdzie spędziła większość życia, „pod gołym niebem” oznaczało wypielegnowane łąki i ogrody na wyspie Haisband. Otwarta przestrzeń zawsze się jej wydawała czymś nieprzyjaznym, zawadą pomiędzy jednym a drugim miastem, czymś, czego należy unikać. Miasta i budowle były schronieniem przed tajemniczymi zagrożeniami odludzi i miejscem, w którym się trudziła dla poprawy ludzkiej doli. Ta praca nie miała końca. Lasy i pola jej nie interesowały. Zanim Nicci poznała Richarda, nie ceniła piękna wzgórz, drzew, strumieni, jezior i gór. Potem nawet i miasta miały urok nowości. Richard sprawił, że życie stało się piękne i wspaniałe.

Ostrożnie szła w górę po śliskiej czarnej skale niewielkiego wzniesienia. W końcu zobaczyła resztę grupy spokojnie czekającą pod rozłożystymi konarami starego klonu. Nieco dalej przykucnął Richard, wpatrując się w spłachetek ziemi. Wreszcie wstał i zapatrzył się w mrok leżących dalej lasów. Cara, nigdy nie odstępujący go cień, czekała przy nim. Czerwony skórzany

uniform Mord-Sith na tle kojącej zieleni sprawiał wrażenie plamy krwi.

Nicci rozumiała żarliwość, z jaką Cara chroniła Richarda, choć była niegdyś jego wrogiem. Richard nie tylko zyskał ślepe oddanie Cary, kiedy stał się lordem Rahlem; co ważniejsze - zasłużył na jej szacunek, zaufanie i lojalność. Jej czerwony uniform miał onieśmielać, stanowić groźne ostrzeżenie dla tych, którzy by mogli wpaść na pomysł zaszkodzenia mu. I nie była to czcza groźba. Mord-Sith od dzieciństwa szkolono tak, żeby się stały bezlitosne. Chociaż ich głównym zadaniem było chwytanie obdarzonych darem i wykorzystywanie ich mocy przeciwko nim samym, równie dobrze mogły wykorzystać swoje umiejętności przeciwko każdemu przeciwnikowi. Ci, którzy Carę znali i ufali jej, odruchowo trzymali się na większy dystans, kiedy przywdziewała czerwony skórzany uniform. Nicci wiedziała, ile znaczyło dla Cary wyzwolenie od pozbawionej litości, wpędzającej w obłęd służby oraz to, że znowu nauczyła się cenić życie.

Z oddali - poprzez cienie i mroki, wśród ociekających wilgocią liści - niosło się chrypliwe krakanie kruków. Nicci wyczuła duszący odór gnijącej padliny. Rozejrzała się, szukając charakterystycznych punktów, jak ją nauczył Richard - u podstawy skalnej wychodni zauważyła sosnę, którą zapamiętała, bo drzewo miało odgałęzienie pnia wyginające się nad ziemią w siedzisko. Rozpoznała miejsce - za zasłoną lian i zarośli znajdowało się pole potyczki.

Zanim Nicci zdążyła do niego podejść, Richard zanurkował pod nisko wiszące gałęzie i ruszył w zarośla. Wynurzył się za nimi, machał rękami nad głową i krzyczał jak szaleniec. W gęstym mroku pod potężnymi świerkami załopotwały skrzydła - w powietrze uniosły się setki wielkich czarnych ptaszysk, głośnym skrzeczeniem protestując przeciwko zakłócaniu im uczy. Początkowo wyglądało na to, że kruki zamierzają walczyć o pole bitewne, lecz kiedy rozległ się charakterystyczny szczęk miecza Richarda, odleciały w mrok pomiędzy drzewami, jakby wiedziały, że to oręż, i tego właśnie miecza szczególnie się obawiały. Ich głuche, gniewne krakanie ucichło we mgle. Richard przez chwilę patrzył gniewnie za nimi, a potem wsunął miecz do pochwy.

Wreszcie odwrócił się ku nim.

- Nie wchodźcie teraz na ten teren. - Jego głos poniósł się echem wśród wysokich sosen. - Czekać tam, gdzie jesteście.

Cara, uznając się za autorytet w sprawach bezpieczeństwa Richarda, nie posłuchała. Poszła za nim na niewielką polankę.

Trzymała się w pobliżu, ale nie wchodziła mu w drogę. Nicci szła wśród młodych drzewek i mokrych od deszczu paproci, minęła milczących mężczyzn, aż dotarła do niewielkiej kępy brzoź rosnących na szczycie pagórka wyrzuszającego się obok polanki. Setki czarnych oczu osadzonych w białej korze patrzyły, jak idzie wśród nich i przystaje u szczytu skarpy. Oparła dłoń na łuszczącej się korze jednej z brzoź i zauważyła tkwiący w pniu bełt. Z innych pni sterczały strzały.

Na polance u stóp pagórka leżeli zabici żołnierze. Odór zatykał nos. Kruki zostały przepędzone, ale muchy nie bały się miecza i dalej ucztowały i składały jaja. Pierwszy łęg larw much plujek już przystąpił do dzieła.

Wielu poległych nie miało głów lub kończyn. Niektórych częściowo skrywała stojąca woda bajor. Licznymi już się zajęły kruki i inne zwierzęta, co ułatwiły im ziejące głębokie rany. Grube skórzane zbroje, ciężkie kosmate futra, nabijane ćwiekami pasy, kolczugi i groźny oręż na nic były teraz owym żołnierzom. Odzienie nadal się starało osłaniać rozdęte ciała, jakby chcąc chronić godność tam, gdzie już nie mogło jej być. To wszystko - ciała i kości poległych, ich fanatyczna wiara - zostanie i zgnije w tej zapomnianej części lasów.

Czekając pośród drzew, Nicci obserwowała, jak Richard pobieżnie przygląda się poległym. Owego ranka zdążył zabić bardzo wielu żołnierzy, zanim pojawił się Victor ze swoimi i ruszył mu na pomoc. Nie miała pojęcia, jak długo walczył z tą tkwiącą mu w piersi strzałą, lecz takiej rany nikt długo nie wytrzyma.

Blisko dwa tuziny wojaków, częściowo osłoniętych konarami potężnego klonu, otuliło się ciasno pelerynami, chroniąc się przed chłodem, i czekało. W milczącym lesie chyliły się ciężkie od wilgoci gałęzie sosen i świerków, krople skapywały z nich na przesiąkniętą wodą ziemię. Tu i tam podnosiły się przygięte konary klonów, dębów i wiązów, kiedy powiew wiatru strząsnął z nich wodę - sprawiało to wrażenie, że drzewa machają do ludzi.

Za bajorem stojącej wody Richard znów przykucnął i uważnie wpatrywał się w ziemię. Nicci nie mogła pojąć, czego szuka.

Żaden z czekających pod klonem mężczyzn najwyraźniej nie miał ochoty ponownie oglądać pola zaciętej walki i patrzeć na poległych. Woleli czekać

tam, gdzie byli. Zadawanie śmierci było dla nich czymś sprzecznym z naturą i trudnym. Walczyli o to, co uważali za słuszne, i robili to, co musieli, lecz nie delectowali się tym. Dobrze to o nich świadczyło. Pogrzebali trzech poległych towarzyszy, ale nie pochowali ciał blisko setki zabitych żołnierzy Ładu, którzy by ich z pewnością uśmiercili, gdyby nie Richard.

Nicci pamiętała swoje zdumienie, kiedy rankiem dotarła w pobliże pola walki, zobaczyła Richarda wśród tylu poległych i początkowo nie pojęła, co ich właściwie zabiło. Potem spostrzegła, jak Richard płynnie krąży pośród tych żołdaków, zadając ciosy niczym w tańcu. To był urzekający widok. Każde cięcie lub pchnięcie oznaczało śmierć wroga. Roilo się tam od żołnierzy - wielu oszołomionych tym, że takie mnóstwo ich pobratymców wali się na ziemię. W większości byli to muskularni młodzieńcy, którym krzepa zawsze do tej pory dawała przewagę; uwielbiali zastraszać ludzi. Miotali się, usiłując trafić Richarda, lecz zawsze uderzali tam, skąd właśnie zniknął. Jego płynne ruchy chroniły go przed ich nieudolnymi atakami. Zaczynali się bać, że to duchy z nimi walczą. I może rzeczywiście tak było. Mimo wszystko było ich zbyt wielu jak na jednego człowieka, nawet jeżeli owym człowiekiem był Richard, uzbrojony w Miecz Prawdy. Wystarczyło, żeby któremuś z nich udało się go trafić toporem. Lub żeby któraś ze strzał trafiła w cel. Richard nie był ani niezwyciężony, ani nieśmiertelny.

Victor ze swoimi nadszedł w samą porę - parę chwil przed pojawieniem się Nicci. Jego ludzie włączyli się do walki, odciągając uwagę napastników od Richarda. Nicci zakończyła sprawę, porażając mocą tych żołnierzy Ładu, którzy jeszcze się trzymali na nogach. Potem - obawiając się nie tylko nadciągającej burzy, ale i napastników, którzy przecież mogli się licznie pojawić - nakazała ludziom Victora, żeby zanieśli Richarda przez las do samotnej farmerskiej chaty. W trakcie tej pospiesznej ucieczki do schronienia mogła dlań uczynić tylko jedno - wsaczyć w niego odrobinę własnej Han w nadziei, że to go utrzyma przy życiu, dopóki nie będzie w stanie zrobić więcej. Nicci odpędziła budzące lęk upiorne wspomnienie.

Przyglądała się, jak Richard metodycznie bada pole walki, nie zwracając uwagi na poległych, za to szczególnie bacznie oglądając ziemię. Nie miała pojęcia, co chciał odnaleźć. Teraz zaczął przeczesywać teren, coraz szerszym kręgiem opasując polankę. Niekiedy powolutku posuwał się na czworakach.

Późnym rankiem Richard zniknął w lesie.

Victorowi znudziło się w końcu takie milczące czekanie i ruszył przez rozkołysane deszczem paprocie ku Nicci.

- Co się dzieje? - zapytał cicho.

- Szuka czegoś.

- Tyle to sam wiem. Miałem na myśli tę sprawę z żoną. Nicci westchnęła ze znużeniem.

- Nie mam pojęcia.

- Ale się czegoś domyślasz.

Przez chwilę widziała wśród drzew Richarda.

- Był poważnie ranny. Czasem w takim stanie zdarzają się majaki.

- Ale już jest uleczony. Nie wygląda na chorego. We wszystkich pozostałych sprawach zachowuje się normalnie, a nie jak ktoś, kto ma przywidzenia. Nigdy nie widziałem, żeby Richard się tak zachowywał.

- Ja również - przyznała Nicci. Wiedziała, że gdyby Victor się o niego nie martwił, nigdy by jej czegoś takiego nie powiedział. - Uważam, że powinniśmy mu teraz okazywać zrozumienie i cierpliwość i zobaczyć, czy sam tego problemu jakoś nie rozwiąże. Przez kilka dni był nieprzytomny. Ocknął się dopiero przed paroma godzinami. Dajmy mu trochę czasu, żeby się otrząsnął.

Victor przemyślał to, co mu powiedziała, na koniec westchnął i kiwnął głową na znak zgody. Była zadowolona, iż nie zapytał, co zrobią, jeżeli Richard nie pozbędzie się urojeń.

Poprzez mżawkę Nicci dojrzała, że Richard wraca z mrocznego lasu. Razem z Victorem ruszyli ku niemu przez pole bitewne. Mina chłopaka z pozoru wyrażała jedynie skupioną uwagę, ale Nicci znała go na tyle, by wiedzieć, że coś jest nie całkiem w porządku.

Podszedł do nich, otrzepał kolana z liści, mchu i gałązek.

- Ci żołnierze, Victorze, nie szli, żeby odbić Altur'Rang.

- Nie? - zdumiał się kowal.

- Nie. Do tego potrzebowaliby tysiący, a może i dziesiątków tysięcy ludzi. Tej grupie żołnierzy na pewno nie wyznaczono takiego zadania. No a poza tym, gdyby im o to chodziło, to po co brnęli przez chaszczę tak daleko od Altur'Rang?

Victor zrobił minę świadcząca, że Richard chyba ma rację.

- No to co według ciebie tu robili?

- Szli przez lasy jeszcze przed brzaskiem. Przypuszczam, że byli na zwiadach. - Richard wskazał gestem las. - O, tam biegnie droga. Nadeszliśmy nią z południa. Sądziłem, że obóz na noc rozbiliśmy wystarczająco daleko od niej, żeby uniknąć kłopotów. Najwyraźniej się myliłem.

- Ostatnie wieści mówiły, że jesteś na południu - rzekł Victor. - Drogą szybciej się podróżuje, więc szliśmy ku niej na przełaj, żeby z niej skorzystać.

- To ważna droga - dodała Nicci. - Jedna z pierwszych arterii zbudowanych przez Jaganga i jedna z głównych. Pozwoliło mu to szybko przemieszczać wojska. Dzięki wybudowanym przez siebie drogom rozciągnął panowanie Imperialnego Ładu na cały Stary Świat.

Richard zapatrzył się w stronę drogi, zupełnie jakby ją widział przez ścianę drzew i pnączy.

- Taka solidna droga pozwala mu też dowozić zaopatrzenie. Wydaje mi się, że w tym wypadku o to właśnie szło. Znaleźli się w pobliżu Altur'Rang i wiedzieli, że wybuchł tutaj bunt, więc zapewne obawiali się ataku. Nie gromadzili się tu, żeby odbić Altur'Rang, więc zakładam, że mieli inne ważne zadanie: ochronę idących na północ dostaw dla wojsk Jaganga. Imperator musi stłumić resztki oporu w Nowym Świecie, zanim rewolta w rodzinnych stronach pomiesza mu szyki. - Spojrzał na Victora. - Myślę, że ci żołnierze byli na zwiadach i oczyszczali teren przed nadejściem konwoju z dostawami. A przed świtem wyruszyli, żeby łatwiej wyłapać śpiących buntowników.

- Takich jak my. - Victor skrzyżował muskularne ramiona, najwyraźniej niezadowolony. - Nie przyszło nam wcale do głowy, że w tych lasach mogą być jacyś żołnierze. Spaliśmy jak niemowlęta. Gdyby nie to, że tu byłeś i uderzyłeś na nich, toby nas zdybali śpiących. I wtedy to my bylibyśmy pokarmem much i kruków, a nie oni.

Umilkli, dumając o tym, co się mogło wydarzyć.

- Czy słyszałeś jakieś wieści o idących na północ dostawach? - zapytał Richard.

- Pewnie - odparł Victor. - Dużo się gada o wielkiej ilości dóbr słanych na północ. Niektórym konwojom towarzyszą nowe oddziały maszerujące na wojnę. Całkiem prawdopodobne, że było, jak mówisz, i oni robili zwiad przed takim konwojem.

Richard przykucnął i wskazał coś.

- Widzicie te ślady? Są trochę późniejsze niż bitwa. To była spora grupa: najprawdopodobniej żołnierze, którzy szukali tych poległych. Dotarli aż tutaj. Te oto krawędzie śladów wskazują, że zawrócili. Wygląda to tak, jakby przyszedli tu, zobaczyli zabitych i odeszli. Możecie się z tych tropów zorientować, że odchodzili w pośpiechu. - Wstał i oparł dłoń na głowni miecza. - Zaatakowaliby nas, gdybyście mnie stąd nie zabrali zaraz po walce. Na szczęście się wycofali i nie przeszukiwali dalej lasów.

- Jak myślisz, czemu tak zrobili? - spytał Victor. - Czemu tylko rzucili okiem na dopiero co zabitych i zaraz odeszli?

- Pewnie się obawiali, że w zasadzce czeka duży oddział, więc szybko się wycofali, żeby podnieść alarm i zapewnić porządną ochronę konwojowi. Ponieważ nawet nie pochowali swoich poległych, uważam, że przede wszystkim musieli bezpiecznie przeprowadzić konwój przez te okolice.

Victor łypnął groźnie na ślady i ku martwym żołnierzom.

- No cóż - orzekł, ocierając dłonią krople deszczu z włosów - przynajmniej możemy wykorzystać tę sytuację. Jagang jest zajęty wojną, a to nam daje czas, żeby pozbawić tu Ład wsparcia.

Richard potrząsnął głową.

- Jagang może sobie być zajęty wojną, ale to go nie powstrzyma przed zjawieniem się tutaj i zrobieniem porządku. Jedno wiemy na pewno o Nawiedzającym Sny: niszczy wszelki opór.

- Richard ma rację - wtrąciła Nicci. - Nie wolno lekceważyć Jaganga, uważać go za prostaka. Co prawda istotnie jest okrutny, ale to bardzo inteligentna osoba i znakomity taktik. Przez te lata zdobył wielkie doświadczenie. Wątpliwe, by się go udało skłonić do pochopnego działania. Potrafi być zuchwały, jeżeli wszystko wskazuje, że zuchwałość się opłaci, lecz zdecydowanie woli dokładnie przemyślane kampanie. Jego działaniem kierują solidne przesłanki, a nie urażona duma. Chętnie pozwoli ci myśleć, że wygrałeś, pozwoli ci mieć złudzenia, a sam będzie skrupulatnie planować, jak ci wypruć flaki. Cierpliwość to jego najgroźniejsza cecha. Kiedy atakuje, nie obchodzi go, jakie straty poniesie jego armia, dopóki wie, że zostanie mu aż nadto żołnierzy, by zwyciężyć. Ale w całej swojej karierze, a przynajmniej do ataku na Nowy Świat, ponosił o wiele mniejsze straty niż jego wrogowie. A to dlatego, że za nic ma naiwne zasady klasycznych bitew, wojsk

walczących na polu chwały. Ma zwyczaj atakować tak przeważającymi siłami, że bez trudu zgniata przeciwnika. Wszem i wobec wiadomo, co jego hordy wyprawiają z pokonanymi. Wieść o ich nadciąganiu wzbudza paniczny strach. Nikt zdrowy na umyśle nie chce wpaść żywcem w łapy ludzi Jaganga, dlatego też wielu wita go z otwartymi ramionami, dziękując za wyzwolenie i błagając, żeby się im pozwolił nawrócić i przyłączyć do Ładu.

Pod drzewami słychać było jedynie łagodny szum deszczu. Victor wierzył jej słowom - przecież była świadkiem takich wydarzeń.

Świadomość, że niegdyś była związana z tą niesłuszną, wypaczoną sprawą, że podzielała te nieracjonalne zasady, degradujące ludzi i czyniące z nich okrutnych dzikusów, sprawiała, że Nicci czasami pragnęła umrzeć. I na pewno zasłużyła na śmierć. Teraz jednak miała jedyną w swoim rodzaju szansę: mogła pomóc pokonać Ład. I ten właśnie cel - naprawienie zła - dodawał jej siłę, skłaniał do działania.

- To tylko kwestia czasu, kiedy Jagang ruszy, żeby odbić Altur'Rang - przerwał ciszę Richard.

Victor kiwnął głową.

- Tak. Jeżeli Jagang sądzi, że rebelia ogranicza się do Altur'Rang, to cały wysiłek skieruje na odzyskanie miasta i będzie do tego dążył tak bezwzględnie, jak mówi Nicci, ale my już zadamy, żeby mu się nie udało. - Uśmiechnął się twardo do Richarda. - Rozniecemy płomień w każdym mieście i miasteczku, w którym ludzie są gotowi zrzucić okowy. Dmiemy w miechy, by płomień buntu i wolności rozprzestrzeniły się tak szeroko, żeby Jagang nie zdołał ich stłumić.

- Nie łudź się - ostrzegł go Richard. - Altur'Rang to jego siedziba. To tutaj zaczęła się rewolta przeciwko Ładowi. Ludowe powstanie w mieście, w którym Jagang budował swój wspaniały pałac, podważa wszelkie nauki Imperialnego Ładu. To miało być miasto i pałac, z którego Jagang i arcykapłani Bractwa Ładu mieli po wsze czasy władać ludźmi w imieniu Stwórcy. Lud zaś zburzył ów pałac i wybrał wolność. Jagang nie puści płazem takiego zamachu na swoją władzę. Musi stłumić rebelię właśnie tutaj, jeżeli chce, żeby Ład przetrwał i rządził Starym Światem. A także i Nowym. To będzie dla niego zasadnicza sprawa, bo wszelki opór przeciwko zasadom Bractwa Ładu uważa za bluźnierstwo wobec Stwórcy. Nie zawaha się rzucić na Altur'Rang swoich najbezwzględniejszych i najbardziej doświadczonych

oddziałów. Zechce uczynić z was krwawą i okrutną nauczkę dla innych. I spodziewałbym się takiego ataku raczej wcześniej niż później.

Victor sprawiał wrażenie zaniepokojonego, lecz nie całkiem zaskoczonego.

- I pamiętaj - dodała Nicci - że wśród tych, którzy będą wspomagać przywrócenie władzy Ładu, znajdą się członkowie Bractwa Ładu, którym udało się uciec. Mający dar nie są zwykłymi wrogami, a dopiero co zaczęliśmy ich wyłapywać.

- To wszystko prawda, ale nie ukształtujesz żelaza według swojej woli, póki go odpowiednio nie rozgrzejesz. - Victor wyzywająco potrząsnął pięścią. - Przynajmniej zaczęliśmy to, co należy zrobić.

Nicci potwierdziła te słowa skinieniem głowy i leciutkim uśmiechem, chcąc choć trochę rozjaśnić mroczny obraz, który pomogła odmalować. Wiedziała, że Victor ma rację, że cała sprawa musiała się gdzieś i kiedyś rozpocząć. Już przyczynił się do rozbudzenia tęsknoty za wolnością w ludziach, którzy porzucili wszelką nadzieję. Po prostu nie chciała, żeby zapomnieli o trudnościach, jakie ich czekają.

Powinna czuć ulgę, że Richard tak rzeczowo rozprawia o poważnych sprawach, lecz za dobrze go znała. Kiedy Richard poświęcił się czemuś, co było dlań najistotniejsze, w razie potrzeby mógł się zajmować pobocznymi sprawami, lecz ogromnym błędem byłoby uznać, że to go choć trochę odciąga od zasadniczego celu. I faktycznie - przestrzegł Victora krótko i zwięźle, żeby jak najszybciej mieć to z głowy. Wyraz jego oczu dobitnie świadczył, że jest pochłonięty o wiele dlań ważniejszymi sprawami. Wspaniałe szare oczy spojrzały w końcu na Nicci.

- Nie byłeś z Victorem i jego ludźmi?

W nagłym przebłysku pojęła, dlaczego żołnierze i ich konwój z zaopatrzeniem byli dlań tacy ważni - stanowili element większej całości. Starał się zrozumieć, czy i jak to się łączyło z urojeniami, których się nie chciał pozbyć. Tę właśnie kwestię starał się rozstrzygnąć.

- Nie - odparła Nicci. - Nie dostaliśmy żadnej wiadomości i nie wiedzieliśmy, co się z tobą dzieje. Pod moją nieobecność Victor wyruszył, żeby cię odszukać. Wkrótce potem wróciłam do Altur'Rang. Dowiedziałam się, dokąd powędrował Victor, i postanowiłam do niego dołączyć. Pod koniec drugiego dnia podróży byłam jeszcze spory kawałek w tyle, więc trzeciego

dnia wyruszyłam przed świtem, z nadzieją, że go dogonię. Po blisko dwóch godzinach znalazłam się na tyle blisko, że usłyszałam odgłosy walki. Dotarłam tu na sam koniec potyczki.

Richard w zamyśleniu skinął głową.

- Obudziłem się i Kahlan nie było. Ponieważ byliśmy blisko Altur'Rang, od razu pomyślałem, że jeżeli cię odnajdę, to pomożesz mi odszukać Kahlan. I właśnie wtedy usłyszałem idących przez las żołnierzy. - Wskazał ku wzniesieniu. - Usłyszałem, jak nadchodzą pomiędzy tymi drzewami. Mrok mi sprzyjał. Jeszcze mnie nie dostrzegli, więc mogłem ich zaskoczyć.

- Czemu się nie ukryłeś? - zapytał Victor.

- Kolejni nadchodzili stąd, a pozostali z tamtej strony. Nie miałem pojęcia, ilu ich jest, lecz taki szyk wskazywał, że przeczesują las. Krycie się byłoby ryzykowne, a nie mogłem uciekać, póki istniała możliwość, że Kahlan jest gdzieś w pobliżu i mogą się na nią natknąć. Gdybym się ukrył i czekał, czy mnie ewentualnie znajdą, straciłbym sposobność zaskoczenia ich. Co gorsza, zbliżał się świt. Mrok i zaskoczenie działały na moją korzyść, nie miałem więc chwili do stracenia. A gdyby się okazało, że pojмали Kahlan, musiałbym ją odbić.

Nie odezwali się słowem. Richard spojrział teraz na Carę.

- A gdzie ty byłaś?

Zamrugła ze zdziwieniem. Musiała chwilę pomyśleć, zanim odpowiedziała:

- Nie jestem całkiem pewna. Richard zmarszczył brwi.

- Jak to nie jesteś pewna? Co pamiętasz?

- Miałam wartę. Sprawdzałam coś w pewnej odległości od naszego obozu. Coś musiało zwrócić moją uwagę i upewniałam się, czy teren jest czysty. Dostrzegłam pasemko dymu i właśnie chciałam ruszyć w tamtym kierunku, kiedy usłyszałam odgłosy walki.

- I pospiesznie zawróciłaś?

Cara machinalnie przerzuciła do przodu swój warkocz. Najwyraźniej miała kłopoty z przypomnieniem sobie tego.

- Nnnie. - Nachmurzyła się, przywołując wspomnienia. - Wiedziałam, że cię zaatakowali, bo słyszałam szcęk oręża i krzyki umierających. Akurat wtedy uświadomiłam sobie, że to pewnie dym z obozowiska Victora i jego ludzi. Wiedziałam, że do nich mam bliżej niż do ciebie, więc uznałam, że

lepiej będzie ich zbudzić i przyprowadzić.

- To brzmi sensownie - orzekł Richard. Ze znużeniem startł z twarzy krople deszczu.

- Faktycznie - odezwał się Victor. - Cara była tuż-tuż, kiedy i ja usłyszałem szczęk oręza. Pamiętam to, bo leżałem w ciszy, już nie śpiąc.

Richard zmarszczył brwi i spojrzał na niego.

- Nie spałeś?

- Już nie. Obudziło mnie wycie wilka.

ROZDZIAŁ 5

Richard z nagłym zainteresowaniem nachylił się ku kowalowi.

- Słyszałeś wycie wilków?

- Nie - odparł po namyśle Victor. - Wył tylko jeden. Wszyscy troje czekali w milczeniu, a Richard wpatrywał się w dal, jakby usiłował dopasować elementy wielkiej układanki. Nicci obejrzała się przez ramię na towarzyszących im mężczyzn. Niektórzy ziewali. Część rozsiadła się na zwałonym pniu. Kilku rozmawiało. Pozostali oparli się o pnie sąsiednich drzew, skrzyżowali ramiona i czekali.

- To się nie wydarzyło tego ranka - wyszeptał do siebie Richard. - Kiedy się dziś budziłem i jeszcze na poły spałem, tak naprawdę przypominałem sobie to, co się stało owego ranka, kiedy zniknęła Kahlan.

- Poranka potyczki - poprawiła łagodnie Nicci.

Richard, zatopiony w myślach, zdawał się nie słyszeć jej uwagi.

- Z jakiegoś powodu musiałem sobie przypominać to, co się wydarzyło, kiedy się budziłem tamtego ranka. - Nagle się odwrócił i chwycił jej ramię. - Kiedy nieśliście mnie do farmerskiej chaty, zapiał kogut.

Nicci - zaskoczona nagłą zmianą tematu i nie mająca pojęcia, do czego Richard zmierza - wzruszyła ramionami.

- Chyba tak. Nie pamiętam. A co?

- Nie było wiatru. Pamiętam, że słyszałem pianie koguta i widziałem nad sobą nieruchome gałęzie drzew. W ogóle nie było wiatru. Dobrze pamiętam to nieruchome powietrze.

- Masz rację, lordzie Rahlu - wtrąciła Cara. - Pamiętam, że kiedy wbiegłam do obozu Victora, dym z ogniska bił prosto w górę, bo powietrze było zupełnie nieruchome. Myślę, że to dlatego mogliśmy z tak daleka usłyszeć szcęk stali i krzyki. Najłżejszy powiew nie tłumił tych odgłosów.

- Może ci się przyda i ta wiadomość - dodał kowal - że kiedy wnieśliśmy cię na farmę, kręciło się tam parę kur. I dobrze pamiętasz, że był tam kogut i piał. Chcieliśmy pozostać w ukryciu, póki Nicci cię nie uleczy, i przestraszyłem się, że ten kogut przyciągnie czyjąś uwagę, więc kazałem ludziom, żeby skręcili mu kark.

Richard wysłuchał Victora i znów zatonął w myślach. Postukiwał palcem

w dolną wargę i dumął nad kolejnym fragmentem układanki. Nicci pomyślała, że pewnie zapomniał o ich obecności. Pochyliła się ku niemu.

- No i?

Zamrugął i spojrzał na nią.

- Z całą pewnością przypomniałem sobie właśnie tamten poranek, kiedy się dziś budziłem. Przypomniałem sobie z jakiegoś powodu. Czasami tak robisz: przypominasz sobie coś z jakiegoś powodu albo dlatego, że było w tym coś dziwnego.

- Jaki to powód? - spytała Nicci.

- Wiatr. Tamtego ranka nie było wiatru. A pamiętam, że kiedy się wówczas obudziłem, w nikłym blasku przedświt widziałem poruszające się gałęzie drzew, jak przy słabym powiewie.

Nicci speszyło to zainteresowanie wiatrem, niepokoiła się o stan umysłu Richarda.

- Spałeś, Richardzie, i właśnie zaczynałeś się budzić. Było ciemno. Pewnie ci się tylko wydawało, że widzisz ruch gałęzi.

- Może - powiedział.

- A może to nadchodzili żołnierze - podsunęła Cara.

- Nie. - Machnął ręką z irytacją. - To było trochę później, kiedy odkryłem, że nie ma Kahlan.

Widząc, że ani Cara, ani Victor nie mają zamiaru nic powiedzieć na ten temat, Nicci postanowiła trzymać język za zębami. Richard chwilowo odsunął na bok tę układankę. Spojrzał na nich z niezwykłą powagą.

- Muszę wam coś pokazać. Musicie jednak zrozumieć, choćbyście niewiele dostrzegli, że wiem, o czym mówię. Nie oczekuję, że uwierzycie mi na słowo, lecz powinniście wiedzieć, że mam w tych sprawach spore doświadczenie i że często korzystałem z tych umiejętności. Każdemu z was ufam w sprawach, w których macie doświadczenie. A to jest moja domena. Nie zamykajcie oczu na to, co chcę wam pokazać.

Nicci, Cara i Victor spojrzeli po sobie. Victor kiwnął Richardowi głową, stłumił niedowierzanie i rzekł do swoich ludzi:

- Miejcie otwarte oczy, chłopaki. - Zatoczył krąg dłonią. - Mogą się tam czaić żołnierze, więc siedźcie cicho i bądźcie czujni. Ferran, jeszcze raz sprawdź okolice.

Kiwnęli głowami. Niektórzy wstali, najwyraźniej zadowoleni, że

wreszcie mogą się czymś zająć, a nie tylko tak siedzieć w chłodzie i wilgoci. Czterej ruszyli pomiędzy drzewa, na wartę.

Ferran podał swój plecak i śpiwór jednemu z towarzyszy, a sam nasadził strzałę na cięciwę i cicho zniknął w zaroślach. Uczył się od Victora rzemiosła kowalskiego. Wychował się na farmie i miał wrodzony talent leśnego tropiciela. Uwielbiał Victora. Nicci wiedziała, że i Victor bardzo go lubi - i pewnie dlatego był dla niego bardziej surowy niż dla pozostałych. Kowal powiedział jej kiedyś, nawiązując do swojej surowości względem terminatora, że jeżeli chce się wykuć z żelaza coś naprawdę wartościowego, trzeba je najpierw porządnie obrobić i solidnie się nad nim napracować, żeby się pozbyło wszelkich niedoskonałości.

Od chwili potyczki Victor stale wystawiał posterunki i wysyłał zwiadowców. Ferran i kilku innych przeczesywali okoliczne lasy. Żaden z nich nie chciał ryzykować, że nagle uderzą na nich żołnierze wroga i przeszkodzą Nicci uleczyć Richarda. Kiedy już zrobiła dlań, co było w jej mocy, uleczyła paskudną ranę na nodze jednego z ludzi Victora i zajęła się lżejszymi ranami sześciu innych. Mało co spała od tego ranka, kiedy tak ciężko zraniono Richarda. Była wyczerpana.

Kowal przyglądał się, jak jego ludzie ruszają do przydzielonych im zadań. Po chwili klepnął Richarda w ramię.

- No, a teraz nam pokaż.

Richard poprowadził Carę, Victora i Nicci przez polankę zaścieloną martwymi żołnierzami, a potem przez las. Wybierał drogę pomiędzy drzewami, gdzie grunt był bardziej odsłonięty. Na szczycie niewielkiego wzniesienia zatrzymał się i przykucnął.

Richard w takiej pozycji - osłonięty peleryną, z mieczem w połyskliwej pochwie u boku, z odrzuconym w tył kapturem, z kosmykami wilgotnych włosów przyklejonymi do muskularnej szyi, z łukiem i kołczanem na lewym ramieniu - wyglądał jak król wojownik i zarazem leśny przewodnik z odległych krain, którym niegdyś był. Z wprawą przesunął palcami po sosnowych igłach, gałązkach, szczątkach liści, kory i po gliniastej ziemi. Ten prosty gest pozwolił Nicci pojąć, że to, co dla nich miało niewielkie znaczenie, przed nim otwierało zupełnie inny świat.

Richard przypomniał sobie, po co ich tu sprowadził, i dał znak, żeby kucnęli przy nim.

- O, tu. - Wskazał. - Widzicie? - Delikatnie przesunął palcami po ledwo widocznym wgłębieniu w leśnej ściółce. - To odcisk stopy Cary.

- I nic w tym dziwnego - odezwała się Cara. - To tędy szliśmy od drogi do miejsca, w którym rozbiliśmy obóz.

- Racja. - Richard wychylił się trochę, wskazując jeszcze coś. - A widzicie ten ślad i potem tamten? To kolejne twoje ślady, Caro. Widzisz, jak się układają, pokazując, gdzie chodziłaś?

Cara nieufnie wzruszyła ramionami.

- No pewnie.

Richard przesunął się w prawo. Oni też. Znów ostrożnie przesunął palcami po zagłębieniu, żeby łatwiej było im je zobaczyć. Nicci nie mogła dostrzec niczego w leśnej ściółce, dopóki on nie obrysował palcem konturu, jakby magicznie ujawniał ślad stopy. Kiedy już wskazał trop, Nicci wiedziała, co to takiego.

- To mój ślad - powiedział, wpatrując się w odcisk stopy, jakby się bał, że zniknie, kiedy odwróci wzrok. - Deszcz zmywał ślady, w jednych miejscach bardziej niż w innych, ale nie zatarł wszystkich. - Dwoma palcami ostrożnie podniósł z odbicia stopy mokry brązowy liść dębu. - Patrzcie, tu pod ciężarem mojej stopy pękły gałązki. Widzicie? Takich śladów deszcz nie zniszczy. - Spojrzał na nich, sprawdzając, czy bacznie go słuchają, a potem wskazał w mglisty mrok. - Możecie zobaczyć, jak moje ślady kierują się ku nam od tamtej strony, tak samo jak ślady Cary. - Wychylił się i szybko wskazał dwa ledwo widoczne zagłębienia w ściółce, żeby wiedzieli, o czym mówi. - Widzicie? Wciąż je widać.

- W czym rzecz? - spytał Victor.

Richard obejrzał się nań przez ramię, a potem wskazał jedno i drugie tropy.

- Widzicie odległość pomiędzy śladami moimi i Cary? Kiedy tu szliśmy, ja byłem po lewej, a Cara po mojej prawej stronie. Widzicie, jak daleko od siebie są nasze tropy?

- No i co z tego? - spytała Nicci, nasuwając na czoło kaptur peleryny, żeby osłonić twarz przed zimną mżawką; schowała ręce pod pelerynę i wsunęła je sobie pod pachy, żeby się ogrzały.

- Są tak daleko - wyjaśnił Richard - bo kiedy tu szliśmy, pomiędzy nami była Kahlan.

Nicci znowu wpatrzyła się w ziemię. Nie знаła się na tym, więc się specjalnie nie zdziwiła, że nie widzi żadnych innych śladów. Ale tym razem wydało się jej, że i Richard ich nie widzi.

- Możesz nam pokazać ślady Kahlan? - spytała.

Richard popatrzył na nią z takim napięciem, że aż jej dech zaparło.

- I w tym cały problem. - Uniósł palec tym samym gestem co Miecz Prawdy. - Jej ślady zniknęły. Deszcz ich nie zmył. Po prostu zniknęły... jakby ich tu nigdy nie było.

Victor cichutko westchnął. Cara dobrze ukryła wrażenie, jakie to na niej wywarło. Nicci wiedziała, że nie powiedział im jeszcze wszystkiego, więc starannie dobrała słowa:

- Chciałeś nam pokazać, że nie ma żadnych śladów tej kobiety?

- Otóż to. Szukałem. W rozmaitych miejscach znalazłem ślady swoje i Cary, lecz nie znalazłem nic tam, gdzie powinny być ślady Kahlan.

Zapadła pełna skrępowania cisza, której nikt nie miał odwagi przerwać. Wreszcie zdecydowała się na to Nicci.

- Musisz wiedzieć, dlaczego tak jest, Richardzie. Czy teraz wreszcie rozumiesz? To tylko twoje urojenie. Nie ma żadnych śladów, bo owa kobieta nie istnieje.

Kłęczał przed nią i wpatrywał się w nią. Miała wrażenie, że w szarych oczach widzi całą jego udrękę. Wszystko by dała, żeby móc go pocieszyć. Nie mogła jednak odpuścić. Zmusiła się do dalszych napomnień.

- Sam mówisz, że się znasz na tropieniu, a mimo to nie udało ci się odnaleźć żadnych śladów pozostawionych przez tę kobietę. To powinno zakończyć całą sprawę. Powinno cię wreszcie przekonać, że ona po prostu nie istnieje, że nigdy nie istniała. - Wyciągnęła rękę spod peleryny, z ciepłego ukrycia, i delikatnie położyła ją na ramieniu Richarda, żeby złagodzić twarde słowa. - Musisz dać temu spokój, Richardzie.

Odwrócił oczy, przygryzł wargę.

- To wcale nie jest takie proste, jak mówisz - stwierdził spokojnie. - Proszę, żebyście popatrzeli, tylko popatrzeli, i postarali się pojąć znaczenie tego, co wam pokazuję. Patrzcie, jaka odległość dzieli ślady Cary i moje. Czyż nie widzicie, że między nami szła trzecia osoba?

Nicci ze znużeniem potarła oczy.

- Ludzie nie zawsze idą blisko siebie, Richardzie. Może ty i Cara

wypatrywaliście oznak zagrożenia, a może zwyczajnie byliście zmęczeni i nie trzymaliście się blisko siebie. Na pewno istnieje mnóstwo prostych wyjaśnień tego faktu.

- Dwoje idących razem ludzi zwykle nie trzyma się tak daleko. - Wskazał za nich. - Spójrzcie na ślady, jakie zostawiliśmy, idąc tutaj. Cara znów szła po mojej prawej. Patrzcie, o ile bliżej są nasze ślady. To typowe dla idących obok siebie ludzi. Ty i Victor byliście za nami. Spójrz, jak blisko są wasze ślady. Te zaś są zupełnie inne. Czyż nie potrafisz z nich wyczytać, że dlatego są tak daleko od siebie, bo ktoś szedł między nami?

- Richardzie...

Nicci umilkła. Nie chciała się sprzeczać. Miała ochotę zamilczeć, pozwolić mu obstawać przy swoim, wierzyć w to, w co chciał wierzyć. A przecież milczenie tylko by podtrzymało kłamstwo, przydało życia urojeniom. Współczuła mu, chciała się opowiedzieć po jego stronie, lecz nie mogła dopuścić, żeby się nadal łudził, bo tylko wyrządziłaby mu jeszcze większą krzywdę. Nigdy by w pełni nie wyzdrowiał, gdyby nie stawiał czoła rzeczywistości. Tylko w jeden sposób mogła mu pomóc - umożliwiając dostrzeżenie prawdy.

- Richardzie - odezwała się łagodnie, starając się jak najdelikatniej ukazać mu ową prawdę - są tutaj ślady twoje i Cary. Dostrzegliśmy je, kiedy nam je wskazałeś. Żadnych innych nie ma. Też nam to pokazałeś. Skoro szła pomiędzy tobą a Cara, to dlaczego brak jej śladów?

Skulili ramiona, czekając w chłodzie i deszczu. Richard w końcu zebrał się w sobie i rzekł zdecydowanie:

- Uważam, że ślady Kahlan zatarto za pomocą magii.

- Magii? - zaniepokoiła się i wzburzyła Cara.

- Tak. Myślę, że ten, kto porwał Kahlan, magicznym sposobem zatartł jej ślady.

Wprawilo to Nicci w osłupienie, którego nie starała się ukryć. Victor popatrywał to na Nicci, to na Richarda.

- Czy to możliwe?

- Tak - upierał się Richard. - Kiedy pierwszy raz spotkałem Kahlan, dybał na nas Rahl Posepny. Był już blisko. Zedd, Kahlan i ja musieliśmy uciekać. Gdyby Rahl Posepny nas schwytał, byłoby po nas. Zedd to czarodziej, choć nie tak potężny jak Rahl Posepny, więc rzucił na szlak trochę magicznego

pyłu, żeby zakryć nasze ślady. Coś takiego musiało się stać i tutaj. Ten, kto porwał Kahlan, magicznym sposobem zatarł jej ślady.

Victor i Cara spojrzeli na Nicci, oczekując potwierdzenia. Kowal nie był zbyt obeznany z magią, Mord-Sith zaś nie lubiła jej i ostentacyjnie omijała szczegóły dotyczące jej działania; obydwójce uważali, że należy natychmiast wyeliminować każdego mającego dar, kto choć potencjalnie mógłby stanowić jakiegokolwiek zagrożenie dla lorda Rahla. Victor i Cara czekali, co Nicci ma do powiedzenia na temat magicznego zacierania śladów.

A Nicci się wahała. Była czarodziejką, lecz to wcale nie oznaczało, że wie wszystko o magii. Mimo to...

- Sądzę, że takie posłużenie się magią jest teoretycznie możliwe, ale nigdy nie słyszałam, żeby się przydarzyło. - Zmusiła się, by spojrzeć w pełne wyczekiwania oczy Richarda. - Mimo to myślę, że wyjaśnienie jest o wiele prostsze, i sądzą, że wiesz o tym, Richardzie.

Chłopak nie krył rozczarowania.

- Na pewno trudno jest pojąć, co mówię, komuś, kto nie jest obeznany z tropami i nie umie ich czytać. Lecz to nie wszystko. Mam wam coś jeszcze do pokazania i może to pomoże wam pojąć całą sytuację. Chodźcie.

- Lordzie Rahlu - odezwała się Cara, wpychając pod kaptur kosmyk mokrych włosów i unikając spojrzenia Richardowi w oczy - może przejdziemy do innych ważnych spraw?

- Mam coś ważnego do pokazania całej waszej trójce. Chcesz powiedzieć, że wolisz tu czekać, kiedy Victor i Nicci pójdą ze mną?

Spojrzała nań błękitnymi oczami.

- Jasne, że nie.

- To świetnie. Idziemy.

Już bez protestów pospieszyli za kierującym się ku północy, głębiej w las, Richardem. Przechodząc z głazu na głaz, przecinali szeroki jar, przez który płynęła mroczna, tworząca wiry woda. Nicci o mało się do niej nie ześliznęła. Richard wziął ją za rękę i pomógł przejść. Jego dłoń była ciepła, ale na szczęście nie rozpalona od gorączki. Chciałaby, żeby zwolnił i nie nadwierał słabego jeszcze zdrowia.

Łagodny przeciwległy stok odsłaniał się przed nimi stopniowo, kiedy wspinali się wśród mżawki i zwiastunów nisko wiszących kłębow mgły. Po lewej stronie wznosiło się ciemne skalne urwisko. Nicci słyszała plusk

spływającej zeń wody.

Weszli głębiej w kłębiącą się szarą mgłę i gęstwą zieleni; w powietrze uniosły się wielkie ptaki. Rozpostarły szeroko skrzydła i cicho zniknęły im z oczu. W ponurej gęstwie niosły się głosy wydawane przez niewidoczne zwierzęta. Stykające się konary świerków i balsamicznych jodeł, porośnięte mchem splątane, obumarłe gałęzie starych dębów, zimna mżawka, gąszcz przepychających się ku światłu młodych drzewek - wydatnie ograniczały widoczność. Bardziej przejrzyste było tylko bliżej dna lasu, gdzie rzadko docierało słońce. Głębiej w przesiąkniętym wodą lesie wznosiły się ciemne pnie drzew - nie osłonięte krzakami ni listowiem - niczym wartownicy obserwujący troje ludzi idących przez leśne wojska. Marsz był tutaj łatwiejszy, bo Richard prowadził przez mniejszą gęstwą, po miękkiej podściółce z sosnowych igieł. Nicci rozmyślała, że nawet w najbardziej słoneczne dni do dna lasu docierają zaledwie cieniutkie smużki światła. Po obu bokach widziała tu i tam niemal nieprzenikniony gąszcz krzewów i zbitą ścianę młodych drzew iglastych. Pod olbrzymimi sosnami samoistnie wytworzyła się dróżka.

Richard w końcu się zatrzymał i rozpostarł ręce na boki, żeby go nie mogli wyprzedzić. Teren przed nimi wyglądał właściwie tak samo - skąpa roślinność przebijająca się przez grubą warstwę zbrązowiałych igieł. Przykucnęli obok Richarda.

- Stamtąd - wskazał za prawe ramię - Kahlan, Cara i ja nadeszliśmy tej nocy, kiedy rozbiliśmy obóz. Tam się wywiązała walka. Wokół naszego obozowiska w różnych miejscach są moje ślady z pory, kiedy miałem wartę, oraz Cary, kiedy nadeszła jej kolej czuwania. Tej nocy Kahlan miała pierwszą wartę. I po tym nie ma śladów. - Popatrzył na nich, w milczeniu prosząc, żeby go wysłuchali, zanim się złączą sprzeciwiać. - A wtedy nadeszli przez las żołnierze. - Wskazał kierunek. - Stamtąd zaś nadciągnął Victor ze swoimi i włączył się do walki. Niemal w tym samym miejscu zostawiliście ślady, niosąc mnie do farmerskiej chaty. No a tam, jak już wam pokazałem, są tropy żołnierzy Ładu, którzy nadeszli i zobaczyli swoich martwych kamratów. Tędy nie szło żadne z nas ani żaden z żołnierzy. Tu, gdzie teraz jesteśmy, nie ma żadnych śladów. Rozejrzyjcie się wokół. Dostrzeżecie jedynie moje ślady z tego ranka, kiedy to ruszyłem na zwiady. Nie ma żadnych innych odcisków stóp, żadnych oznak, że ktoś tutaj był. Wydawać

by się mogło, że nikogo tu nigdy nie było.

Victor odruchowo pocierał kciukiem stalowy trzonek maczugi wiszącej mu u pasa.

- Ale ty uważasz inaczej?

- Tak. Chociaż nie ma śladów, to jednak ktoś tędy szedł. I pozostawił na to dowód. - Richard nachylił się i dotknął gładkiego głazu wielkości bochenka chleba. - Potknęli się o ten kamień, kiedy tędy pospieszali.

- Skąd wiesz? - zainteresował się kowal.

- Przyjrzyj się dokładnie wybarwieniu kamienia. - Victor się nachylił, a Richard wskazywał to, o czym mówił. - Widzisz? Na wierzchu, wystawionym na zmiany pogody i działanie powietrza, widać jasnobrązowe i żółtawe porosty. A tu jest ciemnobrązowa partia, wskazująca niczym barwa kadłuba łodzi poniżej wodnicy, że spód kamienia tkwił w ziemi. A teraz tak już nie jest. Nie tkwi w tym zagłębieniu gruntu co przedtem. Po części zeń wystaje i jest trochę przewrócony. Widzisz, jak teraz widać tę ciemną spodnią część? Gdyby dłużej był na powietrzu, to ciemna barwa by pojaśniała, pojawiłyby się porosty. Ale zbyt krótko tak leży. To się stało bardzo niedawno. - Gestem wskazał kolejny punkt. - Popatrz tu, na ziemię po tej stronie kamienia. Widzisz zagłębienie, w którym przedtem tkwił, ale teraz jest trochę przesunięty i pomiędzy nim a ścianą zagłębienia została pusta przestrzeń. A ponieważ to się stało niedawno, dalej widać kopczyk wypchniętej ziemi i leśnych szczątków. Otwarte wgłębienie po tej stronie i kopczyk po przeciwległej wskazują, że ten, kto się potknął o kamień, szedł od naszego obozu ku północy.

- No to gdzie są ich tropy? - spytał Victor. - Ślady ich stóp? Richard odgarnął w tył mokre włosy.

- Tropy zatarto magicznym sposobem. Szukałem. Nie ma żadnych śladów. Spójrz na kamień: został poruszony, wykopnięty z zagłębienia w ziemi. Ale nie ma na nim zadrapań. Został przesunięty tylko trochę, ale jednak został. But, zaczepiający o kamień na tyle mocno, żeby go przesunąć, powinien zostawić ślad. Ale nie ma żadnej rysy, tak jak i nie ma innych odcisków stóp.

Nicci zsunęła kaptur z głowy.

- Tak tłumaczysz wszystko, co znajdziesz, Richardzie, żeby pasowało do tego, w co wierzysz. Musisz się na coś zdecydować. Skoro zatarli swoje ślady

magicznie, to dlaczego zdołałeś je wykryć dzięki temu kamieniowi?

- Może dlatego, że ich czary zacierały odciski stóp. Osoba, która je rzuciła, nie wiedziała zbyt wiele o śladach i o tropieniu. Chyba nie są przyzwyczajeni do przebywania na wolnym powietrzu. Kiedy magicznie zacierają ślady swoich stóp, to pewnie im nawet do głowy nie przyjdzie, żeby przesunąć na właściwe miejsce kopnięty kamień.

- Richardzie, z pewnością...

- Rozejrzyj się. - Wykonał zamaszysty gest. - Popatrz, jak nienagannie wygląda ściółka.

- Co masz na myśli? - zaniepokoił się Victor.

- Jest zbyt regularnie ułożona. Gałązki, liście, kora są zbyt równomiernie rozrzucone. Przyroda jest bardziej chaotyczna.

Nicci, Victor i Cara przyjrzeni się ziemi. Nicci widziała tylko zwykłą leśną ściółkę. Tu i ówdzie niewielkie roślinki - sosenki, patykowate zielsko, dąbek z trzema sporymi listkami - przebiły się przez gałązki, mech, korę i zeschnięte liście rozrzucone na warstwie sosnowych igieł. Niewiele wiedziała o śladach i o tropieniu, o lasach - Richard zawsze zostawiał znaki na drzewach, jeżeli chciał, żeby odnalazła jego trasę i poszła nią - ale wcale nie wyglądało na to, że ktoś tędy szedł, ani też nic nie sprawiało wrażenia aż takiej równomierności, jak Richard sugerował. Rozejrzała się i uznała, że to wygląda zupełnie tak samo jak miejsca, które wybrała dla porównania. Victor i Cara byli podobnie skonfundowani.

- Richardzie - odezwała się Nicci, z trudem zachowując cierpliwość - jestem przekonana, że na wiele sposobów można wyjaśnić, dlaczego ten kamień wydaje ci się poruszony. Może istotnie było tak, jak twierdzisz. A może po prostu kopnął go łoś albo jelen, a czas zatarł ich tropy.

Richard potrząsnął głową.

- Nie. Spójrz na wgłębienie. Nadal jest wyraźnie widoczne. Stan krawędzi świadczy, że to się stało ledwo parę dni temu. Czas, a zwłaszcza deszcz, rozmywa takie krawędzie i zapełnia wyrwę. Każdy jelen czy łoś zostawiłby równie świeże tropy. A poza tym kopyto, podobnie jak but, zarysowałoby kamień. Mówię ci, że przed trzema dniami ktoś się potknął o ten kamień.

- A tamta sucha gałąź - wskazała Nicci - mogła spaść na kamień i przesunąć go.

- W takim przypadku na rosnącym na kamieniu poroście zostałby ślad po uderzeniu, a i po gałęzi byłoby widać, że w coś mocno uderzyła. Sprawdziłem i wcale tak nie jest.

Cara wyrzuciła w górę ramiona.

- A może z drzewa zeskoczyła wiewiórka i wylądowała na nim?

- Za lekka, żeby przesunąć taki kamień - odparł Richard. Nicci westchnęła ze znużeniem.

- Czyli twierdzisz, iż brak śladów tej kobiety, Kahlan, dowodzi, że ona istnieje.

- Nie, wcale tak nie twierdzę, a przynajmniej nie w ten sposób, w jaki ty to przedstawiasz. Ale jeżeli weźmiesz to wszystko pod uwagę, zbierzesz w całość, to tak, potwierdzam.

Nicci zacisnęła pięści. Należało się zająć ważnymi sprawami. Mieli coraz mniej czasu. A zamiast się zajmować tymi ważnymi kwestiami, tkwili pośrodku lasu i gapili się na kamień. Czuła, jak krew napływa jej do twarzy.

- To śmieszne. Wszystko, co nam pokazałeś, Richardzie, świadczy tylko o jednym: że tę kobietę zwyczajnie sobie wymyśliłeś. Ona nie istnieje. Nie zostawiła śladów, bo ją sobie wyśniłeś! Nie ma tu żadnej tajemnicy! To nie magia! To zwyczajne senne urojenia!

Richard wyprostował się gwałtownie. W jednej chwili zmienił się ze spokojnego, opanowanego człowieka w kogoś spiętego, obdarzonego mocą i coraz bardziej gniewnego. Nie odpowiedział jednak Nicci - wyminął ją, cofnął się nieco drogą, którą tu przyszli, i zatrzymał. W napięciu wpatrywał się w las.

- Dzieje się coś złego - ostrzegł cicho.

Agiel Cary natychmiast znalazł się w jej dłoni. Victor zmarszczył brwi i zacisnął palce na trzonku maczugi.

Z oddali, poprzez ociekający deszczem las, doleciały do Nicci ostrzegawcze wrzaski kruków. Krzyki, które rozległy się później, były według niej odgłosami krwawej łaźni.

ROZDZIAŁ 6

Richard ruszył biegiem przez las - wracał ku czekającym ludziom Victora, ku wrzaskom. Gnał jak szalony wśród drzew, gałęzi, krzewów, paproci i pnączy. Przeskakiwał przez butwiejące kłody, przez głazy. Lawirował pośród skupisk młodych sosen i kęp kwitnących dereni. Nie zwalniając, odtrącał na bok gałęzie modrzewi i pochylał się pod konarami balsamicznych jodeł. Zeschłe gałęzie dolnych partii pni młodych świerków szarpały mu ubranie. Wiele razy dopiero w ostatniej chwili zdążył się uchylić przed sterczącymi niby włócznie obumarłymi konarami większych drzew.

Niebezpiecznie było tak gnać samotnie, w deszczu, przez gęsty las. Trudno było na czas dostrzegać zagrożenia i unikać ich. Każda ze sterczących gałęzi mogła wykluć oko. Pośliźnięcie się na wilgotnych liściach, mchu czy kamieniu groziło upadkiem i rozbiciem głowy. Trafienie stopą w jakąś szczelinę czy szparę zagrażało uszkodzeniem nogi. Richard znał niegdyś młodego chłopaka, któremu się to przytrafiło. Złamana noga i potrzaskana kostka nigdy się prawidłowo nie zrosły i okaleczyły go na resztę życia.

Richard skupił całą uwagę na trasie, którą biegł, i starał się być ostrożny, lecz nie zmniejszał tempa. Nie ośmielał się zwolnić.

Cały czas słyszał przeraźliwe wrzaski i krzyki, budzące grozę odgłosy pękania i rozdzierania. Słyszał też biegnących z tyłu Carę, Victora i Nicci. Nie czekał, aż go dogonią. Oddalał się od nich z każdym długim krokiem, każdym skokiem przez przeszkodę.

Gnał najszybciej jak mógł, z trudem chwycił powietrze i dziwił się, że tak szybko się zmęczył. Zaskoczyło go to, ale wkrótce sobie przypomniał dlaczego. Nicci mówiła, że jeszcze nie w pełni wyzdrowiał, że utracił mnóstwo krwi i powinien wypoczywać, żeby całkiem odzyskać siły. Nie przystanął. Musi sobie poradzić z tymi siłami, które ma. Zresztą nie było już daleko.

Ale przede wszystkim biegł dalej dlatego, że ludzie Victora potrzebowali pomocy. Przedtem to oni jemu pomogli, kiedy się znalazł w tarapatkach. Nie miał pojęcia, co się tam dzieje, lecz był pewien, że coś im zagraża.

Gdyby tego ranka, kiedy walczył, potrafił przywołać na pomoc swój dar,

to może by sobie poradził z żołnierzami jeszcze przed zjawieniem się Victora i jego towarzyszy. Gdyby wtedy potrafił to zrobić, trzej z nich nie polegliby w walce. Jasne, że gdyby go z kolei tam nie było i gdyby nie zaatakował wroga, to Victor i jego ludzie pewnie by zostali wymordowani, zanim zdążyliby się obudzić.

Richard nie mógł się pozbyć wrażenia, że powinien był zrobić więcej. Nie chciał, żeby jeszcze jacyś ludzie Victora ucierpieli. Gnał, ile sił w nogach, nie oszczędzał się. Wykorzysta wszystkie swoje siły. Przecież je potem odzyska. A straconego życia nic nie wróci. W takich jak ten razach bardzo żałował, że tak mało wie o przywoływaniu swojej mocy - lecz jego dar działał odmiennie niż moc innych. Nie mógł nim świadomie kierować, jak Nicci swoim. Dar Richarda działał poprzez gniew i konieczność. Owego ranka, otoczony żołnierzami Ładu, dobył miecza, broniąc życia, i złączył swój gniew z gniewem oręza. Wiedział, że może polegać na mocy Miecza Prawdy, w przeciwieństwie do swojego daru. Inni mający dar od wczesnych lat życia uczyli się nim posługiwać. Richard nigdy się tego nie uczył. Wychowywał się w spokoju i bezpieczeństwie, nauczył się wysoko cenić życie. Takie dorastanie miało jednak i wady - nie miał pojęcia, że ma wrodzony magiczny dar, i nic na jego temat nie wiedział.

Kiedy Richard dorósł, nauka posługiwania się darem okazała się bardzo trudna - nie tylko dlatego, że tak, a nie inaczej go wychowywano, ale i dlatego, że jego dar był specyficzny. Ani Zedd, ani Siostry Światła nie zdołali go nauczyć, jak ma świadomie kierować swoją mocą.

Wiedział niewiele więcej, niż mu powiedział Nathan Rahl, Prorok. Moc Richarda najczęściej rozbudzały gniew i desperacka potrzeba, której nie potrafił zidentyfikować i wyodrębnić. Jak dotąd wszystko wskazywało, że owa inicjująca działanie mocy potrzeba była swoista dla każdego przypadku.

Richard wiedział również, że żaden kaprys nie umożliwi mu korzystania z mocy. Choćby nie wiem jak chciał i się wysiłał, nic nie osiągnie. Pojawienie się mocy i posłużenie się nią wymagało spełnienia konkretnych warunków, a on, niestety, nie potrafił ich spełnić.

Nawet bardzo doświadczeni czarodzieje muszą niekiedy korzystać z ksiąg, jeżeli chcą prawidłowo rzucić jakieś skomplikowane zaklęcie. Richard we wczesnej młodości nauczył się na pamięć jednej z nich, Księgi Opisanie Mroków. To tę księgę starał się zdobyć Rahl Posępny, kiedy postanowił

wykorzystać magię szkatuł Ordenu.

Tego ranka, kiedy zniknęła Kahlan, otoczony mrowiem atakujących go żołnierzy, Richard musiał polegać na swoim mieczu, a nie na wrodzonej mocy. Szaleńcza walka doprowadziła go na skraj wyczerpania. A niepokój o Kahlan rozpraszał, nie pozwalał skupić się wyłącznie na walce. Richard wiedział, że to groźne i niemądre... lecz tu chodziło o Kahlan. Ogromnie się o nią martwił. Gdyby wreszcie nie udało mu się przyzwać mocy, to deszcz strzał zrobiłby swoje.

Nie zauważył tej strzały. Strzały wycelowanej prosto w serce. Zagrożenie rozpoznał w ostatniej chwili; musiał powstrzymać trzech atakujących go jednocześnie żołnierzy i dlatego zdołał tylko zmienić tor lotu pocisku, ale nie mógł go już powstrzymać.

Wciąż na nowo rozpamiętywał tamte wydarzenia i obmyślał, co powinien był zrobić, by zapobiec temu, co się stało. Ale jak powiedziała Nicci, nie był niepokonany.

Gnał przez las, a las nagle ucichł. Umilkły przeraźliwe wrzaski. Wśród spowitych mgłą drzew znów słyhać było tylko stłumiony szmer deszczu uderzającego w zielone sklepienie. Wokół panowały spokój i cisza, jakby tamte straszliwe odgłosy były jedynie złudzeniem.

Richard, chociaż zmęczony, nie zwolnił. Biegł, nasłuchując jakichś głosów ludzi Victora, lecz słyszał wyłącznie swój wysilony oddech, szum krwi w uszach i rytm własnych kroków. I od czasu do czasu trzask łamanych gałęzi, kiedy tamtych troje starało się go dopędzić; lecz coraz bardziej zostawali w tyle.

Niesamowita cisza była o wiele straszniejsza niż tamte wrzaski. Zaczęło się od wrzasków kruków - najpierw ochrypłych, alarmujących, a potem przeraźliwego wizgu zabijanych stworzeń; na koniec były to bez wątpienia krzyki ludzi. A teraz panowała pełna groźby cisza.

Richard starał się siebie przekonać, iż tylko mu się wydawało, że po krukach krzyczeli ludzie. Owe wrzaski mroziły krew w żyłach, lecz to niesamowita, nienaturalna cisza, jaka teraz panowała, powodowała gęsią skórę.

Miecza dobył dopiero wtedy, kiedy już docierał na skraj polanki. Charakterystyczny brzęk stali poniósł się przez mokry od deszczu las, rozdierając ciszę.

Gniew miecza natychmiast wypełnił Richarda, splótł się z jego własnym gniewem. Kolejny raz Richard oddał się we władanie magii, którą znał i na której mógł polegać. Przepełniony gniewem miecza i własnym, pragnął zniszczyć przyczynę zagrożenia.

Strach i niepewność powstrzymywały go niegdyś przed poddaniem się gniewnej mocy płynącej z pradawnego, wykutego przez czarodziejów miecza; nie pozwalały odpowiedzieć na to wezwanie własnym gniewem, on jednak już dawno nauczył się poddawać euforii wściekłości. I ten słuszny, sprawiedliwy gniew nauczył się nagiąć do swojej woli. To tę moc wykorzystywał.

W przeszłości trafiali się tacy, którzy chcieli zawładnąć mocą miecza, lecz ślepo pragnąc cudzej własności, lekceważyli zagrożenie płynące z posługiwania się takim orężem. Zamiast być panami magii, stawali się niewolnikami miecza, jego gniewu i własnej pazerności. Byli i tacy, którzy wykorzystywali moc miecza w złej sprawie. I miecz był w takich przypadkach bez winy. Bo korzystanie z niego w dobrej czy złej sprawie było świadomym wyborem osób, które nim władały, i na owe osoby spadała cała odpowiedzialność.

Richard gnał przez zaporę z pni drzew, krzewów i pnączy. W końcu zatrzymał się na skraju polanki, gdzie spoczywali zabici kilka dni wcześniej żołnierze. Zaciskał w dłoni miecz i chciwie łapał powietrze, nie zważając na odór. Początkowo nie pojmował, na co patrzy. Wszędzie leżały martwe kruki. Nie tylko martwe, ale porozdzierane na strzępy. Polanka była zasłana głowami, skrzydłami, kawałkami ptasich ciał. Pióra, tysiące piór, niczym czarny śnieg pokrywały rozkładające się ciała poległych.

Na moment znieruchomiał, wstrząśnięty, lecz wiedział, że to nie tego szuka. Przeciął pole bitwy, wbiegł na niewielkie wzniesienie. Wśród drzew, po zdeptanej roślinności gnał tam, gdzie czekali ludzie Victora. Szalał w nim gniew miecza, pozwalając zapomnieć

O zmęczeniu, braku tchu, o tym, że jeszcze w pełni nie wydobrał, przygotowując Richarda do czekającej go walki. W owej chwili liczyło się tylko jedno - dopaść ludzi Victora, a właściwie dopaść to, co im zagrażało.

Zabijanie sług zła wzbudzało niesłychaną euforię. Zło nie wzbudzające sprzeciwu to zło usankcjonowane. Niszczenie zła to w istocie wystawianie wartości życia; niszcząc tych, którzy ciemiężą

I mordują innych, chroni się życie i jego wartość. Gniew miecza i wzbudzana przezeń furia ułatwiały wykonanie owego zadania. Furia osłabiała okropieństwo zadawania śmierci, niszczyła wrodzony opór przed zabijaniem - pozostawiała jedynie samą konieczność zadania śmierci, jeżeli istotnie chce się wymierzyć sprawiedliwość.

Richard wybiegł z kępy brzoź i natychmiast przyciągnął jego uwagę klon, pod którym czekali ludzie Victora. Dolne gałęzie zostały całkowicie odarte z listowia. Jakby szalała tu burza. Tam gdzie dopiero co rosły małe drzewka, teraz sterczały potrzaskane szczątki. Wszędzie dokoła leżały pokryte grubo czymś połyskującym gałęzie, mokre liście i sosnowe igły. Rozłupane na ostre drzazgi pnie sterczały z ziemi niczym połamane w walce włócznie.

Richard w pierwszej chwili nie mógł pojąć tego, co ujrzał pod klonem. To, co przedtem było szarozielone, żółtawe lub szmaragdowozielone - teraz było splamione czerwienią. Stał zadyszany, z ciężko bijącym sercem, i starał się zogniskować furię na niebezpieczeństwie, którego nie był w stanie określić. Przepatrywał cienie wśród drzew, próbując wypatrzeć jakiś ruch. Jednocześnie usiłował się oswoić z tym, co widział przed sobą.

U lewego boku Richarda zjawiała się gotowa do walki Cara. Chwilę później po prawej pojawił się Victor, zaciskając w dłoni maczugę. Tuż za nim nadbiegła Nicci - pozornie bez broni, lecz Richard wyczuwał wokół niej gotową do działania magiczną moc.

- Drogie duchy - wyszeptał kowal, uniósł zrobioną przez siebie maczugę i ostrożnie ruszył naprzód.

Richard mieczem zagroził Victorowi drogę. Ostrze dotknęło piersi kowala, a ten niechętnie posłuchał nie wypowiedzianego polecenia i zatrzymał się.

To, na co patrzyli, stało się aż za bardzo wyraziste. U stóp Richarda, na posłaniu z paproci, leżało męskie przedramię - pozbawione dłoni, lecz nadal okryte brązowym flanelowym rękawem koszuli. Nieco dalej tkwił ciężki sznurowany but, z którego sterczał biały piszczel, odarty ze ścięgien i mięśni. W gąszczu dereni leżał fragment torsu - ciało zdarto, odsłaniając kręgosłup i żebra. Na kłodzie, na której przedtem siedzieli ludzie Victora, wisiały teraz festony różowych jelit. Na odsłoniętej skale, na trawie i w krzakach leżały poszarpane fragmenty skóry i skalpy.

Richard nie miał pojęcia, jaka potworna moc mogła doprowadzić do

czegoś takiego. Wtem coś przyszło mu na myśl. Obejrzał się przez ramię na Nicci.

- Siostry Mroku?

Nicci z wolna pokręciła głową, wpatrując się w krwawą jatkę.

- Są pewne podobieństwa, ale one jednak zabijają zupełnie inaczej.

Richard nie wiedział, czy to pocieszająca wieść czy też nie. Powoli, ostrożnie szedł pośród ciągle jeszcze krwawiących ludzkich szczątków. Nie wyglądało to na walkę; żadnych cięć mieczem czy toporem, żadnych strzał czy włóczni. Ani gałęzie, ani kawały zmiżdżonego ciała nie zostały odcięte. Wszystko wyglądało na wyszarpięte, oderwane. Był to widok tak straszliwy, tak niepojęty, że nawet nie przerażał, nie budził odrazy.

Richard na próżno starał się pojąć, co mogło dokonać takich zniszczeń i ludzi, i ich otoczenia. Za kipiącą furią miecza pojawił się straszliwy żal, że nie był w stanie temu zapobiec, i wiedział, iż ten żal będzie się jeszcze nasilał. Teraz jednak chciał tylko dopaść tego - lub to - kto to uczynił.

- Richardzie - szepnęła tuż za nim Nicci - uważam, że powinniśmy stąd odejść. - Jej spokojny głos ostrzegwał.

Richard - przepelniony furią miecza i własnym gniewem - zignorował ją. Musiał się przekonać, czy ktoś ocalał.

- Nikt nie ocalał - wyszeptała Nicci, jakby odpowiadając na jego myśli.

Musiał się przekonać, czy zagrożenie wciąż się czai w pobliżu.

- Któż mógł to zrobić? - wyszeptał Victor. Najwyraźniej nie miał ochoty odejść, dopóki nie dopadnie winowajcy.

- To nie wygląda na ludzkie dzieło - orzekła Cara.

Richard ostrożnie stąpał pośród szczątków, przytłoczony panującą w lesie ciszą. Nie było słyhać ptaków, owadów, wiewiórek. Niskie chmury i zimna mżawka jedynie pogłębiały tę głuchą ciszę.

Krew skapywała z liści, gałęzi, przygiętych źdźbeł trawy. Tworzyła plamy na pniach drzew. Chropowatą korę jesionu umazano czymś krwawiącym. Na pokrytym żwirem stoku, pod szerokimi liśćmi klonu, leżała otwarta dłoń; obok nie było żadnego oręza.

Richard spostrzegł prowadzące tu ślady ich wszystkich i swoje - kiedy tak niedawno odszedł stąd z Cara, Nicci i Victorem. Wiele ludzkich szczątków leżało w tej części lasu, do której nikt z nich nie wchodził. Wśród owych szczątków nie było żadnych specyficznych tropów, chociaż w niektórych

miejscach „coś” rozdarło ziemię. Niektóre z tych wyrw poprzecinały grube korzenie.

Przyjrzał się uważniej i pojął, że w tych miejscach ludzi ciśnięto o ziemię tak gwałtownie, że powstały te wyrwy. Tu i tam do rozłupanych korzeni nadal przywierały strzępy tkanek.

Cara chwyciła Richarda za ramię, próbowała odciągnąć go w tył.

- Chcę, żebyś stąd odszedł, lordzie Rahlu. Wyrwał się jej.

- Cicho.

Kiedy tak szedł w milczeniu pośród krwawych szczątków, słyszał w umyśle niezliczone głosy tych, którzy przed nim władali Mieczem Prawdy: Nie koncentruj się na tym, co widzisz, na tym, co się wydarzyło. Wypatruj sprawcy, który może jeszcze powrócić. Pora na czujność.

Richard nie potrzebował takiego ostrzeżenia. Tak mocno zaciskał w dłoni rękojeść miecza, że wyczuwał wypukłe, uplecione ze złotych nitki słowo PRAWDA. Wbijało mu się we wnętrze dłoni i w opuszki palców.

W gąszczu sumaku leżała czyjaś głowa. Twarz zastygła w niemym krzyku. Richard ją rozpoznał. To był Nuri. Przepadło to wszystko, czego się ów młodzieniec nauczył, czego doświadczył, co planował, co zaczynał dla siebie tworzyć. Dla tych wszystkich ludzi świat się skończył. Odebrano im jedyne życie, jakie mieli.

Żal wywołany tak straszliwą stratą, nieodwracalnością tego, co się stało, mógł stłumić płynącą od miecza furię i Richard pogрузiłby się w żalobie i smutku. Wszystkich tych ludzi ktoś kochał, ktoś czekał na ich powrót. Każdego będą opłakiwać z żalostí, która już na zawsze naznaczy ich bliskich.

Richard zmusił się do odejścia z owego miejsca. Nie czas na żalobę. Teraz należy odnaleźć winowajców i wymierzyć im sprawiedliwą karę, zanim zdążą uczynić to samo innym. Dopiero wtedy będzie czas na opłakiwanie drogich zmarłych.

Choć przeszukał spory teren, nie znalazł ani jednego całego ciała - całą tę połąć zaścielały szczątki ludzi. Leżały one również w okolicznym lesie, jakby niektórzy usiłowali uciekać. Ale żaden nie uszedł daleko. Richard szedł pośród drzew, wypatrując śladów, które by mu pomogły rozpoznać zabójcę ludzi Victora; obserwował również migające we mgle cienie. Widział tropy uciekających, lecz nie było śladów pościgu.

Okrażył starą sosnę i natknął się na górną połowę torsu wiszącą głową w dół na resztkę konaru. Pozbawiony ramion tors nabito na odłamanej gałęzi niby na hak. Na twarzy zastygł wyraz straszliwego przerażenia. Ociekające krwią włosy sterczały sztywno na wiszącej w dół głowie niczym zjeżone z trwogi.

- Drogie duchy - wyszeptał Victor i gniew wykrzywił mu twarz. - To Ferran.

Richard przyjrzał się otoczeniu - w mroku nic się nie poruszało.

- Chyba nikt nie przeżył tego, co tu się działo. - Spostrzegł, że na ziemi, gdzie skapywała krew Ferrana, nie ma żadnych śladów. Tak samo zniknęły ślady Kahlan. Ból i trwoga wywołane podejrzeniem, że to samo mogło się przytrafić Kahlan, sprawiły, że omal nie upadł. Nawet furia miecza nie wystarczyła, żeby go osłonić przed tym okropnym cierpieniem.

Stojąca z tyłu Nicci pochyliła się ku niemu.

- Richardzie - wyszeptała ledwo dosłyszalnie - musimy stąd odejść.

- Zgadzam się z nią - przytaknęła Cara. Victor uniósł maczugę.

- Chcę dopaść tych, którzy to zrobili. - Zbielały mu knykcie zaciśniętych na trzonku palców. - Możesz ich wytropić? - zapytał Richarda.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł - odezwała się Nicci.

- Dobry czy nie - rzekł Richard - i tak nie widzę żadnych śladów. - Popatrzył w błękitne oczy Nicci. - Może spróbujesz mnie przekonać, że i to sobie tylko wyobrażam?

Nie odwróciła oczu, ale nie odpowiedziała na zaczepkę. Victor patrzył na Ferrana.

- Obiecałem jego matce, że będę na niego uważał. Co teraz powiem jego rodzinie? - W oczach załśniły mu łzy rozpacz i gniewu, wskazał maczugą krwawe szczątki reszty swoich ludzi. - Co powiem ich matkom, żonom i dzieciom?

- Że zło ich zabiło - rzekł Richard. - Że nie spocznesz, póki się nie upewnisz, że dokonana się sprawiedliwość. Że pomsta będzie sroga.

Victor kiwnął głową, boleść zastąpiła gniew.

- Musimy ich pogrzebać.

- Nie - sprzeciwiła się stanowczo Nicci. - Rozumiem, że chcesz się zatroszczyć o nich, lecz twoich przyjaciół już nie ma wśród tych poszarpanych szczątków. Twoi przyjaciele są teraz z dobrymi duchami. Nie

możemy do nich dołączyć.

Kowal znów się rozgniewał.

- Ale powinniśmy...

- Nie - ucięła Nicci. - Rozejrzyj się. To morderczy szal. Nie możemy się na coś takiego narażać. Tym ludziom już nie pomożemy. Musimy stąd odejść.

Zanim Victor zdążył się sprzeciwić, Richard nachylił się ku czarodziejce i zapytał:

- Co wiesz o tym?

- Już ci mówiłam, Richardzie, że musimy porozmawiać. Ale to nie miejsce i nie czas na rozmowy.

- Racja - warknęła Cara. - Musimy stąd zniknąć.

Richard popatrzył na szczątki Ferrana, na krwawą jatkę pod klonem i nagle opanowała go przygniatająca samotność. Tak rozpaczliwie tęsknił za Kahlan, że aż bolało. Chciał, żeby była żywa i zdrowa. Bezpieczna. Ogromnie cierpiał, nie wiedząc, czy tak jest.

- Cara ma słuszość. - Nicci nagłąco pociągnęła go za ramię. - Nie wiemy, z czym mamy do czynienia. Cokolwiek jednak to jest, twój miecz nas teraz przed tym nie ochroni, bo jesteś jeszcze słaby. A i ja w tej chwili mam za mało sił. Jeżeli to coś dalej jest w lesie, to nie czas teraz na walkę. Musimy zachować życie, jeżeli chcemy wymierzyć sprawiedliwość i dokonać pomsty.

Victor grzbietem dłoni otarł z policzka łzy gniewu i żalu.

- Z wielką niechęcią muszę przyznać, że Nicci ma rację.

- Nie chcę, żebyś tu był, lordzie Rahlu - wtrąciła Cara - gdyby nagle powróciło to, co cię szukało.

Richard zauważył, że Cara w swoim czerwonym uniformie już nie wygląda w tym lesie obco. Pasowała do krwawej scenerii. Spojrzał chmurnie na Mord-Sith, nie mając jeszcze ochoty porzucać poszukiwań tego, co zabiło owych ludzi, lecz zaczynał w nim już narastać niepokój.

- Dlaczego myślisz, że to mnie ścigało?

- Już ci mówiłam - syknęła przez zaciśnięte zęby Nicci, ubiegając Carę - że nie czas i miejsce na takie rozmowy. Tu już nic nie zdziałamy. Tym ludziom już nie pomożemy.

Nie pomogą. Czy i Kahlan jest już poza zasięgiem ich pomocy? Nie mógł i nie chciał dopuścić takiej możliwości. Spojrzał ku północy. Nie wiedział, gdzie jej szukać. Ale przecież znalazł ten wykopnięty ze swego miejsca

kamień na północ od ich obozu... nie znaczyło to jednak, że ci, którzy uprowadzili Kahlan, poszli w tamtym kierunku. Mogli iść ku północy, żeby ominąć Victora i jego ludzi, a także żołnierzy pilnujących konwoju z zaopatrzeniem. Może się tylko starali, żeby ich nikt nie dostrzegł w pobliżu tego miejsca. A potem mogli przecież pójść w dowolną stronę.

Richard wiedział, że potrzebna mu pomoc. Starał się wymyślić, kto by mógł mu pomóc w tej sprawie. Kto by mu uwierzył? Zedd pewnie by mu uwierzył, lecz Richard nie sądził, by dziadek potrafił mu w tym wypadku pomóc. I szkoda byłoby podróżować aż tak daleko, gdyby się miało okazać, że talenty Zedda w tym wypadku nie wystarczą. Kto by zechciał mu pomóc i zarazem mógł coś wiedzieć? Richard gwałtownie obrócił się ku Victorowi.

- Gdzie możemy zdobyć konie? Potrzebne mi konie. Gdzie najbliżej możemy je zdobyć?

Victora zaskoczyło to pytanie. Opuścił ciężką maczugę, a drugą dłonią otarł z czoła krople deszczu. Namyslał się. Zmarszczył brwi.

- Cóż, chyba najbliżej jest Altur'Rang - odparł po chwili. Richard wsunął miecz do pochwy.

- No to idziemy. Musimy się spieszyć.

Cara, zadowolona z tej decyzji, popchnęła go lekko w stronę Altur'Rang. Nicci zerknęła podejrzliwie, ale tak się cieszyła, że wreszcie się zgodził odejść z miejsca krwawej jatki, że nie pytała, po co mu konie.

Wszyscy czworo pospiesznie odeszli, zostawiając zabitych ludzi Victora, którym już nie mogli pomóc. Cierpieli, musząc ich tak porzucić, lecz rozumieli, że wystawiliby się na niebezpieczeństwo, gdyby tu zostali i starali się ich pogrzebać. Anie mogli przecież - przez wzgląd na to, co się działo - narażać życia.

Miecz tkwił w pochwie, gniew zniknął. Jego miejsce zajęła żalność po umarłych. Zdawało się, że las płacze wraz z nimi. Jeszcze bardziej przytłaczały go rozważania o tym, co się mogło przytrafić Kahlan. Gdyby wpadła w szpony tej złej istoty... Myśl o rozwiązaniu, napomniał się Richard. Potrzebował pomocy, żeby ją odnaleźć. A żeby zdobyć pomoc, potrzebował koni. W tej chwili to była najważniejsza sprawa. Ciągle jeszcze zostawała im połowa dnia. Nie miał zamiaru zmarnować ani chwili.

Richard prowadził ich szybkim marszem przez gęste lasy. Nikt nie protestował.

ROZDZIAŁ 7

Ciemniało, zbliżała się noc. Richard i Cara wyszarpnęli z gąbczastej ziemi cienkie, mocne korzenie sosen i wiązali nimi pnie małych drzew. Victor i Nicci grasowali u podnóża gęsto zalesionego zbocza, ścinając żywiczne gałęzie. Richard przytrzymywał pnie, Cara zaś wiązała podobny do liny korzeń. Richard odciął zbywającą część korzenia - mogła się jeszcze przydać - i schował nóż do wiszącej u pasa pochwy. Kiedy już zamocowali drewnianą konstrukcję pod skalnym nawisem, zaczął upychać wokół podstawy żywiczne gałęzie. Cara wiązała inne gałęzie w poślanie, a on wplatał kolejne warstwy w drewniany szkielet. Victor i Nicci znosili naręczą gałęzi, dbając, żeby Richardowi ich nie zabrakło.

Miejsce pod skalnym nawisem było względnie suche, chociaż ciasnawe. Przybudówka trochę większy i będą mieć przytulne schronienie na noc. Bez ogniska nie będzie zbyt ciepło, ale przynajmniej dość sucho.

W ciągu dnia zimna mżawka przeszła w ciągły deszcz. Dopóki szli, nie marzli, bo wysiłek ich rozgrzewał, lecz teraz - kiedy się zatrzymali na noc - robiło się im coraz zimniej. Jeśli zmokniesz, marzniesz i tracisz siły, choćby wcale nie było porządnie zimno. Richard wiedział, że długotrwałe wystawienie kogoś na chłodną wilgotną pogodę może w końcu doprowadzić do śmierci z wychłodzenia.

Nicci i Cara mało co spały przez ostatnie trzy dni, on sam zaś był jeszcze osłabiony - musieli odpocząć w jakimś suchym, ciepłym miejscu, bo inaczej wpadną w kłopoty. Anie mógł pozwolić, by cokolwiek mu przeszkodziło.

Całe popołudnie i wieczór szybkim, równym marszem zdążali do Altur'Rang. Okrutna śmierć ludzi Victora sprawiła, że nie mieli ochoty jeść; wiedzieli jednak, że muszą mieć siłę na podróż, i dlatego, nie przerywając marszu przez bezdroża, pogryzali suszone mięso i suchary.

Richard był tak wyczerpany, że ledwo się trzymał na nogach. Żeby skrócić drogę i uniknąć wypatrzenia przez kogokolwiek, prowadził ich przez gęsty las - trudny teren, z dala od wszelkich szlaków. To był wyczerpujący, całodzienny marsz. Richarda bolała głowa. Plecy. Nogi. Jeżeli wyruszą wcześniej i utrzymają dobre tempo, to po kolejnym dniu marszu powinni dotrzeć do Altur'Rang. A kiedy już zdobędą konie, podróż będzie i łatwiejsza,

i szybsza.

Żałował, że musi dotrzeć aż tak daleko, lecz nic innego nie przychodziło mu do głowy. Nie mógł przecież spędzić nie wiadomo ile czasu na przeczesywaniu lasów w nadziei, że znajdzie jeszcze jeden poruszony kamień i na tej podstawie się domyśli, w jakim kierunku uprowadzono Kahlan. Mógłby nigdy nie znaleźć takiego kamienia, a gdyby nawet znalazł, nie miał żadnej gwarancji, że idąc w tę stronę, odnajdzie Kahlan. Ci, którzy ją uprowadzili, mogli przecież zmieniać kierunek, nie potrącając żadnych kamieni.

Ślady owych ludzi zniknęły. Richard nie wiedział, jak tropić kogoś, kto magicznie zatarł swoje ślady. Dar Nicci nie był tu przydatny. Takie kręcenie się bez konkretnego celu po lasach nic nie da. Nie miał ochoty opuszczać okolic, w których ostatni raz widział Kahlan, lecz wiedział, że nie ma wyboru - musiał szukać pomocy.

Budował schronienie mechanicznie, zajęty innymi myślami. Cara, zatroskana o jego zdrowie, obserwowała go kątem oka. Zupełnie jakby uważała, że Richard może się lada chwila przewrócić, i chciała go w razie potrzeby podtrzymać.

Richard pracował i rozmyślał nad nikłą możliwością, że żołnierze Imperialnego Ładu przeczesują lasy, szukając ich. Dumał też nad tym, co mogło zabić wszystkich ludzi Victora, a teraz może ścigało ich. Zastanawiał się nad środkami ostrożności i nad tym, czy zdołałby walczyć z czymś tak okrutnym.

A przede wszystkim starał się domyślić, gdzie może być Kahlan. Przypominał sobie, co tylko zdołał. Zastanawiał się, czy jest ranna czy nie. Martwił się tymi błędami, które mógł popełnić. Wyobrażał sobie, że Kahlan jest przepełniona strachem i zwątpieniem, że się zastanawia, czemu on się nie zjawia, żeby jej pomóc w ucieczce, czemu jeszcze jej nie odnalazł i czy zdąży ją odszukać, zanim ją zabiją. Starał się zdusić dręczący go strach, że może Kahlan już nie żyje. Usiłował nie myśleć o tym, co mogli jej zrobić, a co byłoby o wiele gorsze niż zwyczajna egzekucja. Jagang miał swoje powody, żeby ją długo utrzymywać przy życiu - tylko żywy człowiek odczuwa ból.

Kahlan od samego początku krzyżowała plany Jagangowi, a czasami wręcz zamieniała jego sukces w porażkę. Pierwszy korpus ekspedycyjny Imperialnego Ładu w Nowym Świecie wymordował wszystkich

mieszkańców wielkiego galejskiego miasta Ebinissia, nie była to jedyna zbrodnia żołdaków. Kahlan zjawiała się wkrótce. Po tym, jak grupa młodych galejskich rekrutów odkryła tę ponurą zbrodnię. Zaślepieni gniewem, nie bacząc, że wróg dziesięciokrotnie przewyższa ich liczebnie, postanowili się zemścić i wydać walkę żołnierzom, którzy torturowali, gwałcili i zabijali ich bliskich. Spotkała owych młodych rekrutów, dowodzonych przez kapitana Bradleya Ryana, tuż przed ich wyruszeniem do podręcznikowej bitwy - bitwy, która oznaczałaby ich śmierć, o czym Kahlan świetnie wiedziała. Uparci i niedoświadczeni, sądzili, że zdołają wcielić w czyn książkowe zasady i wygrają, chociaż przeciwnik tak znacznie góruje nad nimi liczebnie. Kahlan dobrze wiedziała, jak walczą doświadczeni żołnierze Imperialnego Ładu. Zdawała sobie sprawę, że jeżeli pozwoli tym młodym rekrutom zrealizować ich plany, ani jeden z nich nie ocaleje. A owe wzniosłe zasady walki doprowadzą do tego, że żołnierze Jaganga nie napotkają żadnego oporu w marszu ku innym miastom i dalej będą grabić i mordować niewinnych ludzi. Kahlan objęła dowództwo nad młodymi rekrutami i zaczęła im wybijać z głów książkowe zasady rycerskiej walki. Sprawiała, iż pojęli, że ich jedynym celem jest zabijanie najeźdźców. Nieważne, jakimi metodami to osiągną, grunt, żeby wróg był martwy. Tu nie szło o chwałę, lecz o przeżycie. Zabijali, żeby ratować życie. Kahlan nauczyła rekrutów tego, co powinni wiedzieć o walce z tak przeważającym liczebnie wrogiem, i zmieniła ich w żołnierzy zdolnych wykonać tę ponurą misję.

W wieczór poprzedzający poprowadzenie ich do walki Kahlan przeniknęła do obozu wroga i zabiła czarodzieja oraz kilku oficerów. Następnego dnia pięć tysięcy młodych ludzi walczyło zgodnie z jej rozkazami i naukami; ponieśli ogromne straty, lecz ostatecznie wybili do nogi pięćdziesiątysięczny korpus ekspedycyjny Imperialnego Ładu. Historia rzadko wspomina o takich przypadkach. To był pierwszy z wielu ciosów, jakie Kahlan zadała Jagangowi. W odwecie nasłał na nią asasynów. Nie powiodło się im.

Kiedy Nicci zabrała Richarda w samo serce Starego Świata, Kahlan dołączyła do Zedda i wojsk imperium D'Hary. Akurat, przygnębieni, wycofywali się po przegraniu trzydniowej bitwy. Matka Spowiedniczka, w zastępstwie Richarda dzierżąc Miecz Prawdy, przywróciła armii morale i natychmiast ruszyła do kontrataku, zaskakując i wykrwawiając wroga.

Przywróciła wojskom d'harańskim hart ducha i entuzjazm. Zagrzewała je do walki. Kapitan Ryan ze swoimi ludźmi przyłączył się do niej w walce z nacierającymi hordami Jaganga. Kahlan przez blisko rok dowodziła armią imperium D'Hary i udało im się pokrzyżować plany Jaganga, który chciał szybko podbić Nowy Świat. Bezustannie nękała wroga. Pomagała układać plany, dzięki którym wojska Jaganga traciły setki tysięcy żołnierzy. Wykrwawiała armię Imperialnego Ładu i pomogła ją zatrzymać przed Aydindril. Zimą wyprowadziła mieszkańców Aydindril i zabrała ich wraz z wojskiem, przez górskie przełęcze, do D'Hary. D'Harańskie wojska zablokowały potem owe przejścia i - jak na razie - nie pozwalały Imperialnemu Ładowi podbić D'Hary i oddać Nowego Świata pod tyrańską władzę Bractwa Ładu.

Jagang mocniej niż Kahlan nienawidził jedynie Richarda. Nawiedzający Sny nasłał na nich niedawno niezwykle niebezpiecznego czarodzieja - Nicholasa. Ledwo udało się im uniknąć pojmania.

Richard wiedział, że Ład uwielbia się znęcać nad więźniami oraz że Jagang nikogo tak nie pragnie wydać na tortury jak jego i Matkę Spowiedniczkę. Imperator zrobiłby wszystko, żeby wpadła w jego łapy. Z ochotą poddałby ją najwymyślniejszym, najgorszym torturom.

Richard uświadomił sobie, że stoi, drżący i znieruchomiały, zaciskając w dłoni żywiczne gałęzie. Cara obserwowała go w milczeniu. Ukląkł i znów zaczął układać gałęzie, usiłując odegnać te straszliwe myśli. Cara też wróciła do swojej roboty. Chłopak zdołał się skoncentrować wyłącznie na przygotowywaniu schronienia. Im szybciej pójdą spać, tym lepiej wypoczną do świtu. I będą mogli szybciej podróżować.

Chociaż w pobliżu nie było żadnej drogi ani nawet jakiegokolwiek szlaku, Richard nie chciał rozpałać ogniska w obawie, że mogliby je odnaleźć żołnierze zwiadowcy. Choć we mgle i mżawce nie zdołaliby dojrzeć dymu z ogniska, to przy takiej pogodzie snułby się on przy ziemi po lesie i patrole Imperialnego Ładu mogłyby go wyczuć. Było to na tyle prawdopodobne, że nikt się nie upierał przy rozpalaniu ogniska. Lepiej marznąć, niż walczyć o życie.

Nicci podciągnęła bliżej naręczce żywicznych gałęzi, a Richard zaczął wplatać je w przybudówkę. Nikt się nie odzywał - obawiali się, że w pobliżu, wśród gęstniejącego mroku, może się czaić to, co zabiło ludzi Victora, i

szukować do ataku na nich, a oni mieli spać w twierdzy z żywicznych gałęzi.

Pierwszy dzień podróży ku Altur'Rang był nie tyle marszem, ile ucieczką w popłochu. Nie ścigało ich jednak to, co zabiło ludzi Victora. A przynajmniej Richard nie sądził, żeby ich ścigało. Podejrzywał, że to, co potrafiło w tak bestialski sposób zabić tak wielu ludzi, łatwo by ich dopadło, gdyby naprawdę było na ich tropie.

Poza tym w lesie Richard zwykle wiedział, czy w pobliżu są zwierzęta, gdzie przypuszczalnie są, no i z całą pewnością wiedział, czy w pobliżu są ludzie. Gdyby Victor ze swoimi nie był tak daleko od obozowiska Richarda, Kahlan i Cary, chłopak wiedziałby o ich obecności. Doskonale również wyczuwał, czy ktoś idzie jego tropem. Był przewodnikiem, więc niekiedy tropił zaginionych w lesie ludzi. Czasem z innymi przewodnikami urządzali zawody we wzajemnym tropieniu się. Richard doskonale wiedział, jak sprawdzać, czy ktoś idzie jego śladem.

Tym razem było to nie tyle podejrzenie, że ktoś za nimi idzie, ile raczej mrozący krew w żyłach strach, że ściga ich morderczy fantom ogarnięty żądzą krwi. Ów strach nieustannie popychał ich do ucieczki. Richard zaś był świadom, że czasami to ucieczka prowokuje atak drapieżnika.

W tym wypadku zdawał sobie jednak sprawę, że to tylko pobudzona wyobraźnia sprawia, iż czuje na karku gorący oddech pościgu. Zedd nauczył go, że zawsze należy próbować zrozumieć, dlaczego ma się właśnie takie wrażenie, i na tej podstawie ocenić, czy przyczyna owych wrażeń ma realne podstawy czy nie. Poza niemal namacalnym strachem, wywołanym bestialstwem mordy, Richard nie miał żadnych dowodów na to, że ktoś ich ściga; starał się więc powściągnąć emocje.

Strach niekiedy okazywał się największym zagrożeniem - skłaniał ludzi do bezmyślnych czynów i wpędzał ich w tarapaty. Kiedy przestawali myśleć, często podejmowali złe decyzje.

Richard kilka razy tropił ludzi, którzy pobłądzili w rozległych lasach wokół Hartlandu. Chłopiec, którego tropił przez dwa dni, biegł nawet w ciemnościach, aż wreszcie spadł ze skały. Na szczęście nie był to upadek z wysoka. Richard znalazł go u podnóża stromego stoku. Miał opuchniętą kostkę, która okazała się tylko zwichnięta, a nie złamana. Był zmarznięty, zmęczony i przerażony. Bardzo się ucieszył na widok Richarda i mocno trzymał go za szyję przez całą drogę do domu.

W lesie można stracić życie na wiele sposobów. Richard słyszał o ludziach zaatakowanych przez niedźwiedzia, kuguara lub ukąszonych przez węża. Nie potrafił jednak sobie wyobrazić, co zabiło ludzi Victora. Nigdy jeszcze nie widział czegoś podobnego. Wiedział, że nie zrobili tego żołnierze. Zgadywał, że ktoś mający dar mógł wykorzystać jakiś rodzaj straszliwej magii i zabić owych ludzi, ale do końca w to nie wierzył. Zdał sobie sprawę, że uważa, iż to dzieło jakiegoś krwiożerczego zwierza, jakiejś bestii.

Bez względu na to, co zabiło ludzi Victora, Richard podjął niezbędne środki ostrożności, kiedy ruszyli w drogę. Dopóki nie oddalili się wystarczająco od miejsca krwawej jatki, prowadził ich płytkimi strumieniami. Z płynącej strugi wyprowadzał ich wtedy, gdy na brzegu prawie nie zostawiali śladów. Kilka razy poprowadził ich przez odsłoniętą skałę albo przez wodę, żeby ewentualnemu tropicielowi jak najbardziej utrudnić podążanie ich tropem. Nocne schronienie też się miało wtopić w okoliczne lasy. Trudno będzie je zauważyć - chyba że ktoś by przechodził tuż obok.

Victor przydźwigał ciężkie naręczce żywicznych gałęzi i położył u stóp Richarda.

- Będziesz ich więcej potrzebował?

Richard trącił stertę czubkiem buta, oceniając, czy wystarczy na porządne przykrycie pozostałych źerdeł.

- Nie. Te tutaj i te, które właśnie niesie Nicci, powinny wystarczyć.

Nicci upuściła swoje gałęzie obok tych, które przyniósł Victor. Dziwnie było ją obserwować przy takiej robocie. Nawet dźwigając naręczą gałęzi, nie traciła królewskiej postawy. Cara również była uderzająco piękną kobietą, lecz jej zuchwały sposób bycia sprawiał, że równie naturalnie wyglądała, budując schronienie, jak zabijając wrogów (na przykład zaostrzonym kołkiem). Natomiast Nicci, pracując wraz z nimi, była wyraźnie nie na swoim miejscu; jakby się miała skarżyć, że pobrudziła dłonie (choć nie pisnęła o tym słowa). Chętnie wykonywała polecenia Richarda, lecz jej arystokratyczny sposób bycia był zbyt majestatyczny jak na noszenie gałęzi do budowy szałasów.

Przyniosła już wszystkie potrzebne Richardowi gałęzie i teraz stała spokojnie pod ociekającymi deszczem drzewami, obejmując się i drżąc z

zimna. Richard zgrabiłymi z chłodu palcami pospiesznie mocował pozostałe gałęzie. Widział, że Cara wkłada od czasu do czasu dłonie pod pachy, żeby je rozgrzać. Tylko po Victorze nie było znać, że marznie. Richard uznał, że ustawiczne gniewne łypanie wystarczająco rozgrzewa kowala.

- Może się teraz wszyscy troje prześpijcie - zaproponował Victor, kiedy Richard zamocował ostatnią żywiczną gałąź - a ja wezmę pierwszą wartę. Jeżeli nikt się nie sprzeciwi. Niezbyt chce mi się spać.

Gniewna nutka w głosie kowala wskazywała, zdaniem Richarda, że Victor jeszcze długo nie będzie śpiący. Rozumiał cierpienie kowala. Bez wątpienia przez całą swoją wartę będzie rozmyślał, co powie matce Ferrana i bliskim pozostałych mężczyzn.

Richard współczująco położył dłoń na ramieniu Victora.

- Nie wiemy, z czym mamy do czynienia. Nie wahaj się nas obudzić, jeżeli zobaczysz lub usłyszysz coś niezwyčajnego. I nie zapomnij się przespać po warcie. Jutro długo będziemy na nogach. Wszyscy musimy nabrać sił.

Victor kiwnął głową. Richard przyglądał się, jak kowal otula się peleryną, a potem - przytrzymując się korzeni i pnączy - wspina na skałę ponad szałasem, gdzie miał nad nimi czuwać. Chłopak się zastanawiał, czy sprawy potoczyłyby się inaczej, gdyby Victor był ze swoimi. Potem przypomniał sobie rozłupane drzewa i głębokie wyrwy w ziemi wyłobione z taką siłą, że przewróciła głazy i porozrywała grube korzenie. Wspomniał porozrywane skórzane zbroje, potrzaskane kości, rozszarpane ciała i ucieszył się, że Victora tam nie było, kiedy nastąpił atak. Nawet ciężka maczuga i krzepa kowala nie powstrzymałyby tego, co się zjawilo na polance.

Nicci dotknęła czoła Richarda, sprawdzając, czy nie ma gorączki.

- Musisz wypocząć. Żadnej warty tej nocy. My się będziemy zmieniać.

Chciał się sprzeciwić, ale wiedział, że ona ma rację, więc zmilczał i tylko kiwnął głową na zgodę. Cara - wyraźnie gotowa stanąć po stronie Nicci, gdyby się sprzeciwił - przestała się im przyglądać przez niewielką szparę pomiędzy gałęziami.

Dobiegający z otaczającej ich ciemności zgrzytliwy dźwięk zaczął się zmieniać w przenikliwe cykanie. Skończyli już budowę szałasu i teraz nic nie odwracało ich uwagi od tego odgłosu. Rozbrzmiewał nim cały las. Nicci zwróciła nań w końcu uwagę i rozejrzała się wokół. Zmarszczyła brwi.

- A cóż to za dźwięk?

Richard zerwał z pnia drzewa pustą łupinkę. Pnie w całym lesie były pokryte jasnobrązowymi łupinkami wielkości paznokcia kciuka.

- Cykada. - Uśmiechnął się do siebie i upuścił na dłoń pustą skorupkę. - A to pozostałość po wylince.

Nicci spojrzała na pustą skorupkę na jego dłoni i na inne, przyczepione do drzew.

- Większość życia spędziłam co prawda pod dachem, w miastach i miasteczkach, lecz od opuszczenia Pałacu Proroków sporo czasu przebywam pod gołym niebem. Te owady muszą być charakterystyczne dla okolicznych lasów. Przedtem ani ich nie widziałam, ani nie słyszałam.

- I nic dziwnego. Gdy je ostatnio widziałem, byłem małym chłopcem. Ten gatunek cykad wychodzi spod ziemi co siedemnaście lat. A dziś jest pierwszy dzień ich pojawiania się. Będą tu ledwo parę tygodni, skojarzą się w pary i złożą jaja. Potem zobaczymy je dopiero za kolejne siedemnaście lat.

- Naprawdę? - spytała Cara, wystawiając głowę z szałasu. - Co siedemnaście lat? - Rozmyślała nad tym przez chwilę, a potem łypnęła groźnie na Richarda. - Lepiej niech nam pozwolą spać.

- Pieśń tylu cykad zapada w pamięć. Wszystkie owady grają jednocześnie i czasami można usłyszeć, jak ich pieśń, harmonijnie wznosząc się i opadając, płynie falą przez las. Początkowo ich cykanie może się w nocnej ciszy wydawać ogłuszające, lecz sama się przekonasz, że ukołyszę cię do snu.

Cara - zadowolona, że hałaśliwe owady nie przeszkodzą jej spać - zniknęła w szałasie.

Richard przypomniał sobie zachwyt i zadziwienie, kiedy Zedd prowadził go przez las i pokazywał mu dopiero co wyrojone owady, opowiadając o ich siedemnastoletnim cyklu. Dla małego chłopca było to niezapomniane, wspaniałe zadziwienie. Zedd wyjaśniał mu, że będzie już dorosły, kiedy się znów pojawią, że teraz patrzy na nie oczami chłopca, następnym razem zaś zobaczy je już jako dorosły mężczyzna. Richard pamiętał, jak sobie obiecywał, że kiedy się znowu pojawią, spędzi więcej czasu na obserwowaniu wynurzających się z ziemi stworzeń. Ogarnął go głęboki smutek, tęsknota za owym niewinnym okresem życia. Dla chłopca pojawienie się cykad było najbardziej zadziwiającym zjawiskiem, jakie sobie potrafił wyobrazić, a czekanie siedemnaście lat na ich ponowne pojawienie

się - najtrudniejszą pod słońcem rzeczą. Teraz wróciły.

A on był mężczyzną. Odrzucił pustą skorupkę.

Zdjął wilgotną pelerynę, wpełzł za Nicci do szałas i zasłonił gałęziami wejście do zacisznego schronienia. Grube gałęzie przytłumiły przenikliwą pieśń cykad. Nie milknące brzęczenie usypiało go.

Z zadowoleniem stwierdził, że żywiczne gałęzie chronią przed deszczem, że prowizoryczne schronienie jest suche, chociaż nie ciepłe. Ziemię przykryli warstwą gałęzi, więc miejsce do spania było suche i całkiem miękkie. Lecz choć deszcz już na nich nie padał, to mgła i wilgotne powietrze robiły swoje. Oddechy unosiły się obłoczkami.

Richard miał dość ciągłego przemoczenia. Po budowie szałas miał na ubraniu korę, igły, ziemię. Ręce lepily mu się od soków drzew. Nie przypominał sobie, by mu kiedykolwiek tak dokuczały piach i drzewne resztki, przyklejone do wilgotnej skóry i mokrego odzienia. Ale przynajmniej szałas miło pachniał żywicą. Chętnie by wziął gorącą kąpiel. Miał nadzieję, że Kahlan jest cała i zdrowa, że jej ciepło i że nie moknie.

Choć zmęczony i coraz bardziej senny od pieśni cykad, Richard musiał się dowiedzieć pewnych rzeczy. Były sprawy o wiele ważniejsze niż sen czy dziwy z dzieciństwa. Musiał wybadać, co Nicci wie o tym, co zabiło ludzi Victora. Zbyt dużo zbieżności, żeby zamknąć na nie oczy. Atak nastąpił tuż obok miejsca, w którym Richard, Kahlan i Cara obozowali przed paroma dniami. Co ważniejsze, to, co zabiło ludzi Victora, nie zostawiło żadnych śladów, a przynajmniej nie takich, które mógł znaleźć po krótkich poszukiwaniach. Po Kahlan lub jej porywaczu Richard znalazł jedynie ów poruszony kamień. Przed zaśnięciem zamierzał wybadać, co Nicci wie o tym, co zabiło ludzi Victora.

ROZDZIAŁ 8

Richard odpiął od plecaka śpiwór i rozwinął go na wąskim miejscu pomiędzy obydwoma kobietami.

- Nicci, tam gdzie zginęli ludzie Victora, powiedziałaś, że to była żądza krwi. - Oparł się o skalną ścianę pod nawisem. - Co miałaś na myśli?

Nicci usiadła na śpiworze.

- To, co tam zobaczyliśmy, nie było zwyczajnym zabójstwem, prawda?

Uznał, że ma rację. Nigdy nie widział czegoś tak naznaczonego wściekłością. Był jednak przekonany, że ona wie o tym o wiele więcej. Po lewej stronie Richarda uniosła się Cara.

- Mówię ci - odezwała się do Nicci - że on nie wie. Zerknął nieufnie na Mord-Sith, a potem na czarodziejkę.

- Czego nie wiem?

Nicci przecesała palcami wilgotne włosy, odgarnęła z twarzy kosmyki. Miała nieco zdziwioną minę.

- Mówiłeś, że dostałeś mój list.

- Bo dostałem. - Było to jakiś czas temu, lecz mimo znużenia i troski starał się przypomnieć sobie wszystko, co było w liście Nicci: coś o Jagangu zmieniającym ludzi w oręż. - Twój list pomagał się zorientować w tym, co się wtedy działo. Doceniam twoje ostrzeżenia przed mrocznymi zakusami Jaganga pragnącego tworzyć oręż z osób z magicznym darem. Nicholas Slide był dostatecznie groźną próbką tej roboty.

- Nicholas - Nicci wyrzuciła z siebie to imię, otulając ramiona kocem - to zaledwie pchła na boku wilka.

Skoro Nicholas był zaledwie pchłą, to obym nigdy nie wpadł na wilka, pomyślał Richard. Nicholas Slide był czarodziejem, któremu Siostry Mroku przydały umiejętności pozostających poza zasięgiem ludzi. Uważano, że takie magiczne przemienianie ludzi jest dawno utraconą umiejętnością. Co więcej, że nie jest obecnie możliwe, bo wymagało użycia nie tylko magii addytywnej, ale i subtraktywnej. Nieliczni nauczyli się tą ostatnią posługiwać, lecz od tysięcy lat - do przyjścia na świat Richarda - nie urodził się nikt z darem tej magii.

Trafiali się jednak tacy, którzy - choć nie mieli wrodzonego daru magii

subtraktywnej - potrafili się nauczyć, jak z niej korzystać. Jedną z takich osób był Rahl Pośępny. Mówiono, że przehandlował niewinne dziecięce dusze Opiekunowi zaświatów w zamian za jego mroczne łaski - w tym i korzystanie z magii subtraktywnej.

Richard przypuszczał, że to właśnie straszliwe przysięgi składane Opiekunowi dały pierwszym Siostram Mroku możliwość korzystania z magii subtraktywnej, te zaś potajemnie przekazywały owe umiejętności swoim zwolennikom.

Kiedy Pałac Proroków upadł, Jagang pojmał wiele Sióstr tak Mroku, jak i Światła. Richard dowiedział się, że Nawiedzający Sny potrafi wnikać w umysł danej osoby i w ten sposób ją kontrolować. Nie ukryje się przed nim żadna myśl ni uczynek. Co gorsza, ludzie ci nie zawsze wiedzieli, że Jagang buszuje w ich umyśle i poznaje ich najskrytsze myśli.

Nicci wyznała Richardowi, że owo udęczające opętanie przez Nawiedzającego Sny doprowadziło niektóre Siostry do szaleństwa. On zaś wiedział również, że Jagang może w ten sposób zadawać straszliwy ból, a nawet zabijać. Mając Siostry pod taką kontrolą, Nawiedzający Sny mógł je zmusić, do czego tylko zechciał.

Jeden z przodków Richarda znalazł magiczny sposób na to, żeby chronić swój lud przed Nawiedzającymi Sny, tak więc ci, którzy przysięgli wierność lordowi Rahlowi, byli chronieni. Richard odziedziczył i dar, i ową więź, a ponieważ na świecie znów pojawił się Nawiedzający Sny, ci, którzy przysięgli wierność Richardowi, byli bezpieczni, Jagang zaś nie mógł się wkraść do ich umysłów i zmienić ich w swoich niewolników. Choć mieszkańcy D'Hary składali swojemu lordowi Rahlowi formalną przysięgę, to ochrona zapewniana przez więź wynikała tak naprawdę z wewnętrznej postawy zaprzysiężonej osoby i jej czynów umotywowanych lojalnością.

Ann, Ksieni Sióstr Światła, i Verna, którą Ann wyznaczyła na swoją następczynię, zakradły się do obozu Imperialnego Ładu i próbowały ocalić swoje Siostry. Pojmanym Siostram zaoferowały ochronną więź - musiały jedynie zaprzysiąc w sercu lojalność wobec Richarda - lecz większość z nich tak przeraźliwie bała się Jaganga, że odrzuciły szansę odzyskania wolności. Wołały się oszukiwać i uważać okowy za ochronną tarczę.

Nicci niegdyś wysługiwała się ślepo Bractwu Ładu, Siostram Mroku, a na koniec Jagangowi. Ale już tak nie było. Teraz przejęła od Richarda

umiłowanie życia. Jej niezłomna lojalność wobec niego i nieugięte trwanie przy jego zasadach wyzwoliły ją ze szponów Nawiedzającego Sny oraz uwolniły od jarzma służebności, pod którym się do tej pory ugiwała. Jej życie należało teraz wyłącznie do niej, Richard zaś uważał, że to właśnie jest źródłem jej nieugiętej dumy.

- Nie przeczytałem całego listu - przyznał. - Zanim zdążyłem go dokończyć, napadli na nas ludzie Nicholasa. Już ci o tym opowiadałem: to wtedy zginął Sabar. A w trakcie walki list wpadł do ogniska.

Nicci się przygarbiła.

- Drogie duchy - wyszeptała. - Myślałam, że wiesz. Richard był zmęczony, u kresu wytrzymałości.

- Co wiem?

Nicci bezwładnie opuściła ręce. Spojrzała nań w nikłym świetle i ciężko westchnęła.

- Jagang zmusił Siostry Mroku do przemieniania ludzi w oręż, jak to czyniono podczas wielkiej wojny. Na swój sposób jest ogromnie inteligentny i chętnie się uczy. Kolekcjonuje księgi z okolic, które łupi. Widziałam niektóre z tych ksiąg. Ma między innymi prastare kompendia magiczne, mniej więcej z czasów wielkiej wojny. Rzecz w tym, że chociaż jest Nawiedzającym Sny i ma dużą wiedzę w niektórych dziedzinach, to nie ma daru, dlatego też ma co najwyżej mętne pojęcie o tym, czym w istocie jest Han i jak owa życiowa moc działa. Te sprawy trudno jest pojąć komuś, kto nie ma magicznego daru. Masz przecież dar, a nie do końca go rozumiesz i niewiele wiesz o jego działaniu. Ponieważ Jagang nie potrafi posługiwać się magią, działa po omacku i, wykorzystując władzę imperatora, każe realizować wszystkie swoje pomysły.

Richard tarł palcami czoło, ścierając brud.

- Nie lekceważ go w tym względzie. Całkiem możliwe, że lepiej wie, co robi, niż ci się zdaje.

- To znaczy?

- Może nie wiem zbyt wiele o magii, ale pojąłem, że można ją traktować jako rodzaj sztuki. I środkami artystycznymi, bo brak na to lepszego terminu, da się wyrazić magię, jakiej nigdy jeszcze nie było.

Nicci patrzyła nań ze zdumieniem i niedowierzaniem.

- Nie wiem, Richardzie, gdzieś się czegoś takiego nauczył, lecz magia po

prostu w ten sposób nie działa.

- Wiem, wiem. Kahlan też uważa, że to palcem na wodzie pisane. Wychowywała się wśród czarodziejów i mnóstwo wie o magii, więc się upierała, że nie mam racji. Lecz mam. Bo zrobiłem coś takiego. Posługując się darem w niekonwencjonalny sposób, wydostałem się z pułapki, która inaczej okazałaby się śmiertelna.

Nicci przyglądała mu się badawczo. Nagle pojął dlaczego. Nie tylko z powodu jego wywodów o magii. Znowu mówił o Kahlan.

O kobiecie, która nie istniała, którą sobie wyśnił. Mina Cary zdradzała jej zatroskanie.

- Tak czy inaczej - rzekł Richard, wracając do sedna - to, że Jagang nie ma daru, wcale nie znaczy, że nie może wyśnić rozmaitych rzeczy, że nie może sobie uroić takich koszmarów jak Nicholas. I to właśnie poprzez takie nowatorskie rozumowanie tworzy się najgroźniejsze czary, przeciwko którym można nic nie zdziałać zwykłymi metodami. Uważam, że być może w ten właśnie sposób owi czarodzieje z pradawnych czasów przemieniali ludzi w oręż.

Nicci ledwo nad sobą panowała.

- Magia po prostu w ten sposób nie działa, Richardzie. Nie możesz sobie wyśnić tego, co chciałbyś mieć, pragnąc, by się ziściło to, czego chcesz. Magia działa według własnych praw, podobnie jak wszystko inne na świecie. Zachcianka nie przemieni drzew w deski. Musisz z pni wyciąć to, czego chcesz. Jeżeli pragniesz domu, nie możesz sobie zażyczyć, żeby cegły i deski same go zbudowały. Musisz go zbudować własnymi rękami.

Richard pochylił się ku czarodziejce.

- Owszem, ale to ludzka wyobraźnia sprawia, że owe czynności są nie tylko możliwe, ale i skuteczne. Większość budowniczych myśli w kategoriach „dom” czy „stodoła”. Robią to, co robiono przedtem, tylko dlatego, że to już robiono. Przez większość czasu nie mają ochoty rozmyślać, więc nigdy nie wpadną na żaden nowatorski pomysł. Ograniczają się do naśladowania poprzedników i tłumaczą, że to należy robić właśnie tak, skoro zawsze tak robiono. Z magią jest podobnie: mający dar po prostu powtarzają to, co już było, wierząc, że tak należy czynić. Zanim powstanie wspaniały pałac, ktoś musi najpierw być na tyle śmiały, żeby go sobie wyobrazić. Pałac nie pojawi się sam z siebie, ku zdumieniu wszystkich, kiedy

robotnicy właśnie usiłują zbudować stodołę. Jedynie świadomy akt twórczy umożliwi jego powstanie. A takie świadome postanowienie wybudowania pałacu nie może złamać żadnych praw dotyczących zastosowanych metod i materiałów. Wprost przeciwnie. Osoba, która chce zbudować wymarzony przez siebie pałac, musi się świetnie znać na budownictwie. Jeżeli nie będzie miała o tym pojęcia, pałac się zawali. Musi się znać na potrzebnych materiałach o wiele lepiej niż ten, kto buduje zwyczajną stodołę. Rzecz nie w tym, by przez samą chęć zmieniać prawa natury, lecz w nowatorskim myśleniu opartym na prawach natury. Dorastałem w lasach wokół Hartlandu, nigdy nie widząc pałacu. - Rozpostarł ramiona, jakby chciał jej pokazać to, co widział od opuszczenia rodzinnych stron. - Dopóki nie ujrzałem pałacu w Tamarang, Wieży Czarodzieja, Pałacu Spowiedniczek w Aydindril i Pałacu Ludu w D'Harze, nawet sobie nie wyobrażałem, że one istnieją, a nawet, że mogą istnieć. W owym czasie wykraczały poza moje zrozumienie. A przecież, mimo że ja sobie nie wyobrażałem, że takie budowle mogą powstać, inni je sobie wyobrazili i zbudowano je. Uważam, że inspirowanie ludzi jest jedną z ważnych funkcji wielkich dzieł.

Nicci była nie tylko przejęta wyjaśnieniami Richarda, ale i poważnie je potraktowała.

- Chcesz przez to powiedzieć, że sztuka może również wpływać na działanie magii?

Richard się uśmiechnął.

- Nicci, nie potrafiłaś pojąć wartości życia, dopóki nie wyrzeźbiłem w Altur'Rang posągu. Kiedy zobaczyłaś ideę obleczoną w materię, wreszcie zdołałaś złożyć w całość to, czego się w życiu nauczyłaś, i pojąć, jakie ma to znaczenie. Dzieło sztuki poruszyło twoją duszę. To dlatego mówię, że ważną funkcją dzieł sztuki jest inspirowanie ludzi. A ponieważ uzmysłowiło ci ono piękno życia i szlachetność człowieka, odzyskałaś wolność, chociaż nigdy nie myślałaś, że to możliwe. I ponieważ mieszkańcy Altur'Rang zobaczyli w owej rzeźbie to, co mogłoby i powinno być, zdecydowali się przeciwstawić uciskowi niszczącemu ich życie. Nie dokonałem tego, kopiując inne rzeźby, stosując się do norm obowiązujących w rzeźbie Starego Świata, ukazującej słabość i niemoc ludzką. Moim dłutem kierowała wizja piękna i szlachetności. Nie pogwałciłem natury marmuru, w którym rzeźbiłem, lecz wykorzystałem ją, by dokonać czegoś nowego, odbiegającego od rutyny.

Badalem właściwości kamienia, uczyłem się, jak go obrabiać, i starałem się zrozumieć, co jeszcze mogę z nim zrobić, żeby osiągnąć to, co sobie zamierzyłem. Victor zaś zrobił mi narzędzia najodpowiedniejsze do zrealizowania moich pomysłów. I w ten sposób urzeczywistniłem to, co chciałem stworzyć, a co przedtem nie istniało. Uważam, że również magia może podobnie działać i że takie nowatorskie pomysły grały ważną rolę w przemianianiu ludzi w oręż w owych dawnych czasach. W końcu, gdy już taki oręż powstał, okazał się skuteczny właśnie dlatego, że był nowy, że nigdy przedtem o nim nie pomyślano, nigdy go nie widziano. W wielu przypadkach przeciwnik musiał wynaleźć całkiem nowe zastosowanie magii, żeby skontrolować tę broń. Często potrafiono unieszkodliwić taki oręż przeciwmagią, a wtedy natychmiast zabierano się do wymyślania jakiegoś nowego okropieństwa. Gdyby takie kreatywne użycie magii nie było możliwe, to jak ci starodawni czarodzieje mogliby tworzyć magiczny oręż? Nie możesz twierdzić, że po prostu czerpali wiedzę z ksiąg lub wcześniejszych dokonań. Gdzie i jak pierwszy taki oręż mógłby powstać, gdyby nie było nowatorskiego pomysłu? Najpierw ktoś musiał twórczo posłużyć się magią. Sądzę, że Jagang robi z magią dokładnie to samo.

Zapoznał się z częścią tego, co robiono podczas wielkiej wojny, jaki tworzone oręż, i z tego czerpał wiedzę. Czasami, jak w przypadku Nicholasa, może korzystać z powtarzalnej instrukcji, lecz może również wyobrażać sobie coś, co nigdy nie istniało, co wykracza poza uprzednie działania, i potem kazać realizować swoje pomysły osobom potrafiącym korzystać z magii. W takim akcie twórczym to nie praca jest najbardziej godna uwagi, ale pomysł i wizja, które ją umożliwiają. Podobnie można nająć do budowy pałacu tych samych cieśli i murarzy, którzy stawiają stodołę, bo to nie ich praca ma największe znaczenie przy budowie pałacu, lecz wizja, która tę pracę ukierunkowuje.

Nicci lekko kiwała głową, dumając nad jego słowami.

- Teraz pojmuję, że twój pomysł nie jest wcale taki wariacki, jak początkowo sądziłam. Nigdy w ten sposób nie rozumowałam. Muszę się zastanowić nad możliwościami, jakie to daje. Może właśnie ty jako pierwszy pojąłeś, co się kryje za projektami Jaganga czy tworamii pradawnych czarodziejów. To by wyjaśniało wiele spraw, które mnie przez lata dręczyły.

W tonie Nicci brzmiał głęboki respekt dla pomysłu nowego dla niej, lecz

w pełni zrozumiałego. Nikt, kto kiedykolwiek rozmawiał z Richardem o magii, nie traktował jego pomysłów z takim wnikliwym zrozumieniem. Miał wrażenie, że po raz pierwszy ktoś dokładnie pojął, co on chciał powiedzieć.

- Miałem do czynienia z tworami Jaganga - powiedział. - A Nicholas był szczególnie dokuczliwy.

Nicci przyglądała mu się przez chwilę w nikłym świetle.

- Z tego, czego się zdołałam dowiedzieć, Richardzie - powiedziała cicho - wynika, że Nicholas wcale nie był ostatecznym celem Jaganga. Był jedynie wprawką.

- Wprawką! - Richard aż łupnął głową o skalną ścianę. - Nie określiłbym go tym mianem. Nicholas Slide był niesamowitym tworem i wstrętnym typem. Nawet nie wiesz, ilu kłopotów nam przysporzył.

Nicci wzruszyła ramionami.

- Pokonałeś go.

Richard zamrugął ze zdziwieniem.

- Tak to powiedziałaś, jakby był drobną przeszkodą. A nie był. Był przerażającą istotą, która omal nas nie zabiła.

Nicci potrząsnęła głową.

- A ja ci mówię, że chociaż Nicholas był taki przerażający, to nie o niego szło Jagangowi. Ostrzegając mnie niegdyś, żebym nie lekceważyła Nawiedzającego Sny, a teraz ja proszę ciebie: nie popełniaj tego samego błędu. On nigdy nie uważał, że Nicholas jest równym ci przeciwnikiem. To, co przed chwilą mówiłeś o roli wyobraźni w tworzeniu nowych rzeczy, ma w tym wypadku szczególny sens. Może nawet tłumaczy parę spraw. Z tej odrobiny, której się zdołałam dowiedzieć, wynikałoby, że Nicholas miał jedynie rozwinąć umiejętności Sióstr, którym Jagang nakazał tworzenie magicznego oręża. Nie był celem Jaganga, lecz wprawką do osiągnięcia tego celu. Ponieważ liczba Sióstr się zmniejszyła, takie ćwiczenie nabrało nowej wagi.

Richard dostał gęziej skórki, kiedy zaczął pojmować znaczenie słów Nicci.

- Chcesz powiedzieć, że stworzenie Nicholasa było dla Jaganga taką samą wprawką jak nakazanie cieślom zbudowania domu, zanim się ich pośle do budowy czegoś bardziej skomplikowanego, na przykład pałacu?

Nicci spojrzała nań i się uśmiechnęła.

- Otóż to.

- Ale przecież wysłał Nicholasa z wojskami, żeby władał krainą i pojmał nas.

- Zwykle wykorzystanie okazji. Jagang wpoił Nicholasowi chęć schwywania ciebie, ale to też była wprawką przed przejściem do właściwych celów. Tak naprawdę wcale się nie spodziewał, że Slide tego dokona. Imperator może cię nienawidzić za to, że mu utrudniasz zdobycie Nowego Świata, może cię uważać za niegodnego siebie przeciwnika, może cię uznawać za grzesznego poganina, zasługującego wyłącznie na śmierć, lecz jest wystarczająco bystry, by doceniać twoje umiejętności. Podobnie ty wysłałeś tego pojmanego żołnierza, żeby zabił Jaganga. Tak naprawdę nie spodziewałeś się, że samotny żołnierz zdoła zamordować dobrze strzeżonego imperatora. Nie miał on jednak dla ciebie żadnej wartości, więc wysłałeś go z tym zadaniem, a sam zająłeś się ważniejszymi i mającymi większą szansę realizacji sprawami. Gdyby żołnierza zabili, nie przejąłbyś się, bo i tak czekała go śmierć. Nicholas był właśnie takim żołnierzem. Był wyczarowanym stworem, wprawką przed wyczarowaniem czegoś o wiele potężniejszego. Nie miał dla Jaganga żadnej wartości, więc imperator, zamiast go zabić, wykorzystał go. Gdyby Nicholasowi mimo wszystko się udało, to Jagang by skorzystał, a skoro zabiłeś Slide'a, to tylko oddałeś imperatorowi przysługę.

Richard przeciągnął dłonią po włosach. Przytłoczyło go to wszystko. Niegdyś zarzucał Nicci, że nie potrafi patrzeć z szerszej perspektywy, a oto sam popełniał ten błąd.

- Co, twoim zdaniem, gorszego niż Nicholas Slide mógł wyczarować Jagang?

W owej chwili granie cykad wydawało się natarczywe i przytłaczające, jakby były okrążającymi go wrogami.

- Uważam, że poczynił postępy i już stworzył to swoje arcydzieło - odparła spokojnie Nicci. Szczelniej otuliła ramiona kocem. - I myślę, że właśnie to napadło na czekających w lesie ludzi Victora.

Richard wpatrywał się w nią w zapadającym zmroku.

- Co o tym wiesz?

- Niewiele - przyznała. - Usłyszałam zaledwie parę słów wyszeptanych przez udającą się w podróż jedną z Sióstr.

- W podróż?

- Do świata zmarłych.

Ton jej głosu i wyraz oczu sprawiły, że Richard nie miał ochoty pytać, co ową kobietę skłoniło do tej podróży.

- I co ona powiedziała?

Nicci westchnęła ze znużeniem.

- Że Jagang przemieniał więźniów i ochotników. Niektórzy z tych młodych czarodziejów naprawdę wierzyli, że się poświęcają dla większego dobra. - Potrząsnęła głową nad ich naiwnością. - To właśnie ta Siostra mi powiedziała, że Nicholas był jedynie etapem na drodze do osiągnięcia właściwych i wielkich celów Jego Ekscelencji. - Spojrzała na Richarda, upewniając się, że uważnie słucha. - Że Jagang jest bliski stworzenia istoty podobnej do tej, o której przeczytał w pradawnych księgach, lecz o wiele od niej doskonalszej, groźniejszej i niepokonanej.

Richardowi zjeżyły się włosy na karku.

- Istota? Co to za istota?

- Monstrum. Niepokonana bestia.

Richard przełknął ślinę, słysząc te ponure słowa.

- Co ta istota robi? Zdołałaś się dowiedzieć? Jaka jest jej natura?

Z jakiegoś powodu nie mógł się zmusić do powtórzenia słowa użytego przez Nicci, jakby się obawiał, że wywabi owego stwora z mroków nocy.

Nicci odwróciła oczy.

- Kiedy Siostra wpadała już w ramiona śmierci, uśmiechnęła się niczym sam Opiekun, który dopiero co porwał duszę, i rzekła: „Jeżeli Richard Rahl zrobi użytek ze swojej mocy, to bestia go rozpozna. A wtedy go odnajdzie i zabije. Jego życie, jak i moje, wreszcie dobiega kresu”.

Richard zamrugał.

- Powiedziała coś jeszcze? Nicci potrząsnęła głową.

- Właśnie wtedy wpadła w śmiertelne drgawki. Pokój pociemniał, kiedy Opiekun porwał jej duszę, należną mu na mocy umowy, którą niegdyś Siostra zawarła. Niepokoi mnie wprawdzie, jak ta istota nas odnalazła, nie uważam jednak, by sytuacja była tak rozpaczliwa, jak się wydaje. Tak naprawdę nie mamy dowodu na to, że to owa bestia Jaganga zaatakowała ludzi Victora. Przecież nie posługiwałaś się swoim darem, więc niby jak miałyby cię odnaleźć. Richard spojrzał na swoje buty.

- Kiedy żołnierze atakowali - powiedział cicho, pocierając palcem brzeg podeszwy - użyłem daru, żeby odtrącać strzały. Ale z tą ostatnią niezbyt mi wyszło.

- Lordzie Rahlu - wtrąciła Cara - nie sędzę, żeby tak było. Według mnie odtrącałeś strzały mieczem.

- Nie było cię tam wtedy, więc nie widziałaś, co się działo - odparł Richard, potrząsając głową. - Miecza używałem na żołnierzy. Nie mogłem nim jednocześnie odtrącać takiej liczby strzał. Strzały odpierałem moim darem.

Nicci zeszywniała.

- Korzystałeś z daru? A jak go przyzywałeś?

Richard machinalnie wzruszył ramionami. Żałował, że nie wie więcej o tym, co zrobił.

- Chyba przez desperacką potrzebę. Nie wiedziałem, że przez to stanę się odpowiedzialny za...

Nicci łagodnie dotknęła jego ramienia.

- Nie obwiniaj się bez potrzeby. Niby skąd miałeś o tym wiedzieć? Gdybyś tak nie postąpił, tobyś zginął. Chroniłeś swoje życie. Nic nie wiedziałeś o bestii. A poza tym pewnie nie tylko ty jesteś za to odpowiedzialny.

Richard spojrzał na nią chmurnie.

- To znaczy?

Nicci oparła się ciężko o skalną ścianę.

- Obawiam się, że mam swój udział w tym, że bestia nas odnalazła.

- Ty? Ale w jaki sposób?

- Żeby usunąć krew i cię wyleczyć, posłużyłam się magią subtraktywną. Siostra nie powiedziała w zasadzie nic, co by na to wskazywało, ale i tak dręczy mnie przecucie, że ta bestia jest jakoś sprzężona z zaświatami. Jeżeli tak, to pozbywając się uciskającej płuca krwi za pomocą magii subtraktywnej, mogłam niebaczenie, że tak powiem, dać temu monstrum posmakować twojej krwi.

- Zrobiłaś to, co było trzeba - odezwała się Cara. - Jedyłą rzeczą, jaką mogłaś zrobić. Gdybyś pozwoliła lordowi Rahlowi umrzeć, Jagang dostałby to, czego pragnie.

Nicci kiwnęła głową, wdzięczna Carze za te słowa. Richard wreszcie znów mógł oddychać.

- Co jeszcze możesz mi powiedzieć o tym stworze?

- Obawiam się, że nic ważnego. Siostra powiedziała, że jej towarzyszki, eksperymentujące z przemienianiem ludzi w oręż, stworzyły Nicholasa tylko po to, żeby przed przystąpieniem do głównego dzieła przeciwżyć pewne szczegóły. Ale i tak niektóre z nich przypłaciły życiem wyczarowanie Slide'a. A ponieważ wiele z nich zmarło wcześniej, Jagangowi może wkrótce zacząć ich brakować. Póki więc jeszcze ma ich wystarczająco dużo, wykorzystał je do osiągnięcia zamierzonego celu. Wyczarowanie bestii było o wiele bardziej skomplikowane i trudne niż wyczarowanie Slide'a, lecz podobno efekty sownie nagrodziły ów trud. Przypuszczam, że Jagang mógł nakazać działanie na skróty, łączące się z wykorzystaniem zaświatów. Jeżeli mamy pokonać tego stwora, musimy się o nim jak najwięcej dowiedzieć. I to zanim nas dopadnie. A sądząc po tym, co spotkało ludzi Victora, nie zostało nam zbyt wiele czasu.

Richard wiedział, co przemilczała: że powinien zapomnieć o mrzonkach o Kahlan i wszystkie wysiłki poświęcić pokonaniu groźnej bestii Jaganga.

- Muszę odnaleźć Kahlan - powiedział spokojnie, dając do zrozumienia, że z tego nie zrezygnuje.

- Niczego nie zdasz, jeśli zginiesz - stwierdziła Nicci. Richard zdjął pendent przez głowę. Oparł o skalną ścianę lśniąca pochwę z Mieczem Prawdy.

- Przecież nawet nie mamy pewności, czy ludzi Victora zabiła bestia, o której rozmawiamy.

- Co masz na myśli? - spytała Nicci.

- Skoro może mnie odnaleźć, kiedy się posłużę mocą, to dlaczego zaatakowała tych mężczyzn? Istotnie w tym właśnie miejscu korzystałem ze swojego daru, ale atak nastąpił dopiero po trzech dniach. Jeżeli miała mnie rozpoznać, kiedy użyję daru, to czemu zaatakowała ludzi Victora?

- Może myślała, że jesteś wśród nich - poddała Cara. Nicci skinęła głową.

- Cara może mieć słuszość.

- Może i tak - rzekł Richard. - Ale skoro rozpoznała mnie po moim darze, a przecież jeszcze dałaś jej posmakować mojej krwi, to czy nie powinna wiedzieć, że nie ma mnie wśród nich?

Nicci wzruszyła ramionami.

- Bo ja wiem? Bardzo możliwe, że używając daru, przyzywałeś bestię na

dany teren, lecz kiedy przestałeś z niego korzystać, to bestia, że tak powiem, przestała cię widzieć. Może tak ją rozzłościło to, że cię zgubiła, że wpadła w szal zabijania i uśmierciła wszystkich, którzy tam byli.

- Przecież Siostra powiedziała, że kiedy raz użyję swego daru, to bestia mnie rozpozna. Wydaje mi się, że z tych słów wynika, iż wcale nie muszę drugi raz używać daru, żeby mnie odnalazła.

- Może już teraz wie, kim jesteś - powiedziała Nicci. - A skoro już cię rozpoznaje, to pewnie tylko czeka, żebyś znów użył daru, a wtedy bez trudu cię znajdzie i zaatakuje.

Była w tym budząca grozę logika.

- To dobrze, że nie jestem uzależniony od swojego daru.

- Lepiej pozwól nam siebie chronić - wtrąciła Cara. - I nie rób niczego, przy czym niebacznie mógłbyś posłużyć się mocą.

- Muszę przyznać Carze rację - odezwała się Nicci. - Nie jestem pewna, czy bestia posmakowała twojej krwi. Za to jedno nie ulega wątpliwości: odnajdzie cię, jeżeli użyjesz swojego daru. Tak mówiła Siostra. Dopóki więc bestia na ciebie poluje i póki się o niej nie dowiemy tyle, żeby ją pokonać, pod żadnym pozorem nie możesz używać swojego daru.

Richard kiwnął głową. Nie wiedział, czy to realne. Nie miał pojęcia, jak przywołać swój dar, a tym bardziej nie wiedział, jak powstrzymać moc przed ujawnieniem się. To gniew ją budził, a potrzeba przywoływała. Nie znał jednak konkretnych warunków - to się po prostu działo. Ich założenie, że nie powinien korzystać ze swego daru, było całkiem sensowne, lecz nie miał pojęcia, czy zdoła nad nim zapanować, jeżeli owe specyficzne warunki zbudzą moc.

Kolejna niepokojąca myśl. Całkiem możliwe, że bestia go odnalazła, dokładnie wie, gdzie on jest, a ludzi Victora zabiła wyłącznie z żądzy krwi. Może teraz czai się w lesie, obserwuje, a granie cykad zagłusza kroki monstrum zbliżającego się do ich schronienia?

Nicci przyglądała mu się. Kiedy tak rozważał wszelkie ponure możliwości, znów dotknęła jego czoła. Potem cofnęła dłoń i powiedziała:

- A teraz odpoczywajmy. Drżysz z zimna. Obawiam się, że możesz dostać gorączki, bo jesteś jeszcze słaby. Połóż się. Musimy się wzajemnie ogrzać. Ale najpierw powinieneś wyschnąć, bo inaczej nigdy się nie rozgrzejesz.

Cara wychyliła się ku czarodziejce.

- A jak go chcesz osuszyć bez ognia?

- Obydwoje się połóżcie - nakazała Nicci.

Richard się położył. Cara, choć niechętnie, również. Nicci nachyliła się nad nimi, umieszczając dłonie tuż ponad ich głowami. Richard poczuł ciepłe mrowienie magii i nie było to tak niemiłe uczucie jak ostatnim razem. Nad Cara też widział delikatny blask. Przyszło mu na myśl, że to wspaniałe ze strony Nicci, iż tak ufa Carze, że działa na nią swoją magiczną mocą. Użycie magii wobec Mord-Sith dawało jej bowiem okazję zawładnięcia mocą i wykorzystania magii przeciwko postępującej się nią osobie.

A jeszcze bardziej zadziwiające wydało mu się, że Cara na tyle ufa Nicci, że jej na to pozwala. Mord-Sith nie cierpiała magii.

Nicci powolutku przesuwiała dłonie w dół, tuż ponad ich ciałami. Kiedy dotarła do butów Richarda, uświadomił sobie, że jest suchy. Dotknął koszuli, spodni - były suche.

- No i jak? - spytała Nicci. Cara łypała na nią gniewnie.

- Wolałabym być mokra. Nicci uniosła brew.

- Mogę to załatwić, skoro taka twoja wola.

Cara wsunęła dłonie pod pachy, żeby je rozgrzać, i milczała. Nicci, zadowolona, że Richardowi się to spodobało, osuszyła i siebie, przesuwając wolno dłonie ponad suknią, jakby wyciskała z niej wodę. Kiedy skończyła, drżała i szczękała zębami, lecz była sucha.

Dygotała tak, że aż Richard się wystraszył, iż może zemdleć. Usiadł więc i ostrożnie chwycił ją za ramię.

- Co z tobą?

- Jestem zupełnie wyczerpana - przyznała. - Od wielu dni bardzo mało spałam, wyęczałam siły, żeby cię uleczyć, a teraz jeszcze ten marsz po ataku na ludzi Victora. Wszystko teraz mnie dopadło, bo ta odrobinka magii kosztowała mnie resztkę sił i ciepła. Muszę się po prostu wyspać. A tobie, Richardzie, sen jest jeszcze bardziej potrzebny, choć może sobie tego nie uświadamiasz. Połóż się teraz i śpij, proszę. Jeżeli się ciasno ułożymy, to się wzajemnie rozgrzejemy.

Richard - suchy, lecz znużony i zmarznięty - wpełzł do swojego śpiwora. Miała rację: potrzebował wypoczynku. Nie zdobędzie pomocy dla Kahlan, jeżeli nie wypocznie.

Cara bez wahania ułożyła się tuż przy jego lewym boku, żeby go

rozgrzać. Nicci zrobiła to samo po prawej. Ciepło przyniosło mu ulgę. Nawet nie wiedział, jak bardzo jest zmarznięty, dopóki wszyscy troje nie stłoczyli się obok siebie. Zrozumiał, że Nicci ma rację, twierdząc, że jeszcze całkiem nie wyzdrowiał. Ale na szczęście potrzebował tylko wypoczynku, a nie magii.

- Myślisz, że ta bestia mogła porwać Kahlan, żeby łatwiej mnie dopaść? - spytał, leżąc w mrocznym i cichym schronieniu.

Chwilę potrwało, zanim Nicci odpowiedziała.

- Taka istota nie musi stosować przewrotnych metod, żeby cię dopaść, Richardzie. Ze słów Siostry i z tego, co uczyniłam, że już nie wspomnę o twoim posłużeniu się darem, wynikałoby, że bestia potrafi cię odnaleźć. A śmierć ludzi Victora świadczy, że chyba już to zrobiła.

Richard poczuł, jak przygniata go poczucie winy. Ci ludzie zginęli przez niego. Nie mógł się pozbyć tkwiącej w gardle kluchy. Żałował, że nie ma sposobu, by cofnąć to, co się stało, by wrócić im życie i przyszłość.

- Lordzie Rahlu - wyszeptała Cara. - Wyznam ci coś, jeżeli przysięgniesz, że nikomu tego nie powtórzysz.

Richard nie pamiętał, żeby kiedykolwiek coś takiego powiedziała.

- No dobrze. Co chcesz wyznać?

Trochę potrwało, zanim odpowiedziała, a zrobiła to tak cicho, że nic by nie usłyszał, gdyby nie był tak blisko.

- Boję się.

Objął ją i przytulił.

- Nie bój się. To poluje na mnie, nie na ciebie. Uniosła głowę i łypnęła na niego gniewnie.

- I właśnie dlatego się boję. Od kiedy zobaczyłam, co to zrobiło ludziom Victora, boję się, że dopadnie ciebie, a ja nie będę mogła cię ochronić.

- Och - zreflektował się Richard. - Jeżeli to ci pomoże, to wiedz, że i ja się boję.

Cara znów położyła mu głowę na ramieniu, rada z jego dodającej otuchy bliskości. Wszechobecne granie cykad nie wiadomo dlaczego sprawiało, że Richard czuł się bardziej narażony na niebezpieczeństwo. Nic nie zmieni i nie powstrzyma siedemnastoletniego cyklu życiowego owadów.

I nic nie powstrzyma bestii Jaganga. Jakże się zdoła przed nią ukryć?

- No to gdzie spotkałeś tę kobietę ze swoich snów? - zapytała Nicci, najwyraźniej chcąc poprawić ponury nastrój.

Richard nie wiedział, czy to sarkazm czy łagodny docinek. Gdyby miał mniej oleju w głowie, uznałby, że brzmiała w tym zazdrość. Zapatrzył się w ciemności i wrócił myślami do tamtego dnia.

- Byłem w lasach, szukałem dowodu na to, kto zabił mojego ojca. To znaczy człowieka, który mnie wychowywał i którego uważałem za ojca: George'a Cyphera. I wtedy dostrzegłem Kahlan idącą szlakiem wokół jeziora Trunt. Szli za nią czterej mężczyźni. Byli to asasyni wysłani przez Rahla Posępnego. Zdążył już zabić wszystkie Spowiedniczki, ona zaś jest ostatnią z nich.

- I ocaliłeś ją? - spytała Cara.

- Pomogłem jej. Wspólnie zdołaliśmy zabić asasynów. Zjawiała się w Westlandzie, szukając dawno zaginionego czarodzieja. Okazało się, że to Zedd był owym czarodziejem, którego miała odszukać. Wciąż był Pierwszym Czarodziejem, choć porzucił Midlandy i uciekł do Westlandu, zanim się urodziłem. Dorastając, nie miałem pojęcia, że Zedd jest czarodziejem i moim dziadkiem. Po prostu był moim najlepszym na świecie przyjacielem. - Wiedział, że Nicci mu się przygląda, czuł na policzku jej ciepły, delikatny oddech.

- Po co jej był ten wielki czarodziej?

- Rahl Posępny postanowił wykorzystać szkatuły Ordenu. To był dla wszystkich najgorszy koszmar. - Świetnie pamiętał strach wywołany tą wieścią. - Trzeba go było powstrzymać, nim otworzy właściwą szkatułę. Kahlan wysłano, by poprosiła Pierwszego Czarodzieja, żeby wyznaczył Poszukiwacza. Od kiedy ją zobaczyłem nad jeziorem Trunt, moje życie już nigdy nie było takie, jak przedtem.

Cara przerwała ciszę pytaniem:

- Więc to była miłość od pierwszego wejrzenia?

Udawały, że mu wierzą, żeby odwrócić jego uwagę od ludzi wymordowanych przez bestię Jaganga. Chciały, żeby przestał myśleć o polującym na niego monstrum.

Przyszło mu do głowy, że może gdzieś w lesie otaczającym ich obozowisko, w miejscu, do którego nie zajrzał, leżą poszarpane szczątki Kahlan. Miał wrażenie, że z bólu wywołanego ową myślą pęka mu serce.

Richard nie otarł łzy spływającej po policzku. Bardzo delikatnie zrobiła to Nicci. Jej dłoń leciutko, pieszczotliwie musnęła mu policzek.

- Lepiej spróbujmy zasnąć - powiedział.

Nicci cofnęła dłoń i znów położyła głowę na ramieniu Richarda.

On zaś leżał w ciemności i nie mógł zamknąć piekących oczu. Wkrótce usłyszał spokojny, miarowy oddech Cary, która zapadła w sen. Nicci przytuliła policzek do jego ramienia i przysunęła się bliżej.

- Nicci - wyszeptał.

- Tak?

- Jakie tortury zadaje Jagang więźniom?

Poczuł, jak Nicci głęboko wciąga powietrze i powoli je wypuszcza.

- Nie mam zamiaru odpowiadać na to pytanie, Richardzie. Na pewno wiesz o tym, że Jagang uwielbia zabijać.

Richard musiał zapytać. Czuł ulgę, że Nicci oszczędziła mu tej wiedzy.

- Kiedy Zedd dał mi miecz, powiedziałem mu, że nie będę mordercą. Od tamtej pory zrozumiałem, że aby ochronić życie, należy zabić złych ludzi. Szkoda, że wypędzenie Imperialnego Ładu z Nowego Świata nie jest równoznaczne z zabiciem Jaganga.

- Nie zliczę, ile razy żałowałam, że go nie zabiłam, kiedy miałam po temu okazję, chociaż masz rację, że nie zakończyłoby to wojny. Nie mogę przestać myśleć o okazjach, które zaprzepaściłam. Chciałabym móc przestać myśleć o tym wszystkim, co powinnam była zrobić.

Richard objął jej drżące ramiona. Czuł, jak jej mięśnie powoli się rozluźniają. Oddech stał się spokojny i miarowy - zasnęła. Jeśli ma odnaleźć Kahlan, to musi porządnie wypocząć. Zamknął oczy, popłynęła kolejna łza. Tak bardzo mu jej brakowało.

Wspominał ów dzień, kiedy po raz pierwszy ujrzał Kahlan w białej, połyskliwej sukni; dopiero dużo później dowiedział się, że to szata Matki Spowiedniczki. Pamiętał, jak suknia podkreślała jej kształty, nadawała jej szlachetny wygląd. Wspominał, jak długie włosy spływały jej na plecy. I jak patrzył w jej zielone oczy, jej piękne, mądre zielone oczy. I że od pierwszej chwili, od pierwszego odwzajemnionego spojrzenia czuł, iż zna ją od zawsze. Powiedział, że idzie za nią czterech mężczyzn. Spytała: „Postanowiłeś mi pomóc?” I zanim zdążył pomyśleć, usłyszał, jak odpowiada: „Tak”. Nigdy nie żałował, że tak zdecydował. Teraz też potrzebowała pomocy.

Zasnął, myśląc o Kahlan.

ROZDZIAŁ 9

Ann pospiesznie zawiesiła cynową latarnię na haku przed drzwiami. Zogniskowała swoją Han w ciepły pączek, który zapłonął ognikiem ponad wnętrzem dłoni. Weszła do niewielkiego pomieszczenia i ostrożnie przesłała płomyk na knot stojącej na stole świecy. Kiedy świeca zapłonęła, zamknęła drzwi.

Sporo czasu upłynęło od ostatniej wieści odczytanej w książce podróżnej. Z tym większą niecierpliwością chciała się więc zapoznać z nową.

Izdebka była ciasna i skromna. W otynkowanych ścianach nie było okien. Łóżko, niewielki stół i drewniane krzesło o prostym oparciu zajmowały prawie całe wnętrze. Była to sypialnia Ann oraz jej sanktuarium, miejsce, w którym mogła być sama, mogła myśleć, zastanawiać się i modlić. Jak również korzystać na osobności z książki podróżnej.

Na stole czekał na nią talerzyk z serem i pokrojonym w plastry owocem. Pewno Jennsen go tu postawiła, zanim poszła z Tomem wpatrywać się w księżyc.

Ann, bez względu na to, ile lat jej przybyło, niezmiennie się radowała, widząc, z jaką miłością patrzą na siebie zakochani. Zawsze im się wydawało, że wspaniale ukrywają swoje uczucia przed postronnymi, lecz były one tak wyraziste, że równie dobrze mogliby je sobie wypisać na czole. Czasami Ann żałowała, że ona i Nathan nigdy nie mieli takich chwil dla siebie, że nie mogli sobie pozwolić na takie zwyczajne, beztroskie zaloty. Uważano jednak, że Ksieni nie przystoi jawne okazywanie swoich uczuć.

Ann się zastanowiła. Dumiała, kiedy właściwie zaczęła w to wierzyć. Przecież kiedy była nowicjuską, nie mówiono im, że jeśli któraś z nich zostanie Ksienią, to zawsze będzie musiała ukrywać swoje uczucia. Poza, rzecz jasna, dezaprobatą. Prawdziwa Ksieni powinna jednym spojrzeniem sprawiać, że pod ludźmi uginają się kolana. Nie pamiętała, kiedy się o tym dowiedziała, lecz zawsze miała do tego dryg. Być może Stwórca od początku zamierzał uczynić ją Ksienią i dlatego obdarzył cechami odpowiednimi dla tej godności. Jakże jej czasami tego brakowało. Co więcej, nigdy nie dopuściła do uświadomienia sobie uczuć, jakie żywiła do Nathana. Nathan był Prorokiem. I kiedy ona była Ksienią Sióstr Światła, najwyższą władzą w

Pałacu Proroków, on był jej więźniem; i do tego to się sprowadzało, chociaż nigdy nie określali tego tak brutalnie, starając się łagodzić sytuację. Zawsze uważano, że Prorocy są zbyt niebezpieczni, żeby im pozwalać włóczyć się po świecie, pomiędzy zwykłymi ludźmi.

Nathana uznano za winowajcę, chociaż nie popełnił żadnego występku, a Ann przez większość życia bez zastanowienia była zwolenniczką tego archaicznego i irracjonalnego założenia. Teraz raczej wołała się nie zastanawiać, jak to o niej świadczyło.

Ona i Nathan byli już starzy i byli razem - choć niegdyś wydawało się to nieprawdopodobne - ale ich związku nie można było nazwać ponętym wabieniem się czy umizgami. Przeważającą część życia spędziła bowiem na znoszeniu jego błazeństw i dbaniu o to, żeby nigdy mu się nie udało pozbyć obroży ani uciec z zamknięcia w pałacu; to tylko wzmagало jego krnąbrność i narażało go na gniew Sióstr, przez co był jeszcze bardziej zuchwały. I tak w kółko.

Ale bez względu na rwetes, jaki potrafił wywołać, kiedy tylko zechciał, było w nim coś, co sprawiało, że Ann się w duchu uśmiechała. Czasami był jak dziecko. Blisko tysiącletnie dziecko. Dziecko będące czarodziejem. Obciążone darem Prorokowania. A wystarczyło, żeby otworzył usta i wygłosił proroctwo przed nieuczonymi tłumami, by w najlepszym razie wybuchły zamieszki, a w najgorszym - wojna. Przynajmniej tego się zawsze obawiano.

Ann była głodna, lecz odsunęła na bok talerz z serem i owocem. Mogły poczekać. Aż się paliła, żeby przeczytać wiadomość od Verny.

Usiadła na krześle i przysunęła się bliżej drewnianego stołu. Wyjęła niewielką, oprawną w skórę książkę podrózną i przekartkowała ją, aż znów natrafiła na pismo. Izdebka była mała i ciemna. Ann zmrużyła oczy, żeby lepiej widzieć słowa. Wreszcie musiała przysunąć ku sobie świecę.

Najdroższa Ann, mam nadzieję, że ty i Prorok macie się dobrze. Twierdzisz, że Nathan okazał się wartościowym poplecznikiem naszej sprawy, ale wciąż mnie martwi, że przebywasz w jego towarzystwie. Mam nadzieję, że jest równie chętny do współpracy jak wtedy, kiedy ostatnio do mnie pisałaś. Przyznaję, że trudno mi sobie wyobrazić, iż pomaga, nie mając na szyi obroży. Mam nadzieję, że zachowujesz ostrożność. Jeszcze nigdy nie słyszałam, by Prorok był całkowicie godny zaufania, a już zwłaszcza wtedy,

kiedy się uśmiecha!

Ann uśmiechnęła się do siebie. Aż za dobrze to rozumiała, lecz Verna nie знаła Nathana tak dobrze jak ona. Czasami mógł ich wpędzić w tarapaty łatwiej niż dziesięciu chłopców zjawiających się z żabami na kolacji, lecz mimo tego wszystkiego, co zostało powiedziane i zrobione, po tak wielu stuleciach znajomości z Prorokiem Ann właściwie nie znała nikogo innego, z kim miałyby tak dużo wspólnego. Westchnęła i powróciła do zapisków w książce podróży.

Mieliśmy mnóstwo roboty z odpięciem sił Jaganga od przejść do D'Hary, ale przynajmniej nam się poszczęściło. Może aż za bardzo. Odpisz, Ksieni, jeżeli tam jesteś.

Ann zmarszczyła brwi. Jak można odnieść zbyt duży sukces w powstrzymaniu grasujących hord od przzerwania linii obrony, od zabijania obrońców i obracania wolnych ludzi w niewolników? Niecierpliwie przysunęła bliżej świecę. Prawdę mówiąc, ogromnie ją niepokoiło, co też teraz - kiedy zima się skończyła i obeschło wiosenne błocko - knuje Jagang.

Nawiedzający Sny był wytrwałym nieprzyjacielem. Jego ludzie pochodzili z dalekiego południa, ze Starego Świata, i nie byli przyzwyczajeni do zim na północy Nowego Świata. Wielu pokonały ciężkie warunki, bardzo liczni pomarli z powodu chorób wybuchających w zimowym obozie. Jagang tracił ludzi w walkach, wskutek zarazy i z wielu innych przyczyn, lecz na północ docierali nowi ochotnicy - i armia stawała się coraz liczniejsza. Poza tym imperator nie marnował swych tak licznych szeregów na bezcelowe i nieskuteczne zimowe kampanie. Za nic miał życie swoich żołnierzy, ale zależało mu na podbiciu Nowego Świata, działał więc tylko wtedy, kiedy pogoda była odpowiednia, i nie ryzykował bez potrzeby. Twardo, nieubłaganie ścierał przeciwnika na proch. Interesowało go wyłącznie zdobycie władzy nad światem, a nie to, jak długo to potrwa. Świat istot żywych postrzegał poprzez nauki Bractwa Ładu. Życie pojedynczych ludzi, w tym jego własne, nie miało żadnego znaczenia - liczyła się wyłącznie przydatność dla Ładu.

Wrogie wojska w Nowym Świecie były tak liczne, że armia D'Hary była teraz całkowicie na łasce Nawiedzającego Sny. Była to wprawdzie wspaniała armia, lecz zbyt mała, żeby wytrzymać a tym bardziej odeprzeć - atak niezliczonych żołnierzy Imperialnego Ładu.

Chyba że Richard w jakiś sposób zdoła odwrócić losy wojny.

Proroctwo głosiło, że Richard jest „kamykiem w stawie”, czyli że spowodował docierające wszędzie i wszystko zmieniające fluktuacje. Proroctwo zapowiadało również - na wiele odmiennych sposobów i w wielu rozmaitych tekstach - że szansę na zwycięstwo będą mieli tylko wtedy, kiedy Richard będzie nimi dowodził w rozstrzygającej walce. Jeśli nie stanie wtedy na ich czele, to - proroctwo jednoznacznie to głosiło - wszystko przepadnie.

Ann przycisnęła dłoń do ćmiącego bólem dołka i wyjęła rysik spod grzbietu książki podróżnej, bliźniaczki tej, którą miała Verna.

Jestem, Verno, ale teraz to ty jesteś Ksienią. Prorok i ja dawno zmarliśmy i zostaliśmy pogrzebani.

To podstęp umożliwił im obojgu uratowanie tak wielu ludzi. Ann niekiedy tęskniła za czasami, kiedy była Ksienią, brakowało jej trzódki Sióstr. Wiele z nich bardzo lubiła; przynajmniej te, które nie okazały się w rzeczywistości Siostrami Mroku. Nigdy nie przestawała cierpieć z powodu tego, że zdradziły nie tylko ją, ale i Stwórcę.

Uwolnienie się od tak olbrzymiej odpowiedzialności umożliwiło Ann jednak zajęcie się inną, o wiele ważniejszą sprawą. Było jej ogromnie przykro, że musiała zrezygnować z dawnego życia, z funkcji Ksieni, i uciekać z Pałacu Proroków, lecz jej prawdziwym powołaniem był cel o wiele wyższy niż tkwienie w kamiennych ścianach i zarządzanie całym pałacem Sióstr, nowicjuszek i młodych czarodziejów pobierających tu nauki. Jej przeznaczeniem była ochrona świata istot żywych. Żeby się mogła bez przeszkód tym zająć, Siostry Światła i wszyscy inni powinni uwierzyć, że ona i Nathan nie żyją. Ann wyprostowała się na krześle, bo na stronicy zaczęło się pokazywać pismo Verny.

Rada jestem, Ann, żeś znów przy mnie, choćby tylko w książce podróżnej. Tak niewiele nas zostało. Przyznaję, że niekiedy tęsknię za spokojnym życiem w pałacu, za czasami, kiedy wszystko się zdawało o wiele łatwiejsze i o wiele sensowniejsze, a ja sobie tylko wyobrażałam, że jest takie trudne. Świat na pewno się zmienił od narodzin Richarda.

Temu Ann nie mogła zaprzeczyć. Wsunęła do ust kawałek sera, pochyliła się i zaczęła pisać.

Modłę się co dnia, żeby na świecie znów mógł zapanować taki ład i porządek i żebyśmy znów mogli narzekać jedynie na pogodę.

Jestem trochę zdezorientowana, Verno. Dlaczego napisałaś, że mieliście aż za wiele szczęścia w ochronie przełęczy? Wyjaśnij to, proszę. Czekam na odpowiedź.

Ann odchyliła się na krzesło i czekała, pojadając kawałek gruszki. Ponieważ jej książka podróżna była „parą” książeczeki Verny, to wpis do jednej z nich natychmiast pojawiał się w drugiej. Książki były jednymi z nielicznych magicznych przedmiotów ocalałych z Pałacu Proroków. Na pustej stronie znów się zaczęło pojawiać pismo Verny.

Nasi zwiadowcy i tropiciele donoszą, że Jagang ruszył. Ponieważ nie zdołał się przedrzeć przez przełęcz, rozdzielił wojska i część z nich prowadzi na południe. Generał Meiffert właśnie tego się obawiał.

Nietrudno przewidzieć jego strategię. Jagang bez wątpienia zamierza poprowadzić liczne zastępy swoich wojsk doliną Kernu, a potem od południa okrążyć góry. W ten sposób ominie wszelkie przeszkody, wdrze się na południowe krańce D’Hary, po czym ruszy na północ.

Dla nas to najgorsza wieść. Nie możemy zrezygnować z utrzymania przełęczy, skoro część jego wojsk czyha po drugiej stronie. A jednocześnie nie możemy dopuścić, żeby siły Jaganga ruszyły na nas od południa. Generał Meiffert twierdzi, że powinniśmy zostawić tu oddziały wystarczające do obrony przełęczy, a główny trzon armii wysłać na południe, na spotkanie najeźdźców.

Nie mamy wyboru. Połowa armii Jaganga została na północy, po drugiej stronie przełęczy, a połowa kieruje się na południe, żeby obejść góry i zaatakować od tamtej strony. Pałac Ludu tkwi dokładnie pośrodku, Jagang na pewno zaciera ręce.

Boję się, Ann, że nie zostało nam wiele czasu. Cały obóz wrze. Dopiero co się dowiedzieliśmy, że Jagang rozdzielił wojska. Pospiesznie zwijamy obóz i ruszamy na południe.

Muszę również podzielić Siostry. Tak wiele z nich zginęło, że właściwie nie ma kogo dzielić. Czasami wydaje mi się, że współzawodniczymy z Jagangiem o to, komu pierwszemu zostanie tylko jedna Siostra. Boję się tego, co spotka tych dobrych ludzi, kiedy wszystkie zginiemy. Gdyby nie to, z radością bym opuściła ten świat i połączyła się z Warrenem w świecie duchów.

Generał Meiffert mówi, że nie wolno nam marnować ani chwili i że

powinniśmy wyruszyć o pierwszym brzasku. Całą noc będę się zajmować przygotowaniami, dopilnowaniem, żeby każdej przełęczy broniła odpowiednia liczba Sióstr i żołnierzy, sprawdzaniem, czy osłony są nienaruszone. Gdyby północna armia Ładu przerwała nasze linie obronne, to raz-dwa byłoby po nas.

Muszę odejść do swoich zajęć, chyba że chcesz omówić coś ważnego.

Czytając to, Ann zasłoniła usta dłonią. Wieści naprawdę były przygnębiające. Natychmiast odpisała, żeby nie zabierać Vernie czasu.

Nie, moja droga, na razie nie ma nic ważnego. Wiedz, że zawsze o tobie pamiętam i jesteś mi droga.

Odpowiedź pojawiła się niemal natychmiast.

Przełęcze są wąskie, więc mogliśmy je skutecznie chronić. W tak ciasnych miejscach Imperialny Ład nie może wykorzystać swojej przygniatającej liczebnej przewagi. Wierzę, że utrzymamy przełęcze. Nie pozwoliliśmy Jagangowi przekroczyć gór. Musi cofnąć armię na południe, skoro pogoda wreszcie mu sprzyja, a potem wprowadzić ją do D'Hary - to nam da trochę czasu. Pójdę na południe z wojskiem, bo tam obecnie jest największe zagrożenie.

Módl się za nas. Pewnie w końcu będziemy musieli stawić czoło hordzie Jaganga na otwartych równinach, gdzie będzie mógł na nas rzucić wszystkie swoje wojska. Obawiam się, że - o ile nic się nie zmieni - nie przeżyjemy takiej bitwy.

Mogę jedynie mieć nadzieję, że Richard dopełni proroctwa, póki jeszcze żyjemy.

Ann wzięła się w garść, zanim odpowiedziała.

Verno, przyrzekam, że zrobię co w mojej mocy, żeby tak się stało. Wiedz, że razem z Nathanem ze wszystkich sił zadbamy o to, żeby proroctwo się dopełniło. Być może jedynie ty rozumiesz, że właśnie temu celowi poświęcałam życie przez ponad pół tysiąca lat. Nie wyrzeknę się swojej sprawy. Zrobię co w mojej mocy, żeby Richard dokonał tego, co tylko on jeden może uczynić. Oby Stwórca był z tobą i z naszymi bohaterskimi obrońcami. Co dnia będę się modlić za was wszystkich. Miej ufność w Stwórcy, Verno. Teraz ty jesteś Ksienią. Natchnij ową ufnością wszystkich, którzy cię otaczają.

Po chwili zaczęła się pojawiać odpowiedź.

Dziękuję Ann. Każdej nocy będę zaglądać do mojej książki podróżnej, by sprawdzić, czy masz jakieś wieści o Richardzie. Tęsknię za tobą. Mam nadzieję, że się jeszcze w tym życiu spotkamy.

Ann starannie wypisała ostatnią odpowiedź.

I ja również, dziecko. Pomyślnej podróży.

Ann podparła się na łokciach i masowała skronie. Nie były to dobre wieści, ale i nie całkiem złe. Jagang chciał się przedrzeć przez przełęcz i szybko całą rzecz zakończyć, lecz przełęcz wytrzymały i w końcu musiał podzielić wojska i rozpocząć długi, wyczerpujący marsz. Starła się dojrzeć jaśniejszą stronę. Wciąż mieli czas. Jeszcze wielu rzeczy mogli spróbować. Coś wymyślić. Richard mógł coś wymyślić. Proroctwo przyrzekało, że w nim jest nadzieja na ich ocalenie. Nie mogła się poddać, uwierzyć, że zło omroczy świat. Podskoczyła, usłyszawszy stukanie do drzwi. Przycisnęła dłoń do łomoczącego serca. Jej Han nie ostrzegła, że ktoś się zbliża.

- Kto tam?

- To ja, Ann. Jennsen - dobiegł zza drzwi przytłumiony głos.

Ann schowała rysik i ukryła książkę podróżną w pasie, odsunęła krzesło. Wygładziła spódnicę i głęboko wciągnęła powietrze, żeby uspokoić szybko bijące serce.

- Wejdz, kochanie - powiedziała, otwierając drzwi i uśmiechając się do siostry Richarda. - Dziękuję za talerz z posiłkiem. - Wyciągnęła rękę ku stolikowi. - Zechcesz go ze mną podzielić?

Jennsen potrząsnęła głową.

- Nie, dziękuję. - Na okolonej rudymi lokami twarzy malowało się zatroskanie. - To Nathan mnie przysłał, Ann. Chce, żebyś przyszła. Bardzo nalega. Wiesz, jak to z nim jest. Jakie mu się oczy robią wielkie i okrągłe, kiedy się czymś ekscytuje.

- Oooo taaak - przeciągnęła Ann - tak właśnie wygląda, kiedy coś knuje.

Jennsen zamrugęła, nieco zaskoczona.

- Obawiam się, że możesz mieć rację. Jasno i wyraźnie mi nakazał, żebym cię natychmiast przyprowadziła.

- Nathan uwielbia onieśmielać ludzi. - Ann gestem nakazała, żeby młoda kobieta poszła przodem. - Chyba lepiej będzie, jeśli się tym zajmę. Gdzie jest Prorok?

Jennsen uniosła latarnię, żeby sobie oświetlić drogę, i zbierała się do

wyjścia z małej izdebki.

- Na cmentarzu.

Ann chwyciła ją za rękaw.

- Na cmentarzu? I chce, żebym poszła na cmentarz? - Jennsen obejrzała się na nią przez ramię i potaknęła. - A co on robi na tym cmentarzu?

Jennsen przełknęła ślinę.

- Kiedy go o to spytałam, odparł, że wykopuje umarłego.

ROZDZIAŁ 10

Li rozłożystej płaczącej wierzby rosnącej na trawiastym stoku, którym się schodziło ku cmentarzowi, niósł się ostry głos przedrzeźniacza, odstraszającego konkurentów od swojego terytorium. Głos ptaka zwykle wydawał się Ann całkiem miły, lecz tym razem owe rozdzierające niezmaconą nocną ciszę przenikliwie świsty, ćwierkania i okrzyki szarpały jej nerwy. Z oddali słyszała głos innego przedrzeźniacza, rzucającego podobne groźby. Nawet ptaki nie potrafiły zawrzeć pokoju.

Jennsen, idąc w wysokiej, bujnej trawie, uniosła latarnię, żeby Ann lepiej widziała, i drugą ręką wskazała kierunek.

- Tom powiedział, że tam go znajdziemy.

Ann, spocona po długim marszu, wpatrzyła się w ciemności. Nie mogła się domyślić, co tym razem wpadło Nathanowi do głowy. Jak długo go znała, nigdy tak dziwacznie nie postąpił. Jasne, miał wiele dziwactw, ale takiego nie. Można by pomyśleć, że ktoś w jego wieku nie powinien przed czasem pchać się na cmentarz.

Jennsen ruszyła w dół stoku, a Ann poszła za nią, starając się nie biec. Brakowało jej tchu, jakby maszerowały już przez pół nocy. Ann nie wiedziała o istnieniu cmentarza, zapomnianego na tym odludziu. Żałowała, że nie wzięła ze sobą trochę stawy, która została w jej izdebce.

- Tom na pewno jeszcze tam jest? Jennsen obejrzała się przez ramię.

- Powinien być. Nathan chciał, żeby stał na straży.

- Po co? Żeby odpędzić inne hieny cmentarne?

- Bo ja wiem? Może i tak. - Jennsen nawet się nie uśmiechnęła. Ann nie była dobra w rozśmieszaniu ludzi. Wspaniale potrafiła sprawić, że pod ludźmi uginały się kolana, lecz żarty jej się nie udawały. Uznała, że cmentarz ciemną nocą nie jest odpowiednim miejscem do żartów. Za to z całą pewnością jest to odpowiednia okazja, by drżały kolana.

- Może Nathan po prostu chciał mieć towarzystwo - zasugerowała Ann.

- Raczej nie o to mu chodziło. - Jennsen znalazła okalający cmentarz niski płotek i przekroczyła go. - Nathan prosił, żebym cię przyprowadziła, i chciał, żeby Tom stanął na warcie. Uważam, że chciał się upewnić, czy w pobliżu nie ma kogoś, kogo on by nie wyczuł.

Nathan uwielbiał rozkazywać. Ann przypuszczała, że to charakterystyczne dla każdego mającego dar Rahla. Całkiem możliwe, że był to tylko pretekst, żeby skłonić Jennsen, Toma i Ann do spełniania jego poleceń. Prorok miał zmysł dramatyczny, a cmentarz z całą pewnością stwarzał odpowiedni nastrój.

Prawdę mówiąc, Ann byłaby zadowolona, gdyby to się okazało typowym dla Nathana wyskokiem. Niestety, miała przeczucie, że to nie taka prosta i nieszkodliwa sztuczka.

Przez te wszystkie stulecia ich znajomości Nathan bywał kłamliwy, tajemniczy, a chwilami i groźny, lecz nigdy nie dążył do złego - choć to nie od razu bywało widoczne. Przez prawie cały czas swojego uwięzienia w Pałacu Proroków wystawiał cierpliwość Sióstr na ciężką próbę, sprawiał, że miały ochotę krzyczeć i rwać włosy z głów, ale nigdy nie był złośliwie uparty czy wzgardliwy wobec zacnych ludzi. Stanowczo nie cierpiał tyranii i niemal po dziecięcemu radował się życiem. Chociaż czasami był nie do wytrzymania (i to jak!), miał jednak dobre serce.

Niemal od początku, pomimo wszelkich okoliczności, był powiernikiem Ann i jej sojusznikiem w walce o to, żeby Opiekun nie zdobył przyczółków w świecie istot żywych, oraz w walce ze złymi ludźmi znęcającymi się nad innymi. Ciężko się trudził, żeby pomóc w przeciwstawieniu się Jagangowi. W końcu to Nathan pierwszy pokazał Ann prorocstwo dotyczące Richarda, i to na pięćset lat przed jego narodzinami.

Ann uświadomiła sobie, że wolałaby, żeby nie było ciemno i żeby nie byli na cmentarzu. I żeby Jennsen nie miała takich długich nóg. Nagle pojęła, dlaczego Nathan kazał Tomowi stać na straży i pilnować, żeby się tu nie kręcił nikt, kogo by nie wyczuł, jak to przekazała Jennsen. Dlatego że, podobnie jak Jennsen, wszyscy mieszkańcy Bandakaru byli całkowicie pozbawieni daru. Brak im było nawet najmniejszej iskiejki daru Stwórcy, obecnej we wszystkich pozostałych mieszkańcach świata. I sprawiającej, że byliby podatni na magię. Dla Bandakarczyków magia nie istniała.

Brak owej wrodzonej odrobinki daru nie tylko czynił ich absolutnie odpornymi na magię, ale i - ponieważ nie mogli wchodzić w żadne reakcje z czymś, co dla nich nie istniało - niewidocznymi dla mocy.

Potomstwo dziedziczyło całkowity brak daru nawet wtedy, kiedy była to cecha tylko jednego z rodziców. W pradawnych czasach wypędzono tych

ludzi, żeby ludzkość nie utraciła całkowicie daru.

Było to, rzecz jasna, dramatyczne rozwiązanie problemu, lecz dzięki temu dar przetrwał w ludzkiej rasie. Gdyby wówczas nie podjęto tej decyzji, magia już dawno przestałaby istnieć.

Ponieważ proroctwo również było związane z magią, było ślepe na owych ludzi. W żadnej księdze proroctw nie było nawet wzmianki o całkowicie pozbawionych daru czy o przyszłości ludzi i magii po tym, jak Richard odnalazł owych niemagicznych i położył kres ich wygnaniu. Nie było wiadomo, co się teraz wydarzy.

Ann się domyślała, że Richard musiał to załatwić po swojemu. Nie był wielkim entuzjastą proroctw. Cokolwiek by proroctwo o nim mówiło, Richard w ogóle nie brał go pod uwagę. Wierzył w wolną wolę. Nieprzychylnie traktował uwagi, że w jego przypadku pewne rzeczy są z góry przesądzone.

Wszystkie procesy życia, a zwłaszcza magia, muszą być zharmonizowane. Musi istnieć równowaga. I wynikające z wolnej woli czyny Richarda w pewnym sensie stanowiły przeciwwagę dla proroctwa. Był osiłą zawieruchy mocy. W jego wypadku proroctwo usiłowało przewidzieć nieprzewidywalne. A przecież musiało tego dokonać.

Najbardziej niepokojące było to, że wolna wola Richarda czyniła z niego niewiadomą w przepowiedniach - i to nawet tych, które go bezpośrednio dotyczyły. Był zamętą wśród porządku, nieładem wśród struktury, był nagły i nieprzewidywalny jak błyskawica. Kierował się jednak prawdą i rozsądkiem, a nie kaprysem czy przypadkiem, nie był samowolny. Dla Ann było zagadką, w jaki sposób mógł być takim siewcą zamętu wśród proroctw, a jednocześnie kimś całkowicie rozsądnym.

Ann bardzo się martwiła o Richarda, bo takie sprzeczności u osób z darem poprzedzały niekiedy skłonność do urojeń. A ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowali, był cierpiący na urojenia przywódca. Były to jednak tylko teoretyczne dociekania. Najważniejsze to - póki był jeszcze czas - doprowadzić do tego, żeby przyjął przepowiedzianą mu rolę i dopełnił swego przeznaczenia. Jeżeli im się nie uda, jeżeli on zawiedzie, to wszystko będzie stracone.

Wiadomości od Verny, niczym zapowiedź końca, wciąż tkwiły w pamięci Ann.

Tom dostrzegł ich latarnię i wyłonił się z ciemności. Biegł ku nim przez wysoką trawę.

- Jesteś wreszcie - powiedział do Ann. - Nathan ogromnie się ucieszy. Chodźcie, wskażę wam drogę.

Zerknęła nań w nikłym świetle latarni - miał zatroskaną minę.

Wielki D'Harańczyk poprowadził je w głąb cmentarza, gdzie miejscami znajdowały się nieco wystające nad poziom gruntu, wyznaczone kamieniami groby. Te musiały być nowsze, bo resztę zarosła wysoka trawa, zakrywając i groby, i wyznaczające je kamienie. W jednym miejscu tkwiło kilka niewielkich granitowych nagrobków. Czas tak je zniszczył, że można było powiedzieć tylko jedno - są bardzo stare. Niektóre groby oznakowano zwykłymi deskami, na których wyryto imiona. Większość z tych znaków dawno zmieniła się w proch i groby wyglądały teraz jak zwykła trawiasta połać ziemi.

- Wiesz, co to za stworzenia tak hałasują? - Jennsen spytała Toma.

- Nie - odparł. - Nigdy przedtem ich nie widziałem. A teraz nagle wszędzie ich pełno.

Ann uśmiechnęła się do siebie.

- To cykady.

Jennsen spojrzała na nią przez ramię, marszcząc brwi.

- Co?

- Cykady. Nic dziwnego, że nie wiesz, co to takiego. Podczas ich ostatniego rojenia pewnie jeszcze uczyłaś się chodzić, byłaś za mała, żeby je zapamiętać. Cykady o czerwonych oczach mają siedemnastoletni cykl życiowy.

- Siedemnastoletni! - rzekła ze zdumieniem Jennsen. - Mówisz, że się pojawiają co siedemnaście lat?

- Niezawodnie. Kiedy samiczki połączą się w pary z tymi hałaśliwymi samczykami, złożą jaja w gałązkach. Potem z jaj wylęgną się larwy i spadną z drzew na ziemię, w której się zagrzebią. Wyjdą z niej dopiero po kolejnych siedemnastu latach na krótkie dorosłe życie.

Jennsen i Tom szeptali ze zdumieniem, idąc w głąb cmentarza. W słabym świetle latarni Jennsen Ann dostrzegała jedynie ciemne zarysy drzew chwiejących się niekiedy na gorącym wietrze. Szli cicho przez cmentarz, a cykady nieprzerwanie grały w otaczającej ich ciemności. Ann próbowała

swoją Han wyczuć, czy w pobliżu jest jeszcze ktoś prócz nich, lecz wyczuwała jedynie Toma i, gdzieś w oddali, jeszcze jedną osobę, pewnie Nathana. Jennsen była całkowicie pozbawiona daru, więc nieuchwytna dla jej Han.

Jennsen, tak jak Richarda, spłodził Rahl Posępny. Narodziny jej podobnych, całkowicie pozbawionych daru, były nieoczekiwanym i rzadko zdarzającym się efektem ubocznym magii więzi, którą miał każdy obdarzony mocą lord Rahl. W pradawnych czasach, kiedy owa cecha zaczęła się rozprzestrzeniać, zdecydowano się wypędzić wszystkich pozbawionych daru i odgrodzić ich w odległej i potem zapomnianej krainie Bandakar. A później uśmiercano każdego pozbawionego daru potomka lorda Rahla.

Richard - w przeciwieństwie do poprzednich lordów Rahlów - był zachwycony odkryciem, że ma siostrę. Nigdy by jej nie skazał na śmierć za to, że się urodziła bez daru, i nigdy by nie pozwolił na wygnanie siostry i jej podobnych.

Ann już od jakiegoś czasu mieszkała pośród tych ludzi, a jeszcze nie przywykła do tego, jakie to może być mylące. Nawet kiedy jeden z nich stał tuż przed nią, Ann swoją magiczną mocą nie wyczuwała niczyjej obecności - zupełnie jakby nikogo przed nią nie było. Było to jak ślepotą, utrata jednego ze zmysłów zawsze uważanego za oczywisty.

Jennsen, żeby dotrzymać kroku Tomowi, musiała iść wielkimi krokami. Ann zaś, żeby nie pozostać za nimi w tyle, musiała się puścić truchtem.

Wyszli z za niewielkiego wzgórka i ujrzeli kamienny monument. Blask latarni oświetlił jeden bok prostokątnej podstawy, nieco wyższej niż Ann, lecz niższej niż Jennsen. Chropowaty kamień był bardzo zniszczony przez czas, podziurawiony; kwadratowe wgłębienia w bokach okalały kamienne listwy. Kamień nie zachował żadnych śladów wygładzania. Blask lampy, przesuwając się po jego powierzchni, ukazał odbarwione warstwy oraz kępki musztardowych porostów. Na tej wielkiej podstawie stała duża urna, z której zwieszały się kiście kamiennych winogron. Nathan przepadał za winogronami.

Tom prowadził je przed monumentem i Ann ze zdziwieniem stwierdziła, że prostokątny kamień został przesunięty. Spod spodu sączyło się nikłe światło. Cały monument został obrócony i odsłonił kamienne stopnie prowadzące pod ziemię, w łagodny blask światła.

Tom spojrział na nie znacząco.

- On tam jest.

Jennsen ostrożnie się nachyliła i zajrzała w czeluść.

- Nathan tam jest? U stóp tych schodów?

- Taak - odparł Tom.

- A co to za miejsce? - spytała Ann. Tom przepaszająco wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Nawet nie wiedziałem do tej pory, że to jest tutaj. Dopiero przed chwilą Nathan mi pokazał, gdzie go znaleźć. Powiedział, że mam cię przysłać na dół, gdy tylko się zjawisz. Bardzo na to nalegał. Nie chce, żeby ktokolwiek się dowiedział, że to tutaj jest. Kazał mi stanąć na warcie i odpędzać ludzi od cmentarza, chociaż wątpię, żeby w ogóle ktoś tu jeszcze przychodził, a już zwłaszcza w nocy. Bandakarczycy nie szukają przygód.

- W przeciwieństwie do Nathana - mruknęła Ann i poklepała Toma po muskularnym ramieniu. - Dziękuję, chłopcze. Lepiej zrób, co nakazał Nathan, i pilnuj. A ja zejść na dół i przekonam się, o co chodzi.

- Obie zejdziemy - oznajmiła Jennsen.

ROZDZIAŁ 11

Ann, zatroskana i zarazem zaciekawiona, natychmiast zaczęła schodzić po zakurzonych schodach. Jennsen szła tuż za nią. Na podeście skręciły w prawo, potem w dół po kolejnych stopniach. Na trzecim podeście długi ciąg schodów poprowadził je w lewo. Brudne kamienne ściany były stanowczo zbyt blisko siebie. Strop wisiał nisko, nawet dla Ann, Jennsen zaś musiała się pochylać. Ann miała uczucie, że jest połykana, że przez nadpsuty przełyk przesuwa się do brzucha cementarza.

U stóp schodów przystanęła i patrzyła z niedowierzaniem. Jennsen cicho gwizdnęła. Na dole bowiem nie było lochu, lecz dziwaczne kręte pomieszczenie, jakiego Ann jeszcze nigdy nie widziała. Kamienne ściany załamywały się pod najosobliwszymi kątami, każda na swój sposób, zupełnie niezależnie od pozostałych. Powyginany wężowato pokój ciągnął się w dal, tu i tam niknąc za wybrzuszeniami i wysuniętymi narożnikami.

Panował tu dziwny uładzony nieporządek, co Ann niepokoiło i intrygowało zarazem. Ciemne zagłębienia w tynkowanych ścianach okalały niebieskie symbole i ozdoby, wyblakłe teraz i miejscami złuszczone. Były i słowa, lecz tak zatarte przez czas, że odczytanie ich wymagałoby wiele trudu. Pod zygzakowatymi ścianami stały tu i tam stare drewniane stoły oraz półki z książkami, wszystko pokryte kurzem. Wszędzie wisiały nieruchome, ciężkie od kurzu pajęczyny, niczym draperie mające ozdabiać to pomieszczenie pod grobami. Na stołach i w niektórych pustych zagłębieniach płonęło wiele świec, nadając temu miejscu łagodny, nieziemski poblask - jakby wszyscy zmarli, spoczywający ponad głową Ann, schodzili od czasu do czasu tutaj, żeby omawiać sprawy ważne jedynie dla martwych i żeby przyjąć nowych członków w szeregi wiekuistego zakonu.

Nathan stał wśród zsuniętych razem czterech masywnych stołów, za cienkimi zasłonami z mocno zakurzonych pajęczyn. Na blatach piętrzyły się wysokie stosy książg.

- A, jesteś! - zawołał z tej swojej książkowej fortecy.

Ann spojrzała z ukosa na Jennsen.

- Nie miałam pojęcia, że tutaj jest to pomieszczenie - odparła młoda kobieta, choć Ann nie zdążyła zadać pytania. W jej błękitnych oczach

odbijały się płomyki świec. - Nie wiedziałam, że coś takiego w ogóle istnieje.

Ann znów się rozejrzała.

- Wątpię, czy przez ostatnie parę tysiącleci ktoś wiedział o istnieniu tego miejsca. Ciekawa jestem, jak on je znalazł.

Nathan zatrzasnął księgę i odłożył na piętrzącą się za nim stertę. Proste białe włosy otarły się o ramiona, kiedy się odwracał. Wbił w Ann lazurowe oczy przysłonięte opadającymi powiekami.

Ksieni wyczytała w jego spojrzeniu nie wypowiedziane zalecenie. Odwróciła się ku Jennsen.

- Idź na górę i poczekaj z Tomem, kochanie. Musi się czuć samotny, stojąc na warcie na cmentarzu.

Jennsen była nieco rozczarowana, ale rozumiała, że chcą rozmawiać w cztery oczy. Uśmiechnęła się.

- Jasne. Gdybyś czegoś potrzebowała, będę na górze.

Kiedy odgłos kroków Jennsen na kamiennych schodach oddalił się i ścichł, Ann ruszyła krętą dróżką pomiędzy pajęczynami.

- A cóż to za miejsce, Nathanie?

- Nie musisz szeptać. Widzisz, jak dziwacznie zakręcają te ściany? Tłumią echo.

Ann ze zdumieniem przekonała się, że Nathan ma rację. Pogłos w kamiennych komnatach był zazwyczaj denerwujący, lecz w tym zygzakowatym pomieszczeniu panowała martwa cisza.

- W kształcie tego pomieszczenia jest coś dziwnie znajomego.

- Kamuflujący czar - rzekł bezceremonialnie Prorok. Ann zmarszczyła brwi.

- Słucham?

- Struktura całości ma formę kamuflującego czaru. - Dostrzegł jej zdumienie i wskazał na boki. - Formą zaklęcia nie jest, jak w przypadku Pałacu Proroków, plan całości, umieszczenie pokoi i przebieg mniejszych i większych korytarzy. To linia samych ścian tworzy wzór zaklęcia, zupełnie jakby ktoś je wyrysował na ziemi, potem wybudował dokładnie je powtarzające ściany i dopiero potem wydrążył środek. Ściany mają jednakową grubość, a to oznacza, że ich zewnętrzna część również odpowiada formie zaklęcia, co je dodatkowo wzmacnia. Pomysłowe.

Żeby taki czar działał, należało go wyrysować krwią, wykorzystując

ludzkie kości. Tych ostatnich w pobliżu pewno nie brakowało.

- Ktoś na pewno zadał sobie wiele trudu - rzekła Ann, ponownie się wszystkiemu przyglądając; tym razem zaczęła rozpoznawać niektóre linie i kąty. - Do czego właściwie służy to pomieszczenie?

- Dokładnie nie wiem - przyznał z westchnieniem. - Nie mam pojęcia, czy te księgi miały być na wieki pogrzebane ze zmarłymi, czy je tu ukryto, a może chodziło o coś jeszcze innego. - Skinął dłonią. - Tędy. Pozwól, że ci coś pokażę.

Ann poszła za nim przez kilka zygzaków, zakrętów i obok wielu półek z zakurzonymi księgami, aż dotarli do miejsca, gdzie po obu stronach przejścia znajdowały się nisze. Nathan wsparł się łokciem o ścianę.

- Spójrz tam. - Długim palcem wskazał jeden z łukowatych otworów w kamiennej ścianie.

Ann pochyliła się i zajrzała. Spoczywały tam zwłoki, z których pozostały jedynie kości okryte zakurzonymi resztkami szat. Talię okalał skórzany pas, rzemień zachodził za jedno ramię. Ramiona były skrzyżowane na piersi. Na szyi wisały złote łańcuchy. Odblask światła na jednym z medalionów zdradził Ann, że Nathan musiał go unieść, żeby obejrzeć, i starł palcami pył.

- Domyślasz się, kto to? - spytała, prostując się i splatając przed sobą dłonie.

Nathan pochylił się ku niej.

- Sądzę, że był Prorokiem.

- A myślałam, że tu nie trzeba szeptać.

Uniósł brew i wyprostował się na całą - znaczną - wysokość.

- Pochowano tu pewną liczbę ludzi. - Skinął dłonią ku mrokom. - O, tam.

Ann zastanawiała się, czy i oni byli Prorokami.

- A księgi?

Nathan znów się ku niej nachylił i szepnął:

- Proroctwa.

Zmarszczyła czoło i obejrzała się na drogę, którą tu przyszli.

- Proroctwa. Chcesz powiedzieć, że we wszystkich księgach? Że to wszystko księgi z przepowiedniami?

- Większość.

Ogromnie się podekscytowała. Księgi proroctw były bezcenne. Jak najrzadsze klejnoty. Takie księgi mogły udzielić wskazówek, dostarczyć

potrzebnych im odpowiedzi, oszczędzić próżnych wysiłków, uzupełnić luki w wiadomościach. Musieli się więcej dowiedzieć o rozstrzygającej bitwie, do której miał ich poprowadzić Richard. Jeszcze się nie dowiedzieli, kiedy ta bitwa ma się odbyć. Biorąc pod uwagę irtujące kaprysy proroctw, mogło ich od niej dzielić jeszcze wiele lat. A nawet mogło do niej dojść dopiero wtedy, kiedy Richard się zestarzeje. W ostatnich paru latach napotkali tyle trudności, że mogli jedynie mieć nadzieję, iż do bitwy zostało jeszcze wiele lat i będą mieli czas się przygotować. Proroctwa mogłyby im w tym pomóc.

W podziemiach Pałacu Proroków były tysiące tomów proroctw, lecz wszystkie zostały zniszczone razem z pałacem, żeby nie wpadły w szpony imperatora Jaganga. Lepiej na zawsze utracić takie księgi, niż pozwolić, by zło spojrzało na ich stronice. Lecz o tym pomieszczeniu nikt nie wiedział. Skrywał je kamuflujący czar. Ann natychmiast dostrzegła oszałamiające możliwości.

- Nathanie... to wspaniałe!

Odwróciła się i spojrzała na niego. Sposób, w jaki się jej przyglądał, wzbudził w Ann niepokój. Dotknęła jego ramienia.

- To więcej, niż się kiedykolwiek spodziewaliśmy, Nathanie.

- Jest w tym coś jeszcze - odparł zagadkowo. - Są tu księgi, przez które zwątpiłem, czy jestem przy zdrowych zmysłach - dodał z teatralnym gestem.

- Aaach - zażartowała idąca za nim Ann - wreszcie się przyznałeś.

Zatrzymał się i popatrzył na nią gniewnie.

- To nie temat do żartów. Ann dostała gęziej skórki.

- No to mi pokaż, co znalazłeś - rzekła poważnie. Potrząsnął głową, zły humor natychmiast zniknął.

- Sam dobrze nie wiem. - Chodził wokół zsuniętych stołów bez zwykłej zadzierzystości; już nie zły, lecz pełen rezerwy. - Sortowałem księgi.

Ann chciała go popędzić, żeby szybciej dotarł do sedna swojego odkrycia, lecz wiedziała, że kiedy Nathan jest w tym nastroju, to powinien wyjaśniać wszystko po swojemu, zwłaszcza gdy w grę wchodzi zagadkowe przypuszczenia.

- Sortowałeś? Potaknął.

- Ta sterta jest dla nas raczej zupełnie nieprzydatna. Większość to już od dawna nieaktualne proroctwa, zawierają jedynie nieistotne zapiski lub są w nieznanym językach. - Odwrócił się i położył dłoń na drugiej stercie. Uniosły

się tumany kurzu. - Te tutaj to księgi, które mieliśmy w pałacu. - Przesunął dłoń przed piętrzącymi się wysoko na blacie stertami. - Wszystkie. Cały ten stół.

Ann otworzyła szeroko oczy. Spojrzała na półki i nisze biegnące w głąb dziwnego pomieszczenia.

- Tam jest o wiele więcej ksiąg, niż zgromadziłeś na stole. Te to zaledwie ich część.

- Istotnie. Jeszcze nie miałem okazji wszystkich przejrzeć. Uznałem, że lepiej będzie, jak pošlę Toma po ciebie. Chciałem, żebyś zobaczyła, co znalazłem. Jest mnóstwo do przeczytania. Wyciągałem po jednej księdze, przeglądałem ją i odkładałem na jeden z tych stosów na stołach.

Ann się zastanawiała, ile z tych ksiąg - po tysiącach lat pod ziemią - będzie wciąż zdalnych do użytku. Znajdowała już księgi zniszczone przez czas i warunki, zwłaszcza przez pleśń i wodę. Rozejrzała się, badając wzrokiem ściany i strop, ale nie znalazła żadnych oznak przecieków.

- Żadna z tych ksiąg na pierwszy rzut oka nie wygląda na zniszczoną przez wodę. Jak to podziemne pomieszczenie może być takie suche? A wydawałoby się, że woda przesączy się przez spoiny w kamieniu i że wszystko będzie wilgotne i spleśniałe. Własnym oczom nie wierzę, że księgi wydają się w takim dobrym stanie.

- Wydają się to właściwe określenie - rzekł cicho Nathan. Odwróciła się i popatrzyła nań gniewnie.

- Co masz na myśli?

Z irytacją machnął ręką.

- Za chwilę, za chwilę. Ciekawe, że strop i ściany wyłożono ołowiem, żeby chronić wnętrze przed wodą. Dla jeszcze lepszej ochrony otoczono całość magiczną tarczą. Wejście też miało osłonę.

- Przecież Bandakarczycy nie mają ani odrobiny magii, a ich kraj był odgradzony. Nie było nikogo z magiczną mocą, przed kim by to trzeba było chronić osłonami.

- Granica odgradzająca kraj wygnańców w końcu zanikła - przypomniał jej Nathan.

- Racja, racja, zanikła. - Ann stuknęła się palcem w brodę. - Ciekawam, jak to się stało.

Nathan wzruszył ramionami.

- Teraz nie jest ważne „jak”, chociaż i mnie to ciekawi. - Machnął ręką, jakby odsuwał na bok ten temat. - Na razie istotne jest to, że znikła. Ci, którzy zgromadzili tu owe księgi, chcieli, żeby były ukryte i dobrze chronione, i zadali sobie wiele trudu, żeby to osiągnąć. Osłony nie powstrzymałyby tutejszych pozbawionych magii ludzi, ale ciężar kamiennego monumentu byłby wystarczającą przeszkodą. Nie mieli jednak żadnego powodu, żeby go przesuwac, chyba że mieliby podstawy przypuszczać, iż coś się kryje pod spodem. A co by im mogło nasunąć takie przypuszczenia? Skoro to wszystko pozostało nietknięte przez tysiące lat, to znaczy, iż nigdy się nie zorientowali, że coś się pod tym monumentem kryje. Uważam, że osłony miały chronić przed ewentualnymi najeźdźcami, którzy - jak to uczynili ludzie Jaganga - zapędziliby się do Bandakaru.

- To brzmi całkiem sensownie - mruknęła Ann. - Raczej się nie spodziewali, że granica odcinająca Bandakar kiedykolwiek zaniknie, i te osłony były dodatkowym zabezpieczeniem.

- Lub prorocstwem - dodał Nathan.

Spojrzała na niego.

- Otóż to.

Trzeba było czarodzieja o talentach Nathana, żeby złamać takie zabezpieczenia. Nawet Ann brakło umiejętności niezbędnych przy niektórych osłonach. Wiedziała też, że trafiały się i takie osłony z pradawnych czasów, które można było pokonać tylko za pomocą magii subtraktywnej.

- Całkiem możliwe, że księgi umieszczono tutaj, żeby chronić tak cenne dzieła. Na wypadek, gdyby coś się przydarzyło ich odpowiednikom.

- Naprawdę myślisz, że tylko w tym celu zadaliby sobie aż tyle trudu? - spytała.

- Wszystkie księgi z Pałacu Proroków już przepadły, nieprawdaż? Księgom prorocstw stale coś zagraża.. Niektóre zniszczono, inne wpadły w ręce wroga, a jeszcze inne po prostu zniknęły. Takie schowki jak ten dostarczają zapasów owych ksiąg, chronią je, zwłaszcza jeżeli prorocstwo zapowiada konieczność zgromadzenia takiej rezerwy.

- Chyba możesz mieć słusność. Słyszałam, że z rzadka znajdowano prorocstwa, które ukryto, żeby przetrwały lub żeby nie spojrzały na nie niepowołane oczy. - Potrząsnęła głową, wodząc wzrokiem po

pomieszczeniu. - Ale przenigdy nie słyszałam o takim znalezisku.

Nathan podał jej książkę. Stara, czerwona skórzana oprawa była już niemal brązowa. Ale i tak wyglądała jakoś znajomo, zwłaszcza złocenia na grzbiecie. Odchyliła okładkę, przewróciła pierwszą pustą kartę.

- No, no, no - wyszeptała Ann, kiedy ujrzała tytuł. - Księga Glendhilla o teorii odstępstw. Jak miło znów ją mieć w rękach. - Zamknęła okładkę i przycisnęła książkę do piersi. - To jakby zmartwychwstał stary przyjaciel.

To był jeden z jej ulubionych tomów o rozwidlonych przepowiedniach. Zawierał cenne, podstawowe wiadomości o Richardzie, więc Ann tak często go czytywała i zaglądała do niego przed narodzeniem się chłopaka, że w zasadzie nauczyła się go na pamięć. Ogromnie żałowała, że księga musiała zostać zniszczona razem z innymi przechowywanymi w podziemiach Pałacu Proroków. Zawierała przecież jeszcze całe mnóstwo informacji na temat tego, co dopiero miało się wydarzyć.

Nathan wziął ze sterty kolejny tom i machnął nim Ann przed oczami, znacząco unosząc brew.

- Precesja i binarna inwersja.

- No nie! - Wyrwała mu książkę. - Niemożliwe! W żadnej ze Wzmianek nigdy nie podano, że owa księga naprawdę istniała.

Ann - na prośbę Nathana - polowała na nią podczas każdej ze swoich podróży. Polecała również zaufanym Siostron, żeby jej szukały podczas swoich wypraw. Były pewne wskazówki, lecz zawsze prowadziły w ślepią uliczkę. Ann spojrzała na wysokiego Proroka.

- Jest prawdziwa? Wiele doniesień w ogóle zaprzecza jej istnieniu.

- A w innych się twierdzi, że zaginęła. Niektórzy wręcz uważają, że to czysty wymysł. Przejrzałem ją pobieżnie i na podstawie opisanych tu gałęzi proroctw mogę rzec, że albo jest autentycznym, albo genialnym fałszerstwem. Muszę się dokładnie z nią zapoznać, żeby zdecydować, czym właściwie jest, lecz to, co do tej pory wyczytałem, wskazywałoby, iż jest prawdziwa. A poza tym po co by ukrywali tu podróbkę? Zwykle sporządza się je w celu wymiany na złoto.

Mówił prawdę.

- I cały czas tu tkwiła. Zakopana pod kośćmi.

- Wraz z wieloma innymi księgami, które moim zdaniem są równie cenne.

Ann cmoknęła i znowu się rozejrzała po pomieszczeniu, z każdą chwilą coraz bardziej pełna podziwu.

- Nathanie, znalazłeś skarb. Bezcenny skarb.

- Być może - odparł. Spojrzała nań ze zdumieniem, więc wziął z innej sterty ciężkie tomisko. - Nie uwierzyłyabyś, co to jest. Proszę. Sama przeczytaj tytuł.

Ann niechętnie odłożyła Precesję i binarną inwersję i wzięła od Nathana ciężką księgę. Położyła ją na stole i nachyliła się nad nią. Bardzo ostrożnie przewróciła okładkę. Zamrugła i wyprostowała się.

- Siódma praca Sellerona - rzekła osłupiała, patrząc na Proroka. - A ja sądziłam, że była tylko jedna kopia i że została zniszczona!

Kącik ust Nathana uniósł się w osobliwym uśmiechu. Prorok podniósł kolejną książkę.

- Dwanaście słów uzasadnienia. Znalazłem również Bliźniaczy los. - Wskazał palcem stertę. - Jest gdzieś tam.

Ann przez chwilę nie mogła wydobyć z gardła ni słowa.

- Myślałam, że już na zawsze utraciliśmy te przepowiednie. - Nathan przyglądał się jej z tym swoim osobliwym uśmiechem. Chwycił go za ramię. - Czyżby, na nasze szczęście, naprawdę zrobiono ich kopie?

Nathan kiwnięciem głowy potwierdził jej domysły. Przestał się uśmiechać.

- Ann - rzekł, podając jej Dwanaście słów uzasadnienia - przejrzyj i powiedz, co o tym myślisz.

Ksieni, zdumiona jego ponurą nagle miną, umieściła księgę na wolnym miejscu i ostrożnie zaczęła przewracać stronicę. Pismo było nieco wyblakłe, lecz nie bardziej niż w innych, równie starych książkach. Chociaż tak wiekowa, księga była w dobrym stanie i łatwa do odczytania.

Dwanaście słów uzasadnienia zawierało dwanaście fundamentalnych proroctw i wiele pobocznych rozgałęzień. Owe poboczne rozgałęzienia, kiedy się je starannie opatrzyło odnośnikami, łączyły konkretne wydarzenia z wieloma innymi księgami proroctw, w innym przypadku nie dającymi się chronologicznie ułożyć. Dwanaście fundamentalnych proroctw wcale nie miało aż takiej wagi. To owe poboczne rozgałęzienia, umożliwiające powiązanie ze sobą odgałęzień i pni drzewa proroctw, sprawiały, że Dwanaście słów uzasadnienia było tak bezcenną księgą.

Chronologia była często najpoważniejszym problemem, przed jakim stawały osoby zajmujące się tekstami prorocत्व. Często zupełnie nie było wiadomo, czy przepowiednia dotyczy następnego dnia czy następnego stulecia. Zdarzenia nieustannie się zmieniały. Umieszczenie prorocत्व w czasie miało zasadnicze znaczenie - i to nie tylko dlatego, żeby się dowiedzieć, kiedy zadziała, ale i dlatego, że coś, co w następnym roku miało nadrzędne znaczenie, rok później stawało się nic nie znaczącym drobiazgiem. Dopóki nie wiedzieli, którego roku prorocत्व konkretnie dotyczy, dopóty nie mieli pojęcia, czy zapowiada ono zagrożenie czy jedynie fakt godny wzmianki.

Większość Proroków pozostawiała potomnym trud wpasowania przepowiedni w odpowiednie miejsce w ciągu wydarzeń rzeczywistego świata. Nie było zgody, czy czynili tak z rozmysłem, przez niedbałość czy też dlatego, że dręczony wizjami Prorok nie zdawał sobie sprawy, jak ważne i trudne będzie później chronologiczne wpasowanie jego przepowiedni. Jeśli chodzi o Nathana, Ann często zauważała, że prorocत्व było tak kryształowo jasne i proste dla samego Proroka, że zwyczajnie nie był on w stanie pojąć, jakich następcy trudności tym, którzy będą je czytać i starać się wpasować w mozaikę życia.

- Chwileczkę - odezwał się Nathan, kiedy tak przewracała stronicę. - Cofnij się o stronę.

Ann spojrzała na niego i zrobiła, co kazał.

- O - rzucił Nathan, stukając palcem w kartę. - Patrz. Brakuje kilku linijek tekstu.

Ann zerknęła na niewielką lukę w tekście, ale nie pojęła, co w tym takiego znaczącego. W księgach często - z rozmaitych powodów - zostawiano puste miejsca.

- No i?

Nie odpowiedział, lecz gestem dał znak, żeby dalej przeglądała księgę. Zaczęła przewracać stronicę. Nathan wyciągnął rękę, powstrzymał Ann i postukał w kolejne puste miejsca, żeby je zauważyła. Potem kazał jej dalej przewracać strony.

Ann spostrzegła, że puste miejsca trafiają się coraz częściej. Ale i tak nie było w tym nic nowego. Wiele ksiąg zwyczajnie kończyło się w samym środku. Sądzono, że Prorok piszący owe księgi najprawdopodobniej zmarł, a

następcy nie chcieli mieszać się do pracy poprzednika lub woleli się zajmować ciekawszymi lub ważniejszymi dla nich samych gałęziami proroctw.

- Dwanaście słów uzasadnienia to jedna z niewielu ksiąg proroctw, w których zachowano chronologię - przypomniał jej cicho Nathan.

Wiedziała o tym, ma się rozumieć. To dlatego owa księga była taka cenna i przydatna. Nie miała pojęcia, dlaczego to tak podkreśla.

- Cóż - rzekła z westchnieniem Ann, kiedy dotarła do końca - to istotnie dziwne. Co myślisz o tych pustych miejscach?

I znów nie odpowiedział, tylko podał jej kolejną książkę.

- Poddział denotacji Burketta. Rzuć okiem.

Ann przewracała karty kolejnej bezcennej księgi, szukając czegoś niezwyčajnego. Natrafiła na trzy puste strony, po których znów były proroctwa. Coraz bardziej irytowały ją gierki Nathana.

- I cóż to niby mam zobaczyć?

Nathan przez chwilę zwlekał z odpowiedzią. A kiedy wreszcie się odezwał, to tym tonem, który zawsze przyprawiał Ann o dreszcze.

- Mieliśmy tę księgę w podziemiach pałacu, Ann.

Nadal nie kojarzyła tego, co dla niego miało aż takie znaczenie.

- Owszem, mieliśmy. Dobrze to pamiętam.

- Nasza kopia nie miała tych pustych stron. Zmarszczyła brwi i wróciła do księgi. Kartkowała ją dalej i znów natrafiła na puste karty.

- No cóż - powiedziała, wpatrując się w miejsce, gdzie proroctwo się kończyło i gdzie po pustych stronach pojawiała się całkiem nowe odgałęzienie przepowiedni - może osoba, która robiła tę kopię, z jakiegoś powodu postanowiła część pominąć. Może mieli mocne podstawy, by sądzić, że to konkretne odgałęzienie było ślepym zaułkiem, i zwyczajnie odcięli tę uschniętą część drzewa proroctwa. Przecież to nic nowego. A potem, ponieważ nie chcieli, żeby to wyglądało na zwodzenie przyszłych czytelników, zostawili puste miejsce, żeby oznaczyć opuszczenie. - Podniosła wzrok na Nathana.

Wpatrywał się w nią tymi swoimi lazurowymi oczami. Ann poczuła, jak po plecach płyną jej strużki potu.

- Zajrzyj do Księgi Glendhilla o teorii odstępstw - rzekł spokojnie, nie spuszczaając z niej przenikliwego spojrzenia.

Ann odwróciła oczy i przyciągnęła do siebie kopię Księgi Glendhilla o teorii odstępstw. Kartkowała ją jak poprzednią książkę, choć może trochę szybciej.

I tu były puste strony, tyle że liczniejsze. Wzruszyła ramionami.

- Powiedziałabym, że to niezbyt staranna kopia.

Nathan niecierpliwie wyciągnął rękę i przerzucił kartki, wracając do początku. A tu, na pierwszej stronicy, był - sam jeden na całej płaszczyźnie - znak autora.

- Drogi Stwórco - wyszeptała Ann, kiedy zobaczyła ów niewielki symbol ciągle jeszcze migoczący magią, którą go przepoił autor. Dostała gęsiej skórki. - To nie kopia. To oryginał.

- No właśnie. Jak sobie przypominasz, to nasz egzemplarz był kopią.

- Tak, pamiętam, że nasz był kopią.

Założyła, że i ten tutaj był jedną z kopii. Wiele ksiąg proroctw było kopiami, lecz to nie umniejszało ich wartości. Sprawdzali je i poprawiali szanowani badacze, którzy następnie stawiali swój znak na dowód dokładności kopii. Księgę proroctw ceniono za dokładność i wiarygodność zawartości, a nie dlatego, że była oryginalnym dziełem. Bo to proroctwo było cenne, a nie ręka, która je spisała. Ale i tak ujrzenie oryginału księgi, którą tak lubiła i ceniła, było godnym zapamiętania przeżyciem. Był to autentyk, spisany ręką Proroka, który dał te bezcenne przepowiednie.

- Nathanie... cóż mogę rzec? Dla mnie to cudowne przeżycie. Wiesz, ile ta księga dla mnie znaczy.

Nathan głęboko odetchnął, nie tracąc cierpliwości.

- A puste strony?

Ann wzruszyła ramionami.

- Sama nie wiem. Nie mam podstaw do żadnych wniosków. A co ty o tym sądzisz?

- Spójrz tam, gdzie puste miejsce wpasowuje się w tekst.

Ann znów spojrzała w księgę. Przeczytała linijkę tekstu poprzedzającą jedno z pustych miejsc, potem fragment po białej plamie. To było proroctwo o Richardzie. Na chybił trafił wybrała kolejne puste miejsce i przeczytała tekst przed nim i po nim. Znów dotyczył Richarda.

- Wygląda na to - powiedziała, przyglądając się trzeciemu miejscu - że te plamy pojawiają się wtedy, kiedy tekst mówi o Richardzie.

Nathan miał coraz bardziej zirytowaną minę.

- Tylko dlatego, że Księga Glendhilla o teorii odstępstw dotyczy Richarda. Założenie, że puste pola wiążą się z nim, upada, kiedy przeglądasz kolejne księgi.

Ann szeroko rozłożyła ramiona.

- No to się poddaję. Nie dostrzegam tego, co ty widzisz.

- Chodzi o to, czego nie widzimy. To te puste miejsca stanowią problem.

- Na jakiej podstawie tak twierdzisz?

- Ponieważ - odparł nieco dobitniej - jest w nich coś osobliwego.

Ann wsunęła kosmyk siwych włosów w koczek, który zawsze upinała z tyłu głowy. Zaczynało ją to irytować.

- Na przykład?

- To ty mi powiedz. Założę się, że znasz na pamięć Księgę Glendhilla o teorii odstępstw.

Ann wzruszyła ramionami.

- Może i tak.

- Ja też mogę ją cytować. Przynajmniej tę kopię, którą mieliśmy w podziemiach pałacu. Przejrzałem tę tutaj, sprawdzając z tym, co zapamiętałem.

Ann z jakiejś przyczyny czuła coraz większy niepokój. Zaczęła się lękać, że ich pałacowa kopia miała w tych pustych, zostawionych przecież przez autora miejscach, wpisane fałszywe przepowiednie. Byłoby to straszliwe oszustwo, aż strach było o tym myśleć.

- I co odkryłeś?

- Że mogę bardzo dokładnie cytować ten oryginał. Ot i tyle. Westchnęła z ulgą.

- To wspaniale, Nathanie. To oznacza, że w naszej kopii nie dopisano fałszywych prorostw. Czemu miałoby cię niepokoić, że nie pamiętasz tych pustych miejsc? Są puste, nic tam nie ma. Nie ma nic do pamiętania.

- W naszej pałacowej kopii nie było żadnego pustego miejsca. Ann sięgnęła pamięcią do tamtej kopii, zamrugła.

- Fakt, nie było. Dobrze to pamiętam. - Uśmiechnęła się serdecznie do Proroka. - Czyż nie rozumiesz? Skoro tekst zapamiętany z naszej kopii słowo w słowo odpowiada temu tekstowi, to oznacza, że autor naszej kopii ominął te puste, zostawione przez Proroka, miejsca. A Prorok pewnie dlatego je

zostawił, żeby ewentualnie mieć gdzie wpisać dodatkowe wizje dotyczące tych fragmentów proroctwa. Najwyraźniej taka potrzeba nigdy się nie pojawiła i puste miejsca pozostały.

- Wiem, że w naszej kopii było więcej stron.

- No to nie nadążam za tobą.

Tym razem to Nathan wyrzucił w górę rękę.

- Nie rozumiesz, Ann? O, tu, popatrz. - Obrócił ku niej księgę. - Spójrz na przedostatnie rozgałęzienie proroctwa. To jedna strona. Potem jest sześć białych stron. Przypominasz sobie, by którekolwiek z rozgałęzień proroctwa w naszej kopii Księgi Glendhilla o teorii odstępstw miało zaledwie jedną stronicę? Nie. Żadne nie było takie krótkie. Były zbyt złożone. Ty i ja wiemy, że w tym proroctwie jest coś jeszcze, lecz moja pamięć jest równie pusta jak te stronicę. Ten tekst zniknął nie tylko z księgi, ale i z mojej pamięci. Jeżeli i ty nie dasz rady zacytować brakujących fragmentów, będzie to oznaczać, że zniknęły one i z twojej pamięci.

- Nathanie, to po prostu... to znaczy, nie pojmuję... - Ann jąkała się, speszona.

- Proszę. - Wyciągnął zza pleców kolejną księgę. - Źródła wszystkie. Musisz to pamiętać.

Ann ze złości wzięła księgę z jego rąk.

- Jasne, że pamiętam, Nathanie. Jak ktoś mógłby zapomnieć taką piękną książkę.

Źródła wszystkie były - co się nadzwyczaj rzadko trafia - przepowiednią spisaną w formie opowieści. Ann uwielbiała opowieści. Romanse były jej słabostką, do której nigdy nikomu się nie przyznała. A skoro ta opowieść miłosa była proroctwem, to przecież musiała ją dokładnie znać. Z uśmiechem odchyliła okładkę niewielkiej książki. Stronice były puste, białe. Wszystkie.

- Powiedz mi - odezwał się Nathan tym swoim niskim, rozkazującym głosem Rahla - o czym są Źródła wszystkie.

Ann otworzyła usta, lecz nie wydobyło się z nich ni słowo.

- No to zacytuj mi - ciągnął Nathan tym swoim głosem, który mógłby skruszyć kamienie - chociaż jedną linijkę tekstu twojej ulubionej książki. Powiedz mi, o kim opowiada. Jak się zaczyna, jak się kończy, co jest w środku.

Miała w pamięci absolutną pustkę.

Patrzyła w przenikliwe oczy Nathana, który nachylił się ku niej.

- Powiedz mi, co pamiętasz z tej książki.

- Nathanie - zdołała wreszcie wykrztusić z szeroko otwartymi ze zdumienia oczami - często miałeś tę książeczkę w swoich pokojach. Znasz ją lepiej ode mnie. Co ty pamiętasz ze Źródeł wszystkich?

- Zupełnie nic.

ROZDZIAŁ 12

Ann przełknęła ślinę.

- Jak to możliwe, Nathanie, że obydwójce nie pamiętamy nic z książki, którą tak lubiliśmy? I jak to jest, że białym plamom odpowiada to, czego obydwójce nie pamiętamy?

- Nareszcie dobre pytanie. Nagle pojęła. Aż wstrzymała oddech.

- Zaklęcie. Na te księgi rzucono czar. Nathan się skrzywił.

- Co takiego?

- Na wiele ksiąg rzuca się czar, żeby chronić zawarte w nich informacje. Nie spotkałam się z tym w wypadku ksiąg z prorocत्वami, ale zdarza się to dość często w tomach do nauczania magii. To pomieszczenie miało być tajemną skrytką. Może dlatego tak się dzieje z chronionymi tu informacjami. Taki czar zaczyna działać, kiedy księgę czy pomieszczenie otwiera ktoś niepowołany, pozbawiony odpowiedniej mocy. Tego rodzaju zaklęcia bywały sprzężone z konkretnymi osobami. Zwykle stosowana metoda ochrony polegała na tym, żeby wymazać z pamięci niepowołanych osób to wszystko, co wyczytały w chronionej księdze. Widziały tekst i w tej samej chwili wszystko zapomniały. Ich pamięć wymazywała przeczytany tekst.

Nathan nic nie odpowiedział, lecz jego mina złagodniała, kiedy zaczął rozważać jej pomysł. Ann czytała w jego twarzy, że wątpi, by jej teoria tłumaczyła to wszystko, lecz że w tej chwili nie ma ochoty się o to spierać - prawdopodobnie dlatego, że zamierza się zająć czymś według niego o wiele ważniejszym. No i rzeczywiście: postukał palcem w niewielki stosik ksiąg odseparowany od innych.

- Te księgi - rzekł półgłosem - dotyczą głównie Richarda. Większości z nich nigdy wcześniej nie widziałem. Niepokoi mnie, że takie księgi ukryto w tajnej skrytce. W prawie wszystkich jest sporo białych kart.

Istotnie, to zatrważające, że tak wielu ksiąg z prorocत्वami - a zwłaszcza o Richardzie - nie było w Pałacu Proroków. Ann przez pięćset lat przeszukiwała świat, żeby zdobyć kopię każdej księgi, która zawierała cokolwiek na temat Richarda. Teraz pocierała czoło, dumając, co to może oznaczać.

- Zdołałeś się czegoś dowiedzieć?

Nathan wziął leżącą na samym wierzchu księgę i otworzył ją.

- Ten symbol wielce mnie niepokoi. To niezwykle rzadka forma proroctwa, zdarzająca się wtedy, gdy Prorok doznaje nagłego i przytłaczającego objawienia. Powstają wówczas takie graficzne proroctwa, bo pisanie zajęłoby zbyt wiele czasu i mogłoby przerwać ciąg skojarzeń.

Ann nie miała zbyt wielkiego doświadczenia z tego rodzaju proroctwami. Przypomniała sobie jednak, że parę takowych mieli w podziemiach pałacu. Nathan nigdy wcześniej nie powiedział jej, czym były, a nikt inny tego nie wiedział. Kolejny z tysiącletnich sekretów Nathana.

Nachyliła się i wpatrywała w skomplikowany rysunek zajmujący prawie całą stronę. Nie było tu żadnej prostej linii; same zawirowania i łuki tworzące kolisty wzór, sprawiający wrażenie czegoś żywego. W niektórych miejscach mocno przyciśnięte piórko rozorało powierzchnię welinowej karty. Ann uniosła księgę ku świecy i dokładnie przyjrzała się szczególnie szorstkiemu miejscu. W wyschniętej atramentowej plamie dostrzegła ostrą srebrną drobinę - jedna część spiczastego zakończenia piórka odłamała się i utkwiała w welinie. Nadal tu tkwiła. Zaraz potem zaczynały się ślady nowego piórka, z równą mocą przyciskanego do karty. Nie mogła niczego w tym rysunku rozpoznać - wydawał się czystą abstrakcją - a mimo to wywołał takie zaniepokojenie, że aż zjeżyły się jej włoski na karku. Miała wrażenie, że niemal rozpoznaje rysunek, lecz że jego znaczenie wciąż pozostaje poza granicą świadomości.

- Co to jest? - Odłożyła otwartą na rysunku księgę. - Co on oznacza?

Nathan potarł palcem mocno zarysowaną szczękę.

- Trudno to wytłumaczyć. Nie znajduję słów, żeby opisać obraz pojawiający się w moim umyśle, kiedy na to patrzę.

- Czy byłbyś uprzejmy - rzekła Ann z przesadną cierpliwością, splatając dłonie - uczynić wysiłek i najlepiej jak potrafisz opisać mi ów pojawiający się w twoim umyśle obraz?

Nathan łypnął na nią krzywo.

- Najbardziej pasowałyby tu słowa „bestia nadchodzi”.

- Bestia?

- Tak. Nie znam dokładnego znaczenia. Proroctwo jest po części utajone: albo rozmyślnie, albo dlatego, że dotyczy czegoś, z czym się jeszcze nigdy nie

zetknąłem, albo też dlatego, że się łączy z białymi stronami i bez tego tekstu nie potrafię w pełni pojąć rysunku.

- A co ta nadchodząca bestia ma uczynić?

Nathan zamknął książkę, żeby Ann mogła zobaczyć tytuł: Kamyk w stawie.

Zimny pot wystąpił na czoło Ksieni.

- To jest graficzne ostrzeżenie - dodał Prorok. Przepowiednie często określały Richarda terminem „kamyk w stawie”. Tekst takiej książki mógłby mieć nieocenioną wartość. Gdyby nie zniknął.

- Chcesz powiedzieć, że to ostrzeżenie dla Richarda, że jakaś bestia nadchodzi?

Nathan potaknął.

- Tyle zdołałem pojąć. Wyczuwam też wokół tego czegoś jakąś upiorną aurę.

- Wokół bestii.

- Tak. Tekst poprzedzający rysunek miał zapewne zasadnicze znaczenie dla zrozumienia go, dla pojęcia natury bestii, lecz owego tekstu brakuje. Tekst po rysunku również zniknął, więc nie ma żadnego sposobu, żeby to ostrzeżenie kontekstowo czy chronologicznie umieścić. Może to coś, co Richard już pokonał, lecz równie dobrze może to oznaczać coś, co pokonał postarzałego Richarda. Brak choć małego fragmentu proroctwa czy kontekstu całkowicie uniemożliwia stwierdzenie, o co chodzi.

Chronologia miała zasadnicze znaczenie dla zrozumienia przepowiedni, lecz Ann, patrząc na rysunek, czuła takie przerażenie, iż nie wierzyła, by przedstawiał coś, czemu Richard już stawił czoło.

- A może to miała być metafora. Armia Jaganga zachowuje się niczym bestia i z całą pewnością można rzec, iż jest straszliwa i upiorna. Masakrują wszystko, co napotkają. Dla wolnych ludzi, a już zwłaszcza dla Richarda, Imperialny Ład jest bestią nadchodzącą, żeby zniszczyć wszystko, co jest im drogie.

Nathan wzruszył ramionami.

- Może istotnie takie jest znaczenie rysunku. Nie wiem. - Przez chwilę milczał, a potem rzekł: - Tak w tej książce, jak i w wielu innych - tu znacząco spojrzawszy na Ann - których nigdy wcześniej nie widziałem, można znaleźć jeszcze bardziej niepokojącą, zawoalowaną poradę.

Ann także, z bardzo wielu powodów, niepokoiła świadomość, że te wszystkie księgi ukryto w takim osobliwym, podziemnym, cmentarnym pomieszczeniu.

Nathan ponownie wskazał księgi piętrzące się na czterech szerokich stołach.

- Jest tu, rzecz jasna, wiele kopii ksiąg, które znamy, i pokazałem ci je, lecz większość z nich to dla mnie absolutna nowość. To niespotykane, by jakiś księgozbiór aż tak się różnił od klasycznego zestawu dzieł. Jasne, że każda biblioteka ma swoje unikaty, lecz to pomieszczenie jest czymś zupełnie niezwykłym. Niemal każdy tom to zadziwiające odkrycie.

Ann zrobiła się czujna. Miała dziwne przeczucie, że Nathan wreszcie dotarł do centrum labiryntu, po którym poruszały się jego myśli. Nie dawało jej spokoju coś, co właśnie powiedział.

- Poradę? - Zmarszczyła brwi podejrzliwie. - Jaką poradę?

- Żeby czytelnicy, których nie tyle interesują sprawy ogólne, ile obszerniejsza i dokładniejsza wiedza na poruszone tu tematy, zapoznali się z odnoszącymi się do nich woluminami przechowywanymi z kośćmi.

Ann jeszcze bardziej zmarszczyła brwi.

- Przechowywanymi z kośćmi?!

- Tak. Takie skrytki określane są jako „główne składnice”. - Znów się ku niej pochylił, jak maglarka przekazująca nieprzyzwoite ploteczki. - Owe główne składnice mają być w rozmaitych miejscach, lecz mnie do tej pory udało się zlokalizować tylko jedno: katakumby pod podziemiami Pałacu Proroków.

Ann aż otworzyła usta ze zdumienia.

- Katakumby... To niedorzeczne. Pod Pałacem Proroków nie było niczego takiego.

- Nie wiedzieliśmy o nich - rzekł poważnie Nathan. - A to wcale nie znaczy, że nie istniały.

- Ale... ale - zająknęła się Ann - to po prostu niemożliwe. Nie i już. Czegoś takiego nie można byłoby nie zauważyć. Siostry tak długo tam mieszkały, że w końcu byśmy się o tym dowiedzieli.

Nathan wzruszył ramionami.

- A przez tysiąclecia nikt nie wiedział o tym pomieszczeniu poniżej pogrzebanych kości.

- Przecież nikt nad nim nie mieszkał.

- A jeżeli obecność katakumb pod pałacem nie była powszechnie znana? W końcu niewiele wiemy o czarodziejach z tamtych czasów, a jeszcze mniej o tych, którzy mieli swój udział w budowie Pałacu Proroków. Mogli mieć powody, żeby zataić istnienie katakumb, osłonić je czarem, jak to pomieszczenie. - Znacząco uniósł brew. - A co, jeżeli jeden z celów istnienia pałacu, czyli szkolenie młodych czarodziejów, był częścią misternie uknutego fortelu, mającego zataić istnienie owego sekretnego pomieszczenia?

Ann poczuła, że się czerwieni.

- Czyżbyś twierdził, że nasze powołanie nie miało żadnego znaczenia?! Jak śmiesz sugerować, że poświęcałyśmy życie jakiemuś oszustwu oraz że mający dar ocaliliby życie, gdybyśmy nie...

- Niczego takiego nie sugeruję. Nie powiedziałem, że Siostry nabrano ani że ich działania nie ocaliły życia chłopcom mającym magiczną moc i nie przyczyniły się do zachowania daru. Mówię jedynie, iż te książki podpowiadają, że w tym może się kryć jeszcze coś. Może chodziło nie tylko o miejsce, w którym Siostry mogłyby praktykować swoje użyteczne powołanie, lecz i o coś znacznie ważniejszego? O coś, co pałac miał skrywać? Pomyśl o cmentarzu ponad nami. Są przyczyny, by istniał, a jednocześnie stanowi znakomitą osłonę dla tego pomieszczenia. Może tysiące lat temu tak samo ukryto katakumbę? Jeśli tak, to nigdy byśmy nie wiedzieli o ich istnieniu. Nie byłoby żadnych zapisków o istnieniu tak sekretnej skrytki. Z tego, co wyczytałem w tych księgach, wnoszę, że istniały niegdyś teksty tak niepokojące lub zawierające tak niebezpieczne zaklęcia, że postanowiono je ukryć w kilku głównych składnicach, żeby się nie stały ogólnie znane, żeby ich nie skopiowano jak większość prorocत्व. Czyż jest lepszy sposób na ograniczenie dostępu do takich ksiąg? A skoro wzmianki mówią o „księgach przechowywanych z kośćmi”, to podejrzewam, że te inne główne składnice mogą być takimi samymi katakumbami jak te pod Pałacem Proroków.

Ann z wolna potrząsała głową, próbując to pojąć, próbując sobie wyobrazić, że to możliwe. Znów popatrzyła na stół ze stertami ksiąg, które dotyczyły głównie Richarda, a których nigdy przedtem nie widzieli. Wskazała je.

- A te tam?

- Żałuję, że je przejrzałem. Chwyciła go za rękaw.

- Dlaczego? Coś tam wyczytał?

Opamiętał się. Zbył jej pytanie machnięciem ręki, uśmiechnął się i zmienił temat.

- Co do tych białych plam, to najbardziej mnie niepokoi to, co je łączy. Nie każdy ubytek znajduje się w prorocत्वach dotyczących Richarda, ale udało mi się ustalić, że jedno je łączy.

- A cóż to takiego?

Nathan uniesieniem palca podkreślił wagę swojego spostrzeżenia.

- Każdy z brakujących fragmentów znajduje się w prorocत्वach odnoszących się do czasu po narodzinach Richarda. W żadnej z przepowiedni dotyczących czasów przed jego narodzinami nie ma białych plam.

Ann splotła dłonie. Dumiała nad ową tajemnicą, nad rozwiązaniem zagadki.

- No cóż - odezwała się na koniec - jedno byśmy mogli sprawdzić. Mogłabym poprosić Verne, żeby wysłała posłańca do Wieży Czarodzieja w Aydindril. Jest tam Zedd i dba o to, żeby wieża nie wpadła w szpony Jaganga. Przez tego posłańca moglibyśmy poprosić Zedda, żeby sprawdził odpowiednie miejsca w tamtejszych kopiach ksiąg, które tu znaleźliśmy, i doniósł nam, czy i w nich brak tych samych partii tekstu.

- Dobry pomysł - zgodził się Nathan.

- Zbiory w wieży są bardzo bogate, więc powinien mieć wiele klasycznych ksiąg prorocत्व, które tutaj znaleźliśmy.

Nathanowi pojaśniała twarz.

- Prawdę mówiąc, byłoby nawet lepiej, gdybyśmy nakłonili Verne, żeby wysłała kogoś do Pałacu Ludu w D'Harze. Spędziłem wiele czasu w pałacowych bibliotekach. Wyraźnie pamiętam, że widziałem tam kopie wielu ksiąg, które są tutaj. Gdyby ktoś je dla nas przejrzał, tobyśmy się dowiedzieli, czy tutejsze księgi są zaklęte, jak sugerujesz, i czy cała sprawa ogranicza się do tych tu wydań, czy też jest to powszechniejsze zjawisko. Verna koniecznie musi kogoś wysłać do Pałacu Ludu, i to natychmiast.

- To powinno być dość proste. Verna lada chwila rusza na południe. Na pewno znajdzie się w pobliżu Pałacu Ludu.

Nathan spojrzał na nią chmurnie.

- Miałaś wieści od Verny? I twierdziła, że wyrusza na południe?
Dlaczego?

Ann zmarkotniała.

- Dostałam od niej wiadomość tuż przed przyjściem tutaj.

- I cóż miała do powiedzenia nasza młoda Ksieni? Czemu się udaje na południe?

Ann westchnęła z rezygnacją.

- Obawiam się, że wieści nie są najlepsze. Napisała, że Jagang rozdzielił swoje wojska. Część hordy wyprowadza z gór, bo chce się dostać do D'Hary od południa. Verna towarzyszy sporym siłom d'harańskim mającym stawić opór wojskom Ładu.

Twarz Nathana zbielała.

- Coś powiedziała? - wyszeptał. Ann zaskoczyła jego mina.

- Chodzi ci o to, że Jagang rozdzielił swoje wojska?

Twarz Nathana jeszcze bardziej pobladła, choć Ann sądziła, że to już nie jest możliwe.

- Chronście nas, dobre duchy - wyszeptał. - Zbyt szybko. Nie jesteśmy gotowi.

Ann ogarnęło przerażenie. Dostała gęsiej skórki.

- O czym ty mówisz, Nathanie? Co jest nie tak?

Odwrócił się i gorączkowo przeglądał grzbiety ksiąg leżących w stertach na stołach. Wreszcie znalazł to, czego szukał, w samym środku stosu; wyszarpnął księgę, nie dbając, że reszta się rozsypała. Pospiesznie kartkował tom, mruczając coś do siebie.

- O, tu jest - rzekł, zaznaczając stronę palcem. - Znalazłem tu wiele proroctw w księgach, których nigdy wcześniej nie widziałem. Te o rozstrzygającej bitwie są przede mną zakryte, nie mogę ich ujrzeć w wizjach, ale i same słowa są dostatecznie przerażające. Ten fragment ujmuje rzecz bardzo wyraźnie. - Pochylił się jeszcze bardziej i czytał przy blasku świecy: - „Gdy w roku cykad głosiciel poświęcenia się i cierpienia tak pod sztandarem ludu, jak i Światła rozdzieli wreszcie swoje liczne hufce, będzie to znak, że proroctwo zostało zainicjowane i że czeka nas ostatnia i rozstrzygająca bitwa. Zachowajcie ostrożność, albowiem wszelkie istotne rozwidlenia i ich derywaty splatają się w owej wróżbie. Gałęzie wyłącznie jednego pnia łączą się zaś z pierwotnym źródłem. Jeżeli fuer grissa ost drauka nie poprowadzi

do owej ostatecznej walki, to świat, stojący już wszak na skraju ciemności, zasnuje straszliwy mrok”.

Fuer grissa ost drauka było jednym z określeń Richarda w prorocत्वach. Pochodziło z szeroko znanej przepowiedni w pradawnym języku górnod'harańskim. Tłumaczono to jako „dawca śmierci”. Skoro i to prorocत्व tak go nazywało, to można było je oba powiązać ze sobą.

- Jeśli cykady pojawią się tego roku - rzekł Nathan - będzie to dowód, iż to prorocत्व jest nie tylko prawdziwe, ale i czynne.

Ann zrobiło się słabo.

- Dziś zaczęły się pojawiać.

Nathan wpatrywał się w nią niczym sam Stwórca ogłaszający wyrok.

- No to chronologia jest ustalona. Wszystkie prorocत्व ułożyły się jak trzeba. Wydarzenia są naznaczone. Zbliża się nasz kres.

- Chroń nas, drogi Stwórco - wyszeptła Ann. Nathan wsunął książkę do kieszeni.

- Musimy się dostać do Richarda. Ann już przytakiwała.

- Tak, masz rację. Nie mamy czasu do stracenia. Prorok się rozejrzył.

- Z całą pewnością nie możemy zabrać ze sobą tych wszystkich ksiąg, a i nie ma czasu, żeby je przeczytać. Musimy zapieczętować I to pomieszczenie tak, jak było przedtem, i natychmiast wyruszyć.

Zanim Ann zdążyła potwierdzić, Nathan wyciągnął przed siebie ramię. Wszystkie świece zgasły. Palila się tylko mała latarnia stojąca na rogu jednego ze stołów. Zgarnął ją wielką dłonią, kiedy przechodził obok.

- Chodź - polecił Ksieni.

Ann pospiesznie ruszyła za nim, starając się pozostawać w niewielkim kręgu światła, bo całe to dziwne pomieszczenie już się pogrążyło w ciemnościach.

- Jesteś przekonany, że nie możemy zabrać żadnej z tych ksiąg?

Prorok pospiesznie wchodził wąskimi schodami, światło sunęło jego śladem.

- Nie możemy się nimi obciążać. A poza tym, które niby mielibyśmy zabrać? - Przystanął, obejrzał się przez ramię. Blask latarni nadawał jego twarzy dziwny wygląd, wyostrzał rysy. - Już wiemy, co mówi prorocत्व, i po raz pierwszy znamy teraz chronologię. Musimy dotrzeć do Richarda. Powinien być tutaj, kiedy armie się zetną, albo wszystko będzie stracone.

- Tak. Musimy zadbać, żeby tu był i dopełnił proroctwo.

- No to się zgadzamy - rzekł Nathan, odwracając się i spiesząc w górę schodów; było tu tak wąsko i nisko, że ciężko mu było iść.

Na górze wypadli w noc rozbrzmiewającą przenikliwą pieśnią cykad. Nathan zawołał Toma i Jennsen. Drzewa łagodnie się kołysały w wilgotnym wiateryku; czekali na odpowiedź. Zdawało się, iż czekają całą wieczność, a przecież już po chwili z ciemności nadbiegli Jennsen i Tom.

- O co chodzi? - spytała zadyszana Jennsen.

- Jakieś kłopoty? - Cień Toma wyrósł u jej boku.

- Poważne kłopoty - potwierdził Nathan.

Ann pomyślała sobie, że mógłby być bardziej dyskretny, lecz sytuacja była tak poważna, że jakakolwiek dyskrecja nie miała sensu. Prorok wyciągnął z kieszeni książkę, którą zabrał z podziemnej biblioteki. Otworzył ją na białej stronie, z której zniknął tekst proroctwa.

- Powiedz mi, co tu jest napisane - polecił Jennsen, podsuwając jej książkę.

Spojrzała na niego, marszcząc brwi.

- Co tu jest napisane? To pusta kartka, Nathanie. Mruknął coś, rozczarowany, niezadowolony.

- To oznacza, że tu wchodzi w grę magia subtraktywna. A magia subtraktywna to magia zaświatów, moc śmierci, więc działa na nią tak samo jak i na nas. - Znów popatrzył na Jennsen. - Znaleźliśmy proroctwo odnoszące się do Richarda. Musimy go odnaleźć, bo inaczej Jagang wygra wojnę.

Jennsen wstrzymała oddech. Tom cicho gwizdnął.

- Wiesz, gdzie on jest?

Tom bez wahania nieco się obrócił i wyciągnął rękę, wskazując w noc. Więź ujawniała mu to, czego im dar nie pozwalał poznać.

- Jest tam. Nie za daleko, ale i nie blisko. Ann spojrzała w mrok.

- Musimy się spakować i ruszyć o pierwszym brzasku.

- On się przemieszcza - powiedział Tom. - Wątpię, czy go znajdziecie w tym właśnie miejscu, kiedy tam dotrzecie.

Nathan zaklął pod nosem.

- Nie wiadomo, gdzie się ten chłopak kieruje.

- Sądzę, że wraca do Altur'Rang - odezwała się Ann.

- Taak, ale czy tam zostanie? - Nathan położył dłoń na ramieniu Toma. - Musisz z nami pójść. Jesteś jednym z tajnych obrońców lorda Rahla. To ważna sprawa.

Ann spostrzegła, jak Tom zaciska dłoń na rękojeści wiszącego mu u pasa noża. Na srebrnej rękojeści widniała ozdobna litera „R”, symbol domu Rahlów. Takie noże nosiły nieliczne osoby - tajni obrońcy lorda Rahla.

- Oczywiście - odparł Tom.

- Ja też pójdę - wtrąciła Jennsen pospiesznie. - Muszę tylko...

- Nie - uciszył ją Nathan. - Potrzebna nam jesteś tutaj.

- Dlaczego?

- Ponieważ - odezwała się Ann tonem o wiele łagodniejszym niż Nathan - jesteś więzią łączącą tych ludzi z Richardem. A oni potrzebują kogoś, kto im pomoże zrozumieć świat, który dopiero co się przed nimi otworzył. Są bezbronni wobec Imperialnego Ładu, bezwolnie pozwolą się wykorzystać przeciwko nam. Dopiero co postanowili się przyłączyć do naszej sprawy i do imperium D'Hary. Teraz tu jesteś potrzebna Richardowi, Tom zaś, towarzysząc nam, wypełni swój obowiązek wobec niego.

Przerażona Jennsen popatrzyła na Toma.

- Aleja...

- Jennsen - odezwał się Nathan, otaczając ramieniem jej barki - spójrz tam! - Wskazał schody. - Wiesz, co tam jest. A gdyby się nam coś przytrafiło, to i Richard powinien się o tym dowiedzieć. Musisz tu zostać i strzec dla niego tych podziemi. To ważne. Równie ważne jak to, żeby Tom poszedł z nami. Nie staramy się oszczędzić ci zagrożenia, bo to zadanie może się okazać o wiele niebezpieczniejsze niż podróż z nami.

Jennsen popatrzyła na Proroka, potem na Ann i niechętnie pojęła, jak poważna jest sytuacja.

- Skoro uważacie, że jestem tu potrzebna Richardowi, to muszę zostać.

Ann musnęła palcami podbródek młodej kobiety.

- Dziękuję, dziecko, że zrozumiałaś, jakie to ważne.

- Musimy to zamknąć, żeby było tak jak przedtem - oznajmił Nathan, gestykułując. - Pokażę ci mechanizm i nauczę, jak się nim posługiwać. Potem musimy wrócić do miasta i się spakować. Do wschodu słońca zdołamy się przespać ledwie kilka godzin, ale na to nie ma rady.

- Z Bandakaru daleka droga - odezwał się Tom. - Kiedy już miniemy

górką przełęcz, musimy znaleźć konie, jeżeli chcemy dotrzeć na czas do lorda Rahla.

- A więc postanowione - rzekł Prorok. - Zamknijmy na powrót ten grobowiec i ruszajmy.

Ann zmarszczyła brwi.

- Nathanie, ten tajny skład ksiąg przez tysiące lat był ukryty pod grobowcem. I nikt się nigdy nie dowiedział, że tu jest. Jak ci się udało go odnaleźć?

Nathan znacząco uniósł brew.

- To wcale nie było takie trudne.

Przeszedł przed przednią część wielkiego kamiennego monumentu i zaczął czekać na Ann. Kiedy już stanęła obok niego, uniósł latarnię.

Na bardzo starym kamieniu wyryto dwa słowa: NATHAN RAHL.

ROZDZIAŁ 13

Było już późne popołudnie, kiedy Victor, Nicci, Cara i Richard przecięli pograżający się w mroku oliwny gaj rosnący na wzniesieniach otaczających od południa Altur'Rang. Richard ani na chwilę nie zwalniał tempa, więc wszyscy byli zmęczeni tą uciążliwą, choć stosunkowo krótką wędrówką. Chłodny deszcz minął, zrobiło się parno i gorąco. I teraz byli mokrzy od potu, a nie od deszczu.

Richard, chociaż wykończony, czuł się lepiej niż przed paroma dniami. Stopniowo wracał do sił. Rad był, że nie dostrzegli żadnych śladów bestii. Kilka razy zostawał w tyle i sprawdzał, czy nie są śledzeni. Nigdy nie natrafił na ślady wskazujące, że coś lub ktoś idzie ich tropem, więc się trochę uspokoił. Musiał też brać pod uwagę i taką możliwość, że to wcale nie stworzona przez Jaganga bestia zabiła ludzi Victora. Jeżeli nawet Nicci miała rację i Jagangowi naprawdę udało się stworzyć taką bestię, to wcale nie oznaczało, że to ona zaatakowała, a nawet że już zaczęła polować na Richarda. Jeżeli jednak to nie była owa bestia, to cóż to mogło być? Nie miał pojęcia.

Tłocznymi drogami wokół miasta podążały furmanki i ciężkie wozy, szli ludzie. Handel kwitł jeszcze bardziej niż podczas ostatniego pobytu Richarda w Altur'Rang. Niektórzy z podróżnych rozpoznawali Victora, inni Nicci. Obydwoje od czasów rewolty odgrywali ważne role w Altur'Rang. Wielu rozpoznawało i Richarda - albo byli tu owej nocy, kiedy się rozpoczęła walka o ich wolność, albo poznawali jego miecz. Był to oręż jedyny w swoim rodzaju i trudno było nie zauważyć lśniącej, srebrno-złotej pochwy - zwłaszcza w Starym Świecie, pod ponurymi rządami Ładu.

Mijający ich ludzie uśmiechali się do nich, uchylali kapelusza lub przyjaźnie kiwali głowami. Cara podejrzliwie łypała na każdy uśmiech.

Richard cieszyłby się, widząc, jak Altur'Rang wraca do życia, gdyby jego myśli nie były zaprzątnięte o wiele dłań ważniejszymi sprawami. Ażeby się zająć owymi ważnymi sprawami, potrzebował koni. Dzień miał się już ku końcowi, więc będzie już ciemno, zanim zdobędzie konie, zapasy i przygotuje się do podróży. Niechętnie zaczynał brać pod uwagę, że przyjdzie im spędzić noc w Altur'Rang.

Wielu podróżujących po tych tętniących życiem drogach i wiejskich drózkach otaczających Altur'Rang kierowało się do pobliskich miast lub z nich przybywało, a może wchodziły w grę o wiele bardziej oddalone miejsca. Niegdyś ludzie przybywali do stolicy, mając nadzieję na znalezienie pracy przy budowie pałacu imperatora, teraz zaś przyciągała ich tu nadzieja na nowe, wolne życie.

Ci, którzy jechali od Altur'Rang, wieźli nie tylko towary na handel, ale i wieści o głębokich zmianach, jakie się dokonały od czasu rewolty. Byli jak wojsko zbrojne w lśniący oręż idei. W Altur'Rang już się nie musieli naginać do nakazów Ładu, nie musieli się bać; byli wolni i tylko od ich przedsiębiorczości zależało, czy zrealizują swoje potrzeby i aspiracje. Sami decydowali o własnym życiu. Miecze mogłyby narzucić tyranię tylko wtedy, gdyby bezlitośnie tępiły takie idee. Jedynie okrucieństwem można narzucić irracjonalność i prowadzące donikąd samopoświęcenie.

To dlatego Ład musiał wysyłać zdolne do największego bestialstwa wojska, żeby zdusić najmniejszą iskierkę wolności. Gdyby tego nie robił, wolność rozprzestrzeniałaby się i ludzie by prosperowali. I wreszcie wolność by zatriumfowała.

Richard spostrzegł, że na skrzyżowaniach ruchliwych bocznych dróg, będących niegdyś ledwie ścieżkami czy drózkami, wyrosły nowe stragany. Sprzedawano na nich najrozmaitsze towary - różne warzywa, drewno na opał, a nawet biżuterię. Kupcy na obrzeżach miasta ochoczo oferowali podróżnym rozmaite gatunki serów, kiełbas i pieczywa. A jeszcze bliżej miasta kłębił się tłum oglądających bele materiałów i wyroby skórzane.

Przypomniawszy sobie, że kiedy Nicci sprowadziła go do Altur'Rang, musieli cały dzień stać w kolejce po bochenek chleba i że często chleb się kończył, zanim zdążyli dotrzeć na jej czoło. Żeby każdy mógł sobie pozwolić na chleb, ściśle regulowano liczbę piekarni, a rozmaite komitety, rady i zarządy ustalały cenę bochenka. W ogóle nie brano pod uwagę ceny składników ani pracy, lecz jedynie to, ile według zarządzających ludzie będą mogli zapłacić. Cena chleba wydawała się niska, ale zawsze go brakowało; innej żywności też. Richard uważał, że nazywanie tanim czegoś nieosiągalnego urąga wszelkiej logice. Prawo nakazujące karmić głodnych prowadziło jedynie do tego, że na ulicach i w mrocznych domostwach stolicy szerzył się głód. Altruizm uchwalający takie Prawa prowadził do głodu i śmierci. Ci zaś,

którzy się opowiadali za wzniosłymi zasadami Ładu, byli ślepi na nie kończące się niedolę, udrękę i śmierć, do jakich one prowadziły.

Teraz kramy były niemal na każdym rogu, chleba nie brakowało, a głód stał się jedynie przerażającym wspomnieniem. Zadziwiające, do jakiej obfitości wszystkiego prowadziła wolność. Zadziwiające, ilu ludzi w Altur'Rang się uśmiechało.

Rewolcie było przeciwnych wielu popleczników Imperialnego Ładu, którzy chcieli, żeby wszystko zostało po starym. Sporo było takich, którzy uważali, że ludzie są grzeszni i zasługują jedynie na udrękę i niedolę. Takie osoby wierzyły, że szczęście i pomyślność to grzech, że ludzie mogą poprawić swoje życie jedynie kosztem innych. I odrzucały samą ideę wolności jednostki.

Większość z nich poniosła klęskę - albo zginęli w walce, albo zostali wypędzeni. Ci, którzy walczyli o wolność i zdobyli ją, mieli ważne powody, żeby ją cenić. Richard miał nadzieję, że nie oddadzą tego, co zdobyli.

Kiedy dotarli do starszych części miasta, Richard zauważył, że wiele obskurnych ceglanych budynków oczyszczono i teraz wyglądały prawie jak nowe. Okiennece pomalowano na jasne kolory wesoło połyskujące w popołudniowym słońcu. Odbudowano już sporo budynków spalonych podczas rewolty. Pomyślał, że to zadziwiające, jakie radosne jest teraz Altur'Rang. Ucieszył się, że ongiś ponure miasto teraz kipi życiem. Wiedział, że to zwyczajne, nie udawane szczęście ludzi zajmujących się swoimi sprawami i żyjących na własny rachunek może wywołać gniew i nienawiść. Zwolennicy Ładu uważali, że ludzie są z natury źli, i dlatego nie cofną się przed niczym, żeby zdusić owo błuźniercze szczęście.

Skręcili w szerszą, wiodącą w głąb miasta ulicę. Victor zatrzymał się na skrzyżowaniu głównych arterii.

- Muszę się zobaczyć z rodziną Ferrana i z rodzinami niektórych jego towarzyszy. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, Richardzie, to wolałbym sam z nimi pogadać, przynajmniej teraz. Żałoba po nagłej stracie bliskich i ważni goście to zbyt wiele naraz.

Richard dziwnie się poczuł, uznany za ważnego gościa, a już zwłaszcza że mógł być ważną osobą dla tych, którzy właśnie utracili najbliższych, lecz przez wzgląd na te smutne wieści nie miałby ni czasu, ni możliwości, by złagodzić owo wrażenie.

- Rozumiem, Victorze.

- Ale liczę, że potem powiesz im parę słów. Na pewno sprawiłoby im ulgę, gdyby usłyszeli od ciebie, jak dzielni byli ich bliscy. Twoje słowa godnie ich uhonorują.

- Zrobię, co w mojej mocy.

- Są jeszcze inni, którzy muszą się dowiedzieć, że wróciłem. Będą się chcieli z tobą spotkać.

Richard wskazał Carę i Nicci.

- Chcę im coś pokazać. - Wskazał ku centrum miasta. - O tam.

- Masz na myśli plac Wolności? Richard przytaknął.

- No to dołączę tam do was, gdy tylko to załatwię. Richard patrzył przez chwilę, jak Victor znika w wąskiej, brukowanej, odchodzącej w prawo ulicy.

- Co nam chcesz pokazać? - spytała Cara.

- Coś, co wam odświeży pamięć, mam nadzieję.

Pod Richardem niemal ugięły się kolana, kiedy ujrzał majestatyczną rzeźbę z najwspanialszego marmuru z Cavatury lśniąca w bursztynowym blasku chylącego się ku zachodowi słońca. Znał każdą linię postaci, każdą fałdę powiewnej szaty. Znał, bo wyrzeźbił pierwowzór.

- Richardzie? - spytała Nicci, chwytając go za ramię. - Co z tobą?

- Nic mi nie jest - zdołał wyszeptać, zapatrzony w rzeźbę widoczną za rozległą zieloną murawą.

Rozległa płaska przestrzeń była miejscem, gdzie miał stanąć pałac, siedziba władzy Imperialnego Ładu. To tutaj Nicci sprowadziła Richarda, żeby się trudził na większą chwałę Ładu, w nadziei, że zrozumie wagę samopoświęcenia oraz wrodzone ludziom zło. Stało się jednak inaczej - to ona nauczyła się cenić życie.

Dopóki Richard był więźniem Nicci, całe miesiące pracował przy budowie pałacu imperatora. Po budowli nie było teraz śladu, wszystko zniknęło. Zostało jedynie półkole kolumnady głównego wejścia strzegące dumnego posągu z białego marmuru - to tutaj, w najgłębszym mroku, zapłonął ogień wolności.

Posąg wyrzeźbiono - po rewolcie przeciwko władzy Ładu - i zadedykowano wolnym mieszkańcom Altur'Rang oraz pamięci tych, którzy oddali życie za wolność. Miejsce, gdzie ludzie przelali krew w walce o wolność, było teraz otaczane czcią. Victor nazwał je placem Wolności. Posąg,

oświetlony ciepłym blaskiem nisko wiszącego słońca, jaśniał niby światło przewodnie.

- Co widzicie? - zapytał Richard.

Cara również położyła mu dłoń na ramieniu.

- Lordzie Rahlu, to ten sam posąg, który widzieliśmy za ostatnim tu pobytem.

Nicci potwierdziła skinieniem głowy.

- Posąg wykonany przez rzeźbiarzy po rewolcie.

Widok posągu sprawiał Richardowi ból. Wspaniałe kobiece kształty były wyraźnie widoczne pod powłóczystymi kamiennymi szatami. Marmurowa kobieta zdawała się pełna życia.

- A skąd rzeźbiarze wzięli modelkę do tego posągu? - zapytał obie kobiety.

Spojrzały nań z konsternacją. Nicci odgarnęła z twarzy pasemko włosów nawiane tam przez wilgotny wiatr.

- O co ci chodzi?

- Doświadczeni rzeźbiarze zwykle powiększają w takich przypadkach wymiary modelu. Co sobie przypominacie o tym modelu?

- A tak - rozjaśniła się Cara. - To było coś, co ty wyrzeźbiłeś.

- Racja - odparł. - Razem szukaliśmy drewna na mały posązek. I to ty znalazłaś orzech. Rósł na stoku tuż ponad szeroką doliną. Przewrócił go szarpany wichrem świerk. Byłaś przy tym, jak wycinałem drewno z powalonego, suchego pnia orzecha. Byłaś przy tym, jak rzeźbiłem mały posązek. Siadywaliśmy razem na brzegu strumienia i godzinami rozmawialiśmy, kiedy pracowałem.

- Tak, pamiętam, jak rzeźbiłeś i jak siedzieliśmy na dworze. - Przez twarz Cary przewinął się cień uśmiechu. - I co z tego?

- Byliśmy w chacie, którą zbudowałem w górach. Dlaczego tam byliśmy?

Cara spojrzała na niego, zdumiona pytaniem. Najwyraźniej sprawa wydawała się jej tak oczywista, że szkoda było tracić czas na odpowiedź.

- Kiedy mieszkańcy Anderithu wybrali Imperialny Ład, a nie ciebie i D'Harę, zrezygnowałeś z prób zjednoczenia ludzi przeciwko Ładowi. Powiedziałeś, że nie możesz ich zmuszać, żeby chcieli być wolni, że z własnej woli muszą się opowiedzieć za wolnością i że dopiero wtedy będziesz im mógł przewodzić.

Richardowi trudno było spokojnie jej przypominać o sprawach, które powinna pamiętać równie dobrze jak on, lecz wiedział, że wyrzuty nie przywołają jej wspomnień. Poza tym - bez względu na to, co się właściwie działo - wiedział, że Nicci i Cara nie zwodziły go rozmyślnie.

- Po części tak było - przyznał. - Lecz był o wiele ważniejszy powód naszego pobytu w tych leżących na uboczu górach.

- Ważniejszy powód?

- Kahlan pobito niemal na śmierć. Zabrałem ją tam, żeby mogła bezpiecznie wyzdrowieć. Ty i ja opiekowaliśmy się nią całymi miesiącami, chuchaliśmy na nią, żeby wróciła do zdrowia. Ale się jej nie poprawiało. Ogarnęło ją straszliwe przygnębienie. Rozpaczała, że nigdy nie wyzdrowieje, nigdy nie będzie taka jak przedtem. - Nie potrafił się zmusić, żeby wyznać, iż Kahlan dlatego się tak załamała, że straciła nie narodzone jeszcze dziecko, kiedy ci ludzie niemal na śmierć ją skatowali.

- I wyrzeźbiłeś ją? - spytała Cara.

- Niezupełnie.

Zapatrzył się na dumną postać z białego marmuru odcinającą się na tle ciemnego błękitu nieba. Nie chciał, żeby posązek miał rysy Kahlan. Poprzez jej postać, szaty rozwiane przez wiatr, pod który szła, odrzuconą w tył głowę, wysuniętą ku przodowi pierś, dłonie zaciśnięte w pięści, lekko wygięte mocne plecy, jakby stawiała opór jakiejś niewidzialnej mocy, która usiłowała ją sobie podporządkować - Richard przedstawił nie tyle wygląd Kahlan, ile jej charakter. To nie był posąg Kahlan, lecz posąg jej życiowej siły, jej duszy. Stojąca przed nimi wspinała rzeźba była zaklętym w marmur duchem Kahlan.

- To męstwo Kahlan, jej serce, waleczność i determinacja. Dlatego nazwałem ten posąg „Potęga ducha”. Kiedy go zobaczyła, zrozumiała, co widzi. I zapagnęła być na powrót zdrowa, silna i niezależna. Odzyskała wolę życia. I wtedy zaczęła wracać do zdrowia.

Obie kobiety najwyraźniej wątpiły w prawdziwość tej opowieści, ale milczały.

- Rzecz w tym - powiedział Richard, ruszając przez rozległy trawnik - że gdybyś zapytała tych, którzy rzeźbili posąg, gdzie się podziela mała statuetka, ta, którą ja wyrzeźbiłem i która im posłużyła jako model, to ani by jej nie znaleźli, ani by nie umieli ci powiedzieć, co się z nią stało.

Nicci szybko się z nim zrównała.

- No to gdzie ona jest?

- Posążek, który owego lata w górach wyrzeźbiłem dla Kahlan z drewna orzecha, wiele dla niej znaczył. Bardzo chciała go dostać z powrotem, kiedy rzeźbiarzom już nie był potrzebny. Kahlan go ma.

Nicci westchnęła i spojrzała przed siebie.

- Oczywiście. Ona go ma.

Richard spojrzał chmurnie na czarodziejkę.

- A cóż to ma oznaczać?

- Richardzie, kiedy ktoś jest w malignie, to jego umysł stara się wypełnić białe plamy, powiązać rozproszone majaki w spójną całość. Usiłuje zaprowadzić ład w chaosie.

- No to gdzie jest posążek? - spytał obie kobiety. Cara wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Nie pamiętam, co się z nim stało. Teraz jest ten wielki, marmurowy. I to on jest ważny.

- I ja nie wiem, Richardzie - dodała Nicci, kiedy na nią spojrzał. - Może rzeźbiarzom uda się go odnaleźć, jeżeli dobrze poszukają.

W ogóle nie pojmowały, po co im to opowiedział, i uważały, że po prostu chce odnaleźć swój posążek.

- Nie, nie uda się im go odszukać. W tym rzecz. To właśnie staram się wam wytłumaczyć. Kahlan go ma. Pamiętam, jak się ucieszyła, kiedy go odzyskała. Nie rozumiecie? Nikt go nie odszuka ani sobie nie przypomni, co się z nim stało. Nie widzicie, że coś się nie zgadza? Że dzieje się coś dziwnego? Że coś jest nie tak?

Zatrzymali się u stóp szerokich schodów.

- Chcesz usłyszeć prawdę? Nie. - Nicci wskazała posąg stojący przed półkolem kolumn. - Kiedy skończono tę rzeźbę i model nie był już potrzebny, to prawdopodobnie zaginął albo go zniszczono. Jak powiedziała Cara, teraz istnieje marmurowa statua.

- Czyż nie pojmujecie znaczenia tego małego posążka? Wagi tego, co wam mówię? Ja pamiętam, co się z nim stało, ale nikt inny sobie tego nie przypomni. Staram się coś udowodnić, coś wam wykazać. Przekonać was, że nie wymyśliłem sobie Kahlan, że jedno tu do drugiego nie pasuje. Musicie mi uwierzyć.

Nicci wsunęła palec pod ramię plecaka, starając się choć trochę złagodzić ból wywołany jego ciężarem.

- Richardzie, twoja podświadomość prawdopodobnie wie, co się I stało z posążkiem, wie, że zaginął lub został zniszczony. I dlatego I usiłuje wpasować ów drobny fragment w jedno z pustych miejsc w historii, którą sobie wymyśliłeś. To tylko twój umysł się stara, żeby wszystko było dla ciebie logiczne.

A więc to tak. Rzecz nie w tym, że nie rozumiały, o co mu chodzi - rozumiały aż za dobrze, lecz zwyczajnie w to nie wierzyły. I Richard głęboko zaczerpnął powietrza. Wciąż miał nadzieję przekonać je, że to one się mylą, że nie biorą wszystkiego pod uwagę.

- Po cóż miałbym wymyślać taką historię?

- Richardzie - Nicci delikatnie ujęła go za ramię - daj już sobie z tym spokój, proszę cię. Już wszystko powiedziałam. Tylko cię irytuję.

- Spytałem o coś. Jaki miałbym powód, żeby wymyślać taką historię?

Nicci spojrzała z ukosa na Carę i w końcu się poddała.

- Skoro chcesz poznać prawdę, Richardzie, to posłuchaj. Uważam, że przypomniałeś sobie ten posąg po części dlatego, że dopiero co go wyrzeźbiono po rewolcie i wspomnienie o nim było żywe. I kiedy zostałeś ranny, kiedy byłeś na skraju śmierci, wplotłeś to świeże wspomnienie w swoje majaki. Stało się częścią historii, złączyło z wymyśloną przez siebie kobietą. Powiązałeś to wszystko i wykorzystałeś do stworzenia czegoś dla ciebie ważnego, czegoś, czego byś się mógł kurczowo trzymać. Twój umysł wykorzystał ów posąg, bo łączy twoje majaki z czymś w rzeczywistym świecie. I tym sposobem czyni owo marzenie bardziej realnym dla ciebie.

- Co?! - Richard osłupiał. - Dlaczegoż miałbym...

- Dlatego że pozwala ci to wskazać na coś konkretnego w realnym świecie i powiedzieć: „To ona” - odparła Nicci, wspierając się pod boki.

Richard zamrugał, nie mógł wymówić ani słowa. Nicci odwróciła wzrok. Z jej głosu zniknęła zapalczywość, wyszeptała:

- Wybacz mi, Richardzie.

Odwrócił od niej gniewne spojrzenie. Jak mógł jej wybaczyć, że szczerze wierzy w to, co powiedziała? Jak mógł wybaczyć sam sobie, że nie zdołał jej przekonać? Nie dowierzając własnemu głosowi, zmilczał i zaczął wchodzić po schodach. Nie mógł jej spojrzeć w oczy. Nie mógł spojrzeć w oczy komuś,

kto wierzy, iż on oszalał. Niemal nie zdawał sobie sprawy z tego, że wchodzi po schodach. Na ich szczycie, kiedy szedł przez szeroką marmurową płaszczyznę, usłyszał, jak Nicci i Cara wbiegają za nim. Po raz pierwszy zauważył, że na terenach popałacowych jest sporo ludzi. Z tej wysokości widział płynącą przez miasto rzekę. Nad jej wodami kołowały stada ptaków. Za olbrzymimi kolumnami stojącymi za posągiem, ponad zielonymi wzgórzami i drzewami, falowało rozpalone powietrze.

Przed nim wznosiła się dumna „Potęga ducha”, wspaniała w złotym blasku chylącego się ku zachodowi słońca. Oparł dłoń o chłodny, gładki marmur, szukając pociechy. Ostatkiem sił wytrzymywał cierpienie, które go teraz dopadło.

Podeszła Cara i spojrzał w jej błękitne oczy.

- I ty też w to wierzysz? Że tylko sobie wymyśliłem, iż Kahlan była poraniona i my obydwójcie się nią opiekowaliśmy? Ten posąg nie przywołał żadnych wspomnień? Nie pomógł ci niczego sobie przypomnieć?

Cara popatrzyła na milczący posąg.

- Teraz, kiedy o tym opowiedziałeś, lordzie Rahlu, to sobie przypominałam, kiedy znalazłam to drzewo. Pamiętam, że się do mnie uśmiechnąłeś, kiedy ci je pokazałam. Pamiętam, że byłeś zadowolony. I przypominałam sobie niektóre historie, które mi opowiadałeś, rzeźbiąc, i że słuchałeś moich opowieści. Ale tego lata wiele rzeźbiłeś.

- Tego lata, zanim zjawiała się Nicci i mnie zabrała - uściślił.

- Tak.

- Skoro tylko mającę i Kahlan nie istnieje, to jak udało się Nicci pojmać mnie i uprowadzić, jeżeli tam byłaś, by mnie chronić?

Cara milczała zbita z tropu uszczypliwością pytania.

- Użyła magii - rzekła na koniec.

- Magii. A pamiętasz, że Mord-Sith chronią przed magią? Że Po to właśnie istnieją, by chronić lorda Rahla przed tymi, których Magiczna moc mogłaby go skrzywdzić? Kiedy owego dnia Nicci się tam zjawiała, zamierzała wyrządzić mi krzywdę. Byłaś tam. Dlaczego jej nie powstrzymałaś?

W błękitnych oczach Cary widać było przerażenie.

- Bo cię zawiodłam. Powinnałam ją powstrzymać, ale cię zawiodłam. Nie ma dnia, żebym nie pragnęła, byś mnie ukarał za to, że zawiodłam, że cię nie ochroniłam. - Purpurowa nagle twarz Cary ostro kontrastowała z blond

włosami, kiedy się spowiadała ze swojego przewinienia. - Zawiodłam cię, więc Nicci zdołała cię pojmać i uprowadzić na blisko rok. Wszystko przeze mnie. Gdybym w taki sposób zawiodła twojego ojca, to kazałby mnie zabić, ale najpierw musiałabym do zachrypnięcia błagać o śmierć. I słusznie by tak uczynił: zasłużyłam sobie na to. Zawiodłam cię.

Richard wpatrywał się w nią, wstrząśnięty.

- Caro... to nie była twoja wina. W tym cała rzecz. Powinnaś pamiętać, że nie mogłaś nic zrobić, żeby powstrzymać Nicci.

Cara zacisnęła pięści.

- Mogłam, ale nie zrobiłam. Zawiodłam cię.

- To nieprawda, Caro. Nicci rzuciła czar na Kahlan. Gdyby któreś z nas spróbowało ją powstrzymać, zabiłaby Kahlan.

- Co takiego?! - przerwała Nicci. - O czym ty mówisz?!

- Rzuciłaś na Kahlan czar. Połączył cię z nią i mogłaś go świadomie kontrolować. Gdybym z tobą nie poszedł, zabiłabyś Kahlan, po prostu o tym myśląc. W dowolnie wybranej chwili. I przede wszystkim dlatego Cara nie mogła nic zrobić.

Nicci wsparła ręce na biodrach.

- A jakież to czar może, według ciebie, czegoś takiego dokonać?

- Czar macierzyńskiego zespolenia. Nicci patrzyła na niego z konsternacją.

- Co takiego?!

- Czar macierzyńskiego zespolenia. Wytworzył więź, dzięki której Kahlan czuła to wszystko, co się tobie przytrafiało. Gdybym cię zranił lub zabił albo gdyby to zrobiła Cara, Kahlan spotkałby ten sam los. Byliśmy bezsilni. Musiałem zrobić, coś chciała. Musiałem z tobą pójść, bo Kahlan by umarła. Musiałem cię słuchać, bo inaczej odebrałabyś jej życie poprzez magiczną więź. Musiałem dbać, żeby tobie nic złego się nie stało, bo inaczej to samo spotkałoby Kahlan.

Nicci z niedowierzaniem potrząsnęła głową, a potem, bez jednego słowa, wpatrzyła się w widoczne za posągami wzgórze.

- To nie była twoja wina, Caro. - Uniósł jej głowę, by spojrzeć na niego oczami pełnymi łez. - Żadne z nas nic nie mogło zrobić. Nie zawiodłaś mnie.

- Nie sądzisz, że chętnie bym ci uwierzyła? Że uwierzyłabym, gdyby to była prawda?

- Jeżeli nie pamiętasz tego, co się według moich słów naprawdę wydarzyło - spytał Richard - to jak Nicci zdołała mnie pojmać?

- Użyła magii.

- Jakiej magii?

- Nie wiem, co to było. Nie znam się na magii. Użyła magii i już.

Popatrzył na Nicci.

- Co to były za czary? Jak mnie pojmałaś? Jakiego zaklęcia użyłaś? Dlaczego cię nie powstrzymałem? Dlaczego Cara cię nie powstrzymała?

- Richardzie, to było... półtora roku temu? Nie pamiętam, jakiego zaklęcia użyłam owego dnia, żeby cię pojmać. To wcale nie było takie trudne. Nie potrafisz kontrolować swojego daru, nie potrafisz się obronić przed kimś, kto się umie posługiwać swoją mocą. Mogłam cię wtedy spętać magią i przerzucić przez koński grzbiet, i łatwo mi to przyszło.

- A dlaczego Cara nie próbowała cię powstrzymać?

- Dlatego że - odparła Nicci, zrozpaczona, że musi przypominać te irytujące szczegóły - miałam cię w swojej mocy i wiedziała, że jeśli czegokolwiek spróbuje, to cię zabiję. Ot i wszystko.

- Właśnie - odezwała się Cara. - Nicci rzuciła na ciebie czar. Nie mogłam nic zrobić, bo to ciebie zaatakowała. Gdyby zwróciła swoją moc przeciwko mnie, mogłabym wykorzystać jej dar przeciwko niej, ale użyła magii przeciwko tobie i nie mogłam nic zrobić.

Richard otarł pot z czoła.

- Nauczono cię zabijać gołymi rękami. Dlaczego choćby nie walnęłaś jej w głowę kamieniem?

- Bo i ty byś ucierpiał - Nicci uprzedziła Carę - a może nawet bym cię zabiła, gdyby ona choć pomyślała o zaatakowaniu mnie.

- A potem Cara by cię dopadła - przypomniał Richard czarodziejce.

- Wtedy byłam gotowa poświęcić życie, nie dbałam o nie. Przecież wiesz.

Richard wiedział, że chociaż to jedno jest prawdą. W owym czasie Nicci nie ceniła życia, nawet własnego. Dlatego była taka niebezpieczna.

- Moim błędem było to, że nie zaatakowałam Nicci, zanim cię dopadła - odezwała się Cara. - Gdybym ją sprowokowała do użycia magii przeciwko mnie, byłaby moja. To właśnie powinna zrobić Mord-Sith. Ale ja cię zawiodłam.

- Nie mogłaś tego zrobić - stwierdziła Nicci. - Zaskoczyłam was. Nie

zawiodłaś, Caro. Po prostu czasami nic się nie może udać. Nie ma żadnego wyjścia z sytuacji. I wtedy was właśnie coś takiego spotkało. Miałam pełną kontrolę.

To było beznadziejne. Ile razy zapędzał je do narożnika, tyle razy mu się bez wysiłku wymykały.

Richard położył dłoń na gładkim marmurze. Myśli kłębiły mu się w głowie, starał się pojąć, dlaczego tak się dzieje - co im odbiera pamięć. Myślał, że pewnie zdołałby temu zaradzić, gdyby poznał przyczynę. I nagle przypomniało mu się coś, co im opowiadał parę wieczorów wcześniej, w szataśie.

ROZDZIAŁ 14

Richard pstryknął palcami.

- Magia - powiedział. - Otóż to. Pamiętacie, jak wam opowiadałem, że Kahlan zjawiała się w lasach Hartlandu, w pobliżu mojego domu, i szukała dawno zaginionego czarodzieja?

- No i co z tego? - spytała Nicci.

- Kahlan szukała wielkiego czarodzieja, bo Zedd uciekł z Midlandów, zanim się urodziłem. Rahl Posępny zgwałcił moją matkę i Zedd chciał ją zabrać w bezpieczne miejsce.

Cara podejrzliwie zmarszczyła brwi.

- Podobnie jak ty zabrałeś tę kobietę, swoją żonę, w odległe góry, żeby w bezpiecznym miejscu doszła do siebie po tym pobiciu?

- Coś w tym rodzaju, ale...

- No i widzisz, co robisz, Richardzie? - wtrąciła się Nicci. - Bierzesz to, o czym słyszałeś, i wpasowujesz w swoje majaki. Dostrzegasz wspólny wątek obu tych historii? To powszechne u ludzi, którzy śnią. Umysł wraca do tego, co zna, o czym słyszał.

- Nie, to nie to. Wysłuchaj mnie.

Nicci wyraziła zgodę skinieniem głowy, lecz splotła dłonie za plecami i uniosła podbródek niczym nauczycielka mająca do czynienia z upartym uczniem.

- Fakt, istnieją podobieństwa - przyznał Richard nieco speszony znaczącym spojrzeniem, którego nie spuszczała zeń Nicci - lecz właśnie w tym rzecz. Zedd zaczął mieć serdecznie dość rady Midlandów, podobnie jak ja miałem dosyć prób pomagania ludziom wierzącym w kłamstwa Ładu. Różnica polega na tym, iż Zedd chciał, żeby sami ponieśli konsekwencje swoich czynów. Nie życzył sobie, żeby go znaleźli i błagali o pomoc w wydostaniu się z kłopotów, w które sami się wpakowali. Kiedy więc opuścił Midlandy, żeby się schronić w Westlandzie, rzucił zaklęcie, żeby wszyscy o nim zapomnieli. - Łudził się, że zrozumieją, ale tylko się w niego wpatrywały. - Zedd posłużył się specjalnym czarem, który miał sprawić, że wszyscy zapomną jego imię, zapomną, kim jest, żeby nikt go nie szukał. Coś takiego musiało się stać i z Kahlan. Ktoś ją porwał i użył magii nie tylko po

to, żeby wymazać jej ślady, ale i po to, żeby wymazać pamięć o niej. To dlatego nie możecie jej sobie przypomnieć. Dlatego nikt jej nie pamięta.

Cara się zdziwiła. Spojrzała na Nicci. Nicci oblizwała wargi i ciężko westchnęła.

- To musi być to - upierał się Richard. - To wyjaśnienie.

- Richardzie - rzekła spokojnie Nicci - nie to się tutaj dzieje. To w ogóle nie ma sensu.

Richard nie mógł pojąć, dlaczego Nicci - czarodziejka przecież! - nie może tego zrozumieć.

- A właśnie, że ma sens. Zakłęcie sprawiło, że wszyscy zapomnieli o Zeddzie. Po tym spotkaniu w lasach Kahlan opowiadała mi, jak szukała wielkiego czarodzieja, ale nikt nie mógł sobie przypomnieć imienia starca, bo rzucił on czar nakazujący im je zapomnieć. I tak samo musiano rzucić czar, żeby wszyscy zapomnieli o Kahlan.

- Z wyjątkiem ciebie? - Nicci uniosła brew. - Ten czar najwyraźniej na ciebie nie podziałał, bo doskonale ją pamiętasz.

Richard spodziewał się właśnie takiego argumentu.

- Może czar nie podziałał na mnie, bo tylko ja mam odmienny rodzaj magicznego daru.

Nicci po raz kolejny głęboko odetchnęła, by się uspokoić.

- Twierdzisz, że gdy ta kobieta, Kahlan, zjawiła się, szukała zaginionego czarodzieja, starca, tak?

- Tak.

- Nie widzisz, w czym rzecz, Richardzie? Wiedziała, że szuka starca, zaginionego czarodzieja.

- To prawda. - Richard kiwał głową. Nicci nachyliła się ku niemu.

- Taki rodzaj zaklęcia jest dość kłopotliwy w użyciu, trzeba wziąć pod uwagę wiele problemów, lecz nie ma w sobie nic niezwykłego. Trudne, owszem, niezwykle - absolutnie nie.

- No to coś takiego zrobiono z Kahlan. Ktoś, może jeden z czarodziejów Ładu podróżujący z konwojem, porwał ją i rzucił czar, żebyśmy o niej zapomnieli i nie ścigali ich.

- Po co ktoś miałby sobie zadawać taki trud? - spytała Cara. - Czemu jej zwyczajnie nie zabić? Po co ją porywać, a potem sprawiać, żeby wszyscy o niej zapomnieli?

- Sam nie wiem. Może chcieli uciec, nie obawiając się pogoni. Może postanowili ją porwać i potem, w wybranej przez siebie chwili, pochwalić się swoim więźniem świadczącym o ich magicznej mocy, pokazać, że potrafią porwać każdego, kto się im sprzeciwi. Rzecz w tym, że zniknęła i nikt prócz mnie jej nie pamięta.

Dla mnie jest logiczne, że musiano użyć czaru, czaru podobnego do tego, którym Zedd zatarł pamięć o sobie.

Nicci uszczypnęła się w grzbiet nosa w taki sposób, że Richard poczuł się głupiutki; jakby dawała do zrozumienia, że jego zwariowany pomysł przyprawił ją o ból głowy.

- Wszyscy szukali owego starca. Owego wielkiego czarodzieja. Pamiętali, że był wielkim czarodziejem, że był ważnym, szanowanym człowiekiem, a nawet, że był z Midlandów. Nie mogli sobie tylko przypomnieć jego imienia i pewnie zapomnieli, jak wyglądał. A nie znając imienia i wyglądu, mieli wielkie kłopoty z odnalezieniem go.

- Racja. - Richard kiwał głową.

- Nie pojmujesz, Richardzie? Wiedzieli, że istnieje, że jest starym czarodziejem, i zapewne pamiętali wiele jego dokonań, tyle że nie mogli sobie przypomnieć jego imienia, bo zatarł je czar. Tylko tyle: jego imię. Nie mogli sobie przypomnieć jego imienia, chociaż pamiętali, że istniał. Za to tej twojej żony nikt prócz ciebie nie pamięta. Nie znamy jej imienia, nic o niej nie wiemy. Nie zachowaliśmy żadnego wspomnienia o niej ani o żadnym z jej czynów. W ogóle nic o niej nie wiemy. Zupełnie nic. Istnieje wyłącznie w twoim umyśle.

Richard dostrzegł różnicę, ale nie miał ochoty przyznawać Nicci racji.

- Może to po prostu silniejsze zaklęcie. Musi być podobne do tamtego, tyle że mocniejsze, i dlatego wszyscy zapomnieli nie tylko jej imię, ale i ją samą.

Nicci delikatnie, niemal ze współczuciem ujęła go za ramiona.

- Przyznaję, Richardzie, że dla kogoś, kto jak ty dorastał bez kontaktu z magią, może to brzmieć sensownie, i naprawdę jest ogromnie pomysłowe, ale czary nie działają w ten sposób w realnym świecie. Jeżeli ktoś nie pojmuje działania takich mocy, to takie wyjaśnienie może mu się wydawać całkiem logiczne, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Jeżeli jednak głębiej się nad tym zastanowi, to przyzna, że różnica pomiędzy zaklęciem wymazującym z

pamięci czyjeś imię a zaklęciem wymazującym pamięć o danej osobie jest taka, jak pomiędzy rozpaleniem ogniska a rozpaleniem na niebie drugiego słońca.

Richard, zirytowany i zawiedziony, wyrzucił w górę ręce.

- Ale dlaczego?!

- Bo to pierwsze zmienia tylko jedną rzecz, pamięć o imieniu tej osoby, a muszę dodać, że choć to na pozór takie proste, to w rzeczywistości bardzo trudne i dostępne jedynie dla nielicznych, mających naprawdę wielki dar, przy czym i oni powinni mieć rozległą wiedzę. Wszyscy wiedzą, że zapomnieli imię wielkiego czarodzieja, czyli zaklęcie spełniło to jedno, dokładnie określone zadanie. Cała trudność z zaklęciami tego typu leży w, że tak powiem, szerokości zakresu ich działania, ale w tym wypadku możemy to pominąć. Ten pierwszy czar zmienia tylko jedną rzecz, czyli imię zaginionego czarodzieja, za to drugi zmienia prawie wszystko. I dlatego jest nie tylko trudny, ale wręcz niemożliwy.

- Dalej nie rozumiem. - Richard chodził tam i z powrotem po marmurowym podwyższeniu z posągami i gestykulował. - Mnie się wydają dość podobne w działaniu.

- Pomyśl, jak dana osoba, a zwłaszcza osoba tak ważna jak Matka Spowiedniczka, oddziałuje na życie innych. Drogie duchy, Richardzie, przecież ona przewodniczy Naczelnej Radzie Midlandów. Podejmuje decyzje mające wpływ na każdą krainę.

Richard podszedł do czarodziejki.

- I w czym niby ta różnica? Zedd był Pierwszym Czarodziejem. Był ważny, wywierał wpływ na życie wielu ludzi.

- I ludzie tylko zapomnieli jego imię. O nim samym pamiętali. Spróbuj sobie przez chwilę wyobrazić, co by się stało, gdyby czar mógł u wszystkich zatrzeć pamięć o danym człowieku. - Odeszła

O kilka kroków, a potem gwałtownie odwróciła się ku niemu. - Weź na przykład Favala, wytwórcę węgla drzewnego. Zapomnij nie tylko imię, ale i człowieka. Zapomnij, że istnieje, że w ogóle istniał, tak jak według ciebie miało się stać z tą kobietą, Kahlan. Co by się wtedy stało? Co by zrobiła rodzina Favala? Kogo by jego dzieci uważały za ojca? Kto, według żony, by ją uczynił ciężarną, gdyby nie pamiętała Favala? Skąd by się wzięła rodzina? Czy biedaczka wymyśliłaby sobie innego mężczyznę, żeby opanować panikę

i wypełnić pustkę? Co by sobie myśleli jej przyjaciele i jak mogłyby się zgrać ich i jej wymysły? W co by wszyscy uwierzyli, gdyby jej tłumaczeń nie wspierał żaden dowód? Co by się stało, gdyby każdy na swój sposób wypełniał luki w pamięci i gdyby te wypełnienia do siebie nie pasowały? Co by sobie żona i dzieci pomyślały o paleniskach do węgla drzewnego wokół domu? A co by się stało w odlewni, której Faval sprzedawał swój węgiel drzewny? Co by pomyślał Priska? Że cały ten węgiel drzewny magicznie się zjawiał w magazynie jego odlewni? I wiedz, że jeszcze nawet nie zaczęłam mówić o najbardziej powierzchownych, stale się rozprzestrzeniających komplikacjach, które by spowodował taki wymyślny urok zapomnienia rzucony na Favala: o rachunkach, podziale pracy, uzgodnieniach z drwałami i innymi robotnikami, dokumentach, przyrzeczeniach i całej reszcie. Pomyśl o zamęcie, jaki by to spowodowało, i to tylko w przypadku mało znanego człowieka mieszkającego w małej chatce na odludnej polanie. - Tu wykonała szeroki gest. - A co dopiero mówić o samej Matce Spowiedniczce?

Nawet nie mogę sobie wyobrazić całego zamieszania i komplikacji, jakie by spowodował taki czar.

Bujne, jasne włosy Nicci kontrastowały z ciemnym tłem - drzewami na wzgórzach za rozległą, płaską trawiastą połącią. Długie włosy Nicci spływały swobodnie, dodawały uroku odzianej w czarną suknię kształtnej postaci, lecz jej osobowości nie można było lekceważyć. W owej chwili, w promieniach zachodzącego słońca, stanowiła obraz bystrości i wnikliwości, rozumnego autorytetu. Richard - milczący i nieruchomy - słuchał jej dalszego wykładu.

- I właśnie to wszystko, co się łączy z każdym, nawet najdrobniejszym wydarzeniem, uniemożliwiłoby rzucenie takiego czaru. Każdy, nawet najmniej znaczący uczynek Matki Spowiedniczki, niczym lawina zmiotłby wszystko, co się z nim łączy, a w czym ona sama wcale nie musiała osobiście uczestniczyć, zwiększając liczbę zdarzeń objętych owym czarem. Ogrom, złożoność i znaczenie czegoś takiego wymyka się zrozumieniu. Takie komplikacje muszą wysysać moc z czaru, żeby przeciwdziałać własnej niszczycielskiej sile. Osłabia to moc zaklęcia mającego kontrolować całe to zdarzenie. I w pewnej chwili, gdyby nic nie kompensowało utraty mocy rozpraszaną przez stale się nasilający wir takich epizodów, czar zniknąłby niczym płomień świecy na deszczu. - Podeszła bliżej i dźgnęła go palcem w

pierś..- A przecież jeszcze w ogóle nie wspomniałam o najbardziej rażącej nielogiczności twojego wymysłu. W swojej malignie wyśniłeś coś o wiele bardziej kłopotliwego. Wymarzyłeś sobie nie tylko tę kobietę, tę żonę, którą ty jeden pamiętasz, lecz posunąłeś się o wiele dalej, nie zdając sobie sprawy z brzemiennych w skutki następstw. Bo wyśniłeś sobie nie jakąś tam wiejską dziewczynę. Uczyniłeś swoją żoną znaną osobę. We śnie mogło się to wydawać zupełnie proste, lecz w realnym świecie coś takiego stwarza określone problemy. Ty jednak posunąłeś się jeszcze dalej! Nawet znana osoba nie byłaby taka wydumana jak ta z twojego snu. W malignie wybrałeś samą Matkę Spowiedniczkę, osobę niemalże mityczną, ogromnie ważną, a przy tym z wielkiej oddali, której nikt z naszej trójki nie zna. Żadne z nas nie pochodzi z odległych Midlandów, więc nie moglibyśmy wymienić faktów sprzecznych z twoimi majakami. Pochodzenie z tak odległych terenów mogło się wydawać logiczne w twoich majakach, bo rozwiązywało problem sprzecznych faktów, lecz w realnym świecie stwarza nie dający się rozwiązać problem: taka kobieta jest szeroko znana. Jest tylko kwestią czasu, kiedy twój starannie wymyślony sen zderzy się z rzeczywistością i zacznie się rozpadać. Wybierając znaną osobę, skazałeś na zagładę swój sielankowy sen.

- Uniosła głowę Richarda i skłoniła go, żeby spojrzał jej w oczy. - W zamęcie myśli, Richardzie, wymyśliłeś sobie kogoś dającego pociechę. Byłeś bliski śmierci, rozpaczliwie chciałeś, żeby cię ktoś kochał, żeby łagodził twój strach, lęk, poczucie samotności. To zupełnie zrozumiałe, naprawdę. I z całą pewnością nie umniejsza cię w moich oczach to, że w ten sposób łagodziłeś swój lęk i samotność, lecz ten zły okres już minął i powinieneś się z tym uporać. Gdybyś sobie wyobraził jakąś nieznaną kobietę, byłby to jedynie czysty wymysł. Ty jednak nieopatrznie powiązałeś swój sen z rzeczywistością, ponieważ bardzo wielu ludzi zna Matkę Spowiedniczkę. Jeżeli kiedyś wrócisz do Midlandów albo napotkasz pochodzących stamtąd ludzi, to twój sen zderzy się z twardą rzeczywistością. Każda z tych osób to dla ciebie ktoś gotowy wypuścić strzałę, a tym razem strzała na pewno przeszyje ci serce. A może być jeszcze gorzej. Co będzie, jeżeli rzeczywista Matka Spowiedniczka nie żyje?

Richard się cofnął.

- Ale ona żyje.

- Lordzie Rahlu - odezwała się Cara - pamiętam, że parę la temu Rahl

Posepny wysłał ludzi, żeby pozabijali wszystkie Spowiedniczki. A te oddziały, bojówki, nigdy nie zawodzą.

Richard wpatrywał się w Mord-Sith.

- Ale nie udało im się jej dopaść.

- Richardzie - powiedziała łagodnie Nicei, przyciągając jego spojrzenie - a co będzie, jeżeli się kiedyś znajdziesz w Midlandach i przekonasz, że prawdziwa Matka Spowiedniczka jest inna niż ta z twoich snów, że jest starą kobietą? W końcu Spowiedniczki nie przyznają najwyższej godności osobom tak młodym jak ta twoja ukochana. Co będzie, jeżeli się przekonasz, że ta prawdziwa była starą kobietą i co gorsza, już od dawna nie żyje? Powiedz prawdę. Co byś zrobił, gdybyś się o czymś takim dowiedział?

Richardowi tak zaschło w ustach, że musiał najpierw kilka razy poruszyć językiem, zanim na tyle zwilżył wargi, by móc odpowiedzieć.

- Nie wiem.

Nicei uśmiechnęła się smutno.

- W końcu uczciwa odpowiedź. - Zabrakło jej sił nawet na tak smutny uśmiech. - Boję się o ciebie, Richardzie. Boję się, czy zachowasz zdrowe zmysły, jeżeli się będziesz przy tym upierał, jeżeli pozwolisz, żeby to zawładnęło twoim życiem. Wcześniej czy później będziesz się musiał zmierzyć z twardą rzeczywistością.

- Nicei, tylko dlatego, że sobie nie możesz wyobrazić...

- Richardzie - przerwała mu spokojnie - jestem czarodziejką. Byłam Siostrą Światła i Siostrą Mroku. Wiem to i owo o magii. Powiadam ci, że to, o czym mówisz, jest poza zasięgiem każdej znanej mi magii. Potrafi to sobie wyobrazić zdesperowany człowiek, ale w realnym świecie jest to niewykonalne. Nawet nie potrafiłbyś sobie wyobrazić następstw samych prób dokonania czegoś takiego, a co dopiero efektów zrealizowania tego.

- Nicci, nie odmawiam ci rozległej wiedzy na temat magii, ale przecież nie wiesz wszystkiego. Może ty nie potrafisz czegoś zrobić, lecz to wcale nie oznacza, iż jest to niemożliwe. Oznacza to tylko, że ty nie wiesz, jak to zrobić. Po prostu nie chcesz przyznać, że możesz się mylić.

Zacisnęła dłonie w pięści, zamrugęła powiekami.

- Sądzisz, że chcę ci się sprzeciwiać w tej sprawie? Tak myślisz? Uważasz, że się cieszę z tego, że z radością próbuję cię skłonić do uznania prawdy? Uważasz, że lubię ci się sprzeciwiać?!

- Wiem jedno: ktoś w jakiś sposób sprawił, że zapomniałaś o Kahlan. Nie pamiętasz, że ona istnieje. Ja wiem, że ona jest realna, i zamierzam ją odnaleźć. Choćby ci się to nie podobało.

Nicci, z pełnymi łez błękitnymi oczami, odwróciła się do niego plecami i omiotła spojrzeniem górujący nad nią posąg.

- Richardzie, chętnie bym urzeczywistniła twój sen, gdyby to tylko było w mojej mocy. Nawet nie potrafisz sobie wyobrazić, co bym dała, żeby ci ofiarować to, czego pragniesz... żeby cię uszczęśliwić.

Richard patrzył, jak ciemnieją fioletowe chmury nad horyzontem. Spokój był aż nierealny. Nicci stała ze skrzyżowanymi ramionami i patrzyła w przeciwnym kierunku, w zbliżający się mrok. Cara przystanęła w pobliżu, nie spuszczając oka z ludzi kłębiących się na popałacowych terenach.

- Nicci - Richard przerwał w końcu nieprzyjemną ciszę, panującą wokół posągu - czy masz jakieś inne wytłumaczenie, niż że to był jedynie sen? Czy dzięki swojej rozległej wiedzy dostrzegasz coś, co ewentualnie mogłoby to spowodować? Czy istnieje jakikolwiek rodzaj zaklęcia, który by pomógł rozwikłać tę zagadkę? - Patrzył na jej plecy, zastanawiając się, czy odpowie. Długi cień przecinał łukowatą tarczę z brązu okalającą dumny posąg, mówiąc mu to, co już wiedział: że dzień się kończy, że cenny czas ucieka.

W końcu Nicci odwróciła się ku niemu. Była spokojna.

- Przykro mi, Richardzie, że nie mogę tego dla ciebie urealnić. - Otarła łzę spływającą jej po policzku. - Tak mi przykro, że cię zawiodłam.

Cara z ponurą miną pochwyciła spojrzenie Nicci.

- No to coś nas łączy.

Richard delikatnie musnął palcami „Potęgę ducha”. Uniesiona twarz, dumne spojrzenie oczu oddanych w białym marmurze zatraciły blask, bo ostatecznie promienie zachodzącego słońca skryły się za wzgórzami.

- Żadna z was mnie nie zawiodła - powiedział. - Obie mówicie to, w co wierzycie. Lecz Kahlan nie jest snem. Jest równie realna jak jej wyrzeźbiony w marmurze duch.

ROZDZIAŁ 15

Richard popatrzył w stronę, z której dobiegał odległy tumult - grupa ludzi szła w kierunku posągu. Z tej wysokości widział, że ciągną za nimi inni; pewnie kierowała nimi ciekawość lub zdecydowanie, z jakim tamci szli przez popałowate tereny. A na czele niewielkiego tłumu szedł ktoś, kogo Richard właśnie chciał zobaczyć. Ów człowiek, jeszcze dość daleki, zamachał ręką.

- Richardzie!

Chłopak mimo wszystkich trosk nie mógł się nie uśmiechnąć do krępego jegomościa w czerwonym kapeluszu z wąskim rondem. Kiedy tamten się zorientował, że Richard go zauważył, przyspieszył kroku i truchtał przez trawnik.

- Richardzie! - zawołał znowu. - Wróciłeś! Tak jak obiecałeś! Przybyli zaczęli wchodzić po schodach, Richard zaś ruszył w dół na spotkanie z nimi. I wtedy zobaczył, że i Victor toruje sobie drogę przez gęstniejący tłum. Ishaq pospieszył w górę szerokich marmurowych schodów, pochwycił dłoń Richarda i potrząsał nią z promiennym uśmiechem.

- Tak się cieszę, Richardzie, że wróciłeś do Altur'Rang. Wróciłeś, żeby powozić w mojej kompanii przewozowej, prawda? Mam pełno zamówień. Jak się w to wszystko wpakowałem? Jesteś mi potrzebny. Mógłbyś zacząć od jutra?

- I ja cię rad widzę, Ishaqu.

Ishaq wciąż potrząsał dłonią Richarda.

- No to wrócisz? Będziesz moim wspólnikiem. Będziemy się wszystkim dzielić po równo, ty i ja.

- Jesteś mi winien tyle pieniędzy, Ishaqu, że...

- Pieniądze - prychnął Ishaq. - Co to za gadka o pieniądzach? Mam teraz tyle roboty, coraz więcej, że nie mam czasu się martwić o pieniądze. Zapomnij o pieniądzach. Zarobimy, ile zechcesz. Potrzebny mi człowiek z głową na karku. Zrobię z ciebie wspólnika. A jeżeli chcesz, to ty mnie zrób swoim wspólnikiem, w ten sposób będziemy mieli jeszcze więcej roboty. Wszyscy się o ciebie dopytują. Nic tylko, gdzie Richard, gdzie Richard. Powiadam ci, Richardzie, jeżeli...

- Nie mogę, Ishaqu. Próbuję odszukać Kahlan.

- Kahlan? - Ishaq zamrugał.

- Żonę - rzekł zagniewany Victor, wychodząc z tłumu za Ishakiem.

Ishaq się odwrócił i wytrzeszczył oczy na Victora. Potem znów popatrzył na Richarda.

- Żonę? - Zdjął z głowy kapelusz. - Żonę? Ależ to cudownie! - Szeroko rozpostarł ramiona. - Cudownie! - Objął Richarda i ścisnął go, śmiejąc się i kołysząc na piętach. - Ożeniłeś się! To wspaniała nowina. Urządzimy bankiet i...

- Zaginęła - odezwał się Richard, odsuwając Ishaq'a na odległość ramienia. - Szukam jej. Nie wiemy, co się stało.

- Zaginęła? - Ishaq odgarnął w tył czarne włosy i włożył czerwony kapelusz. - Pomogę. Idę z tobą. - Jego ciemne oczy spoważniały. - Powiedz, co mogę zrobić.

To nie była czcza obietnica. Ishaq mówił serio. Radowało serce, że porzuciłby wszystko, żeby pomóc.

Richard nie sądził jednak, by to był czas i miejsce na wyjaśnienia.

- To nie takie proste.

- Richardzie - rzekł Victor, nachylając się ku niemu - mamy kłopoty.

Ishaq spojrział gniewnie na Victora, z irytacją machnął ręką.

- Zaginęła żona Richarda. Po co jeszcze zwalasz mu na głowę dodatkowe troski?

- W porządku, Ishaqu. Victor już wie o Kahlan. - Richard wsparł lewą dłoń na głowni miecza. - Jakie kłopoty? - spytał.

- Wrócili zwiadowcy i mówią, że nadciągają oddziały Imperialnego Ładu.

Ishaq znowu zdjął kapelusz.

- Oddziały?

- Kolejna dostawa zaopatrzenia? - spytał Richard.

- Nie - odparł Victor, potrząsając głową. - To bojowe oddziały i idą tutaj.

Ishaq wytrzeszczył oczy.

- Żołnierze nadchodzą? Szybko tu będą?

Głosy poniosły budzące niepokój wieści w gęstniejący tłum.

- Przy tym tempie marszu zajmie im to jeszcze parę dni. Mamy trochę czasu, żeby zorganizować obronę. Ale niezbyt wiele.

Nicci podeszła do Richarda. Wyprostowana, głowa uniesiona dumnie,

przenikliwy wzrok - przyciągała wszystkie spojrzenia. Ucichli, patrząc na nią. Nawet ci, którzy nie wiedzieli, kim jest, milkli w jej obecności. Jednym odbierał mowę jej olśniewający wygląd, innym - nieokreślona groźba emanująca z jej władczej postawy mimo całej urody.

- I zwiadowcy są pewni, że żołnierze kierują się tutaj? - zapytała Nicci. - Może tylko przemaszerują w pobliżu w drodze na północ?

- Oni nie idą na północ. - Victor uniósł brew. - Idą z północy. Richard mocniej zacisnął palce na rękojeści miecza.

- Idą z północy? Jesteś tego pewien? Victor potaknął.

- To zaprawione w boju oddziały. Co gorsza, gdzieś po drodze zgarnęli jednego z tych kapłanów.

Ludzie wstrzymali oddech. Przekazywane szeptem nowiny obiegały tłum. Niektórzy zaczęli zadawać pytania, a każdy z nich usiłował przekrzyczeć pozostałych.

Nicci uniosła rękę, nakazując ciszę. Wystarczyło - na ogarnianej zmięczem pochyłości marmurowych schodów zrobiło się cicho. Czarodziejka nachyliła się ku ponuremu kowalowi. Patrzyła nań jak jastrząb, który właśnie dojrzał swój obiad.

- Mają ze sobą czarodzieja? - syknęła. Victor się nie cofnął; jeden z nielicznych.

- Mówią, że to arcykapłan Bractwa Ładu.

- Wszyscy kapłani Ładu to czarodzieje - wtrącił Ishaq. - To nie jest dobra wieść. Oj, nie jest.

- Nie przeczę - rzekł Victor. - Z wieści przyniesionych przez zwiadowców wynika, że to na pewno jest czarodziej.

Zaniepokojony tłum znów zaszemrał. Niektórzy przysięgali, że to nie robi żadnej różnicy, że będą odpierać wszystkie ataki Ładu chcącego odbić Altur'Rang. Inni nie bardzo wiedzieli, co należałoby zrobić.

Nicci, zapatrzona w dal, rozmyślała nad tym, co usłyszała; potem znów spojrzała na Victora.

- Czy zwiadowcy znają jego imię lub potrafią powiedzieć o nim coś, co by go pozwoliło zidentyfikować?

Victor zatknął kciuki za pas, kiwnął głową.

- Ten arcykapłan ma na imię Kronos.

- Kronos... - powtórzyła zamyślona.

- Ci, którzy wypatrzyli wojsko, ruszyli głowami - opowiadał jej Victor. - Nie zauważono ich, więc wyprzedzili żołnierzy i w najbliższym mieście czekali na ich nadejście. Wojsko rozbiło obóz tuż pod miastem, na kilka nocy, żeby wypocząć i uzupełnić zapasy. Oczywiście oskubali miasto do czysta. Kiedy się upili, to tyle gadali, że moi ludzie zorientowali się z grubsza w ich zamiarach. A chodzi im nie tylko o zdławienie powstania w Altur'Rang. Mają rozkaz stłumić rewoltę, i to wcale nie łagodnymi metodami. Gadali, że zrobią z tego przykład dla innych. Nie sądzą, żeby to było trudne zadanie. No i z góry się cieszą na zabawę, jaka czeka ich po zwycięstwie. Zapanowała głucha cisza.

- A co z czarodziejem? - spytał Ishaq.

- Moi ludzie mówili, że ten Kronos to jakiś pobożniś, średniego wzrostu, z niebieskimi oczami. Nie pił z żołnierzami. Za to często wygłaszał kazania i pouczał miastowych, że należy iść za nakazami Stwórcy i poświęcać swój dobytek dla dobra bliźnich, Imperialnego Ładu i umiłowanego imperatora. Okazało się jednak, że gdy nie naucza, to jest zwykłym rozpustnikiem i najwyraźniej nie obchodzi go, co to za kobieta i czy jest chętna. Kiedy pewien ojciec narobił krzyku, że jego córkę zgarnięto z ulicy na życzenie Kronosa, dobry Braciszek wylazł z domu i swoją magiczną mocą opalił biedaka ze skóry. Pobożny czarodziej zostawił wrzeszczącego i skręcającego się z bólu nieszczęśnika jako przestrozę dla innych, a sam wrócił dokończyć sprawę z jego córką. Tamten biedak zaś konał kilka godzin. Moi ludzie powiedzieli, że czegoś tak przerażającego jeszcze nie widzieli. Potem już nikt nie protestował, kiedy jakaś niewiasta wpadła Kronosowi w oko.

W tłumie rozległy się szept. Wieloma ta historia wstrząsnęła, wielu rozgniewała. Niektórzy się wystraszyli, że ten człowiek idzie tu nie tylko z ich powodu, ale i po to, żeby z nich uczynić przykład dla innych.

Opowieść o takim okrucieństwie wcale nie zdziwiła Nicci. Namysłała się przez chwilę, w końcu potrząsnęła głową.

- Nie znam tego Brata Ładu, lecz sporo jest takich, których nie znam.

Ishaq popatrywał ciemnymi oczami to na nią, to na Richarda.

- Co mamy zrobić? Wojsko i czarodziej. To niedobrze. Ale macie jakiś pomysł, prawda?

Z tłumu dobiegły słowa poparcia dla Ishaqa. Ludzie chcieli wiedzieć, co o tym myśli Richard. A on nie wiedział, o czym tu dyskutować.

- Wszyscy walczyliście i zdobyliście wolność - rzekł. - Zalecałbym, żebyście się nie poddawali. Nie oddali jej.

Wielu przytaknęło. Aż za dobrze wiedzieli, jakie jest życie pod butem Ładu. Poznali też już smak wolności i życia na własny rachunek. Ale i tak tłum zaczął ogarniać strach.

- Ale teraz jesteś tu, lordzie Rahlu, żeby nami dowodzić - odezwał się jeden z mężczyzn. - Na pewno dawałeś radę czemuś jeszcze gorszemu. Z twoją pomocą pokonamy tych żołnierzy.

Richard przyglądał się uniesionym ku niemu twarzom; robiło się coraz ciemniej.

- Przykro mi, ale nie będę mógł zostać. Mam do zrobienia coś niezmiernie ważnego. Muszę wyruszyć o pierwszym brzasku.

Milczeli zaszokowani.

- Ale żołnierze są ledwie o kilka dni - odezwał się wreszcie któryś. - Na pewno mógłbyś tyle zaczekać, lordzie Rahlu.

- Gdybym mógł, tobym został i walczył razem z wami przeciwko tym żołnierzom, tak jak poprzednio. Nie mogę jednak tak długo odwlekać wyjazdu. Gdzie indziej czeka mnie walka. Taka sama jak tutaj, więc będę z wami duchem.

Byli oszołomieni.

- Przecież to tylko parę dni...

- Nie pojmujecie, że tu chodzi o coś więcej? Jeżeli zostaną i pokonamy tych, którzy nadchodzą, żeby was zabić, to pojawią się następni. Sami musicie stawić im czoło. Nie możecie liczyć na to, że stale tu będę i pomogę wam ochronić wolność za każdym razem, kiedy Jagang pošle żołnierzy do Altur'Rang. Na świecie jest mnóstwo takich miejsc jak Altur'Rang, wystawionych na takie same ciężkie próby. Wcześniej czy później musicie się nauczyć liczyć tylko na własne siły. Teraz jest na to równie dobra pora jak kiedy indziej.

- Więc opuszczasz nas teraz, kiedy cię najbardziej potrzebujemy? - zawołał jakiś głos w tłumie.

Nikt inny się nie odezwał, lecz jasne było, że wielu myśli tak samo. Cara przysunęła się powoli. Zanim zdążyła stanąć przed nim, Richard ukradkowym gestem dał jej do zrozumienia, że ma zostać tam, gdzie jest.

- Słuchajcie no! - warknął Victor. - Richard nikogo ani niczego nie

porzuca i żebym tego więcej nie słyszał. - Cofnęli się, słysząc groźbę w jego głosie. Samo groźne spojrzenie kowala wystarczało, żeby bledli nawet mężczyźni przewyższający go wzrostem. - Już i tak zrobił dla nas więcej niż ktokolwiek przedtem. Pokazał nam, że sami możemy decydować o własnym życiu, a to wszystko zmieniło. Wszyscy tu żyliśmy cały czas pod władzą Ładu. Richard pokazał nam, jacy naprawdę jesteśmy, pokazał, że jesteśmy dumni i potrafimy być dzielni. Wzięliśmy odpowiedzialność za własne życie i wywalczyliśmy sobie wolność. On nam nic nie dał. Sami to zdobyliśmy.

Ucichli prawie wszyscy stojący na schodach i na trawnikach. Niektórzy, zawstydzeni, popatrywali ukradkiem na innych. Sporo osób poparło Victora. Kiedy zaczęli się naradzać, co teraz powinni zrobić, Nicci chwyciła Richarda za ramię i odciągnęła go na bok, żeby mogli spokojnie porozmawiać.

- Richardzie, walka tutaj jest o wiele ważniejsza.

- Nie mogę zostać.

W jej błękitnych oczach błyszczał powściągnięty gniew.

- To tutaj powinienesz być, dowodzić nimi. Jesteś lordem Rahlem. Liczą na ciebie.

- Nie ponoszę odpowiedzialności za ich życie. Kiedy zaczęli rewoltę, dokonali wyboru, jak żyć. Zrobili to z własnej woli i wygrali bitwę. Wszyscy walczyliśmy o to, w co wierzymy. Wszyscy walczyliśmy o to samo: prawo do decydowania o własnym życiu. Robię to, co moim zdaniem powinienem.

- Uciekasz od walki, ścigając majaki.

Richard nie odpowiedział na tę zaczepkę. Opuścił czarodziejkę i zwrócił się do tłumu:

- Stary Świat i Nowy Świat prowadzą wojnę. - Zebrani powoli cichli, wyciągali szyje, żeby widzieć Richarda i słyszeć, co mówi. - Idą tu żołnierze, którzy walczyli w tej wojnie. Kiedy się tam srożyli, kierowali miecze, topory i cepy tak przeciwko uzbrojonym, jak i nieuzbrojonym, ludziom z północy, ludziom z Nowego Świata. Te oddziały mają doświadczenie w opanowywaniu miast i mordowaniu ich mieszkańców. Gdy się już tu wedrą, będą torturować, gwałcić i mordować mieszkańców, tak jak to robili z mieszkańcami miast na północy... chyba że ich powstrzymacie. Ale to się nie skończy nawet wtedy, kiedy ich powstrzymacie. Ład przyśle więcej żołnierzy. A jeżeli i tych pokonacie, to następnym razem przyślą liczniejsze oddziały.

- Co ty mówisz, Richardzie? - spytał Ishaq. - Chcesz nam powiedzieć, że to beznadziejne, że powinniśmy się poddać?

- Nie. Mówię, że powinniście w pełni pojąć, co to znaczy walczyć z Imperialnym Ładem, jakie jest przed wami zadanie. Jeżeli chcecie być wolni, to musicie zrobić coś więcej, niż tkwić tutaj i bronić własnego miasta. Sama obrona nigdy nie gwarantuje wygrania wojny. Jeżeli chcecie być naprawdę wolni, musicie walczyć z tymi, którzy chcą zniszczyć wolność. Jeżeli chcecie być naprawdę wolni, musicie stanąć po stronie tych, którzy chcą oczyścić świat z Imperialnego Ładu. Ładowi przeciwstawia się teraz jedynie imperium D'Hary, kraj, którym władam. - Potrząsnął głową. - Ale samo nie ma szans na zwycięstwo. A kiedy imperium D'Hary upadnie, imperator Jagang, uwolniony od tamtej wojny, będzie mógł rzucić wszystkie siły do walki o poddanie władzy Ładu najdrobniejszego ogniska oporu. A na początku jego listy będzie Altur'Rang. To jego rodzinne miasto. Nie dopuści, żeby czarne piętno wolności kalało jego najświętsze wierzenia. Wypuści na was swoich najokrutniejszych wojowników, synów Starego Świata. Armia Jaganga, złożona z waszych rodaków, odizoluje was i wymorduje. Umrzecie co do jednego, wasi synowie zostaną zabici, a wasze żony, siostry i córki dostaną się w nagrodę tym okrutnikom, którzy narzucą rządy Ładu.

Tłum trwał w absolutnej ciszy. Opanował ich strach. To nie były przechwałki, jakich oczekiwali w przeddzień bitwy. Victor odchrząknął.

- Próbujesz nam coś powiedzieć, Richardzie?

Richard potaknął, spoglądając na milczący, wpatrzony w niego tłum.

- Tak. Staram się wam powiedzieć, że powinniście nie tylko tkwić tu i bronić się, kiedy oni nadejdą. Takiej wojny nie zdołacie wygrać. Musicie uderzyć w Imperialny Ład i pomóc go obalić.

Ishaq podniósł rękę.

- Obalić? Ale jak?

- Jak wszyscy dobrze wiecie, życie pod rządami Ładu to jedynie degradacja i upadek. Mało pracy, niewiele żywności, marne widoki na przyszłość... zaledwie obietnice chwały na tamtym świecie, lecz tylko w zamian za wyrzeczenie się wszystkiego w tym życiu. Kapłani Bractwa Ładu mają dla was jedynie niedolę, więc głoszą, że cierpienie to cnota, i w zamian za nie oferują wam szczerze wieczną szczęśliwość na tamtym świecie. Oferują nagrody, których wcześniej nie można sprawdzić, w świecie, który

jedynie oni znają; tak przynajmniej głoszą. Żaden z was nie byłby tak łatwowierny, żeby prehandlować cokolwiek za takie puste obietnice, a mimo to wielu dało się oszukać i ochoczo ofiarowało własne życie, choć mają je tylko jedno, za takie czcze przyrzeczenia. Jagang powołuje się na wolę Stwórcy, na walkę o przyszłość ludzi i na to, że wyniszczenie wszystkich mających magiczną moc jest słuszną sprawą. To według niego daje Staremu Światu prawo najechnia Nowego Świata. Wmawia swoim poddanym, że ludzie z dalekiej północy to grzeszni poganie i że należy ich pokonać ku chwale Stwórcy. W rzeczywistości zaś Jagang stara się jedynie odwrócić uwagę od biedy i braku pracy spowodowanych przez doktryny Ładu. A wszelkie bolączki Starego Świata przypisze się zdrajcom wśród jego mieszkańców, czyli wam, oraz ich grzesznym pobratymcom z północy. Jagang daje pozbawionym wszelkiej nadziei młodym coś, czego mogą nienawidzić i na czym mogą się mścić za swoją niedolę. I w ten sposób Jagangowi udało się stworzyć z młodych Starego Świata armię ślepo mu oddanych fanatyków. Sami wiecie, jakie tłumy młodych ludzi opuściły Altur'Rang, żeby się przyłączyć do „słusznej” sprawy. Owi ludzie nie bardzo mieli na co liczyć i dlatego ochoczo uwierzyli w nauki Ładu. Jagang dał im kogoś, kogo mogą oskarżać o wszystkie swoje krzywdy: to ci, którzy się nie kłaniają przed naukami Ładu. Tym młodym ludziom wpojono kulturę śmierci i poszczuto ich na tych, którzy mają wolność i dobrobyt oraz najbardziej godne nienawiści szczęście. Większości z nich już się nie da odzyskać. Jagang, walcząc tak daleko od rodzinnych stron, pozwala tym okrutnikom palić i rabować w nadziei, że zapomną o marnej przyszłości czekającej ich we własnym kraju. W imię Stwórcy i Ładu mordują wszystkich stawiających opór i przywłaszczają sobie rozległe krainy. Dzięki olbrzymiej liczebności pokonują każdego, kto się im przeciwstawi. Terroryzują wszystkich na swojej drodze. Wielu nie może znieść przerażającego oczekiwania na nadejście morderczej hordy, więc w nadziei, że ludzie Jaganga oszczędzą im najgorszego, niektóre miejscowości poddają się i błagają o pozwolenie przyłączenia się do Ładu.

- Mówisz, że walka z nimi jest beznadziejna? - zapytał ktoś w pełnej napięcia wieczornej ciszy.

- Opowiadam wam, co naprawdę nam wszystkim zagraża - odparł Richard. - Lecz to wcale nie musi być beznadziejne, jeżeli zrozumiecie sedno

sprawy. Po pierwsze, Imperialny Ład nie do końca pojął destrukcyjny wpływ takiej odległości od rodzinnych stron. Ilekolwiek by złupili, to i tak potrzebują ogromnych ilości wszelkich dostaw, od mąki na chleb po pióra do strzał. Nie mogą nawet zebrać tyle żywności, by wykarmić tak liczne rzesze. Potrzebują rzemieślników i robotników oraz stałego dopływu nowych żołnierzy mających zastąpić tych, którzy polegli w bitwach, a nie jest to mała liczba. Ciężko walczyć w obcym i dalekim kraju. Same choroby poczyniły wśród nich ogromne spustoszenie. Wciąż jednak nadchodzą posiłki, więc z naddatkiem wyrównali straty. Ich armia nieustannie się powiększa, z każdym dniem staje się coraz potężniejsza. Ale to oznacza również, że z każdym dniem rosną jej potrzeby. Transporty z zaopatrzeniem, bezustannie ciągnące na północ, są niezbędnym wsparciem dla Imperialnego Ładu w podboju Nowego Świata. Nowy Świat może się wam wydawać bardzo odległy, lecz podobnie jak idące na was oddziały, jest i waszą sprawą. Kiedy ci okrutnicy skończą na północy mordować moich ziomków, wrócą tutaj, żeby i was pozabijać. Jeżeli Ład wygra, to my wszyscy przegramy. Nie ma znaczenia, gdzie wtedy będziemy. Bo nie będzie się gdzie ukryć. Jeżeli chcecie żyć, i to nie tylko jutro czy dzień po pokonaniu ciągnących tu oddziałów, jeżeli chcecie żyć w następnej porze roku, w przyszłym roku i następnym, jeżeli chcecie założyć rodzinę, zachować to, co zarobicie, i poprawić życie własne i swoich dzieci, musicie dopomóc zniszczyć możliwości przetrwania Ładu. Victor i jego ludzie już to robią, lecz mogą tylko szeptać tam, gdzie powinni wyć z wściekłości. Wielu powinno się do nich przyłączyć i wesprzeć ich wysiłki. Musicie wspomóc ataki na transporty dla Ładu i niszczenie ich. Zabijać tych, którzy idą dla nich walczyć. Paraliżować ich zdolność przetrwania. Musicie pozbawiać Ład mąki, piór i posiłków. Każdy żołnierz, który umrze z głodu w dzikich górach północy, to żołnierz, którego Ład nie odeśle do Starego Świata, żeby wam wbił nóż w brzuch. Poza tym są jeszcze inne sposoby zyskania przewagi. - Wskazał Careę i Nicci. - One, które kiedyś były przeciwko mnie, teraz są po mojej stronie. Były wrogie wobec tego, w co wierzę i w co i wy teraz wierzycie, lecz pomogłem im pojąć, że walczę o życie, o wartości życia. Wtedy uświadomiły sobie prawdę i zaczęły walczyć o tę samą sprawę. - Wyciągnął rękę ku tłumowi stojącemu na schodach i rozległych trawnikach - Spójrzcie na siebie. Nie tak dawno byliście wrogami Nowego Świata. Wielu z was przez

większość życia wierzyło w kłamstwa Ładu, lecz kiedy wam ukazałem, czym może i powinno być życie, mieliście tyle oleju w głowie, żeby wybrać życie. I teraz jestem z moimi byłymi nieprzyjaciółmi, w samym środku wrogiego terytorium, wśród niegdyś wrogiego mi ludu. Bo teraz wszyscy wierzymy w to samo: że życie jest cenne samo w sobie. Wielu z nas zostało lojalnymi przyjaciółmi. Jesteśmy po tej samej stronie w najważniejszej w naszym życiu walce. Można sprawić, że niektórzy poplecznicy Ładu dostrzegą wartość i piękno życia na tym świecie. Jeżeli uda się wam przekonać choć jedną osobę, to będziecie mieli o jednego wroga, jednego zabójcę mniej. Ja bym się postarał przekonać ich wszystkich do prawdy i doprowadzić do tego, by wszyscy na świecie żyli w spokoju. Lecz są i tacy, którzy odrzucają prawdę, których się nie przekona. Nie mogą znieść, żeście wybrali poprawę własnego życia. Jeżeli nie uda się wam przeciągnąć na swoją stronę tych zwolenników Ładu, to powinniście ich zabić, bo jeśli tylko znajdą po temu okazję, z całą pewnością zabiją was i zniszczą wszystko, co cenicie. Walka musi się toczyć wszędzie. Nie pozwólcie, by mieli się gdzie ukryć ci, którzy głoszą cierpienie i śmierć. Tak, będziecie musieli zabijać fanatyków o obłąkanych oczach, ochoczo walczących po stronie Ładu, lecz, co jeszcze ważniejsze, musicie uderzyć w same podstawy i zabić tych, którzy nauczają zasad Imperialnego Ładu. To właśnie oni wypaczają i zatruwają bezkrytyczne umysły i jeżeli się ich nie powstrzyma, to będą wychowywać wciąż nowe zastępy drabów, którzy będą chcieli zniszczyć was i wasze rodziny. Ludzie przepelnieni taką nienawiścią nie mają żadnych zahamowań. Nie dopuszczają, żebyście przetrwali, bo wasze szczęście i dobrobyt zadają kłam ich naukom. Jeżeli chcecie być wolni, musicie zadbać, żeby owi nienawistnicy wiedzieli, iż nie ma dla nich bezpiecznego schronienia, że cywilizowani ludzie nie będą tolerować ich nauk i postępowania i że nie spoczniecie, dopóki ich wszystkich nie wytropicie i nie wybijecie, bo rozumiecie, że oni mają tylko jeden cel: zniszczenie cywilizacji. Nie wolno wam dopuścić, żeby osiągnęli swój upragniony cel. Odważnie uczyniliście pierwszy krok i zrzuciliście okowy. Żaden z was nie musi mi udowadniać, na co go stać. Tu jednak nie chodzi o wygraną jednej bitwy. Chodzi o przyszłość, o to, jak będziecie teraz żyć, jak będą żyć wasze dzieci i wnuki. Walczyliście mężnie. Wielu już poległo w walce o naszą wspólną sprawę i wielu jeszcze polegnie, lecz zwycięstwo nad złem jest możliwe i leży w waszym zasięgu. Wygraliście

bardzo ważną bitwę o decydowanie o własnym życiu. Musicie jednak dostrzec, że czeka was jeszcze długa walka. Zdobyliście prawo do wolności w obecnej chwili. Teraz musicie walczyć o to, żeby tę wolność zachować na zawsze. Wolność trudno zachować, zawsze łatwo ją utracić. Wystarczy rozmyślna obojętność. - Wskazał posąg wznoszący się dumnie w poświęceniu zachodu. - Ten posąg, który wszyscy podziwiamy, to symbol umiłowania życia i wolności.

- Ależ lordzie Rahlu - poskarżył się ktoś z tłumu - to dla nas za ciężkie zadanie. Jesteśmy zwykłymi ludźmi, a nie wojownikami. Gdybyś nami dowodził, to może byłoby inaczej.

Richard położył dłoń na piersi.

- Byłem zwykłym leśnym przewodnikiem, kiedy sobie uświadomiłem, że powinienem stawić czoło wyzwaniom. I ja nie chciałem walczyć z pozornie niepokonanym złem, które mi zagrażało. Ale mądra kobieta, pierwowzór tego posągu, przekonała mnie, że powinienem to uczynić. Nie jestem od was ani lepszy, ani silniejszy. Jestem prostym człowiekiem, który zrozumiał, że tyranii należy się przeciwstawiać. I czynię to, bo chcę żyć po swojemu, a nie w ciągłym strachu. Na północy Nowego Świata ludzie walczą i umierają każdego dnia. To tacy sami zwykli ludzie jak wy. Żaden z nich nie chce walczyć, lecz muszą, bo inaczej na pewno zginą. Ich dzisiejszy los jest waszą przyszłością. Nie mogą dalej sami walczyć i mieć nadzieję na zwycięstwo. Będzie to dotyczyło i was, kiedy nadejdzie wasza pora. Oni potrzebują waszej pomocy. Musicie stanąć po stronie wolnego świata i ruszyć na tych, którzy chcą ów świat pograć w mrokach.

Odezwał się ktoś z czoła tłumu.

- Czyż nie mówisz tego samego co Ład: że się musimy poświęcić dla dobra wszystkich ludzi?

Richard tylko się uśmiechnął.

- Ci, którzy chcą narzucić ideę większego dobra, to ludzie, którzy dobra nienawidzą. To dobrze pojęty interes własny każe mi wznosić miecz przeciwko Imperialnemu Ładowi. I uważam, że powinniście walczyć we własnym interesie, a także w interesie waszych najbliższych. Powinniście robić to, co waszym zdaniem najlepiej się przyczyni do osiągnięcia naszego wspólnego celu. Nie zmuszam was do walki o większe dobro ludzi. Po prostu próbuję wam ukazać, że to walka o wasze życie. Nie popełniajcie błędów,

myśląc, że tak pojęty interes własny jest czymś złym. Interes własny to przetrwanie. To podstawa życia. Radzę wam, byście we własnym, dobrze pojętym interesie powstali i pokonali Ład, bo tylko wtedy będziecie naprawdę wolni. Patrzy na was cały Stary Świat.

Widoczny w gasnącym dziennym świetle tłum zajmował całą przestrzeń, którą Richard mógł objąć wzrokiem. Z ulgą zobaczył, że wielu kiwa głowami.

Victor powiódł wzrokiem po ludziach, potem spojrzął na Richarda.

- Jesteśmy tego samego zdania, lordzie Rahlu. Zrobię, co w mojej mocy, żeby to się dokonało.

Richard i Victor uścisnęli sobie dłonie, a tłum zaczął wiwatować. Potem wszyscy na placu Wolności zaczęli się naradzać, co zrobić, żeby jak najlepiej sprostać wyzwaniu. Richard odprowadził Nicci na bok. Cara nie odstępowała go na krok.

- Doceniam to, co właśnie zrobiłeś, Richardzie, ale ci ludzie dalej potrzebują...

- Nicci - przerwał jej - rankiem muszę wyruszyć. Cara idzie ze mną. Nie zamierzam cię pouczać, co masz robić, ale uważam, że dobrze by było, gdybyś się zdecydowała zostać i pomóc im. Już sama potyczka z żołnierzami będzie dla nich wystarczająco ciężka, a jest jeszcze ten czarodziej. Lepiej ode mnie potrafisz sobie radzić z takim zagrożeniem. Byłabyś im ogromnie pomocna.

Długo patrzyła mu w oczy, a potem spojrzała na tłum stojący za Richardem i na schodach.

- Muszę być przy tobie - powiedziała opanowanym głosem, choć w jego uszach zabrzmiało to jak błaganie.

- Jak już mówiłem, to twoje życie i nie zamierzam cię pouczać, co masz robić, podobnie jak nie pozwolę, żebyś ty usiłowała mi nakazywać, co mam robić.

- Powinieneś zostać i pomóc - powiedziała, odwracając wzrok. - Ale to twoje życie i wybór należy do ciebie. W końcu to ty jesteś Poszukiwaczem. - Znowu popatrzyła na ludzi gromadzących się wokół Victora i układających plany. - Oni nie muszą akurat teraz sprzeciwiać się temu, co powiedziałeś, ale będą o tym myśleć i mogą potem, po krwawej bitwie z żołnierzami, zdecydować, że już nic więcej nie zrobią.

- Miałem nadzieję, że jeżeli zostaniesz i pomożesz im pokonać tego

czarodzieja i żołnierzy, przydasz znaczenia moim słowom i namówisz ich, żeby zrobili to, co powinni. Wielu z nich dobrze się orientuje, ile wiesz o Ładzie. Dadzą wiarę twoim słowom, zwłaszcza jeżeli pomożesz im ocalić miasto i rodziny. - Odczekał, aż na niego spojrzy, i dodał: - Potem będziesz mogła dołączyć do mnie i do Cary.

Popatrzyła mu w oczy i skrzyżowała ramiona na piersi.

- Mówisz, że pozwolisz mi do siebie dołączyć, jeżeli pomogę pokonać oddziały Ładu nadciągające, żeby zabić tych ludzi?

- Informuję cię, co moim zdaniem byłoby twoim najlepszym wkładem w walkę o zniszczenie Ładu. Nie nakazuję ci, co masz zrobić.

Znowu odwróciła wzrok.

- Ale byłbyś zadowolony, gdybym postąpiła, jak mówisz, i została, żeby pomóc tym ludziom.

- Przyznaję, że tak. - Richard wzruszył ramionami. Nicci westchnęła z irytacją.

- No to zostanę, jak radzisz, i pomogę im walczyć z oddziałami, które dotrą tu za kilka dni. Ale pozwolisz mi do siebie dołączyć, jeżeli pomogę pokonać żołnierzy i wyeliminuję czarodzieja?

- Już powiedziałem, że tak. Wreszcie z niechęcią kiwnęła głową.

- Zgoda.

Richard się odwrócił.

- Ishaqu?

Ishaq podszedł pospiesznie.

- Tak?

- Potrzebuję sześciu koni.

- Sześciu? To zabierasz kogoś ze sobą?

- Tylko Carę. Będziemy potrzebować wypoczętych wierzchowców, więc będziemy ich dosiadać na zmianę, żeby zachowały siły na całą podróż. Potrzebne nam szybkie konie, a nie pociągowe z twoich zaprzęgów. I uprząż - dodał Richard.

- Szybkie konie... - Ishaq uchylił kapelusza i tą samą ręką podrapał się w głowę. Spojrzał na Richarda. - Na kiedy?

- Muszę wyruszyć, jak tylko się wystarczająco rozjaśni. Ishaq łypał na niego podejrzliwie.

- I to ma być częściowy zwrot tego, co jestem ci dłużny?

- Na pewno będziesz miał spokojniejsze sumienie, gdy mnie wreszcie zaczniesz spłacać.

Ishaq zaśmiał się krótko.

- Dostaniesz, czego potrzebujesz. Zadbam o to, żebyś otrzymał i prowiant.

- Dzięki, przyjacielu. - Richard położył mu dłoń na ramieniu. - Doceniam to. Mam nadzieję, że pewnego dnia będę mógł tu wrócić i przewieźć ci ze dwa transporty, przez pamięć dla starych czasów.

Ishaq się rozpogodził.

- Jak już wszyscy będziemy na dobre wolni? Richard potaknął.

- Jak już będziemy na dobre wolni. - Spojrzał na gwiazdy, które zaczynały się pojawiać na niebie. - Znasz jakieś dogodne miejsce, gdzie moglibyśmy coś zjeść i się przespać?

Ishaq wskazał wzgórze za rozległymi popałowymi terenami, wzgórze, gdzie dawniej stały chałupy robotników.

- Teraz mamy gospody, których nie było za ostatniego twojego pobytu. Ludzie ściągają, żeby obejrzeć plac Wolności, to i potrzebne im pokoje. Wybudowałem tam dom i wynajmuję pokoje. Jedne z najlepszych. - Znacząco uniósł palec. - Mówią o mnie, że zawsze oferuję to, co najlepsze, czy to będą wozy transportowe czy pokoje dla zmęczonych podróżnych.

- Coś mi się zdaje, że twój dług wobec mnie gwałtownie się skurczy.

Ishaq się uśmiechnął, wzruszył ramionami.

- Wielu przyjeżdża obejrzeć ten wspaniały posąg. Trudno znaleźć wolny pokój, to i nie są tanie.

- Wcale nie oczekiwałem, że będą.

- Ale cena jest rozsądna - upierał się Ishaq. - I są jej warte. A tuż obok mam stajnię, więc przyprowadzę ci konie, jak tylko je wybiorę. Zaraz się do tego wezmę.

- Dobrze. - Richard podniósł plecak i zarzucił go sobie na ramię. - Przynajmniej to niedaleko, choć drogo.

Ishaq szeroko rozłożył ręce.

- Ale widok wschodu słońca jest wart tej ceny. - Uśmiechnął się szeroko. - Ty, Richardzie, pani Cara i pani Nicci nic nie zapłacicie.

- Nie, nie. - Richard uniesieniem ręki odparł ewentualne protesty. - To słuszne, że czerpiesz korzyści z własnych inwestycji. Odlicz sobie od tego,

coś mi winien. A co do odsetek, to sądzę, że ładnie przyrosły.

- Odsetki?!

- Jasne - rzekł Richard, ruszając ku odległym budynkom. - Korzystałeś z moich pieniędzy. I należy mi się za to rekompensata. Odsetki trzeba płacić, sprawiedliwie się należą.

ROZDZIAŁ 16

Richard wszedł do pokoju i z radością zobaczył miednicę. Nie była to wanna, ale i tak będzie się mógł umyć przed snem. Zasunął rygiel, zamykając się w środku, mimo że w małej gospodzie czuł się bezpieczny. Cara miała sąsiedni pokój. Nicci była na parterze, w pobliżu wejścia, obok jedynych schodów na piętro. Ustawiono posterunki tak wewnątrz, jak i przed gospodą, patrolowano ulice wokół budynku. Richard wcale nie uważał, że potrzeba aż tylu ludzi, ale Victor i inni upierali się, że trzeba zapewnić bezpieczeństwo, skoro w pobliżu są nieprzyjacielskie oddziały. W końcu Richard przestał się sprzeciwiać, doceniając okazję do spokojnego i bezpiecznego przespania nocy. Był taki zmęczony, że ledwo się trzymał na nogach. Bolały go stawy od całodziennego marszu w trudnym terenie, a przemowa do tłumu na placu Wolności odebrała mu resztkę sił.

Zsunął z ramion plecak i upuścił go na podłogę u stóp niewielkiego łóżka, potem podszedł do umywalni i ochlapał twarz wodą. Nie miał pojęcia, że woda może być taka wspaniała.

Nicci, Cara i Richard zjedli w małej jadalni potrawkę z jagnięciny. Ishaq pouczył Jamilę - kobietę, która prowadziła mu tę gospodę, czyli swoją współpracowniczkę - że ma ich traktować po królewsku. Pyszta niewiasta zaproponowała, że im ugotuje, co tylko sobie zażyczą. Richard nie chciał robić zamieszania, a poza tym potrawka z jagnięciny już była, co oznaczało, że nie trzeba czekać i można szybciej pójść spać. Jamila była nieco rozczarowana, że ominie ją gotowanie dla nich czegoś specjalnego. Ale po tym, co jedli przez ostatnie dni, miseczka potrawki i świeży, chrupiący chleb obficie posmarowany masłem wydawały się im przepyszne. Gdyby Richard nie miał na głowie tylu kłopotów, posiłek jeszcze bardziej by mu smakował.

Richard wiedział, że Cara i Nicci tak samo jak on potrzebują wypoczynku, więc się uparł, żeby każda zajęła osobny pokój. Obie chciały spać w tej samej izbie co on, żeby nad nim czuwać i na wszelki wypadek być w pobliżu. Już widział, jak obie sterczą ze skrzyżowanymi na piersiach rękami u stóp łóżka, na którym on śpi. Przekonywał, że nic go nie dopadnie na piętrze i że czuwa mnóstwo ludzi. Ustąpiły, ale niechętnie i tylko dlatego, że je pouczył, iż bardziej mu się przydadzą wypoczęte i jasno myślące. Jak to

wspaniale, że choć raz żadne z nich nie musiało stać na warcie, że mogli wypocząć.

Victor obiecał, że rankiem przyjdzie się pożegnać z Richardem i z Cara. Ishaq obiecał, że na długo przed świtem konie będą czekać w stajni. Obydwaj żalowali, że Richard wyjeżdża, lecz rozumieli, że ma po temu powody. Żaden nie pytał, dokąd jedzie, pewnie dlatego, że dziwnie się czuli, rozmawiając o kobiecie, w której istnienie ani jeden, ani drugi nie wierzył. Richard zaczynał wyczuwać, z jaką rezerwą ludzie traktują każdą jego wzmiankę o Kahlan.

Ze swojego wysokiego okna na piętrze miał wspaniały widok na „Potęgę ducha”, bo gospoda stała na wzniesieniu. Mocno przykręcił knot lampy, ale i tak wyraźnie widział biały marmurowy posąg oświetlony kręgiem przymocowanych do stojaków pochodni. Przypominał sobie, ileż to razy stał na tym samym stoku, patrząc na budowany wtedy pałac imperatora Jaganga. Zdawało się, że to był zupełnie inny świat. Richard miał wrażenie, jakby się dostał do całkiem innego życia, o nieznanym regułach. Niekiedy się zastanawiał, czy aby nie traci zmysłów.

Nicci raczej nie mogła widzieć posągu ze swojego pokoju tuż obok frontowych drzwi, lecz Cara była w sąsiednim pokoju, więc bez wątpienia miała ten sam widok z okna. Ciekaw był, czy patrzy, a jeśli tak, to co myśli o posągu. Richard nie mógł pojąć, jak to jest, że ona nie pamięta, co ów posąg znaczył dla niego - dla Kahlan. Ciekaw był, czy i ona ma wrażenie, że żyje cudzym życiem... czy może raczej myśli, że on oszalał.

Richard nie był w stanie sobie wyobrazić, co też mogło sprawić, że wszyscy zapomnieli, iż Kahlan istnieje. Żywił odrobinę nadziei, że będą ją pamiętać mieszkańcy Altur'Rang, że niepamięć dotknęła tylko tych, którzy byli przy niej, kiedy zniknęła. A teraz i ta iskierka nadziei zgasła. Nikt jej nie pamiętał i nie wiadomo, z jakiej przyczyny.

Oparł się o umywalnię, odchylił w tył głowę, na chwilę zamknął oczy. Kark i ramiona bolały go od dźwigania ciężkiego plecaka Przez gęste, bezkresne lasy. W trakcie tej pospiesznej wędrówki rozmowa najczęściej wymagała zbyt wielkiego, dodatkowego wysiłku. Dobrze było przez jakiś czas nie musieć maszerować, chociaż i tak, kiedy zamknął oczy, widział jedynie nie kończący się las. I miał uczucie, że jego nogi wciąż kroczą naprzód. Ziewnął, zdjął przez głowę pendent i oparł Miecz Prawdy o krzesło

w pobliżu umywalni. Ściągnął koszulę i rzucił ją na łóżko. Przyszło mu na myśl, że dobrze by było przeprać trochę ubrań, ale był za bardzo zmęczony. Chciał się umyć, paść na łóżko i spać.

Zaczął się nacierać namydloną myjką i znów podszedł do okna. Ciszę nocy zakłócały jedynie cykady. Nie mógł się oprzeć chęci patrzenia na posąg. Tyle w nim było z Kahlan, że Richardowi pękało serce. Musiał siłą odpędzać myśli o okropieństwach, których ona być może właśnie doświadcza, o bólu, jaki jej pewnie zadają. Z całych sił starał się choć na chwilę odpędzić troski, wspominał uśmiech Kahlan, jej zielone oczy, jej uściski, pocałunki.

Musi ją odnaleźć.

Zanurzył myjkę w wodzie, wykręcił i patrzył, jak mydliny spływają do miednicy. Zauważył, jak drżą mu ręce.

Musi ją odnaleźć.

Znowu próbował się zmusić do myślenia o czym innym. Wpatrzył się w miednicę, w wymalowany na jej obrzeżu pierścień winnej latorośli. Winorośl była niebieska, nie zielona, pewnie dlatego, żeby pasowała do odbitych na ścianach błękitnych kwiatów, do takich samych kwiatów na zasłonkach i kapie na łóżku. Ishaq zadał sobie wiele trudu, zbudował przyjazną i gościnną gospodę.

Woda w miednicy, dotąd nieruchoma niczym leśny staw, nagle się wzburzyła bez żadnego powodu. Richard stał nieruchomo i przyglądał się temu. Powierzchnię przecięły doskonale regularne fale, niczym sierść jeżąca się na grzbiecie kota. A potem cały budynek zatrzęsł się od głuchego uderzenia, jakby walnęło weń coś wielkiego. Pękła jedna z szybek w oknie. Niemal natychmiast z przeciwnej strony budynku dał się słyszeć trzask pękającego drewna.

Richard przysiadł, szeroko otworzył oczy - nie miał pojęcia, co mogło spowodować ów dźwięk. W pierwszej chwili pomyślał, że na budynek zważyło się jakieś wielkie drzewo, ale potem sobie przypomniał, że w pobliżu nie ma żadnych drzew.

Chwilę po pierwszym łupnięciu dało się słyszeć drugie - tym razem głośniejsze. I bliższe. Budynek się chwiał, trzeszczało pękające drewno. Richard spojrział w górę w obawie, że sufit się zawali.

Moment później kolejne walnięcie zatrzęsło budynkiem. Rozdzierane, miażdżone drewno wydawało odgłosy przypominające jęki bólu. Łup.

Trzask. Głośniej. Blżej.

Richard wsparł palce jednej dłoni o podłogę, żeby utrzymać równowagę, tak dom kołysał się od tych łupnięć. To, co się zaczęło na drugim końcu gospody, raz-dwa się ku niemu zbliżało. Łup. Trzask. Jeszcze bliżej.

Nocną ciszę rozdzierał trzask rozszarpywanego drewna. Dom się kołysał. Woda burzyła się w miednicy, wychłapywała poza malowany w winną latorośl obręb. Trzask rozwalanych ścian i pękających desek zlewał się w nie milknący ryk. Nagle poleciały ku niemu kawały pękającej ściany - ściany pomiędzy jego pokojem a izbą Cary. Wzbiły się kłęby pyłu. Huk był ogłuszający.

Przez ścianę przedzierało się coś wielkiego i czarnego, niemal tak dużego jak sam pokój; w powietrzu latały fragmenty desek i tynku. Siła wstrząsu wyrwała drzwi z zawiasów, gwałtownie wypchnęła na zewnątrz kawałki pękniętych szyb i słupki okienne. Przez pokój przelatywały długie, poszarpane kawały desek. Jeden walnął w krzesło, o które był oparty miecz, inny wbił się w przeciwległą ścianę. Miecz potoczył się poza zasięg ręki Richarda. Jeden z fragmentów deski uderzył chłopaka w nogę z taką siłą, że ten opadł na kolano.

Żyjąca ciemność pchała przed sobą szczątki, rzucała nimi przez pokój, tłumiała światło i otulała wszystko nierealnym półmrokiem. Richarda ogarnął lodowaty strach. Widział, jak jego oddech zmienia się w chłodny obłok, kiedy wyteżał wszystkie siły, żeby wstać.

Ciemność skoczyła ku niemu niczym sama śmierć. Richard na moment zadławił się oddechem. Lodowate powietrze zakłuło go w płuca. Szok sprawił, że chłopakowi zacisnęło się gardło. Wiedział, że od śmierci dzieli go tylko jedno мгновение. Wyteżył wszystkie siły i dał nura w okno niczym w przerębel. Otarł się przy tym o atramentowy mrok. Ziąb był tak przeraźliwy, że aż parzył. Wyleciał za okno, w noc. Obawiał się upadku z takiej wysokości, więc sięgnął do okiennej ramy i z trudem udało mu się jej uchwycić lewą ręką. Wczepił się w ramę ze wszystkich sił. Impet upadku i tak sprawił, że ciało Richarda łupnęło o ścianę gospody z taką siłą, że aż mu zaparło dech w piersi. Wisiał na jednej ręce, ogłuszony po uderzeniu, i starał się złapać oddech.

Parne nocne powietrze zaraz po tym zachłyśnięciu się lodowatym powiewem, tuż przed skokiem przez okno, uderzenie o ścianę - wszystko to

sprawiło, że zaczął się dusić. Kątem oka widział posąg oświetlony migotliwym światłem pochodni. Głowa odrzucona w tył, dłonie zaciśnięte w pięści, wygięte plecy - marmurowa postać dumnie przeciwstawiała się niewidocznej mocy starającej się ją pokonać. Ten widok sprawił, że Richard w końcu zdołał zaczerpnąć powietrza. Zakaszał i znów wciągnął powietrze do płuc; oddychał spazmatycznie, szukając stopą jakiegoś podparcia. Nie znalazł. Spojrzał w dół - ziemia była przeraźliwie daleko. Miał wrażenie, że lada chwila wyrwie sobie ramię ze stawu. Wisiał na jednej ręce i nie zamierzał zwolnić chwytu. Przy upadku z takiej wysokości co najmniej połamałby nogi.

Z okna doleciało tak przeraźliwe wycie, że Richardowi włosy stanęły dęba i każdym jego nerwem szarpnęła piekący ból. Był to dźwięk tak mroczny, tak pełen jadu, tak przerażający, że Richard pomyślał, iż na pewno pękła zasłona odgradzająca zaświaty i sam Opiekun zmarłych przedarł się do świata istot żywych. Wycie w pokoju nad Richardem przeszło w przenikliwy wrzask - głos wcielonej nienawiści.

Richard spojrział w górę i omal nie puścił ramy. Upadek z takiej wysokości byłby lepszy, uznał, niż kontakt z tym, co się zaczęło wylewać przez okno. Z potrzaskanego okna wylewała się czarna plama, niczym emanacja krańcowego zła. Nie miała konturów ni formy, lecz dla Richarda było zupełnie jasne, że jest to coś o wiele gorszego niż zwyczajna niegodziwość i zło. To była plaga, dopust losu, nieubłagany jak sama śmierć i idący jego tropem. Czarny cień wylewał się przez okno w noc i nagle zaczął się rozpadać na tysiąc pulsujących form, które rozbiegały się we wszystkie strony - lodowata czerń rozpadała się, wnikała w noc, rozplýwała w najczarniejszych mrokach.

Richard wisiał na jednej ręce, z trudem łapiąc powietrze i nie mogąc się poruszyć. Przyglądał się temu i czekał, aż to coś scali się nagle tuż przed jego twarzą i rozedrze go na strzępy.

Wokół zapanowała zupełna cisza. Cień śmierci wtopił się w noc. Potem znów zagrały cykady, do tej pory milczące. Zaczęły swoją pieśń, która niczym wzbierająca fala poniosła się przez rozległe tereny ku odległemu posągowi.

- Lordzie Rahlu! - wrzasnął ktoś na dole. - Trzymaj się!

Człowiek w kapeluszu podobnym do kapelusza Ishaqa obchodził dom, kierując się ku wejściu. Richard podejrzewał, że nie zdoła się utrzymać na

jednej ręce aż do nadejścia pomocy. Jęknął z bólu, ale zdołał się na tyle wykręcić, że i drugą ręką chwycił się parapetu, i wisiał tak, kotysząc się nad pustką. Na szczęście druga ręka przejęła połowę ciężaru ciała i ból zelżał.

Kiedy zdołał podciągnąć się nieco, usłyszał, że do jego pokoju wbiegają ludzie. Latarenka zniknęła - pewnie leżała pod szczątkami - więc mało co było widać. Ludzie brnęli przez zalegający podłogę gruz, pod ich butami trzeszczały kawałki ściany, szczątki drewnianych mebli. Mocne dłonie chwyciły Richarda pod pachy, inne złapały go za skórzany pas i pomogły mu się wciągnąć do środka. W takiej ciemnicy trudno mu się było rozeznać.

- Widzieliście to? - zapytał Richard, ciągle jeszcze z trudem łapiąc oddech. - Widzieliście to coś, co wychynęło z okna?

Jedni kasłali z powodu kurzu, inni oznajmili, że nic nie widzieli.

- Słyszeliśmy hałas, łomoty, brzęk szkła - powiedział jeden z nich. - Myślałem, że cały dom się wali.

Zjawił się ktoś ze świecą, zapalił latarenkę. Pomarańczowy blask oświetlił przerażający widok. Zapalono drugą i trzecią latarnię. W zdemolowanym pokoju unosiły się kłęby kurzu; łóżko było przewrócone, umywalnia do połowy wbita w przeciwległą ścianę, sterty gruzu zaścielały podłogę.

W migotliwym świetle Richard wyraźniej zobaczył okrągłą dziurę wybitą w ścianie. Krawędzie połamanych desek sterczały do środka, wskazując kierunek naporu. To go nie zdziwiło. Za to rozmiary dziury - tak. Sięgała niemal od podłogi do sufitu. Prawie cała ściana leżała na podłodze. Długie kawały desek spajały fragmenty deszczulek i tynku. Nie pojmował, jak coś, co wybiło tak olbrzymią dziurę, mogło się potem zmieścić w oknie.

Richard dostrzegł swój miecz i wydobył go spod połamanych desek. Oparł go o parapet, żeby w razie potrzeby mieć go pod ręką, chociaż nie był pewny, czy miecz przydałby się przeciwko temu czemuś, co rozwalilo ścianę, a potem wtopiło się w noc.

Unoszący się w powietrzu kurz doprowadzał wszystkich do kaszlu. W blasku latarń Richard widział, że wszyscy są pokryci białym pyłem i wyglądają jak duchy. Przekonał się, że i on jest pokryty białym tynkiem. Od pozostałych różniło go jedynie to, że krwawił z wielu małych ran. Na białym tle krew jeszcze wyraźniej się odcinała. Otrzeptał z okruchów tynku włosy, twarz i ramiona.

Martwiąc się o innych, którzy mogli być poranieni lub zasypani, Richard

wziął od stojącego najbliżej mężczyzny latarnię i wdrapał się na gruzowisko. Uniósł latarnię i zajrzał w mrok po drugiej stronie dziury. Widok porażał, chociaż można się było tego spodziewać, bo przecież słyszał i czuł, jak gwałtownie to coś przebija się przez ściany. W każdej następnej ścianie ziała wielka dziura. A wszystkie były podobne do tej w jego pokoju. Za najdalszą Richard widział gwiazdy. Ostrożnie przeszedł ponad długimi, poszarpanymi fragmentami drewna. Miejscami sterta zapadała się pod jego ciężarem i trudno mu było wyciągnąć stopę. Ciszę przerywał tylko od czasu do czasu czyjś kaszel; wszyscy w osłupieniu patrzyli na szkody wyrządzone przez coś nieznanego i potężnego, co zniknęło w mroku nocy.

Wśród tumanów kurzu Richard dojrzał Carę - stała pośrodku swojego pokoju, patrząc, jak i on teraz, ku dziurze ziejącej na zewnątrz. Tyłem do niego, w obronnej pozie. W prawej pięści mocno zaciskała Agiel.

Przez wyrwane drzwi do pokoju Richarda wbiegła Nicci. Płomień kołysał się nad wnętrzem jej dłoni.

- Richardzie! Nic ci nie jest?

Stojący na gruzowisku chłopak rozmasował lewy bark i poruszył ręką.

- Chyba nie.

Nicci, gniewnie mrużąc pod nosem, szła ostrożnie przez gruz.

- Domyślasz się, co to było? - spytał ktoś.

- Pojęcia nie mam - odparł Richard. - Czy ktoś jest ranny? Popatrzyli po sobie. Kilku odparło, że raczej nie, że ci wszyscy, których widzieli, są cali i zdrowi. Ktoś dodał, że reszta pokoi na ostatnim piętrze była pusta.

- Caro?! - zawołał Richard, pochylając się ku czarnej dziurze. - Jesteś cała, Caro?!

Cara się nie poruszyła, nie odpowiedziała. Stała w tej samej pozie.

Coraz bardziej zaniepokojony, Richard przebrnął przez połamane deski i kawały tynku. Oparł jedną dłoń o sufit, dla zachowania równowagi na chwiejnej stercie, i przeszedł przez wyrwę do pokoju Cary. Szkody były podobne jak w jego pokoju. Wyrwy ziały w dwóch ścianach, nie w jednej, lecz siła uderzenia wepchnęła resztki drugiej do jego pokoju. Szyby w oknie też wyleciały, za to drzwi, choć krzywo, trzymały się na miejscu.

Cara stała dokładnie między dwiema wyrwami, nieco odchylona ku dziurze w ścianie pokoju Richarda. Dokoła niej było gruzowisko. Skórzany uniform ocalił ją od poranienia przez latające w powietrzu szczątki.

- Caro?! - zawołał znowu Richard, ostrożnie schodząc ze sterty gruzu.

Cara tkwiła nieruchomo w ciemnym pokoju, patrząc gdzieś w dal. Nicci wdrapała się na deski i kawały tynku, przeszła przez wyrwę w ścianie. Wsparła się na ramieniu Richarda, kiedy już się z nim zrównała, łapiąc równowagę.

- Caro? - powiedziała, przysuwając dłoń z płomieniem do twarzy Mord-Sith.

Richard uniósł latarnię. Szeroko otwarte oczy Cary wpatrywały się w dal, nic nie widząc. Łzy wyłobily bruzdy w pyle oblepiającym jej twarz. Nie zmieniła pozy, lecz Richard był już na tyle blisko, iż widział, że cała dygocze. Złapał ją za ramię, lecz - zaskoczony i wystraszony - natychmiast puścił. Była zimna jak lód.

- Caro? Słyszysz nas? - Nicci dotknęła jej ramienia i cofnęła się równie zdumiona jak Richard.

Cara nie reagowała. Jakby naprawdę zmieniła się w lodowy posąg. Nicci przysunęła płomień do twarzy Mord-Sith. Skóra zdawała się niebieskawa, lecz przez pokrywającą ją warstwę kurzu trudno się było zorientować, czy tak jest na pewno.

Richard objął ramieniem talię Cary. Jakby otoczył ramieniem blok lodu. Instynkt nakazywał mu się cofnąć, lecz zmusił się, by tego nie zrobić. Ramię tak bolało, że zdał sobie sprawę, iż sam nie da rady podnieść Cary. Obejrzał się na ludzi widocznych w wyrwie w ścianie.

- Czy któryś z was mógłby mi pomóc?

Przebrnęli przez gruzowisko i weszli do pokoju Cary, wzbijając jeszcze większe tumany kurzu. Przynieśli latarnie, więc Nicci zgasła płomyk nad dłonią i podeszła do Cary. Mężczyźni zbili się w grupkę i w milczeniu patrzyli na czarodziejkę. W skupieniu przycisnęła dłonie do skroni Mord-Sith i cofnęła się z krzykiem. Richard złapał ją za łokieć wolną ręką, żeby się nie przewróciła.

- Drogie duchy - wyszeptała Nicci, z trudem łapiąc oddech, jakby się nie spodziewała takiego bólu.

- Co jest? - spytał Richard. - Co się dzieje? Czarodziejka przycisnęła dłonie do serca; nadal spazmatycznie chwytła powietrze, otrząsając się z nieoczekiwanego szoku.

- Ona ledwo żyje.

- Zabierzmy ją stąd. - Richard wskazał brodą drzwi. Nicci potaknęła.

- Na dół. Do mojego pokoju.

Richard bez zastanowienia chwycił Carę w ramiona. Na szczęście inni byli w pobliżu i pomogli, kiedy zobaczyli, jak się krzywi z bólu.

- Drogi Stwórco! - wykrzyknął jeden z mężczyzn, podnosząc nogę Mord-Sith. - Jest lodowata jak serce Opiekuna!

- Pomóżcie mi ją znieść na dół - powiedział Richard.

Kiedy już ją podnieśli, łatwo mogli poruszyć jej kończynami, choć wcale nie były wiotkie. Richard i ci, którzy mu pomagali nieść Carę, brnęli przez gruz. Jeden z mężczyzn kopniakiem wywalił pęknięte drzwi. Znieśli ją po wąskich schodach. Richard trzymał ją za ramiona.

Na dole Nicci skierowała ich do swojego pokoju, a tam ku łóżku. Energicznie ściągnęła przykrycie, a oni ostrożnie ułożyli Carę. Kiedy Mord-Sith już leżała, Nicci natychmiast otuliła ją kocami.

Błękitne oczy Cary nadal były szeroko otwarte, wpatrzone w dal, w nicość. Od czasu do czasu z kącika oka wolniutko spływała łza. Podbródek, barki, ręce dygotały.

Richard siłą rozchylił palce Cary, żeby wypuściła zaciskany w dłoni Agiel. Jej oczy nie zmieniły wyrazu. Cierpliwie znosił przeraźliwy ból zadawany przez Agiel; wreszcie uwolnił go z pięści Mord-Sith i oręż zawisł na łańcuszku okalającym jej nadgarstek.

- Może byście poczekali na zewnątrz? - spytała spokojnie Nicci. - Pozwólcie mi sprawdzić, co mogę zrobić.

Mężczyźni wyszli, mówiąc, że wracają do patrolowania i że niektórzy zostaną na warcie, na wypadek gdyby byli potrzebni.

- Gdyby ten stwór wrócił, nie próbujcie go zatrzymać - powiedział im Richard. - Zawołajcie mnie.

Jeden z nich ze zdumieniem przekrzywił głowę.

- Jaki stwór, lordzie Rahlu? Czego mamy wypatrywać?

- Za dobrze nie wiem. Udało mi się zobaczyć tylko olbrzymi cień przebijający się przez ścianę i potem wylewający się z okna.

Tamten spojrzał w górę.

- Jeśli to wybiło taką dziurę w ścianie, żeby się przedostać, to jak się potem wydobyło przez małe okno?!

- Nie mam pojęcia - przyznał Richard. - Nie przyjrzałem się temu zbyt

dobrze.

Mężczyzna znów spojrzał w górę, jakby mógł zobaczyć tamte zniszczenia.

- Będziemy mieć oczy szeroko otwarte. Możesz być pewny. Właśnie wtedy Richard przypomniał sobie, że w pokoju został miecz. Źle się bez niego czuł. Chciał po niego iść, a zarazem nie chciał opuścić Cary.

Kiedy wszyscy wyszli, Nicci usiadła na brzegu łóżka i trzymała dłoń nad czołem Cary. Richard uklęknął tuż obok.

- Jak myślisz, co się stało? - spytał. Nicci położyła dłoń na czole Mord-Sith.

- Nie mam pojęcia.

- Ale możesz coś zrobić, żeby się lepiej poczuła? Długo trwało, zanim odpowiedziała.

- Nie jestem pewna, ale bez wątpienia zrobię, co tylko zdołam. Richard ujął lodowatą, ciągle jeszcze drżącą dłoń Cary.

- Może powinniśmy jej zamknąć oczy? Nawet nie mrugnęła. Nicci przytaknęła.

- Dobry pomysł. Pewnie łzawi przez ten pył.

I Nicci ostrożnie, jedno po drugim, zamknęła Carze oczy. Richardowi ulżyło, że Cara już nie wpatruje się w nicłość.

Nicci znów położyła dłoń na czole Mord-Sith, a drugą umieściła wysoko na jej piersi. Potem ujęła jej nadgarstek, kostkę i na koniec wsunęła dłoń pod kark. Richard podszedł do miednicy i wrócił z wilgotną myjką. Ostrożnie obmył Carze twarz, strząsnął trochę kurzu z jej włosów. Czuł przez wilgotną myjkę lodowaty chłód ciała Mord-Sith. Nie pojmował, jak może być taka zimna, skoro jest tak gorąco i wilgotno. Przypomniało mu się, jak zlodowaciało powietrze w jego pokoju, kiedy się tam wdarł ów czarny stwór. Przypomniał sobie aż parzący chłód, który poczuł, gdy się otarł o stwora, skacząc przez okno.

- Domyślasz się, co się jej przytrafiło? - spytał.

Nicci pokręciła głową, w skupieniu przyciskając dłonie do skroni Cary.

- A co według ciebie przedarło się przez te ściany? Nicci odwróciła się ku niemu.

- Słucham?

- Pytałem, czy się domyślasz, co mogło to wszystko zrobić. Co się

przedarło przez ściany?

Pytanie wyraźnie zirytowało Nicci.

- Poczekaj na zewnątrz, Richardzie. Proszę cię.

- Ale ja chcę być tutaj, przy niej.

Nicci łagodnie ujęła go za nadgarstek i odsunęła jego dłoń od Cary.

- Przeszkadzasz. Pozwól mi działać samej, dobrze? Łatwiej mi będzie, gdy nie będziesz mi zaglądał przez ramię.

Richardowi zrobiło się przykro, że przeszkadza.

- Jeżeli to pomoże Carze.

- Pomoże - odparła i odwróciła się ku leżącej na łóżku kobiecie.

Jeszcze przez chwilę stał i się przyglądał. Nicci już wsuwała dłoń pod plecy Cary.

- Idź - wyszeptała czarodziejka.

- Stwór, który się przedarł przez nasze pokoje, był zimny. Spojrzała nań przez ramię.

- Zimny? Richard potaknął.

- Tak zimny, że widziałem własny oddech. W pobliżu niego zimno aż wywoływało ból.

Nicci przez chwilę się nad tym zastanawiała, potem znów się zajęła Cara.

- Dzięki za tę informację. Gdy tylko będę mogła, wyjdę i powiem ci, jak ona się czuje. Obiecuję.

Richard czuł się bezradny, bezsilny. Stał chwilę w drzwiach, obserwując, jak Cara płytko oddycha. Blask lampy oświetlał blond włosy Nicci, pochylonej nad Mord-Sith starającej się stwierdzić, co jej jest.

Richard miał okropne uczucie, iż wie, co się przytrafiło Carze. Bał się, że dotknęła ją sama śmierć.

ROZDZIAŁ 17

Richard wyciągnął z gruzowiska swój plecak, z grubsza się oczyścił, włożył koszulę i przypasał miecz. Nie miał pojęcia, co się wdarło do budynku, lecz najwyraźniej to coś szło po niego. Nie wiedział, czy Miecz Prawdy by mu się na coś przydał w walce ze stworem, lecz pewniej się czuł, mając go w zasięgu ręki.

Noc była spokojna i parna. Jeden z mężczyzn zobaczył wychodzącego z domu Richarda i podszedł do niego.

- Jak się ma pani Cara?

- Trudno powiedzieć. Żyje, a to już dobrze. Tamten przytaknął.

Richard rozpoznał kapelusz.

- Czy to ty zauważyłeś, że wiszę za oknem?

- Tak.

- A udało ci się dostrzec to, co nas zaatakowało?

- Niestety nie. Usłyszałem cały ten rumor, spojrzałem w górę i zobaczyłem, że wisisz na jednej ręce. Bałem się, że spadniesz. Tylko tyle widziałem.

- Żadnego ciemnego stwora wylazącego z okna? Mężczyzna splótł dłonie za plecami, chwilę się namyślał.

- Nie... choć może i mignął mi jakiś cień. Tak, co najwyżej mignął mi jakiś cień. Bardzo chciałem zdążyć na górę, zanim spadniesz.

Richard podziękował mu i ruszył przed siebie, nie dbając o to, dokąd idzie. Był oszołomiony, myśli miał ciężkie i mroczne jak ta duszna noc. Rozpadało się wszystko, co znał i na czym mu zależało. Czuł się bezradny, bezsilny.

Mgielka zasnuła gwiazdy, księżyc jeszcze nie wzeszedł, ale palące się w mieście światła na tyle rozjaśniały mrok nocy, że Richard bez trudu doszedł na skraj wzniesienia. Nie mógł pomóc Carze, więc czuł się bezużyteczny. Tak wiele razy mu pomagała. Tym razem stanęła przed czymś, czemu nie mogła dać rady.

Stał na skraju stoku, patrząc na widoczną w oddali „Potęgę ducha”. Victor zrobił ustawione w krąg żelazne stojaki, w których tkwiły pochodnie. Kahlan, zafascynowana jego robotą, tkwiła przez większość dnia w gorącej

kuźni, przyglądając się, jak kształtuje rozpalone do białości żelazo. Tego dnia Victor ani razu się nie nachmurzył, uśmiechał się do niej, zadowolony z jej zainteresowania, i pokazywał, jak obrabia metal, żeby uzyskać to, czego chce.

Pamiętał również zaskoczenie Kahlan na widok odwzorowanej w białym marmurze jej statuetki. Pamiętał, jak przytuliła do piersi posążek z gładkiego, aromatycznego drewna orzecha, kiedy w końcu znów do niej wrócił. Patrzył, jak pieszczotliwie muska palcami rozwiane szaty statuetki. I pamiętał, jak jej zielone oczy spojrzały wówczas w jego oczy.

Nikt mu nie wierzył, że Kahlan istnieje, więc czuł się osamotniony, sam jak palec. Nigdy wcześniej nie przydarzyło mu się, by ludzie, którzy się naprawdę o niego troszczyli, uważali, iż wymyślił sobie to wszystko, o czym im opowiada. Przerazające uczucie, kompletna bezradność - byli przekonani, że majaczy. Jeszcze gorsza jednak była troska o to, co też się mogło przydarzyć Kahlan.

Nie wiedział, jak ją odnaleźć. Jednego tylko był pewien - musi uzyskać pomoc. Nie miał pojęcia, czy to mu się uda, lecz miał zamiar zrobić wszystko, co trzeba, żeby tę pomoc otrzymać.

Po jakimś czasie wrócił do gospody. U stóp schodów Jamila zamiatała kurz i kawałki tynku. Łypnęła na niego, kiedy wszedł.

- Musisz za to zapłacić.

- O co ci chodzi?

Trzonkiem miotły wskazała na górę.

- O szkody. Widziałam, jak tam wygląda. Musisz za to zapłacić.

Richard był zaskoczony.

- Przecież nie ja to zrobiłem.

- To twoja wina.

- Moja wina? Byłem w swoim pokoju. Nie narobiłem żadnych szkód i nie mam pojęcia, co było ich przyczyną.

- Tylko ty i ta kobieta zajmowaliście pokoje na górze. Były całe, jak je dostaliście. A teraz okropny tam bałagan. Doprowadzenie tego do ładu będzie sporo kosztować. Ja nie narobiłam szkód. Niby czemu miałabym za to płacić? To przez ciebie, więc musisz zapłacić i pokryć koszty wynajmu za cały ten czas, gdy je będą naprawiać.

Zażądała zapłaty za remont, a nawet nie zapytała o Carę.

- Powiem Ishaqowi, żeby odliczył koszty od tego, co jest mi winien. - Richard patrzył na nią gniewnie. - A teraz bądź uprzejma mnie przepuścić.

Odsunął ją, wyminął i wszedł w ciemny korytarz. Parsknęła rozeźlona, a potem wróciła do zamykania. Nie wiedział, dokąd ma iść, więc chodził tam i z powrotem po korytarzu. Jamila w końcu posprzątała parter i podreptała do innych zajęć, a Richard dalej chodził. Wreszcie usiadł naprzeciwko pokoju Nicci i oparł się o ścianę. Nie miał pojęcia, co robić, dokąd iść. Chciał zobaczyć Carę. Podciągnął kolana, objął je rękami. Oparł brodę na dłoniach i rozmyślał nad tym, co powiedziała Jamila.

Na swój sposób miała rację. Stwór szedł na niego. Gdyby go tu nie było, to nic by się nie stało. A gdyby ktoś zginął lub został ranny, to jego właśnie można byłoby oskarżać o ściągnięcie na nich niebezpieczeństwa. To przez niego ucierpiała Cara.

Napomniał się, by winę przypisać właściwej osobie. Czyli Jagangowi i tym, którzy mu pomagali. To Jagang nakazał stworzenie owej bestii ścigającej Richarda. Cara po prostu stanęła na drodze stwora. Usiłowała ochronić go przed tym, co stworzyli Jagang i Siostry Mroku.

Kiedy Richard pomyślał o ludziach Victora zabitych przed paroma dniami pewnie przez tego samego stwora, nie mógł się uwolnić od ogromnego poczucia winy.

Poza tym stwór wtargnął do gospody i nic mu przecież nie zrobił. Richard nie wątpił, że bestia miała zamiar się z nim rozprawić, lecz nagle zniknęła, nie kończąc ponurego dzieła. Nie miał pojęcia, dlaczego tak się stało. Ani dlaczego się przebiła przez te wszystkie ściany. Skoro potem wydostała się przez okno, to dlaczego nie weszła przez okno do pokoju? Bestia, kierując się wprost ku jego pokojowi, działała celowo. Gdyby się wdarła przez okno, to pewnie by go dopadła, zanimby się zorientował, co się dzieje. To, co zabiło ludzi Victora, zachowywało się inaczej. Cara - chociaż doznała ciężkiej szkody - nie została przecież rozszarpana tak jak oni.

Richard zaczął wątpić, czy stwór, który się wdarł do gospody, był tym samym, który zabił ludzi Victora. A jeżeli Jagang stworzył nie tylko jedną bestię, nie tylko jeden żywy oręż, który ma go zabić? A jeżeli Siostry Mroku namnożyły całą armię stworów, które mają go ścigać? Wszystkie te pytania kłębiły się w umyśle Richarda, który nie znajdował na nie odpowiedzi. Podskoczył, kiedy Nicci dotknęła jego ramienia. Zdał sobie sprawę, że musiał

zasnąć.

- Co się dzieje? - spytał, przecierając oczy. - Która godzina? Czy długo...

- Parę godzin - powiedziała cichym, znużonym głosem. - Jest środek nocy.

Richard wstał, pełen nadziei.

- Więc z Cara wszystko dobrze? Uleczyłaś ją?

Miał wrażenie, że Nicci wpatruje się weń przez całą wieczność. Kiedy tak patrzył w jej oczy, poczuł, że serce podchodzi mu do gardła.

- Richardzie - odezwała się wreszcie tak cicho i z takim współczuciem, że wstrzymał oddech - Cara z tego nie wyjdzie.

Richard zamrugał, starając się upewnić, że dobrze pojął, co Nicci mówi.

- Nie rozumiem - odchrząknął. - Co powiedziałaś? Nicci łagodnie położyła dłoń na jego ramieniu.

- Uważam, że powinieneś tam wejść i zobaczyć się z nią, póki jeszcze jest z nami.

Richard złapał ją za ramiona.

- O czym ty mówisz?!

- Richardzie - opuściła wzrok - Cara z tego nie wyjdzie. Ona umiera. Nie przeżyje nocy.

Chciał się cofnąć, ale za plecami miał ścianę.

- Dlaczego? Co jej jest?

- Nie wiem dokładnie. Dotknęło jej coś, co... wsączyło w nią śmierć. Nie umiem tego wytłumaczyć, bo tak naprawdę nie wiem, na co umiera. Wiem tylko, że to złamało wszelki opór jej organizmu i że z każdą chwilą odpływa.

- Cara jest silna. Zwalczy to. Wyjdzie z tego. Nicci potrząsała głową.

- Nie, Richardzie, nie. Nie chcę ci dawać fałszywej nadziei. Myślę, że ona nawet chce umrzeć.

Richard odsunął się od ściany.

- Co takiego?! To wariactwo. Nie ma powodu, żeby chcieć umrzeć.

- Tego nie możesz wiedzieć, Richardzie. Nie wiesz, przez co ona przechodzi. Nie znasz jej uczuć. Może cierpienie jest dla niej zbyt wielkie, nie do wytrzymania. Może nie jest w stanie już znieść bólu i tylko pragnie, żeby minął.

- Jeżeli nie dla siebie, to zrobiłaby wszystko, żeby żyć i chronić mnie.

Nicci zwilżyła usta i pocieszająco ścisnęła Richardowi ramię.

- Może i masz słuszość, Richardzie.

Nie cierpiał, kiedy go w ten sposób ugłaskiwano. Oderwał wzrok od drzwi, spojrzął na czarodziejkę.

- Możesz ją ocalić, Nicci. Wiesz, jak sobie z czymś takim radzić.

- Posłuchaj, lepiej się z nią zobacz, zanim...

- Musisz coś zrobić. Musisz.

Nicci objęła się ramionami. Odwróciła pełne łez oczy.

- Richardzie, przysięgam, że wypróbowałam wszystko, co tylko mi przyszło do głowy. Wszystko na nic. Śmierć już pojmała jej ducha i nie mogę go osiągnąć. Oddycha, ale ledwo, ledwo. Jej serce z trudem bije. Odpływa i całe jej ciało przestaje pracować.

Nawet nie jestem pewna, czy nadal jest żywa, czy jej stan odpowiada temu, co my nazywamy życiem. Jej życie wisi na cieniutkiej niteczce, która już długo nie wytrzyma.

- Przecież nie... - Żadne słowa nie były w stanie wyrazić żałości, która go zaczynała ogarniać.

- Proszę cię, Richardzie - wyszeptała Nicci - wejdź tam i zobacz się z nią, zanim odejdziesz. Powiedz jej to, co chcesz powiedzieć, dopóki jeszcze możesz. Na zawsze się znienawidzisz, jeżeli tego nie zrobisz.

Nicci poprowadziła ogłuszonego Richarda do pokoju. To się nie mogło dziać naprawdę. Po prostu nie mogło. Przecież to była Cara. A Cara była niczym słońce - nie powinna umierać. Była... była jego przyjaciółką. Nie może umrzeć.

ROZDZIAŁ 18

Słabe światło obu latarni niezbyt rozjaśniało ciemnawy pokój. Mniejsza stała na stoliku w rogu, jakby się kulila ze strachu w obecności śmierci. Druga tkwiła na nocnym stoliku, obok szklanki wody i wilgotnej płachty, starając się trzymać na odległość natarczywy mrok. Cara leżała na łóżku otulona wspaniałą brokatową kapą ze złotymi frędzlami. Jej bezwładne ręce ułożone były na okryciu, jeden koniec kapy zwieszał się z łóżka aż na podłogę. Cara nie przypominała siebie. Wyglądała jak nieżywa. Jej twarz była ziemista nawet w złocistym blasku lampy.

Richard nie widział, by oddychała. Sam ledwo mógł oddychać. Czuł, jak się pod nim uginają kolana. Gardło miał tak zaciśnięte, że omal się dusił. Chciał się na nią rzucić i błagać, żeby się ocknęła.

Nicci nachyliła się i delikatnie dotknęła twarzy Cary. Jej palce ześliznęły się na bok szyi. Richard dostrzegł, że Cara już tak straszliwie się nie trzęsie. Wcale jednak nie uważał, że to tak dobry znak, jakby się na pozór mogło wydawać.

- Czy ona... czy ona...?

Nicci obejrzała się przez ramię.

- Nadal oddycha, ale obawiam się, że coraz słabiej. Richard parę razy poruszył językiem, żeby zwilżyć podniebienie i móc wykrztusić choć kilka słów.

- Wiesz, Cara ma kogoś, na kim jej zależy.

- Tak? Naprawdę? Richard potaknął.

- Wielu uważa, że Mord-Sith nigdy na nikim nie zależy, ale tak nie jest. Carze zależy na pewnym żołnierzu. Generale Meiffercie. Benjaminowi też na niej zależy.

- Znasz go?

- Tak. To porządny człowiek. - Wpatrywał się w blond warkocz spływający z ramienia Cary na brokatową kapę. - Od wieków go nie widziałem. Jest z d'harańską armią.

- I Cara ci powiedziała, że zależy jej na tym człowieku? - spytała niedowierzająco Nicci.

Richard pokręcił głową, nie odrywając oczu od tak znajomej twarzy Cary.

Ta piękna twarz była teraz ściągnięta i blada, wyglądała jak twarz zjawy prawdziwej Cary.

- Nie. Kahlan mi powiedziała. Bardzo się zbliżyły przez ten rok spędzony z d'harańską armią, kiedy ty i ja byliśmy w Altur'Rang.

Nicci odwróciła wzrok i poprawiła przykrycie Cary. Richard podszedł bliżej, ona zaś usunęła mu się z drogi i podeszła do stojącego przy stole krzesła. Miał uczucie, że znajduje się poza własnym ciałem, że obserwuje siebie i widzi, jak przyklęka na kolano, ujmuje zimną dłoń Cary i przyciskają do swojego policzka.

- Drogie duchy, nie róbcie jej tego - wyszeptał. - Błagam - dodał ze szlochem - nie zabierajcie jej. - Obejrzał się na Nicci. - Chciała umrzeć, jak przystało Mord-Sith: w walce o naszą sprawę, a nie w łóżku.

Nicci leciuteńko się uśmiechnęła.

- Jej życzenie się spełniło.

Zabrzmiało to, jakby Cara już nie żyła, i zabolęło jak cios. Nie mógł pozwolić, żeby tak się stało. Nie mógł, i już. Kahlan zniknęła, a teraz jeszcze to. Po prostu nie mógł pozwolić, żeby to się stało. Przyłożył dłoń do lodowatej twarzy Cary. Jakby dotykał zmarłej. Przełknął łzy.

- Jesteś czarodziejką, Nicci. Uratowałaś mnie, kiedy byłem bliski śmierci. Ty jedna wiedziałaś, co zrobić. Ty jedna potrafiłaś mnie uratować. Czy naprawdę nie potrafisz wymyślić czegoś, co by uratowało Carę?

Nicci zsunęła się z krzesła, uklękła obok Richarda. Ujęła jego dłoń, ucałowała. Poczul jej łzę spływającą na grzbiet dłoni, którą trzymała tak ostrożnie, jakby była korną poddaną błagającą swojego króla o wybaczenie.

- Tak mi przykro, Richardzie, ale nie ma niczego takiego. Mam nadzieję, że wiesz, iż zrobiłabym wszystko co trzeba, żeby ją uratować, lecz to już nie leży w mojej mocy. Już nic więcej nie mogę zrobić. Wszyscy kiedyś musimy umrzeć. Teraz przyszedł czas na nią i nie mogę tego odmienić.

Richard zamrugał. Łzy mąciły widok umierającej, widok pokoju ledwo rozjaśnianego przez dwa małe płomyki. Łóżko z Cara unosiło się w owym blasku, dokoła czekał mrok.

Skinął głową.

- Mogłabyś mnie z nią zostawić, Nicci? Chciałbym być z nią sam, kiedy... Nie mam nic przeciwko tobie. Po prostu uważam, że powinienem być z nią sam.

- Rozumiem, Richardzie. - Musnęła palcami jego plecy i wstała. Odchodząc, przesunęła dłonią po jego ramieniu, jakby nie chciała zrywać kontaktu z żyjącą osobą. - Będę w pobliżu, na wypadek gdybyś mnie potrzebował - dodała, cofając rękę.

Drzwi łagodnie się za nią zamknęły, w pokoju zapanowała cisza. Ciężkie zasłony szczelnie zasłaniały okno, a Richard mimo to słyszał dobiegającą z zewnątrz nieprzerwaną pieśń cykad. Już nie mógł powstrzymać łez. Przytulił głowę do brzucha Cary i szlochał, mocno ściskając jej bezwładną dłoń.

- Tak mi przykro, Caro. Przepraszam. To moja wina. Stwór ścigał mnie, nie ciebie. Tak mi przykro. Caro, błagam, nie opuszczaj mnie. Tak bardzo mi jesteś potrzebna. - Jedyne Caro szła za nim dlatego, że mu ufała. Mogła się zgadzać z Nicci, że sobie wyśnił Kahlan, ale nadal mu ufała. W jej wypadku nie było w tym sprzeczności. Ostatnio właśnie ta jej ufność nie pozwalała mu się załamać, pomagała mu się koncentrować na tym, co musiał uczynić. Zdarzały się przerażające chwile, kiedy był bliski zwątpienia w siebie. Ciężko było stawiać czoło światu, który uważał, że on ma urojenia. Ciężko było robić to, co uważał za słuszne, kiedy prawie nikt mu nie wierzył. Caro jednak ufała mu, chociaż nie wierzyła w istnienie Kahlan. Było w tym coś wyjątkowego, coś odmiennego nawet od respektu, jakim darzyli go Nicci i Victor.

Ujął w dłonie twarz Cary, pocałował ją w czoło. Miał nadzieję, że ona nie cierpi. Że to będzie spokojny kres życia, które nie było spokojne ani łagodne.

Była taka blada, tak płytko oddychała. Była lodowata jak sama śmierć.

Nie mógł znieść, że jest taka zimna. Odsunął kapek, nachylił się i objął Carę w nadziei, że jego ciepło jej pomoże.

- Weź ode mnie ciepło - szepnął jej do ucha. - Tyle, ile potrzebujesz. Błagam cię, Caro, weź ode mnie ciepło.

Leżąc obok Mord-Sith i tuląc ją, Richard pograżył się w męce. Wiedział, ile ta kobieta wycierpiała. Wiedział, jakie było jej życie. Jak bardzo ją zraniono. Sam doświadczył części tego, czego ona zaznała za sadystycznego panowania jego ojca, Rahla Posępnego. Cierpiał te same katusze i brak nadziei. I może dlatego bardziej niż ktokolwiek inny potrafił ją zrozumieć, potrafił jej współczuć. Wiedział, jak obcy wciągnęli ją w świat bólu i szaleństwa. Wiedział to, bo i on tam był. Tak bardzo pragnął wyprowadzić ją z owego mrocznego i okropnego miejsca.

- Weź ode mnie ciepło, Caro. Jestem tu dla ciebie. Otworzył się na nią, dał

jej odczuć całą swoją rozpacz i niedole, przyjął całe jej cierpienie.

Tulił ją z całej siły i płakał na jej ramieniu. Czuł, że jeżeli będzie ją dostatecznie mocno trzymał, to mu się nie wyśliznie, nie odejdzie w śmierć.

Kiedy tak ją tulił, czuł, że Cara wciąż żyje, i nie mógł dopuścić, żeby to się skończyło. Straszliwie żałował, że Nicci nic nie mogła zaradzić. O ile ktoś w ogóle zasługiwał na to, by go uzdrowić, to z całą pewnością Cara. Z całych sił pragnął, żeby wyzdrowiała. Skoncentrował się na tym jednym celu. Bez reszty poddał się współczuciu dla owej kobiety, która tak wiele mu ofiarowała. Wiele razy ryzykowała życie, żeby wypełnić jego rozkazy. Często ryzykowała dla niego życie, otwarcie przeciwstawiając się jego nakazom. Szła za nim przez świat. Niezliczone razy osłaniała jego i Kahlan przed niebezpieczeństwem. Cara zasługiwała na życie, zasługiwała na szczęście. Chciał, żeby znów była zdrowa, by znów była sobą. Pozwolił, żeby go przepełniło to pragnienie. Nie było w nim nic poza życzeniem, by Cara pozostała pośród żywych. I żeby to się mogło spełnić, z całym rozmysłem poszukiwał w niej życia, zagłębiając się w jej cierpienie i agonię. Natychmiast zespolił umysł z jej umysłem, z jej straszliwym cierpieniem. Obejmował ją z całych sił i płakał nad jej okropnym bólem. Zaciskał zęby, wstrzymywał oddech i wchłaniał w siebie jej ból. Pragnął ją od niego uwolnić. Nie starał się osłonić przed męką, która go nagle przepełniła. Czuł to samo co ona. Cierpiał jak ona. Przycisnął do ramienia Cary otwarte usta, tłumiąc krzyk wywołany szalejącym w nim bólem.

Byli w pustym, mrocznym, pozbawionym wszelkiej nadziei miejscu... w miejscu pozbawionym życia. Drżał pod ciężarem jej cierpienia, uwalniając ją od choćby odrobiny męki. Ona mocno trzymała się bólu, nie chciała się pozbyć ani krzty, a już zwłaszcza nie chciała, by Richard przejął jej cierpienie. Była jednak tak słaba, że mógł jej odebrać nieco męki, a potem jeszcze trochę.

Warstwa po warstwie zdejmował z jej duszy udrękę, czując lodowate dotknięcie śmierci, która się w niej zagnieździła. I nic nigdy nie wzbudziło w nim tak porażającego strachu jak owo dotknięcie. Mrok i chłód bez reszty przepełniały Carę. Richard drżał z męki, którą z nią dzielił, z przerażenia, które wspólnie odczuwali. Jego umysł borykał się z tak straszliwym cierpieniem, że wreszcie stało się to niemal beznadziejną walką o wytrwanie.

Richarda przepęłniła wyniszczająca udreka i poczucie beznadziei. Zdawało się, że tego nie wytrzyma - lecz wytrzymał i dalej zdejmował z Cary to brzemie. Chciał, żeby wzięła od niego siłę, rozgrzewającą iskrę życia, lecz aby tak się stało, musiał najpierw przetrwać wchłanianie w siebie owego mrocznego jadu i jednoczesne oddawanie Carze swoich sił.

Czas stracił wszelkie znaczenie. Istniał wyłącznie ból.

- Może nadejść śmierć, obiecując, że cię zabierze... pragnąc cię zabrać - wyszeptał jej do ucha. - Nie gódź się na to, Caro. Zostań. Nie przyjmuj śmierci.

Chcę umrzeć.

Z otchłani udreki i rozpaczy uniosła się ta jedna myśl. Zaszokowała go i przeraziła. A jeżeli trzymanie się życia było już ponad jej siły? Ponad jego siły? Jeżeli prosili ją o więcej, niż mogła spełnić? O więcej, niż miał prawo prosić?

- Caro - wyszeptał jej do ucha - chcę, żebyś żyła. Błagam: musisz żyć.

Nie mogę.

- Nie jesteś sama, Caro. Jestem przy tobie. Trzymaj się. Trzymaj się dla mnie i pozwól sobie pomóc.

Pozwól mi odejść, proszę. Daj mi umrzeć. Jeżeli coś dla ciebie znaczę, to puść mnie, błaga m... pozwól mi umrzeć.

Zaczęła się wymykać. Uchwycił ją mocniej. Wchłonął w siebie jeszcze większą porcję jej cierpienia. Opierała się temu, zawodząc z udreki.

- Caro, błagam - wykrztusił resztką tchu, ogłuszony wlewającym się w niego bólem - pozwól sobie pomóc. Nie opuszczaj mnie, proszę.

Nie chcę żyć. Zawiodłam cię. Powinnam cię obronić, kiedy Nicci przyszła cię pojmać. Teraz to wiem, pozwoliłeś mi to zrozumieć. Od dałabym za ciebie życie, a nie wypełniłam obowiązku, zламаłam dane sobie obietnice. Nie mam po co żyć. Nie jestem godna być twoją strażniczką. Proszę, daj mi odejść.

Richarda oszołomiło to rozpaczliwe pragnienie, a jeszcze bardziej go przeraziło. Uwolnił ją i od tej udreki. Zrobił to, chociaż się opierała, choć się starała wyśliznąć.

- Kocham cię, Caro. Błagam, nie zostawiaj mnie. Jesteś mi potrzebna.

Richard z całych sił starał się wchłonać jeszcze więcej jej cierpienia. Przełamał jej opór i przejął jeszcze więcej udreki. Nie była w stanie go powstrzymać. Usunął ciągnący ją w dół śmiertelny balast. Mocno obejmował

Care, otwierał przed nią swoje serce, swoją duszę, swoje pragnienie.

Boleśnie lamentowała. Pojmował jej przeraźliwe osamotnienie.

- Jestem przy tobie, Caro. Nie jesteś sama.

Uspokajał ją, a jednocześnie wyęczał wszystkie siły, żeby wytrzymać straszliwy ból zadawany przez zło, które ją dotknęło. Był to nie tylko ból, ale i okropne przerażenie tym, co ją zabijało, a teraz powoli zaczynało miażdżyć i jego. Równocześnie przejmująca udręka Cary nie pozwalała wnikać w Mord-Sith uzdrawiającej mocy Richarda.

Doznał nagle uczucia, że rzucił się ratować tonącego, a teraz rozszalały nurt porwał ich oboje i razem toną w czarnych wodach śmierci. Jeżeli miał przeżyć - jeżeli ona miała przeżyć - to najpierw musi uwolnić ją od cierpienia. Musi od niej przejąć to brzemie. Zaczął nieustępliwie wchłaniać jej udrękę, nie żałował na to woli ani sił. Kiedy poczuł w głębi siebie całą tę niedolę i rozpacz, musiał z całych sił czepiać się swojego życia, jednocześnie przekazując Carze swoją uzdrowicielską moc, swoje uzdrawiające serce. Richard nigdy się nie uczył, jak uzdrawiać, jak ukierunkowywać swoją moc - mógł tylko pozwolić owej mocy wnikać w Care.

Nie chcę żyć. Zawiodłam cię. Proszę, pozwól mi umrzeć.

- Dlaczego chcesz mnie opuścić? Dlaczego?

Bo tylko w ten sposób mogę ci się przysłużyć. Bo tylko wtedy możesz mieć strażniczkę, która cię nie zawiedzie.

- To nieprawda, Caro. Coś jest nie tak. Coś, czego nikt z nas nie rozumie.

- Walczył z bólem, szukając odpowiednich słów. - Nie zawiodłaś mnie. Musisz mi uwierzyć. Musisz mi zaufać. Tego właśnie najbardziej potrzebuję: żebyś była przy mnie i ufała mi. To ty jesteś mi potrzebna, a nie twoja służba. Potrzebuję cię. Chcę, żebyś żyła. Tym mi się przysłużysz, bo dzięki tobie moje życie jest lepsze.

Ze wszystkich sił starał się trzymać - i nie pozwolić Carze odejść - lecz brzemie wewnętrznego mroku zdawało się nieogarnione. Jedna po drugiej pękały ochronne bariery i Richard miał uczucie, że leci w niezgłębioną pustkę, coraz bardziej pogrąża się w mroku, który się do niego przedarł poprzez ściany. Widział, jak Cara dostrzegła stwora, czuł przerażenie wywołane jego naporem.

I to był sam rdzeń jej lęku - ta okropna rzecz, ta wcielona śmierć gnająca po niego poprzez Care. To nie było łagodne rozpląnięcie się świadomości w

pustce niebytu. To był wcielony koszmar, który przybył, żeby wydrzeć życie. To spadała na nią - osamotnioną i bezbronną - czarna śmierć, bezlitosny kosiarz dusz, który przybywał, żeby i jej odebrać duszę, chociaż krzyczała ile tchu. I kiedy tak stała przed stworem, zagradzając mu drogę, dotknęła jej śmierć.

Wtedy Richard pojął, iż Cara uważała, że zawiodła go wcześniej, w starciu z Nicci, i że tym razem była zdecydowana umrzeć, żeby dotrzymać przysięgi. Nadal tkwiło w niej szaleństwo. Wierzyła, że pędząca ku niej śmierć stanie się jej odkupieniem w oczach Richarda, i dlatego się przed nią nie uchylila. Chciała umrzeć, żeby wykazać, ile jest warta. I kiedy stwór przedarł się przez ścianę i mknął przez jej pokój, próbowała się przeciwstawić mocy samej śmierci. Richard czuł, jak owo straszliwe muśnięcie zsyła na niego wyniszczającą udawkę. Było tak lodowate, że zaczęło mu zamrażać serce.

Świat zaczął od niego odpływać - tak jak od niej. Zatracił się w miazdzącym bólu owego muśnięcia śmierci.

ROZDZIAŁ 19

Richard miał uczucie, że jest uwięziony pod lodem, w bystrych, czarnych wodach lodowatej rzeki. Był coraz bliższy wpadnięcia w panikę. Był wyczerpany, nie miał już sił.

Pojawiło się widmo przegranej i pełna świadomość, co taka przegrana by oznaczała; wyteżył wolę i ze wszystkich sił starał się dotrzeć do odległego błysku świadomości. Zdał sobie sprawę, że mu się udało na poły obudzić, lecz nadal był w jakiejś odległej głębinie i trudno mu było zakończyć tę podróż. Usiłował się wznieść, wrócić do życia, lecz nie mógł się przebić.

Im bardziej się wyteżał, tym się to zdawało trudniejsze, bardziej odległe. Po raz pierwszy pomyślał o ukojeniu poddania się - naprawdę to rozważał, tak jak i ona, zanim ją to wciągnęło w otchłań. Przegrana była coraz bliżej.

Przerażony świadomością, co by taka przegrana oznaczała, zebrał siły, wyteżył wolę i desperacko sięgnął ku życiu. Zachłysnął się oddechem, otworzył oczy. Ból był straszliwy. Po spotkaniu z czymś tak złowrogim był oszołomiony i chory. Wciąż jeszcze się trząsał. Obawiał się, że po doświadczeniu takiej duchowej przemocy każde uderzenie serca może się okazać ostatnie. Nie mógł głęboko odetchnąć, bo po oślizłym i lepkim zetknięciu się z tą ohydą wciąż jeszcze czuł dławiący odór rozkładających się ciał.

Wniknął w duszę Cary i wyczuł czające się tam nieogarnione zło, wysysające z niej życie, wciągające ją w wieczyste mroki śmierci. Nigdy przedtem nie doświadczył tak przytłaczającego lęku, przewyższającego zwykły strach przed mroczną otchłanią wieczności. Zbliżało się do niego wprost niewyobrażalne okropieństwo.

Początkowo zdawało mu się, że dotknął lodowatego oblicza samej śmierci, lecz teraz wiedział, że tak nie było. Wiedział, że choć budziło taką odrazę, to było czymś innym niż zwyczajna śmierć. Śmierć była zaledwie częścią tego ohydztwa. Śmierć była martwa, bez życia. To - nie.

Był tak obolały, iż w owej chwili wątpił, czy będzie jeszcze miał siłę się podnieść, czy będzie miał siłę żyć. Bolały go kości. Wszystko go bolało. Nie mógł opanować drżenia. A do tego ból był nie tylko cielesny; było to przeokropne, ogarniające duszę cierpienie. W końcu zaczął dostrzegać cichy

pokój, w którym przebywał. Lampy wciąż jeszcze rozjaśniały mrok. Zza ciężkich zasłon dalej słychać było pieśń cykad.

Richard, wyciągnięty na łóżku i nadal opiekuńczo tulący Carę, mógł wreszcie głęboko zaczerpnąć powietrza. I wtedy z radością poczuł woń jej włosów, zapach ciepłej, wilgotnej skóry w zagłębieniu szyi, i straszliwy ból zaczął mijać. Czuł mocno obejmujące go ramiona Cary. Jej miękkie włosy muskały mu policzek.

- Caro? - wyszeptał.

Czule pogłaskała go po głowie, nie wypuszczając z objęć.

- Ciiii - uspokajała szeptem. - Wszystko jest dobrze.

Z trudem wracał do rzeczywistości. Nie bardzo pojmował, dlaczego tuli Carę, dlaczego ona go tak czule obejmuje, dlaczego leżą w tak serdecznym uścisku. Czuł wtulone weń ciało Cary. Taka bliskość. Czyż mogła jednak być jeszcze większa bliskość niż ta, której doświadczyli w mrocznych głębinach, wspólnie stawiając czoło złu, które nią zawładnęło? Przesunął językiem po swoich spękanych wargach, wyczuł słony smak łez.

- Caro...

Skinęła przytuloną do jego policzka głową.

- Ciii - znów go uspokajała. - W porządku. Jestem przy tobie. Nie zostawię cię.

Odsunął się odrobinę - tyle, by jej spojrzeć w oczy. Były błękitne i jasne, tak głębokie jak nigdy przedtem. Wpatrywała się w jego twarz z oddaniem, zrozumieniem, współczuciem.

Wyczytał w jej oczach, że jest tylko i wyłącznie Cara; że na tę chwilę pozbyła się piętna Mord-Sith. Była Cara - kobietą, osobą, niczym więcej. Wspaniałe i piękne doznanie.

- Jesteś bardzo niezwykłym człowiekiem, Richardzie Rahlu. Jej oddech, ramiona, oczy, słowa kołły ból; jej żywe, ciepłe ciało łagodziło cierpienie.

Mimo to dalej trawiła go męka, z której ją wybawił. Trawiła go i chciała znów wciągnąć w mrok i śmierć. Opierał się temu swoim umiłowaniem życia, radością, że Cara żyje.

- Jestem czarodziejem - odszepnął.

Wpatrywała się w jego oczy i w zadziwieniu potrząsała głową.

- Nigdy przedtem nie było takiego lorda Rahla jak ty. Przysięgam, że nigdy takiego nie było. - Trzymając go za szyję, przyciągnęła bliżej jego

głowę i pocałowała go w policzek. - Dziękuję, lordzie Rahlu, że mnie tu na powrót sprowadziłeś. Dziękuję, że mnie ocaliłeś. Sprawiliś, że znowu się przekonałam, że chcę żyć. To ja mam chronić twoje życie, ale to ty je zaryzykowałeś, żeby mnie ocalić.

Znów z błogim zadowoleniem patrzyła mu w oczy. Było to zupełnie odmienne niż zwykłe spojrzenie Mord-Sith, zagładanie w duszę. To spojrzenie mówiło, ile on dla niej znaczy. Była w nim - w najczystszym sensie tego słowa - miłość. Nie próbowała przed nim ukryć swoich uczuć.

Pomyślał, że taka skromność byłaby bezcelowa po tym, co przed chwilą razem przeżyli. Wiedział jednak, że to nie tylko to, że to jest prawdziwa Cara - szczerą, nieustraszoną, nieokiełznaną.

- Nigdy wcześniej nie było takiego lorda Rahla jak ty.

- Nawet nie wiesz, Caro, jak się cieszę, że znowu jesteś przy mnie.

Ujęła w dłonie jego głowę i pocałowała go w czoło.

- Ależ dobrze wiem. Wiem, co dla mnie tej nocy wycierpiałeś. Dobrze wiem, jak chciałeś, żebym wróciła. Doskonale wiem, coś dla mnie uczynił. - Znów objęła go za szyję i mocno przytuliła. - Jeszcze nigdy tak się nie bałam, nawet wtedy, kiedy byłam pierwszy...

Położył palce na jej ustach, uciszył ją, bojąc się, że te słowa zniweczą urok chwili, że zbyt szybko w tych pięknych oczach pojawi się Mord-Sith. Wiedział, co zamierzała powiedzieć. Znał ten obłęd.

- Dziękuję, lordzie Rahlu - szepnęła w zadziwieniu, kiedy cofnął palce. - Dziękuję za wszystko i za to, że mi nie pozwoliłeś powiedzieć tego, co zamierzałam. - Przez jej twarz przemknął wyraz cierpienia. - To dlatego nigdy przedtem nie było takiego lorda Rahla jak ty. Oni stworzyli Mord-Sith. Zadawali ból i cierpienie. Ty to zakończyłeś.

Richard miał tak ściśnięte gardło, że nie mógł wykrztusić ani słowa, więc tylko odgarnął jej z czoła blond włosy i uśmiechnął się do niej. Taki był szczęśliwy, że znów jest przy nim, iż nie potrafił tego ubrać w słowa. Rozejrzał się po pokoju, starając się ocenić, jak już późno.

- Nie wiem, ile czasu zabrało ci uleczenie mnie - powiedziała, patrząc, jak się wpatruje w zasłony i szuka oznak zbliżającego się świtu. - Ale potem byłeś taki wyczerpany, że zapadłeś w sen. Nie mogłam cię obudzić... nie chciałam cię budzić. - Nadal trzymała go za szyję i patrzyła nań z błogim uśmiechem, jakby już zawsze miała tak trwać. - Byłam taka słaba, że też

zasnęłam.

- Caro, musimy stąd odejść.

- Co to znaczy?

Richard usiadł, aż za dobrze pojmując pilność tej potrzeby. W głowie mu zawirowało.

- Posłużyłem się magią, żeby cię uzdrowić.

Kiwnęła głową, zadziwiająco jak na nią zadowolona z jednoczesnego wymienienia i jej, i magii. To magia ukazała jej cud życia. I nagle pojęła, co Richard miał na myśli. Usiadła gwałtownie i musiała się podeprzeć.

Richard stanął na drżących nogach. Zorientował się, że nadal ma u boku miecz. Ucieszył się, że ma go pod ręką.

- Jeżeli bestia Jaganga kręci się w pobliżu, to mogła wyczuć, że się posłużyłem moim darem. Nie mam pojęcia, gdzie teraz może być, ale na pewno nie chciałbym się tu wylegiwać, gdy wróci.

- Ani ja. Ten jeden raz wystarczy mi do końca życia.

Wyciągnął rękę i pomógł Carze wstać. Przez chwilę stała sztywno, chwiejąc się, a potem doszła do siebie i przyjęła swobodną pozę. Zadziwiło go, że ma na sobie czerwony skórzany uniform. Był tak blisko niej, był w jej wnętrzu - i teraz odzienie wydawało się czymś dziwnym. Cara w niepojęty sposób znów stała się Mord-Sith. Uśmiechnęła się. Spokojna pewność siebie, widoczna w tym uśmiechu, uradowała Richarda.

- Ze mną wszystko w porządku - powiedziała, dając mu znać, żeby się przestał martwić. - Znowu jestem przy tobie. - W jej oczach znów był stalowy błysk. Cara naprawdę wróciła.

Richard skinął głową.

- Ze mną też jest w porządku. Od razu mi lepiej, jak się otrząsnąłem. - Wskazał jej plecak. - Zbierzmy rzeczy i w drogę.

ROZDZIAŁ 20

Nicci stała na skraju wzniesienia; splotła dłonie i patrzyła na widoczną w oddali, oświetloną pochodniami statuę. Mieszkańcy Altur'Rang uważali, że tak szlachetna postać, symbol ich wolności, nie powinna nigdy zniknąć w mroku, więc zawsze była oświetlona.

Przez większość nocy Nicci powoli chodziła tam i z powrotem po ciemnym korytarzu w gospodzie, przygnębiona tym, że po tamtej stronie drzwi umyka czyjeś życie. Próbowwała wszystkiego co w jej mocy, żeby ocalić Carę, lecz jej się nie udało.

Nie знаła za dobrze Cary, ale za to na pewno znała Richarda. Prawdopodobnie znała go lepiej niż ktokolwiek inny, no może z wyjątkiem jego dziadka Zedda. Nie za dobrze znała jego przeszłość, historie z dzieciństwa i temu podobne; znała Richarda jako człowieka. Znała go aż do głębi jego duszy. Nikogo z żyjących tak dobrze nie poznała. Pojmowała rozmiar jego rozpaczyny nad utratą Cary. Kiedy tak czuwała za drzwiami, jej dar, nieproszony, pozwolił jej słyszeć odgłosy nieutulonego cierpienia i udręki. Serce jej pękało, że Richard tak cierpi. Wszystko by dała, żeby mu tego oszczędzić.

W pewnej chwili chciała tam wejść i pocieszyć go, dać mu choć odrobinę ulgi, choć troszkę złagodzić osamotnienie. Drzwi się nie otworzyły. Było to zadziwiające, lecz wyczuła, że wewnątrz jest dwoje ludzi; dotarło do niej, że panuje tam smutek i żal, więc nie próbowała siłą otworzyć drzwi. W końcu nie mogła już dłużej słuchać, jak Richard błaga umierającą Carę, i wyszła z gospody, a potem się zapatrzyła na biały posąg, który stworzył. Skoro nie mogła przy nim być, to od wszystkiego innego wolała widok jego wspaniałego dzieła.

Czasami śmierć kogoś bliskiego sprawia, że ludzie inaczej postrzegają świat, że wracają do tego, co było w życiu najważniejsze. Zastanawiała się, co zrobi Richard, kiedy Cara odejdzie, czy to go przywoła do rzeczywistości i czy przestanie gonić za majakami i zostanie z ludźmi, którzy chcą się uwolnić od Imperialnego Ładu.

Odwróciła się, bo usłyszała kroki i swoje imię. W mrokach szedł ku niej Richard... i jeszcze ktoś. Serce w niej zamarło. To mogło oznaczać tylko jedno

- że udręka Cary wreszcie się skończyła. Richard znalazł się bliżej i Nicci zobaczyła, kto z nim jest.

- Drogie duchy, Richardzie - wyszeptała, szeroko otwierając oczy - co zrobiłeś?

W słabym blasku odległych pochodni Cara wyglądała na absolutnie całą, żywą i zdrową.

- Lord Rahl mnie uleczył - oznajmiła nonszalancko, jakby to było zadanie równie łatwe i proste jak pomoc w przyniesieniu wody.

Nicci wpatrywała się w nich, wstrząśnięta.

- Jak? - zdołała wreszcie wykrztusić.

Richard był wymęczony jak po bitwie. Wcale by się nie zdziwiła, gdyby był okrwawiony.

- Nie mogłem znieść myśli, że mam jej pozwolić odejść, nie spróbowawszy jej ocalić - powiedział. - Myślę, że pragnienie i potrzeba działania były na tyle silne, że jakoś zrobiłem to, co było trzeba, żeby ją uzdrowić.

Nicci nagle zrozumiała, dlaczego drzwi nie chciały się otworzyć. On naprawdę walczył i - w pewnym sensie - był pokryty krwią, tyle że nikt owej krwi nie mógł zobaczyć. Nicci pochyliła się ku niemu.

- Posłużyłeś się swoim darem.

To był zarzut, nie pytanie. Ale i tak odpowiedział.

- Na to wygląda.

- Na to wygląda. - Żałowała, że to tak bardzo przypomina przedrzeźnianie. - Próbowałam wszystkiego, co potrafię. I nic to nie dało. Nie mogłam jej uleczyć. Co zrobiłeś? I jak ci się udało sięgnąć do swojej Han?

Richard odruchowo wzruszył ramionami.

- Sam dobrze nie wiem. Tuliłem ją i czułem, że umiera. Czułem, jak coraz dalej i dalej się wymyka. I jakoś pozwoliłem sobie... swojemu umysłowi... wniknąć w nią, aż do samego centrum jej jaźni, tam gdzie potrzebowała pomocy. I kiedy już osiągnąłem takie z nią zespolenie, przyjąłem jej ból i udrękę, by miała dość sił na przyjęcie żaru życia, który jej ofiarowywałem.

Nicci znakomicie rozumiała, o czym on mówi, lecz była zdumiona, że opisuje to takimi zwyczajnymi słowami. To tak, jakby go spytała, jak wyrzeźbił tak pełen życia marmurowy posąg, a on by rzekł o tym arcydziele, że po prostu skuł cały niepotrzebny marmur. Wyjaśnienie było dokładne,

lecz aż absurdalne w swojej prostocie.

- Wzięłeś to, co ją zabijało?

- Musiałem.

Nicci ścisnęła palcami skronie. Nawet ona - mając do dyspozycji taką znaczącą moc, nie wspominając już o wyszkoleniu, doświadczeniu i wiedzy - nie mogłaby czegoś takiego dokonać. Z wysiłkiem uspokoiła bijące szaleńczo serce.

- Czy masz w ogóle pojęcie, na jakie niebezpieczeństwo się narażałeś?

Jej gniewny ton sprawił, że Richard poczuł się nieswojo.

- To był jedyny sposób, Nicci - odparł z prostotą.

- To był jedyny sposób - powtórzyła w zadziwieniu. Nie mogła uwierzyć w to, co słyszała. - Czy masz pojęcie, jakiej mocy potrzeba na taką wyprawę duszy, że już nie wspomnę o powrocie z owego miejsca? Na jakie się wystawia niebezpieczeństwo ten, kto tam idzie?

Wepchnął ręce w kieszenie, niczym dzieciak karcony za złe zachowanie.

- Jedno wiem: to był jedyny sposób na sprowadzenie Cary z powrotem.

- I zrobił to - odezwała się Cara, wymierzając w Nicci palec na znak, że podkreśla wagę swoich słów, ale też, że go broni. - Lord Rahl przyszedł po mnie.

Nicci wpatrywała się nieruchomo w Mord-Sith.

- Richard poszedł po ciebie na skraj świata zmarłych... a może i dalej.

Cara zerknęła na Richarda.

- Taak?

Nicci z wolna potaknęła.

- Twój duch już wniknął w dziedzinę cienia. Byłaś poza moim zasięgiem.

To dlatego nie mogłam cię uzdrowić.

- Ale lord Rahl mnie uzdrowił.

- Tak, uzdrowił. - Nicci wyciągnęła rękę i palcem uniosła podbródek Cary. - Mam nadzieję, że do końca życia nie zapomnisz, co ten człowiek właśnie dla ciebie zrobił. Wątpię, by ktoś inny mógł, lub chciał, podjąć się czegoś takiego.

- Musiał. - Cara obdarzyła Nicci promiennym, bezczelnym uśmiechem. - Lord Rahl dobrze wie, że nie może się beze mnie obejść.

Richard odwrócił głowę, kryjąc uśmiech.

Nicci ledwo mogła uwierzyć, że ktoś się tak nonszalancko zachowuje po

tak doniosłym zdarzeniu. Głęboko odetchnęła, żeby zapanować nad głosem i nie sprawić fałszywego wrażenia, iż jest niezadowolona, że Richard uleczył Carę.

- Posłużyłeś się swoim darem, Richardzie. Bestia już się tu kręci, a ty posłużyłeś się darem.

- Musiałem, bo inaczej byśmy ją stracili.

Dla Richarda było to jasne i proste. Ale przynajmniej miał tyle oleju w głowie, żeby nie mieć tak zadowolonej miny jak Cara. Nicci wsparła się pięściami pod boki i nachyliła ku niemu.

- Nie rozumiesz, coś uczynił? Znowu posłużyłeś się darem. Ostrzegałam cię, że już ci nie wolno tego robić. Bestia jest w pobliżu, a ty, używając daru, dokładnie określiłeś jej swoje położenie.

- A co według ciebie miałem zrobić? Pozwolić Carze umrzeć?

- Tak! Przysięgała, że poświęci życie w obronie twojego. To jej zadanie i jej obowiązek. A nie pomaganie bestii w zbliżeniu się do ciebie. Łatwo mogliśmy cię stracić przy takim wysiłku, że już nie wspomnę o poważnym zagrożeniu, które właśnie wywołałeś. Żeby ocalić jedną osobę, ryzykowałeś to, czym jesteś dla ludu D'Hary i dla naszej sprawy. Powinieneś pozwolić jej odejść. A ratując ją, tylko jej pozwoliłeś sprowadzić śmierć na was obydwoje, bo teraz bestia będzie mogła cię odnaleźć. To, co się stało, znowu się powtórzy, tyle że tym razem nie będzie ucieczki. Ocaliłeś życie Cary za cenę własnego, no i zapewne również jej.

Nim skończyła mówić, już wiedziała, że źle robi, tak obcesowo to ujmując - świadczyło o tym płonące gniewem spojrzenie Richarda. Za to w oczach Cary pojawił się niepokój bliski przerodzenia się w panikę. Richard położył jej dłoń na karku i lekko uściśnął, jakby dawał jej znak, żeby się nie przejmowała tym całym gadaniem.

- To wcale nie jest pewne, Nicci. - Zacisnął zęby tak, że aż się napięły mięśnie szczęki. - To możliwość, ale wcale nie pewność. Poza tym nie miałem zamiaru pozwolić umrzeć komuś, na kim mi zależy, tylko dlatego, żeby zapewnić sobie odrobinę większe bezpieczeństwo. I tak mnie już ściga. Zgoda na śmierć Cary by tego nie odmieniła.

Nicci opuściła ręce. Nie był w nastroju do wysłuchiwanie wyrzutów, że ocalił życie kobiecie, do której był tak bardzo przywiązany. Nie wiedziała, jak mu to wytłumaczyć, żeby pojął, jak potężne moce przyzwał i jak wielkie

zagrożenie wywołał. Jakich słów powinna użyć, żeby jej źle nie zrozumiał? Na koniec pojęła, że tego nie potrafi. Położyła dłoń na ramieniu Richarda.

- Nie mogę mieć ci tego za złe, Richardzie. Na twoim miejscu pewnie zrobiłabym to samo. Pewnego dnia, kiedy będziemy mieli trochę czasu, porozmawiamy o tym. Chciałabym, żebyś mi wtedy opowiedział o wszystkim, co uczyniłeś. Może zdołam ci pomóc nauczyć się lepiej kontrolować to, co tylko ty jeden potrafisz okiełznać. Może uda mi się sprawić, że twoje działania będą mniej instynktowne, za to bardziej ukierunkowane i bezpieczniejsze.

Richard kiwnął głową na znak zgody, choć nie wiedziała, czy dotyczyło to jej obietnicy czy łagodniejszego tonu. Po wyrazie oczu Richarda i Cary poznawała, że owo przeżycie jeszcze bardziej ich zbliżyło. Uświadomiła sobie, że on lada chwila odejdzie, i zgasła w niej radość, że Cara jest żywa i zdrowa.

- Poza tym - odezwał się Richard, badając wzrokiem mrok - nawet nie wiemy, czy to ma coś wspólnego z wydarzeniami w lesie.

- Ależ oczywiście, że ma - stwierdziła Nicci. Popatrzył na nią.

- Skąd wiesz? Tamten stwór rozerwał ludzi Victora na strzępy. Tym razem atak był inny. I dlatego nie wiemy, czy to atakowała stworzona na rozkaz Jaganga bestia.

- O czym ty mówisz? A cóż innego mogło atakować? To musiał być żywy oręż wyczarowany przez Siostry na rozkaz Jaganga.

- Wcale nie mówię, że nie był, bo jak najbardziej mógł być, lecz nie mogę się w tym dopatrzeć większego sensu.

- A niby dlaczego?

Richard przeczesał włosy palcami.

- Stwór w lesie zaatakował mężczyzn, a mnie zostawił w spokoju, chociaż byłem w pobliżu. A ten tutaj nie potrudził się rozszarpaniem Cary, w przeciwieństwie do tamtych. Gdyby to był ten sam stwór, to mógłby mnie z łatwością zabić. Dlaczego więc nie skorzystał z takiej okazji, skoro już się tu zjawił?

- Może dlatego, że się starałam przejąć jego moc - wtrąciła Cara. - Może mnie tylko ominął, bo byłam zagrożeniem, a może na tyle mu przeszkodziłam, że wołał uciec.

Richard potrząsnął głową.

- Nie byłaś dla niego groźna. Przeszedł przez ciebie, a samo dotknięcie wyeliminowało cię z walki. Potem przedarł się przez ścianę do mnie, lecz gdy się już dostał do mojego pokoju, to uciekł, po prostu zniknął.

Nicci natychmiast stała się czujna. Nigdy nie usłyszała całej tej historii.

- Byłeś w pokoju, a stwór po prostu zniknął?

- Niezupełnie tak. Wyskoczyłem przez okno, uciekając, kiedy się przedarł przez ścianę do mojego pokoju. I kiedy wisiałem na jednej ręce, z okna wyłoniło się coś czarnego, jakiś ruchliwy cień, i rozplynęło się w nocy.

Nicci dumiała nad tym, co usłyszała, machinalnie skubiąc wiązadelko gorsetu. Usiłowała to dopasować do tego, o czym wiedziała, lecz nic się nie zgadzało. Postępki bestii wydawały się bez sensu - o ile to była ta sama bestia. Richard miał słuszność, że to urąga logice.

- Może cię nie zauważył - mruknęła na poły do siebie, myśląc nad tą zagadką.

Richard spojrział na nią powątpiewająco.

- Twierdzisz, że mógł mnie odnaleźć nocą, we wnętrzu gospody, przebić się przez te wszystkie ściany aż do mojego pokoju, a potem wystarczyło, że wyskoczyłem przez jedyne okno, a stwór już się pogubił i wołał zniknąć?

Nicci przez chwilę patrzyła mu w oczy.

- Oba te ataki łączy coś ważnego. W obu stwór ma ogromną siłę: łamie drzewa niczym gałązki i przebija się przez ściany, jakby były z papieru.

Richard smutno westchnął.

- Na to wygląda.

- Chciałabym wiedzieć - dodała Nicci, krzyżując ramiona - dlaczego nie zabił Cary.

Dostrzegła błysk w oczach Richarda i pojęła, że wie więcej, niż powiedział. Przekrzywiła głowę i patrzyła nań wyczekująco.

- Kiedy byłem w umyśle Cary i uwalniałem ją od bólu wywołanego dotknięciem tego ohydneho stwora, znalazłem tam coś więcej niż tylko udrękę - przyznał spokojnie. - Wydaje mi się, że chciał zostawić dla mnie wieść. Wiadomość, że idzie po mnie, że mnie odnajdzie i sprawi, iż przez całą wieczność nadaremnie będę pragnął śmierci.

Nicci popatrzyła na Careę.

- To nie z mojej woli poszedł za mną do tej dziedziny cienia, jak ją nazwałaś. Nie prosiłam go o to i nie chciałam, żeby to zrobił. - Mord-Sith

zacisnęła pięści. - Ale skłamałabym, mówiąc, że wolałabym być martwa.

Nicci nie mogła się nie uśmiechnąć, słysząc takie szczere słowa.

- Cieszę się, Caro, że żyjesz. Naprawdę się cieszę. Jakież to człowiek by nam przewodził, gdyby spokojnie pozwolił umrzeć przyjaciółce, nawet nie próbując jej ratować?

Rysy Cary złagodniały i Nicci znów spojrzała na Richarda.

- Dalej zdumiewa mnie to, że nie zabił Cary. W końcu taką wiadomość łatwo mógł ci przekazać bezpośrednio, skoro miał cię w zasięgu. Jeżeli to zagrożenie jest prawdziwe, a w to nie wątpię, to gdyby stwor cię wtedy pochwyił, miałby mnóstwo czasu, żeby się nad tobą pastwić. Taka wiadomość właściwie niczemu nie służy, a już na pewno przeczy logice to, że bestia się zjawiała i po prostu zniknęła.

Richard bębnił palcami po gardzie miecza i zastanawiał się.

- Dobre pytania, Nicci, tyle że nie mam dobrych odpowiedzi. - Znów wpatrzył się w noc - nie zdjawszy lewej dłoni z rękojeści miecza - sprawdzając, czy nic się tam nie czai. - Im wcześniej wyruszymy obydwój z Cara, tym lepiej. Pamiętam, co się przydarzyło ludziom Victora, i martwię się tym, co by się mogło stać, gdyby stwor tu po mnie wrócił. Nie chcę, żeby jakakolwiek bestia, oszalała z żądzy krwi, grasowała po mieście. Nie chcę, żeby jeszcze jacyś ludzie zginęli bez potrzeby lub zostali ranni. Czy to stwor wyczarowany przez Siostry na rozkaz Jaganga, czy coś, o czym nawet nie wiemy, uważam, że mam większe szansę na przeżycie, jeżeli będę w drodze. Siedzenie na miejscu za bardzo mi przypomina oczekiwanie na kata.

- Wcale nie uważam, że rozumiesz logicznie - stwierdziła Nicci.

- Ale i tak muszę stąd odejść, a z rozmaitych powodów wolę, żeby to było raczej szybciej niż później. - Poprawił wiszący na ramieniu plecak. - Powinienem odszukać Victora i Ishaq.

Nicci przestała się sprzeciwiać.

- Odszukałam ich po tym ataku. Obaj są w stajniach. Ishaq ma konie, które chciałeś. Ludzie pomogli mu zebrać dla was prowiant. - Położyła mu dłoń na ramieniu. - Są tam też krewni zabitych ludzi Victora. Chcą się z tobą spotkać.

Richard skinął głową, głęboko westchnął.

- Mam nadzieję, że zdołam ich choć trochę pocieszyć. To świeża, bolesna strata. - Przelotnie ścisnął ramię Cary. - Mnie tego oszczędzono.

Poprawił wiszący na ramieniu łuk i odszedł. Prawie natychmiast zniknął w mroku.

ROZDZIAŁ 21

Kiedy idąca za Richardem Cara już miała ją wyminąć, Nicci chwyciła Mord-Sith za ramię i przytrzymała; chciała z nią porozmawiać w cztery oczy.

- Jak się czujesz, Caro? Ale szczerze? Cara spokojnie spojrzała jej w oczy.

- Jestem zmęczona, ale poza tym wszystko w porządku. Lord Rahl wszystko naprawił.

Czarodziejka z zadowoleniem skinęła głową.

- Czy mogę ci zadać osobiste pytanie, Caro?

- O ile nie będę musiała obiecać, że odpowiem.

- Czy masz kogoś, na kim ci ogromnie zależy? Czy ten ktoś nazywa się Benjamin Meiffert?

Nawet w tak słabym świetle Nicci dostrzegła, że twarz Cary dorównała czerwieni jej skórzanemu uniformowi.

- Kto ci to powiedział?

- Czyli jest to sekret i nikt o tym nie wie?

- Nnno... niezupełnie - zająknęła się Cara. - Chcesz mnie skłonić do powiedzenia czegoś, czego nie miałam zamiaru mówić.

- Nie zamierzam cię skłaniać do wyznania czegokolwiek, a już zwłaszcza czegoś, co nie jest prawdą. Po prostu pytałam o Benjamina Meifferta.

Cara się nachmurzyła.

- Kto ci o tym powiedział?

- Richard. - Nicci uniosła brew. - To prawda?

Cara mocno zacisnęła usta. W końcu odwróciła wzrok od Nicci i gniewnie zapatrzyła się w noc.

- Tak.

- Czyli powiedziałaś Richardowi, jak bardzo zależy ci na tym wojaku?

- Zwariowałaś?! Nigdy bym czegoś takiego lordowi Rahlowi nie wyznała.

Gdzie mógł o tym usłyszeć?

Nicci przez chwilę wpatrywała się w Mord-Sith, słuchając godowej pieśni cykad.

- Richard twierdzi, że Kahlan mu o tym powiedziała.

Cara stała z otwartymi ustami. W końcu przycisnęła palce do czoła, starając się zebrać myśli.

- To już zupełne wariactwo... Ja... sama musiałam mu o tym powiedzieć. Pewnie zwyczajnie zapomniałam, że mu mówiłam. O tylu sprawach rozmawiamy. Trudno spamiętać wszystko, o czym mu mówiłam... ale jak już o tym wspomniałaś, to chyba sobie przypominam, że opowiedziałam mu o tym pewnego wieczoru, kiedy gadaliśmy o takich sentymentalnych sprawach. Pewnie wtedy musiałam mu opowiedzieć o Benjaminie Meiffercie. I pewnie zepchnęłam tak osobistą rozmowę na samo dno pamięci. A on nie. Muszę się nauczyć trzymać buzię na kłódkę.

- Nie musisz się bać niczego, co powiesz Richardowi. Nie masz na świecie lepszego przyjaciela. I nie musisz się niepokoić, że ja o tym wiem. Powiedział mi o tym, kiedy się tak ogromnie o ciebie martwił, bo chciał, żebym wiedziała, że nie jesteś jedynie Mord-Sith, że masz własne życie i pragnienia, że zaczęłaś cenić i szanować porządnego człowieka. To był wyraz szacunku i poważania, jakimi cię darzy. Zachowam tę wiadomość dla siebie. Nikomu nie zdradzę twojej tajemnicy, Caro.

Cara machinalnie skubała koniuszek warkocza.

- Nigdy tego tak nie traktowałam... to znaczy, że mówiąc ci, dawał do zrozumienia, że mnie poważa i szanuje. To... miłe.

- Miłość to dzielone z inną osobą umiłowanie życia. Zakochujesz się w tym, kogo uważasz za najwspanialszego. A twoje najgłębsze uznanie wartości samej siebie i owej osoby odzwierciedla to, co najbardziej cenisz w życiu. Miłość może być najwspanialszym darem. Nie powinnaś się wstydzić czy czuć zażenowana tym, że kochasz. To znaczy, jeżeli naprawdę kochasz Benjamina.

Cara przez chwilę rozmyślała nad jej słowami.

- Nie wstydzę się tego: jestem Mord-Sith. - Już nie była taka spięta. - Ale nie wiem, czy go kocham. Nie jestem do końca pewna, co właściwie o tym myślę. Wiem, że bardzo mi na nim zależy. Ale nie jestem pewna, czy to miłość. Może to tylko pierwszy krok na drodze do pokochania. Trochę trudno mi o tym rozmawiać. Nie jestem przyzwyczajona do tego, że liczy się to, co myślę lub czuję.

Nicci skinęła głową i powoli ruszyła w mrok.

- I ja przez sporą część życia nie rozumiałam, co to miłość. Jagang czasem myślał, że jest we mnie zakochany.

- Jagang? Naprawdę? Jest w tobie zakochany?

- Nie, tak naprawdę mnie nie kocha. Po prostu myśli, że kocha. Nawet wtedy wiedziałam, że to nie miłość, chociaż nie pojmowałam dlaczego. System wartości Jaganga obejmuje to, co się rozciąga od nienawiści do żądz. Pogardza wszystkim, co w życiu dobre, i kała to, więc zapewne nie potrafi też doświadczyć prawdziwej miłości. Potrafi jedynie ją wyczuć jako coś tajemniczego i wspaniałego, znajdującego się poza jego zasięgiem, i pragnie nią zawładnąć. Wyobraził sobie, że zdoła doświadczyć miłości, łapiąc mnie za włosy i niewołąc. A przyjemność gapienia się uznał za miłość. Uważał, że powinnam być wdzięczna, iż żywi do mnie tak namiętne uczucie, że mnie pożąda ponad wszystko inne. A skoro branie mnie siłą uważał za wyraz swojej miłości, myślał, że powinnam uważać to za zaszczyt.

- Polubiłby Rahla Poępnego - mruknęła Cara. - Wspaniale by się rozumieli. - Nagle ze zdumieniem popatrzyła na Nicci. - Jesteś czarodziejką. Czemu swoją mocą nie spaliłaś sukinsyna na popiół?

Nicci westchnęła głęboko. Jakżeż mogła w paru słowach wyjaśnić trwającą całe życie indoktrynację?

- Każdego dnia żałuję, że nie zabiłam tego niegodziwca, ale tak jak on dorastałam na naukach Bractwa Ładu, więc wierzyłam, że samopoświęcenie to nadrzędna wartość. W myśl ich zasad masz obowiązki wobec tych, którzy są w potrzebie. Narzuca się te zasady w imię wspólnego dobra, w imię poprawy rodzaju ludzkiego, w imię posłuszeństwa wobec Stwórcy. Według Ładu powinniśmy być oddani nie tym, których uważamy za najlepszych z ludzi, ale tym, którzy są według nas najgorsi: nie dlatego, że sobie na to zasłużyli, lecz właśnie dlatego, że na to nie zasługują. Ład głosi, że na tym polega prawdziwa cnota i że jedynie w ten sposób zasłużymy na trwanie w blasku Stwórcy na tamtym świecie. To samopoświęcenie prawych w służbie niegodnym. Nigdy się nie mówi, czym to w istocie jest: jawną zachłannością tego, co niezasłużone. Ziemskie potrzeby Jaganga wiążą się z jego przyrodzeniem. Miałam to, czego pragnął, więc powinnam z poświęceniem zaspokajać jego potrzeby. Zwłaszcza że jest wodzem niosącym moralne zasady Ładu wszystkim grzesznikom świata. Kiedy mnie bił prawie do utraty przytomności, a potem rzucał na łożo, żeby się po swojemu zabawić, robiłam to, co według wpojonych mi nauk było nie tylko słuszne, ale było też moim moralnym obowiązkiem. Uważałam, że jestem zła, skoro tego nie cierpię. A skoro uważałam, że jestem zła, bo dbam o własne doznania, to

sądziłam, że zasługuję na cały ból, jakiego zaznam na tym świecie, i wieczną udękę na tamtym. Nie potrafiłam zabić człowieka, który zgodnie z wpojonymi mi naukami Bractwa Ładu moralnie górował nade mną za przyczyną swoich potrzeb. Jakże mogłabym skrzywdzić kogoś, komu nauczono mnie służyć? Jak mogłabym się sprzeciwiać wyrządzanej mi krzywdzie, skoro sobie na nią zasłużyłam? I czemu miałabym się sprzeciwiać? Sprawiedliwości? To nieustanna, przygnębiająca pułapka nauk o twoich powinnościach wobec większego dobra.

Kobiety szły w milczeniu. Nicci opanowały upiorne wspomnienia.

- Co cię zmieniło? - spytała na koniec Cara.

- Richard - powiedziała cicho Nicci. Ucieszyła się, że jest ciemno; pomimo łez dumnie uniosła głowę. - Nauki Imperialnego Ładu można jedynie narzucić siłą. Richard mi pokazał, że nikt nie ma prawa do mojego życia, ani do całości, ani do jednej chwili. Udowodnił mi, że moje życie zależy wyłącznie ode mnie, że to ja o nim decyduję, a nie inni.

Cara patrzyła na nią z pełnym zrozumienia współczuciem.

- Miałaś wiele wspólnego z Mord-Sith z czasów władzy Rahla Posępnego. W D'Harze było niegdyś tak mroczno, jak teraz jest pod rządami Imperialnego Ładu. Richard nie tylko zabił Rahla Posępnego, ale i uwolnił D'Harę od takich wypaczonych poglądów. Dał nam to samo, co tobie: oddał nam nasze życie. Lord Rani potrafi nas zrozumieć, bo jego też tak traktowano.

Nicci nie była pewna, o co chodzi Carze.

- Tak samo?

- Był kiedyś więźniem Mord-Sith. Nazywała się Denna. W owym czasie miałyśmy obowiązek zadrećzać na śmierć wrogów Rahla Posępnego. Denna była najlepsza z najlepszych. Rahl Posępny osobiście ją wybrał, żeby pojmała Richarda i zajmowała się jego tresurą. Już od jakiegoś czasu Rahl Posępny ścigał Richarda, bo on wiedział coś ważnego o szkatułach Ordenu. Rahl Posępny chciał zdobyć te informacje, a Denna miała tak umęczyć Richarda, żeby był gotowy odpowiedzieć na każde pytanie Rahla Posępnego.

Nicci spojrzała na nią - w oczach Cary lśniły łzy. Zatrzymała się, uniosła Agiel i obracała go w palcach, przyglądając się mu. Nicci wiedziała wszystko o Dennie i o tym, co uczyniła ona Richardowi, ale uznała, że teraz lepiej milczeć i słuchać. Czasem ludzie muszą o czymś opowiedzieć dla własnego

dobra, a nie dla pożytku innych. Pomyślała, że pewnie nadszedł taki czas dla Cary, dopiero co tak bliskiej śmierci.

- Byłam tam - wyszeptała wpatrzona w Agiel Cara. - On tego nie pamięta, bo Denna go torturowała, aż majaczył i był tylko na poły przytomny. Ale ja widziałam go tam, w Pałacu Ludu, widziałam trochę tego, co mu zrobiła... co my wszystkie zrobiłyśmy.

Nicci wstrzymała oddech. Ostrożnie obejrzała się na Carę.

- Co wszystkie mu zrobiłyście? O czym ty mówisz?

- Mord-Sith miały zwyczaj przekazywania sobie więźniów. Żeby trudniej było im się przyzwyczaić do tortur zadawanych przez konkretną osobę. Utrzymywało to ich w niepewności i strachu. Strach to nieodłączna część tortur. Tego Mord-Sith uczy się od początku: że strach i nieznanie tylko wzmagają ból. Denna przez większość czasu pozwalała Mord-Sith o imieniu Konstancja uczestniczyć w tresurze Richarda, ale niekiedy chciała skorzystać i z usług innych, a nie tylko tamtej. - Cara stała nieruchomo jak posąg, wpatrzona w Agiel. - To było wkrótce po tym, jak się zjawił w Pałacu Ludu. Richard tego nie pamięta. Wątpię, by wtedy wiedział choć, jak się nazywa, bo Denna tak go dręczyła, że stale był w delirium, jak oszalały... ale spędził też dzień ze mną.

O tym Nicci nie wiedziała. Stała nieruchomo, jak skamieniała, bała się odezwać. Nie miała pojęcia, co by mogła rzec.

- Denna wzięła sobie Richarda na kochasia - powiedziała Cara. - Nie sądzę, żeby lepiej rozumiała miłość niż Jagang czy Rahl Posępny, ale w końcu szczerze i głęboko Richarda pokochała. Obserwowałam, jak to w niej narasta, jak ona się zmienia. Tak jak mówiłaś, zaczęła go cenić i szanować jako osobę. Obdarzyła go prawdziwym uczuciem. Tak bardzo go kochała, że pozwoliła mu się zabić, żeby mógł uciec. Ale wcześniej, kiedy ciągle go torturowała, wiele razy widziałam, jak wisi bezbronny i bezsilny, okrwawiony, błagając o śmierć. - Łza spłynęła po jej policzku. - Drogie duchy, ja też go zmusiłam, żeby błagał o śmierć.

Cara uświadomiła sobie nagle, co powiedziała. W jej oczach pojawiła się panika.

- Nic mu nie mów, błagam. To było tak dawno temu. Teraz to już skończone i wszystko się zmieniło. Nie chcę, żeby wiedział... że mu coś takiego zrobiłam. - Płakała. - Błagam...

Nicci ujęła dłoń Cary.

- Jasne, że mu o tym nie powiem. Najlepiej ze wszystkich rozumiem, co czujesz. Ja także kiedyś okropnie z nim postępowałam, i to o wiele dłużej niż ktokolwiek inny. I, jak powiedziałaś, to już skończone. - Westchnęła głęboko.
- Chyba wszyscy troje niewiele wiemy, czym miłość jest, a czym nie.

Cara skinęła głową. Nie tylko odczuła ulgę, ale i doceniała to, że Nicci ją rozumiała.

- Lepiej dokończmy lorda Rahla. Nicci wskazała ku stajniom.

- Richard rozmawia z krewnymi zabitych ludzi Victora. - Stuknęła się w czoło. - Mój dar pozwala mi go słyszeć. - Delikatnie starła łzę z policzka Cary.
- Mamy czas, żeby się pozbierać, zanim tam pójdziemy.

Kiedy powoli szły ku stajniom, Cara powiedziała:

- Nicci, czy mogę ci powiedzieć coś... osobistego? Noc samych niespodzianek - oto i kolejna.

- Oczywiście.

- Hmm - mruknęła Cara, w skupieniu dobierając słowa. - Kiedy lord Rahl przyszedł, żeby mnie uzdrowić, to był tuż przy mnie.

- To znaczy?

- Leżał tam ze mną, w łóżku, obejmował mnie. No wiesz, chronił mnie i ogrzewał. - Rozmasowała ramiona, jakby jej się zrobiło zimno na samo wspomnienie tego wszystkiego. - Tak okropnie marzłam. - Zerknęła na Nicci. - I coś mi się zdaje, że i ja go wtedy obejmowałam. Nicci uniosła brew.

- Rozumiem.

- A kiedy we mnie wniknął, czułam to i tamto, i na pewno cię zabiję, jak mu o tym powiesz. Przysięgam, że zabiję.

Nicci uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

- Nam obu ogromnie na nim zależy. Uważam, że mówisz mi to wszystko, bo bardzo się o niego troszczysz.

- No właśnie. - Cara znów rozmasowała ramiona i podjęła: - Kiedy się zjawił, żeby... żeby mnie stamtąd zabrać, miałam uczucie, że jest we mnie, to znaczy w mojej głowie. To była bliskość nie mająca sobie równych. Lord Rahl już mnie kiedyś uleczył, kiedy byłam poważnie ranna, ale tym razem to było coś zupełnie innego. To znaczy trochę było tak samo, niektóre uczucia były takie same, na przykład szczerze oddanie i przyjaźń, jakie do niego żywię, ale mimo wszystko to było odmienne, naprawdę zupełnie inne. Tamtym razem

uzdrawiał ranę fizyczną. - Nachyliła się ku Nicci, chcąc, żeby ta jak najlepiej zrozumiała. - Tym razem było w tym coś więcej. Tym razem dotknięcie zła było w moim wnętrzu i zatruwało mnie, zatruwało moje istnienie, moją chęć życia. - Wyprostowała się, zirytowana, że nie potrafi tego lepiej wytłumaczyć.

- Pojmuję, o jakiej różnicy mówisz - uspokoiła ją czarodziejka. - Tym razem kontakt pomiędzy wami był bardziej osobisty.

Cara potwierdziła skinieniem głowy, zadowolona, że Nicci rozumie.

- Tak, racja, to było bardziej osobiste. O wiele bardziej osobiste - dodała cicho. - Jakby moja dusza nie miała dla niego tajemnic. Jakby... no, nieważne. - Mord-Sith umilkła.

Nicci zastanawiała się, czy Cara powiedziała już wszystko, co chciała powiedzieć, i na tym poprzestanie, lecz ona znów się odezwała:

- Rzecz w tym, że tak się troszczył o mnie, o to, co myślę, i w ogóle. Nikt nigdy...

Znów zamilkła, nie mogąc znaleźć słów, by wyrazić to, co chciała przekazać.

- Rozumiem, Caro - zapewniła ją Nicci. - Naprawdę. Uzdrawiałam ludzi, więc wiem, czego doświadczyłaś, choć może nie do końca. Nigdy nie udało mi się dokonać tego, co Richard w tym przypadku zrobił dla ciebie, lecz doświadczałam mniej więcej tego samego, kiedy uzdrawiałam ludzi, a zwłaszcza Richarda.

- Miło słyszeć, że wiesz, o czym mówię. - Cara niedbale kopnęła jakiś kamień. - Nie wiem, czy lord Rahl jest tego świadomy, ale kiedy tak byliśmy razem, to nie tylko on... mnie doświadczył, że tak powiem, nie tylko on poznał moje uczucia i myśli. Ja też doświadczyłam jego. Nie powinnam tego mówić - mruknęła do siebie i machnęła ręką. - Zapomnij, że cokolwiek powiedziałam.

Nicci nie bardzo wiedziała, do czego ona zmierza.

- Caro, nic nie mów, skoro to cię krępuje. Dobrze wiesz, ile Richard dla mnie znaczy, ale skoro uważasz, że nie powinnaś nic mówić, że wykraczasz poza granice tego, co was łączy, to może powinnaś zaufać swojemu instynktowi.

- Może i masz rację - westchnęła Cara.

Nicci jeszcze nigdy nie widziała jej tak wytrąconej z równowagi. Przecież

zawsze była taka pewna siebie, taka opanowana. Nigdy nie miała wątpliwości, jak ma w danych okolicznościach postąpić. Nicci nie zawsze wtedy uważała, że Cara ma rację - i wiedziała, że Richard też nie - lecz niezmiennie można było polegać na tym, że Cara zawsze zrobi to, co najlepsze dla Richarda, bez względu na to, na jakie niebezpieczeństwo sama się wystawi albo jak go rozgniewa. Jeżeli uważała, że w ten, a nie inny sposób powinna go chronić, to spokojnie robiła swoje, nie dbając o konsekwencje dla siebie, w tym i jego dezaprobatę.

Kiedy tak szły pogrążoną w mroku uliczką, Nicci dzięki swojemu darowi słyszała cicho rozmawiających w oddali ludzi. Nie starała się dosłyszeć słów, jedynie szacowała ogólny ton rozmowy. To byli zebrani w stajniach mężczyźni i kobiety. Odróżniała głos Richarda - przemawiał do nich łagodnie, odpowiadał na pytania. Słyszała, jak płaczą.

U węgła gospody, gdzie po skręcie w prawo o kilka domów były stajnie, Cara nagle chwyciła Nicci za ramię i zatrzymała; jeszcze krył je głęboki mrok.

- Posłuchaj, obie zaczęłyśmy od tego, że byłyśmy zdecydowane zabić lorda Rahla.

Zbita z tropu Nicci uznała, że nie czas na dzielenie włosów na czworo.

- Chyba tak.

- I pewnie dlatego obie patrzymy na niego inaczej niż pozostali. Myślę, że kiedy zaczniesz od tego, że chcesz kogoś skrzywdzić, a ten ktoś wykazuje ci, jak bardzo się mylisz i ile tak na prawdę znaczy twoje życie, to... to potem taki ktoś jeszcze więcej dla ciebie znaczy.

- Muszę ci przyznać rację.

Cara wskazała miejsce, z którego przyszły - popałacowe tereny będące teraz placem Wolności.

- W tamtych dniach, kiedy się zaczęła rewolta i kiedy lord Rahl był ranny i bliski śmierci, ludzie nie chcieli, żebyś go próbowała uleczyć. Bali się, że jeszcze bardziej go skrzywdzisz. To ja im powiedziałam, żeby ci zaufali. Rozumiałam, że się zmieniałś, bo sama przeżyłam coś podobnego. Ja jedna wiedziałam, co do niego czujesz. Powiedziałam im, żeby pozwolili ci działać. Bali się, że wykorzystasz okazję i go zabijesz. Wiedziałam, że tego nie zrobisz. Wiedziałam, że go ocalisz.

- Masz rację, Caro. Obu nam ogromnie na nim zależy, dla nas obu on

wiele znaczy. I łączy nas z nim szczególna więź.

- Tak, właśnie tak. Szczególna więź. Odmienna niż w przypadku innych ludzi.

Nicci, nie pojmując, do czego zmierza Cara, rozłożyła ręce.

- Pragniesz mi coś powiedzieć? Cara spuściła wzrok i kiwnęła głową.

- Kiedy lord Rahl i ja dzieliliśmy tę bliskość, czułam jego emocje. Jest w nim ogromna, paląca samotność. Pewnie ta cała sprawa z Kahlan ma na to wpływ.

Nicci głęboko wciągnęła powietrze i powolutku je wydychała, rozmyślając, co dokładnie Cara w nim wyczuła.

- Przypuszczam, że po części tak. Cara odkaszlnęła.

- Nicci, kiedy tak trzymasz mężczyznę w ramionach i jesteście... hmm, tak sobie bliscy, to zaczynasz naprawdę rozumieć, co on w sobie kryje.

Nicci nie zdradzała swoich uczuć.

- Nie wątpię, że masz rację, Caro.

- To znaczy... że już zawsze chciałabym go tak tulić, pocieszać, sprawiać, żeby się nie czuł taki samotny.

Nicci zerknęła z ukosa na Mord-Sith. Cara zaciskała usta i uporczywie wpatrywała się w ziemię. Czarodziejka w milczeniu czekała, co jeszcze powie.

- Ale nie uważam, że to ja powinnam coś takiego zrobić dla lorda Rahla.

- Chcesz powiedzieć, iż nie sądzisz, byś była kobietą, która może ukoić... jego samotność? - sprecyzowała ostrożnie Nicci.

- Właśnie.

- Benjamin?

Cara wzruszyła ramionami.

- Po części. - Podniosła głowę i spojrzała Nicci w oczy. - Kocham lorda Rahla. Oddałabym za niego życie. Przyznaję też, że kiedy tak leżałam i tuliłam go, to... to czułam, że może mogłabym być nie tylko jego strażniczką i przyjaciółką. I kiedy tak leżałam i go tuliłam, wyobrażałam sobie, jak by to było być jego... - Ucichła. Nicci przełknęła ślinę.

- Rozumiem.

- Ale jakoś nie sądzę, że jestem właściwą osobą. Nie wiem dlaczego. Nie znam się na sercowych sprawach, ale nie uważam, że to mnie potrzebuje. Nie myślę, że mogłoby chodzić o mnie. Gdyby tego ode mnie chciał, tobym

się ani chwili nie wahała... ale nie dlatego, że sama tego pragnę. Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Rozumiem, że zrobiłabyś to, bo go szanujesz i wiele dla ciebie znaczy, a nie dlatego, że chciałabyś zostać jego kochanką.

- No właśnie. - Cara westchnęła z ulgą, najwyraźniej zadowolona, że ktoś inny powiedział to głośno. - Poza tym wcale nie uważam, że lord Rahl czuje do mnie coś takiego. Kiedy się trzymaliśmy w objęciach, wyczuwałam jego emocje i na pewno bym wiedziała, gdyby w ten sposób o mnie myślał... ale nie myślał. Kocha mnie, to wiem, lecz nie w ten sposób.

Nicci wreszcie zdołała wypchnąć powietrze z płuc.

- Więc... właśnie to mi chciałaś powiedzieć? Że według ciebie jego osamotnienie jest źródłem fantazji o owej kobiecie?

Cara przytaknęła.

- Tak... i jeszcze coś.

Nicci spojrzała w głąb uliczki, na idących ku stajni ludzi.

- Co jeszcze?

- Myślę, że to mogłabyś być ty.

Nicci poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła. Wpatrywała się w Carę.

- Co?!

- Uważam, że nadawałabyś się dla lorda Rahla. - Uniosła rękę, tłumiąc ewentualne sprzeciwy. - Nic nie mów. Nie chcę, żebyś powiedziała, że oszalałam. Więc teraz nic nie mów. Przemyśl to sobie. Wkrótce wyruszamy i trochę czasu upłynie, zanim się znowu zobaczymy, więc będziesz mogła spokojnie to przemyśleć. Nie proszę, żebyś się dla niego poświęciła, ani o nic równie głupiego. Po prostu mówię, iż uważam, że lord Rahl kogoś potrzebuje i że tą kobietą mogłabyś być ty, oczywiście o ile nie masz nic przeciwko temu. Bo to nie ja jestem mu potrzebna. Jestem Mord-Sith, a lord Rahl jest czarodziejem. Drogie duchy, nie cierpię magii, a on ma moc. Po prostu w ogóle do siebie nie pasujemy, za to ty masz z nim wiele wspólnego. Jesteś czarodziejką. Któż go lepiej zrozumie niż ty? Kto mu lepiej od ciebie w życiu pomoże? Pamiętam tamtą noc w szałasie, kiedy rozprawialiście o kreatywnych wymiarach magii- Połowy z tego nie rozumiałam, ale uderzyło mnie, jak swobodnie ze sobą rozmawiacie i jak dobrze się rozumiecie. Pamiętam, że pomyślałam, że świetnie do siebie pasujecie. I jeszcze pamiętam, że kiedy leżeliśmy blisko siebie, żeby się wzajemnie ogrzać,

myślałam sobie, jak dobrze przy nim wyglądasz... jak na swoim miejscu. Jak kobieta, która powinna być tuż obok tego, na kim jej naprawdę zależy. Przypominam też sobie, że właściwie spodziewałam się, że cię pocałuje. To by było zupełnie naturalne. Nicci nie potrafiła uspokoić szybko bijącego serca.

- Caro, ja... - Zabrakło jej słów.

Cara skubnęła warstewkę farby oblażącej z narożnej deski gospody.

- Poza tym nigdy nie widziałam piękniejszej od ciebie kobiety. Lord Rahl powinien mieć żonę, która mu dorównuje, a uważam, że nikt lepiej od ciebie nie nadaje się na jego żonę.

- Żonę...?!

- Nie rozumiesz, że to najlogiczniejsze? To by wypełniło pustkę, którą w nim wyczułam. Dałoby mu radość i szczęście, pozwoliło zapomnieć o niedoli. Miałby z kim dzielić swój dar i związki z magią. Nie byłby osamotniony. Przemyśl to sobie.

- Ale Richard mnie nie kocha, Caro.

Cara długo i uporczywie się jej przyglądała. Nicci przypomniała sobie, że Richard kiedyś jej mówił, jak paraliżuje takie badawcze spojrzenie Mord-Sith, która patrzy ci w oczy. Naprawdę w nie patrzy. Teraz rozumiała, o co mu chodziło.

- Może teraz nie kocha, ale jak się znowu do nas przyłączysz, I mogłabyś mu dać do zrozumienia, że nie masz nic przeciwko czemuś takiemu. To znaczy, jeżeli sama tego chcesz, jeżeli ci to nie przeszkadza. Czasem trzeba ludziom uświadomić, że powinni się nad czymś poważnie zastanowić. Dlatego uznałam, że muszę o tym z tobą pogadać. Może gdy się dowie, że nie masz nic przeciwko temu, to się tym zainteresuje i zacznie na ciebie w ten sposób patrzeć. Przecież zakochani muszą się w pewnym momencie zakochać. Nie rodzą się z miłością do tej, a nie innej osoby. Może powinnaś mu pomóc osiągnąć punkt, w którym zacznie o tobie w ten sposób myśleć, może on uważa, że taka piękna, inteligentna kobieta jak ty wcale się nim nie interesuje. Mężczyźni są czasami tacy nieśmiali wobec kobiet, które uważają za niezwykle piękne.

- Caro, nie sądzę, żeby on...

Mord-Sith pochyliła się ku niej konfidencjonalnie.

- A może on uważa, że nigdy się nim nie zainteresujesz, i dlatego sobie

wymyślił tę kobietę?

Nicci oblizwała wargi.

- Lepiej chodźmy już do stajni, bo jeszcze odjedzie bez ciebie. Bardzo się pali do tej podróży.

Cara uśmiechnęła się do niej.

- Masz rację. Słuchaj, Nicci, jeżeli chcesz, to zapomnij o tym, co mówiłam. Widzę, że wprawiłam cię w zakłopotanie. I sama też niewyraźnie się czuję, że to wszystko powiedziałam.

- No to czemu to zrobiłaś?

Cara zapatrzyła się smutno przed siebie.

- Pewnie dlatego, że go tuliłam i czułam, jaki jest samotny. To mi złamało serce. - Znów patrzyła na Nicci. - A Mord-Sith serce tak łatwo i często nie pęka.

Nicci o mało nie powiedziała, że czarodziejkom też.

ROZDZIAŁ 22

Latarnie zawieszane na solidnych słupach zalewały stajnię ciepłym blaskiem. Mocny zapach świeżego siana unosił się w szerokim przejściu przed boksami. Mężczyźni i kobiety, niektórzy z dziećmi, wypełniali całe przejście, a nawet niektóre puste boksy, a teraz, kiedy Richard już porozmawiał z krewnymi zabitych, wielu się z nim pożegnało, życząc mu bezpiecznej podróży, i ruszyło do swoich domów.

Do świtu ciągle jeszcze pozostawało parę godzin. Mimo to zebrali się tu nie tylko krewni zabitych, ale i sporo ludzi, którzy przyszli zapytać o nieuchronnie zbliżającą się walkę o ich miasto. Ze strychu przyglądali się temu inni, siedzący na belach siana; wielu z nich zaczęło schodzić po drabinach. Richard uważał, że wrócić do łóżek, żeby się choć trochę przespać. Wiedział, że nie będą spać spokojnie, nękani myślami o idących ku miastu żołnierzach.

Stojący w pobliżu Victor miał posępną minę. Niedawno opowiadał o męstwie swoich ludzi i o tym, jak mu będzie brakowało każdego z nich.

Wielu nie kryło łez, słuchając tej przemowy. Richard wiedział, że nic nie ukoi ich smutku, choć wyglądało na to, że są wdzięczni za te słowa. Dołożył starań, żeby wiedzieli, jak bardzo cenił zabitych i jak wysoko oceniał ich męstwo. Mógł jedynie szczerze współczuć rodzinom żołnierzy z powodu straty, jaką poniosły.

Richard kątem oka dostrzegł Nicci i Carę, które pojawiły się we wrotach stajni. Musiały się przeciskać pomiędzy wychodzącymi. Zastanawiał się przedtem, gdzie się podziały, ale tyle osób chciało z nim porozmawiać, że nie mógł pójść i sprawdzić.

Uznał, że albo chciały mu dać czas na rozmowy z tymi ludźmi, albo Cara chciała się rozejrzeć i sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Ucieszył się na ich widok.

- Czyli uważasz, że ta bestia, która się przebiła przez ściany gospody Ishaqa, właśnie ciebie ścigała? - zapytał starszy człowiek o imieniu Henden, zatrzymując się przy Richardzie. Oparł się łokciem o barierkę, w drugiej ręce trzymał fajkę z długim cybuchem.

Twarz miał pociągłą i pomarszczoną. Ponieważ był stary, spokojny i

rozważny, to wcześniej nie przepchnął się do Richarda. Henden pyknął z fajki i drugim kącikiem ust wypuścił obłoczek wonnego dymu. Czekał na odpowiedź chłopaka.

- Jak już mówiłem, wszystko na to wskazuje, więc pewnie tak było. Stwórz najwyraźniej poluje na mnie, zatem najlepiej będzie, jeśli odejdę i nie będę was narażał na niebezpieczeństwo, że się znowu pojawi w mieście i zaatakuje mieszkańców.

Henden wyjął fajkę z ust, kiwnął cybuchem ku Richardowi.

- Chcesz powiedzieć, że ludzie Victora zginęli, boś był w pobliżu?

Podszedł do nich Victor.

- Słuchaj no, Henden, to nie wina lorda Rahla, że źli ludzie próbują go zabić. Ci sami chcą się tu dostać i nas też pozabijać, czy bestia się zjawi czy nie. Czy należałoby cię oskarżać, gdyby żołnierze Jaganga, którzy idą cię zabić, po drodze zranili lorda Rahla? Moi ludzie walczyli z Imperialnym Ładem, kiedy ich uśmierciło coś straszliwego. Coś złego nasłanego przez Ład. Walczyli o świat dla siebie i swoich rodzin, świat, w którym mogliby bezpiecznie i szczęśliwie żyć. Woleli walkę od życia w niewoli.

Henden przez chwilę ssał cybuch fajki, spokojnie przyglądając się Victorowi.

- Tyłkom pytał. Myślę, że dobrze wiedzieć, na czym stoimy i co nas czeka.

Richard zobaczył, że sporo mężczyzn i kobiet kiwa głowami.

- Masz rację, to rozważne - odparł, zanim Victor zdążył się bardziej rozindyczyć. - Nie mam pretensji do człowieka, który zadaje pytania, zwłaszcza kiedy w grę wchodzi czyjeś życie. Ale i Victor ma słuszość. Jagang zamierza nas wszystkich wybić, więc jak już wam mówiłem, trzeba powstrzymać Ład, bo inaczej nikt z nas nie zazna spokoju.

Richard widział, jak Nicci swobodnie przemyka się przez tłum odchodzących. Rozpuszczone blond włosy spływały na ramiona okryte czarną suknią. A suknia ze sznurowanym gorsetem podkreślała jej kształtną postać. Jednak to jej władcza postawa sprawiała, że wyglądała na tle tłumu niczym królowa. Cara, w czerwonym skórzanym uniformie, mogłaby być królewską eskortą. Czuł się trochę nieswojo, bo obie tak na niego patrzyły, jakby nie widziały go z miesiąc.

Henden nieoczekiwanie klepnął Richarda w łopatkę, wyrywając go z zadumy. Nie wypuszczając fajki z ust, powiedział:

- Bezpiecznej podróży, lordzie Rahlu. Dzięki za wszystko, coś dla nas zrobił. Będziemy czekać na twój powrót do Altur'Rang.

- Dziękuję - odparł Richard, uśmiechając się do niego.

Henden wmieszał się w tłum wychodzących. Pograżeni w rozmowie ludzie mijali boksy i wychodzili ze stajni. Richard był zadowolony, że rozumieją, co oznacza i ile jest warta ich wolność, i że zamierzają jej bronić. Stojący w pobliżu Ishaq pomachał czerwonym kapeluszem do Nicci i Cary, gdy tylko je zobaczył.

- Jesteście! - zawołał. - Wyzdrowiałaś, pani Caro? Richard mówił, że już wszystko w porządku, ale miło to ujrzeć na własne oczy.

Richard pospieszył za Ishakiem, który z promiennym uśmiechem ruszył ku obu kobietom, ucieszony, że je widzi.

- Nic nam nie jest - odparła Cara. - Przykro mi, że twoja gospoda została tak zrujnowana.

Ishaq machnął ręką, jakby nie było się czym martwić.

- To drobnostka. Deski i tynk. Zupełne głupstwo. Ludzi tak łatwo by się nie dało naprawić.

- Słuszne słowa - odparła Cara, patrząc Richardowi w oczy.

Richard wypatrzył Jamilę; stała po drugiej stronie przejścia, zagniewana lekceważeniem szkód przez Ishaqą, ale nic nie powiedziała. Trzymała za rękę małą dziewczynkę, opierała się o ścianę przy wrotach i obserwowała. Dziewuszka miała pyzată buzię i Richard pomyślał, że to pewnie córka Jamili. Mała uśmiechała się do niego tak promiennie, że nie mógł nie odpowiedzieć uśmiechem.

- Powiedziałem, Ishaqu, że możesz sobie potrącić koszt napraw z tego, coś mi winien, i nie cofam słowa.

Ishaq włożył kapelusz.

- Po co się tak trapisz? Mówiłem, że to załatwię.

Zanim Richard zdążył odpowiedzieć, przed stajnią powstało jakieś zamieszanie. We wrotach pojawili się ludzie patrolujący okolicę, ciągnąc dwóch wielkich drabów. Obaj - jeden ze skołtunionymi, brudnymi ciemnymi włosami, drugi krótko ostrzyżony - byli ubrani w brązowe bluzy podobne do tych, jakie nosiło wielu mieszkańców miasta.

Victor nachylił się ku Richardowi i powiedział szeptem:

- Szpiedzy.

Richard nie wątpił w to. Zauważył pod bluzami szerokie pasy, przy których mogła być broń. Nadchodzący żołnierze Imperialnego Ładu z pewnością wysyłali zwiadowców, żeby się zawczasu dowiedzieć, czego się spodziewać. Tych dwóch złapano, więc może uda się z nich wyciągnąć jakieś informacje.

Obaj różnili się wyglądem od mieszkańców miasta, choć bardzo się starali do nich upodobnić. Nie byli nadmiernie wysocy ani zbyt potężnie umięśnieni, jednak ich odzienie było przyciasne na tak krzepkie ciała. Obaj byli opanowani, czujni i pewni siebie. Milczeli, lecz ich oczy były w nieustannym ruchu - obserwowali wszystko, co ich otacza. Wyglądali jak wilki w owczarni.

Kiedy strażnicy wciągnęli obu mężczyzn do stajni, Richard instynktownie sprawdził, czy jego miecz luźno siedzi w pochwie.

Jeden ze strażników się odwrócił, żeby na coś spojrzeć, i wtedy długowłosa więzień z nienacka z całej siły kopnął w piszczel drugiego, trzymającego go z tyłu strażnika. Ten krzyknął z bólu i upadł na ziemię. Więzień gwałtownie uwolnił się od pozostałych trzymających go strażników, odrzucając ich od siebie. Ci, którzy stali w pobliżu, zostali przewróceni na ziemię. Strażnicy doskoczyli do więźnia. Podczas szarpaniny kilku z nich upadło pokrwawionych, a któryś przeleciał za barierkę.

Panujący dotąd spokój w jednej chwili przerodził się w panikę. Kobiety krzyczały. Niektóre dzieciaki wrzeszczały, inne zaczęły lamentować. Mężczyźni pohukiwali, a strażnicy wykrzykiwali polecenia.

Szpieg, który zdołał się uwolnić - mimo ciasnoty i przewagi liczebnej przeciwnika - skoczył nagle z rykiem i złapał za włosy dziewczuszkę Jamili.

W zamieszaniu udało mu się odebrać komuś nóż i teraz przyciskał ostrze do szyi małej. Dziecko piszczalo z przerażenia. Jamila skoczyła ku niej, ale tylko zarobiła kopniaka w głowę. Odrzuciło ją w bok. Jeden z leżących na ziemi strażników też dostał kopniaka w głowę, kiedy chciał wykorzystać sposobność i podczołgać się bliżej.

Richard już tam szedł, skoncentrowany na zagrożeniu.

- Cofnąć się! - warknął drab do stłoczonych w pobliżu ludzi. Potrząsnął głową, odrzucając z twarzy tłuste włosy. Jego oczy biegały po ludziach, którzy usiłowali się wycofać. Wciąż jeszcze dyszał z wysiłku po krótkiej szarpaninie. Pot spływał po jego dziobatej twarzy.

- Cofnąć się, bo poderżnę jej gardło!

Dziewczynka, trzymana mięsistą łapą za włosy, znowu wrzasnęła z przerażenia. Mocno przyciskał ją do brzucha. Mała wymachiwała nóżkami, starając się uwolnić.

- Puścić go! - rozkazał trzymającym drugiego więźnia. - Bo inaczej ona umrze! Puszcząć, ale już!

Richarda już ogarnęła furia. Żadnego kompromisu, żadnych negocjacji, żadnego zmiłowania.

Stał bokiem, na lekko ugiętych nogach, prawą stroną do trzymającego dziewczynkę draba, żeby ten nie zobaczył miecza, ale szpieg cały czas patrzył na stojących po lewej strażników, pilnujących jego koleżki. Na Richarda nie zwracał szczególnej uwagi.

Osilek trzymający dziewczynkę nie wiedział o tym, lecz w umyśle Richarda już się dokonało. W umyśle Richarda był on już martwy.

Magiczna furia Miecza Prawdy została uwolniona, zanim chłopak zdążył dotknąć rękojeści. I rozpętała się w nim burza, przydając siły mięśniom i wzmagając chęć dokonania krwawego dzieła. Spokój i opanowanie w jednej chwili zmieniły się w przemożną chęć działania.

Richard niczego tak teraz nie pragnął jak krwi owego draba. Nic go nie powstrzyma. Wszelkie wątpliwości zniknęły. Miecz Prawdy spełniał wolę Poszukiwacza, wyraźnie teraz określoną. A kiedy Richard trzymał dłoń na rękojeści miecza, liczył się jedynie jego zamiar, jego cel - w tej chwili zaś chciał uśmiercić stojącego przed nim człowieka. Jego wzrok zogniskował się na celu. Nic innego nie istniało.

Wystarczyło, żeby szpieg przeciągnął nożem po cienkiej szyjce dziewczynki, i ona umrze. W owej krótkiej chwili życie draba było splecione z życiem małej: jeżeli ona umrze, on straci chroniącą go tarczę. Musiał dokonać wyboru, zdecydować, a potem działać. A to zabierze mu troszeczkę czasu.

Richard zaś już podjął decyzję, był gotów wykonać zadanie. Teraz miał ułamki sekund na zmianę całej sytuacji, na uzyskanie kontroli nad tym, co się stanie. Nie powinien zmarnować tej odrobiny czasu.

Ale i to już nie miało dlań znaczenia.

Teraz, opętany śmiertelnością furią miecza i własną, pragnął krwi tamtego. Nic innego go nie zadowoli ani nie powstrzyma, na nic innego się

nie zgodzi.

Richard odwrócił się plecami do draba i dziewczuszki, udając, że się cofa, jak tamten nakazał. I wiedział, że mężczyzna nie zwróci nań uwagi, bo zbyt wiele rzeczy go rozprasza, bo za większe zagrożenie uważa ludzi za swoimi plecami i po bokach.

Richard mocno zacisnął dłoń na oplecionej drucikami rękojeści miecza, wciągnął powietrze. Świat wokół niego ucichł i znieruchomiał. Zrobił półobrót i zamarł. Poczował, że serce rozpoczyna uderzenie.

Z całą mocą - ludzie tkwili nieruchomo, drab z nożem decydował o życiu dziecka, krzyk dziewczynki wypełniał tę szczelinę w czasie - Richard zadziałał.

Gwałtowny, niepowstrzymany ruch. Miecz wyskoczył z pochwy, gnany własnym gniewem i nieposkromioną wolą Richarda.

Miecz Prawdy wydał jedyny w swoim rodzaju dźwięk i w tej samej chwili Richard wrzasnął z furją. Obracał się ku tamtemu, wkładając w ten bojowy okrzyk całą swoją wściekłość. Ciął ze wszystkich sił, nadając ostrzu taką szybkość, jaką tylko zdołał.

W tym ułamku sekundy Richard skoncentrował wzrok na zeszywniałym ze zdumienia mężczyźnie z nożem. W ową szczelinę w czasie skierował cały swój wysiłek, całą moc, cały gniew, całe zdecydowanie. Owo мгnienie należało wyłącznie do niego i wykorzysta je do osiągnięcia swojego celu.

Widział kropelki potu odrywające się z gwałtownie obróconej ku niemu twarzy tamtego. W lecących w powietrze kropelkach odbijał się żółtopomarańczowy blask latarni. Richard widział odbłask z każdej latarni w każdej kropelce potu, kiedy jego miecz zataczał łuk. Mógł zliczyć pasma tłustych włosów draba unoszących się w powietrzu jak kropelki potu.

Richard wiedział, że obserwują go oczy wszystkich, że oczy małej też są w niego wpatrzone, ale to nie miało znaczenia. Dla niego liczyły się jedynie ciemne oczy tamtego, które wreszcie napotkały jego gniewne spojrzenie.

W tych czarnych oczach Richard dostrzegł zaczątek myśli. Czubek klingi ze świstem przecinał pełne kurzu powietrze. Blask latarni odbijał się w ostrej stali. W oczach draba widział odbicie miecza. Dostrzegł, że tamten wreszcie pojął zagrożenie, podczas gdy miecz niczym bat zbliżał się do celu, który Richard miał przed oczami.

Mężczyzna dokończył myśl, zdecydował się, lecz w owej chwili, jaką mu

to zajęło, lśniące ostrze przebyło większość drogi. I kiedy podejmował decyzję, nagle zdrętwiał, porażony bojowym okrzykiem Richarda.

Strach walczył w nim z wolą i ramię mężczyzny znieruchomiło.

Które ostrze pierwsze zagłębi się w ciało.

Tylko jeden może zwyciężyć.

Richard, wpatrzony w oczy tamtego, zobaczył wreszcie swój miecz; z przerażającą szybkością wtargnął w jego pole widzenia. Ów widok przeppełnił go radością.

Ostrze, gnane straszliwą furją, uderzyło w głowę tamtego na poziomie czarnych oczu - dokładnie tak, jak chciał Richard.

I wtedy nastąpiła kulminacja. Czaszka pękła pod ostrzem, wszystko zalała czerwień. Twardy odgłos ciosu poniósł się grzmiącym echem przez stajnię. Rozpadła się kość. We wszystkie strony poleciały purpurowe krople. Wierzch czaszki, odcięty klingą, uniósł się. Kości, tkanki i krew zaznaczyły na ścianie łuk cięcia.

W owej chwili mężczyzna stracił życie. Furia Richarda była osłoną przed współczuciem i litością. Siła ciosu odrzuciła ramię z nożem od szyi dziecka, jeszcze zanim miecz dokonał dzieła. Ciało mężczyzny zaczęło się osuwać na ziemię. Postanowił zabić dziewczynkę, ale jego nóż nie zdążył dotrzeć do celu.

Richard zdążył osiągnąć cel. Czuł, jak jego serce kończy uderzenie zaczęte, kiedy skoczył w wąziutką szczelinę czasu.

Ciało mężczyzny osuwało się coraz szybciej i wreszcie ciężko uderzyło o ziemię, wzbijając obłoczek kurzu. Górna część jego czaszki z głuchym stukiem upadła tuż za otwartymi wrotami i potoczyła się w noc, zostawiając krwawy ślad.

Richard słyszał, jak wstrząśnięci ludzie dławią się oddechem. Niektórzy krzyczeli.

Dziewuszka, krzycząc z przerażenia, rzuciła się w wyciągnięte ramiona matki.

Richard, trzymając miecz w pogotowiu na wypadek kolejnego zagrożenia, napotkał spojrzenie szeroko otwartych oczu drugiego mężczyzny; więzień cały czas tkwił w miejscu, mocno przytrzymywany przez ludzi Victora. Nie próbował się wyrwać ani uciekać.

Z tłumu wypadł Victor, trzymając w gotowości ciężką maczugę. Za

Richardem zjawiała się Cara z Agielem w garści. Nicci zaś gnała przejsciem, wysoko unosząc ramiona.

- Nie! - krzyknęła. - Przestańcie!

Victor znieruchomiał ze zdumienia. Nicci złapała go za nadgarstek uniesionej ręki, jakby się bała, że ubije drugiego więźnia.

- Wstrzymaj się, kowalu!

Zaskoczony Victor opuścił rękę. Nicci przeniosła gniewne spojrzenie na Richarda.

- I ty też, cieślo! Rób, co każę! Słyszysz?! - krzyczała z furją. Richard zamrugał. Cieślo?!

ROZDZIAŁ 23

Richard, jeszcze we władzy gniewu miecza, zdał sobie sprawę, że Nicci ma w tym jakiś cel. Nie wiedział, o co jej chodzi, ale odezwanie się w ten sposób do niego i Victora było zbyt wyraźnym sygnałem, żeby to przegapić. Sygnalizowała, że mają się dostosować do jej działania.

Victor nie bardzo rozumiał, w czym rzecz, bo ludzie często mówili do niego „kowalu”. Już miał coś powiedzieć, lecz Nicci uderzyła go w twarz.

- Milcz! Nie mam zamiaru słuchać twoich przeprosin. Victor, wstrząśnięty, cofnął się o krok. Zaskoczenie raz-dwa zmieniło się w marsową minę, ale zmilczał.

Nicci, widząc, iż Victor pojął, że ma siedzieć cicho, odwróciła się ku Richardowi. Pogroziła mu palcem.

- Odpowiesz za to, cieślo.

Richard nie wiedział, co ona zamierza, ale leciutko skinął głową, kiedy ich oczy się spotkały. Więcej nie ryzykował, żeby nie pomieszać jej szyków.

Nicci najwyraźniej była doprowadzona do ostateczności.

- Co z tobą?! - wrzasnęła na niego. - Skąd ci w ogóle przyszedł do głowy pomysł, że możesz w ten sposób postępować z własnej woli?!

Richard nie wiedział, jakiej odpowiedzi od niego oczekuje, więc tylko pokornie wzruszył ramionami, jakby był zbyt zawstydzony, żeby się odezwać.

- Ratował moje dziecko! - rozdarła się Jamila. - Tamten chciał jej poderżnąć gardło!

Nicci, oburzona, obróciła się ku niej.

- Jak śmiesz wykazywać tak mało zrozumienia dla swojego bliźniego?! Jak śmiesz osądzać, co się kryje w sercu innego człowieka?! To nie twoja powinność, a wyłączne prawo Stwórcy! Czyś jest wiedźmą, która widzi przyszłość?! Jeżeli nie, to nie wiesz, co on by uczynił! Uważasz, że można go było zamordować za same Podejrzenia co do tego, co zamierza? A nawet gdyby to zrobił, to nikt z nas nie ma prawa osądzać jego postępów! - Znowu zwróciła się do Richarda: - Czegoś się spodziewał po tym biedaku? Obaj zostali tu przywleczeni przez tłum, nie postawiono im żadnych zarzutów, nie pozwolono się im wytłumaczyć. Traktujesz człowieka jak zwierzę, a

potem się dziwisz, że działa pod wpływem dezorientacji i strachu? Jak możesz się spodziewać, że Jagang Sprawiedliwy kiedykolwiek da nam drugą szansę uczynienia tego, co słuszne i właściwe, skoro tak postępujemy? Ten człowiek miał prawo obawiać się o życie, otoczony takim bezmyślnym motłochem. Jako żona burmistrza nie zezwolę na takie postęпки! Słyszycie?! Burmistrz nie będzie zadowolony, słysząc, jak niegodnie postąpili tego wieczoru niektórzy z mieszkańców. Pod jego nieobecność zadbam, żeby nikt nie łamał naszych zasad. A teraz schowaj miecz.

Richard zaczynał rozumieć plan Nicci, więc nic nie odpowiedział i potulnie schował miecz, jak mu nakazała.

Kiedy zdjął dłoń z rękojeści, gniew miecza nagle zniknął i mało brakowało, żeby pod Richardem ugięły się kolana. Zabójstwo pozostawało okropnym czynem, choćby nie wiadomo jak usprawiedliwione, nieuniknione, prawomocne. Nie chciał zmarnować wysiłków Nicci, więc pokornie zwiesił głowę.

Czarodziejka zaś spojrzała twardo na tłum. Wszyscy się cofnęli.

- Jesteśmy spokojnymi ludźmi. Czyście wszyscy zapomnieli o naszych obowiązkach względem bliźniego? O posłuszeństwie wobec nakazów Stwórcy? Jakżeż możemy oczekiwać, że imperator pozwoli nam wrócić pod skrzydła Imperialnego Ładu, jeżeli będziemy się zachowywać jak bezrozumne zwierzęta?

Tłum milczał. Richard miał nadzieję, że i oni się zorientowali w zamiarach Nicci i nie zmarnują jej wysiłków.

- Jako żona burmistrza nie pozwolę, żeby bezsensowna przemoc skaziła naszych ludzi i naszą przyszłość.

Jakaś młoda kobieta w tłumie wsparła się pod boki i zrobiła krok ku Nicci.

- Ale oni byli...

- Nieustannie musimy mieć na względzie nasze obowiązki wobec bliźniego - przerwała jej zdecydowanym, groźnym tonem Nicci - nie zaś nasze egoistyczne pragnienia. - Łypnęła na Victora; ten zrozumiał, w czym rzecz, i odciągnął niewiastę w tył, żeby znów się z czymś nie wyrwała. Nicci powiodła wzrokiem po strażnikach. - Powinniśmy kierować bliźnimi, nie zaś mordować ich. Jednego człowieka już tego wieczoru zabito. Władze zostaną o tym powiadomione i zadecydują, co spotka cieślę. Kilku z was niech zadba,

żeby do tego czasu pozostał pod kluczem. Ja natomiast, jako żona burmistrza, nie pozwolę, żeby i tego człowieka spotkał tak niesprawiedliwy los. Wiem, że mój mąż chciałby sam wyjaśnić tę sprawę, lecz wiem również, że nie chciałby, iżby to czekało do jutra na jego polecenie. Chciałby całą rzecz natychmiast naprawić, więc wyprowadźcie tego obywatela za miasto i uwolnijcie go. Niech odejdzie w spokoju. Nie wyrządzimy mu krzywdy. Cieśla, jak już powiedziałam, w odosobnieniu zaczeka na stawienie się przed władzami i karę za obmierzły czyn. Victor się skłonił.

- Bardzo roztropnie, madame. Jestem przekonany, że twój mąż burmistrz będzie zadowolony, iż interweniowałaś w jego imieniu.

Nicci gniewnie patrzyła na czubek skłonionej przed nią głowy Victora. Potem stanęła przed drugim pojmanym szpiegiem. Pokłoniła mu się.

Richard zauważył, że sznurówka jej stanika jakoś zdołała się rozpleść. Oku szpiega też to nie uszło. Dzięki niskiemu pokłonowi Nicci miał wspaniały widok na jej dekolt. Trochę potrwało, zanim jej spojrzał w oczy, kiedy się już wyprostowała.

- Mam nadzieję, że przyjmiesz nasze przeprosiny za tak nieludzkie traktowanie. Nie tak uczono nas postępować z ludźmi, równymi nam braćmi.

Tamten zrobił minę mającą świadczyć, iż jest gotów to wybaczyć.

- Potrafię pojąć, czemu wasi ludzie są tacy krewcy po tej waszej rewolcie przeciwko Imperialnemu Ładowi i w ogóle.

- Rewolta? - Nicci lekceważąco machnęła ręką. - Bzdura. To było zwykłe nieporozumienie. Niektórzy robotnicy - nie patrząc, wskazała na Richarda - tacy jak ten tu ignoranci i egoiści, chcieli wyższej płacy i większych praw. Ot i tyle. Wiem od męża, że to było przesadnie wyolbrzymione i opacznie zrozumiane. Samolubni ludzie wywołali panikę, która się wymknęła spod kontroli. Bardzo to przypominało tragiczne wypadki tej nocy: nieporozumienie prowadzące do skrzywdzenia jednego z niewinnych dzieci Stwórcy.

Tamten długo się w nią wpatrywał nieodgadnionym wzrokiem.

- I całe Altur'Rang tak uważa? Nicci westchnęła.

- Z całą pewnością mój mąż burmistrz oraz większość, zdecydowana większość mieszkańców Altur'Rang. Robił co trzeba, żeby przywołać do porządku gorące głowy i wichrzycieli. Wspólnie z przedstawicielami ludu

starał się wykazać tym nielicznym wywrotowcom, jaki popełnili błąd i jak wielką krzywdę wyrządzili nam wszystkim. Działali, nie biorąc pod uwagę większego dobra. Mój mąż postawił przywódców zamieszek przed trybunałem obywatelskim, który zasądził odpowiednie kary. Większość z nich się pokajała. Mąż stara się też reedukować najmniej inteligentnych. Tamten lekko schylił przed nią głowę.

- Przekaż, proszę, mężowi, że jest mądrym człowiekiem i że ma roztropną żonę, która wie, że należy służyć większemu dobru.

Nicci skinęła głową.

- O, właśnie, większe dobro. Mój mąż często powiada, że bez względu na nasze osobiste pragnienia i uczucia zawsze musimy przedkładać ponad wszystko większe dobro. Że nie bacząc na osobiste poświęcenie, musimy myśleć jedynie o poprawie doli wszystkich ludzi i nie dać się omamić grzesznym osobistym życzeniom i pragnieniom. Nikt nie ma prawa przedkładać własnych spraw nad dobro innych.

Słowa Nicci najwyraźniej potrąciły w nim jakąś strunę; były to przecież podstawowe nauki i zasady Imperialnego Ładu. Dobrze wiedziała, jak grać na tych uczuciach.

- Jakież to słuszne - rzekł, obserwując ją i znów zaglądając w rozchyłony dekolt sukni. - Chyba powinienem już iść.

- A gdzie się obaj udawaliście? - spytała Nicci, skromnie zaciskając dłońmi rozchylający się gorset.

Znów spojrzał jej w twarz.

- Och, tylko tędy przechodziliśmy w drodze na południe, gdzie mamy rodziny. Mieliśmy nadzieję, że znajdziemy tu jakąś pracę. Nie znałem mego towarzysza zbyt dobrze. Po prostu szliśmy razem przez kilka ostatnich dni.

- Cóż - stwierdziła Nicci - biorąc pod uwagę to, co się stało tej nocy, mój mąż pewno by ci doradził, żebyś dla własnego bezpieczeństwa ruszył dalej, a ponieważ kręci się tu jeszcze paru wichrzycieli, to najlepiej by było, gdybyś od razu wyruszył. Jedno nieszczęście już się tej nocy wydarzyło, nie chcielibyśmy po raz drugi kusić losu.

Mężczyzna powiódł po tłumie morderczym spojrzeniem. Jego oczy spoczęły na Richardzie, lecz ten pokornie patrzył w ziemię.

- Tak, madame, oczywiście. Podziękuj, proszę, mężowi, że sprowadził nędznych wichrzycieli na właściwą drogę ukazaną nam przez Stwórcę.

Nicci skinęła głową ku kilku strażnikom.

- Wyprowadźcie tego obywatela bezpiecznie z miasta. Weźcie tylu ludzi, ilu trzeba, żeby nie było żadnych kłopotów. I chyba nie muszę wam przypominać, jak bardzo byliby niezadowoleni burmistrz oraz trybunał obywatelski, gdyby się dowiedzieli, że owemu człowiekowi przytrafiło się coś złego. Może spokojnie odejść, zadbajcie o to.

Strażnicy skłonili się i obiecali, że o to zadbają. Richard poznał po ich zachowaniu, że świetnie wiedzą, jak wrócić do ról odgrywanych pod jarzmem Imperialnego Ładu. Wszyscy zgromadzeni w stajni w milczeniu patrzyli, jak strażnicy znikają w mroku nocy ze swoim podopiecznym. Jeszcze długo po ich odejściu wpatrywali się w milczeniu w otwarte wrota, bojąc się odezwać, póki typ nie odejdzie dostatecznie daleko, by już nic nie móc słyszeć.

- Mam nadzieję, że wróci do swoich kolegów żołnierzy - powiedziała na koniec Nicci. - Jeżeli tak, to trochę im namieszamy w głowach przed bitwą.

- O, wróci - odezwał się Victor. - Będzie się palił, żeby przekazać wieści, jakie od ciebie dostał tej nocy. Oby w nie naprawdę uwierzyli. Zgotujemy im wtedy prawdziwą niespodziankę.

- Miejmy nadzieję, że tak się stanie - odparła Nicci.

Niektórzy z pozostających jeszcze w stajni ludzi zaczęli rozmawiać, zadowoleni z pomysłu Nicci na zmylenie przeciwnika. Inni się pożegnali i odeszli. Jeszcze inni wpatrywali się w zwłoki.

Nicci uśmiechnęła się do Victora.

- Przepraszam, że cię uderzyłam. Victor wzruszył ramionami.

- To było w słusznym celu.

Nicci zaniepokojona spojrzała teraz na Richarda, jakby się spodziewała wyrzutów i napomnień.

- Chcę, żeby idące tu oddziały nie wątpiły, że łatwo nas pokonają - wyjaśniła. - Nadmierna pewność siebie to prosta droga do pomyłek.

- Jeszcze o coś ci chodziło - rzekł Richard.

Nicci zerknęła na ciągle jeszcze spory tłumek i przysunęła się do niego, żeby inni nie usłyszeli.

- Powiedziałeś, że mogę do ciebie dołączyć, kiedy zostaną rozgromione oddziały idące na Altur'Rang.

- No i?

Jej błękitne oczy były twarde jak stal.

- I zamierzam się o to postarać.

Richard długo się jej przyglądał. W końcu uznał, że pozwoli jej pomóc mieszkańcom Altur'Rang i nie będzie się wtrącał w wybór metod, jakimi chce to osiągnąć. Właściwie wcale nie chciał wiedzieć, co ona zamierza; i tak miał dosyć trosk.

Ujął luźne końce sznurówki stanika, mocno je ściągnął i zawiązał. Nicci stała bez ruchu i patrzyła mu w oczy.

- Dziękuję - powiedziała, kiedy skończył. - Musiały się rozwiązać w tym całym zamieszaniu.

Udał, że nie słyszy jej kłamstewka, i rozejrzał się; wypatrzył Jamilę za kilkoma ludźmi. Klęczała z czerwoną i opuchniętą twarzą, tuląc do siebie dziecko. Podszedł do niej.

- I co z nią?

Jamila spojrzała na niego.

- Już jest bezpieczna. Dziękuję, lordzie Rahlu. Ocaliłeś jej życie. Dziękuję.

Dziewczynka chlipała wczepiona w matkę. Zerknęła z przerażeniem na Richarda, jakby się bała, że teraz i ją usiecze. Była przecież świadkiem jego gwałtowności.

- Cieszę się, że jest zdrowa i cała - rzekł do Jamili. Uśmiechnął się do dziewczuszki, ale odpowiedziała mu spojrzeniem pełnym gniewu.

Nicci współczująco ścisnęła Richardowi ramię, ale milczała. Ci, którzy zostali w stajni, podziękowali mu za uratowanie dziecka. Wyglądało na to, iż się zorientowali, że mówiąc to wszystko, Nicci starała się zmylić szpiega. Wielu jej powiedziało, że sprytnie to wymyśliła.

- Powinniśmy się ich pozbyć po tym - rzekł ktoś.

Richard dobrze wiedział, że jej chodziło nie tylko o „pozbycie się” wroga. Ciekaw był, co ona zamierza, niepokoiło go to. Dojrzał, że paru ludzi wywleka ze stajni martwego szpiega. Inni, na polecenie Ishaqa, zaczęli pospiesznie uprzątać krwawe ślady. Woń krwi denerwowała konie, więc im szybciej się jej pozbędą, tym lepiej.

Pozostali życzyli Richardowi bezpiecznej podróży i rozeszli się do domów. Wkrótce nikogo już nie było. Sprzątający dokończyli robotę i poszli. Zostali tylko Nicci, Cara, Ishaq i Victor. W stajni zrobiło się pusto i cicho.

ROZDZIAŁ 24

Richard bacznie przepatrzył mrok, a potem poszedł obejrzeć konie przygotowane przez Ishaq. W stajni było za spokojnie. Pamiętał, jak cicho było w pokoju, zanim stwór przebił się przez ścianę. Trudno było nie dopatrywać się groźby w nagłym spokoju. Żałował, że nie potrafi wyczuć, czy bestia jest w pobliżu, czy zamierza zaatakować. Tak by chciał wiedzieć, jak walczyć z czymś takim. Dotknął palcami gardy miecza - przynajmniej ma swój miecz i sprzężoną z nim moc.

Aż za dobrze sobie przypominał pozostawione dla niego w jaźni Cary straszliwe zapowiedzi cierpienia i udręki. Samo wspomnienie tych szeptów przyprawiało go o zawroty głowy. Musiał się zatrzymać i oprzeć o barierkę.

Obejrzał się na Carę. Nie opuszczała go radość, że ona żyje, że jest cała i zdrowa. Odwzajemniła spojrzenie i to dodało mu otuchy. Łączyła ich teraz mocna więź. Miał uczucie, że trochę lepiej zna kobietę ukrytą pod pancerzem Mord-Sith.

Teraz musiał pomóc Kahlan, musiał zobaczyć ją całą i zdrową.

Dwa konie czekały już osiodłane, na pozostałe załadowano zapasy. Ishaq zawsze dotrzymywał słowa. Richard wszedł do boks, przesunął dłonią po boku większej, gniadej klaczy; wyczuł jej mięśnie i dał jej znak, że jest za nią, żeby się nie wystraszyła. Zwróciła ku niemu jedno ucho.

Niedawne wydarzenia i zapach krwi sprawiły, że wszystkie konie w stajni były nerwowe. Klacz potrząsała łbem i przestępowała z nogi na nogę, bo w pobliżu znalazł się ktoś obcy. Zanim Richard przymocował łuk do siodła, pogładził szyję klaczy i łagodnie do niej przemówił. Potem lekko pogłaskał jej ucho. Ucieszyło go, że się uspokoiła.

Wyszedł z boks; Nicci mu się przyglądała, czekała na niego. Wyglądała na zagubioną i osamotnioną.

- Będiesz na siebie uważać? - spytała.

- Nie martw się - odezwała się przechodząca obok Cara. Niosła trochę swoich rzeczy, kierowała się do boksu mniejszej, również osiodłanej klaczy. - Już ja mu powiem, co myślę o jego wariactwach z dzisiejszej nocy.

- Jakich wariactwach? - zapytał Victor.

Cara oparła ramię na karku konia i machinalnie przebierała palcami w

jego grzywie. Spojrzała na kowala.

- Mamy w D'Harze takie powiedzenie: Jesteśmy stalą przeciwko stali, żeby lord Rahl mógł być magią przeciwko magii. Co oznacza, że wariactwem ze strony lorda Rahla jest bez potrzeby ryzykować życie w takich walkach na ostrza. My to możemy załatwić. Za to nic nie możemy zaradzić na magię: to należy wyłącznie do niego. Do nas należy chronienie lorda Rahla przed stalowym orężem, żeby on mógł nas chronić przed magią. To jest obowiązek lorda Rahla. To jego część więzi.

Victor wskazał miecz Richarda.

- Rzekłbym, że całkiem dobrze sobie radzi z mieczem. Cara znacząco uniosła brew.

- Czasem ma szczęście. Czyż muszę ci przypominać, że omal nie zginął od jednej strzały? Byłby bezradny bez Mord-Sith - dodała dla całkowitej jasności.

Victor łypnął na Richarda, ale ten tylko przewrócił oczami. Ishaq też był zaniepokojony i popatrywał na Richarda, jakby go pierwszy raz widział. Obaj od blisko roku znali go jako Richarda, chłopaka, który ładował wozy w kompanii przewozowej Ishaqa i woził żelazo do kuźni Victora. Sądzieli, że jest mężem Nicci. Nie wiedzieli, że wtedy był jej więźniem.

Ciągle jeszcze nie mogli się przyzwyczać do tego, że jest on lordem Rahlem, niemal mitycznym bojownikiem o wolność z dalekiej północy. Uważali go za jednego ze swoich, przewodzącego im w walce z tyranią. Takiego go znali. Ilekroć wypływała sprawa „lorda Rahla”, stawali się nerwowi, jakby nagle nie mieli pojęcia, jak się wobec niego zachowywać.

Cara zabrała się do pakowania do juków reszty swoich rzeczy, a Nicci położyła dłoń na ramieniu Ishaqa.

- Jeżeli nie macie nic przeciwko temu, to chciałabym zostać na chwilę sama z Richardem, zanim odjedzie.

Ishaq skinął głową.

- Będziemy z Victorem na zewnątrz. Mamy pewne sprawy do omówienia.

Obaj ruszyli do wyjścia, a Nicci porozumiewawczo spojrzała na Carę. Mord-Sith klepnęła swoją klacz i wyszła za mężczyznami ze stajni, zamykając za sobą wrota. Richard był zdumiony i trochę zaniepokojony, że Cara wyszła bez żadnego sprzeciwu. Nicci stanęła przed nim w łagodnym

światle latarni ze splecionymi palcami i chłopak pomyślał, że jest zakłopotana.

- Martwię się o ciebie, Richardzie. Powinnam być przy tobie.

- Coś tego wieczoru zaczęłaś i uważam, że powinnaś to dokończyć.

- Masz rację - westchnęła.

Ciekaw był, o czym myśli, lecz chciał jak najszybciej wyjechać. Owszem, troszczył się o bezpieczeństwo Nicci, lecz o wiele bardziej martwił się o Kahlan. Chciał już wyruszyć.

- Ale ja nadal...

- Kiedy już pomożesz tym ludziom poradzić sobie z nadchodzącymi żołnierzami, możesz do mnie dołączyć - powiedział Richard. - Na pewno będzie im potrzebna twoja pomoc, skoro tamtym przewodzi ten czarodziej Kronos.

- Wiem. - Kiwała głową, bo już to sobie przemyślała i pogodziła się z tym.

- Możesz mi wierzyć, że zrobię wszystko, żeby zażegnać niebezpieczeństwo nadciągające na Altur'Rang. Zamierzam się z tym jak najszybciej rozprawić i cię dogonić.

Nagle pojawił istotę jej planu i ogarnął go strach. Chciał jej powiedzieć, żeby dała sobie z tym spokój, zrezygnowała z tych planów, lecz zmusił się do milczenia. Sam też się musiał zająć ważną i niebezpieczną sprawą. I wcale nie chciał słuchać napomnień Nicci, że powinien z tego zrezygnować.

A poza tym była przecież czarodziejką, która świetnie wiedziała, co robi. Niegdyś była Siostrą Mroku - jedną z sześciu jego nauczycielek w Pałacu Proroków. Kiedy jedna z nich próbowała go zabić i ukraść mu dar, Richardowi udało się ją uśmiercić. To był początek walki, która doprowadziła do zniszczenia pałacu. Jagang pojmał potem pozostałe, w tym Siostrę Ulicię, ich przywódczynię. By ratować życie Kahlan, Richard pozwolił kiedyś pięciu z nich poprzysiąc sobie wierność, żeby się mogły wymknąć spod władzy Nawiedzającego Sny. Nicci wtedy z nimi nie było. Jedna z nich umarła później w sylfie - i od władzy Jaganga były wolne jedynie cztery Siostry Mroku, no i Nicci.

Nicci z całą pewnością była groźnym przeciwnikiem dla każdego, kto jej stanął na drodze. Richard liczył jednak na to, że nie będzie ryzykować tylko po to, żeby się szybciej do niego przyłączyć i móc go chronić. Zatknał kciuki za pas, nie bardzo wiedząc, czego ona tak naprawdę chce.

- Możesz się do mnie przyłączyć, gdy tylko załatwisz tu sprawy. Wiedz, że się z tego ucieszę.

- Wiem.

- Mała rada. - Poczekał, aż mu spojrzy w oczy. - Nie zapominaj, że choćbyś była nie wiem jak potężna, to i tak może cię uśmiercić jedna strzała.

Uśmiechnęła się przelotnie.

- Ta rada przyda się i tobie, czarodzieju.

- Jak mnie odnajdziesz?

Wyciągnęła rękę, chwyciła go za koszulę tuż przy kołnierzu i przyłgnęła do niego.

- Właśnie dlatego chciałam zostać z tobą sama. Muszę cię dotknąć magią, żebyś mógł odnaleźć.

Richard natychmiast zrobił się podejrzliwy.

- Jakim rodzajem magii?

- To coś w rodzaju twojej więzi z mieszkańcami D'Hary, dzięki której potrafia cię odnaleźć. Teraz nie czas, żeby to dokładniej wyjaśniać.

Richard zaczął się niepokoić, dlatego w tym celu chciała z nim zostać sama. Nie puszczała jego koszuli, nie odsuwała się; przytknęła oczy.

- Stój spokojnie - szepnęła.

Wyraźnie się wahała i miała opory. Wydawało się, że zapada w trans.

Richard mógłby przysiąc, że przedtem latarnie świeciły jaśniej. Teraz stajnię rozświetlał stonowany pomarańczowy blask. Siano pachniało bardziej słodko. Powietrze było cieplejsze. Pomyślał, że może nie powinien jej pozwolić zrobić tego, co zamierzała. Ale w końcu postanowił jej zaufać.

Lewa ręka Nicci puściła koszulę Richarda, przesunęła się na jego kark. Palce musnęły skórę. Potem dłoń zacisnęła się na włosach, unieruchamiając mu głowę.

Richard jeszcze bardziej się zaniepokoił. Nagle wcale nie był pewny, czy chce, żeby go dotknęła swoją mocą. Już kilka razy czuł dotknięcie jej magii i nie był aż taki chętny do powtórzenia tego doznania. Chciał się cofnąć, lecz nie mógł.

Nicci jeszcze mocniej się przytuliła i pocałowała go w policzek. To było coś więcej niż pocałunek.

Zniknął otaczający go świat. Stajnia, parne powietrze, słodki zapach siana - wszystko to przestało istnieć. Istniała jedynie więź z Nicci, jakby tylko

i wyłącznie czarodziejka nie pozwalała, żeby i on zniknął.

Ogarnął go narastający, zapierający dech zachwyt. Było to przemożne, oszłamiające, wspaniałe uczucie. Czuł, jak przenika go poczucie więzi, energia i żywotność Nicci, całe piękno świata - to wszystko wnikało w niego, póki nie nasyciło jego umysłu, póki mu nie zawirowało w głowie z upojenia. Każda doświadczona wcześniej przyjemność i rozkosz wróciła z mocą większą niż ta, z jaką je kiedykolwiek przeżył; niewymowne szczęście odebrało mu oddech, wywołało łzy.

Nicci się cofnęła i świat wrócił, znów otoczył Richarda, lecz bardziej wyrazisty niż poprzednio - obrazy i zapachy były intensywniejsze, jaskrawsze, niż pamiętał. Ciszę mąciło jedynie syczenie pobliskiej latarni i cichutkie rżenie jednego z koni. Richardowi drżały dłonie. Nie wiedział, czy pocałunek trwał sekundę czy godzinę. Takiej magii jeszcze nigdy nie doświadczył. Tak go to oszołomiło, że musiał sobie przypomnieć, że powinien oddychać. Zamrugął.

- Co... co zrobiłaś?

Na jej ustach i w oślepiająco błękitnych oczach pojawił się cień uśmiechu.

- Dotknęłam cię odrobiną mojej magii, żebyś mógł mnie znaleźć. Rozpoznam swoją moc. Jej śladem dotrę do ciebie. Nie obawiaj się, przetrwa na tyle długo, że zdołam cię odszukać.

- Myślę, że zrobiłaś coś więcej, Nicci.

Uśmiech zniknął. Zażenowana, zmarszczyła brwi. Chwilę potrwało, nim znalazła słowa. Na koniec spojrzała na niego z takim napięciem, iż pojął, jak ważne jest dla niej to, żeby zrozumiał.

- Wcześniej zawsze cię raniłam swoją mocą, Richardzie: kiedy cię uprowadziłam, kiedy cię więziłam i nawet wtedy, kiedy cię uzdrawiałam. Było to zawsze przykre i bolesne. Wybacz, ale chciałam choć jeden jedyny raz sprawić, byś po dotknięciu moją magią nie cierpiał, nie miał do mnie żalu. - Odwróciła wzrok. - Chciałam, byś miał o mnie miłsze wspomnienia niż te, które ci pozostały z czasów, kiedy moja magia zadawała ci ból. Choć raz chciałam ci ofiarować odrobinę czegoś miłego.

Wolał sobie nie wyobrażać, czym byłoby coś więcej niż owa „odrobina”. Uniósł jej podbródek i teraz znów patrzyła mu w oczy.

- Nie czuję do ciebie wrogości, Nicci. Przecież wiesz. I wiem, że kiedy mnie uzdrawiałaś, wracałaś mi życie. Tylko to się liczyło.

Teraz on musiał odwrócić wzrok od jej błękitnych oczu. Przyszło mu na myśl, że Nicci jest zapewne najpiękniejszą ze wszystkich znanych mu kobiet. Oprócz Kahlan.

- Ale dziękuję - zdołał wreszcie z siebie wydusić, wciąż jeszcze uświadamiając sobie tamte doznania.

Łagodnie ścisnęła mu ramię.

- Spełniłeś tego wieczoru dobry uczynek, Richardzie. Uznałam, że trochę przyjemnej magii wróci ci siły.

- Widziałem śmierć i cierpienie tak wielu ludzi. Nie mogłem znieść myśli, że i ta dziewczynka umrze.

- Miałam na myśli uratowanie życia Carze.

- Ach tak. No to pewnie nie mogłem też znieść myśli, że ta duża dziewczynka miałaby umrzeć.

Nicci uśmiechnęła się, usłyszawszy to. Richard wskazał konie.

- Muszę już jechać.

Skinęła głową, a on poszedł po konie. Najpierw sprawdził uprząż. Nicci otworzyła wrota stajni. Wtedy Cara przysłała po swojego konia.

Do świtu ciągle jeszcze brakowało paru godzin. Richard zdał sobie sprawę, że jest przeraźliwie zmęczony, zwłaszcza po emocjonalnym napięciu towarzyszącym użyciu miecza. Poczul się lepiej po tym, co zrobiła Nicci. Wiedział jednak, że przez jakiś czas nie będą się mogli porządnie wyspać. Mieli przed sobą długą drogę, a on był zdecydowany przebyć ją jak najszybciej. Brali ze sobą konie na zmianę, więc będą mogli jechać tak szybko, jak tylko się da, zmieniać wierzchowce i pędzić dalej, żeby zyskać na czasie. Zamierzał wycisnąć z koni wszystkie siły.

Nicci przytrzymała konia za wędzidło, a Richard wsunął stopę w strzemię i po chwili znalazł się w siodle. Klacz machnęła ogonem, rada opuścić stajnię, choć była jeszcze noc. Richard poklepał ją po karku, żeby się uspokoiła; będzie miała mnóstwo czasu, żeby pokazać mu swój animusz.

Cara, też już w siodle, spojrzała chmurnie na Richarda.

- A dokąd to z takim pośpiechem zmierzamy, lordzie Rahlu?

- Muszę się dostać do Shoty.

- Do Shoty! - Cara aż otworzyła usta. - Jedziemy do wiedzy?! Odebrało ci rozum?!

Przerażona Nicci stanęła tuż przy nim.

- Wizyta u wiedźmy to czyste szaleństwo, że już nie wspomnę o oddziałach Imperialnego Ładu na całej drodze przez Nowy Świat. Nie możesz tego zrobić.

- Muszę. Uważam, że Shota może mi pomóc odszukać Kahlan.

- Ona jest wiedźmą, Richardzie! - Nicci nie posiadała się z gniewu. - Na pewno ci nie pomoże!

- Już przedtem mi pomogła. Dała mnie i Kahlan ślubny podarunek. Myślę, że powinna to pamiętać.

- Ślubny podarunek? - zapytała Cara. - Czyś ty oszalał? Shota prędeż by was zabiła.

Cara nawet nie wiedziała, ile w tym jest prawdy. Jego relacje z Shotą nigdy nie były łatwe.

Nicci położyła dłoń na nodze Richarda.

- Jaki ślubny podarunek? O czym ty mówisz?

- Shota chciała śmierci Kahlan, bo bała się, że poczniemy potworne dziecko: Spowiednika mającego magiczny dar. Podczas naszego wesela na znak pokoju podarowała Kahlan naszyjnik z małym ciemnym kamieniem. Był zaczarowany i chronił Kahlan przed zejściem w ciążę. Razem z Kahlan postanowiliśmy, że przez wzgląd na to, co się dzieje, i na wszystkie nasze troski zaakceptujemy rozejm z Shotą.

Był jednak czas - kiedy demony wydostały się na świat - gdy magia wszelkiego rodzaju zanikła. Przez pewien czas nic o demonach nie wiedzieli i nie mieli pojęcia, że czar naszyjnika przestał działać. To wtedy poczęło dziecko. A ludzie, którzy owej okropnej nocy pobili Kahlan, spowodowali śmierć nie narodzonego.

Było również możliwe, że z powodu owego krótkotrwałego zaniku magii w świecie zaszła fundamentalna, nieodwracalna zmiana, która mogła doprowadzić do kresu magii. Wiele rozmaitych wydarzeń najwyraźniej o tym świadczyło. Zedd nazwał to efektem kaskadowym. Powiedział, że jak to się raz zacznie, to już nie można tego powstrzymać. Richard nie wiedział, czy magia naprawdę znika czy też nie.

- Shota będzie pamiętać naszyjnik, który dała Kahlan. Będzie pamiętać własną moc, tak jak ty będziesz pamiętać tę, dzięki której mnie odnajdziesz. Jeżeli ktoś może jeszcze pamiętać Kahlan, to powinna to być Shota. Wiedźma i ja mamy ze sobą na pieńku, ale w przeszłości mimo woli jej

pomogłem. Jest mi coś winna. Pomoże mi. Musi.

Nicci wyrzuciła w górę ręce.

- Ta rzecz musi, oczywiście, być noszonym przez Kahlan naszymi, a nie czymś, co ty byś mógł mieć. Nie rozumiesz, co robisz? Twój umysł znowu wymyślił coś, czego niby przypadkiem nie można dowieść. Zawsze mówisz o czymś, co jest gdzie indziej albo czego nie możemy zobaczyć. Ten naszownik to po prostu kolejny element twoich urojeń. - Przycisnęła dłoń do czoła. - Ta wiedźma nie będzie pamiętać Kahlan, Richardzie, bo Kahlan nie istnieje.

- Shota może mi pomóc. Wiem, że może i że to zrobi. Nie mogę wymyślić lepszego sposobu na pozyskanie informacji. Czas ucieka. Im dłużej Kahlan jest z tymi, którzy ją porwali, tym większe niebezpieczeństwo grozi jej życiu i tym bardziej maleją szansę, że ją odzyskam. Muszę dotrzeć do Shoty.

- A jeżeli się mylisz? - spytała Nicci. - Jeżeli ta wiedźma odmówi ci pomocy?

- Zrobię, co trzeba, żeby ją do pomocy nakłonić.

- Odłóż to na dzień lub dwa, proszę cię, Richardzie. Porozmawiamy o tym. Pozwól, że ci pomogę rozważyć wszelkie możliwości.

Richard ściągnął wodze - jego klacz oraz uwiązane do niej konie ruszyły ku wrotom.

- Wyprawa do Shoty to najlepsza dla mnie możliwość uzyskania odpowiedzi. Jadę.

Pochylił się we wrotach; wyjechali w noc. Z dala wciąż było słycać pieśń cykad. Obrócił konia, by popatrzeć na stojącą we wrotach Nicci, podświetloną blaskiem latarni.

- Bądź ostrożna. Jeżeli nie dla siebie, to dla mnie.

W końcu się uśmiechnęła, usłyszawszy to. Z rezygnacją potrząsnęła głową.

- Jak rozkażesz, lordzie Rahlu.

Pomachał na pożegnanie Victorowi i Ishaqowi.

- Bezpiecznej podróży - rzekł Ishaq, zdejmując kapelusz. Victor położył dłoń na sercu.

- Wróć do nas, Richardzie, gdy tylko będziesz mógł. Obiecał im to. Kiedy ruszyli już drogą, Cara potrząsnęła głową.

- Nie rozumiem, po co się tak trudziłeś, ratując mi życie. Przecież wiesz, że jedziemy po śmierć.

- A już myślałem, że jedziesz ze mną po to, żeby temu zapobiec.

- Nie wiem, lordzie Rahlu, czy potrafię cię ochronić przed wiedźmą. Nigdy nie miałam do czynienia z ich mocą, nie słyszałam też o żadnej Mord-Sith, której by się to przydarzyło. Moc Spowiedniczki jest dla Mord-Sith zabójcza. Może moc wiedźmy również. Zrobię oczywiście, co będę mogła, ale uważam, że powinieneś wiedzieć, iż mogę cię przed wiedźmą nie obronić.

- Nie trap się tym, Caro - odparł Richard, zmuszając konia do galopu. - Jak znam Shotę, to nie pozwoli ci się do siebie zbliżyć.

ROZDZIAŁ 25

Szła skrajem szerokiej ulicy, prowadząc niewielką grupę ludzi. Odkąd Richard wyjechał, czuła się, jakby zniknęło słońce. Tęskniła za spojrzeniem jego oczu, za widoczną w nich iskierką życia. Od dwóch dni niestrudzenie zajmowała się przygotowaniami do nieuniknionego ataku, ale bez Richarda życie wydawało się jej puste, mroczniejsze... i w ogóle beznadziejne.

A przecież kiedy był w pobliżu, wykańczał ją ten jego upór w poszukiwaniu urojonej ukochanej. Czasami miała ochotę go udusić. Szczerze jednak chciała, żeby dla własnego dobra powrócił do rzeczywistości. Próbowwała wszystkiego, od cierpliwości po gniew, żeby wreszcie spojrzeć prawdzie w oczy, ale zupełnie jakby się starała przesunąć górę. Żadne jej słowa ani uczynki nic nie dały i zawsze przy tym miała uczucie, że wstrętne postępuje wobec niego. Ogromnie jej to przeszkadzało.

Nicci miała nadzieję, że gdy tylko pomoże uratować Altur'Rang przed nadciągającymi oddziałami Imperialnego Ładu i ich czarodziejem Kronosem, jak najszybciej dołączy do Richarda i Cary. Zdawała sobie jednak sprawę, że go nie dogoni, zanim Richard dotrze do wiedźmy - miał dodatkowe konie i pojedzie tak szybko, jak tylko zdoła. O ile w ogóle tak daleko dotrze. I jeśli Shota go nie zabije, gdyby jednak dotarł.

Z tego, co Nicci wiedziała o wiedźmach, wynikało, że Richard ma niewielkie szanse, by ujść z życiem z jej samotni. Będzie się musiał zmierzyć z wiedźmą bez ochrony i pomocy Nicci. Richard twierdził wprawdzie, że zna tę kobietę, a z tego, co Nicci słyszała, Shota była kobietą pod każdym względem, więc może będzie przynajmniej uprzejmy. Nieuprzejmość wobec wiedźm była bowiem całkowicie niewskazana.

Ale nawet jeśli przeżyje spotkanie z Shotą, to i tak będzie zrozpaczony, gdyż ta nie zdoła mu pomóc z tej prostej przyczyny, że nie istnieje kobieta, którą Richard mógłby odnaleźć. Czasami doprowadzało ją do furii, że tak się upiera przy czymś, co najwyraźniej jest jedynie urojeniem. A innym razem się martwiła, że on naprawdę traci rozum. To była przerażająca możliwość.

Przystanęła, porażona nagłą myślą. Idący za nią ludzie też się zatrzymali, co wyrwało ją z zadumy. Towarzyszyli jej, żeby dopilnować wykonania jej poleceń dotyczących obrony miasta albo w razie potrzeby przekazać wieści.

Teraz stali, milczący i zaniepokojeni, nie wiedząc, dlaczego się zatrzymała.

- O tam - odezwała się do nich, wskazując trzypiętrowy narożny dom po drugiej stronie ulicy. - Upewnijcie się, że możemy wykorzystać go do naszych celów, umieście w oknach kilkudziesięciu łuczników. Zadbajcie, żeby mieli spory zapas strzał.

- Rzucę na to okiem - rzekł jeden z nich, a potem przebiegł przez ulicę, omijając wozy, konie i ręczne wózki.

Spieszący tą stroną ulicy przechodnie omijali Nicci i jej towarzyszy, jakby byli oni głazem w bystro płynącej rzece. Przechodnie cicho ze sobą rozmawiali, chodząc pomiędzy wykrzykującymi zachęty przekupniami lub grupkami ludzi omawiających zbliżającą się walkę o miasto i to, jak się zamierzają bronić. Obok mknęły wielkie sześciokonne wozy i małe furmanki zaprzężone w jednego konia - uzupełniano zapasy i kończono inne niezbędne prace, póki jeszcze było można.

Nicci nie słyszała gwaru rozmów i odgłosów pospiesznej krzątania; rozmyślała o wiedźmie. Uświadomiła sobie nagle, że Shota może nie tylko nie chcieć pomóc Richardowi, ale i nie powiedzieć mu tego, zataić to. Wiedźmy miały swoje cele i własne metody działania.

Jeżeli Shota uzna, że Richard jest zbyt natarczywy i hardy, to może się go pozbyć, wysyłając w bezsensowną podróż na koniec świata. Może coś takiego zrobić dla zabawy albo żeby go skazać na powolną śmierć w marszu przez jakąś odległą pustynię. Wiedźma mogła zrobić coś takiego choćby tylko z tego prostego powodu, że jest to w jej mocy. Richard, gnany tęsknotą za swoją wysnioną kobietą, takich możliwości nawet nie wzięłby pod uwagę i ochoczo ruszyłby tam, gdzie by mu kazała.

Nicci była zła na siebie, że pozwoliła mu jechać do takiej niebezpiecznej kobiety. Ale cóż mogła zrobić? Nie mogła mu przecież tego zabronić.

Powinna jak najszybciej rozprawić się z Bratem Kronosem i jego oddziałami, a potem dogonić Richarda i chronić go z całej mocy.

Zobaczyła, że wraca już człowiek, którego wysłała, żeby sprawdził ceglany budynek - biegł przez ulicę, wymijając wozy i konie. Zdała sobie sprawę, że nawet przy tych wszystkich ludziach krążących ulicami miasta i tak jest mniej tłoczno niż w zwyczajny dzień. Wszędzie trwały przygotowania; niektórzy już się ukryli w bezpiecznych, według siebie, kryjówkach. Nicci była z ładem wdzierającym się do miasta i wiedziała, że

przed nim nie ma bezpiecznej kryjówki.

Mężczyzna ominął pusty wóz i dotarł do Nicci. Stał w milczeniu i czekał. Bał się odezwać, póki ona nie zażąda raportu. Bał się jej. Wszyscy się jej bali. Była nie tylko czarodziejką; była czarodziejką w złym humorze i wszyscy o tym wiedzieli.

Nikt nie pojmował, dlaczego jest taka gniewna, ale od dwóch dni wszyscy chodzili koło niej na palcach. To nie miało jednak z nimi nic wspólnego, ani nawet nie miało nic wspólnego z Richardem wariacko goniącym za nie istniejącą kobietą. Nicci bowiem wewnątrz przygotowywała się na nadchodzącą przemoc; dokonywała w myślach przeglądu tego, co pewnie będzie musiała zrobić, i uodparniała się na to.

Kiedy ktoś lada chwila ma rozpuścić niemal niewyobrażalne okrucieństwo, to nie nuci wesołej melodyjki i nie papla o miłym dniu, tylko hołubi czarne myśli.

Nicci nigdy nie wyjaśniała przyczyn swojego nastroju - to nadszarpnęłoby jej zapasy energii. Przygotowanie wszelkich umiejętności, wiedzy, czujności i mocy, którymi dysponowała, wymagało zamknięcia się w sobie. Musiała być gotowa uwolnić w jednej chwili gwałtowne i śmiercionośne moce, których ci ludzie nigdy by nie zdołali pojąć. Nie mogła tego wszystkiego im tłumaczyć. Sami musieli się z tym uporać.

- No i? - spytała spokojnie mężczyznę, który w milczeniu łapał oddech.

- Nada się - odparł. - Tkają tu materiały. Wszystkie trzy kondygnacje właściwie nie są poprzegradzane, więc łucznicy szybko i łatwo przejdą od okna do okna.

Nicci skinęła głową, osłoniła ręką oczy przed blaskiem nisko wiszącego słońca i spojrzała ku zachodowi. Przyglądała się układowi ulic i kątom, pod jakimi się przecinały. Wreszcie uznała, że najlepszy jest ten punkt, w którym stoją, to skrzyżowanie z ceglanym budynkiem. Obie ulice były szerokie, więc pewnie je wybierze konnica nieprzyjaciela. Wiedziała, jak atakuje Ład. Lubili nacierać szeroką ławą, żeby zadać jak najsilniejszy cios i przerwać obronę przeciwnika. Była pewna, że pošłą tędy konnicę, jeżeli - jak się tego spodziewała - nadejdą od wschodu.

- To dobrze - odparła. - Zadbaj, żeby umieszczono tu łuczników ze sporym zapasem strzał. I uwiń się z tym szybko, bo nie mamy zbyt wiele czasu.

Pobiegł wypełnić polecenie, a Nicci zauważyła w oddali Ishaqę mknącego ulicą wozem zaprzężonym w dwa rosłe konie. Bardzo się spieszył. Wiedziała, dlaczego po nią jedzie, ale starała się o tym nie myśleć. Popatrzyła na drugiego z towarzyszących jej mężczyzn.

- Chcę, żeby tuż za tym ceglany budynek z łucznikami umieszczono kolce. Ulicę z obu stron ograniczają budynki. - Wskazała przecnicę znajdującą się przed ceglany domem. - Tę tutaj tak samo, więc jeżeli napastnicy będą chcieli którąś z nich uciec, to dostaną za swoje. Kiedy wróg już wtargnie główną trasą do Altur'Rang, to zaskoczmy go, znieca podnosząc kolce. Napastnicy się na nie nabiją, a wtedy łucznicy wyłuskają tych zablokowanych pomiędzy kolcami a napływającymi z tyłu wrogimi żołnierzami.

Mężczyzna skinął głową i pobiegł wypełnić polecenia. Nicci już wcześniej powiedziała im o kopcach. Kuźnia Victora i wiele innych gorączkowo się krzątały przy produkowaniu prostych a śmiercionośnych pułapek. Były to zaostrome żelazne sztaby, połączone ze sobą podobnie jak w parkanie, ale łańcuchy pomiędzy górną poprzeczką a szczytową częścią kopców miały różną długość. W całym mieście położono na ulicach segmenty takich połączonych kopców. Dopóki leżały, nie przeszkadzały wozom i pieszym, ale w razie ataku konnicy zostaną podniesione i zablokowane, tworząc kopcistą żelazną przegrodę. Łańcuchy wiążące kolce były różnej długości, więc śmiercionośne kolce znajdowały się na różnej wysokości, tkwiły pod najróżniejszymi kątami, dzięki czemu taka przegroda była o wiele bardziej niebezpieczna niż zwyczajny prosty rząd zaostromych kopców. Jeżeli sprawnie się je postawi, to zaskoczona nieprzyjacielska konnica wpędzi konie na ostre żelazne szpikulce. Nawet gdyby je usiłovali przesadzić, konie i tak by sobie rozplątały brzuchy. Było to nieskomplikowane, lecz bardzo skuteczne.

W całym mieście były takie pułapki, zwykle na skrzyżowaniach. Kiedy już takie segmenty podniesiono, nie można ich było tak łatwo opuścić. Przerazone konie wykrwawiają się na kopcach lub przynajmniej nie będą mogły uciec z pułapki, a jeźdźcy albo spadną i zginą, albo się pokaleczą, albo będą musieli zsiąść, żeby spróbować sobie poradzić z przeszkodą. Tak czy inaczej, łucznikom będzie łatwiej ich ustrzelić, niż gdyby rozpedzeni przegalopowali obok nich.

Ludzi przy kolcach pouczono, żeby dokonali właściwej oceny sytuacji i bez potrzeby nie podnosili „płatów” na widok nadciągającej kawalerii. Czasem lepiej poczekać, aż niektórzy jeźdźcy ich miną. To pozwoli rozdzielić siły przeciwnika, gdyby konnica była liczna, poza tym wprowadzi zamęt w szeregach wroga, zachwieje atakiem, zrywając kanały dowodzenia, odbierze im przewagę, jaką daje zwartość, i ułatwi rozprawienie się z podzielonymi oddziałami. Wyeliminowanie konnicy miało zasadnicze znaczenie dla odparcia ataku.

Nicci wiedziała jednak, że o takich planach łatwo się zapomina na widok budzących grozę swoją liczebnością, nacierających z wrzaskiem żołnierzy. Wiedziała, że niektórzy mieszczanie uciekną, widząc groźnych żołnierzy wymachujących bronią, że przed ucieczką nie podniosą kolców. Już wcześniej widywała taką panikę. I dlatego kazała rozmieścić dodatkowe segmenty.

Prawie wszyscy mieszkańcy miasta mieli brać udział w jego obronie. Niektórzy na pewno będą bardziej skuteczni od innych. Nawet pozostałe w domach kobiety z dziećmi miały kamienie i wrzący olej, którymi zamierzały razić napastników. Zbyt mało było czasu na przygotowanie wymyślnej broni, lecz wszędzie pełno było ludzi ze stosami dzid. Zaostrzony drąg nie był niczym nadzwyczajnym, lecz zyskiwał na znaczeniu, jeżeli powalił konia lub przebił jeźdźca. Należało się rozprawić tak z kawalerzystami, jak i z piechurami, więc tysiące mieszkańców miasta miały łuki. A strzałą z łuku nawet starzec może uśmiercić krzepkiego młodego żołnierza. Strzała może powalić nawet czarodzieja.

Obrońcy na pewno nie pokonaliby wyszkolonych żołnierzy w tradycyjnej walce. Musieli pozbawić żołnierzy Ładu wszystkiego, do czego byli oni przyzwyczajeni.

Nicci postanowiła przemienić miasto w jedną wielką pułapkę. Teraz musiała jedynie wciągnąć w nią oddziały Ładu.

I dlatego wóz Ishaq tak ku niej gnał. Ludzie uskakiwali mu z drogi. Ishaq ściągnął wodze i zatrzymał konie. Wzbił się tuman kurzu. Mężczyzna zaciągnął hamulec i zeskoczył z wozu - Nicci nie spodziewała się po nim takiej zręczności. Biegł, trzymając w ręce kapelusz. Drugą coś wysoko podnosił.

- Nicci! Nicci!

Spojrzała na towarzyszących jej ludzi.

- Zajmijcie się tym, o czym rozmawialiśmy. Chyba zostało nam ledwie parę godzin.

Zdumieli się i zaniepokoiли.

- Według ciebie nie poczekają do rana? - zapytał jeden z nich.

- Nie. Uważam, że zaatakują wieczorem. - Nie powiedziała im, dlaczego tak myśli.

Kiwnęli głowami i pospieszyli do swoich zadań. Zatrzymał się Przy niej zadyszany Ishaq. Twarz miał niemal tak czerwoną jak kapelusz.

- Wiadomość, Nicci. - Pomachał kartką. - Wiadomość dla burmistrza.

Żołądek Nicci zawiązał się w supeł.

- Przyjechała grupa żołnierzy - opowiadał Ishaq. - Mieli białą flagę, jak zapowiadałaś. Przywieźli wiadomość dla burmistrza. Skąd wiedziałaś?

Zignorowała to pytanie.

- Przeczytałeś?

Jeszcze bardziej poczerwieniał.

- Tak. Victor też. Jest okropnie zły. A kowala nie należy złościć.

- Masz konia, jak chciałam?

- Tak, tak, mam konia. - Podał jej kartkę. - Ale lepiej to przeczytaj.

Nicci rozłożyła papier i w milczeniu czytała.

Obywatelu burmistrzu,

Otrzymałem wiadomość, że mieszkańcy Altur'Rang, zgodnie z twoimi radami, pragną się wyrzec grzesznych zamiarów i na nowo pokłonić się roztropnej i miłosiernej władzy Imperialnego Ładu.

Jeżeli prawdą jest, iż chcesz oszczędzić mieszkańcom Altur'Rang całkowitej zraty, jaką chowamy dla buntowników i grzeszników, to na znak swojej dobrej woli i dobrowolnego poddania się jurysdykcji Imperialnego Ładu zwiąż swojej uroczej i wiernej żonie ręce i przyślij ją do mnie jako korny dar od ciebie.

Jeśli nie wykonasz tego polecenia, wszyscy w Altur'Rang umrą.

W służbie litościwego Stwórcy

Brat Kronos,

dowódca pacyfikujących oddziałów Jego Ekscelencji

Nicci zmięła papier.

- W drogę.

Ishaq założył kapelusz i starał się dotrzymać kroku maszerującej ku wozowi czarodziejce.

- Chyba nie masz zamiaru spełnić żądań tego drania, co? Nicci postawiła stopę na żelaznym stopniu i podciągnęła się na drewniane siedzisko.

- W drogę, Ishaqu.

Mruczał coś pod nosem, sadowiąc się obok niej. Zwolnił hamulec i szarpnął lejcamy. Wrzasnął do ludzi, żeby się odsunęli, i zawrócił wóz. Spod kół wzbily się tumany kurzu. Trzasnął z bata nad grzbietami koni, wykrzykując komendy. Wóz się zakołysał i raz-dwa wyprostował, kiedy konie równo napały na uprząż.

Nicci jedną dłonią trzymała się bocznej barierki, w drugiej, leżącej na czerwonej sukni, mięła list. Patrzyła, niczego nie dostrzegając, kiedy mknęli ulicami Altur'Rang, mijali domy i witryny sklepów, wozy, konie i pieszych. Przez rzędy drzew po lewej przenikały snopy promieni nisko wiszącego słońca, gdy pędzili szerokim bulwarem ku północy. Pod jednobarwnymi lub pasiastymi daszkami straganów z warzywami, serami, chlebem i mięsem kłębiły się tłumy - ludzie kupowali tyle żywności, ile tylko zdołali, robiąc zapasy przed nadciągającą burzą.

Ulica zwęziła się, byli teraz w starszej części miasta; korkowały ją wozy, konie i ludzie. Ishaq - prawie wcale nie zwalniając - skierował swoje wielkie konie w bok od głównej trasy, pojechał na skrót za ciasno do siebie przylegającymi, stojącymi w rzędach domami; całe rodziny mieszkały w tych budynkach w jednej izbie. Pranie suszyło się na sznurach rozwieszonych na małych podwórkach i w wielu innych dogodnych do tego miejscach: na przykład rozciągniętych w poprzek uliczek, pomiędzy mieszkaniami na piętrze, powiewając przechodniom nad głowami. Nawet najmniejszy wolny spłachetek za stłoczonymi domkami wykorzystywano pod uprawę lub do hodowli kur. Łopotały skrzydła i fruwało pierze, kiedy ptactwo się miotало, spłoszone przez wóz mijający w pędzie podwórka.

Ishaq zręcznie kierował zaprzęgiem gnającym co koń wyskoczy, wprawnie omijał budy, płoty, ściany i nieliczne drzewa. Wykrzykiwał ostrzeżenia, przecinając ruchliwe ulice. Wystraszeni ludzie usuwali się na boki, pozwalając mu przejechać.

Wóz skręcił w ulicę, którą Nicci aż za dobrze pamiętała, i jechał wzdłuż niskiego muru wytyczającego drogę dojazdową do wrót magazynu kompanii

przewozowej Ishaqa. Wtoczył się na zryty koleinami plac za budynkiem i zatrzymał w cieniu wielkich dębów górujących ponad murem.

Nicci gramoliła się z wozu, kiedy zobaczyła, jak otwiera się jedno skrzydło wrót. Victor, słysząc hałas, wyszedł z budynku; był tak rozwścieczony, jakby miał zamiar ubić każdego, kto mu wpadnie w ręce.

- Czytałaś list? - spytał.

- Tak, czytałam. Gdzie koń, o którego prosiłam? Wskazał kciukiem za siebie, ku otwartym wrotom.

- I co teraz zrobimy? Atak pewnie nastąpi o świcie. Nie możemy pozwolić, żeby żołnierze zabrali cię ze sobą. Nie możemy pozwolić im odjechać i donieść, że nie zamierzamy spełnić polecenia Kronosa. Co im powiemy?

Nicci kiwnęła głową w stronę budynku.

- Mógłbyś mi przyprowadzić konia, Ishaqu? Skrzywił się.

- Powinnaś wyjść za Richarda. Świetnie do siebie pasujecie. Jedno i drugie niespełna rozumu.

Nicci, zaskoczona, wpatrywała się weń bez słowa. W końcu odzyskała głos.

- Mamy mało czasu, Ishaqu. Przecież nie pozwolimy im wrócić z pustymi rękami.

- Dobrze, Wasza Wysokość - zakpił. - Pozwól mi łaskawie osiodłać dla ciebie królewskiego wierzchowca.

- Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby Ishaq tak się zachowywał - powiedziała do Victora, patrząc, jak tamten kroczy ku wrotom i przeklina pod nosem.

- Uważa, że odebrało ci rozum. Ja zresztą też. - Victor wsparł się pięściami pod boki. - Czyżby ten podstęp wobec szpiega, w stajni, się nie udał? A może od razu to planowałaś?

Nicci nie miała ochoty z nim teraz dyskutować; odwzajemniła się równie gniewnym spojrzeniem.

- Mój plan polega na tym - wycodziła przez zaciśnięte zęby - żeby z tym skończyć najszybciej jak się da i zapobiec rzezi mieszkańców Altur'Rang.

- A co to ma wspólnego z oddaniem cię w prezencie Bratu Kronosowi?

- Jeżeli pozwolimy im zaatakować o świcie, będą mieli przewagę. Muszą zaatakować dzisiaj.

- Dzisiaj! - Victor spojrział na zachód, ku nisko wiszącemu słońcu. - Ale już wkrótce zrobi się ciemno.

- Otóż to - odparła, sięgając na tył wozu i wyjmując kawałek sznura.

Victor patrzył ku centrum miasta i głośno myślał:

- No cóż, biorąc wszystko pod uwagę, pewnie byłoby lepiej nie stawiać im czoła za dnia, na ich warunkach. Jeśli uda nam się ich nakłonić, żeby dzisiaj zaatakowali, to raz-dwa zabraknie im dziennego światła. A to zadziałałoby na naszą korzyść.

- Sprowadzę ich wam - obiecała Nicci. - Bądźcie w pogotowiu.

Bruzdy na czole Victora stały się jeszcze głębsze.

- Nie wiem, jak zamierzasz ich nakłonić, żeby jeszcze dzisiaj zaatakowali, ale będziemy gotowi.

Ishaq wyszedł z magazynu, prowadząc białego, czarno nakrapianego ogiera z czarną grzywą, ogonem i nogami pod pęciami. Koń nie tylko pięknie wyglądał, ale sprawiał też wrażenie bardzo wytrzymałego. Jednak Nicci nie takiego się spodziewała.

- Wcale nie jest duży - powiedziała do Ishaq. Ishaq czule pogłodził biały łeb konia.

- Nie mówiłaś, że chcesz dużego. Mówiłaś, że chcesz spokojnego konia, co się tak łatwo nie wystraszy. Takiego, co jest mężny

Nicci ponownie przyjrzała się wierzchowcowi.

- Po prostu uznałam, że taki koń będzie sporych rozmiarów.

- To wariatka - Ishaq mruknął do Victora.

- Będzie martwą wariatką - odparł kowal. Nicci podała Victorowi sznur.

- Wygodniej ci będzie, jeśli staniesz na murku, kiedy już go dosiądę.

Pogłodziła jedwabiste uszy konia, podrapała go pod brodą. Zwierzę z zadowoleniem zarżało i trąciło ją łbem. Nicci przytrzymała mu łeb i wsoczyła weń odrobinę swojej Han - dla uspokojenia i zapoznania się. Przesunęła dłonią po końskich barkach i boku.

Victor bez słowa wdrapał się na murek i zaczekał, aż ona usadowi się w siodle. Nicci ułożyła spódnicę czerwonej sukni, a potem rozpięła guziki aż do pasa. Wyjęła ręce z rękawów, osłaniając się suknią. Potem przytrzymała rozpięty stanik sukni łokciami i wyciągnęła ku Victorowi złączone nadgarstkami ręce.

Twarz Victora zrobiła się równie czerwona jak suknia Nicci.

- A cóż ty wyczyniasz?!

- To są doświadczeni żołnierze Imperialnego Ładu. Będą wśród nich i oficerowie. Sporo czasu spędziłam w obozie Ładu. I byłam powszechnie znana. Niektórzy znali mnie jako Królową Niewolnicę, inni jako Panią Śmierci. Całkiem możliwe, iż niektórzy z nich służyli wtedy w armii Jaganga i mogliby mnie teraz rozpoznać, zwłaszcza gdybym była ubrana w czarną suknię, więc na wszelki wypadek włożyłam czerwoną. Niech się mają na co gapić, to ich rozproszy i uchroni mnie od rozpoznania, zakłócając zwykłą im trzeźwą ocenę sytuacji. Poza tym przyciągnie to uwagę Kronosa i da mu złudzenie, że burmistrz rozpaczliwie pragnie go ułagodzić. Nic bardziej od słabości nie rozbudza w takich ludziach żądzy krwi.

- Napytasz sobie biedy, jeszcze zanim dotrzesz do Kronosa.

- Jestem czarodziejką. Potrafię się o siebie zatroszczyć.

- Richard też jest czarodziejem i nosi miecz naładowany prastarą magią, a i tak wpadł w kłopoty, kiedy przeciwnik był bardzo liczny. O mało nie zginął.

Nicci znowu wyciągnęła ręce ku Victorowi.

- Zwiąż je.

Victor przez chwilę łypał na nią wściekle, a potem ustąpił. Groźnie burcząc, zabrał się do krępowania jej nadgarstków. Ishaq trzymał wodze tuż pod wędzidłem.

- To szybki koń? - spytała Nicci, przyglądając się, jak kowal °wija sznurem jej przeguby.

- Sa'din jest szybki - odparł Ishaq.

- Sa'din? Czyż w starej mowie nie znaczy to „wiatr”? Ishaq potaknął.

- Znasz starą mowę? - spytał.

- Trochę. Dzisiaj Sa'din będzie musiał być szybki jak wiatr. A teraz posłuchajcie mnie obaj. Nie zamierzam pozwolić się zabić.

- Mało kto to zamierza - burknął Victor.

- Nie rozumiesz. Dzięki temu będę się mogła dostać jak najbliżej Kronosa. Kiedy już zaatakuje, to nie tylko będzie go trudno znaleźć, ale i zbliżyć się do niego, choćbyśmy nawet dowiedzieli się, gdzie jest. Zesłałby na niewinnych śmierć na sposoby, których sobie nawet nie potraficie wyobrazić. Siałby grozę, panikę, śmierć. To dlatego jest dla nich taki cenny. Podczas bitwy żołnierze czuwają, żeby nikt im nie ubił czarodzieja, muszę

więc to zrobić teraz. Zamierzam z nim skończyć tej nocy.

Victor i Ishaq spojrzeli na siebie.

- Chcę, żeby wszyscy byli gotowi. Kiedy wrócę, na pewno nadciągną za mną ogromnie rozeźleni żołnierze.

Victor zaciągnął węzeł i spojrzął na nią.

- Ilu będzie tych rozeźlonych?

- Zamierzam tu ściągnąć całą armię. Ishaq delikatnie pogładził łeb Sa'dina.

- A czemuż to będą tak gniewni? O ile mi wolno zapytać.

- Bo nie tylko spróbuję zabić im czarodzieja, ale i porządnie potrząsnąć tym gniazdem szerszeni.

Victor westchnął z irytacją.

- Będziemy przygotowani na atak, ale wcale nie jestem pewny, czy ci się uda stamtąd wydostać, gdy już tam wjedziesz.

Nicci też nie była tego pewna. Pamiętała, że niegdyś realizowała swoje plany, nie dbając o to, czy przeżyje czy nie. Teraz była tym zainteresowana.

- Jeżeli nie wrócę, po prostu zrobicie, co w waszej mocy. Miejmy nadzieję, że jeśli nawet mnie zabiją, to zdołam ze sobą zabrać na tamten świat Kronosa. Tak czy inaczej, mamy dla nich wiele niespodzianek.

- Czy Richard wie, co wymyśliłaś? - zapytał Ishaq, łypiąc na nią z ukosa.

- Spodziewam się, że wiedział, lecz miał na tyle przyzwoitości, żeby mnie jeszcze bardziej nie wyprowadzać z równowagi sporami na temat tego, co przecież muszę zrobić. To nie zabawa. Wszyscy walczymy o nasze życie, o przyszłość. Jeżeli przegramy, zginie wielu porządnych ludzi. Bywałam po drugiej stronie w takich atakach jak ten. Wiem, co nadciąga, próbuję temu zapobiec. Jeżeli nie chcecie pomóc, to przynajmniej zejście mi z drogi. - Spojrzała na jednego, potem na drugiego.

Milczeli rozgorzyczeni. Victor raz-dwa dokończył pętanie jej rąk. Wyciągnął nóż zza cholewy i odciął zbędny kawałek sznura.

- Kto ma cię zaprowadzić do czekających żołnierzy? - zapytał Ishaq.

- Chyba lepiej ty to zrób, Ishaqu. Victor ostrzeże pozostałych i zajmie się przygotowaniem, a ty będziesz przedstawicielem burmistrza.

- W porządku - odparł, drapiąc się w policzek.

- Dobrze - powiedziała, ujmując wodze.

Zanim zdążyła coś dodać, Victor odchrząknął i rzekł:

- Jest coś, o czym chciałem z tobą porozmawiać. Ale obydwójce byliśmy zajęci...

I, co u niego niezwykle, odwrócił od niej wzrok.

- W czym rzecz? - spytała.

- No cóż, normalnie bym tego nie powiedział, ale teraz uważam, że pewnie powinnaś wiedzieć.

- O czym?

- Ludzie zaczynają wątpić w Richarda.

- Wątpić w niego? - Nicci zmarszczyła brwi. - Co ty mówisz? Pod jakim względem?

- Rozeszły się pogłoski, dlaczego wyjechał. Ludzie są zmartwieni, że zostawił ich i sprawę i goni za majakami. Zaczynają sobie zadawać pytanie, czy powinni iść za takim człowiekiem. Gadają, że on... że... no wiesz, że jest pomyłony albo coś w tym rodzaju. Co mam im powiedzieć?

Nicci głęboko odetchnęła, zbierając myśli. Tego się właśnie obawiała. Między innymi z tego właśnie powodu uważała, że powinien tu zostać, nie wyjeżdżać... a już zwłaszcza przed samym atakiem.

- Przypomnij im - powiedziała, nachylając się ku Victorowi - że lord Rahl jest czarodziejem, a czarodziej widzi rzeczy, na przykład odległe, tajemne zagrożenie, których oni dostrzec nie mogą. Czarodziej nie ma zwyczaju objaśniać swoich czynów. Lord Rahl ma wiele innych obowiązków, nie tylko tu, w Altur'Rang. Jeżeli mieszkańcy chcą być wolni, sami decydować o własnym życiu, to powinni działać dla własnego dobra. Powinni ufać, iż Richard, jako lord Rahl i czarodziej, odjechał dla naszej sprawy.

- A ty w to wierzysz? - spytał kowal.

- Nie. Jest jednak pewna różnica. Ja mogę się kierować ideałami, które mi ukazał, i jednocześnie starać się przywrócić mu rozum. Jedno drugiemu nie przeszkadza. Ludzie jednak powinni wierzyć w swojego przywódcę. Jeżeli uznają, że oszalał, wpadną w panikę i się poddadzą. Nie możemy narażać się na takie ryzyko. To, czy Richard jest zdrowy na umyśle czy nie, nie ma wpływu na wagę naszej sprawy. Prawda jest prawdą, z Richardem czy bez niego. Wojska idące, by nas wymordować, są realne. Jeżeli zwyciężą, to ci, którzy ocalą życie, znów się staną niewolnikami Imperialnego Ładu. I nie zmieni tego faktu to, czy Richard żyje czy jest martwy, czy jest szalony czy też zdrowy na umyśle.

Victor skinął głową.

Nicci wbiła piętę w bok Sa'dina, żeby przysunął zad bliżej muru. Obróciła się plecami do stojącego na murze kowala.

- Zsuń mi suknię aż do pasa. I pospiesz się, bo słońce wkrótce zajdzie.

Ishaq się odwrócił, potrząsając głową.

Victor wahał się przez chwilę, potem z rezygnacją westchnął i zrobił, co nakazała.

- No dobrze, Ishaqu, w drogę. Prowadź. - Obejrzała się przez ramię na Victora. - Sprowadzę ci wroga, zanim słońce zajdzie.

- Co mam powiedzieć ludziom? - spytał Victor.

Nicci przybrała chłodną, wyniosłą pozę, jak to często w swoim życiu robiła - przeistoczyła się w lodowato spokojną Panią Śmierci.

- Żeby ich myśli były mroczne i okrutne. Victor po raz pierwszy ponuro się uśmiechnął.

ROZDZIAŁ 26

Ishaq zatrzymał konia Nicci obok miejskiej studni, na małym placu na wschodnim skraju miasta. Siedzący na wielkich bojowych rumakach żołnierze łypnęli na czarodziejkę. Sa'din zdawał się całkiem mały przy tak potężnych koniach. Metalowe osłony łbów nadawały im groźny wygląd. Były to konie kawalerii i osłony chroniły je przed strzałami, kiedy galopowały na przeciwnika. Grzebały kopytami i parskaly, okazując pogardę dla niewielkiego konia, który się wśród nich zjawił. Sa'din cofnął się, żeby uniknąć zębów bojowego rumaka, ale się nie spłoszył.

Konie budziły respekt, lecz jeźdźcy z całą pewnością nad nimi górowali. Ciemne zbroje, kolczugi, imponujący zestaw śmiertelnościanego oręża - żołnierze nie tylko wyglądali na bestialskich okrutników, ale i rozmiarami przewyższali każdego z obrońców miasta. Nicci wiedziała, że właśnie z powodu wyglądu wysłano ich z tą misją. Ład z upodobaniem wysyłał takie zastraszające sygnały mające wzbudzić lęk w sercach jego wrogów.

Ludzie, którzy się wycofali z placu, obserwowali z ciemnych okien, wnęk wejściowych, wąskich ulic i cienistych uliczek, jak Ishaq przekazuje żołnierzom rozebraną do pasa kobietę ze związanymi rękami. Nicci zniosła wcześniejszą podróż przez miasto, nie myśląc o niej, koncentrując się na chęci jak najszybszego skończenia z tym wszystkim i dołączenia do Richarda. Tylko to się liczyło. Ludzie się jej przyglądali - i co z tego? W łapach żołdaków Ładu musiałyby znosić o wiele gorsze rzeczy.

- Jestem bliskim współpracownikiem burmistrza - rzekł służalczym tonem Ishaq do potężnie zbudowanego mężczyzny dosiadającego olbrzymiego, brunatnego wałacha o byczym karku.

Koniec drzewca z białą flagą opierał się o siodło żołnierza pomięty jego nogami; krzepka pięść była zaciśnięta w połowie drzewca. Żołnierz siedział w milczeniu i czekał. Ishaq oblizał wargi, skłonił się i dodał:

- Wysłał mnie w swoim zastępstwie z tą kobietą, swoją żoną... śle ją w darze wielkiemu Kronosowi na znak naszego szczerego podporządkowania się jego woli.

Żołnierz, oficer średniej rangi, przyjrzał się bezczelnie piersiom Nicci, a potem uśmiechnął się do niej z wyższością. U szerokiego skórzanego pasa

widać było parę noży, cep, krótki miecz oraz topór o ostrzu w kształcie półksiężyca. Kolczuga i metalowe pierścienie na nabijanych ćwiekami rzemieniach krzyżujących się na jego potężnej piersi dźwięczały, kiedy koń uderzał kopytami o ziemię. Poczowała ulgę, bo nie rozpoznała tego oficera. Głowę miała spuszczoną, kryła twarz przed towarzyszącymi mu żołnierzami.

Oficer nadal milczał. Ishaq zdjął z głowy kapelusz.

- Przekaż, proszę, nasz znak pokoju...

Oficer rzucił drzewce z białą flagą Ishaqowi. Ten pospiesznie założył kapelusz, żeby złapać drzewce, bo drugą ręką mocno trzymał wodze Sa'dina tuż pod wędzidłem. Drzewce sprawiało wrażenie ciężkiego, ale Ishaq przez większość swojego życia ładował wozy, więc poradził sobie bez problemów.

- Kronos da wam znać, czy dar go zadowolił - warknął oficer.

Ishaq odkasznął, nic nie powiedział i znów uprzejmie się pokłonił. Żołnierze drwiąco się uśmiechnęli i znów bezczelnie łypnęli na obnażone piersi Nicci. Najwyraźniej uwielbiali okazywać innym swoją wyższość i przewagę.

Większość z nich miała nosy, uszy i policzki przekłute metalowymi nitami i pierścieniami - wszystko po to, żeby jeszcze bardziej przerażać wroga. Nicci zaś pomyślała, że z tym wszystkim wyglądają głupio i śmiesznie. Kilku z tuzina wojaków miało twarze pokryte ciemnymi, upiornymi tatuażami; one również miały siał grozę. Ci żołnierze zrealizowali cel swojego życia - stali się dzikusami.

W miastach poddających się Imperialnemu Ładowi powszechny był zwyczaj, że wiele kobiet wydawano obnażonych do pasa - jako przebłagalny dar w prośbie o łaskę. Żołnierze więc ani trochę się nie zdziwili, że w takim stanie przekazuje się im żonę burmistrza. I między innymi dlatego Nicci zdecydowała się na to. Takich błagań o litość i łagodne traktowanie nigdy nie spełniano, lecz kobiety nie miały o tym pojęcia.

Nicci o tym wiedziała, bo często towarzyszyła oddziałom Ładu zagarniającym niewiasty. Owi pojednawczo nastawieni ludzie wyobrażali sobie, że poddanie się w tak służalczy sposób pochlebi tamtym i zapewni im łagodne traktowanie. Nie mieli pojęcia, że z własnej woli wystawiają się na przerażające okrucieństwo. Myśliciele Ładu uważali, że to, jak żołnierze traktują pojmane kobiety, jest błahostką w porównaniu z większym,

powszechnym dobrem przynoszonym przez Ład niewierzącym.

Czasem Nicci wołała umrzeć, niż dalej żyć z takimi wspomnieniami i świadomością, że niegdyś brała udział w tych okropieństwach. Teraz chciała załatwić sprawy tak, jak tylko ona mogła to zrobić. Chciała mieć swój udział w unicestwieniu Ładu.

Ponury oficer, który przywiózł białą flagę do Altur'Rang, pochylił się i wziął od Ishaqa wodze jej konia. Podprowadził swojego wierzchowca blisko ogiera Nicci. Nachylił się ku niej, od niechcienia ścisnął palcami jej brodawkę i powiedział poufale:

- Brat Kronos szybko się nudzi każdą kobietą, bez względu na to, jak jest piękna. Spodziewam się, że i z tobą będzie tak samo. Kiedy się zajmuje następną, to oddaje nam tę, z którą już skończył. Wiedz, że ja będę pierwszy.

Towarzyszący mu żołnierze zarechotali. Wyszczrzył do Nicci zęby. Ciemne oczy groźnie połyskiwały. Tak mocno skręcił w palcach brodawkę, że Nicci wstrzymała z bólu oddech i łzy napłynęły jej do oczu. Puścił ją, zadowolony z siebie i jej pokornej reakcji. Nicci mocno zacisnęła powieki i przycisnęła do siebie grzbiety związanych rąk, starając się złagodzić pulsujący ból.

Kiedy odtrącił jej ręce od piersi, podskoczyła ze zdumienia, a potem potulnie spuściła oczy. Ileż to razy widziała, jak kobiety w podobny sposób starają się ułagodzić takich brutalni, modląc się przy tym w duchu o wybawienie? Dla nich wybawienie nigdy nie nadchodziło. Nicci przypomniała sobie, iż w owym czasie uważała, że nauki Ładu muszą być słuszne, że Stwórca naprawdę jest po ich stronie, bo spokojnie toleruje takie postępowanie jego orędowników.

Nicci nie marnowała czasu na modły o wybawienie; zamierzała sama się uwolnić.

Oficer zawrócił konia i ruszył, zabierając ją ze sobą, a Nicci po raz ostatni rzuciła okiem przez ramię na Ishaqa, stojącego z czerwonym kapeluszem w obu dłoniach i bezustannie przesuwającego w palcach rondo. Oczy lśniły mu od łez. Miała nadzieję, iż nie po raz ostatni widzi jego i pozostałych, lecz miała świadomość, że taka możliwość jest aż nazbyt realna.

Oficer trzymał wodze jej konia, więc Nicci przytrzymała się kuli siodła. Jechali na wschód; żołnierze ciasno ich otoczyli - bardziej po to, żeby się jej dobrze przyjrzeć, pomyślała, niż z obawy o to, że mogłaby uciec.

Kołysali się swobodnie w siodłach i sprawnie kierowali swoimi wierzchowcami, co wskazywało, że są doświadczonymi jeźdźcami większość czasu spędzającymi na koniach.

Jechali pylistą drogą na wschód, a oni od czasu do czasu gapili się na Nicci, szczerząc zęby w uśmiechach pełnych milczących obietnic. Wiedziała jednak, że żaden z nich nie ma odpowiednio wysokiej rangi ni statusu, żeby ją zwlec z konia i trochę się zabawić. Tacy jak Kronos nie lubili, kiedy ich zdobycz była wykorzystywana przez innych, i ci żołnierze o tym wiedzieli. Poza tym na pewno sobie wyobrażali, że dość szybko dostaną ją w swoje łapy, a jeśli nawet im się wywinie, to sobie pofolgują po zdobyciu Altur'Rang.

Nicci starała się nie zwracać uwagi na poządlive spojrzenia mężczyzn; koncentrowała się na tym, co musi uczynić. Wiedziała, że są przyzwyczajeni do takiego zachowania. Nie sięgali myślą poza zastraszenie i zaczepki, więc ciągle się do tego uciekali. Ukryła się za swoją determinacją.

Pozostawało jeszcze trochę czasu do zachodu słońca wiszącego za plecami Nicci, lecz cykady już zaczęły swoją pieśń. Przypominały jej Richarda i noc, kiedy opowiadał o stworzeniach wynurzających się spod ziemi co siedemnaście lat. Niesamowite, że cykady pojawiły się dziesięć razy w trakcie jej życia, a ona o tym nie wiedziała. Życie pod działaniem zaklęcia Pałacu Proroków było nie tylko bardzo długie, ale i izolowało od świata w sposób, z którego nigdy nie zdawała sobie sprawy. Otaczający świat zmierzał w swoim kierunku, ona zaś poświęcała swój czas innym światom. Niektórzy, jak Siostry Mroku będące nauczycielkami Richarda, ulegli kuszącym obietnicom owych innych światów. Nicci też się im poddała, ale nie ze względu na te obietnice. Po prostu uważała, że ten świat nie ma dla niej nic godnego uwagi.

Aż do dnia, w którym zjawił się Richard.

Powietrze było ciepłe i wilgotne, więc Nicci nie marzła podczas jazdy, ale zaczęły się pojawiać moskity i stawały się coraz bardziej dokuczliwe. Cieszyła się, że nie ma rąk związanych za plecami, dzięki czemu mogła przynajmniej strącać owady z twarzy. Porośnięte pszenicą wzgórza, które mijali, gdy zniknął już wschodni skraj miasta, lśniły zielonkawo i złociście w blasku zachodzącego słońca niczym wypolerowany brąz. Drogi były puste, nikt nie pracował na polach. Wszyscy uciekli przed nadciągającą armią niczym zwierzęta przed pożarem.

Wjechali na szczyt wzniesienia i Nicci wreszcie ich zobaczyła - żołnierzy i konie Imperialnego Ładu jak mroczna fala wypełniająca rozciągającą się w dole szeroką dolinę. Chyba nie byli tu zbyt długo, bo właśnie się zabierali do rozbijania obozu. Najwyraźniej chcieli być blisko miasta, żeby rankiem, zaczynając atak, nie musieli zbyt długo maszerować.

Wyznaczono sektory, postawiono niewielkie namioty. Owego morza żołnierzy strzegły kręgi wartowników. Na każdym szczycie wzgórza czujki obserwowały, kto się zbliża.

Namioty rzucały długie cienie na stratowaną pszenicę. Nad doliną już wisiał dym z ognisk. Nicci zauważyła, że wycięto cenny gaj oliwny na drewno na opał. Małe grupki żołnierzy gotowały sobie posiłek - proste potrawy: gulasz, ryż i fasolę, podplomyki, naleśniki. Woń palącego się drewna i przygotowywanej stawy mieszała się z zapachem zwierząt, ludzi i gnoju.

Eskorta ciasno otaczała Nicci, kiedy wjechali do obozu i posuwali się prowizoryczną drogą poprzez kłębiący się tłum. Nicci spodziewała się, że będą hałaśliwi, że będą pić i świętować zbliżającą się wielką bitwę. A tu nie. Zajmowali się przygotowaniem do czekającego ich zadania: ostrzyli broń, przeglądali siodła i uprząż, oporządzali konie. Lance i dzidy już były naostrzone i porządnie ułożone w stosy w całym obozie. Kowale w przenośnej kuźni ciężko pracowali młotami i szczypcami, a ich pomocnicy energicznie dęli w miechy. Podkuwano konie, reperowano skórzany ekwipunek. Kawaleryjskie konie karmiono i szczotkowano.

To nie był typowy obóz Imperialnego Ładu, w którym królował chaos. Armia na północy była niezmiernie liczna. Wiele jej formacji było zaledwie niedyscyplinowaną tłuszcą, którą co jakiś czas wypuszczano na bezbronnych cywilów, pozwalając łupić ich do woli. Ten oddział był o wiele mniejszy, liczył niespełna dwadzieścia tysięcy żołnierzy. To był obóz dobrze naoliwionej wojennej maszyny.

W głównym obozie armii Imperialnego Ładu kobietę z obnażonymi piersiami ściągnięto by już z konia i zgwałcono. Ci żołnierze byli równie lubieżni jak tamci, lecz o wiele bardziej zdyscyplinowani. Od razu widać było, iż to doświadczony, fanatyczny, starannie wyselekcjonowane oddziały wysłane, żeby wyrzucić gniewną pomstę imperatora na rodzinnym mieście, które go obraziło, odrzucając wszystko, czego nauczał.

Nicci zadrżała ze zgrozy, że znów jest pośród nich. To był kwiat armii Ładu. Żołnierze, którzy radośnie zabijali każdego, kto im stawiał opór. Okrutnicy, którzy upajali się przemocą, z jaką narzucali innym swoje przekonania. Jak ulał pasowało do nich określenie: „głodni krwi”. To oni siłą zmuszali do przyjęcia nauk Ładu.

Kiedy Nicci jechała z eskortą przez obóz, wszyscy żołnierze pożerali ją wzrokiem. Cały czas towarzyszyły jej pokrzykiwania, gwizdy, wiwaty. Ze śmiechem rzucano jej ohydne obietnice. Niczego nie pozostawiano wyobraźni. Nie oszczędzono jej żadnego wulgarnego określenia i choć znała je wszystkie z czasów swego pobytu u Jaganga, teraz dotyczyły one jej, a nie innej kobiety.

Patrzyła przed siebie, myśląc o tym, jak traktował ją Richard i jak wiele taki szacunek znaczył.

W pobliżu kępy balsamicznych topoli rosnących na brzegu płynącego przez dolinę strumienia dojrzała namioty z jagnięcych skór, trochę większe od pozostałych. Nie tak wymyślne jak namioty świty imperatora Jaganga, były jednak dość luksusowe jak na standardy armii. Mała grupa namiotów dowództwa stała na szczycie wzgórza, co pozwalało oficerom obserwować wszystko z góry. W przeciwieństwie do głównego obozu armii, nie było tu pierścienia strażników oddzielającego doborowe siły i oficerów od zwyczajnych żołnierzy. Przed głównym namiotem niewolnicy obracali nabite na różny kawały mięsa; niewolnicy, którzy zawsze towarzyszyli wyższym oficerom... lub arcykapłanom Bractwa Ładu. Takim oddziałom jak te towarzyszyli wyłącznie najbardziej lojalni niewolnicy.

Zatrzymali się i oficer trzymający wodze konia Nicci kiwnął głową, dając znak jednemu ze swoich ludzi, żeby ich zaanonsował. Tamten zeskoczył na ziemię. Ruszył ku głównemu namiotowi, a z każdym krokiem z jego spodni unosiły się tumany kurzu.

Nicci zauważyła, że ciekawscy żołnierze podchodzą coraz bliżej, chcąc się przyjrzeć kobiecie przysłanej w darze ich przywódcy. Słyszała, jak śmieją się i dowcipkują, gapiąc się na nią. Jeszcze nigdy nie widziała takich zimnych i przerażających oczu wpatrujących się w nią.

Najbardziej niepokoiło ją jednak to, że wielu z nich trzymało dzidy lub łuki z nasadzonymi na cięciwę strzałami. Ci żołnierze nie pozwalali sobie na żadne ryzyko. Pożerali ją wzrokiem, a jednocześnie byli przygotowani na

każde zagrożenie, jakie jej obecność mogła spowodować.

Wartownik wpuścił do głównego namiotu żołnierza, który miał zaanonsować przybycie Nicci. Chwilę później pojawił się on w towarzystwie wysokiego mężczyzny w barwionych henną szatach. Jego strój wyglądał na tle powszechnej burości jak skrzepnięta krew. Kaptur szaty, pomimo gorąca i wilgoci, dostojnie okrywał jego głowę - oznaka duchowego zwierchnictwa.

Mężczyzna dostojnie podszedł na skraj wzniesienia, bliżej Nicci, i przybrał butną pozę. Niespiesznie się jej przyjrzał - oceniał towar.

Oficer trzymający wodze konia czarodziejki skłonił się mu, nie zsiadając.

- Skromny dar od mieszkańców Altur'Rang - wyjaśnił z kpiącą dwornością.

Będący w pobliżu żołnierze zaśmiali się cicho, opowiadając sobie, jak to Kronos będzie się rozkoszował owym darem. Z pobliskich namiotów wyszli oficerowie, żeby sprawdzić, co się dzieje. Na usta Kronosa wypłynął pożądlivy uśmiezek.

- Wprowadźcie ją do środka. Muszę rozpakować dar i bliżej mu się przyjrzeć.

Żołnierze głośniejsze zaśmiali. Kronos szerzej się uśmiechnął, zadowolony, że jego dowcip ich rozbawił.

Nicci zdawała sobie sprawę, że taki wygląd jej sukni ich podnieca, jednak podjęła to ryzyko. Uważała, że to konieczne. Ci ludzie byli okrutni i prymitywni i jej położenie ich bawiło.

Brat Kronos przyglądał się jej, czekając, aż ją zaprowadzą do namiotu. Jego nieruchome spojrzenie przykuwało uwagę. Stwierdziła, że wpatruje się w jego ciemne oczy. Otoczyli ją żołnierze.

Nicci wiedziała, że nie może pozwolić, żeby ściągnęli ją z konia. To musiało nastąpić teraz.

Tyle chciała Bratu Kronosowi powiedzieć. Chciała mu powiedzieć, co o nim myśli, co zamierza mu zrobić, co Richard zamierza uczynić całemu Imperialnemu Ładowi.

Zwykła śmierć byłaby zbyt łagodna dla Kronosa. Nicci chciała, żeby cierpiał, zanim umrze. Żeby świetnie wiedział, co ona chowa dla niego w zanadrzu. Żeby to czuł, żeby się skręcał w straszliwej męce, żeby błagał o litość, żeby posmakował goryczy przegranej. Chciała, żeby cierpiał za niedolę, którą sprowadzał. Żeby zapłacił za wszystko, co kiedykolwiek

uczynił niewinnym ludziom.

Chciała, żeby wiedział, że zmarnował swoje życie i że ono właśnie dobiega końca. Ale wiedziała, że nie może sobie na to pozwolić. Ryzykowałaby przegraną, gdyby spróbowała choć odrobinę z tego urzeczywistnić.

Więc jedynie uniosła nieco skierowane ku niemu pięści i przyzwała swoją Han. Obawiając się, że Kronos może wyczuć, co się święci, powstrzymała się od zmarnowania choćby sekundy na jakiś wymyślny czar. Wykorzystała zwyczajne uderzenie strumieniem powietrza, lecz było ono tak gwałtowne, że przewyższało wszystko, czego się mógł spodziewać, nawet gdyby podejrzewał, że ona może być czarodziejką.

W jednej chwili obóz rozświetliła gwałtowna błyskawica - oślepiający błysk wywołany żarem wytworzonym przez ukierunkowane sprężenie powietrza.

Ponieważ najmniejsza zwłoka mogłaby mu umożliwić kontratak, zanimby umarł, Nicci odmówiła sobie przyjemności pełnego satysfakcji uśmiechu, kiedy ostra powietrzna strzała mknęła ku jego głowie.

Zanim Brat Kronos uświadomił sobie, że coś się dzieje, powietrzna strzała Nicci wybiła mu pośrodku czoła dziurę wielkości pięści. Krew i mózg zbryzgały ściankę stojącego za nim namiotu, czarodziej zaś padł niczym wór piachu, martwy. Nie miał okazji odpowiedzieć na atak.

Nicci wykorzystała moc, żeby przeciąć sznur krępujący jej przeguby. Zasyczał pod wpływem żaru i opadł.

Natychmiast utworzyła z Han brzeszczot mocy, którym zatoczyła łuk niczym mistrz miecza swoją klingą. Oficer prowadzący jej konia i całą drogę uśmiechający się do niej pożądliwie stęknął, kiedy tuż pod żebrami przecięło go gorące ostrze. Otworzył usta, lecz nie wydobył się z nich żaden krzyk, kiedy górna połowa jego ciała z łomotem uderzyła o ziemię.

Drugi żołnierz tylko się zachłysnął oddechem, kiedy i jego ostrze rozcięło na pół. Pętle jelit wypłynęły na kark jego konia. Nicci obracała się w siodle, zataczając łuki wyczarowanym ostrzem. Śmiercionośne ostrze, mknąc z oszałamiającą szybkością, z sykiem cięło powietrze i rzucało odbłaski na rozedrgane liście rosnących w pobliżu balsamicznych topoli. Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, przecięło wszystkich otaczających Nicci żołnierzy na koniach.

Powietrze wypełnił odór przypalonego ciała, krwi, zawartości porozrywanych trzewi. Konie stawały dęba i wierzgały, usiłując się uwolnić od pozbawionych reszty ciała nóg. Rumaków bojowych podczas bitwy dosiadali i kierowali nimi znajomi im jeźdźcy. Teraz zaś były zdane tylko na siebie i w przerażeniu przewróciły i stratowały wielu nadbiegających żołnierzy, jeszcze wzmagając zamęt.

Dokoła narastało pandemonium, nadbiegali żołnierze, a Nicci koncentrowała swą wolę przed przypuszczeniem kolejnego ataku.

Właśnie miała uwolnić śmiertcionośną moc, kiedy nieoczekiwanie poleciała w przód. Jednocześnie ogłuszył ją ból - dostała potężne uderzenie w plecy. Było zadane z taką siłą, że pozbawiło ją oddechu. Zobaczyła kawałki lancy, którą zamachnięto się niczym pałką.

Nicci, oszołomiona, uświadomiła sobie, że właśnie uderzyła twarzą o ziemię. Rozpaczliwie starała się zebrać w sobie. Twarz miała odrętwiała. Czuła smak krwi. Uniosła się na drżących rękach i ujrzała, że z brody ściekają jej strużki krwi.

Uświadomiła sobie, że nie może zaczerpnąć oddechu. Znów spróbowała, lecz wszelkie jej wysiłki na nic się zdały.

Świat wokół niej wirował. Sa'din był nad nią, przebierał nogami, lecz nie mógł się cofnąć. Nicci bała się, że koń może niechcący na nią nastąpić, ale nie była w stanie się odsunąć. Żołnierzom wreszcie udało się odciągnąć konia. Inni uklękli obok Nicci. Kolano na plecach znowu rozpląszczyło ją na ziemi. Silne dłonie złapały ją za ramiona, nogi, włosy, przyciskając do podłoża, jakby się mogła podnieść o własnych siłach.

Żołnierze najwyraźniej się bali, że przyzwie swoją moc, jeżeli się podniesie - jakby mający dar musieli w tym celu stać i jakby przyciskanie Nicci do ziemi gwarantowało owym wojakom bezpieczeństwo. Ale mający dar powinni mieć trzeźwy umysł, żeby się móc posłużyć swoją mocą, a ona była oszołomiona, pozbawiona tchu.

Przewrócili ją na plecy. But na szyi przyciskał ją do ziemi. Wymierzyli w nią najrozmaitszą broń.

Wtem przeraziła ją pewna myśl - ciemne oczy.

Czarodziej, którego właśnie zabiła, miał ciemne oczy.

Kronos zaś miał ponoć niebieskie.

Z trudem porządkowała to w myślach. Zabiła arcykapłana. To nie miało

sensu.

Chyba że mieli ze sobą nie tylko tego jednego Brata.

Przytrzymujący ją żołnierze cofnęli się. Patrzyły na nią gniewnie niebieskie oczy. Człowiek w długich szatach. Nasunięty kaptur. Arcykapłan.

- Cóż, czarodziejko, właśnie ci się udało zabić Brata Byrona, wiernego sługę Bractwa Ładu. - Jego ton świadczył, że jeszcze nie zaczął dawać wyrazu narastającemu w nim gniewowi.

Nicci wciąż nie mogła oddychać. Ból w plecach rozchodził się obezwładniającymi falami. Zastanawiała się, czy żołnierz, który ją tak zdzielił, połamał jej żebra. Czy ma przetrącony kręgosłup. Przypuszczała, że teraz to i tak nie ma znaczenia.

- Pozwól, że się przedstawię - odezwał się stojący nad nią czerwonolicy mężczyzna; zsunął z głowy kaptur. - Jestem Brat Kronos. Teraz należysz do mnie. Zamierzam sprawić, że długo i boleśnie będziesz płacić za zabójstwo dobrego człowieka, który jedynie spełniał szlachetne dzieło Stwórcy.

ROZDZIAŁ 27

Nicci nie mogła zaczerpnąć tchu ani żeby sobie ocalić życie, ani żeby cokolwiek powiedzieć. Tak ją to przerażało, że nie była w stanie myśleć. Strach, wywołany brakiem powietrza i niemożnością zaczerpnięcia go, rósł z każdą sekundą.

Nie wiedziała, co robić. Przypomniała sobie trafionego strzałą Richarda, który też nie mógł oddychać. Pamiętała, jak jego skóra zszarzała, a potem zaczęła sinieć. Tak się wtedy o niego bała, tak ją przerażało, że nie może oddychać. A teraz i ją to spotkało.

Uśmiech Kronosa był ponury i wredny jak żaden inny, ale teraz jej to nie obchodziło.

- Cóż za wyczyn dla czarodziejki: zabić czarodzieja. Dokonałaś jednak tego podstępem, więc to nie był prawdziwy wyczyn. To było zwykłe, perfidne oszustwo.

Nie wiedział. Nicci pojęła, że on nadal nie wie, kim ona jest... lub czym jest. Że nie jest zwyczajną czarodziejką. Ale rozpaczliwie potrzebowała powietrza, żeby w ogóle być.

Pole widzenia zwężało się jej w czarny tunel, u którego wylotu widniała wykrzywiona się w furii twarz czarodzieja Kronosa. Ze wszystkich sił starała się wciągnąć w płuca powietrze. Miała wrażenie, że jej ciało zapomniało, jak się oddycha.

Zaskoczyło ją to, że żebra z braku powietrza aż tak bołą i pulsują. Tego się nie spodziewała. Rozpaczliwie starała się zrobić wdech, lecz życiodajne powietrze nie chciało jej wypełnić płuc. Musiała uznać, że ten, kto ją tak zdzielił, musiał spowodować poważne obrażenia i dlatego już nigdy nie będzie mogła oddychać.

I wtedy Kronos zgrzytnął zębami i podstępnie wbił jej w pierś magiczne kolce mające zadać straszliwy ból. Nagły ostry ból sprawił, że Nicci spazmatycznie wciągnęła powietrze, nawet nie wiedząc, że to czyni.

Gorące powietrze wypełniło jej płuca. Odruchowo uderzyła Han w źródło przeraźliwego bólu.

Kronos krzyknął i cofnął się, przyciskając do siebie dłoń, którą wymierzał Nicci pomstę. Z przegubu spływała krew, dostając się pod rękaw szaty.

Potrafiła go zmusić, żeby ją uwolnił, i nawet zranić, ale wciąż jeszcze była zbyt oszołomiona, żeby przełamać osłony czarodzieja i go zabić. Dyszała, chciwie łapiąc powietrze, chociaż każdy oddech sprawiał jej ból. Wiedziała jednak, że brak tchu zadaje jeszcze większą mękę.

- Ty brudna suko! - ryknął Kronos, przyciskając drżącą dłoń do piersi. - Jak śmiesz kierować swoją moc przeciwko mnie?! Nie licz na to, że twój dar dorównuje mojemu! Szybko się przekonasz, gdzie twoje miejsce!

Twarcz miał purpurową z wściekłości. Delikatnym muśnięciem Han Nicci wyczuła silne osłony, które przed sobą ustawił. Ale zanim to zrobił, zdążyła mu opalić palce do kości. Teraz zaś świetnie wiedziała, że Kronos zamierza w odwecie zadać jej długą i straszliwą mękę.

Wymyślał jej, klął i wyzywał ją, zapowiadał, co jej zrobi i co ją czeka, kiedy on już z nią skończy. Otaczający ich żołnierze słuchali tego i coraz szerzej się uśmiechali.

Myślał, że jest czarodziejką i że jego dar jest silniejszy. Nie wiedział, że ona jest kimś więcej, że stała się Siostrą Mroku. A nawet gdyby to wiedział, mógł nie pojmować, bo tylko nieliczni rozumieli, co się za tym kryje. Siostra Mroku miała do dyspozycji nie tylko swój dar, ale i Han czarodzieja; odbierała mu dar, zanim przeszedł przez zasłonę do świata zmarłych. I jakby połączenie daru czarodziejki i czarodzieja nie było samo w sobie dostatecznie potężną mocą, dołączała się jeszcze do tego magia subtraktywna pozyskana w chwili śmierci czarodzieja dawcy, kiedy to na mgnienie rozdzielała się zasłona zaświatów. Jego Han - znajdująca się już w czarodziejce - była łącznikiem, przez który płynęła zza zasłony magia subtraktywna.

Tylko nieliczni potrafili władać tym rodzajem magii - Richard dzięki wrodzonemu darowi i Siostry Mroku dzięki podstępowi. Siostry Mroku były teraz niewolnicami Jaganga; wolna była jedynie Nicci i trzy nauczycielki Richarda z Pałacu Proroków oraz ich przywódczyni, Siostra Ulicia.

Kronos groził Nicci okrwawioną pięścią.

- Mieszkańcy Altur'Rang to zdrajcy! Zbzcześcili święte miejsce! Odrzucając nauki Ładu, odrzucili nauki Stwórcy! Stwórca się zemści za naszym pośrednictwem i rozgromi tych grzeszników! Oczyszczymy Altur'Rang nie tylko z ich krwi i kości, ale i z ich bezbożnych pomysłów! Imperialny Ład na nowo będzie władać Altur'Rang i z tego to miasta Jagang Sprawiedliwy

będzie rządzić światem według sprawiedliwych nauk Stwórcy!

Nicci z trudem tłumiła śmiech. Kronos nie miał pojęcia, że przemawia do autorki tytułu „Jagang Sprawiedliwy”. To ona wytłumaczyła imperatorowi, że takie propagowanie sprawiedliwości pod jego rządami bez walki przeciągnie na jego stronę bardzo wielu ludzi. Chciał z nimi wszystkimi walczyć, lecz ona potrafiła go przekonać, że korzystniej będzie dla niego, jeżeli z własnej woli opowiedzą się po jego stronie. Wmówiła Jagangowi, że tytuł, który mu nadała, przyciągnie do niego ludzi.

Okazało się, iż były to prorocze słowa i wielu ludzi, utożsamiając intencje z czynami, masowo ciągnęło do Jaganga, choć mało co wiedzieli o nim i o Ładzie. Nicci nigdy nie przestawała się dziwić, że słowa, choćby nie wiadomo jak kłamliwe, wystarczą, żeby przekonać rzesze ludzkie do tego, co chce im się wmówić. Przypuszczała, że to dlatego, iż ludzie wolą, żeby ktoś za nich myślał.

Tyrada Kronosa dała Nicci czas na odzyskanie sił. I teraz już nie mogła zmarnować ani chwili.

Wyciągnęła ramię, mierząc w Kronosa pięścią. Chciała, żeby jej moc popłynęła ramieniem i skupiła się tuż przy pięści. Nie było to konieczne, ale chciała to właśnie tak rozegrać, by ku jej zadowoleniu, Kronos widział, co mu zagraża.

Był tak dufny w swoją moc i osłony, że wroga postawa Nicci tylko bardziej go rozwścieczyła.

- Jak śmiesz grozić...

Uwolniła strzałę splecionych ze sobą magii - addytywnej i subtraktywnej - niszczycielska moc zaś, niczym błyskawica przez papierową przegrodę, przebiła się przez osłony czarodzieja i wybiła mu w piersi dziurę wielkości melona.

Oczy Kronosa otworzyły się szeroko. Rozdziawił usta, zaszokowany, kiedy jego umysł uświadamiał sobie to, co nieuniknione.

Przez dziurę w jego piersi Nicci widziała niebo. Niemal natychmiast wewnętrzne ciśnienie wepchnęło w pustkę to, co zostało z jego wnętrzości, a śmiertelnie ranne ciało Kronosa zważyło się na ziemię.

Biedak nie miał pojęcia, że nie dorównuje jej mocą. Mógł wyczarować osłony jedynie z magii addytywnej, które niewiele znaczyły wobec magii subtraktywnej.

Otaczający Nicci żołnierze już wycelowali w nią broń. Silne ramiona naciągnęły ciężki. W Nicci celowały groty dzid, miecze, topory i piki.

Bezzwłocznie uwolniła moc splecionych ze sobą przeciwstawnych magii - potężny wybuch uniósł w powietrze oficerskie namioty i uderzył w zgromadzonych na wzgórzu żołnierzy. Niszcząca siła tworzyła krąg rozszerzający się z oszałamiającą szybkością odzierający kości z ciała. Potop krwi zmienił ziemię w błocko.

Żar był taki, że pobliskie drzewa stanęły w płomieniach. Zapaliło się również odzienie żołnierzy biegnących ku pagórkowi. Zapłonęły ciała tych, którzy byli bliżej. Ci, którzy dobiegli jeszcze bliżej, zostali rozdarci na strzępy. Uwolniona przez Nicci moc malała wraz z odległością i ci, którzy byli dalej, zostali jedynie rzućni o ziemię.

Tak ogromny wysiłek był bardzo ryzykowny, ponieważ wyczerpywał, lecz spowodował pożądane skutki. W jednej chwili nie było butnych żołdaków rechoczących nad pojmaną kobietą - wszystkich ogarnęły strach i panika.

Nicci, bojąc się, że utraci przewagę, zogniskowała żar na pniach drzew porastających brzeg płynącego za żołnierzami strumienia. Mały wydatek mocy, a wspaniały efekt. Przegrzane soki natychmiast zmieniły się w parę i grube pnie balsamicznych topoli eksplodowały z hukiem - kawały odłupanego drewna poleciały w tłum żołnierzy, zabijając całe ich mnóstwo.

Nicci pospiesznie wyczarowała płynny ogień i posłała go przez łąkę prosto w to całe zamieszanie - ludzi, konie i ekwipunek pochłonęły ryczące płomienie. Wrzaski ludzi i ryki zwierząt zlały się w jedno straszliwe wycie. Powietrze cuchnęło tłustym dymem, płonącymi włosami i ciałami.

Żołnierze wreszcie ku niej nie biegli. Korzystając z tej chwili wytchnienia, Nicci z wysiłkiem podniosła się z przesiąkniętej krwią ziemi. Chwiejnie szła pośród tej jatki. Sa'din wybiegł z oparów i trącając ją łbem, pomagał utrzymać równowagę. Zarzuciła mu ramię na kark, rada, że udało jej się tak pokierować mocą, iż nie odniósł ran, że jest cały i zdrowy.

Na koniec chwyciła wodze i - stękając z wysiłku - podciągnęła się na konia, zanim żołnierze zdążyli go przebić dzidą, usiec ją lub zasypać ich gradem strzał. Okręciła Sa'dina dokoła, cały czas rzucając kule ognia w żołnierzy, którzy znów ku niej biegli. Zajmowali się ogniem i brnęli na oślep, wrzeszcząc, machając rękami, zderzając się z innymi lub wpadając na namioty.

Z dymów wypadł nagle żołnierz na wielkim bojowym rumaku. Wydał głośny okrzyk i uniósł miecz. Zanim Nicci zdążyła zareagować, Sa'din zarżał z wściekłością i odgryzł ucho jego rumakowi. Zranione zwierzę ryknęło w przerażeniu i bólu, okręciło się i wierzgnęło, jeździec zaś poleciał prosto w palące się ciało.

Nicci skierowała sieć mocy na gnających ku niej żołnierzy - na każdego po kolei, na chwilę wystarczającą do zatrzymania serca. Potykali się, przyciskając ręce do piersi. Widok kolegów padających z jakichś tajemniczych powodów był bardziej przerażający niż tamta okrutna masakra. Z punktu widzenia Nicci ta metoda była równie skuteczna jak poprzednia, a pochłaniała mniej siły; zatrzymanie serca, choć wymagało dokładnego trafienia w cel, było łatwiejsze niż wyczarowanie płomieni i błyskawic. Gnało ku niej tylu żołnierzy, że wiedziała, iż będzie jej potrzebna cała moc, jeżeli chce ująć z życiem.

Żołnierze znajdujący się w pobliżu wzgórza widzieli, co się dzieje, lecz ci z dalszych części obozu wiedzieli tylko, że ich zaatakowano. Byli dobrze wyszkolonymi wojakami, więc ruszyli z pomocą.

Ze wszystkich stron nadlatywał deszcz strzał. Zaczęły śmigać dzidy. Jedna ze strzał przemknęła przez włosy Nicci. Kolejna trafiła ją w ramię na tyle mocno, żeby zranić. Nicci uderzyła obcasami w boki Sa'dina i położyła się na jego karku. Zdumiała ją siła i szybkość konia. Bez strachu pognął wprost na biegnących ku nim żołnierzy. Pod jego kopytami kości łamały się z niemiłym trzaskiem. Żołnierze się rozstąpili. Sa'din przeskakiwał przez namioty i ogniska. Powietrze dygotało od przeraźliwych wrzasków. Galopująca przez obóz Nicci wykorzystywała każdą okazję do zadawania wrogowi jeszcze większych strat.

Za nią z tysięcy gardzieli żołnierzy wypełniających dolinę zaczął płynąć narastający gniewny ryk, przerażający natężeniem, furią i agresją.

Nicci żywo wspomniała ostrzeżenie Richarda, że wystarczy jedna celna strzała. A były ich tysiące. I teraz korzystała z mocy, żeby chronić siebie i konia, a nie, żeby atakować.

Sa'din niósł ją pomiędzy żołnierzami, końmi, wozami i namiotami, a Nicci znów, rezygnując z osłon, wyczarowała ostrze przecinające wszystko, co żywe i w miarę blisko położone. Twarde powietrzne ostrze przecinało żołnierzy biegnących, by ją zatrzymać. Jej koń przesadzał przeszkody lub

uchylał się przed innymi, a śmiertcionośne ostrze jednych dekapitowało, a drugich przecinało na wysokości kolan. Konie rżały, kiedy załamywały się pod nimi nogi i waliły się na ziemię. Śladem Nicci podążały wrzaski bólu i przerażenia. Ale i narastający ryk wściekłości.

Gnając przez obóz, widziała, jak szybko tamci siodłają konie i wskakują na siodła. Z rozmieszczonych w całym obozie stosów chwymano lance i dzidy. Nicci żałowała, że nie może zniszczyć broni, ale musiała się skupić na utrzymaniu się na Sa'dinie przesadzającym wszystko, co mu stanęło na drodze, nawet wozy. Koń najwyraźniej postanowił najszybciej jak się da wynieść ją z niebezpiecznego miejsca. I tak ruszała za nimi pogoń - piesza i konna.

Wypadli za ostatnie namioty i Nicci obejrzała się za siebie. W obozie panował chaos. Płomienie nadal biły w niebo. W wielu miejscach unosiły się chmury tłustego, czarnego dymu. Nie miała pojęcia, ilu żołnierzy zabiła, lecz goniły ją tysiące. Tak się wytrzęsła na galopującym koniu, że okropnie bolały ją plecy.

Przynajmniej usunęła Kronosa. Próbowali ją oszukać, ale zapłacili za to drugim czarodziejem, o którego obecności nie wiedziała i który mógł napytać biedy obrońcom Altur'Rang. Czyli wyszło na dobre.

O ile nie mieli trzech czarodziejów...

ROZDZIAŁ 28

Nicci znalazła się na szczycie wzgórza, skąd miała wspaniały widok na rozciągające się w oddali miasto. Obejrzała się przez ramię - rozpędzona konnica była tuż-tuż. Widziała uniesione miecze, topory, dzidy i lance; lśniły w zachodzącym słońcu niczym stalowe kolce olbrzymiego jeżozwierza. Tumany wzbijanego przez konie kurzu przesłaniały mroczniejące na wschodzie niebo. Ścigały ją przerażające bojowe okrzyki przesycone żądzą krwi.

A była to jedynie konnica. Nicci wiedziała, że za jeźdźcami ciągnie ława piechurów.

Nawet gdyby nie oślepiało jej zachodzące słońce, to i tak pewnie nikogo by w mieście nie wypatrzyła. Tak właśnie powinno być. Chciała, żeby większość mieszkańców trwała w ukryciu. A jednak niezbyt miło było tak samotnie uciekać przed ścigającymi ją rozwścieczonymi niczym szerszenie żołnierzami.

Powiedziała Victorowi i Ishaqowi, którzy zamierza wrócić, żeby jak najlepiej mogli przygotować obronę. Miała nadzieję, że są gotowi. Nie mieli za dużo czasu na przygotowania. I więcej go nie będzie - czas się skończył.

Miasto było coraz bliżej. Nicci w końcu wsunęła w rękaw sukni prawe ramię, potem sięgnęła w tył i wepchnęła lewe ramię w drugi rękaw. Jedną ręką trzymała wodze, pochylając się na kark galopującego konia, a drugą zapinała guziki sukni. Uśmiechem skwitowała to niewielkie zwycięstwo.

Po bokach mignęły jej pierwsze niewielkie budynki. Skrót odchodzący od głównej drogi szybciej by ją doprowadził do miasta, lecz Nicci trzymała się głównego szlaku, który na obrzeżach miasta zmienił się w szeroki bulwar, główną, wiodącą ze wschodu na zachód, arterię Altur'Rang. Domy stały coraz ciaśniej i były coraz wyższe. Miejscami wzdłuż ulicy rosły drzewa. Nicci widziała przyklejone do ich kory wylinki cykad. Przelotnie wspomniała noc w szałasie, ciepło ramienia Richarda.

Sa'din zaczął się pokrywać pianą - znak, że był coraz bardziej zmęczony - ale wcale nie miał zamiaru zwolnić. Musiała go trochę przyhamować, żeby konnica mogła się do nich zbliżyć. Chciała, żeby im się zdawało, że ją doganiają. Kiedy drapiezca dogania ofiarę, przestaje zwracać uwagę na

wszystko inne. Instynkt łowiecki żołnierzy był równie silny jak u wilków. Nicci chciała, żeby ścigający ją zapomnieli o ostrożności, więc nieco osunęła się w bok, udając, że jest ranna i może lada chwila spaść.

Gnała środkiem ulicy, wzbijając za sobą wstęgę kurzu; zaczęła rozpoznawać grupy budynków. Pamiętała układ okien. Zobaczyła po lewej oszalowany żółtymi deskami dom i czerwone okiennice po prawej; rozpoznała je. W mrokach uliczki, tuż za ciasno stojącymi mieszkalnymi domkami - pranie suszyło się na rozciągniętych pomiędzy nimi sznurach - dojrzała przyczajonych ludzi. Wszyscy mieli łuki. Już była blisko.

Nagle dotarła do trzypiętrowego ceglano domu. Mało brakowało, by go nie rozpoznała. Ułożony w poprzek ulicy segment kolców przykryto cienką warstewką ziemi, żeby żołnierze go nie zauważyli. Przemknęła obok, dostrzegając mężczyzn czających się tuż za rogiem i gotowych unieść kolce, gdy tylko ona zniknie.

- Poczekajcie, aż więcej ich was minie! - zawołała na tyle głośno, by usłyszeli ją tylko obrońcy.

Zobaczyła, że jeden z nich kiwnął jej głową. Miała nadzieję, że zrozumieli. Gdyby podnieśli kolce przed konnicą i zablokowali ją całą, wybiliby tylko tych na przedzie, a pozostali zdążyliby uciec i się przegrupować. Obrońcy zaś mogliby stracić szansę rozbicia konnicy. Dlatego ci przy kolcach powinni przepuścić większość koni.

Nicci obejrzała się przez ramię - krzepy żołnierze, wznosząc broń, grzmiącym galopem mijali ceglany dom. Większość znalazła się dalej i wtedy rozległ się łomot, bo rozpędzone konie runęły wprost na żelazne kolce. Znajdujące się za nimi konie nie mogły się zatrzymać i zderzyły się z nabitymi na kolce zwierzętami. Wrzasnęli miazdzeni jeźdźcy, inni polecili w przód ponad łbami koni.

Z okien posypał się deszcz strzał; spieszeni kawalerzyści usiłowali powstrzymać nadal szarżującą część konnicy. Jeźdźcy rozpaczliwie starali się wyhamować swoje wierzchowce. Trafiano w nich strzałami. Ludzie i konie byli zasypywani gradem strzał lecących z rozmaitych kierunków. Większość żołnierzy unosiła ramię i dopiero wtedy docierało do nich, że w pośpiechu zapomnieli o zabraniu tarcz.

Jeźdźcy ciągle jeszcze rozbijali się o nieoczekiwaną przeszkodę, a Nicci dotarła do rozwidlenia szerokiej ulicy. Część ścigającej ją konnicy była tuż-

tuż i galopowała za nią.

- Zaczekajcie, aż połowa przejedzie! - wrzasnęła do ludzi ukrytych za węglem wysokiego kamiennego muru.

I znów rozległ się straszny łomot oraz ryk bólu i przerażenia zwierząt, zniecka rozdieranym lub nabijanym na kolce. Krzyki spadających z koni żołnierzy. Zza budynku wyskoczyli ludzie z pikami zabijali żołnierzy, zanim ci zdążyli się podnieść z ziemi i stanąć do walki. Pozbierano topory, miecze i cepy, by użyć ich przeciwko Ładowi.

Część konnicy, drugi raz wyprowadzona w pole, nie miała ochoty znów się dać oszukać i w pełnym galopie oddzieliła się od głównej kolumny. Jedni skręcili w lewo, drudzy w prawo.

Gnający za czarodziejką nie zdążyli podjąć decyzji, czy powinni zaniechać pogoni. Nicci zaś minęła trzecią zaporę i obrońcy szarpnęli w górę i zamocowali kolejny segment ostrych żelaznych kolców. Galopujące tuż za nią konie runęły na przeszkodę. Rozległy się okropne ryki zwierząt wpadających na te, które się już nadziały na zaostrome kolce, oraz krzyki złapanym w pułapkę jeźdźców. Prawie w tym samym czasie kawalerzyści, którzy skręcili w lewo lub w prawo, wpadli na takie same żelazne zapory. Wróg znalazł się w zablokowanym kanionie - tyle że z cegieł i żelaza, a nie skalnym.

Gnające pełnym galopem konie ze straszliwą siłą uderzyły w blokującą główną ulicę płataninę pokiereszowanych ludzi i zwierząt. Pękały kości. Konie kwiczały z bólu. Siła uderzenia była tak wielka, że złamała żelazną barierę, wybijając tunel w zaporze z ciał. Wielkie bojowe rumaki-jedne z osłonami na łbach, inne bez nich - wynurzały się z wyrwy, ślizgając się na krwi i szczątkach zabitych ludzi i zwierząt. Na zdradzieckim podłożu niektóre się potykały i padały wraz z jeźdźcami. Tratowali ich ci, którzy za nimi wypadali z wyrwy i nie mieli gdzie skręcić.

Z bocznych uliczek wyskoczyli ludzie z dzidami, żeby zamknąć wyrwę w linii obrony. Konie - i tak już przerażone jatką i straszliwą śmiercią wielu zwierząt - zostały teraz zaatakowane przez biegnących ludzi, wydających bojowe okrzyki i wbijających im w boki dzidy. Bezlitośnie zakłuwane na śmierć zwierzęta straszliwie rżały. Te, które padały, podcinały nogi tym, które starały się uciec. Łucznicy wypuszczali grad strzał na próbujących ucieczki kawalerzystów.

Nicci wątpiła, by oddziały Imperialnego Ładu zaatakowały miasto w taki sposób i tak wykorzystają konnicę, gdyby ona ich nie sprowokowała. Konie bojowe nie były przeznaczone do tego rodzaju walki, gdyż nie mogły swobodnie manewrować w wąskich uliczkach, a kawalerzyści nie mogli przez to skutecznie powalać wroga. Sprawę utrudniało im jeszcze to, że obrońcy mieli aż za dużo kryjówek, co zmniejszało skuteczność kawaleryjskiej szarży. Celem konnicy było szybkie łamanie linii obrony na otwartej przestrzeni - obrony, która miała uniemożliwić Ładowi wdarcie się do miasta - a potem wyłapywanie tych, którzy starali się uciec z miasta zajętego przez Ład. Gdyby dowódcy w pełni panowali nad sytuacją i swoimi żołnierzami, z pewnością nie pozwoliliby na taką szaleńczą szarżę w głąb miasta. Nicci, rzecz jasna, świetnie o tym wiedziała, kiedy pojechała potrząsnąć gniazdem szerszeni.

Szaleństwo kawaleryjskiej szarży w głąb miasta aż biło w oczy. Załatwiono się z wrogiem szybko i dokładnie. Niesamowite wrażenie sprawiała tak ogromna liczba wypatroszonych koni i ludzi. Odór krwi zapierał dech.

Nicci zobaczyła kolumnę wroga skręcającą w uliczkę i próbującą uciec; skierowała ku nim swoją Han, łamiąc kości galopującemu na czele koniowi. Nogi odmówiły zwierzęciu posłuszeństwa i padło, a gnające z tyłu konie pełnym galopem wpadły na leżące zwierzę, łamiąc sobie nogi, ponieważ koń toczył się pod nimi, zanim zdołały go przeskoczyć. Tylko nielicznym udało się przedostać - były w tyle i miały czas się przygotować. Nicci zobaczyła, że ustawieni u wylotu uliczki ludzie odcinają im drogę ucieczki.

Skręciła za róg, żeby wrócić do głównej zapory i nie dopuścić, by jakikolwiek kawalerzysta Imperialnego Ładu uciekł z pułapki. Właśnie wyjeżdżała zza ostatniego budynku, kiedy natknęła się na grupę jeźdźców, którzy przebili się przez linie obrońców z dzidami. Nicci posłała ku wrogowi kulę płynnego ognia, która przemknęła nad głowami obrońców i uderzyła w ulicę, rozbryzgując płynny ogień na końskie boki. Zwierzęta, na których zapaliła się sierść, stanęły dęba i płomienie sięgnęły dosiadających ich jeźdźców.

Nicci pomknęła wokół ciasno stłoczonych budynków, żeby dotrzeć na tyły pułapki, w którą wpadły spore siły wroga. Mieszkańcy miasta już się zajęli napastnikami. Choć raz konni mieli przeciwko sobie przeważające

siły, byli zdezorganizowani i nie mogli się wyrwać z pułapki. Ludzie walczący o swoją wolność odznaczali się zawziętą determinacją, której żołnierze się nie spodziewali. Ich taktyka zastraszenia i rzezi tym razem się nie powiodła.

Robiło się coraz ciemniej. Nicci wypatrzyła Victora walącego ciężką maczugą w każdy łeb wroga, jaki mu się nawinał. Skierowała ku niemu Sa'dina.

- Victorze!

Spojrzał w jej stronę z morderczym gniewem.

- Czego?! - wrzasnął, przekrzykując bitewny zgiełk. Z kołców maczugi spływała krew.

Nicci podprowadziła konia.

- Zaraz za kawalerią nadciąga piechota. To będzie prawdziwa próba. Nie możemy dopuścić, żeby wrogowie zmienili zamiar i zrezygnowali z ataku. Żeby im to nie przyszło do głowy, postaram się, by mieli za czym gonić do miasta.

Victor uśmiechnął się do niej ponuro.

- Dobrze. Godnie ich powitamy.

Kiedy wojska wejdą już do Altur'Rang, nie będą mogły iść łąwą. Rozdzielą się i wkroczą w rozmaite ulice. A wtedy obrońcy będą mogli jeszcze bardziej rozdrobnić każdą taką grupę. Każda z nich - czy to uciekając, czy atakując - natknie się na ukrytych łuczników i ludzi z pikami, no i oczywiście na pułapki.

Altur'Rang było wielkie. Kiedy mrok ogarnie miasto, wielu napastników straci orientację i się zgubi. W labiryncie wąskich uliczek nie będą mogli trzymać się razem i sprawnie atakować. Nie będą mogli iść tam, gdzie zechcą, i według swej woli atakować bezbronnych ludzi; tym razem to oni będą bezlitośnie ścigani i nękani. Każda grupa cały czas będzie się zmniejszać - niektórzy zginą, inni się oddzielą, próbując uciec na własną rękę. Nicci już się postarała, żeby w całym mieście nie było dla nich bezpiecznego kąta.

- Całą suknię masz zakrwawioną - zawołał do niej Victor. - Nic ci nie jest?

- Zakręciło mi się w głowie i spadłam z konia. Nic mi nie jest. To się musi dzisiaj skończyć - przypomniała mu.

- Tak ci spieszno do Richarda? Uśmiechnęła się, ale nie odpowiedziała.

- Lepiej znów potrząsnę gniazdem szerszeni. Sprowadzę je tutaj.
Skinął głową.

- Jesteśmy gotowi.

Zobaczyła w oddali trzech żołnierzy usiłujących pieszo uciec wąską, krętą uliczką i rzuciła ku nim czar magicznej lancy. Trzy gwałtowne ciosy powaliły całą trójkę.

- Victorze, jeszcze coś - powiedziała, odwracając się ku niemu.

- A cóż takiego?

- Nikt nie może ujść z życiem. Nikt.

Przez chwilę patrzył jej w oczy. Za nimi szalała bitwa.

- Rozumiem. Ishaq będzie na ciebie czekać. Postaraj się dotrzeć do gniazda szerszeni tak szybko, jak tylko zdołasz.

Nicci zebrała wodze, osadzając Sa'dina w miejscu, i skinęła Victorowi głową.

- Przyprawdę żołnierzy dokładnie...

Spojrzała w stronę, gdzie nagle zasyczały płomienie. Na wschodzie strzelały wielkie jężory ognia. Wiedziała, że to może oznaczać tylko jedno.

Victor zaklął, wlaź na martwego konia i wyciągnął szyję, starając się coś wypatrzeć ponad dachami, w gęstym dymie bijącym w mroczniejsze niebo.

Łypnął podejrzliwie na Nicci.

- Nie udało ci się ubić Kronosa?

- Udało się - warknęła przez zaciśnięte zęby. - I jeszcze jednego czarodzieja. Wygląda na to, że mają ze sobą jeszcze kogoś z darem. Przygotowali się. - Zwróciła Sa'dina ku odległym krzykom. - Ale na pewno nie są przygotowani na Panią Śmierci.

ROZDZIAŁ 29

A cóż by to według ciebie mogło znaczyć? - spytała Berdine.

Verna spojrzała w niebieskie oczy Mord-Sith.

- Ann nie wyjaśniła.

Ciszę biblioteki zakłócało jedynie ciche skwierczenie oliwnych lampek. Lampy i świece niezbyt dobrze oświetlały rozległe pomieszczenie z szafami i regałami z ciemnego orzechowego drewna wytyczającymi przejścia. Gdyby Verna zapaliła wszystkie odbłyśnikowe lampy wiszące na ścianach i w narożnikach regałów, byłoby znacznie jaśniej, lecz ona uznała, że się bez tego obejdą.

Verna miała wrażenie, że gdyby zapaliły zbyt wiele lamp, wyciągnęły zbyt wiele pradawnych ksiąg i jeszcze bardziej zakłóciły spokój tego sanktuarium, to mogłyby zbudzić duchy wszystkich lordów Rahlów, które nawiedzały to miejsce.

Ciężkie belki rozgraniczały kasetony stropu wykonane z ciemnego drewna. Podpierały je kolumny oplecione pozłacanymi łądogami i liśćmi pnączy. Wierzchnie płaszczyzny belek zdobiły dziwne, choć piękne symbole w intensywnych barwach. Podłogę pokrywały wspaniałe dywany w stonowanych kolorach, tkane w wymyślne wzory.

I wszędzie - w stojących pod ścianami szafach z przeszklonymi drzwiami, na przecinających bibliotekę rzędach regałów - tkwiły księgi, tysiące egzemplarzy. Ich ciemne skórzane oprawy, ze złotym lub srebrnym grzbietem, tworzyły charakterystyczną teksturę. Verna rzadko widywała tak wspaniałe zbiory. W podziemiach Pałacu Proroków, gdzie spędzała wiele czasu, ucząc się i pracując, też były tysiące tomów, lecz było to miejsce czysto użytkowe, służące do przechowywania ksiąg i czytania ich. Tutaj zaś okazywano cześć księgom i zawartej w nich wiedzy.

Wiedza to potęga, więc przez wieki każdy kolejny lord Rahl miał ową potęgę na wyciągnięcie ręki. Czy mądrze tę wiedzę wykorzystywał, to już inna sprawa. Jedynym problemem w wypadku tak ogromnej ilości informacji był dostęp do konkretnego tomu oraz sprawdzenie, czy znajduje się w tak olbrzymim księgozbiore.

W dawnych czasach zatrudniano tu, rzecz jasna, skrybów, którzy nie

tylko sporządzali kopie ważnych dzieł, ale i zajmowali się biblioteką, odpowiadając za jej poszczególne działy. Pan mógł więc z łatwością zawęzić poszukiwania do konkretnej dziedziny i uzyskać konkretne wskazówki. Teraz nie było takich zajmujących się biblioteką specjalistów, więc o wiele trudniej było odnaleźć informację zawartą w którymś z mnóstwa tomów. Prawdę mówiąc, ogromna ilość informacji stała się przeszkodą w korzystaniu z nich, niczym nadmiar oręza krępujący ruchy obwieszona nim żołnierza.

Księgi w tylko tej jednej bibliotece wymagały ciężkiej pracy licznych uczonych i jeszcze liczniejszych Proroków. Krótki spacer wśród regałów i szaf wystarczył, żeby Verna zobaczyła zupełnie nie znane jej księgi z dziedziny historii, geografii, polityki, przyrody i Prorokowania. Można by tu było spędzić całe życie, a przecież Berdine mówiła, że w Pałacu Ludu jest wiele takich bibliotek - do niektórych mieli wstęp rozmaici ludzie, do innych mógł wejść jedynie sam lord Rahl i, jak przypuszczała Verna, jego najbardziej zaufani powiernicy. Ta biblioteka należała do tych ostatnich.

Berdine twierdziła, że ponieważ zna górnod'harański, Rahl Posępny zabierał ją niekiedy do najtajniejszych bibliotek, żeby zasięgnąć jej opinii co do tłumaczeń niejasnych fragmentów starożytnych tekstów. I dlatego trochę się orientowała w zasobach potencjalnie niebezpiecznej wiedzy nagromadzonych w pałacu.

Nie wszystkie proroctwa były jednakowo kłopotliwe. Bardzo wiele z nich okazywało się mało ważnymi i nieszkodliwymi. Większość ludzi nie zdawała sobie sprawy, że całe mnóstwo zapisanych proroctw mało co się różni od steku plotek.

Jednak nie wszystkie proroctwa były takie przyjemne i błahe, a czytanie o takich ekscytujących błahostkach usypiało czujność i kiedy czytelnik się tego najmniej spodziewał, z kart wyłaniały się mroczne sprawy i wdzierały mu się w duszę.

Stały tutaj tomy całkowicie nieszkodliwe, ale również takie, które od pierwszego do ostatniego słowa mogły osobom nieprzygotowanym przynieść jedynie szkodę. W tej bibliotece znajdowały się w większości księgi z najniebezpieczniejszymi proroctwami znanymi Vernie; księgi te w Pałacu Proroków uważano za tak groźne, że nie przechowywano ich w głównym pomieszczeniu podziemi, lecz w mniejszych, zapieczętowanych magicznie

salkach, do których jedynie nieliczni mieli dostęp. To pewnie z powodu owych ksiąg biblioteka była dostępna wyłącznie dla lorda Rahla; Ksieni podejrzewała, że strażnicy by jej tu nie wpuścili, gdyby nie towarzyszyła jej Berdine, Mord-Sith.

Verna z radością spędziłaby wiele czasu w tak przytulnym miejscu, przeglądając księgi, których nigdy wcześniej nie widziała. Niestety, nie miała na to czasu. Zastanawiała się, czy Richard wie, co teraz do niego - jako lorda Rahla - należy.

Berdine postukała palcem w pustą stronicę w Księdze Glendhilla o teorii odstępstw.

- Mówię ci, Ksieni, że czytaliśmy tę księgę z lordem Rahlem w Wieży Czarodzieja w Aydindril.

- Już to mówiłaś.

Verna uznała, że to interesujące, delikatnie mówiąc, iż Richard wiedział o Księdze Glendhilla o teorii odstępstw. Zadziwiało ją, że to czytał, choć tak nie lubił proroctw, bo przecież ta księga dotyczyła głównie jego.

Bez końca dowiadywała się czegoś nowego o Richardzie. Jego awersja do proroctw wynikała po części z jego niechęci do zagadek: nie znosił ich. Wiedziała również, że jego wrogość do proroctw bierze się głównie z wiary w wolną wolę, z wiary, że to on sam kształtuje swoje życie, a nie jakaś tam ręka losu.

Proroctwo - niezwykle skomplikowane i z poziomami znaczeń wykraczających poza zrozumienie większości ludzi - z całą pewnością dotyczyło z góry przesądanego toku wydarzeń, a przecież Richard więcej niż raz dopełnił proroctwa, udowadniając jednocześnie, że jest błędne.

Verna zgryźliwie podejrzewała, że proroctwo przekornie zapowiedziało narodziny Richarda po to tylko, by mógł przyjść na świat i udowodnić, że przepowiednie są nieistotne.

Nawet, a może zwłaszcza, proroctwu nie było łatwo przewidzieć postępowanie Richarda. Na początku Vernę zaskakiwało to, co robił, i nigdy nie mogła przewidzieć, jak zareaguje w danej sytuacji lub co w następnej kolejności zrobi. Zrozumiała jednak w końcu, że to, co brała za błyskawiczne przeskakiwanie od jednej do drugiej pozornie zupełnie odmiennej sprawy, wynikało w istocie z osobliwej wytrwałości Richarda. Większość ludzi nie była w stanie z taką determinacją dążyć do celu. Przeszkadzały im w tym

inne ważne sprawy domagające się ich uwagi. Richard zaś, niczym w walce na miecze z wieloma przeciwnikami, szeregował te poboczne cele pod względem ich ważności: szybko się z nimi załatwiał lub trzymał je w zawieszaniu, w zależności od potrzeb, i cały czas miał na uwadze cel główny. Niekiedy odnosiło się błędne wrażenie, iż przeskakuje od jednej sprawy do innej, całkiem odmiennej - on zaś tymczasem lekko przeskakiwał z jednej skałki na drugą i przez opływającą go rzekę zdarzeń nieustępliwie dążył na drugi brzeg.

Czasem był najwspanialszym ze znanych Vernie ludzi. Innym razem - najbardziej nieznośnym. Już sama nie wiedziała, ileż to razy chciała go udusić. Urodził się po to, żeby im przewodzić w walce, a siłą własnej woli stał się ich przywódcą, władcą, lordem Rahlem, opoką wszystkiego, o co walczyła jako Siostra Światła.

Tak jak to zapowiedziało proroctwo. Lecz nie w ten sposób, jak to szczegółowo zaplanowano.

Jednak Verna ceniła go przede wszystkim jako przyjaciela, a nie tylko za to, ile dla nich wszystkich znaczył. Pragnęła, żeby był szczęśliwy - tak jak niegdyś ona z Warrenem. Czas od ślubu z Warrenem do jego śmierci był dla niej najszczęśliwszy w całym życiu. Potem już czuła się niczym zmarły przebywający w świecie żywych.

Verna miała nadzieję, że kiedyś - może jak wygrają walkę z Ładem - Richard spotka kogoś, kogo pokocha. Tak bardzo kochał życie; potrzebny był mu ktoś, z kim mógłby je dzielić.

Uśmiechnęła się w duchu. Od pierwszego dnia, kiedy go spotkała i założyła mu na szyję obrożę, żeby go zabrać do Pałacu Proroków, gdzie się miał nauczyć posługiwać darem, odnosiła wrażenie, że jej życie dostało się w wir, którym był Richard. Żywo pamiętała ów śnieżny dzień w wiosce Błotnych Ludzi, kiedy to zabrała ze sobą Richarda. Było to ogromnie smutne, bo stało się wbrew jego woli, a jednocześnie sprawiło jej ulgę, bo wreszcie dobiegły końca dwudziestoletnie poszukiwania.

Zrozumiała, że nie miał ochoty iść w taką zbawienną niewolę. Dwie towarzyszące Vernie Siostry zginęły, próbując nakłonić Richarda, żeby założył znienawidzoną obrożę.

Verna zmarszczyła brwi... założyć obrożę.

Dziwne. Usiłowała sobie przypomnieć, jak jej się udało go nakłonić, żeby

sam sobie założył obrozę na szyję. Richard nienawidził obrozy - był przecież kiedyś jeńcem Mord-Sith - a mimo to założył ją z własnej woli. Z jakiegoś powodu nie mogła sobie jednak przypomnieć, jak się jej udało go skłonić...

- Verno, to naprawdę dziwne... - Brązowy skórzany uniform Berdine zaskrzypiał, kiedy się jeszcze bardziej nachyliła, uważnie wpatrując się w końcówkę tekstu w starym tomisku otwartym przed nią na stole; ostrożnie odwróciła stronicę, sprawdziła, wróciła do ostatniej strony i podniosła wzrok. - Wiem, że przedtem był tutaj tekst, a teraz go nie ma.

Verna patrzyła, jak światło świec tańczy w niebieskich oczach Berdine; odsunęła na bok dawne wspomnienia i zajęła się ważnymi teraz sprawami.

- Ale to nie była ta sama księga, prawda? - Berdine zmarszczyła brwi, więc Verna wyjaśniła: - Mogła mieć taki sam tytuł, ale to nie była konkretnie ta księga. Byłaś w wieży, czyli to była inna kopia tekstu, prawda?

- A tak, pewnie masz rację, to nie była dokładnie ta księga... - Berdine wyprostowała się i podrapała w głowę z grzywą falistych kasztanowych włosów. - Ale skoro to ten sam tytuł, to czy w księdze w wieży jest cały tekst, jak myślisz? Bo w tej tu brak sporej jego części.

- Nie twierdzę, że ta kopia zawiera cały tekst. Mówię jedynie, że razem z Richardem czytaliście kopię z wieży. To, iż sobie przypominasz, że ją czytaliście i że nie było w niej białych kart, niczego nie dowodzi, bo nie była to dokładnie ta sama książka. Co ważniejsze, ta księga może zawierać ten sam tekst co tamta, tylko skryba, który sporządzał tę kopię, mógł z rozmaitych przyczyn zostawić nie zapisane strony.

- Jakich niby przyczyn? - spytała podejrzliwie Berdine. Verna wzruszyła ramionami.

- Czasami w księgach z niekompletnymi prorocत्वami, jak te tutaj, zostawia się puste strony, żeby przyszli Prorocy mieli gdzie wpisać brakujące części przepowiedni.

Berdine wsparła się pięściami pod boki.

- No dobrze, ale odpowiedz mi na jedno pytanie. Kiedy kartkuję tę księgę, przypominam sobie, że już to czytałam. Może i większości z tego nie rozumiem, ale pamiętam ogólny sens, pamiętam, że czytałam te fragmenty. Dlaczego jednak nie mogę sobie przypomnieć niczego, co dotyczy brakujących ustępów?

- Wyjaśnienie jest proste: nie pamiętasz nic, bo puste miejsca są tylko i

wyłącznie pustymi miejscami zostawionymi w księdze, jak już mówiłam, przez osobę sporządzającą kopię.

- Nie o to mi chodzi. Rzecz w tym, że przypominam sobie ogólny charakter proroctwa, jego długość. Jako osoba mająca dar bardziej byś zwracała uwagę na treść tego, co czytasz. Ze mną było inaczej. Nigdy w pełni nie rozumiałam tych proroctw, za to pamiętam, jak wyglądał tekst. Pamiętam, jakie były długie i jak trudno było pojąć takie długie proroctwa. I to już nie jest cały tekst.

- Kiedy coś jest trudne do pojęcia, to zawsze się wydaje dłuższe, niż jest w rzeczywistości.

- Nie - skrzywiła się Berdine. - To nie to. - Wróciła do ostatniego proroctwa i postukała w stronicę. - To tutaj ma zaledwie jedną zapisaną kartę, a po niej jest kilka pustych. Nie będę się upierać, że inne pamiętam równie dobrze, ale z jakiegoś powodu na to ostatnie zwróciłam baczniejszą uwagę. I mówię ci, że dobrze pamiętam, że to ostatnie na pewno było dużo dłuższe. Nie przysięgnę, jak długie były pozostałe ani jak długie to tutaj powinno być, ale z całą pewnością liczyło ono więcej niż jedną stronę, dobrze to pamiętam. I nie było takie niekompletne, jak jest teraz.

Właśnie na takie potwierdzenie Verna czekała.

- Większość nie ma dla mnie zbyt wielkiego sensu - ciągnęła Berdine - ale pamiętam tę część, ten początek, całe to gadanie o rozwidłonym źródle i powrocie do samego rdzenia przepowiedni, a potem o „rozdzieleniu się hordy, która się chełpi, iż szerzy nauki Stwórcy”. Za to nie mogę sobie przypomnieć tego, co było po: „przywódca utraci ufność”. Nie zmyślam tego, Verno. Na pewno nie zmyślam. Nie umiem wyjaśnić, dlaczego jestem taka pewna, że reszty brakuje, ale jestem tego pewna. A z tym wiąże się to, co mnie tak niepokoi: dlaczego brakująca część tekstu zniknęła również z mojej pamięci?

Verna nachyliła się ku Berdine, znacząco unosząc brew.

- I mnie to niepokoi, dziecko.

- Wiesz, o czym mówię? - spytała zaskoczona Berdine. - Wierzysz mi?

Verna kiwnęła głową.

- Tak. Ale nie chciałam ci nic sugerować. Chciałam, żebyś sama potwierdziła moje podejrzenia.

- Więc to niepokoiło Ann, to miałyśmy dla niej sprawdzić?

- Tak. - Verna szperała w księgach zwalonych na blat stołu, na koniec znalazła tę, której szukała. - Spójrz na tę księgę. Ona mnie najbardziej zaskakuje i niepokoi. Źródła wszystkie to niezwykle rzadko spotykane proroctwo, spisane w formie opowieści. Studiowałam tę książkę, zanim wyruszyłam z Pałacu Proroków na poszukiwanie Richarda. Właściwie nauczyłam się jej na pamięć. - Przekartkowała tom. - Teraz nie ma tu ani jednej zapisanej strony, a ja nie mogę sobie przypomnieć niczego poza jednym: że to miało coś wspólnego z Richardem. Ale nie mam pojęcia, co to było.

Berdine patrzyła Vernie w oczy tak, jak tylko Mord-Sith to potrafi.

- Czyli jest kłopot i problem, a kłopot to zagrożenie dla lorda Rahla.

Verna głęboko westchnęła. Aż się zachwiały płomyki kilku najbliższych świec.

- Skłamałabym, gdybym zaprzeczyła, Berdine. Chociaż nie cały brakujący tekst dotyczy Richarda, odnosi się do czasu po jego narodzinach. Nie mam pojęcia, na czym polega problem, ale przyznaję, że ogromnie mnie to martwi.

Zmienił się nastrój Berdine. Zwykle była najpogodniejszą ze znanych Vernie Mord-Sith. Po dziecięcemu radowała się światem. Niekiedy była uroczo ciekawska. I uśmiechała się, kiedy inni narzekali na trudy. Wystarczyło jednak, że uznała, iż coś zagraża Richardowi, i natychmiast się zmieniła. Stała się równie podejrzliwa, opanowana i groźna jak każda Mord-Sith.

- Jaka może być tego przyczyna? - spytała Berdine. - Co to oznacza?

Verna zamknęła tom z pustymi stronicami.

- Nie wiem, Berdine, naprawdę nie wiem. Ann i Nathan są tak samo zdumieni i zaskoczeni jak my, a Nathan jest przecież Prorokiem.

- A co oznacza stwierdzenie, że ludzie przestaną ufać swojemu przywódcy?

Berdine, osobie pozbawionej daru, udało się wyłuskać najważniejszy wers niezmiernie zawiłego proroctwa.

- To może mieć - Verna ostrożnie dobierała słowa - bardzo różne znaczenia. Trudno powiedzieć.

- Mnie może trudno, ale tobie na pewno nie. Verna odkaszlnęła.

- Jak wiesz, nie jestem biegła w proroctwach, ale wydaje mi się, że to ma

coś wspólnego z Richardem.

- Tyle to wiem. Ale dlaczego to proroctwo miałoby mówić o ludziach tracących w niego wiarę?

- Berdine, proroctwo rzadko kiedy jest tak proste, jak się na pierwszy rzut oka wydaje. - Verna zdecydowanie wolałaby, żeby Mord-Sith tak się w nią nie wpatrywała. - To, co na pozór znaczy, zwykle nie ma nic wspólnego z konkretnym zdarzeniem, którego dotyczy.

- Ksieni, moim zdaniem to proroctwo zapowiada, że powodem utraty zaufania do przywódcy będą sprawy dotyczące pełni jego władz umysłowych. A skoro proroctwo głosi, że przywódca przeciwstawia się hordzie chełpiącej się, że szerzy nauki Stwórcy, czyli Imperialnemu Ładowi, to musi również dotyczyć lorda Rahla. Z tego by wynikało, że to lord Rahl jest przywódcą, w którego lud utraci wiarę. To jest powiedziane po fragmencie mówiącym o rozdzieleniu się hordy, co Ład właśnie zrobił. Czyli zagrożenie jest bliskie.

Verna współczuła każdemu, kto kiedykolwiek popełnił błąd niedoceny Berdine.

- Z doświadczenia wiem, że proroctwo czasami rozwodzi się nad Richardem, jakby był zdziecinniałym staruszkiem.

- A mnie to wygląda na bardzo konkretne zagrożenie. Verna splotka dłonie.

- Jesteś bystrą kobietą, Berdine, więc mam nadzieję, że zrozumiesz, dlaczego popełniłabym poważny błąd, omawiając z tobą to proroctwo. Proroctwa wykraczają poza zrozumienie osób pozbawionych daru. I nie ma tu nic do rzeczy, jak bystra jest taka osoba. Proroctwa są dziełem osób mających szczególny dar i przeznaczone są wyłącznie dla obdarzonych takim samym darem. Nie są nawet dla czarodziejów mających odmienny dar. Nawet my, Siostry, choć jesteśmy mającymi dar czarodziejkami, musimy się wiele lat szkolić, zanim nam w ogóle pozwolą spojrzeć na proroctwo, a co dopiero pracować nad nim. Osoby nie wyszkolone nie powinny wysnuwać żadnych wniosków co do znaczenia proroctwa, bo jest to niezmiernie szkodliwe i niebezpieczne. Możesz rozpoznać słowa, lecz nie pojmiesz ich znaczenia.

- To głupie. Słowa to słowa. Mają swoje znaczenie. Dzięki temu rozumiemy otaczający nas świat. Po co proroctwo miałoby nadawać słowom

o danym znaczeniu jakieś zupełnie inne, nieznanne?

Verna miała uczucie, że ostrożnie stąpa po polu usianym wilczymi dołami.

- Niedokładnie to chciałam powiedzieć. Słowami można się posługiwać, żeby ludziom coś wyjaśnić, pozwolić zrozumieć, coś ukryć, objaśnić świat. Jednak można je również wykorzystać do wyjaśniania tego, co jest za ledwie przypuszczeniem, domysłem. Jeżeli przepowiem, że nadchodzą dla ciebie mroczne czasy, to mogą to być prawdziwe słowa, lecz zapowiadałyby, że poniesiesz stratę, która cię zasmuci, albo że cię zamordują. Proroctwa mogą więc być oczywiste, ale ich dokładne znaczenie nie jest znane. I byłoby poważnym wykroczeniem uśmiercanie z powodu owych słów wszystkich wokół ciebie, bo wywołały one w tobie lęk, że cię ktoś zamorduje. Z powodu takich błędnych interpretacji proroctw wybuchały wojny. Ludzie umierali, kiedy osoby nie wyszkolone dosłownie brały proroctwa. To dlatego księgi proroctw były przechowywane w podziemiach pod Pałacem Proroków.

- Ale te księgi nie są w podziemiach.

Verna zmarszczyła czoło, pochyliła się ku Mord-Sith.

- A może powinny być.

- Chcesz powiedzieć, że błędnie odczytuję znaczenie tego proroctwa?

Verna znowu ciężko westchnęła.

- W tym wypadku nie można odróżnić prawdy od fałszu. Nawet nie możemy rozpocząć analizowania tego proroctwa, bo jest niekompletne. Mamy tylko początek i puste stronicie.

- I?

- I może być dokładnie tak, jak powiedziałaś: że dotyczy Richarda i że ludzie podadzą w wątpliwość jego osąd i stracą do niego zaufanie. Ale może być i tak, że brakujący tekst wyjaśnia, że sprawa się rozwiąże następnego dnia, bo zajdzie coś, co sprawi, że jeszcze bardziej będą go cenić. Proroctwo nie tylko może być rozwidłone, to znaczy być rodzaju albo-albo, ale jedno i to samo proroctwo może mieć przeciwstawne znaczenia.

- Nie rozumiem, jak może oznaczać przeciwstawne rzeczy. I jak mogło się wydarzyć w tym brakującym tekście coś, co odmieniło nastawienie ludzi.

Verna wzruszyła ramionami; rozglądała się po obszernej, ciemnej bibliotece, starając się wymyślić jakiś przykład.

- Powiedzmy, że uznali wymyślony przez Richarda plan bitwy za

wariactwo. Może oficerowie uważają, że ma złych doradców. To mogłoby odpowiadać tej części proroctwa, która głosi, że ludzie przestaną mu ufać. A potem mogłoby się zdarzyć tak, że pomimo sprzeciwu oficerów Richard upiera się przy swoim, żołnierze wykonują jego rozkazy i odnoszą zwycięstwo, w które tamci wątpili. Richard odzyskuje ich zaufanie, a oni pewnie bardziej niż przedtem będą cenili jego osąd. Lecz gdyby nie uwzględnić w działaniu prawdziwego znaczenia proroctwa, to nie doszłoby do tych dalszych wydarzeń i choć proroctwo na pozór by się spełniło, to w rzeczywistości błędna interpretacja uniemożliwiłaby jego dopełnienie.

Berdine, cały czas wpatrując się w Vernę, przesunęła dłonią po kasztanowym warkocz.

- Dość sensownie to brzmi.

- Czyli rozumiesz, Berdine, dlaczego proroctwo jest tak niejasne nawet dla tych, których uczono jego interpretacji? A poza tym bez pełnego tekstu nawet się nie ośmielamy podejmować jakichkolwiek prób zrozumienia go, nie śmiemy też przypisywać mu żadnego znaczenia. Osoba, która chce zrozumieć proroctwo, musi mieć cały tekst. Jeżeli nie ma pełnego tekstu, to proroctwo jakby ślepie. To jeden z powodów, dla których jest to tak zatrważające.

- Jeden z powodów? - Berdine znów na nią spojrzała. Cały czas przesuwała warkocz w dłoni. - A jakie są inne?

- Złe jest już samo zniknięcie tekstu, który tu wcześniej był, lecz w najwyższym stopniu niepokojące jest to, co się kryje za owym bezprecedensowym wydarzeniem.

- A zdawało mi się, że dopiero co mówiłaś, że nie powinniśmy wyciągać pochopnych wniosków, kiedy idzie o proroctwo.

Verna odchrząknęła; miała uczucie, jakby jedna z paści właśnie się zatrzasnęła na jej nodze.

- Cóż, to prawda, lecz to oczywiste, że coś cię dzieje. Berdine skrzyżowała ramiona i dumiała nad całą sprawą.

- A co według ciebie może się dzieć? Verna potrząsnęła głową.

- Nic mi nie przychodzi na myśl. O ile wiem, nigdy przedtem coś takiego się nie przydarzyło. Nie mam pojęcia, co się teraz dzieje.

- Ale uważasz, że to coś złego i że dotyczy lorda Rahla. Verna zerknęła z ukosa na Berdine.

- Nie można uniknąć takich przypuszczeń, skoro większość prorocत्व jego dotyczy. Richard ma wrodzony talent do wpadania w tarapaty. Zawsze jest w samym ich centrum.

Berdine najwyraźniej się to ani trochę nie podobało.

- I dlatego nas potrzebuje.

- Nigdy nie twierdziłam, że jest inaczej.

Berdine odrobinę się uspokoiła, przerzuciła warkocz na plecy.

- Rzeczywiście, nie twierdziłaś.

- Ann go szuka. Miejmy nadzieję, że go znajdzie, i to szybko. Musi nami dowodzić w nadciągającej bitwie.

Kiedy Verna to mówiła, Berdine machinalnie wyjęła jakąś księgę z jednej z przeszklonych gablot i zaczęła ją kartkować.

- Lord Rahl ma być magią przeciwko magii, a nie stałą przeciwko stali.

- To d'harańskie porzekadło. Proroctwo zaś głosi, że powinien nami dowodzić w rozstrzygającej bitwie.

- Tak sędzę - mruknęła Berdine, nie patrząc na nią i powoli przewracając stronice.

- Część wojsk Jaganga idzie na południe podnóżem gór. Oby Ann na czas znalazła Richarda i sprowadziła go do nas.

Berdine ze zdumieniem wpatrywała się w księgę.

- Co jest pogrzebane razem z kośćmi?

- Słucham?!

Berdine, marszcząc brwi, starała się rozgryźć jakiś fragment tekstu.

- Ta księga zwróciła moją uwagę, bo ma tytuł Fuer grissa ost drauka. To w górnod'harańskim. Znaczy...

- Dawca śmierci.

- Tak. - Berdine spojrzała na nią. - Skąd wiesz?

- Siostry w Pałacu Proroków często rozprawiły o tej szeroko znanej przepowiedni. Prawdę mówiąc, zawzięcie o niej debatowały przez całe wieki. Richard, w tym samym dniu, kiedy go przyprowadziłam do pałacu, ogłosił się dawcą śmierci i tym samym dał się poznać jako ten, którego przepowiednia dotyczyła. Ogromnie to Siostry poruszyło. Któregoś dnia Warren pokazał Richardowi przechowywane w podziemiach prorocत्व i Richard sam rozwiązał zagadkę; tyle że dla Richarda nie była to zagadka, bo doświadczył tego, o czym mówiło prorocत्व.

- W tej księdze jest mnóstwo pustych stron.

- Nie wątpię. Tytuł świadczy, że to o Richardzie. Pewnie jest tu wiele ksiąg, które o nim mówią.

Berdine znowu czytała.

- To w górnod'harańskim. Musiałabym popracować nad tekstem, żeby go dokładniej przetłumaczyć, i lepiej byłoby, gdyby nie brakowało tylu fragmentów, ale tu najwyraźniej jest mowa o lordzie Rahlu. To coś jak „to, czego szuka, jest pogrzebane z kośćmi”, a może „to, czego szuka, to zakopane kości”. - Spojrzała na Vernę. - Domyślasz się, o co chodzi? Co to może znaczyć?

- To, czego szuka, to pogrzebane kości? - Verna z żalem potrząsnęła głową. - Nie mam pojęcia. Ogromna liczba stojących tu ksiąg mówi o Richardzie coś ciekawego, zdumiewającego lub przerażającego. Ale, jak ci już mówiłam, nie na wiele się to przyda, skoro brakuje tylu partii tekstów.

- Pewnie tak - powiedziała zawiedziona Berdine. - A te główne składnice?

- Główne składnice?!

- Tak. Ta księga wspomina o miejscach zwanych głównymi składnicami.

- Berdine zapatrzyła się przed siebie i nad czymś się zastanawiała. - Główne składnice. Kolo też coś wspominał o głównych składnicach.

- Kolo? Berdine potaknęła.

- To autor napisanego przed wiekami, w czasie wielkiej wojny, pamiętnika, który lord Rahl znalazł w Wieży Czarodzieja w pomieszczeniu z sylvą. Właściwie człowiek ten nazywał się Koloblicin. W górnod'harańskim znaczy to „przekonujący doradca”. Lord Rahl i ja nazwaliśmy go Kolo, żeby było krócej.

- A cóż ów Kolo miał do powiedzenia o tych miejscach, o tych głównych składnicach? Czym one są?

Berdine przewracała stronicę księgi.

- Nie przypominam sobie. Wtedy nic z tego nie rozumiałam, więc się nie biedziłam nad tymi fragmentami tekstu. Powinnam to znowu przejrzeć, żeby sobie odświeżyć pamięć. - Zmrużyła oczy, starając się sobie przypomnieć. - Wydaje mi się, że coś zostało zakopane w miejscach zwanych głównymi składnicami. Ale nie pamiętam, czy napisał, co to było. - Stała nieruchomo i przeglądała niewielką książkę. - Miałam nadzieję, że znajdę w niej jakieś wskazówki.

Verna ciężko westchnęła, rozglądając się po bibliotece.

- Bardzo bym chciała tu zostać, Berdine, i przejrzeć te wszystkie książki. Naprawdę chciałabym wiedzieć, co zawiera ta biblioteka i inne biblioteki w pałacu, ale mamy ważniejsze sprawy na głowie. Musimy wrócić do armii i do moich Sióstr. - Po raz ostatni rozejrzała się wokół. - Ale jedno chciałabym sprawdzić w Pałacu Ludu, zanim stąd odejdę. Może będziesz mi mogła w tym pomóc.

Berdine niechętnie zamknęła książkę i odstawiła ją na półkę. Starannie zamknęła przeszklone drzwiczki.

- Oczywiście, Ksieni. Co chcesz zobaczyć?

ROZDZIAŁ 30

Verna milczała, bo rozległ się przeciągły ton dzwonu.

- Co to takiego?

- Modły - odparła Berdine, zatrzymując się i oglądając na Verne.

Głęboki dźwięk niósł się echem poprzez rozległe marmurowe i granitowe hole Pałacu Ludu. Ludzie - nie bacząc na to, dokąd spieszyli - zawrócili i ruszyli spokojnie ku szerokiemu korytarzowi, z którego dobiegał głęboki i dźwięczny głos dzwonu. Verna, zaintrygowana, spojrzała na Berdine.

- Co?

- Modły. Przecież wiesz, co to jest.

- Masz na myśli hołd składany lordowi Rahlowi? Te modły? Berdine przytaknęła.

- Dzwon ogłasza, że nadszedł czas modłów. - Zadumana, patrzyła w stronę, w którą się wszyscy kierowali.

Zbierający się mieli stroje w rozmaitych stonowanych barwach. Verna uznała, że białe szaty ze złotymi lub srebrnymi naszywkami noszą urzędnicy mieszkający i pracujący w pałacu. Z całą pewnością zachowywali się jak ważne osoby. Wszyscy - od owych administratorów po posłańców w obszytych zielenią bluzach, ze skórzanymi torbami na ramię z ozdobną literą „R”, symbolem domu Rahlów - nie przerywając swoich rozmów, szli tam, gdzie się zbiegały szerokie korytarze. Wszyscy byli ubrani odpowiednio do swojej profesji, czy to było rymarstwo, jubilerstwo, garncarstwo, szewstwo, krawiectwo, czy zajmowali się żywieniem innych, najrozmaitszymi usługami albo wykonywali najróżniejsze pałacowe roboty, od konserwacji po sprzątanie.

Wielu nosiło proste odzienie farmerów, handlarzy i kupców; sporo było z żonami, a niektórzy także z dziećmi. Wyglądali na przyjezdnych, przybyłych, by pohandlować lub coś kupić, jak ci, których Verna widziała na niższych poziomach olbrzymiego płaskowyzu, na którym stał Pałac Ludu, albo na mieszczących się na zewnątrz placach targowych. Inni zaś wystroili się na czas pobytu w pałacu. Verna wiedziała od Berdine, że są tu pokoje, które mógł wynająć ten, kto chciał zostać na dłużej. Są również mieszkania dla

ludzi pracujących i mieszkających w pałacu.

Większość osób odzianych w białe szaty szła spokojnie, jakby to była zwyczajna część ich dnia. Ci wystrojeni starali się wyglądać równie dostojnie i nie gapić się na wspaniałą wystrój pałacu, lecz Verna widziała, jak wodzą tu i tam szeroko otwartymi oczami. Ci zwyczajnie ubrani, dołączając do tłumu, otwarcie się wszystkiemu przyglądali - patrzyli na wielkie posągi mężczyzn i kobiet stojących w dumnych pozach, wyrzeźbione z najrozmaitszego kamienia, na lśniące smukłe kolumny strzelające powyżej galerii, na wspaniałe granitowe i onyksowe posadzki.

Verna wiedziała, że jedynie najlepsi rzemieślnicy Nowego Świata mogli ułożyć tak skomplikowane wzory kamiennych posadzek, połączyć poszczególne ich elementy tak mocnymi spoinami. Przez pewien czas była Ksienią w Pałacu Proroków i zmagła się z wymianą fragmentu posadzki o przepięknym wzorze, w zamierzchłej przeszłości uszkodzonej przez uczących się w pałacu młodych czarodziejów. Nie było wiadomo, czyją sprawką była owa szkoda, bo adepci zaprzysięgli milczenie w tej kwestii, jednakże efekt tych działań był aż nadto widoczny: w jednej chwili zniszczono spory kawałek przepięknej marmurowej posadzki. Szczałki i luźne płyty dawno usunięto, lecz posadzka przez dziesięciolecia pozostawała uszkodzona, a ubytek wypełniono praktycznym, choć szpetnym wapieniem. Życie w Pałacu Proroków toczyło się swoim trybem. Chłopcom okazano pobłażliwość, w końcu trzymano ich w pałacu wbrew ich woli. Vernę zawsze irytowało to, że nigdy nie naprawiono posadzki - po części dlatego, że pozostawienie jej w tym stanie oznaczało zdaniem Ksieni tolerowanie takich wyskoków. I zawsze wyglądało na to - przynajmniej póki się nie pojawił Richard - że tylko jej jednej przeszkadza widok tak oszpeconego piękna. Richard oczekiwał, że przyszli czarodzieje będą odpowiadać za swoje czyny. Choć i jego trzymano tam wbrew woli, to nigdy nie tolerował takiego bezmyślnego wandalizmu.

Warren patrzył na świat tak samo jak Richard. Może dlatego tak bardzo się zaprzyjaźnili. Warren zawsze był poważny i solidny. Kiedy Richard odszedł z pałacu, Warren przypomniał Vernie, że jako nowa Ksieni już się nie musi uskarżać ani na czyjeś zachowanie, ani na stan posadzki. Zachęcał ją, żeby postępowała zgodnie ze swoimi przekonaniem. I tak Verna ustanowiła nowe zasady i zadbała o naprawienie posadzki.

To właśnie wtedy nauczyła się paru rzeczy o takich posadzkach i o tym, że choć wielu dumnie twierdzi, że są mistrzami w swoim rzemiośle, to jedynie nieliczni są nimi naprawdę. Praca mistrzów wyraźnie się różniła od partaniny pozostałych. Kontakty z tymi pierwszymi przynosiły radość, z tymi drugimi - były koszmarem.

Pamiętała, jaki Warren był z niej dumny, że sama wszystkiego pilnowała i że godziła się wyłącznie na to, co najlepsze. Tak ogromnie go jej brakowało, tak bardzo za nim tęskniła.

Verna patrzyła na wspaniałą wystrój, na misterną kamieniarską robotę, ale nawet takie cuda jej teraz nie poruszały. Od śmierci Warrena wszystko się jej wydawało nieciekawe, mdłe i mało ważne, a życie zdawało się mordegą.

Po całym pałacu krążyły czujne patrole. Żołnierze pewnie sobie nawet nie zdawali sprawy - a może ich to nie obchodziło - ile ludzkiej wyobraźni, umiejętności i wysiłku trzeba było, żeby wznieść taką budowlę jak Pałac Ludu. Stanowili jego część, część tego, co go czyniło zdatnym do życia, jak tysiące im podobnych, którzy przez stulecia krążyli tymi korytarzami, zapewniając im bezpieczeństwo.

Verna zauważyła, że niektórzy ze strażników chodzili w parach, inni w większych grupach. Muskularni młodzi żołnierze mieli uniformy z dopasowanymi skórzanymi naramiennikami i napierśnikami; wszyscy byli uzbrojeni co najmniej w miecz. Wielu z nich zaś dzierżyło także piki o lśniących metalowych grotach. Verna dostrzegła również strażników w czarnych rękawicach, z kuszami na ramieniu. W przyczepionych do pasa kołczanach mieli bełty z czerwonymi piórami. Oczy żołnierzy nieustannie wszystko obserwowały.

- Przypominam sobie, że Richard wspominał o modłach - odezwała się Verna - ale myślałam, że się nie odbywają, kiedy lorda Rahla nie ma w pałacu. No i od kiedy Richard został lordem Rahlem.

Verna wcale nie chciała, żeby to zabrzmiało protekcjonalnie, ale uświadomiła sobie, że jej słowa musiały jednak tak zabrzmieć. No bo Richard był... po prostu Richardem.

Berdine spojrzała na nią krzywo.

- Przecież wciąż jest lordem Rahlem. Nasza więź z nim nie staje się słabsza przez to, że go tu nie ma. Modły zawsze się odbywają, bez względu

na to, czy lord Rahl tu jest czy go nie ma. I jest lordem Rahlem w każdym calu, bez względu na to, co ty o nim sądzisz. Żadnego lorda Rahla nie darzyliśmy takim szacunkiem jak jego. I dlatego modły są tak ważne i znaczące jak nigdy przedtem.

Verna zamknęła buzię na kłódkę, ale obdarzyła Berdine spojrzeniem, które przychodziło jej aż za łatwo - przecież była Siostrą Światła, a teraz i Ksienią. Choć rozumiała przyczyny owych modłów, to była Ksienią Sióstr Światła z oddaniem dbającą o to, żeby się spełniała wola Stwórcy. Żyjąc jako Siostra Światła w Pałacu Proroków, pod osłoną zaklęcia spowalniającego starzenie się, widziała, jak władcy nastają i odchodzą. Siostry Światła nigdy się przed żadnym z nich nie korzyły.

Przypomniała sobie, że Pałacu Proroków już nie ma, a Imperialny Ład ma w swej władzy wiele Sióstr.

Berdine uniosła rękę, wskazując otaczający je pałac.

- Lord Rahl to wszystko umożliwia. Daje nam ojczyznę. Jest magią przeciwko magii. Jego władza zapewnia nam bezpieczeństwo. Mieliśmy w przeszłości władców, którzy traktowali modły jak wiernopoddańczy hołd, lecz naprawdę wywodzą się one z rytualnego aktu szacunku.

Verna aż kipiała z rozdrażnienia. Berdine nie mówiła o jakimś mitycznym władcy, jakimś starym, mądrym królu; mówiła o Richardzie. Bez względu na to, jak Verna go ceniła i szanowała, nadal był tylko Richardem, leśnym przewodnikiem. Zirytowała się i natychmiast zawstydzila takich nieżyczliwych myśli.

Richard zawsze walczył o to, co słuszne. Mężnie ryzykował życie w obronie szlachetnych zasad, w które wierzył. Mówiło o nim proroctwo. Poza tym był Poszukiwaczem. Był też lordem Rahlem, dawcą śmierci, który przewrócił świat do góry nogami. Przez Richarda Verna została Ksienią. Sama nie wiedziała, czy to błogosławieństwo czy przekleństwo.

Richard był ich ostatnią nadzieją.

- Jeżeli się nie pospieszy i nie dołączy do nas, żeby dowodzić armią D'Hary w rozstrzygającej bitwie, to nie uchowa się nikt, żeby go czcić i szanować.

Berdine odwróciła od niej karcący wzrok i nieoczekiwanie ruszyła ku skręcającemu w lewo korytarzowi - temu, z którego zabrzmiał dzwon.

- Jesteśmy stałą przeciwko stali. Lord Rahl jest magią przeciwko magii.

Jeżeli się nie zjawi, żeby walczyć z armią, to tylko dlatego, że zgodnie ze swym obowiązkiem chroni nas wszystkich przed ciemnymi mocami magii.

- Głupie gadanie prostaczków - mruknęła pod nosem Verna i przyspieszyła kroku, żeby dogonić Mord-Sith. - Dokąd idziesz?! - zawołała za nią.

- Na modły. Wszyscy w pałacu chodzą na modły.

- Berdine - warknęła Verna, chwytając ją za ramię - nie mamy na to czasu.

- To modły. Część naszej więzi z lordem Rahlem. Mądrze uczynisz, idąc na modły, a potem może to sobie zapamiętasz.

Verna stała nieruchomo w rozległym holu, zdumiona i zaskoczona, patrząc, jak Mord-Sith odchodzi dumnym krokiem. Żywo pamiętała czas, kiedy zniknęła więź z Richardem. Nie trwało to długo, ale na czas nieobecności Richarda w świecie żywych przestała istnieć ochronna więź z lordem Rahlem.

I w owym krótkim czasie, kiedy Richard i więź opuścili ich wszystkich, Jagang wkraść się w sny Verny i usidlił jej umysł.

Pojmał również Warrena. Kontrolowanie umysłu przez Nawiedzającego Sny było dla Verny czymś potwornym, lecz jeszcze gorsza była świadomość, że Warren jest równie bezbronny. Brutalna obecność Jaganga zdominowała każdy aspekt ich życia - kontrolował każdą ich myśl, każdy czyn; nic się przed nim nie ukryło. Już nie byli panami własnej woli - liczyła się jedynie wola Jaganga. Samo wspomnienie straszliwego bólu, jaki Jagang zsyłał i jej, i Warrenowi, wystarczyło, żeby oczy Verny wypełniły się łzami.

Szybko otarła łzy i pospieszyła za Berdine. Miała ważne sprawy do załatwienia, lecz zmarnowałyaby mnóstwo czasu na samodzielne odnalezienie drogi w olbrzymim Pałacu Ludu. Mord-Sith była jej potrzebna, żeby wskazać drogę. Gdyby Verna mogła się posłużyć darem, łatwiej by jej było znaleźć to, czego szukała, ale w pałacu jej Han była całkiem bezużyteczna. Dlatego musiała iść za Berdine i ufać, że wrócą do tych ważnych spraw, nie tracąc zbyt wiele czasu.

Lewy korytarz biegł pod wewnętrznym mostem z poręczą i tralkami wykonanymi z biało żyłkowanego szarego marmuru. Na zbiegu czterech korytarzy zmieniał się w plac pod gołym niebem. Na środku placu znajdowała się kwadratowa sadzawka otoczona niskim siedziskiem z

szarego, nakrapianego granitu. W sadzawce, nieco w bok od jej centrum, tkwiła spora skałka. Na niej zaś stał dzwon - bez wątpienia ten, który wezwał ludzi na modły.

Przez otwór w dachu zaczął wpadać łagodny deszczyk. Jego krople uderzały o powierzchnię wody. Verna zauważyła, że posadzka łagodnie się nachyla ku odpływom, żeby nigdzie nie tworzyły się kałuże. Ceramiczne płyty wzmagały złudzenie, że plac naprawdę znajduje się na zewnątrz.

Dokoła ludzie klękali, pochylali się w pokłonie do płyt posadzki, zwróceni ku sadzawce ze skałką, na której stał milczący teraz dzwon z brązu.

Niezadowolenie Berdine się rozwiało, kiedy się przekonała, że Verna idzie za nią. Uśmiechnęła się radośnie, a potem zrobiła coś zupełnie nieoczekiwanego - wzięła Vernę za rękę.

- Zaprowadzę cię do sadzawki. Tam są ryby.

- Ryby?

Berdine jeszcze szerzej się uśmiechnęła.

- Tak. Uwielbiam place z rybami.

I rzeczywiście, kiedy już przeszły pomiędzy klęczącymi na posadzce ludźmi i znalazły się na czele tłumu, blisko sadzawki, Verna ujrzała, że w wodzie pływają całe ławice pomarańczowych ryb.

- Czyż nie są śliczne? - spytała Berdine. Znów otaczała ją aura małej dziewczuszki.

Verna spojrzała na nią gniewnie.

- To tylko ryby.

Berdine nic a nic się tym nie przejęła; uklękła, gdyż zrobiło się luźniej - ludzie się od nich odsunęli. Verna wyczytała z rzucanych z ukosa spojrzeń, że każdy czuł na widok Mord-Sith zrozumiały respekt, a nawet strach. Choć nikt nie był na tyle wystraszony, żeby odejść, najwyraźniej też nikt nie miał ochoty tkwić w miejscu, które sobie akurat upatrzyła Berdine. I wszyscy się niepokoiли o to, kogo Mord-Sith przywlokła na modły: jakby to mógł być jakiś skruszony grzesznik, który dostał krwawą nauczkę.

Berdine obejrzała się przez ramię na Vernę, a potem pochylila się w przód i wsparła dłonie na płytach posadzki. Owo spojrzenie było napomnieniem, że Verna powinna uczynić to samo. Verna dostrzegła, że przyglądają się jej strażnicy. Czyste wariactwo: była przecież Ksienią Sióstr Światła, doradcą Richarda i jednym z jego najbliższych przyjaciół. Ale

strażnicy o tym nie wiedzieli.

Verna aż za dobrze wiedziała, że w pałacu jej moc prawie w ogóle nie działa. Była to siedziba rodu Rahlów zbudowana na zarysie zaklęcia mającego wzmacniać ich moc, a tłumić moc innych.

Verna westchnęła i w końcu uklękła, wsparła dłonie o posadzkę i skłoniła się jak wszyscy. Były blisko sadzawki, ale otwór w suficie miał te same rozmiary, więc deszcz padał tylko na powierzchnię wody, chyba że wiatr zwał jego krople w bok. Te kilka kropel deszczu, które spadły na Verne, podziało odświeżająco, zważywszy na gniew, który w niej kipiał.

- Jestem już na to za stara - poskarżyła się Verna towarzysze modłów.

- Jesteś młodą i krzepką kobietą, Ksieni - zbeształa ją Berdine.

Verna westchnęła. Nie było sensu spierać się o głupotę klęczenia na posadzce i zanoszenia modłów do człowieka, któremu i tak była ogromnie oddana. To było coś więcej niż głupota. To był idiotyzm. Nie wspominając już o marnowaniu czasu.

- Prowadź nas, mistrzu Rahlu - zaczęli zebrani, może jeszcze niezbyt harmonijnie. Skłonili się niżej i dotknęli czołami posadzki.

- Nauczaj nas, mistrzu Rahlu. - To już było bardziej unisono.

Berdine też dotykała czołem posadzki, a mimo to zdołała groźnie łypnąć na Verne. Ta przewróciła oczami i również się pochyliła, dotykając czołem posadzki.

- Chroń nas, mistrzu Rahlu - mruknęła, dołączając do modłów. Znała te słowa i już raz je wypowiedziała, i to przed samym Richardem. - Rozkwitamy w twojej chwale. Osłania nas twoje miłosierdzie. Twoja mądrość przerasta nasze zrozumienie. Żyjemy tylko po to, żeby ci służyć. Nasze życie należy do ciebie.

Verna zastanawiała się z goryczą, jak Richard zdoła kogokolwiek ochronić, jeżeli natychmiast nie dołączy do d'harańskiej armii.

Zgromadzony tłum cicho zaintonował modły.

- Prowadź nas, mistrzu Rahlu. Nauczaj nas, mistrzu Rahlu. Chroń nas, mistrzu Rahlu. Rozkwitamy w twojej chwale. Osłania nas twoje miłosierdzie. Twoja mądrość przerasta nasze zrozumienie. Żyjemy tylko po to, żeby ci służyć. Nasze życie należy do ciebie.

Verna przechyliła się odrobinę ku Berdine i wyszeptała:

- Ile razy będziemy to powtarzać?

Berdine, z miną typowej Mord-Sith, rzuciła Vernie surowe spojrzenie. Nic nie powiedziała. Nie musiała. Verna rozpoznała owo spojrzenie. Sama niezliczone mnóstwo razy tak patrzyła na nowicjuszek, które się nieodpowiednio zachowywały, oraz na upartych młodych czarodziejów. Spuściła więc oczy na płytę posadzki i odmawiała modły wraz z innymi.

Prowadź nas, mistrzu Rahlu. Nauczaj nas, mistrzu Rahlu. Chroń nas, mistrzu Rahlu. Rozkwitamy w twojej chwale. Osłania nas twoje miłosierdzie. Twoja mądrość przerasta nasze zrozumienie. Żyjemy tylko po to, żeby ci służyć. Nasze życie należy do ciebie.

Ciche, śpiewne modły, odmawiane jednym głosem przez zgromadzony tłum, niosły się echem przez korytarze.

Po surowym spojrzeniu Berdine Verna uznała, że najlepiej będzie, jeśli zachowa dla siebie swoje zastrzeżenia, i odmawiała modły razem ze wszystkimi. Miętko wymawiała słowa, świadomie, myśląc o tym, ileż to razy się sprawdziły w jej życiu. Richard zaś wszystko w nim zmienił. Verna uważała, że najważniejszym zadaniem Sióstr jest założenie obroży chłopcom mającym dar i szkolenie ich w posługiwaniu się owym darem. Richard wybił jej z głowy to niedorzeczne przekonanie, nauczył ją pokory. Wszystko zmienił, zmusił ją, żeby raz jeszcze wszystko przemyślała. Gdyby nie Richard, pewnie by się nigdy nie zeszli z Warrenem i ich wzajemna sympatia nie przerodziłaby się w miłość. Richard dał jej to, co było w jej życiu najwspanialsze.

Prowadź nas, mistrzu Rahlu. Nauczaj nas, mistrzu Rahlu. Chroń nas, mistrzu Rahlu. Rozkwitamy w twojej chwale. Osłania nas twoje miłosierdzie. Twoja mądrość przerasta nasze zrozumienie. Żyjemy tylko po to, żeby ci służyć. Nasze życie należy do ciebie.

Modły szeptane przez wszystkich zebranych zlały się w jeden nabożny chór, który narastał, póki nie wypełnił rozległego holu.

Verna nawet w takim tłumie czuła się bardzo samotna. Aż do bólu tęskniła za Warrenem. Odgrodziła murem swoje uczucia, unikała takich myśli, unikała ludzi, żeby sobie oszczędzić bólu, który nieustannie się w niej tlił. A teraz nagle wzięła nad nią górę udreka, okropna świadomość, jak straszliwie tęskni za Warrenem, jak ogromnie go kochała. Był najwspanialszym darem od życia - i odszedł, nie było go już. Zapłakała z bezsilnej rozpacz. Czuła się taka osamotniona.

Prowadź nas, mistrzu Rahlu. Nauczaj nas, mistrzu Rahlu. Chroń nas, mistrzu Rahlu. Rozkwitamy w twojej chwale. Osłania nas twoje miłosierdzie. Twój a mądrość przerasta nasze zrozumienie. Żyjemy tylko po to, żeby ci służyć. Nasze życie należy do ciebie.

Verna stłumiła szloch, wspominając, jak ostatni raz całowała Warrena, kiedy umierał. To był najokropniejszy moment w całym jej życiu. Tyle już upłynęło czasu, a jej wciąż się zdawało, że to było wczoraj. Tak ogromnie za nim tęskniła, że serce jej pękało.

Prowadź nas, mistrzu Rahlu. Nauczaj nas, mistrzu Rahlu. Chroń nas, mistrzu Rahlu. Rozkwitamy w twojej chwale. Osłania nas twoje miłosierdzie. Twoja mądrość przerasta nasze zrozumienie. Żyjemy tylko po to, żeby ci służyć. Nasze życie należy do ciebie.

Verna razem ze wszystkimi wymawiała słowa modłów, wlewając w nie swoje uczucia. Powtarzała je i powtarzała, miarowo, bez pośpiechu. Wypełniły jej umysł. Płakała, wspominając czas spędzony z Warrenem. Wspominała jego ostatnie, skierowane do niej słowa: „Pocałuj mnie, póki jeszcze żyję. I nie oplakuj końca, ale pomyśl, jakie piękne życie mieliśmy. Pocałuj mnie, moja miłości”.

Dręczyły ją ból i tęsknota. Jej świat zamienił się w popiół. Nic jej nie obchodziło, nie ciekawiło, nie miało dla niej znaczenia. Chciałaby już umrzeć.

Prowadź nas, mistrzu Rahlu. Nauczaj nas, mistrzu Rahlu. Chroń nas, mistrzu Rahlu. Rozkwitamy w twój ej chwale. Osłania nas twoje miłosierdzie. Twoja mądrość przerasta nasze zrozumienie. Żyjemy tylko po to, żeby ci służyć. Nasze życie należy do ciebie.

Verna tłumiała szloch i odmawiała modły. Nie dbała o to, czy ktoś się jej przygląda.

To było zupełnie bez sensu; młodzian, który niczego nie potrafił, niczym się nie interesował, niczego nie cenił, nic nie był wart i do niczego się nie nadawał - zabił Warrena, żeby dowieść swojej lojalności i wierności naukom Imperialnego Ładu, tezom, że ludzie tacy jak Warren nie mają prawa żyć według własnej woli, lecz powinni się poświęcać dla takich jak ów morderca.

Richard walczył o to, żeby to wynaturzenie się skończyło. Wszelkimi dostępnymi mu środkami walczył z tymi, którzy roznosili po świecie takie bezsensowne okrucieństwo. Poświęcił się walce o wyplenienie tego

wynaturzenia, żeby już nikt nie tracił najbliższych, jak Verna utraciła Warrena. Richard doskonale rozumiał jej cierpienie.

Verna zatraciła się w rytmicznym zaśpiewie. Richard opowiadał się za tym wszystkim, co było celem także jej życia - rzetelnością, sensownością, celowością. Zanoszenie modłów do takiego człowieka wcale nie było bluźnierstwem, było całkiem zrozumiałe i słuszne. W pewnym sensie - przez wzgląd na to, kim Richard był i za czym się opowiadał - był to hołd składany życiu, a nie czemuś złudnemu.

Richard był dobrym przyjacielem Warrena, jego pierwszym prawdziwym przyjacielem. Richard wyciągnął Warrena z podziemi na słońce, na świat. Warren kochał Richarda.

Śpiewna recytacja przynosiła ukojenie. Verna poczuła dotknięcie ciepłych słonecznych promieni, które się przedarły przez chmury. Spływał na nią łagodny, złocisty blask. Otulał ją ciepłem, które przenikało aż do wnętrza jej duszy.

Warren by chciał, żeby się cieszyła całą wspaniałością i pięknem życia, dopóki je ma.

Kojące ciepło słonecznego blasku sprawiło, że po raz pierwszy od bardzo dawna zaznała spokoju.

Prowadź nas, mistrzu Rahlu. Nauczaj nas, mistrzu Rahlu. Chroń nas, mistrzu Rahlu. Rozkwitamy w twojej chwale. Osłania nas twoje miłosierdzie. Twoja mądrość przerasta nasze zrozumienie. Żyjemy tylko po to, żeby ci służyć. Nasze życie należy do ciebie.

Wolno powtarzane słowa modłów przepełniły Verne, klęczącą w ciepłe słonecznych promieni, głębokim spokojem i radosnym poczuciem wspólnoty, jakich nigdy przedtem nie zaznała. Szeptwała słowa, pozwalając, by zabierały ze sobą ciernie bólu. Klęczała, opierając czoło o płyty posadzki, wkładając serce i duszę w wypowiedanie słów - i czuła się wolna od wszelkich trosk i zmartwień, przepelniona radością życia i czcią dla niego. Modliła się wraz z innymi, skąpana w łagodnym blasku słońca. Był tak ciepły i opiekuńczy. Czuły. Zupełnie jak uścisk ramion Warrena.

Modliła się i modliła, wraz z pozostałymi, nieprzerwanie, a czas mijał - nieistotny, niezauważalny, bez znaczenia.

Dzwon zabrzmiał dwa razy - niskim, aksamitnym dźwiękiem - na znak, że modły się zakończyły, lecz Verna wiedziała, iż na zawsze już z nią

pozostaną.

Poczuła na ramieniu czyjaś dłoń i podniosła wzrok. To była Berdine - uśmiechała się do niej. Verna się rozejrzała i stwierdziła, że większość ludzi już się rozeszła. Tylko ona jedna nadal klęczała przy sadzawce, dotykając czołem płyt posadzki. Berdine klęczała obok niej.

- Wszystko w porządku, Verno? Verna się wyprostowała, dalej klęcząc.

- Tak... ale tak przyjemnie w tym słońcu.

Berdine zmarszczyła brwi. Popatrzyła na krople deszczu uderzające o powierzchnię sadzawki.

- Cały czas padało, Verno. Ksieni wstała, rozglądając się.

- Ale... ja to czułam. Widziałam padający na mnie snop promieni.

Berdine zrozumiała, dotknęła ramienia Verny.

- Rozumiem.

- Tak?

Berdine potaknęła, uśmiechając się współczująco.

- Udział w modłach pozwala nam zastanowić się nad naszym życiem i zarazem przynosi ukojenie i pociechę. Może ktoś, kogo kochasz, zjawił się, żeby cię pocieszyć.

Verna wpatrywała się w łagodny uśmiech Mord-Sith.

- Czy i tobie się to przydarzyło?

Berdine przełknęła ślinę, kiwając głową, a pełne łez oczy dodatkowo to potwierdziły.

ROZDZIAŁ 31

Wędrowały przez Pałac Ludu krętą, meandrującą trasą - nie dlatego, że się zgubiły lub że miały mnóstwo czasu i dowolnie sobie wybierały drogę na skrzyżowaniach korytarzy, ale dlatego, że prostej drogi nie było.

Owego krążenia po labiryncie nie dało się uniknąć, bo budowniczym wcale nie chodziło o ułatwienie poruszania się po pałacu - budowlę wzniesiono według linii wyrysowanego na ziemi zaklęcia mocy. Vernę zdumiewało, że był to nie tylko zarys zaklęcia podobnego do tych, jakie sama kreśliła, lecz że znajdowała się we wnętrzu członów budujących zaklęcie. To było całkiem nowe spojrzenie na zaklinanie, i to na imponującą skalę. Zaklęcie chroniące moc rodu Rahlów wciąż działało, więc Verna wiedziała, że jego linie musiały być wyrysowane krwią... krwią Rahla.

Szły przez obszerne hole, a ją wciąż na nowo zdumiewały i zachwycały wspaniałość i piękno pałacu. Widywała już wspaniałe budowle, lecz ogrom tego pałacu wręcz oszałamiał. Był to nie tyle pałac, ile całe miasto wznoszące się na odludnych równinach Azrith.

Pałac na szczycie ogromnego płaskowyżu był jedynie częścią rozległego kompleksu. Wewnątrz podstawy płaskowyżu znajdowały się tysiące pomieszczeń i korytarzy, niezliczone schody wytyczające rozmaite drogi w górę, ku szczytowi. Całe mnóstwo ludzi sprzedawało towary i usługi na niższych poziomach płaskowyżu. Droga do pałacu na szczycie była długa i męcząca, więc wielu przyjezdnych załatwiała swoje interesy - sprzedaż i kupno - na tych niższych poziomach, nie zadając sobie trudu dotarcia do pałacu. A jeszcze liczniejsi załatwiali swoje sprawy na placach targowych wokół podstawy wzniesienia.

Urwistym zboczem wiodła na szczyt kręta, przecięta zwodzonym mostem, droga. Poprowadzenie tędy ataku na pałac byłoby i tak niemożliwe, nawet gdyby nie była tak silnie strzeżona. Wnętrze podstawy płaskowyżu oferowało znacznie więcej wiodących w górę tras - były tam nawet pochylnie, z których korzystali jeźdźcy - lecz tych wewnętrznych szlaków strzegły tysiące żołnierzy, no i były również olbrzymie wrota, które w razie potrzeby można było zamknąć, odcinając wewnętrzne poziomy.

Posągi z czarnego kamienia, stojące po obu stronach szerokiego

korytarza wykładanego białym marmurem, spoglądały na idące pomiędzy nimi Verne i Berdine. Blask pochodni odbijał się od gładkiej powierzchni olbrzymich wartowników z czarnego marmuru, nadając im pozory życia. Ostry kontrast barw - czarne posągi i biały marmurowy korytarz - sprawiał, że budziły się tu złe przeczucia.

Schody, którymi szły, były przeważnie szerokie; niektóre miały lśniące marmurowe balustrady mierzące ponad łokieć szerokości. Verne zdumiewała rozmaitość wykorzystanego tu kamienia. Miało się wrażenie, iż każda obszerna komnata, każdy korytarz i każda klatka schodowa ma własny zestaw barw. Niektóre, bardziej użytkowe lub obsługowe sektory, przez które prowadziła Berdine, były wyłożone nijakim beżowym wapieniem. Za to ważniejsze sektory publiczne przyciągały wzrok oszałamiająco żywymi barwami tworzącymi kontrastujące ze sobą wzory, co stwarzało radosny nastrój. Niektóre wewnętrzne korytarze, będące skrótami dla urzędników, wyłożono panelami z wypolerowanego do połysku drewna; srebrne odbłyśnikowe lampy rozsiewały tu ciepły blask.

Owe wewnętrzne korytarze były dość małe, za to główne hole miały wysokość kilku pięter. Niektóre z najszerzych - główne linie zakłęcia - były oświetlone dziennym światłem wlewającym się przez umieszczone w dachu świetliki. Po obu ich stronach wznosiły się ku dalekiemu dachowi rzędy potężnych kolumn. Pomędzy tymi wielkimi smukłymi kolumnami znajdowały się galerie. Miejscami nad głową Verny były rozpięte wewnętrzne mosty. W pewnym miejscu owe napowietrzne przejścia umieszczono na dwóch poziomach, jedno nad drugim.

Czasem musiały wejść na te wyższe poziomy, przejść mostkiem ponad korytarzem i zejść do sektora innych korytarzy tylko po to, żeby kawałek dalej wrócić na górę. Pomimo tak krętej, wiodącej to w górę, to w dół trasy, nieustannie posuwały się ku centrum pałacu.

- Tędy - powiedziała Berdine, docierając do dwuskrzydłowych mahoniowych drzwi.

Drzwi swym ogromem dwukrotnie przewyższały Verne. Na każdym skrzydle wyrzeźbiono węża - owijał się ogonem na widniejącej na górze gałęzi, cielsko zwisało w dół i łeb znajdował się na wysokości oczu człowieka. Z rozwartych paszczy sterczały kły, jakby węże były gotowe ukąsić. Klamki, umieszczone zaledwie trochę niżej niż łby gadów, były ze spatynowanego

brązu świadczącego o ich wieku. Miały postać naturalnej wielkości szczerzących się trupich czaszek.

- Uroczę - mruknęła Verna.

- To ostrzeżenie - wyjaśniła Berdine. - Oznaczają, że nie wolno tam wchodzić.

- Anie mogli po prostu napisać na drzwiach: NIE WCHODZIĆ?

- Nie każdy potrafi czytać. - Berdine znacząco uniosła brew. - Nie wszyscy, którzy to potrafią, przyznaliby się do tej umiejętności, gdyby ich przyłapano na otwieraniu drzwi. A tak nie mają wymówki, że nie wiedzieli, i są świadomi, że strażnicy nie uwierzą w żadne wykręty.

Widok owych drzwi przyprawił Vernę o zimny dreszcz, więc była przekonana, że prawie wszyscy wołają ją z daleka omijać. Berdine z całej siły naparła na ciężkie prawe skrzydło. Wewnątrz znajdowała się przytulna, zaścielona dywanami komnata, której ściany wyłożono panelami z tego samego mahoniu co drzwi, ale już bez wyrzeźbionych węży. Trzymało tu straż czterech rosnących żołnierzy wyglądających groźniej niż czaszki z brązu. Najbliższy zastąpił im drogę.

- To zamknięty sektor.

Berdine, z marsową miną, wyminęła go.

- W porządku. Pilnuj, by dalej tak było.

Verna, aż za dobrze pamiętając, że jej moc jest w pałacu bezużyteczna, trzymała się tuż za Mord-Sith. Żołnierz, najwyraźniej nie mając ochoty łapać Mord-Sith, dmuchnął w gwizdek, wydobywając zeń wysoki, ostry dźwięk na pewno z łatwością docierający na górę schodów, do innych patroli. Ale dwóch najdalej stojących żołnierzy i tak zastąpiło kobietom drogę. Jeden z nich uniósł rękę, uprzejmie, choć stanowczo nakazując im się zatrzymać.

- Przepraszam, pani, lecz tak jak on powiedział i o czym powinnaś dobrze wiedzieć, to zamknięty sektor.

Berdine wsparła dłoń na biodrze, Agiel znalazł się w jej drugiej pięści. Gestykulowała nim, mówiąc:

- Ponieważ obydwójce służymy tej samej sprawie, to cię tu na miejscu nie ubiję. Ciesz się, że nie noszę dziś czerwonych skór, bo poświęciłabym trochę czasu, żeby cię nauczyć dobrych manier. Jak świetnie powinieneś wiedzieć, Mord-Sith są osobistą ochroną lorda Rahla i mogą chodzić, gdzie zechcą.

Żołnierz przytaknął.

- Dobrze o tym wiem, lecz od jakiegoś czasu cię tu nie widziałem...

- Byłam z lordem Rahlem. Odchrząknął.

- Podczas twojej nieobecności głównodowodzący generał zaostrzył środki bezpieczeństwa w tym sektorze.

- Znakomicie. Właściwie jestem tu po to, żeby porozmawiać w tej sprawie z naczelnym dowódcą Trimackiem.

Żołnierz skłonił głowę.

- Dobrze, o pani. Na szczycie schodów. Ktoś ci to umożliwi. Żołnierze się rozstąpili. Berdine uśmiechnęła się do nich obłudnie i przemknęła pomiędzy nimi, a Verna tuż za nią.

Po grubych, złoto-błękitnych dywanach dotarły do schodów ze wspaniałego płowego marmuru pokrytego siecią rdzawych żyłek. Verna jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziała. Był zachwycająco piękny. Szeroka poręcz, wsparta na tralkach w kształcie kielichów kwiatów, była gładka i chłodna w dotyku.

Kiedy skręcały na szerokim podeście, Verna zobaczyła, że u szczytu schodów czeka na nie już nie patrol, lecz cała armia żołnierzy. Przez nich Berdine tak łatwo się nie przedostanie.

- Jak myślisz, po co tu tylu żołnierzy? - spytała Verna.

- U końca korytarza, tam, na górze - odparła Berdine - jest Ogród Życia. W przeszłości mieliśmy tam kłopoty.

I to właśnie był powód, dla którego Verna chciała tam zajrzeć. Słyszała przekazywane rozkazy i szczeł metalu, kiedy nadbiegali żołnierze. U szczytu schodów czekało na nich parę tuzinów strażników, niektórzy z dobytą bronią. Verna zauważyła, że jest tu o wiele więcej żołnierzy w czarnych rękawicach, z kuszami. Tym razem jednak były naciągnięte i w obie kobiety celowały bełty z czerwonymi piórami.

- Kto tu dowodzi? - rzuciła Berdine ku zwróconym w jej stronę młodym twarzom.

- Ja! - zawołał trochę starszy od pozostałych mężczyzna, przepychając się przez zwarty pierścień żołnierzy. Miał przenikliwe niebieskie oczy, lecz uwagę Verny zwróciły jasne blizny na policzku i zuchwie.

Twarz Berdine pojaśniała na jego widok.

- Generał Trimack!

Żołnierze zrobili mu miejsce. Niespiesznie przyjrzał się Vernie, potem

spojrzał na Berdine. Verna miała wrażenie, że dostrzegła leciuteńki uśmiech.

- Witaj, pani Berdine. Dość długo cię nie widziałem.

- Całe wieki. Dobrze znowu być w domu. - Wskazała Vernę. - To Verna Sauventreen, Ksieni Sióstr Światła. Bliska przyjaciółka lorda Rahla i dowódca mających dar w armii D'Hary.

Trimack skłonił głowę, lecz nie spuszczał z niej baczego spojrzenia.

- Ksieni.

- Verno, to naczelny dowódca Trimack z Pierwszej Kompanii Pałacu Ludu w D'Harze.

- Pierwszej Kompanii?

- Kiedy lord Rahl jest w pałacu, Ksieni, to tworzymy wokół niego żelazny pierścień. Zginiemy co do jednego, zanim zło się do niego przedrze. - Wodził wzrokiem od jednej do drugiej. - Ze względu na ogromną odległość możemy jedynie wyczuć, że lord Rani jest gdzieś daleko na zachodzie. Może przypadkiem wiesz, gdzie dokładnie się znajduje? Albo kiedy do nas wróci?

- Wiele osób chciałoby znać odpowiedzi na te pytania, generale Trimacku - odrzekła Verna. - Obawiam się, że jesteś ostatni w długiej kolejce.

Szczerze się rozczarował.

- A wojna? Masz jakieś wieści? Verna potaknęła.

- Imperialny Ład rozdzielił swoją armię.

Żołnierze spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Na twarzy Trimacka odmalowało się z troską, cierpliwie jednak czekał na dalsze słowa Ksieni.

- Ład pozostawił znaczne siły po drugiej stronie gór, w pobliżu Aydindril w Midlandach. Musieliśmy zostawić żołnierzy i niektórych z magicznym darem po tej stronie gór, żeby strzegli przełęczy i nie pozwolili wrogom przedostać się do D'Hary. Spora część najlepszych oddziałów Ładu idzie teraz na południe przez Midlandy. Uważamy, że chcą obejść góry i zaatakować D'Harę od południa. Prowadzimy więc wojska na ich spotkanie.

Wszyscy żołnierze milczeli. Stali bez słowa, nie okazując żadnej reakcji na chyba najbardziej brzemienne w skutki wieści, jakie usłyszeli w swoim młodym życiu. Naprawdę mieli nerwy ze stali.

Generał przetarł dłonią twarz, jakby wszelkie ich troski i obawy skupiły się w nim jednym.

- A więc nasza idąca na południe armia jest w pobliżu pałacu.

- Nie. Ciągłe jeszcze są dalej na północ. Armia nie posuwa się szybko, jeśli nie ma takiej potrzeby. Mamy do przemierzenia o wiele mniejszą odległość niż Ład, Jagang zaś nie popędza swoich wojsk, więc uznaliśmy, że lepiej nie forsować naszych zbyt pospiesznym marszem na południe. Niech zachowają siły. Berdine i ja pojechałyśmy przodem, ponieważ musiałam przejrzeć niektóre z tutejszych ksiąg... w sprawach związanych z magią. Myślę też, że skoro już tu jestem, to powinnam zajrzeć do Ogrodu Życia i upewnić się, czy wszystko jest w porządku.

Trimack wziął głęboki wdech, zabębnił palcami o pas z orężem.

- Chciałbym ci pomóc, Ksieni, lecz trzech czarodzieje rozkazali mi, żebym nikogo tam nie wpuszczał. Wyraźnie powiedzieli, że nikt nie może tam wejść, nawet ogrodnicy.

Verna zmarszczyła brwi.

- Jacy trzech czarodzieje?

- Pierwszy Czarodziej Zorander, sam lord Rahl, a ostatnio czarodziej Nathan Rahl.

Nathan. Powinna przewidzieć, że będzie się starał odgrywać w pałacu kogoś ważnego, podkreślając fakt, że jest Rahlem mającym dar, przodkiem Richarda. Verna zastanawiała się, co jeszcze zdążył zмайstrować Nathan podczas swojego pobytu w Pałacu Ludu.

- Naczelnym dowódcą, jestem Siostrą i Ksienią Sióstr Światła. Walczę po tej samej stronie co ty.

- Siostro - odparł z tym oskarżycielskim, gniewnym spojrzeniem przymrużonych oczu, jakie potrafi rzucić jedynie oficer - wiedz, że już kiedyś odwiedziła nas Siostra. Parę lat temu. Pamiętacie, chłopcy? - Powiódł wzrokiem po ponurych twarzach, potem znów spojrzał na Verne. - Kręcone kasztanowe włosy do ramion, mniej więcej twojego wzrostu, Ksieni. Brakowało jej małego palca prawej dłoni. Może ją sobie przypominasz? Myślę, że to jedna z twoich Sióstr.

- Odette - rzekła Verna. - Lord Rahl opowiedział mi, jakie mieliście z nią kłopoty. Można rzec, iż była upadłą Siostrą.

- Nic mnie nie obchodzi, po której stronie łaski Stwórcy była tego dnia, w którym do nas zawitała. Wiem tylko, że dążąc do Ogrodu Życia, zabiła niemal trzystu ludzi. Trzystu! A jeszcze setkę zabiła w drodze powrotnej. Byliśmy zupełnie bezradni. - Twarz mu poczerwieniała, przez co bliźny stały

się bardziej widoczne. - Czy wiesz, jak to jest, kiedy się patrzy, jak ludzie giną, i nie może się temu zaradzić?! Kiedy się nie tylko odpowiada za ich życie, ale i ma się obowiązek jej tu nie wpuścić... i kiedy nie jest się w stanie powstrzymać zagrożenia?!

Verna odwróciła wzrok od pałających oczu Trimacka.

- Przykro mi, generale. Ale ona walczyła przeciwko lordowi Rahlowi. Ja nie. Jestem po waszej stronie. I walczę z takimi jak ona.

- Może i tak, ale dostałem od Zedda i samego lorda Rahla, jak już zabił tę podłą kobietę, wyraźne rozkazy: nikogo nie wolno tam wpuścić. Nikogo. Nawet gdybyś była moją matką, nie mógłbym cię tam wpuścić.

Vernie coś tutaj nie pasowało. Przekrzywiła głowę.

- Skoro Siostrze Odette udało się tam dostać i razem ze swymi żołnierzami nie zdołałeś jej powstrzymać, to dlaczego sądzisz, że zdołasz przeszkodzić mnie?

- Nie chciałbym, żeby do tego doszło, ale wiedz, że tym razem mamy coś, co pozwoli nam wykonać rozkaz. Już nie jesteśmy bezradni.

Verna zmarszczyła brwi.

- O czym ty mówisz?

Naczelnny dowódca Trimack wyjął zza pasa czarną rękawicę, wsunął w nią dłoń, poruszył palcami, żeby rękawica dobrze się ułożyła. Kciukiem i palcem wskazującym dłoni w rękawicy ostrożnie wyjął belt z kołczana przy pasie stojącego przy nim żołnierza. Żołnierz już miał załadowaną kuszę, więc w kołczanie zostały cztery belty. Trimack, trzymając belt za nasadę, uniósł ostry grot ku Vernie, żeby mogła się mu dobrze przyjrzeć.

- To zakończenie to nie tylko grot. Jest tu również moc powalająca tych z darem.

- Nadal nie wiem, o czym mówisz.

- Grot przesycono magią, która umożliwi mu przeniknięcie przez wszelkie osłony, jakimi mógłby się chronić człowiek obdarzony mocą.

Verna ostrożnie dotknęła palcem końcówki beltu. Ból przeszył jej dłoń i przegub, zanim zdołała szarpnąć ramię w tył. Jej dar w pałacu niemal nie działał, a mimo to była w stanie wyczuć potężną magiczną aurę zaklęcia otaczającego śmiercionośny grot. Istotnie, był to potężny oręż. Mający dar, nawet gdyby ich magiczna moc nie była osłabiona, znaleźliby się w poważnych opałach, gdyby posłano ku nim taki belt.

- Jeżeli macie te bełty, to czemu nie potrafiliście powstrzymać Siostry Odette?

- Bo wtedy jeszcze ich nie mieliśmy. Verna jeszcze bardziej się nachmurzyła.

- To skąd je wzięliście?

Generał uśmiechnął się, okazując zadowolenie kogoś, kto wie, że już nigdy nie będzie bezbronny wobec wroga mającego magiczny dar.

- Kiedy czarodziej Rahl był tutaj, wypytał mnie o nasze środki obrony. Opowiedziałem mu o ataku czarodziejki i o tym, że byliśmy bezbronni wobec jej mocy. Przeszukał pałac i znalazł tę broń. Najwidoczniej to wszystko było przechowywane w jakimś bezpiecznym miejscu, które jedynie czarodziej mógł odnaleźć. To on dał moim żołnierzom bełty i kusze.

- Jakże szlachetnie postąpił czarodziej Rahl.

- Istotnie.

Generał ostrożnie umieścił bełt w specjalnym kołczanie, w którym pociski się ze sobą nie stykały. Verna rozumiała teraz dlaczego. Trudno było powiedzieć, ile lat liczył sobie ów oręż, lecz Ksieni przypuszczała, że zachował się od wielkiej wojny.

- Czarodziej Rahl nauczył nas, jak się obchodzić z tak niebezpieczną bronią. - Trimack uniósł dłoń i poruszył palcami urękawiczonej dłoni. - Powiedział, że zawsze musimy mieć te specjalne rękawice, jeżeli trzeba dotknąć bełtu.

Zdjął rękawicę i zatknął ją za pas. Verna splotła przed sobą dłonie, głęboko zaczerpnęła powietrza i ostrożnie dobierała słowa.

- Generale, znam Nathana Rahla od czasów przed narodzeniem twojej babki. Nie zawsze otwarcie ostrzega przed niebezpieczeństwami towarzyszącymi jego działaniom. Na waszym miejscu posługiwałam się tym orężem z najwyższą ostrożnością, a jego przestrogi traktowałam jak sprawę życia lub śmierci.

- Sugerujesz, że jest lekkomyślny?

- Nie, a przynajmniej nie rozmyślnie. Ma on jednak zwyczaj bagatelizowania spraw, które uważa za... kłopotliwe. Poza tym jest bardzo stary i obdarzony wielką mocą, więc łatwo mu zapomnieć, o ile jego znajomość tajemnych spraw przerasta wiadomości innych ludzi oraz że dzięki swojej magicznej mocy potrafi czynić to, czego oni nie tylko nie mogą

zrobić, ale i pojąć. Można by rzec, iż jest jak starzec, który zapomina ostrzec gości, że pies gryzie.

Zgromadzeni w holu żołnierze wymienili spojrzenia. Niektórzy cofnęli dłoń lub łokieć od wiszącego u pasa kołczana.

Generał Trimack zaczął kciuk o gardę krótkiego miecza schowanego w pochwie wiszącej u lewego biodra.

- Poważnie potraktuję twoje ostrzeżenie, Ksieni, i mam nadzieję, iż zrozumiesz, że równie poważnie traktuję życie setek moich ludzi, którzy zginęli, kiedy ostatnio zjawiała się tu Siostra, a my byliśmy bezbronni wobec jej magii. Z równą powagą traktuję życie tych tu żołnierzy. I nie chcę, żeby tamto znowu się powtórzyło.

Verna zwilżyła wargi i napomniała się, że Trimack jedynie wykonuje swój obowiązek. Pałac prawie zupełnie pozbawiał ją Han, więc świetnie pojmowała, co czuł, będąc bezbronnym i bezradnym.

- Rozumiem, generale Trimacku. - Przyglądała włosy. - I ja wiem, jak ciężka jest odpowiedzialność za życie innych. Życie twoich żołnierzy jest istotnie bardzo cenne i warte zachodu jest to wszystko, co uniemożliwi wrogowi zabicie ich. Właśnie dlatego radzę, żebyście z wielką ostrożnością obchodzili się z magicznym orężem. Zazwyczaj taka broń nie jest przeznaczona dla tych, którzy nie mają daru, chyba że ktoś nadzoruje jej użycie.

Trimack skinął głową.

- Poważnie potraktujemy twoje ostrzeżenie.

- Znakomicie. Powinieneś też wiedzieć, że to, co się znajduje w owym pomieszczeniu, jest nadzwyczaj groźne. To zagrożenie dla nas wszystkich. I w interesie nas wszystkich powinnam się upewnić, skoro już tu jestem, że nic się tam nie zmieniło.

- Rozumiem twoją troskę, Ksieni, ale i ty powinnaś zrozumieć, że rozkazy nie pozwalają mi czynić żadnych wyjątków. Po prostu nie mogę cię tam wpuścić, zawierając twoim słowom, że jesteś tą, za którą się podajesz, i że jedynie zamierzasz nam pomóc. A gdybyś była szpiegiem? Zdrajczynią? Opiekunem wcielonym w osobę z tego świata? Choć więc wyglądasz na osobę godną zaufania, to cię tam nie wpuszczę, bo nie dlatego zostałem naczelnym dowódcą, że pozwalałem się namawiać atrakcyjnym kobietkom do spełniania ich życzeń.

Verne na chwilę zbiło z tropu to, iż przed tymi wszystkimi młodzieńcami nazwano ją „atrakcyjną kobietką”.

- I uroczyście cię zapewniam, że od czasu, kiedy ostatnio był tam lord Rahl, nikt inny, absolutnie nikt, tam nie wchodził. Nawet Nathan Rahl tam nie wszedł. W Ogrodzie Życia wszystko pozostaje nietknięte.

- Rozumiem, generale. - Dużo czasu upłynie, zanim znów się znajdzie w pałacu; nie wiadomo, gdzie jest Richard i kiedy powróci. W rozterce masowała czoło palcami. - A gdybym tak, generale, nie weszła do Ogrodu Życia, lecz tylko stanęła przed samymi drzwiami i zajrzała tam, żeby się upewnić, że trzem szkatułom nic się nie stało? Cały tuzin twoich żołnierzy mógłby mierzyć w moje plecy tymi śmiercionośnymi bełtami.

Trimack zagryzł wargi, namyślał się.

- Żołnierze przed tobą, za tobą i po bokach będą w ciebie celować bełtami, trzymając palce na dźwigniach spustowych. Możesz zza moich ludzi zajrzeć do Ogrodu Życia, ale pod groźbą śmierci nie wolno ci przekroczyć progu.

Verna wcale nie musiała podchodzić do szkatuł na wyciągnięcie ręki. Prawdę mówiąc, w ogóle nie miała ochoty zbyt blisko do nich podchodzić. Chciała się tylko upewnić, że nikt inny ich nie dotykał. Ale wcale się jej nie podobało, że stojący tuż obok niej żołnierze będą w nią celować tymi śmiercionośnymi bełtami, gotowi w razie czego natychmiast wypuścić jeden z nich. W końcu postanowiła sprawdzić, co ze szkatułami Ordenu tylko dlatego, że i tak już była w pałacu. A zjawiała się tu w zupełnie innym celu. Ale skoro już tu jest...

- Umowa stoi, generale. Chcę się jedynie przekonać, że są bezpieczne, żebyśmy wszyscy mogli choć trochę spokojniej spać.

- Jestem za tym, żeby spać spokojniej.

Generał Trimack poprowadził Berdine i Verne, otoczone żołnierzami, szerokim korytarzem ze lśniącego granitu. Przyścienne kolumny stanowiły ramy dla wielkich kamiennych płyt niczym dla dzieł sztuki. I dla Verny były widowym dowodem działania Stwórcy, dziełami sztuki z jego ogrodu - świata żywych. Odgłos kroków idących wraz z nimi żołnierzy budził echa w wielkich holach, kiedy mijali skrzyżowania - holach stanowiących linie zarysu zakłęcia zbiegające się w centrum, czyli w Ogrodzie Życia. Na koniec doszli do dwuskrzydłowych, powleczonych złotem drzwi pokrytych

płaskorzeźbami, które przedstawiały falujące wzgórza i lasy.

- Za nimi jest Ogród Życia - oznajmił poważnym głosem Trimack.

Żołnierze otoczyli Verne, unieśli kusze, a generał zaczął otwierać jedno skrzydło wielkich złotych drzwi. Niektórzy ze stojących po bokach i z tyłu żołnierzy celowali w głowę Ksieni. Ci czterej, którzy stanęli przed nią, celowali w serce. Ulżyło jej, że żaden z nich nie celował jej w twarz. Pomyślała, że to czyste wariactwo, lecz wiedziała, że oni traktują to ze śmiertelną powagą, więc i ona tak czyniła.

Pokryte złotem skrzydło drzwi rozwarło się na oścież i Verna - ciasno otoczona swoimi przybocznymi asasynami - podeszła bliżej, żeby zajrzeć do środka. Musiała wyciągnąć szyję i lekkim skinieniem dłoni skłonić jednego z żołnierzy, żeby przesunął się trochę w bok, by mogła swobodnie zajrzeć do olbrzymiego pomieszczenia.

Verna zajrzała do środka z dość słabo oświetlonego korytarza, a tam zachmurzone niebo rozjaśniało wspaniałe wnętrze światłem wpadającym przez przeszklony dach. Zdumiała się, że mieszczący się w samym sercu Pałacu Ludu Ogród Życia wygląda po prostu jak... bujny ogród.

Na obrzeżu olbrzymiego pomieszczenia alejki wiły się wśród kwiatowych rabat. Ziemię zaścielały płatki - niektóre jeszcze barwne, czerwone i żółte, lecz w większości już zeschnięte i pomarszczone. Za kwiatami rosły niewielkie drzewa, a jeszcze dalej znajdowały się niskie, kamienne, porośnięte pnączami murki. W kwaterach wyznaczanych przez owe murki rosły najrozmaitsze krzewy i rośliny ozdobne; teraz, pozbawione opieki, przedstawiały smutny widok. Wiele z nich miało nowe przyrosty i wymagało przycięcia. Inne oplatały rozrastające się pnącza. Wyglądało na to, że generał Trimack mówił prawdę i że nikogo, nawet ogrodników, tu nie wpuszczano.

W Pałacu Proroków też były wewnętrzne ogrody, choć o wiele mniejsze. Nawadniał je system rur biegnących od zbiorników na dachu. Verna dostrzegła i tu w rogu podobne rury i zdała sobie sprawę, że zbierana na dachu deszczówka nadal nawadnia cały ogród, bo inaczej owo tak wspaniałe oświetlone чудо już dawno by zmarniało i uschło.

W samym środku olbrzymiego pomieszczenia znajdował się niemal kolisty, porośnięty trawą gazon, a na nim leżał biały kamień. Na kamieniu ustawiono dwa niskie, żłobkowane cokoły, na których leżała płyta z wygładzonego granitu, a na granitowym ołtarzu spoczywały trzy szkatuły -

ich powierzchnia była tak atramentowo czarna, że aż dziw, iż nie wessały całego światła z ogrodu, a z nim i całego świata, w wieczne mroki zaświatów. Na ów złowieszczy widok serce podeszło Vernie do gardła. Wiedziała, że owe trzy szkatuły są przejściami, i dokładnie tym były. Stanowiły przejście pomiędzy światem życia a światem śmierci. Utworzyła je magia obu światów. Gdyby owo przejście zostało kiedykolwiek otwarte, zasłona zostałaby rozdarta i Bezimienny - Opiekun zmarłych - byłby wolny.

Ponieważ mówiły o tym pilnie strzeżone księgi, niewiele osób w Pałacu Proroków znało prastarą nazwę owego przejścia - szkatuły Ordenu. Trzy szkatuły działały razem i razem tworzyły przejście. W Pałacu Proroków wiedzano, że przejście przepadło ponad trzy tysiące lat temu. Wszyscy sądzili, że zniknęło, zagubiło się już na dobre. Przez całe stulecia debatowano nad tym, czy takie przejście w ogóle kiedykolwiek istniało. Ewentualnego istnienia przejścia dotyczyły najzagorzalsze teologiczne dysputy.

Przejście - szkatuły Ordenu - istniało i Verna nie mogła oderwać od niego oczu. Serce się w niej tłukło na jego widok, a zimny pot zmoczył jej suknię.

Nie dziwota, że trzech czarodziejów rozkazali generałowi, żeby nikogo tu nie wpuszczał. Verna zmieniła zdanie co do tego, że Nathan wyposażył Pierwszą Kompanię w tak groźną broń.

Zdobne klejnotami wieczka zostały zdjęte, odsłaniając złowieszczą czerń, bo Rahl Posępny chciał wykorzystać magię Ordenu do zdobycia władzy nad światem żywych. Na szczęście Richard mu w tym przeszkodził.

Przywłaszczenie sobie teraz szkatuł nic by złodziejowi nie dało. Żeby pojąć, jak działa magia Ordenu i jak funkcjonuje przejście, trzeba było dysponować odpowiednią wiedzą. Część owych wiadomości zapisano niegdyś w księdze, która teraz istniała wyłącznie w pamięci Richarda. Między innymi dlatego udało mu się pokonać Rahla Posępnego.

Oprócz owej wiedzy złodziej - żeby skorzystać z przejścia i przywłaszczyć sobie moc Ordenu - musiałby mieć dar obu magii, tak addytywnej, jak i subtraktywnej.

Wszyscy inni zapewne by się znaleźli w prawdziwym niebezpieczeństwie, gdyby byli na tyle szaleni, żeby spróbować posłużyć się czymś tak zdradzieckim.

Verna westchnęła z ulgą, widząc, że nikt nie dotykał trzech szkatuł, że

stoją dokładnie tam, gdzie Richard - według jego własnych słów - je zostawił. Chwilowo było to najbezpieczniejsze miejsce dla tak groźnej magii. Może kiedyś uda jej się pomóc znaleźć sposób na bezpieczne zniszczenie przejścia, o ile to w ogóle możliwe, lecz na razie szkatuły są tu bezpieczne.

- Dziękuję, generale Trimacku. Ku swojej uldze przekonałam się, że wszystko jest tak, jak powinno być.

- I tak pozostanie - odrzekł, napierając na skrzydło drzwi, które zamknęło się bezszelestnie. - Może tutaj wejść jedynie lord Rahl.

Verna uśmiechnęła się do niego.

- Znakomicie. - Rozejrzała się po otaczających ją wspaniałościach pałacu stwarzających pozory trwałości, spokoju i bezpieczeństwa; gdybyż to była prawda! - Musimy już wracać. Muszę jak najszybciej dołączyć do naszych wojsk. Powiem generałowi Meiffertowi, że w pałacu wszystko jest pod kontrolą. Miejmy nadzieję, że lord Rahl wkrótce do nas dołączy i że pokonamy Imperialny Ład, zanim zdoła tutaj dotrzeć. Proroctwo głosi, że jeżeli lord Rahl będzie z nami w ostatecznej bitwie, to mamy szansę zmiażdżyć Imperialny Ład, a może i przepędzić ich do Starego Świata.

Generał szeroko się do niej uśmiechnął i skinął głową.

- Oby dobre duchy były przy tobie, Ksieni.

Verna, z Berdine u boku, wyszła z zakazanego sektora. Kiedy znowu schodziły schodami, była rada, że wraca do armii, choć się trapiła czekającym ich zadaniem.

Uświadomiła sobie, że od przybycia do pałacu czuje się bardziej odpowiedzialna za krainę, jaką się stało imperium D'Hary pod władzą Richarda, i bardziej z ową krainą związana. A co ważniejsze, że jeszcze bardziej ceni życie. Jeżeli jednak nie odnajdą Richarda i nie nakłonią go, żeby dowodził ich wojskiem w bitwie z Imperialnym Ładem, to próba powstrzymania armii Jaganga będzie się równać samobójstwu.

- Ksieni? - rzekła Berdine, zamykając drzwi z wyrzeźbionym węzem.

Verna zatrzymała się i czekała, kiedy tamta uderzyła dłonią o czaszkę z brązu pełniącą funkcję klamki.

- O co chodzi, Berdine?

- Uważam, że powinnam tutaj zostać.

- Zostać? - Verna spojrzała w oczy Mord-Sith. - Ale dlaczego?

- Jeżeli Ann odnajdzie lorda Rahla i przyprowadzi go do armii, to będzie

miał ciebie i Mord-Sith, które tam są, żeby go chronić. No i będzie tam, gdzie według ciebie powinien być. Ale ona może go nie znaleźć.

- Musi. Richard też jest świadomy wagi proroctwa i wie, że powinien tu być, kiedy nadejdzie rozstrzygająca bitwa. Wierzę, że do nas dołączy nawet wtedy, kiedy Ann go nie odnajdzie.

Berdine wzruszyła ramionami, trudno jej było znaleźć właściwe słowa.

- Może tak. A może nie. Wiele czasu z nim spędziłam, Verno.

On tak nie myśli. Proroctwo nie jest dla niego tak ważne jak dla ciebie.

Verna ciężko westchnęła.

- Prawdę rzekłś, Berdine.

- To rodzinne gniazdo lorda Rahla, chociaż tak naprawdę mieszkał tutaj wyłącznie jako więzień. Mimo to troszczy się o nas jak o swój lud, swoich przyjaciół. Mnóstwo czasu z nim spędziłam, więc wiem, ile dla niego znaczymy i że on się orientuje, jak wiele znaczy dla nas. Może zechce wrócić do domu. Jeżeli tak, to uważam, że powinnam tu na niego czekać. Potrzebna mu moja pomoc przy tłumaczeniu ksiąg, a przynajmniej lubię wierzyć, że tak, i czuję, iż jestem dla niego ważna. Nie wiem dlaczego, ale czuję, że powinnam pozostać w pałacu, na wypadek gdyby on tu wrócił. Jeśli wróci, to powinien się dowiedzieć, że desperacko go szukacie. Że zbliża się rozstrzygająca bitwa.

- Czy twoja więź mówi ci, gdzie on jest? Berdine wskazała ku zachodowi.

- Gdzieś tam, ale bardzo daleko.

- Generał powiedział to samo. A to przynajmniej oznacza, że Richard znowu znalazł się w Nowym Świecie. - Verna w końcu miała powód, żeby się uśmiechnąć. - Nareszcie. Dobrze to wiedzieć.

- Im bliżej niego będą czujący więź, tym łatwiej im będzie pomóc ci go odszukać.

Verna przez chwilę nad tym rozmyślała.

- No cóż, będzie mi brakowało twojego towarzystwa, Berdine, ale najwyraźniej musisz zrobić to, co uważasz za konieczne, a ja muszę przyznać, że twoje słowa mają sens. Im liczniejsze będą miejsca, w których go będziemy wypatrywać, tym większa szansa, że go na czas odnajdziemy.

- Naprawdę uważam, że powinnam tutaj zostać. Poza tym chcę przejrzeć kilka ksiąg i porównać z tym, co pisał Kolo. Jest parę spraw, które mnie niepokoją. Może pomogę lordowi Rahlowi wygrać tę rozstrzygającą bitwę,

jeżeli uda mi się wyjaśnić te sprawy.

Verna skinęła głową, uśmiechając się smutno.

- Odprowadzisz mnie?

- Oczywiście.

Odwróciły się, słysząc czyjeś kroki. To była Mord-Sith w czerwonym skórzanym uniformie. Blondynka, wyższa od Berdine. Przenikliwe niebieskie oczy spojrzały badawczo na Vernę - spojrzenie świadczyło o całkowitej, nieustraszonej pewności siebie owej kobiety.

- Nyda! - wykrzyknęła Berdine.

Kobieta przystanąła, uśmiechając się kącikiem ust. Położyła dłoń na ramieniu Berdine; Verna wiedziała, że w przypadku Mord-Sith, może z wyjątkiem Berdine, ów gest oznacza dziką radość. Nyda wpatrywała się w Berdine, pochłaniając ją wzrokiem.

- Dawnośmy się nie widziały, siostró Berdine. W D'Harze było pusto bez ciebie. Witaj w domu.

- Dobrze być w domu i znów cię widzieć.

Nyda spojrzała na Vernę. Berdine się opamiętała.

- Siostró Nydo, to Verna, Ksieni Sióstr Światła. Jest przyjaciółką i doradcą lorda Rahla.

- Czy on tu zdąży?

- Niestety nie - odparła Berdine.

- Jesteście siostrami? - zaciekawiała się Verna.

- Nie. - Berdine machnęła ręką. - Ty też nazywasz podobne tobie kobiety „Siostrami”. U nas jest tak samo. Nyda to stara przyjaciółka.

Nyda się rozejrzała.

- A gdzie jest Raina?

Berdine zbladła na dźwięk tego imienia. Wyszepiała:

- Raina umarła.

Twarz Nydy była nieprzenikniona.

- Nie wiedziałam, Berdine. Czy miała dobrą śmierć, z Agielem w dłoni?

Berdine przełknęła ślinę, wpatrując się w podłogę.

- Umarła na mór. Walczyła z nim do ostatniego tchu... ale ją w końcu pokonał. Umarła w ramionach lorda Rahla.

Verna pomyślała, że wpatrzone w Berdine oczy stały się odrobinę jaśniejsze.

- Tak mi przykro, Berdine. Berdine podniosła wzrok.

- Lord Rahl płakał, kiedy umarła.

Pełne zdumienia milczenie Nydy zdradziło Vernie, że dotąd żaden z lordów Rahlów nie dbał o to, czy Mord-Sith żyje czy nie. Zachwyt, który się potem pojawił, świadczył, że taki hołd dla jednej z nich miał olbrzymie znaczenie.

- Słyszałam podobne opowieści o tym lordzie Rahlu. Rzeczywiście więc są prawdziwe?

Berdine promiennie się uśmiechnęła.

- O tak. Są prawdziwe.

ROZDZIAŁ 32

Co za lektura aż tak cię wciągnęła? - spytała Rikka, zamykając ramieniem masywne drzwi.

Zedd chrząknął z niezadowoleniem, a potem oderwał wzrok od leżącej przed nim otwartej książki.

- Puste stronice.

Przez okrągłe okno po lewej stronie widział dachy Aydindril rozpościerającego się daleko w dole. W złocistym blasku zachodzącego słońca miasto wyglądało wręcz sielankowo, lecz była to tylko iluzja. Wszyscy mieszkańcy uciekli przed nieprzyjacielskimi hordami, ratując życie, i miasto było teraz zaledwie pustą, pozbawioną życia skorupą, niczym wylinki cykad, które właśnie się pojawiły.

Rikka pochyliła się ku Zeddowi ponad wspaniałym biurkiem i przekrzywiła głowę, żeby lepiej widzieć. Zerknęła do książki.

- Nie cała jest pusta - oznajmiła. - Nie możesz czytać tekstu, którego nie ma, czyli musisz czytać linijki tekstu, a nie puste miejsca. Powinieneś być precyzyjniejszy w wypowiedziach, a może i uczciwszy.

Zedd jeszcze bardziej się nachmurzył i spojrzał na nią.

- Czasem to, czego się nie powie, ma większe znaczenie od tego, co zostało powiedziane. Czy kiedykolwiek się nad tym zastanawiałaś?

- Czyżbyś mnie prosił, żebym milczała?

Postawiła dużą drewnianą miseczkę z kolacją Zedda. Zapachniało cebulą, czosnkiem, warzywami i soczystym mięsem. Rozkoszny aromat.

- Nie. Żądam tego.

Przez okno po prawej stronie Zedd widział wznoszące się wysoko ciemne mury wieży. Wieża Czarodzieja, sama niemal równie wielka jak góra, wznosiła się na zwróconym ku Aydindril stoku góry. I podobnie jak miasto, też była opustoszała - mieszkali tu tylko Chase, Rikka, Rachel, no i Zedd. Ale już niedługo będzie tu więcej ludzi. I w wieży znów zamieszka rodzina. W pustych korytarzach na nowo zabrzmie śmiech, znów zamieszka tu miłość, jak w czasach, kiedy mnóstwo ludzi nazywało wieżę domem.

Rikka rozejrzała się po okrągłym pokoju wieżyczki. Półki zastawione były słojami i dzbanami o najróżniejszych kształtach, szklanymi naczyniami o

delikatnych barwach - w niektórych były ingrediencje do czarów, a w jednym nawet pasta do polerowania biurka; stało tu również ozdobnie rzeźbione krzesło z prostym oparciem, dębowe biurko, kufer obok krzesła, no i szafy na książki. Książki stały w narożnych szafach z przeszklonymi drzwiami, zajmując większość miejsca na półkach; napisano je w najrozmaitszych językach.

Rikka skrzyżowała ramiona, pochyliła się i przyjrzała niektórym połączonym grzbietom.

- Naprawdę przeczytałeś je wszystkie?

- Jasne - mruknął Zedd. - Wiele razy.

- Pewnie okropnie nudno być czarodziejem. Trzeba tyle czytać i myśleć. Łatwiej zdobywać informacje, wykrwawiając ludzi.

Zedd odchrząknął głośno.

- Kiedy ludzie straszliwie cierpią, wtedy chętnie mówią, ale zwykle to, co wedle nich chcesz usłyszeć, bez względu na to, czy to prawda czy nie.

Wyciągnęła tom, przekartkowała, odstawiła na półkę.

- To dlatego nas szkolą: uczą właściwych metod przesłuchiwania ludzi. Pokazujemy im, o ile więcej bólu ich czeka, jeżeli będą nas okłamywać. Gdy tylko pojmą, jak straszliwe następstwa niesie ze sobą kłamstwo, od razu mówią prawdę.

Zedd właściwie wcale jej nie słuchał. W skupieniu starał się zrozumieć, co mógłby znaczyć pewien fragment proroctwa, ale każde wyjaśnienie, jakie mu przychodziło na myśl, jeszcze bardziej odbierało mu apetyt. Aromatycznie parująca miska czekała. W końcu zdał sobie sprawę, że Rikka pewnie dlatego sterczy mu nad głową, że czeka, aż on zacznie jeść. Może czekała na pochwałę.

- No i co jest na kolację?

- Potrawka.

Zedd odrobinę wyciągnął szyję, łypnął do drewnianej miski.

- A gdzie bułeczki?

- Nie ma. Potrawka.

- Wiem, że potrawka. Tyle to sam widzę. Pytałem, gdzie bułeczki do potrawy?

Rikka wzruszyła ramionami.

- Jeżeli chcesz, to ci przyniosę trochę świeżego chleba.

- To potrawka! - wykrzyknął z marsową miną. - A do niej pasują bułeczki, a nie chleb.

- Gdybym wiedziała, że chcesz na kolację bułeczki, tobym zrobiła bułeczki, a nie potrawkę. Trzeba było wcześniej powiedzieć.

- Wcale nie chcę bułeczek zamiast potrawki - burknął Zedd.

- Szybko zmieniasz zdanie, kiedy jesteś w gderliwym nastroju, nie?

Zedd łypnął na nią jednym okiem.

- Naprawdę masz talent do torturowania. Uśmiechnęła się, obróciła na pięcie i dumnym krokiem wymaszerowała z niewielkiego pokoju. Zedd pomyślał, że Mord-Sith nawet w pojedynkę musi dumnie stąpać. Znów zajął się książką, próbując spojrzeć na problem pod innym kątem. Zdążył zaledwie parę razy przeczytać ów ustęp, kiedy klamka się poruszyła i do pokoju weszła Rachel, niosąc coś w obu rękach. Stopą popchnęła drzwi, żeby się zamknęły.

- Odłóż książkę, Zeddzie, i zjedz kolację.

Uśmiechnął się do małej. Zawsze sprawiała, że się do niej uśmiechał. Taka już była.

- Co przyniosłaś, Rachel?

Postawiła na biurku cynową misę, przesunęła ją ku czarodziejowi.

- Bułeczki.

Zedd, osłupiały, uniósł się trochę z krzesła i nachylił nad biurkiem, zaglądając do misy.

- O co chodzi z tymi bułeczkami?

Wielkie oczy Rachel zamrugwały, jakby to było najosobliwsze pytanie, jakie dziewczynka w życiu słyszała.

- Są na kolację. Rikka poprosiła, żebyś je przyniosła. Bo ona miała obie ręce zajęte miseczkami z potrawką dla ciebie i Chase'a.

- Nie powinnaś pomagać tej kobiecie - oznajmił z groźną miną Zedd, na powrót siadając. - Ona jest zła.

Rachel zachichotała.

- Ale z ciebie głuptas, Zeddzie. Rikka opowiada mi historie o gwiazdach. Pokazuje, jakie tworzą obrazy, a potem o każdym coś opowiada.

- Ach tak. Hmm, to ładnie z jej strony.

Ściemniało się i coraz trudniej było czytać. Zedd wyciągnął więc przed siebie rękę, posyłając iskierkę daru do świec osadzonych w ozdobnym

żelaznym kandelabrze. Ciepłe światło rozjaśniło przytulny pokój, oświetlając idealnie dopasowane kamienie ścian i ciężkie dębowe belkowanie stropu. Rachel uśmiechnęła się szeroko, w jej oczach błyszczał podziw i odbijały się płomyki świec. Lubiła patrzeć, jak Zedd zapala świece.

- Znasz najwspanialszą magię, Zeddzie. Czarodziej westchnął.

- Szkoda, że mnie zostawiasz, malutka. Rikka nie docenia zapalania świec.

- Będziesz za mną tęsknił?

- Nie za bardzo. Po prostu nie chcę zostać sam z Rikką - odparł, ponownie czytając ostatnią linijkę.

„Najpierw będą się z nim zmagać, potem zaś zmawiać się, aby go uzdrowić”. Co też to mogło oznaczać?

- Może by ci się udało namówić Rikkę, żeby ci opowiedziała jakieś historie o gwiazdach. - Rachel obchodząca biurko posmutniała. - Okrrrrropnie będę za tobą tęsknić, Zeddzie.

Zedd podniósł wzrok znad książki. Rachel wyciągała ramionka, czekając na uścisk. Uśmiechnął się i przytulił dziewczynkę. Mało co w życiu było tak przyjemne jak uściski Rachel. Uwielbiała się przytulać i zawsze wkładała w to całe serce.

- Twoje uściski są takie kochane, Zeddzie. Richarda też.

- O tak.

Zedd przypomniał sobie, jak dawno temu siedział w tym pokoju, a jego córeczka była w tym samym wieku co teraz Rachel. Ona też przychodziła do niego i chciała, żeby ją przytulił. Teraz został mu tylko Richard. Zedd strasznie za nim tęsknił.

- Będę za tobą tęsknić, malutka, ale raz-dwa tu wrócisz z resztą rodziny, no i wtedy będziesz się bawić z braćmi i siostrami, a nie z takim starcem jak ja. - Zedd posadził ją sobie na kolanach. - Miło będzie was wszystkich mieć w Wieży Czarodzieja. Wieża znów będzie pełna życia i radości.

- Rikka mówi, że już nie będzie musiała gotować, jak mama się tu zjawi.

Zedd łyknął letniej herbaty z cynowego kubka stojącego na kufrze.

- Teraz musi. Rachel kiwnęła główką.

- I jeszcze mówi, że mama na pewno każe ci wyszczotkować włosy. - Wyciągnęła rączki, też chciała się napić. Dał jej łyknąć herbaty ze swojego kubka.

Zedd przekrzywił głowę.

- Wyszczotkować włosy? Rachel poważnie potaknęła.

- Sterczą na wszystkie strony. Ale mnie się to podoba.

- Rachel - odezwał się Chase, wchodząc przez drzwi o zaokrąglonym szczycie - znowu się naprzykrzasz Zeddowi? Rachel pokręciła główką.

- Przyniosłam mu bułeczki. Rikka powiedziała, że lubi jeść potrawkę z bułeczkami i że powinnam mu zanieść całą miskę.

Chase wsparł się pięściami pod boki.

- A jak niby ma jeść te bułeczki, skoro jakiś paskudny dzieciak siedzi mu na kolanach?! Całkiem odbierzesz mu apetyt.

Rachel zaśmiała się radośnie i zeskoczyła z kolan Zedda. Czarodziej znów spojrzał na księgę.

- Spakowaliście się już?

- Tak - odrzekł wielkolud. - Chcę jak najwcześniej wyruszyć. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, ruszamy o świcie.

Zedd, znów wpatrzony w prorocstwo, zbył to machnięciem ręki.

- Dobrze, dobrze. Im szybciej sprowadzisz tu rodzinę, tym lepiej. Lżej nam będzie na sercu, gdy się znajdą w tym bezpiecznym miejscu i znowu będziecie wszyscy razem.

Chase ściągnął gęste brwi, spojrzał bacznie piwnymi oczami na czarodzieja.

- O co chodzi, Zeddzie? Co się stało?

Zedd podniósł na niego wzrok, nachmurzył się.

- Co się miało stać? Nic się nie stało. Nic.

- Jest zajęty czytaniem - wyjaśniła Rachel, obejmując nogę Chase'a i tuląc główkę do jego biodra.

- Zeeedzie? - pytająco przeciągnął Chase, dając do zrozumienia, że nie uwierzył tym zapewnieniom.

- A dlaczego sądzisz, że coś się stało?

- Nic nie zjadłeś. - Chase położył dłoń na drewnianej rękojeści długiego noża zatkniętego za pas. Drugą ręką gładził długie blond włosy Rachel. Do pasa i nóg miał przymocowanych ze dwanaście noży różnych rozmiarów, a rankiem, na wyjazd, doda do nich jeszcze miecze i topory. - A to może oznaczać tylko jedno: że stało się coś złego.

Zedd wepchnął sobie do ust małą bułeczkę.

- O proszę - wymamrotał z pełnymi ustami. - Zadowolony? Czarodziej gryzł ciepłą bułeczkę, a Chase się pochylił i uniósł bródkę Rachel.

- Biegnij do swojego pokoju i dokończ pakowanie. No i oczywiście noże powinny być lśniące i ostre.

Energicznie skinęła główką.

- I będą, Chase.

Rachel miała ciężkie życie jak na tak małą dziewczuszkę. Z przyczyn, które zawsze budziły w Zeddzie podejrzenia, znajdowała się w samym centrum najrozmaitszych ważnych spraw. Kiedy Chase przygarnął osieroconą dziewczynkę, żeby ją wychowywać jak własną córkę, czarodziej osobiście go napomniął, żeby ją nauczył, jak ma się bronić. Mówił, że powinna dorównywać biegłością Chase'owi, żeby móc sobie zapewnić bezpieczeństwo. Rachel uwielbiała Chase'a i chętnie się od niego uczyła. Jednym z mniejszych noży potrafiła z dziesięciu kroków przyszpilić muchę do palika w płocie.

- I masz się wcześniej położyć, żebyś była rano wypoczęta - dodał Chase. - Nie będę cię niósł, gdy się zmęczysz.

Rachel spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Przecież mnie nosisz, choć mówię, że nie jestem zmęczona. Chase spojrzał ze zbolaną miną na Zedda, a potem z udawanym gniewem na małą.

- Cóż, jutro sama będziesz musiała sobie radzić.

Rachel z powagą skinęła główką, nic a nic się nie bojąc olbrzyma.

- Dobrze. - Zerknęła na Zedda. - Przyjdiesz mnie pocałować na dobranoc?

- Ma się rozumieć - odparł z uśmiechem czarodziej. - Za chwilę przyjdę, żeby cię otulić.

Zastanawiał się, czy Rikka zajrzy do małej, żeby jej opowiedzieć jakąś historię. Myśl o Mord-Sith opowiadającej dziecku historie o obrazach tworzonych przez gwiazdy na niebie radowała serce. Rachel na wszystkich tak działała.

Chase patrzył przez przejście, jak córeczka biegnie szerokim rampartem. Zedda cieszył jej stosunek do Wieży Czarodzieja. Szybko uznała ją za swoją i radośnie biegała korytarzami liczącymi sobie tysiące lat. Dobrze zapamiętała ostrzeżenia Zedda i nigdy nie chodziła w zakazane miejsca. Była dzieckiem pojmującym zagrożenie. Na ramparcie czuła się zupełnie swobodnie.

Przystanęła, żeby spojrzeć przez krenelaż na leżące w dole miasto, a potem pobiegła dalej. Zedda zdumiewało, że takie chude nóżki potrafią ją tak szybko nieść.

Kiedy Chase się upewnił, że mała spokojnie biegnie dalej, zamknął ciężkie dębowe drzwi i podszedł do biurka. Jego olbrzymie rozmiary sprawiły, że przytulny pokój - Zedd zawsze uważał, że to bardzo wygodny pokoik - nagle się jakoś skurczył.

- No to w czym problem?

Nie uspokoi się, póki się czegoś konkretnego nie dowie. Zedd westchnął i obrócił książkę ku strażnikowi granicy, żeby sam mógł przeczytać.

- Rzuć okiem. I sam powiedz.

Chase popatrzył na starą książkę. Uniósł prawą, potem lewą kartę.

- No i w czym problem, jak już pytałem? Nie wygląda na to, żeby się było czym zamartwiać.

Zedd znacząco uniósł brew.

- I w tym problem.

- To znaczy?

- To księga prorocत्व. Powinien w niej być tekst, prorocत्व właśnie. Nie możesz mieć książki bez żadnego tekstu i dalej uważać, że to prawdziwa książka, nieprawdaż? A tekst zniknął.

- Zniknął? - Chase podrapał się po siwiejącej skroni. - To bez sensu. Jak tekst może zniknąć? Przecież nikt nie może ukraść słów ze stronicy.

To był interesujący punkt widzenia - że ktoś ukradł słowa. Chase, przez większość życia strażnik granicy, która przed paroma laty zniknęła, zawsze najpierw podejrzewałby kradzież. Zedd nie wziął takiej możliwości pod uwagę. Myśli czarodzieja już pomknęły tym nowym, mrocznym szlakiem.

- Nie mam pojęcia, jak słowa mogły zniknąć - przyznał, łykając herbaty.

- O czym jest to prorocत्व? - spytał Chase.

- Tak się składa, że ta księga prorocत्व dotyczy głównie Richarda.

Chase zachowywał absolutny spokój, co oczywiście znaczyło, że wewnątrz trawi go obawa.

- Jesteś przekonany, że był tu kiedyś tekst? To stara książka, może zapomniałeś, że ma puste stronicy. W końcu kiedy czytasz książkę, to sobie potem przypominasz tekst, a nie puste strony.

- Też prawda. - Czarodziej odstawił cynowy kubek. - Nie mogę przysiąc,

że była zapisana, ale po prostu nie wierzę, żeby kiedykolwiek była w większości pusta. A teraz jest.

Chase z nieprzeniknioną miną rozmyślał nad tą zagadką.

- Przyznaję, że to dziwnie brzmi... ale czy to na pewno jakiś problem? Richard nigdy nie był wielbicielem proroctw; a przynajmniej nie postępował według ich nakazów.

Zedd wstał i nieustępliwie stukał palcem w książkę.

- Chase, ta księga była w wieży przez tysiące lat. I przez tysiące lat było w niej zapisane proroctwo. Jestem o tym przekonany. A teraz nagle jest pusta. Czy to ci się wydaje błahe?

Chase wzruszył ramionami, wetknął kciuki do tylnych kieszeni.

- Bo ja wiem, Zeddzie. Nie znam się na takich sprawach. A skoro pytasz mnie, co sędzę o księgach proroctw, to naprawdę musisz być w tarapatach. To ty jesteś czarodziejem, więc mi powiedz.

Zedd wsparł się o biurko i pochylił ku strażnikowi granicy.

- Nie mogę sobie przypomnieć niczego, co kiedyś było zapisane w tej książce. Nie pamiętam też niczego, co kiedyś było na pustych teraz stronach innych ksiąg proroctw.

Chase miał ponurą minę.

- To są i inne książki z pustymi stronami?

Zedd przytaknął, przygładził włosy. Zapatrzył się w coraz bardziej ciemniejące okno, starając się dostrzec swoje odbicie, ale nic z tego nie wyszło - na zewnątrz ciągle jeszcze było za jasno.

- Czy moje włosy wymagają szczotkowania? - spytał, patrząc na Chase'a. - Za bardzo sterczą?

Chase przekrzywił głowę.

- Słucham?!

- Nieważne - mruknął Zedd, machając ręką. - Rzecz w tym, że w wielu księgach proroctw odkryłem puste strony i zbiło mnie to z tropu.

Chase przestąpił z nogi na nogę, skrzyżował ramiona. Zmarszczył czoło. Zaczynał się poważnie niepokoić, co sprawiało, że wyglądał, jakby uważał, że powinien ubić sporą liczbę ludzi.

- Może lepiej zostanę. Nie musimy jutro wyruszać. Możemy poczekać, dopóki nie stwierdzisz, czy naprawdę dzieje się coś złego.

Zedd westchnął. Zaczynał żałować, że w ogóle o tym wspomniał. To

naprawdę nie była sprawa dla Chase'a. Czarodziej nie powinien był go denerwować czymś, czego strażnik granicy ani nie zrozumie, ani nic na to nie zaradzi. No ale to było coś tak cholernie dziwaczego, że nie zdołał się w porę ugryźć w język.

- To nie jest konieczne. Siłą nic tu nie działasz. To zupełnie inny rodzaj problemu, książkowa sprawa. Nie chcę cię obciążać niepotrzebnie troskami. To problem z mojej dziedziny i na pewno wcześniej czy później go rozwiążę. Po prostu byłem ciekaw, co byś sobie o tym pomyślał. Nowy punkt widzenia jest czasami bardzo pomocny.

Chase wskazał palcem na książkę.

- A co znaczy ten ostatni fragment? Że „najpierw będą się z nim zmagać, potem zaś się zmawiać, ażeby go uzdrowić”? Mówiłeś, że to proroctwo o Richardzie. A to chyba wskazuje na kłopoty, na to, że ktoś będzie przeciwko niemu spiskował.

- Niekoniecznie. - Zedd potarł usta dłonią, myśląc, jak by to wytłumaczyć. - W proroctwie słowo „zmawiać” najczęściej znaczy po prostu „ułożyć plan”, czyli zaplanować przebieg akcji. W tym wypadku ustęp dotyczy jego najbliższych doradców, jego sprzymierzeńców, czyli kiedy mowa o zmawianiu się, żeby go uleczyć, to najprawdopodobniej chodzi o to, że najpierw muszą go przekonać, że potrzebuje ich pomocy, a kiedy już to zrobią, to owi sprzymierzeńcy, czyli zapewne niektórzy z nas, zajmą się ustaleniem sposobu uleczenia go.

- Uleczenia z czego?

- Tu nie jest napisane.

- Czyli to nic poważnego.

Zedd znacząco spojrzał na strażnika granicy.

- Sądzę, że to mogło być w tej pustej części.

- A więc to poważne. Richard ma kłopoty. Potrzebuje pomocy. Może jest ranny.

Zedd smutno pokręcił głową.

- Z mojego doświadczenia wynika, że proroctwo rzadko jest takie jednoznaczne.

- Ale tak może być w tym wypadku. Czarodziej przez chwilę przyglądał się Chase'owi.

- Nie musimy sobie wymyślać kłopotów. Poza tym chronologia

proroctwa zawsze nastęca kłopoty. Równie dobrze to, o czym rozmawiamy, już się mogło wydarzyć. Może tu być mowa o tym, że Richard jako dziecko się przeziębził i musiałem poszukać odpowiednich ziół.

- Czyli to równie dobrze może być przebrzmiała historia. Zedd, sfrustrowany, rozłożył ręce.

- Całkiem możliwe. Bez brakującego tekstu, lub bez większej niż moja wiedzy na temat proroctw, nie można tego fragmentu odpowiednio wpasować w życie Richarda.

Chase kiwnął głową i zaraz się odsunął, bo drzwi się otworzyły i do pokoju weszła Rikka. Sięgnęła po miseczki, ale cofnęła ręce, bo zobaczyła, że naczynia są pełne.

- Co się dzieje? Dlaczego nic nie zjadłeś? - Kiedy Zedd zbył to machnięciem ręki, obejrzała się na Chase'a. - Jest chory? A myślałam, że do tej pory wyjadł wszystko do czysta i nawet zlizął aromat z sufitu. Może lepiej pomyślmy, jak go nakłonić do jedzenia.

- Rozumiesz teraz, o co mi chodziło z tym zmawianiem się? - spytał Zedd Chase'a. - Tam może chodzić o coś podobnego.

Rikka przez chwilę badawczo patrzyła Zeddowi w twarz, jakby wypatrywała jawnych oznak utraty zmysłów, potem przeniosła wzrok na Chase'a.

- O czym on plecie?

- O książkach - wyjaśnił strażnik granicy. Mord-Sith zwróciła pałające spojrzenie na czarodzieja.

- Skoro już sobie zadałam tyle trudu, żeby ci przygotować ten posiłek, to siadaj i jedz. A jak nie, to nakarmię tym robaki w kupie gnoju. A jeśli potem zgłodniejesz, to sam będziesz sobie winny. I żebyś nie przychodził marudzić, bo się nad tobą nie ulituję.

Zedd, zaskoczony, zamrugął.

- Co? Co powiedziałaś?

- Że nakarmię tym robaki, jeżeli...

- Kurczę! - Zedd pstryknął palcami. - To jest to! - Wyciągnął do niej ramiona. - Jesteś genialna, Rikko. Niech cię uściskam.

Mord-Sith zeszywniała.

- Wolę przyjmować twoje hołdy z bezpiecznej odległości.

Zedd jej nie słuchał. Zacierał ręce i usiłował sobie przypomnieć, gdzie

dokładnie o tym czytał. To było całe wieki temu. Ale właściwie jak dawno? I gdzie?

- Co jest? - zapytał Chase. - Rozwiązałeś zagadkę? Czarodziej, usilnie myśląc, wykrzywił usta.

- Przypominam sobie, że czytałem wzmiankę o takim zdarzeniu. Pamiętam, że widziałem swego rodzaju egzegezę.

- Co?

- Objaśnienie. Analizę tej kwestii.

- Czyli to coś... książkowego. Zedd potaknął.

- Właśnie. Muszę sobie tylko przypomnieć, gdzie widziałem tę wzmiankę. Było tam o robakach.

Chase spojrział z ukosa na Rikkę, potem podrapał się po głowie z bujną, siwiejącą kasztanową czupryną.

- O robakach?

Zedd znów zatarł ręce, bo coś mu się mgliście przypominało. Te cienie wspomnień dotyczyły czegoś prawdziwego, ale choć usilnie starał się wciągnąć je w blask świadomości, nie udawało mu się to - pozostawały nieuchwytnie.

- O czym ty mówisz, Zeddzie? - spytała Rikka. - Coś powiedział? Robaki?

- Co? A, tak, racja. Robaki. Profetyczne robaki. To były rozważania na temat, czy coś takiego mogłoby wygryźć tekst prorocstwa.

Chase i Rikka wpatrywali się w niego, jakby był wariatem, lecz milczeli.

Zedd krążył od biurka do narożnej szafy z książkami i z powrotem. Odepchnął nogą ciężkie dębowe krzesło i chodził tak, rozmyślając. Przebiegał w myślach listę miejsc, w których mogłaby być książka zawierająca tę informację. W wieży było wiele bibliotek. A w nich tysiące - a może i dziesiątki tysięcy - tomów. O ile widział tę wzmiankę w Wieży Czarodzieja. Bo przecież był w wielu innych bibliotekach. W samym Aydindril, w Pałacu Spowiedniczek, znajdowało się wiele archiwów. W pałacach przy Kings Row (również w Aydindril) też były bogate zbiory. Odwiedził także wiele innych miast, a w nich księżnice i archiwa. Tak wiele było tych ksiąg - jakżeż mógł pamiętać, gdzie całe wieki temu widział właśnie tę jedną? Może się na nią natknął za czasów młodości?

- O czym ty właściwie mówisz? - zapytała Rikka, kiedy jej się znudziło patrzeć na chodzącego tam i z powrotem czarodzieja. - O jakim

wyjaśnieniu?

- Jeszcze nie jestem całkiem pewien. To było tak dawno temu. Pewnie wtedy, gdy byłem młody. Ale na pewno sobie przypomnę.

Tylko muszę się na tym skupić. Choćby miało mi to zająć całą noc, to sobie przypomnę, gdzie widziałem tę wzmiankę. Szkoda, że nie mam tu mojego myślidła - mruknął, odwracając się.

Rikka łypnęła chmurnie na Chase'a, drugim okiem bacznie obserwując krążącego po pokoju Zedda.

- Czego?

- W Westlandzie - odparł cicho Chase - miał na ganku krzesło, na którym siadał i rozmyślał, rozwiązując różne problemy. To było, zanim się wszystko zaczęło, zanim się zjawił Rahl Posepny, próbując pojmać jego i Richarda. W samą porę uciekli. Zjawili się u mnie i przeprowadziłem ich przez przejście na granicy.

- Według mnie jest tu wystarczająco dużo krzesel. O jedno niemal się potyka. - Rikka z desperacją zagryzła wargi. - Poza tym wcale nie trzeba krzesła, żeby zmusić umysł do pracy. A jeśli ktoś go potrzebuje, to ma większy problem.

- Też tak myślę. - Razem z Rikką przez jakiś czas obserwował Zedda. W końcu, bo nie lubił beczynnie stać, chwycił czarodzieja za rękaw. - Ty szukaj rozwiązania, a ja pójdę do Rachel. Dopilnuję, żeby się spakowała i położyła spać.

Zedd gestem wyraził zgodę.

- Tak, dobrze. Idź. I powiedz, że za chwilę przyjdę ją pocałować na dobranoc. Tylko muszę jeszcze trochę porozmyślać.

Kiedy Chase wyszedł, Rikka wsparła o biurko okryte skórzanym uniformem biodro i skrzyżowała ramiona na piersiach.

- Mówisz, że słowa proroctwa zniknęły dlatego, że je zjadły jakieś robaki? Jak te mole książkowe, co niszczą papier?

- Nie. Te jedzą słowa, a nie papier.

- Czyli... co to jest? Malutki robaczek, co zjada atrament? Zedd, zirytowany ciągłym przeszkadzaniem mu, przystanął i wpatrzył się w Rikkę.

- Zjada...? Nie, nie w ten sposób. To rodzaj magii. Wymyślna sztuczka. Jeżeli sobie dobrze przypominam, zostało to nazwane „profetycznym robakiem”, bo może zjeść całe odgałęzienia proroctwa, podobnie jak korniki

zjadają drewno. Zaczyna od proroctwa bliskiego tematem lub chronologią, podobnie jak żyjące w drewnie robaki mogą zainfekować konkretną gałąź. I jak się już taki robak zagnieździ, to zaczyna zjadać całe proroctwa. W tym przypadku gałąź proroctwa dotyczy czasów po urodzeniu Richarda.

Rikka wyglądała na zafascynowaną i jednocześnie zrozpaczoną. Wyprostowała się i przechyliła głowę ku Zeddowi.

- Naprawdę? Magia coś takiego potrafi?

Zedd, z łokciem wspartym o dłoń i podbródkiem opartym na czubkach palców drugiej ręki, mruknął:

- Tak mi się zdaje. Może. Nie jestem pewny. - Westchnął ciężko, z irytacją. - Próbuję sobie przypomnieć. Tylko raz widziałem tę wzmiankę. Nie pamiętam, czy czytałem teorię, czy samo zaklęcie, czy tylko napomknienie o czymś takim, czy też... Chwileczkę... - Wbił wzrok w belkowany strop i zmrużył oczy, usilnie coś sobie przypominając. - To było przed narodzinami Richarda... przynajmniej tego jestem pewien. Pamiętam, że byłem młody. A to by oznaczało, że byłem tutaj. Tak... to ma sens. A skoro byłem tutaj...

Przestał się wpatrywać w strop.

- Drogie duchy.

- Co? Co drogie duchy? - zaciekawiła się Rikka.

- Pamiętam - wyszeptał Zedd, szeroko otwierając oczy. - Pamiętam, gdzie to widziałem.

- Gdzie?

Zedd, podciągając rękawy na chudych rękach, ruszył ku drzwiom.

- Nieważne. Zajmę się tym. A ty patroluj, albo co. Później wrócę.

ROZDZIAŁ 33

Słońce zachodziło i powietrze zaczynało się ochładzać, Zedd pospiesznie szedł szerokim rampartem. Potężne kamienie blankowanego muru promieniowały ciepłem zgromadzonym w ten słoneczny dzień. Leżące nisko w dole miasto zaczynał zasnuwać mrok, a różowy blask zachodzącego słońca ciągle jeszcze muskał najwyższe szczyty Wieży Czarodzieja. Ciszę zmierzchu mąciła jedynie dolatująca z oddali pieśń cykad.

Na skrzyżowaniu rampartów Zedd skręcił w prawo. W przeciwieństwie do rampartu okrążającego wieżę, z którego widać było opadające tysiące stóp w dół urwiste zbocze góry, ten węższy mur wewnętrznego bastionu miał przepaść po obu stronach, lecz znajdował się wewnątrz olbrzymiego kompleksu i otwierał się z niego widok na ginące w mroku, niemal pozbawione okien ściany. Leżące daleko w dole podwórza dostarczały świeżego powietrza niższymi poziomami wieży. Zedd myślał, że ludzie, którzy w przeszłości pracowali na niższych piętrach, musieli sobie cenić taką możliwość wychodzenia na zewnątrz.

Biegł wąskim przejściem na murze, pod mostami prowadzącymi do różnych wież. Przed nim, na końcu przejścia, wznosiła się potężna ściana z pionowymi rzędami zworników wewnętrznych poziomów. U podstawy owej ściany znajdowały się wspaniałe dwuskrzydłowe drzwi, z ozdobami umieszczonymi nad pilastrami, wyrzeźbionymi pod łukowatym kamiennym nadprożem. Zedd skręcił jednak w przejście w bocznej balustradzie prowadzące do schodów w dół. Nie kończące się schody biegły długą, pochyloną półką, wbudowaną w przypominający urwisko bok bastionu.

Musiał się dostać na niższe poziomy wieży, głęboko we wnętrzu góry, gdzie nikt nie chodził. Do miejsc, o których istnieniu wiedział wyłącznie on. Kamienna balustrada po zewnętrznej, otwartej stronie schodów nie była zbyt wysoka, więc schodzenie po biegnących setki stóp w dół, bez żadnych podestów, schodach było okropnym przeżyciem. Po lewej wznosiła się masywna ściana bastionu ze starannie dopasowanych skalnych bloków, po prawej była przepaść, godna każdego szanującego się urwiska. Zedd zawsze miał poczucie, że jest maleńki, kiedy schodził po tych monumentalnych schodach. W dole dostrzegał jedynie poszarpaną czarną skałę u podstawy

jednej z okrągłych wież wznoszących się z niewielkiego dziedzińca.

Zdażył już kawałek ujść, kiedy usłyszał odgłos szybkich kroków. Zatrzymał się i obejrzał. To była Rikka.

- A cóż ty wyprawiasz?! - zawołał do niej.

Wiatr wznoszący się w górę tego wąskiego kanionu, utworzonego przez kamienne mury, rozwiewał włosy i szaty czarodzieja. Miało się wrażenie, że porwie także jego kościstą postać i poniesie niczym zwiędły liść.

Zadyszana Rikka zatrzymała się parę stopni wyżej.

- A jak ci się zdaje?

- Że nie robisz tego, co ci kazałem.

- Idziemy. - Ponagliła go gestem. - Oczywiście idę z tobą.

- Powiedziałem ci, że sam się tym zajmę. I mówiłem, że masz iść na patrol i w ogóle.

- Ta sprawa dotyczy lorda Rahla.

- To tylko informacja w starej księdze, którą muszę sprawdzić.

- Chase i Rachel wyruszają wczesnym rankiem. Byłbyś z Rachel, opowiadając jej historyjki i otulając na noc, gdyby się nie działo coś, co cię naprawdę martwi. To dotyczy lorda Rahla. A skoro to trapi ciebie, trapi i mnie. Idę z tobą.

Zedd nie miał ochoty sterczeć na odkrytych schodach i kłócić się z nią. Odwrócił się i pognał w dół, obu dłońmi unosząc szaty, żeby się nie potknąć i nie spaść. Schody nie tylko wlokły się w nieskończoność, ale były też bardzo strome. Upadek bez wątpienia mógłby się okazać śmiertelny.

Czarodziej w końcu dotarł na sam dół. Zatrzymał się na pierwszym kamieniu przejścia i odwrócił.

- Trzymaj się kamieni.

Rikka spojrzała na pokrytą zielenią ziemię. Dalej, po obu stronach, były ściany strzelające w górę na setki stóp, zupełnie gładkie. Za sobą miała schody i mur bastionu. Po prawej skałę, z której wyrastała wieża.

- Dlaczego? - spytała, idąc za Zeddem po kamieniach.

- Bo tak każę.

Nie był w nastroju do objaśniania magicznych pułapek. Gdyby zboczyła z kamieni, to osłony nie tylko by ją ostrzegły, ale i nie pozwoliły jej iść tam, gdzie nie powinna. Poza tym dla tych, którzy nie mieli odpowiedniej mocy, zawsze najlepiej było unikać wszelkiego rodzaju osłon.

Gdyby osłony nie powstrzymały intruzów przed przejściem przez ten ustronny dziedziniec, to zajęłyby się nimi pnącza pokrywające ziemię. Oplatałyby im kostki, a gdyby się szarpali, szybko by wypuściły paskudne kolce, które by się wbiły intruzom w kość i mocno tam zakotwiczyły. Uwalnianie osób schwytych przez pnącza zawsze było bolesne i krwawe, a najczęściej sprawa i tak się kończyła śmiercią nieszczęśnika. Obrona Wieży Czarodzieja z zapalem robiła swoje.

- Te liany się ruszają. - Rikka złapała Zedda za rękaw. - Wiją się jak całe gniazdo węży.

Zedd groźnie łypnął przez ramię.

- A niby czemu mówiłem, żebyś nie zbaczała z kamieni?

Uniósł dźwignię i otworzył drugie drzwi o zaokrąglonym szczycie, do których doszedł. Pochylił się i wszedł. Czuł na karku oddech Rikki. Szukające na oślep w ciemnościach, kościste palce natrafiły na kulę w uchwycie po prawej. Przesunął dłonią nad gładką powierzchnią, która zaczęła zielonkavo świecić. Prędkość była niewielka, a kamienne ściany pozbawione ozdób. Strop był z belek i desek. Przy ścianie po prawej stronie zbudowano niewielką kamienną ławę, na wypadek gdyby ktoś musiał odetchnąć po zejściu ze schodów. W pozostałych dwóch ścianach otwierały się przejścia wiodące w różne strony.

Na ścianie ponad ławą widniał tuzin uchwytów - w ponad połowie z nich tkwiły kule, leciutko świecące zielonkawą poświatą, jak ta, której najpierw dotknął Zedd. Czarodziej wyjął z uchwytu jedną kulę. Była ciężka, szklana; zatopiono w niej rozmaite elementy, które pobudzały magiczny dar. W dłoni Zedda zielonkawa poświata zmieniła się w żółtą. Przepuścił przez kulę odrobinę swojego daru... i rozjarzyła się blaskiem, rzucając ostre cienie w oba korytarze przed nimi. Popchnął Rikkę kościstym palcem na ławę.

- Tu się kończy twoja droga.

Niebieskie oczy Mord-Sith patrzyły na czarodzieja z ponurą determinacją.

- Coś dziwnego się dzieje z księgami prorocत्व. Od wielu dni się tym trapisz. Nie jesz, nie śpisz. A co najgorsze, te znikające prorocत्व dotyczą lorda Rahla.

To było stwierdzenie, a nie pytanie. A on sobie wyobrażał, że dobrze to wszystko ukrywa. Baczniej zwracała na wszystko uwagę, niż mu się

zdawało. A może za bardzo był zajęty czym innym, by się zorientować, że go obserwuje. Tak czy inaczej, to nie był dobry znak, że był tak zaabsorbowany, iż nie zwrócił uwagi na to, że Rikka dostrzega jego troskę i niepokój.

- Masz rację, że wiele tych zanikłych przepowiedni dotyczyło Richarda, ale uważam, że nie wszystkie. Za to z tego, co mi się udało ustalić, wynika, że wszystkie się odnoszą do czasów po jego narodzinach. Ale to wcale nie znaczy, że wszystkie dotyczą samego Richarda. Puste miejsca w księgach są dość liczne. Nie pamiętam, czego ten tekst dotyczył, więc nie można ustalić, o kim mówią zaginione fragmenty proroctw.

- Ale z tych kawałków, które zdołałeś pozlepić, wynika, że przeważnie odnoszą się do lorda Rahla.

To również nie było pytanie, lecz stwierdzenie lub co najmniej przemyślane założenie. Mord-Sith zadawała pytania dotyczące bezpieczeństwa lorda Rahla. Zedd jasno widział, że Rikka nie ma ochoty na żadne wymijające wyjaśnienia.

- Zgodziłbym się z tym, że te sprawy z księgami proroctw w bardzo dużym stopniu dotyczą Richarda.

Rikka wstała z ławy.

- A więc nie możesz nic przede mną ukrywać. To jest ogromnie ważne. Lord Rahl jest niezwykle ważny dla nas wszystkich. Tu chodzi nie tylko o bezpieczeństwo twojego wnuka, ale i o przyszłość nas wszystkich.

- A ja zamierzam...

- To ma znaczenie nie tylko dla ciebie: jak mówiłam, on jest ważny dla nas wszystkich. Jeżeli odkryjesz coś istotnego i potem coś ci się przytrafi, to zostaniemy na lodzie. To ważniejsze od zachowania twoich sekretów w tajemnicy.

Zedd wsparł się pod boki i na chwilę odwrócił; namyślał się nad tym. Wreszcie znów na nią popatrzył.

- Tam są rzeczy, o których nikt nie wie, Rikko. I są po temu ważne powody.

- Nie mam zamiaru ukraść żadnego skarbu, a jeżeli się boisz, że zobaczę jakiś „odwieczny sekret”, to przysięgnę na moje życie, że go zachowam w tajemnicy, chyba że się okaże konieczne, bym go wyjawiała lordowi Rahlowi.

- Jest coś jeszcze. Wiele rzeczy na dolnych poziomach wieży stanowi ogromne zagrożenie dla każdego, kto się znajdzie w pobliżu.

- Poza wieżą też czyhają poważne niebezpieczeństwa. Już sobie nie możemy pozwalać na tajemnice.

Zedd patrzył jej w oczy. Miała rację. Gdyby coś mu się stało, to informacja przepadłaby razem z nim. Zawsze sobie myślał, że któregoś dnia powie o tym Richardowi, ale nigdy nie było na to czasu, no i nie wydawało się to aż takie naglące - aż pojawiły się kłopoty z księgami proroctw. A teraz to nie Richard to wszystko zobaczy.

- Co ty sobie myślisz, czarodzieju? Że pobiegnę do miasta i zacznę paplać o tym, co widziałam? A komuż niby miałabym opowiadać? Ład opanował większość Nowego Świata i wszyscy z Aydindril uciekli do D'Hary. A los D'Hary wisi na włosku. Nasza przyszłość wisi na włosku.

- Są powody, żeby część wiedzy pozostawała tajemna.

- Są również powody, żeby mądrzy ludzie czasem dzielili się tym, co sami wiedzą. To życie jest ważne. Jeżeli wiedza mogłaby pomóc zachować, ocalić i poprawić życie, to nie wolno jej zatajać, a już zwłaszcza wtedy, gdy może zaginąć, a jest akurat najbardziej potrzebna.

Zedd mocno zacisnął usta, rozmyślając nad słowami Rikki. Odkrył ten sekret, kiedy był chłopcem. Przez całe swoje życie nigdy go nikomu nie zdradził. Nikt mu nie nakazał trzymać tego w tajemnicy - i nikt nakazać nie mógł, bo jedynie Zedd o tym wiedział. Wiedział jednak, że musi być jakiś powód, dla którego trzymano to w odosobnieniu. Ale nie miał pojęcia, co to był za powód.

- Zeddzie, pozwól mi iść ze sobą... przez wzgląd na lorda Rahla, przez wzgląd na naszą sprawę.

Znów się jej przez chwilę przypatrywał.

- Nigdy nikomu o tym nie opowiesz.

- Nigdy nie wyjawię tego nikomu, wyjąwszy lorda Rahla. Mord-Sith często zabierają ze sobą do grobu swoją wiedzę.

Zedd skinął głową.

- W porządku. Więc zabierzesz to ze sobą do grobu, chyba że coś mi się stanie. Wtedy będziesz musiała opowiedzieć Richardowi o tym, co ci tej nocy pokażę. Musisz mi jednak przysiąc, że nikomu innemu nigdy o tym nie powiesz, nawet swoim siostrom Mord-Sith.

Rikka bez wahania wyciągnęła do niego rękę.

- Przysięgam.

Zedd uderzył dłonią w jej dłoń - układ został przypieczętowany, słowo Rikki przyjęte.

Gdyby ktoś mu kiedyś powiedział - w czasach, gdy był Pierwszym Czarodziejem podczas wojny z D'Harą, zanim wznosił granice i zabił Panisa Rahla, ojca Rahla Posępnego - że zawrze z Mord-Sith układ dotyczący czegoś tak ważnego, uznałby, że owa osoba oszalała. Rad był, że takie sprawy zmieniły się na lepsze.

ROZDZIAŁ 34

To zawiała i kręta trasa - uprzedził ją Zedd. Rikka uniosła brew.

- Czy musiałeś mnie kiedyś szukać po wieży, bo się zgubiłam na patrolu?

Zedd uświadomił sobie, że faktycznie nie musiał. Świetnie wiedział, jak łatwo się w wieży zgubić. Prawdę mówiąc, był to jeden ze środków obronnych.

Osoba wędrująca po wieży natrafiała w niektórych miejscach na tysiące połączonych ze sobą pomieszczeń. Nie było tutaj korytarzy, a jedynie wiodące w górę lub w dół schody. Należało przejść przez te trójwymiarowe labirynty, żeby się dostać do pewnych dobrze strzeżonych sektorów. Niezwykle łatwo było się zagubić w tej gęstwie połączonych pomieszczeń. Z łatwością mogli tu zabłądzić nawet ci, co w wieży dorastali. Kiedy nieobeznani z wieżą napastnicy zapędzili się zbyt głęboko do wnętrza labiryntu, mieli ogromny problem z zawróceniem tą samą drogą, nie mówiąc już o przebyciu całego labiryntu, i salwowaniem się ucieczką. Kiedy się już minęło kilka pokoi, przeszło przez parę wejść, to wszystko stawało się zdumiewająco do siebie podobne. Nie było okien, które by pomagały się orientować, więc szybko traciło się poczucie kierunku. W żaden sposób nie można się było upewnić, czy już się widziało dany pokój i wejście czy też nie. W minionych wiekach w owym labiryncie gubili się szpiedzy i im podobni i nie dziwiły znajdowane tam zwłoki.

Rzecz jasna nie wszyscy, którzy zamierzali wyrządzić jakąś szkodę, byli tu obcy. W przeszłości trafiali się także zdrajcy.

- Fakt, nigdy się nie zgubiłaś - przyznał wreszcie czarodziej. - A przynajmniej do tej pory. Jesteś tu dość krótko i jeszcze nie miałaś okazji się zapuścić w głąb wieży. Czyhają tam najgroźniejsze zagrożenia. Zgubienie się w labiryncie to zaledwie jedno z niebezpieczeństw. Tam, dokąd idziemy, jest podobnie. Nawet łatwiej się tam zgubić. Musisz dołożyć wszelkich starań, żeby zapamiętać trasę. Pomogę ci, na ile zdołam.

Rikka skinęła głową, ani trochę nie zaniepokojona.

- Jestem dobra w zapamiętywaniu kolejnych zakrętów. Uczę się tego na pamięć, kiedy patroluję.

- Nie bądź zbyt pewna siebie. To bardziej skomplikowane niż seria

zakrętów. I ja się zgubiłem w wieży, chociaż tu dorastałem. Tam, dokąd idziemy, wiedzie niejedna droga. Niekiedy trasa, którą się ostatnio szło, okazuje się zła, bo na dolnych poziomach wieży osłony czasem się samoistnie przesuwają do innych korytarzy. Ma to jeszcze bardziej utrudnić przejście, na wypadek gdyby jakiś szpieg chciał sporządzić mapę dla wrogich oddziałów.

Na Mord-Sith nie zrobiło to wrażenia; wzruszyła ramionami.

- Rozumiem. W Pałacu Ludu jest podobnie w tych sektorach, gdzie nie wszystkim wolno wchodzić; kręta trasa z przejściami, które się od czasu do czasu zmieniają. Poza tym nigdzie nie ma bezpośredniego dojścia nawet wtedy, gdyby wszystkie przejścia były jednocześnie otwarte, co się nigdy nie zdarza.

- Pamiętam. Byłem tam kiedyś, wprowadzie tylko w ogólnie dostępnych sektorach, ale i tak droga była wystarczająco zawikłana. - To się zdarzyło wtedy, kiedy Rahl Posępny porwał Richarda. - Ale sprawę ułatwiało mi to, że Pałac Ludu jest zbudowany na zarysie zakłęcia, a ja znam owo konkretne zakłęcie i wiedziałem, gdzie się znajdują główne „ramiona” i połączenia między nimi.

- Musimy umieć znaleźć rozmaite trasy przez pałac - wyjaśniła Rikka - żebyśmy się mogły przedostać z sektora do sektora, gdyby kiedyś wdarł się wróg. A jeżeli kogoś ścigamy, to musimy wiedzieć, jak wyprzedzić. To wymaga czegoś więcej niż zapamiętywanie zakrętów. Musimy poznać całą wewnętrzną strukturę budowli. W mojej pamięci powstaje plan. Każda „wycieczka” ten plan uzupełnia. Mogę się po takiej budowli poruszać rozmaitymi trasami, bo widzę, jak są ulokowane jej poszczególne sektory i jak się łączą w całość.

Zedd aż zamrugął ze zdumienia.

- To wspaniała umiejętność.

- Takie sprawy zawsze lepiej rozumiałam niż ludzi. Czarodziej zaśmiał się krótko.

- Coś mi się wydaje, że i ludzi lepiej rozumiesz, niż się do tego przyznajesz.

Tylko się uśmiechnęła.

- No dobrze, posłuchaj uważnie. Tej nocy nie tylko będziesz musiała zapamiętać sporą liczbę zakrętów. Tam, dokąd idziemy, można się dostać

jedynie przez wiele osłon. Nie masz daru, więc przez owe osłony przedostaniesz się wyłącznie z pomocą osoby mającej magiczny dar. Jeżeli to się znów kiedyś okaże konieczne, Richard będzie cię mógł przez nie przeprowadzić, tak jak ja teraz. Nie ma znaczenia, jak dobrze poznasz drogę i jak się osłony przemieszczają, bo nie ma innej trasy, tylko przez osłony, czyli sama się nie przedostaniesz. Sama nie będziesz mogła tam dotrzeć. - Powtórzył, unosząc palec dla podkreślenia wagi swoich słów. - I niech ci nie przyjdzie do głowy przedzierać się przez te osłony. Taka próba skończyłaby się dla ciebie śmiercią. Rikka skinęła głową.

- Rozumiem, ale nie będę miała powodu, żeby tam iść bez ciebie lub bez lorda Rahla.

Zedd nachylił się ku niej.

- Przysięgnij na swoje życie.

- Już ci dałam słowo i przysięgam na życie. Dotrzymam go. Czarodziej skwitował sprawę krótkim skinieniem głowy.

- Dobrze. Idziemy.

Zedd pospieszył wąskim kamiennym korytarzem odchodzącym w lewo - Rikka następowała mu na pięty; drogę oświetlała im kula, którą czarodziej trzymał w dłoni. Tkwiące w uchwytach szklane kule zaczynały się jarzyć, kiedy się do nich zbliżali. Najjaśniej płonęły, kiedy Zedd je mijał, a potem znów ciemniały. Dotarli do pierwszych schodów i czarodziej ruszył w górę - wiedział, że zanim zejdzie do celu, musi najpierw górą minąć kilka sektorów dolnych poziomów wieży.

Szli teraz szerokimi korytarzami o wyłożonych drewnem ścianach i wzorzystych kamiennych posadzkach, a potem przez kilka pokoi służących jako czytelnie pobliskim bibliotekom. Podłogę zaścielały grube dywany ułożone pod różnymi kątami. Stały tu wygodne fotele i szerokie stoły, liczne lampy ułatwiały czytanie. Zedd dobrze to wiedział, bo spędzał tu wiele czasu, czytając księgi.

Minęli szereg kamiennych korytarzy biegnących z różnych części wieży i na koniec dotarli do głównego korytarza w sektorze, przez który musieli się przedostać. Hol miał blisko sto stóp wysokości; pochyłe ściany zbiegały się w górze: zupełnie jakby się szło przez ogromną szczelinę. Słońce już zaszło, więc przez wysokie otwory nie wpadało światło. Za to mogły przez nie wylatywać nietoperze. Każdego wieczoru tysiące ich wylatywały z

ciemnych wilgotnych kryjówek w wieży i wydostawały się na zewnątrz przez wysokie otwory w ścianach głównego korytarza.

Zedd przystanął przed połączonym wejściem i obrócił się ku Rikce.

- To przejście jest chronione. Weź mnie za rękę.

Nie zawahała się. Zedd pierwszy przeszedł przez osłonę. Poczł leciutkie mrowienie na skórze. Odwrócił się ku Mord-Sith i przeciągnął jej dłoń przez ochronną tarczę - wzdrygnęła się.

- Nic ci się nie stanie, póki cię trzymam - zapewnił. - Mam kontynuować? Kivnęła głową.

- To takie zimne. Zaskoczyło mnie to po prostu.

Mocno trzymając ją za rękę, Zedd przeciągnął Rikkę przez przejście. Kiedy już była po drugiej stronie, energicznie rozmasowała sobie ramiona.

- A co by się stało, gdybym spróbowała się tędy przedostać bez ciebie?

- Trudno powiedzieć, bo osłony różnie działają; wystarczy rzec, że nie przeszlabyś tędy. Ta tutaj nie ostrzega o swoim istnieniu, więc pewnie nie zabija. Ale będziemy musieli przejść przez kilka osłon, które by ci oddarły mięśnie od kości. Ale one ostrzegają.

Wyraźnie się jej nie spodobało to, co usłyszała, ale nie zaprotestowała. Mord-Sith nie cierpiały magii, więc czarodziej wiedział, ile wysiłku wkłada Rikka w pokonanie naturalnego oporu.

Połączone przejście prowadziło do holu wyłożonego białym marmurem; wszystko tu było białe - posadzka, sufit, ściany. Biała barwa miała uniemożliwiać pewne zakłęcia, wykorzystujące kolory do „oszukania” osłon na obu krańcach holu. Zedd pomógł Rikce przejść przez drugą osłonę - tym razem poczuła ciepło, a nie chłód.

Kiedy już przebyli hol, zeszli w dół po kilku zakurzonych stopniach czarnych marmurowych schodów. Na dole Zedd poprowadził ją w lewo trójrozgałęzieniem. Kula, którą niósł, otaczała ich świetlną bańką. Szli pospiesznie z grubsza ociosanym kamiennym tunelem, który ich zaprowadził do pomieszczeń ze zwyczajnych skalnych bloków. Większość miała jedno lub dwa wejścia, ale były i takie, co miały trzy albo i cztery, wiodące do innych pokoi. Do niektórych wchodziło się po kilku stopniach, a z nich - do kolejnych pokoi. Niektóre komnaty dzielił jeden stopień lub dwa, wiodące w górę albo w dół. Większość jednak położona była na jednym poziomie. Nieco się różniły rozmiarami i w żadnej nie było mebli. W

niektórych ściany były gładkie, tynkowane, i sporo tych pomieszczeń niegdyś pomalowano, choć teraz farby się łuszczyły i były tak wyblakłe, że wszystkie przybrały barwę osiadającego tu przez całe stulecia kurzu. Kiedy Zedd był chłopcem, cały dzień się błąkał, zagubiony, po labiryncie. Było to tak odludne i nieuczęszczane miejsce, że w pokrywającym podłogę kurzu wciąż jeszcze widniały słabe ślady stóp.

Minęli niezliczone pokoje i w końcu weszli w szeroki korytarz z chropowatych, szarych granitowych bloków. Był tak niski, że musieli się pochylić, żeby nie uderzać głową o sufit. Korytarz ten, choć pusty i zwyczajny, zawsze się Zeddowi wydawał złowieszczy. Tkwiące w uchwytych kule rozjarzyły się, kiedy je mijali, a potem znów pociemniały. Miejscami odchodziły w dół zwykłe kamienne schody. Po bokach głównego korytarza znajdowało się kilka innych wyższych holi.

Dotarli do końca i znaleźli się w głównym holu, otynkowanym i pomalowanym na piaskowy kolor. Regularnie rozmieszczone pilastry dodawały mu okazałości. Kiedy przeszli połowę holu, Zedd wreszcie się zatrzymał. Wskazał na sufit.

- Widzisz tę metalową kratę, przez którą dociera tu świeże powietrze?

Rikka spojrzała na ozdobną kratę.

- Czy to książka?

W deseni utworzonym z żelaznych prętów widać było zarys otwartej książki. Był to punkt orientacyjny - wyznaczał sektor wieży mieszczący liczne biblioteki.

- Tak. Ta krata pomoże ci zapamiętać, że tu musisz skręcić. Korytarz z kratą w suficie jest główną arterią. Wiedzie tu wiele dróg, stąd zaś możesz się dostać w niemal każde miejsce w wieży. Pod tą kratą musisz jednak skręcić w tamten korytarzyk. - Wskazał odpowiedni kierunek. - To jedyna droga wiodąca tam, dokąd zmierzamy.

Zedd obserwował, jak Rikka się rozgląda dokoła i znów przypatruje kracie w suficie. Kiedy była pewna, że dobrze to zapisała w pamięci, kiwnęła głową i poszli małym bocznym korytarzem.

Było tam sporo pomieszczeń, które - jak przypuszczał Zedd - służyły niegdyś jako magazyny. Wiedział, że w jednym z nich wciąż się znajdują jakieś narzędzia. Na końcu holu było kilka z grubsza ociosanych kamiennych pomieszczeń, z których w różne strony rozbiegały się niewielkie korytarze.

Na końcu głównego holu weszli w plataninę krótkich przejść przez niskie użytkowe szyby, stanowiące krętą trasę, od czasu do czasu wznoszącą się lub opadającą o kilka stóp. Mijali puste pomieszczenia i zamknięte zardzewiałe żelazne drzwi. Miejscami drogę przegradzały pajęczyny. Gdzie indziej niższe o kilka stóp partie korytarza wypełniała stojąca woda. W cuchnącej wodzie pływały gnijące ciała szczurów. W milczeniu brnęli tamtędy, żeby się dostać na wyższy poziom.

Dotarli do spiralnych kamiennych schodów za labiryntem i schodzili w atramentowo czarny mrok, a kula w dłoni Zedda rzucała ostre światło i cienie w miejscach, które od lat nie były oświetlane. Schody były wąziutkie, na jedną osobę. Miało się wrażenie, że człowieka połyka jakieś kamienne monstrum.

U stóp spiralnych schodów blask kuli rzucał cienie w szyby, umożliwiające kontrolowanie części fundamentów wieży. W ich blokach wielkości niewielkich pałaców połyskiwały drobiny kwarcu, oświetlone trzymaną przez Zedda kulą. Czarodziej prowadził Rikkę do wąskich schodów wiodących w dół, znajdujących się obok połyskliwych kamiennych bloków fundamentów. Obydwoje zajrzeli w szyb i dopiero potem zaczęli schodzić.

Na dole poszli wąską szczeliną wzdłuż podstawy fundamentów. Kamienna ściana wznosiła się w mrok, drobiny kwarcu w górze migotały niczym gwiazdy. Po prawej piętrzyła się grubo ciosana ściana kruszącej się, miękkiej skały - gdyby się zawaliła, toby ich żywcem pogrzebała w miejscu, gdzie nikt by ich nawet nie szukał.

Fundamenty tej części wieży nie przylegały do miękkiej skały, więc ewentualnie mogła się ona trochę przesunąć. Zostały osadzone w twardszej, leżącej niżej skale. Wąska szczelina umożliwia kontrolowanie fundamentów. Zedd zawsze uważał, iż to zadziwiające, że nigdy nie znalazł żadnego obruszonego głazu. Niektóre były popękane, ale twierdzono, że to nie ma znaczenia. Na końcu szczeliny znajdowały się kolejne schody, po których znowu zeszli w dół, jeszcze głębiej w smolistą czerń.

- Czy to się kiedyś skończy? - spytała Rikka.

Zedd obejrzał się przez ramię, kula w jego dłoni oblała twarz Mord-Sith ostrym żółtym światłem.

- Jesteśmy głęboko we wnętrzu góry, coraz bliżej jednego ze zboczy. Ale

jeszcze sporo nam zostało do przejścia.

Tylko kiwnęła głową, gotowa iść, gdzie trzeba.

- Dojdiesz aż tutaj, jeśli ja lub Richard przeprowadzimy cię przez osłony?

A minęli wiele osłon i przechodzenie przez niektóre z nich wcale się Rikce nie spodobało, chociaż Zedd jej w tym pomagał. Dla osoby, której nie chronił dar, było to bardzo niemiłe doświadczenie.

- Tak myślę - odparła.

W niżej położonych kanałach kontrolnych dotarli do okrągłych, wyłożonych płytkami tuneli, które w razie potrzeby służyły jako kanały odpływowe. Zedd wszedł w tę plątaninę, wybierając odgałęzienia, które pamiętał od dzieciństwa. Słysząc było kapiącą wodę. Było tak chłodno, że w wilgotnym powietrzu unosiła się mgiełka ich oddechów. Tu i tam przez płytki przesączała się woda, więc dno tunelu było śliskie.

W rozmaitych miejscach napotkali potężne osłony, przez które Zedd pomógł Rikce przejść. Parę z nich było tak potężnych, że już ze sporej odległości ostrzegały o swoim istnieniu. Zedd musiał ją obejmować, żeby się mogła bezpiecznie przez nie przedostać.

- Tam jest mnóstwo szcurów - odezwała się Rikka.

Zedd słyszał, jak całe ich kohorty popiskują w plątaninie korytarzy. Uciekały, zanim kula zdążyła je oświetlić, więc było je tylko słyszać - widzieli wyłącznie martwe.

- Owszem. Boisz się szcurów? Przystanęła i łypnęła na niego gniewnie.

- Szcurów nikt nie lubi.

- Nie mogę temu zaprzeczyć.

Na każdym skrzyżowaniu Zedd pokazywał Rikce drogę, którą musieli pójść. Nie potrafił sobie wyobrazić, że ona to zapamięta. Miał nadzieję, że to jej nigdy nie będzie potrzebne i że to on przyprowadzi tu Richarda. Jako chłopiec Zedd korzystał z magii, żeby się nauczyć przebiegu tej trasy. Rikka zaś bacznie wszystkiego słuchała i oglądała każde mroczne skrzyżowanie, do którego docierali. Czarodziej był przekonany, że to przerasta jej możliwości i że Mord-Sith nie zdoła zapamiętać drogi. Myślał, że powinien ją tędy przeprowadzić kilka razy, żeby jej ułatwić utworzenie pamięciowego planu. Potem ją podda próbie i każe jej prowadzić.

Po ciągnącej się w nieskończoność podróży, schodząc coraz niżej i niżej,

dotarli wreszcie do olbrzymiego pomieszczenia, niczym jaskinia wydrążonego we wnętrzu góry. Wydobyty stąd granit służył teraz jako bloki fundamentów. Ogromna jaskinia była w istocie kamieniołomem opuszczonym po zakończeniu budowy. Budowniczo wieży pozostawili po bokach grube kamienne kolumny, żeby podpierały słabsze miejsca w stropie. Tu i tam widać było szerokie żyły obsydianu - czarnej, szklistej skały, nieodpowiedniej na materiał budowlany. Zedd wiedział, że w paru miejscach pałacu wykonano z niej ozdoby. W świetle rzucanym przez kulę widać było na powierzchni obsydianu połyskliwe łuki - ślady po dłutach; sprawiało to wrażenie, że pokrywają ją rybie łuski.

Strop nad środkiem gigantycznej pieczary - tam, gdzie skała była najtwardsza - znajdował się na wysokości przekraczającej dwieście pięćdziesiąt stóp. Powierzchnia kamienia wskazywała na to, że robotnicy zaczęli od góry i wycinali potężne kamienne bloki tuż pod obecnym stropem. Potem pozyskiwali kamień z coraz to niższych warstw skały, aż wreszcie wydrążyli tę olbrzymią jaskinię. Biegące pod ścianami na rozmaitych poziomach galerie miały akurat odpowiednią wysokość i szerokość pomiędzy potężnymi kolumnami, żeby można było tamtędy przeciągnąć bloki fundamentów. Za pomieszczeniem znajdowały się rampy, po których spuszczano je do niższych części wieży.

- Widzisz? Po drugiej stronie jaskini? - zapytał Zedd, wskazując wielki ciemny korytarz, do którego, jak wiedział, wiodły rampy. - To zbudowano najpierw. To główna droga transportu bloków fundamentów tej części wieży. Popatrz, jakie ślady pozostawiły na dnie jaskini i korytarza.

Droga wiodąca w ziejący czarny otwór była tak wygładzona, jakby ją wypolerowano.

- Dlaczego nie przyszliśmy tamtędy? Byłaby to pewnie o wiele krótsza trasa.

Zaimponowało mu, iż zorientowała się, że główne przejście wiodło tam, skąd przyszli. Kamienne bloki fundamentów nie były transportowane tak krętą drogą, jaką oni szli.

- Masz rację, byłoby bliżej, ale tam są osłony, przez które nawet ja nie potrafię przejść. Myślę, że budowniczo wydrążyli tam pomieszczenia do przechowywania tego, co musi być szczególnie chronione. Nie widzę innej przyczyny ustawienia takich osłon.

- Dlaczego nie możesz przez nie przejść? Jesteś Pierwszym czarodziejem.
- Niegdyś czarodzieje mieli dar obu magii. Teraz zaś dopiero Richard, pierwszy od tysięcy lat, urodził się z darem obu magii, addytywnej i subtraktywnej. Osłony magii subtraktywnej są śmiertelnie groźne i zwykle znajdują się w najniebezpieczniejszych miejscach lub tam, gdzie złożono niezwykle ważne, wymagające szczególnej ochrony przedmioty.

Zedd poprowadził Rikkę przez olbrzymie pomieszczenie trasą w pobliżu zewnętrznej ściany. Rzadko tu przychodził, musiał więc bacznie się po drodze przyglądać kamiennej ścianie. Kiedy dotarli do miejsca, którego szukał, chwycił Rikkę za ramię i zatrzymał.

- To tutaj.

Rikka rozejrzała się i zamrugła. Dla niedoświadczonych oczu niczym się to nie różniło od reszty jaskini.

- Co tutaj?

- Tajemne miejsce.

Wyglądało zupełnie tak samo jak reszta olbrzymiego pomieszczenia. Wszędzie na ścianach było pełno śladów po narzędziach robotników sprzed tysięcy lat.

Zedd uniósł szklaną kulę, żeby Rikka wyraźnie zobaczyła to, co wskazywał.

- O tu. Widzisz to wyżłobienie w górze? Biegące pod tym kątem, wzdłuż pęknięcia i odrobinę szersze pośrodku? Wsuń w nie lewą dłoń. Tam w głębi jest szczelina.

Rikka popatrzyła nań chmurnie, ale stanęła na palcach i wsunęła rękę w zagłębienie.

- Tu jest skalny występ. Korzystałem z niego, kiedy byłem mniejszy. Jeżeli nie możesz dosięgnąć, to stań na nim.

- Nie trzeba, sięgnęłam. I co teraz?

- Jesteś dopiero w połowie. Wsuń dłoń głębiej. Poruszała palcami i wsuwała rękę aż do nadgarstka.

- Dalej się nie da. Pod palcami mam twardą skałę.

- Poruszaj środkowym, póki nie znajdziesz otworu. Skrzywiła się, wykonując polecenie.

- Mam.

Zedd ujął jej prawą dłoń i naprowadził na podobne wgłębienie w innej

części tego samego pęknięcia, na wysokości pasa.

- I w tym znajdź otwór. Potem wepchnij palce w oba. Cicho stęknęła z wysiłku.

- Znalazłam! Mam oba!

- Kiedy będziesz wpychać oba palce, postaw prawą stopę tuż za tą szczeliną i porządnie kopnij.

Spojrzała nań chmurnie, ale zrobiła, jak kazał. Nic się nie stało.

- Nie możesz mocniej? Nie wmówisz mi, że jesteś słabsza od chudego starca.

Łypnęła gniewnie, potem uniosła się na rękach, stęknęła z wysiłku i solidnie kopnęła ścianę. Skalna płaszczyzna zaczęła się nagle przesuwać. Zedd odciągnął Rikkę w tył. Patrzyli, jak cicho się przesuwa - niczym masywne drzwi, bo w istocie były to wrota - cały fragment skalnej płyty. Choć niesłychanie ciężki, był tak idealnie wyważony, że kiedy zwolniono zapadki, wystarczyło mocne pchnięcie, żeby się przesunął.

- Drogie duchy - wyszeptała Rikka, pochylając się i zaglądając w czarną czeluść. - Jakżeś to znalazł?

- Byłem wtedy dzieckiem. Właściwie to odkryłem drugi koniec. A jak już tu dotarłem, to wiedziałem, gdzie jestem, i dobrze sobie wszystko zapamiętałem, żebym znów mógł tu trafić. Pierwsze parę razy nie mogłem tego odnaleźć i musiałem się znów dostawać od tamtej strony.

- No, więc co to jest?

- Kiedy byłem chłopcem, było to moje wybawienie. Droga, którą się mogłem wślizgiwać do wieży, omijając most i frontową bramę.

- Ale musiał być z ciebie urwis. Zedd się uśmiechnął.

- Przyznaję, że niektórzy by się z tobą zgodzili. To miejsce dobrze mi służyło. Przeszedłem też tędy, kiedy Siostry Mroku zajęły wieżę. Strzegły jedynie frontowego wejścia, bo, jak wszyscy oprócz mnie, nie miały pojęcia o tym przejściu.

- A więc to mi chciałeś pokazać? Tajemne wejście do wieży?

- Nie. To jedynie drobna cząstka tego, co się łączy z owym miejscem. Chodźmy, pokażę ci.

Znów stała się podejrzliwa.

- No to co to w końcu za miejsce?

Zedd uniósł kulę, nachylił się ku Rikke i szepnął:

- Dalej jest wieczysta noc: droga zmarłych.

ROZDZIAŁ 35

Dobiegające z oddali wycie wilka wyrwało Richarda z głębokiego snu. Żalosalne zawodzenie niosło się echem wśród gór, lecz nie doczekało się odpowiedzi. Richard leżał na boku, w nierealnym blasku przedświt; nasłuchiwał, czekał na wilczy odzew, który nie nadchodził.

Choć bardzo się starał, to ani nie mógł dłużej niż na chwileczkę otworzyć oczu, ani wykrzesać z siebie tyle energii, żeby unieść głowę. W gęstej ciemności poruszały się niewyraźne kształty gałęzi.

Obudził się na dobre, gwałtownie zaczerpnął tchu. Zbudził się gniewny.

Leżał na plecach, miecz spoczywał na jego piersi. Richard jedną dłoń zaciskał na pochwie, a drugą tak mocno ścisnął rękojeść, że litery słowa PRAWDA wbijały mu się we wnętrze dłoni i w palce. Miecz Prawdy był częściowo wysunięty z pochwy i jego gniew po części się uwolnił.

Pierwsze słabe oznaki świtu zaczynały się dopiero zakradać na zalesione zbocze góry. Gęsty las stał cichy i spokojny.

Richard wsunął klingę do pochwy i usiadł, położył miecz z boku, na śpiworze.

Podciągnął ugięte nogi, oparł łokcie o kolana, przeczesał palcami włosy. Serce wciąż jeszcze biło szybko, pobudzone gniewem miecza. Ów gniew wniknął weń bez jego świadomej zgody, ale to Richarda nie zdziwiło i nie zaniepokoiło. Bo nie pierwszy to raz zaczynał dobywać miecza, kiedy - budząc się - wspominał tamten pamiętny ranek. Czasami się okazywało, że całkiem wyciągnął miecz z pochwy, zanim się na dobre obudził.

Czemuż to wspomnienie wracało, kiedy się budził?

Aż za dobrze znał powód. Bo tamtego ranka się ocknął i stwierdził, że Kahlan zniknęła. To było okropne wspomnienie. To był koszmar o koszmarze, w jaki się zmieniło jego życie; i wiedział, że kryje się w tym coś jeszcze, co sprawia, że owo wspomnienie stale powraca. Tysiące razy nad tym rozmyślał, ale nie doszedł do tego, co jest takiego szczególnego w tym konkretnym wspomnieniu. Trochę to dziwne, że obudził go wilk, lecz nie było w tym nic aż tak osobliwego, żeby go to potem stale dręczyło.

Richard się rozejrzał, ale w gęstym mroku nie dojrzał Cary. Za gęstwiną drzew niebo na wschodzie dopiero się zaczynało zabarwiać czerwienią.

Wyglądało to tak, jakby krew sączyła się z rany w sino-czarnym niebie, daleko za zupełnie nieruchomymi drzewami.

Był przeraźliwie zmęczony po szaleńczej jeździe z głębi Starego Świata. Wiele razy zatrzymywali ich patrolujący żołnierze lub oddziały okupujące Midlandy. Na pewno nie była to główna armia Imperialnego Ładu, ale i tak przysparzali im kłopotów. Tylko raz przepuścili Richarda i Carę - udających kamieniarza i jego żonę - pozwalając im jechać do wymyślonej przez chłopaka roboty ku chwale Ładu. We wszystkich innych przypadkach musieli sobie wyrąbywać drogę. To były krwawe spotkania.

Potrzebował więcej snu - przez całą podróż bardzo mało spali - lecz póki nie odnajdą Kahlan, mogli sobie pozwolić tylko na absolutnie niezbędny wypoczynek. Nie wiedział, ile ma czasu na odszukanie jej, ale nie zamierzał marnować ani chwili. Zdecydowanie nie wierzył, że przeznaczony na to czas już dawno minął.

Jeden z koni już dawno padł z wyczerpania; Richard nawet nie pamiętał, kiedy to się stało. Drugi jakiś czas temu okulał i musieli go zostawić. Później się zatroszczy o znalezienie innych koni. Teraz musiał załatwić ważniejsze sprawy. Byli w pobliżu kotliny Agaden, siedziby Shoty. Przez ostatnie dwa dni uporczywie się zagłębiali w potężne góry otaczające kotlinę.

Rozciągnął obolałe, zmęczone mięśnie, po raz kolejny się zastanawiając, jak ma przekonać Shotę, żeby mu pomogła. Przedtem go poratowała, ale nie było żadnej gwarancji, że i tym razem zechce pomóc. Shota była trudna w kontaktach, delikatnie mówiąc. Niektórzy tak panicznie się jej bali, że woleli głośno nie wymawiać jej imienia.

Zedd wyjaśnił kiedyś Richardowi, że Shota nigdy nie mówi wyłącznie tego, co się chce wiedzieć, ale dorzuca też to, o czym by się wolało nie wiedzieć. Richarda to nie zrażało, rozumiał bowiem jedno: za wszelką cenę musi nakłonić Shotę, żeby mu powiedziała wszystko, co sama wie o zniknięciu Kahlan i o tym, gdzie Kahlan może ewentualnie teraz być. Jeżeli wiedźma odmówi, to będą kłopoty.

Gniew się wzmógł - i w tej samej chwili Richard uświadomił sobie, że czuje na twarzy chłodny dotyk mgły. Jednocześnie zauważył, że wśród drzew coś się porusza. Zmrużył oczy, starając się cokolwiek dostrzec w ciemnościach. To na pewno nie były kołysane powiewem liście; w milczącym przed świtem lesie nie było bowiem wiatru.

Tamtego ranka również nie było wiatru. Richarda ogarnęło przecucie zagrożenia, jego serce przyspieszyło rytm. Wstał.

Coś przemykało pośród drzew. Nie potrącało gałęzi ani krzaków, tak jak zrobiłby to człowiek czy zwierzę. To było wyżej, może na poziomie oczu. Ale było za ciemno, żeby Richard mógł zobaczyć, co to takiego. Ranek był tak mroczny i cichy, że chłopak właściwie nie miał żadnej pewności, że tam naprawdę coś jest. Może to tylko jego wyobraźnia; do Shoty było już tak blisko, że miał prawo się niepokoić. Kiedyś co prawda mu pomogła, ale i wpakowała w niemałe tarapaty.

Jeśli jednak pośród drzew niczego nie było, to dlaczego czuł dreszcz niepokoju? I skąd ten ledwo dosłyszalny dźwięk przypominający cichutki syk?

Richard, nie odrywając oczu od mrocznego lasu, wyciągnął rękę i oparł się o pobliski świerk, dla równowagi, a potem ostrożnie przykucnął i podniósł miecz leżący na ściworze. Cicho przełożył pendent przez głowę, wpatrując się w mrok i starając się wypatrzeć, co się w nim porusza. Nie mogło to być nic dużego, lecz Richard był coraz bardziej przekonany, że tam naprawdę coś jest.

I poruszało się w osobliwy sposób. To nie były krótkie wzloty przelatującego z gałęzi na gałąź ptaka ani szybkie podskoki wiewiórki. To nawet nie przypominało ruchu węża, który pełźnie, zatrzymuje się i znowu pełźnie. To coś poruszało się nie tylko płynnie i cicho, ale i nieustannie.

Konie, stojące w zagrodzie, którą Richard zbudował, zagradzając młodymi drzewkami wylot wąskiej rozpadliny, parskały i grzebały kopytami. Gdzieś daleko ptaki nagle się poderwały z gałęzi i odleciały.

Richard po raz pierwszy uświadomił sobie, że nie słyszy cykad.

Wyczuł też słabą woń, zupełnie nie pasującą do lasu. Powoli, głęboko wciągnął nosem powietrze, starając się rozpoznać ów zapach. Jakby coś się paliło. Jednak nie był to swąd pożaru. Bardziej przypominało to woń bijącą z ogniska, ale oni nie rozpalali ognia. Richard nie chciał na to tracić czasu, wolał też nie ryzykować, że ktoś ich zauważy. Cara miała latarnię i osłonę, ale płomień latarni nie wydzieliał takiej woni.

Rozejrzał się dokoła, wypatrując Cary. Pełniła wartę, więc pewnie była gdzieś w pobliżu, jednak Richard nigdzie jej nie widział. Na pewno daleko nie odeszła, zwłaszcza po napaści tamtego ranka, kiedy zaginęła Kahlan. Za

bardzo się martwiła o jego bezpieczeństwo i wiedziała, że gdyby tym razem dosięgła go strzała, to w pobliżu nie będzie Nicci, która by mu ocaliła życie. Nie, Cara na pewno jest gdzieś blisko.

Instynktownie chciał ją zawołać, ale się powstrzymał. Najpierw musiał sprawdzić, co jest nie tak, a potem ewentualnie wszczynać alarm, bo to jednocześnie ostrzegłoby każdego przeciwnika, że Richard już o nim wie. Lepiej, żeby intruz wierzył, iż nie został wykryty.

Richard bacznie przepatrywał otoczenie, jednak wciąż było zbyt ciemno, żeby cokolwiek wyraźnie zobaczyć, ale już dostrzegał, że gałęzie wyglądają jakoś osobiwie. W sosnowych konarach było coś nienaturalnego.

Aż za dobrze pamiętał pierwszą wizytę w kotlinie Agaden. W górach zaatakowała go jakaś dziwaczna istota. A kiedy rozpaczliwie z nią walczył, Shota porwała Kahlan i zabrała ją do kotliny. Wtedy dziwna istota starała się go zwabić w zasadzkę. Ale w końcu udało mu się ją odstraszyć. Może - wówczas pokonana - próbuje ponownie atakować. Pamiętał również, że tylko miecz trzymał monstrum w szachu.

Richard, najciszej i najwolniej jak zdołał, dobył miecza. Złapał klingę tuż u wylotu pochwy, by ostrze się ślizgało pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym. Ale i tak cichutko dźwięczało. Gniew miecza też się uwolnił.

Dobył broni i zaczął się ostrożnie przesuwac tam, gdzie - jak mu się zdawało - wypatrzył ruch. Miał również wrażenie, że kątem oka dostrzega jakiś kształt, lecz kiedy wpatrywał się dokładnie w tę stronę, nic nie widział. Nie miał pojęcia, czy to wzrok mu płata figle, czy istotnie nic tam nie ma.

Dobrze wiedział, że w nocy peryferyjne widzenie jest skuteczniejsze niż na wprost. Kiedy był leśnym przewodnikiem i wiele nocy spędzał pod gołym niebem, to bardzo często nie patrzył wprost na to, co chciał dojrzeć, a przynajmniej piętnaście stopni w bok. Ale kiedy porzucił swoje lasy i zawód przewodnika, przekonał się, że umiejętność koncentrowania uwagi na konkretnych punktach peryferyjnego obrazu bez zwracania oczu w tę stronę jest bezcenna w walce na miecze.

Nie uszedł nawet trzech kroków, kiedy lewa nogawica dotknęła czegoś dziwnego. Przypominało to muśnięcie nisko wiszącej gałęzi. Natychmiast się zatrzymał, nie napał na to mocniej. Znów wyczuł jakąś woń, tym razem intensywniejszą. Tłący się materiał.

Coś gorącego w pobliżu łydki. Szybko i cicho się cofnął.

Nie miał pojęcia, czego dotknął. Nie przychodziło mu na myśl żadne wyjaśnienie mające związek z przyrodą. Mógłby to być jakiś rozpięty nisko nad ziemią drut, którego potrącenie ostrzegłoby kogoś ukrytego wśród drzew, że Richard się poruszył, ale żaden drut by go w ten sposób nie przypiekl.

To coś przykleiło mu się do spodni - jakby było lepkie - kiedy cofał nogę. Kiedy się od tego uwolnił, ów pełzający ruch wśród drzew nagle zamarł, jakby coś wykryło, że kontakt z nogawką Richarda został przerwany. Cisza wręcz boleśnie dzwoniła w uszach.

Mgła była delikatna, miękko osiadała na liściach, a sosnowe igły zbierały z powietrza za mało wilgoci, żeby utworzyły się krople. Poza tym tamten dźwięk wcale nie przypominał odgłosu deszczu. Richard skupił uwagę na mrokach lasu, starając się dojrzeć, co też przestało się poruszać.

Potem znów zaczęło, lecz tym raczej szybciej, bardziej zdecydowanie. Wśród konarów drzew rozbrzmiewał cichy, aksamitny odgłos, przypominający Richardowi dźwięk wydawany przez łyżwę sunącą po gładkiej lodowej tafli.

Kiedy Richard się cofał, coś złapało go za drugą nogawkę. Też było lepkie, jak to, czego przedtem dotknął. I gorące.

Odwracał się, żeby sprawdzić, co się przyczepiło do nogawki, a wtedy coś mu się otarło o rękę, tuż nad łokciem. Nie miał koszuli, więc kiedy to lepkie coś go dotknęło, od razu przypieкло mu skórę. Gwałtownie cofnął ramię, odsunął się od tego, co go trzymało za nogawkę. Ręką z mieczem dotknął bolącego miejsca na lewym ramieniu. Po palcach pociekła mu krew. Gniew Richarda, wzmagany gniewem miecza, chętnie wziąłby górę nad ostrożnością.

Okręcił się dokoła, starając się wypatrzeć w mroku to, czego tam nie powinno być. Czerwona pręga na horyzoncie odbijała się w klindze i lśniąca ostrze wyglądało jak skąpane we krwi - odpowiedniku tej prawdziwej na dłoni ściskającej rękojeść.

Mrok zaczynał gęstnieć wokół niego. Coś przesunęło się ku Richardowi, łapiąc po drodze gałęzie i konary, łagodnie rozgarniając liście i zarośla. Pomyślał, że ten cichy syk to odgłos przypalania roślinności. Zrozumiał, skąd się brał ów śwąd, który wyczuł na samym początku, ale nie miał pojęcia, co jest jego powodem. Zwątpiłby we własny osąd, w realność czegoś takiego,

gdyby sam nie poczuł piekącego bólu przy zetknięciu z tym czymś. Na pewno sobie nie zmyślił krwi spływającej po ręce.

Richard instynktownie wiedział, że ma coraz mniej czasu.

ROZDZIAŁ 36

Richard szybko i bezszelestnie uniósł miecz, przygotowując się na atak - nie bardzo wiedział, z czym ma do czynienia, ale zamierzał być na wszystko przygotowany. Dotknął czoła chłodnym ostrzem.

Wyszeptał: „Nie zawieźdź mnie dziś, mieczu”, zdecydowany uczynić to, co się okaże konieczne.

Na nagą pierś Richarda spadły pierwsze duże krople. Stopniowo było ich coraz więcej. Ciszę lasu zastąpił szum deszczu uderzającego w grube sklepienie z listowia. Richard mrugał, strzepując z rzes krople.

Do skrzypienia poruszających się konarów dołączył tupot biegnących ku niemu stóp. Rozpoznał charakterystyczny krok Cary. Najwidoczniej patrolowała granice ich obozowiska i usłyszała te same dźwięki co on. Znał Carę, więc się nie zdziwił, że tak bacznie na wszystko zważała.

W szumie deszczu Richard wyraźnie słyszał, jak wolno się przemieszczają gałęzie i konary; tu i tam pękały małe gałązki, kiedy coś zacieśniało krąg. Dotknęło lewego ramienia Richarda. Cofnął się o krok, odsunął ramię. Oparzenie boleśnie pulsowało. Ciepła krew już w dwóch miejscach spływała mu z ręki. Coś złapało go za nogawkę. Wyszarpnął nogę.

Spomiędzy drzew wypadła Cara. Nie zrobiła tego bynajmniej dyskretnie. Gwałtownie otworzyła jedną ściankę osłony latarni i słaby snop światła padł na obozowisko.

Richard zobaczył, że otacza go jakaś dziwaczna czarna sieć, zawieszona na konarach drzew, krzakach i zaroślach. Wyglądało to jak grube liny, ale żywe i lepkie. Nie miał pojęcia, co to takiego i kiedy go zdołało okrążyć.

- Lordzie Rahlu! Nic ci się nie stało?!

- Nic. Zostań tam, gdzie jesteś.

- Co się dzieje?

- Jeszcze nie wiem.

Dźwięk się przybliżył, bo ciemne „liny” znów zaczęły zacieśniać krąg. Jedna z nich przylgnęła do pleców Richarda. Cofnął się chwiejnie, obrócił i ciał mieczem. Przeciął tę „linę”, a otaczająca go płatanina natychmiast się naprężyła i jeszcze bardziej do niego zbliżyła.

Cara energicznie uniosła całą osłonę latarni, żeby lepiej widzieć, i

Richard nagle dostrzegł, że połyskliwe „liny” prawie zamknęły go w kokonie. Krzyżowały się nawet nad jego głową. Były tak blisko, że już wkrótce nie mógłby się poruszyć.

W nagłym błysku zrozumienia pojął, czym był ten aksamitny dźwięk, który usłyszał na początku. I ten płynny, nieustanny ruch. To coś osnuwało go siecią, jakby był posiłkiem dla pająka. Nici owej sieci były jednak tak grube jak jego przegub. Nie miał pojęcia, co to właściwie było. Wiedział jedynie, że ich dotknięcie - a poczuł je na nodze, ramieniu, plecach - powodowało bolesne oparzenia.

Widział Carę z latarnią - miotła się, szukając drogi, którą by się mogła do niego przedostać.

- Nie zbliżaj się, Caro! Poparzą cię, jeżeli ich dotkniesz.

- Poparzą?

- Tak. Zupełnie jak kwas. I są lepkie. Trzymaj się z dala od nich, bo się jeszcze w nie zapłaczesz.

- A jak ty się stamtąd wydostaniesz?

- Muszę sobie wyrąbać drogę. Zostań, gdzie jesteś, a ja do ciebie przyjdę.

„Liny” zbliżyły się od lewej i Richard ciął je mieczem. Ostrze błysnęło w blasku latarni Cary, przecięło płatąninę lepkich włókien. Przecięte „liny” odrzuciło, jakby były bardzo naciągnięte. Niektóre przyłgnęły do drzew lub gałęzi; wisiały teraz niczym ciemne festony mchu. Richard widział w świetle latarni, jak się zwijają liście - z pewnością spieczone od dotknięcia „lin”. Nigdzie jednak nie mógł dostrzec tego, co uplotło sieć.

Deszcz się nasilił. Cara biegała, szukając przejścia.

- Chyba mogę...

- Nie! - wrzasnął do niej. - Mówiłem ci, żebyś się trzymała z dala od tego!

Richard ciął mieczem grube, ciemne włókna, ilekroć się ku niemu zbliżyły. Starał się zahamować ich napór, osłabić je, ale mógł to robić jedynie w ostateczności, bo lepkie włókna zaczynały oblepiać klingę.

- Muszę ci pomóc się uwolnić! - zawołała Cara, nie mogąc się doczekać, kiedy wreszcie Richard się wyzwoli.

- Tylko byś się w to zaplątała, a wtedy wcale byś mi nie pomogła. Trzymaj się na uboczu. Wyrąbię sobie drogę i przedostanę się do ciebie, tak jak mówiłem.

To wreszcie wybiło jej z głowy próby natychmiastowego przedostania się

do niego. Stała na ugiętych nogach, zaciskając usta z gniewu i bezradności; ścisnęła w garści Agiel i nie wiedziała, co robić - nie chciała postąpić wbrew woli Richarda, bo rozumiała, dlaczego zabrania sobie pomóc, a jednocześnie nie chciała, żeby sam się musiał z tym męczyć.

To była osobliwa, zbijająca z tropu, pozbawiona przemocy walka. Toczyła się powoli, bez pośpiechu. Rany, które zadawał Richard, najwyraźniej nie wywoływały żadnego bólu. Powoli, nieustannie sieć się zaciskała, jakby chciano go otumanić koniecznością stałego bronienia się, choć jednocześnie się zdawało, że jest mnóstwo czasu na analizowanie całej sytuacji.

Richard - pomimo pozorów łagodności i zwodniczego spokoju - uważał, że to nieustępliwe zaciskanie się sieci jest w najwyższym stopniu niepokojące. Znowu uniósł miecz i ciął płataninę włókien.

Usiłował wyrąbać sobie drogę, a w tym samym czasie w lesie pojawiały się nowe włókna. Sieć się wzmacniała, przyrastała, chociaż rozcinał ją od swojej strony. Na każde przecięte dwanaście „lin” pojawiało się ich dwa razy więcej. Wciąż się wpatrywał w las - starał się dojrzeć, co wytwarza sieć, bo wtedy mógłby się zająć przyczyną, a nie skutkami. Lecz choć wytężał wzrok, nie mógł wypatrzeć ani początku sieci, ani tego, co ją plotło; wśród drzew i krzewów poruszały się szybko lepkie włókna, wydłużając się, namnażając i nieustannie pogrubiając otaczającą go płataninę.

Richard się zorientował, że czasu ma coraz mniej; zagrożenie wciąż narastało. Bolesnie pulsowały oparzenia, przypominając, co go czeka, jeżeli się nie wydostanie. Zdawał sobie sprawę, iż nadejdzie chwila, kiedy już nic nie będzie mógł zrobić. Wiedział, że kiedy pułapka ostatecznie się zamknie, on umrze, i że nie będzie to szybka śmierć.

Otoczająca go sieć wzmacniała się i zaciskała, a Richard wściekle pracował mieczem, usiłując sobie wyrąbać drogę przez coraz grubszą przeszkodę. Za każdym cięciem jednak ostrze coraz bardziej oklejała lepka substancja. Im więcej włókien przecinał, tym więcej ich przylegało do tych, które już oblepiały klingę, coraz bardziej obciążając miecz i utrudniając działanie. Zaczynały też przywierać do brzegów rozcięcia, a każdy ruch wymagał coraz większego wysiłku. Richard czuł się jak mucha schwytna w pajęczynę. Oderwanie miecza od płataniny włókien wymagało olbrzymiego wysiłku, przywierały bowiem do klingi i rozciągały się niczym guma.

Richard po raz pierwszy zmierzył się z przeciwnikiem, który sprawiał

mieczowi tyle trudu. Rozcinał nim zbroje i żelazne pręty, lecz nie mógł się uporać z tą lepką substancją, która się do wszystkiego przyklejała.

Przypomniawszy sobie, że Adie go kiedyś zapytała, czy zęby są mocniejsze niż język. Utrzymywała, że język jest silniejszy, chociaż o wiele bardziej miękki, bo trwa długo po tym, jak zęby już wypadną. Choć kontekst był odmienny, można było to odnieść i do obecnej sytuacji.

Kilka maziowatych nici się naciągnęło i przylgnęło do nogawek Richarda. Kiedy cofał miecz, włókno spadło mu na prawe ramię. Krzyknął z bólu i osunął się na kolana.

- Lordzie Rahlu!

- Zostań tam! - zawołał, zanim Cara ponowiła próby dostania się do niego. - Nic mi nie jest. Stój tam, gdzie jesteś.

Nabrał w dłoń liści, kory i ziemi - dla ochrony - i oderwał od ramienia ciemną, lepką substancję. Rozdzierający ból sprawiał, że myślał tylko o jednym - żeby się pozbyć tego paskudztwa.

Sieć jeszcze bardziej się zaciągnęła, grube „liny” wyrwały małe drzewka. Trzasnęły gałęzie. Konary odrywały się od pni. Las wypełnił gryzący swąd spalenizny.

Furia miecza szalała w Richardzie, wzmagała jego własny gniew, lecz chłopak uświadomił sobie, że przegrywa. Każde rozcięcie sieci natychmiast zasklepiały nowe, o wiele liczniejsze włókna. A sama sieć stawała się coraz bardziej splątana, coraz bardziej zaciśnięta.

Opanowanie zaczęło ustępować miejsca panice, strach zaś wzmacniał siłę mięśni; Richard bez przerwy pracował mieczem. Widział w wyobraźni, jak oblepia go ta dziwna, czarna masa, przypieka mu ciało, jak się zestala, oplątując go, jak go dusi, o ile już wcześniej by go nie zabiła, wypalając ciało aż do kości.

Richard raz za razem ciął sieć. Strzelały w górę włókna i przyczepiały się do tych przeciętych, a ich fragmenty łączyły ze sobą dalsze „liny” i wzmacniały je. Nie tylko przegrywał, ale i sam się przyczyniał do umocnienia swojej pułapki.

- Muszę się do ciebie dostać, lordzie Rahlu.

Cara świetnie pojmowała, co mu grozi, i chciała pomóc mu się wydostać z tarapatów. Ale - tak jak i on - właściwie nie miała pojęcia, co robić.

- Posłuchaj, Caro. Umrzesz, jeżeli cię oplącają. Trzymaj się od nich z

daleka i nie dotykaj Agielem. Coś wymyślę.

- No to się pospiesz z tym myśleniem, zanim będzie za późno. Tak jakby się nie starał!

- Daj mi jeszcze minutkę na zastanowienie.

Zadyszany Richard oparł się plecami o pień wielkiego świerka, Pod którym rozłożył przedtem swój śpiwór; łapał oddech i starał się wymyślić, jak uciec z pułapki. Wokół drzewa nie było już zbyt wiele miejsca, a i ta przestrzeń wkrótce zniknie. Krew spływała z ran na ramionach powstałych po dotknięciu czarnej substancji. Rany piekły i pulsowały, co utrudniało chłopakowi myślenie. Musiał się jakoś stąd wydostać, zanim sieć na dobre go schwyta.

I nagle pojął.

Użyj miecza do tego, w czym jest najlepszy.

Richard nie zwlekał ani chwili - odszedł parę kroków od drzewa, obrócił się i z całej mocy ciął mieczem. Wiedział, że od tego zależy jego życie, więc włożył w to cały gniew i całą energię, wszystkie siły. Ostrze ze świstem cięło powietrze, szybkie niczym błyskawica.

Klinga uderzyła w pień z głośnym łoskotem przypominającym huk gromu i narobiła tyle szkód co piorun. Pień pękł. Na wszystkie strony poleciały drzazgi. Długie odłupane kawałki drewna uniosły się w górę. Mniejsze kawałki i fragmenty kory przykleiły się do sieci.

Wielki świerk zaczął padać, przebijając się przez płataninę. Coraz szybciej leciał ku ziemi; pod jego ciężarem pękały gałęzie i konary gęsto rosnących drzew. Pękały też „liny” sieci, bo świerk ciągnął je za sobą. Wreszcie runął na płataninę grubych włókien; przygniótł je do ziemi nie tylko pień, ale i gąszcz świerkowych konarów.

Zanim sieć zdążyła się odtworzyć i zamknąć ziejącą wyrwę, Richard wskoczył na pień, ciągle jeszcze podskakujący po uderzeniu o ziemię. Rozłożył ramiona i ugiął kolana, żeby utrzymać równowagę na śliskim od deszczu drewnie. Wielkie drzewo coraz słabiej się odbijało od ziemi, z góry wciąż jeszcze leciały konary, gałęzie, liście, kora, szpilki, lecz Richard wykorzystał okazję i pobiegł po pniu, niczym po moście ponad lepką siecią.

Dotarł do Cary - zadyszany, nareszcie wolny. Mord-Sith, widząc, że nadbiega, wdrapała się na gruby konar, żeby mu pomóc. Chwyła go za ramię, żeby się nie pośliznął na wilgotnej korze, kiedy biegł po płataninie

gałęzi.

- Co się, u licha, dzieje?! - zapytała Cara, przekrzykując szum ulewy i pomagając Richardowi zeskoczyć na ziemię.

Ciągle jeszcze nie mógł złapać tchu.

- Nie mam pojęcia.

Oklejająca klingę lepka substancja zaczęła się rozpląwać w deszczu. Oplatające drzewa włókna też zaczęły mięknać i opadać. Pękały, a deszcz niszczył sieć, „zdzierając” z drzew coraz więcej długich, grubych włókien. Opadały na ziemię ciemną masą, a tam syczały i topniały jak pierwszy śnieg.

W szarym świetle poranka Richard zobaczył, jak wielka sieć go oplotła. Była wręcz olbrzymia. Kiedy drzewo rozdarło otwartą u góry płataninę, to najwyraźniej naruszyło całą sieć, która się rozdarła i zapadła pod własnym ciężarem.

Zimny deszcz był coraz gęstszy; zmywał z drzew i zarośli ciemne włókna. Leżały na ziemi niczym trzewia jakiegoś wielkiego martwego monstrum.

Richard do czysta wytarł klingę o mokre zarośla i trawę.

Zalegająca na ziemi czarna masa topniała coraz szybciej, tworząc szarawą mgłę. W mrokach pod drzewami owa mgła powoli się unosiła, niczym w zimowy dzień para z wnętrzości dopiero co zabitego wroga. Słaby wiatr poniósł w gęsty las ciemne kłęby.

Pod osłoną drzew mgła nagle się zmieniła w niewytłumaczalny dla Richarda sposób i zestaliła w atramentowo czarny cień. Zanim chłopak zdążył mu się dobrze przyjrzeć, cień rozpadł się na mnóstwo trzepoczących kształtów, które się rozpierchły na wszystkie strony - jakby mroczne widmo się rozpadło na deszczowe cienie i mgłę. W jednej chwili zniknęło.

Richardem wstrząsnął zimny dreszcz. Cara patrzyła ze zdumieniem.

- Widziałeś? Richard potaknął.

- Podobnie zrobiło to „coś”, co się w Altur’Rang przebiło do mnie przez ściany. Zniknęło w bardzo podobny sposób, kiedy już prawie mnie dopadło.

- A więc to musi być ta sama bestia.

Richard, moknąc w ulewie wczesnego poranka, bacznie się przyjrzał cieniom pod otaczającymi ich drzewami.

- I ja tak sędę.

Cara też wypatrywała w lesie oznak zagrożenia.

- Mieliśmy szczęście, że zaczęło padać.

- Nie sędę, żeby deszcz to unieszkodliwił. Otarła z rżęs krople.

- A więc co?

- Bo ja wiem, może wystarczyło, że uciekłem z pułapki.

- Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, żeby obdarzona taką mocą bestia tak łatwo dawała za wygraną.

- Nic innego nie przychodzi mi na myśl. Ale znam kogoś, kto by miał inne pomysły. - Ujął ramię Cary. - No już. Spakujmy się i znikajmy stąd.

- Przeprowadź konie, a ja spakuję śpiwory. Później je wysuszemy.

- Nie. Chcę, żebyśmy natychmiast stąd odeszli. - Szybko wyjął z plecaka koszulę i pelerynę, żeby się choć trochę osłonić przed deszczem. - Zostawimy konie. Mają w tej „zagrodzie” wodę i trawę, więc mogą tu na nas zaczekać.

- Ale konno szybciej byśmy się stąd wydostali.

Richard, ciągle się rozglądając, wsuwał ręce w rękawy koszuli.

- Nie przeprowadzimy ich przełęczą przez góry, bo jest miejscami za wąska, no i nie możemy wprowadzić koni do kotliny Agaden, gdzie mieszka Shota. Odpoczną tu sobie, a my się spotkamy z wiedźmą. A kiedy już się dowiemy, co Shota wie o Kahlan, wrócimy po konie. Może Shota wie również, jak się pozbyć tej bestii, co mnie ściga.

Cara skinęła głową.

- Brzmi sensownie. Tyle że ja bym się stąd chciała jak najszybciej wydostać, a konie by nam w tym pomogły.

Richard przykucnął i zaczął zwijać przemoczony śpiwór.

- Zgadzam się z tym. Ale przełęcz jest blisko, a konie jej nie przejdą. Poza tym i tak muszą wypocząć, bo inaczej na nic się nam nie przydadzą.

Cara pospiesznie wciągnęła pelerynę, wepchnęła do plecaka swoje rzeczy. Zarzuciła go na ramię.

- Musimy jeszcze wziąć rzeczy z juków, które zostały przy koniach.

- Zostaw je. Nie chcę nieść więcej, niż to konieczne; to by nas tylko spowolniło.

Cara spojrzała w zasnuty deszczem las.

- Ale ktoś może ukraść nasze zapasy.

- Złodzieje nie zapędzają się w pobliże Shoty. Spojrzała nań chmurnie.

- Niby dlaczego?

- Shota i jej towarzysz chadzają po tych lasach. A ona jest raczej mało pobłażliwą niewiastą.

- No pięknie - mruknęła Cara.

Richard zarzucił plecak na ramiona i ruszył w drogę. Mord-Sith pospieszyła za nim.

- Przyszło ci kiedykolwiek na myśl, że ta wiedźma może być groźniejsza niż bestia? - spytała.

Obejrzał się na nią przez ramię.

- Ależ ty jesteś dzisiaj słodziutka.

ROZDZIAŁ 37

Deszcz przeszedł w śnieg; wyszli z gęstych borów i znaleźli się w krzywym lesie rozciągającym się aż do granicy zasięgu drzew. Na tej wysokości klimat był bardzo surowy, więc skarłowaciałe drzewa, skąpo pokryte listowiem, miały dziwaczne, powyginane przez wiatr kształty. Przejście przez krzywy las przypominało wędrówkę wśród zaklętych w kamień dusz, na zawsze zastygłych w powykręcanych pozach, dusz, które tylko po to wyłoniły się z grobów, żeby się przekonać, iż ich stopy na wieczność ugrzęzły w poświęconej ziemi, przez co nie mogą opuścić doczesnego świata.

Byli tacy, którzy za nic by nie weszli do krzywego lasu bez jakiejś mistycznej ochrony, ale Richard do nich nie należał. Co więcej, wszelkie tego typu przesady uważał za przynętę na tych, którym się nie chciało myśleć. Poprzez mylącą otoczkę dojrzał to, co leżało u podstawy każdego przesądu - zachętę, by uznać, iż człowiek nie potrafi osiągnąć własnych celów, że nie potrafi sobie poradzić z rzeczywistością; że istnienie człowieka zależy od jakichś niepoznawalnych mocy, więc powinien je na kolanach błagać, by go raczyły oszczędzić, oraz nosić odpowiedni amulet, jeżeli chce wstąpić do sfery duchowej.

Chociaż Richard zawsze czuł się trochę nieswojo w krzywym lesie, był świadom, że to zwykły las i dlatego tak wygląda. Wiedział również, że istnieją dwa sposoby radzenia sobie z takim uczuciem. Pierwszy - dla przesądnych - polegał na obwieszeniu się świętymi amuletami i talizmanami odstrasżającymi złośliwe demony i tajemnicze złe moce, zamieszkujące podobno takie miejsca, z nadzieją, iż sprawi to, że ułagodzony los powstrzyma swą karzącą dłoń. I choć ludzie z całym przekonaniem głosili, że zwykły człowiek nie jest w stanie poznać i zrozumieć owych tajemnych mocy, to żarliwie wierzyli - bez żadnego na to dowodu - że moc amuletów z całą pewnością ułodzi owe groźne siły, i upierali się, że wystarczy tylko wierzyć - jakby wiara była mistycznym spoiwem, wypełniającym luki w ich przekonaniach.

Richard wierzył w wolną wolę, więc wybrał drugi sposób radzenia sobie z takimi lękami - bycie czujnym, byстрыm i gotowym do wzięcia

odpowiedzialności za własne życie. I właśnie owa sprzeczność pomiędzy wiarą w okrutny los a uznawaniem wolnej woli i własnej odpowiedzialności sprawiała, że Richard nie chciał biernie wypełniać proroctw i je odrzucał. Bo jeżeli ktoś wybierał wiarę w przeznaczenie, to jednocześnie negował wolną wolę i rezygnował z kierowania się nią.

Szli z Carą przez krzywy las i Richard bacznie się wszystkiemu przyglądał, ale nie zauważył żadnych legendarnych bestii ani mściwych duchów. Tylko wiatr sypał śniegiem.

Tak długo gnali na złamanie karku w letniej spiekocie, że teraz wspinaczka w chłodzie panującym na tej wysokości mocno dawała się im we znaki, zwłaszcza że przemoczył ich deszcz. Richard wiedział, że pomimo znużenia powinni utrzymywać szybkie tempo, żeby marsz ich rozgrzewał, bo inaczej ziąb szybko da sobie z nimi radę. Zdawał sobie sprawę, że zimno potrafi skusić ludzi, żeby się położyli i wypoczywali, poddając się senności i śmierci, która czyha na lekkomyślnych. A jak Zedd mu kiedyś powiedział, śmierć to śmierć i Richard wiedział, że od chłodu może umrzeć tak samo jak od strzały.

Poza tym obydwójce z Carą chcieli się jak najszybciej oddalić od pułapki, która go omal nie pochłonęła. Oparzenia po dotknięciu „lin” pokryły się bąblami. Zadrzał na myśl o tym, czego z trudem uniknął.

No i obawiał się spotkania z Shotą w kotlinie Agaden, jej siedzibie. Kiedy ostatnio tam był, wiedźma zapowiedziała, że go zabije, jeżeli wróci. Richard nie wątpił, że Shota dotrzyma słowa i że potrafi spełnić groźbę. Mimo to uważał, że właśnie ona może być najbardziej pomocna w odnalezieniu Kahlan.

Rozpaczliwie chciał znaleźć kogoś, od kogo by się dowiedział czegoś użytecznego. Przebiegł myślą listę osób, do których mógłby się zwrócić, i nie znalazł nikogo innego, kto by mu mógł tyle powiedzieć, co Shota. Nicci nie potrafiła podsunąć żadnego rozwiązania. Zedd mógłby ewentualnie w tym i owym pomóc, a może byli i inni, którzy by potrafili dopasować parę elementów układanki, lecz wedle Richarda nikt poza Shotą nie potrafiłby mu wskazać właściwego kierunku. I to przesądzało sprawę.

Richard podniósł wzrok i poprzez niesiony wiatrem śnieg mignął mu ośnieżony szczyt góry. Trochę dalej, na krawędzi opadającego stromo stoku, szlak otrze się o dolne partie wiecznej zmarzliny. Chmury, ciężkie od

wilgoci, przywierały do strzelistej szarej skały. Snujące się pasma mgły znacznie ograniczały widoczność, a miejscami prawie zupełnie ją uniemożliwiały. I dobrze - w niektórych punktach rzadko uczęszczanego i coraz bardziej śliskiego szlaku zbrocze opadało stromo w dół i widok byłby dość przerażający.

Porywy lodowatego wichru rzucały im w twarz wilgotny śnieg; Richard mocniej się otulił peleryną, by ochronić się przed tymi gwałtownymi atakami mroźnego powietrza. Drzewa już ich tu nie osłaniały; szli przez skalny rumosz, pochyleni dla ochrony przed wiatrem i dla ułatwienia sobie wspinaczki. Richard uniósł ramię, starając się lepiej osłonić twarz przed ukąszeniami zimna.

Wicher tak wyl w skalnej przełęczy, że rozmowa byłaby bardzo utrudniona. Wysokość i wysiłek pozbawiały ich tchu, jeszcze bardziej zniechęcając do pogawędki. Już samo oddychanie było wystarczająco trudne, a po minie Cary Richard poznał, że i ona źle się czuje na tej wysokości.

I tak nie był w nastroju do rozmów. Całymi dniami rozmawiał z Cara i nic mu to nie dało. A Mord-Sith tak samo frustrowały pytania Richarda jak jego jej odpowiedzi. Wiedział, że uważała jego dociekania za absurdalne; on zaś tak samo oceniał jej odpowiedzi. Niespójności i luki we wspomnieniach Cary były początkowo kłopotliwe i przykre, aż wreszcie stały się nie do wytrzymania. Parę razy musiał się ugryźć w język i napomnieć się, że to nie wynika z jej złośliwości. Wiedział, że gdyby Cara mogła uczciwie i szczerze powiedzieć to, co chciał usłyszeć, chętnie by to powiedziała. Wiedział również, że gdyby skłamała, wcale by mu to nie pomogło w odzyskaniu Kahlan. Potrzebował prawdy - i właśnie dlatego szedł do Shoty.

Richard szczegółowo przypominał sobie chwile, jakie Cara spędziła z nim i Kahlan. Ale wspomnienia Cary o zdarzeniach, które powinny być dla niej ważne, odbiegały od tego, co się naprawdę wydarzyło. W niektórych przypadkach, takich jak wyprawa Richarda do Świątyni Wichrów, Mord-Sith po prostu nie pamiętała tego, co dotyczyło Kahlan. W innych zaś jej wspomnienia bardzo się różniły od tego, co się naprawdę wydarzyło. A przynajmniej od tego, co zapamiętał Richard. Zdarzały się chwile, kiedy zaczynał się bać, że to on ma jakieś zaburzenia. Cara zaś uważała, że to on pamięta to, co się nigdy nie wydarzyło. Nie mówiła tego na głos, ale im

więcej snuł wspomnień, tym bardziej była przekonana, że jego rojenia o wymyślonej żonie mnożą mu się w pamięci niczym grzyby po deszczu.

Za to Richarda dokładna pamięć poszczególnych wydarzeń i to, jak się logicznie ze sobą łączyły, tylko umacniała w przekonaniu, że Kahlan naprawdę istnieje.

Pewne wspomnienia Cary były bardzo wyraźne i wielce się różniły od Richardowych, za to inne sprawy ledwie pamiętała. Fakt, że on opowiadał coś zupełnie innego, niż ona zapamiętała, jedynie utwierdzał Carę w przekonaniu, że umysł Richarda był bardziej rozstrojony, niż się jej początkowo zdawało. Najwyraźniej ją to zasmucało, ale Richard dalej ją nękał.

Na jego ślubie z Kahlan Cara była jedyną Mord-Sith. Richard wiedział, jakie to miało dla niej znaczenie, a mimo to Cara pamiętała jedynie, że poszła z nim do wioski Błotnych Ludzi. A w jakim celu się tam zjawili, jeżeli nie na ślub? Cara odparła, że nie wie, po co się tam udał, ale że na pewno miał po temu powody; jej obowiązkiem zaś było wszędzie mu towarzyszyć i chronić go, a nie za każdym razem wypytywać o przyczyny. Richard miał ochotę rwać sobie włosy z głowy.

Cara nie pamiętała, że razem z nim i Kahlan podróżowała sylfą na miejsce ślubu. Wtedy Mord-Sith wcale nie miała ochoty wejść do studni z sylfą i wciągnąć w płuca coś, co wyglądało jak żywe srebro. Teraz w ogóle nie pamiętała, że to Kahlan pomogła się jej pozbyć obaw przed podróżowaniem w tej magicznej istocie. Pamiętała, że w wiosce Błotnych Ludzi był Zedd i że na chwilę pojawiła się Shota, lecz w jej wspomnieniach wiedźma się stawiała po to, żeby pogratulować Richardowi, że położył kres zarazie, udając się do Świątyni Wichrów, a nie żeby ofiarować Kahlan naszyjnik jako ślubny dar i znak rozejmu.

Kiedy Richard pytał Carę o czarodzieja Marlina, asasyna nasłanego przez Jaganga, to dobrze pamiętała, że się zjawił, żeby zabić Richarda, lecz nie zachowała w pamięci niczego, co się łączyło z Kahlan. Kiedy pytał, jak się według niej w ogóle zdołał dostać do Świątyni Wichrów lub jak został uleczony z moru - w czym, jak wiadomo, Kahlan miała główny udział - Cara jedynie wzruszyła ramionami i powiedziała:

- Jesteś czarodziejem, lordzie Rahlu, i znasz się na takich rzeczach, ja nie. Przykro mi, ale nie wiem, jak ci się udało dzięki darowi dokonać takich

zdumiewających rzeczy. Nie mam pojęcia, jak działa magia. Wiem tylko, żeś tego dokonał. I pamiętam jedynie, że robiłeś to, co musiałeś zrobić, żeby się udało, no i się powiodło, czyli muszę mieć rację. Nie mogę też powiedzieć, w jaki sposób mnie uleczyłeś; wiem tylko, że użyłeś swojego daru i zrobiłeś to. Byłeś magią przeciwko magii, jak ci nakazuje obowiązek wobec nas. Po prostu sobie nie przypominam, żeby ta kobieta miała w tym jakiś udział. Chciałabym to pamiętać dla twojego dobra, ale nie pamiętam.

Najdrobniejsze zdarzenie, w którym Kahlan brała udział, Cara pamiętała zupełnie inaczej albo wcale. Wszystko potrafiła na swój sposób wytłumaczyć, albo - kiedy to nie było możliwe - po prostu nie pamiętała, o czym Richard mówił. On widział w jej wersji tysiące drobnych niezgodności i nielogiczności; dla Cary wszystko było jasne i proste, wiernie zapamiętane.

Delikatnie mówiąc, próby przekonania Cary o tym, że Kahlan naprawdę istnieje, były z góry przegrane i doprowadzały Richarda do obłędu.

Dalsze wspomnianie znaczących wydarzeń mających pomóc Carze odzyskać pamięć stało się bezcelowe, więc Richard poniechał kolejnych prób przywołania Cary do rzeczywistości. Ona zwyczajnie nie pamiętała Kahlan. Zupełnie jakby w jej mózgu zatarto fragmenty tego, co się naprawdę wydarzyło.

Richard uświadomił sobie, że musi być po temu jakaś racjonalna przyczyna, że pewnie jakiś czar zmienił wspomnienia Cary - wspomnienia wszystkich. Zaczynał akceptować fakt, że jeżeli istotnie tak było - a musiało tak być - to wypytywanie Cary o jakieś konkretne wydarzenie lub ich ciąg i tak nie przywróci jej pamięci.

Dotarło też do niego, że takie próby przywrócenia jej - czy komukolwiek innemu - prawdziwych wspomnień jedynie przeszkadzają w wysiłkach odnalezienia Kahlan.

Obejrzał się, by się upewnić, czy Cara trzyma się blisko niego na tym stromym górskim zboczu. W poszarpanych górskich łańcuchach okalających kotlinę Agaden bardzo łatwo było spaść z jakiegoś urwiska. Sprawę dodatkowo utrudniał świeży śnieg, przykrywający luźny rumosz.

Przy tak złej widoczności nie chciał ryzykować utraty kontaktu z Cara. Ryk wichru zagłuszyłby ich głosy, gdyby się rozdzielili, a stale nawiewany śnieg natychmiast przykryłby ślady. Przekonał się, że Cara jest na odległość ramienia, ruszył więc dalej, zmagając się z wiatrem.

Po raz kolejny dumał o tym wszystkim i nagle przyszło mu na myśl, że takie ustawiczne próby przypomnienia sobie czegoś, co Cara, lub inni mu bliscy, na pewno powinna pamiętać, tylko go wpędzają w pułapkę poświęcania myśli i wysiłków problemowi, a nie jego rozwiązaniu. A od najmłodszych lat Richarda Zedd go napominał, żeby nie tracił z oczu celu, żeby myślał o rozwiązaniu, a nie o problemie.

Richard obiecał sobie, że skupi się wyłącznie na rozwiązaniu i zignoruje rozterki wywołane zniknięciem Kahlan. Cara, Nicci i Victor zawsze potrafili wyjaśnić niespójności. Żadne z nich nie pamiętało wydarzeń wyrytych w pamięci Richarda. Rozpamiętując szczegóły wspólnych z Kahlan działań i nieustannie nękać ludzi, by sobie przypomnieli o tak doniosłych wydarzeniach, pozwalał jedynie, żeby rozwiązanie coraz bardziej się od niego oddalało - żeby życie Kahlan coraz bardziej mu umykało.

Powinien zapanować nad swoimi uczuciami, przestać się rozwódzić cierpiętniczo nad problemem i skoncentrować wyłącznie na rozwiązaniu.

Ale niezważanie na uczucia było takie trudne. To tak jakby sobie nakazywał zapomnieć o Kahlan, chociaż jej szukał. Pamięć, wspomnienia odgrywały główną rolę w jego życiu z Kahlan. Wyprawa do Shoty tylko przywoływała dalsze wspomnienia. Pierwszy raz zobaczył Shotę, kiedy Kahlan go do niej zaprowadziła, bo chciała poprosić wiedźmę o pomoc w odnalezieniu ostatniej szkatuły Ordenu, kiedy to Rahl Posępny się nimi posłużył.

Kahlan była nierozzerwalnie złączona z jego życiem. Jako Spowiedniczkę znał ją właściwie od dzieciństwa, na długo przedtem, zanim ją spotkał w lasach Hartlandu.

Kiedy był chłopcem, George Cypher - człowiek, który go wychował i którego Richard długo uważał za ojca - powiedział mu, że ocalił od niebezpieczeństwa tajemną księgę, przynosząc ją do Westlandu. Że dopóki owa księga istnieje, dopóty nad wszystkimi wisi poważne zagrożenie, lecz że on mimo to nie potrafi się zmusić do zniszczenia zawartej w niej wiedzy. Jedynym sposobem uchronienia księgi od wpadnięcia w niepowołane ręce i jednoczesne ocalenie zawartej w niej wiedzy było wyuczenie się na pamięć całego tekstu i późniejsze spalanie woluminu. Do owego doniosłego zadania George Cypher wybrał Richarda.

Ojciec dzień po dniu i tydzień po tygodniu prowadził Richarda w

ustronne miejsce w głębi lasu i obserwował, jak chłopiec niezliczone razy czyta księgę, starając się zapamiętać tekst. Sam nigdy do niej nie zajrzał; to był obowiązek Richarda.

Po długim czasie czytania i zapamiętywania Richard zaczął spisywać to, co zapamiętał. Potem sprawdzał w księdze. Początkowo robił wiele błędów, lecz stopniowo się poprawiał. Za każdym razem ojciec palił karty. Powtarzał to mnóstwo razy. Ojciec często przepraszał, że nałożył nań takie brzemię, ale chłopiec nigdy nie miał o to pretensji; uważał za zaszczyt, że ojciec powierzył mu tak doniosłe zadanie. Choć był bardzo młody i nie wszystko rozumiał z tego, co czytał, potrafił pojąć, jakie to ważne zadanie. Pojął również, że księga dotyczy związanych z magią skomplikowanych procedur.

Po jakimś czasie Richard przepisał bezbłędnie całą księgę od początku do końca ze sto razy i dopiero wtedy uznał, że nigdy nie zapomni ani jednego słowa. Nie tylko z tekstu, ale i z jego specyficznej składni wywnioskował, że pominięcie choć jednego wyrazu zniekształciłoby sens całości.

Kiedy zapewnił ojca, że dokładnie zapamiętał tekst, odłożyli I księgę do skrytki w skałach i zostawili ją tam na trzy lata. Po tym czasie - Richard skończył już piętnaście lat - wrócili tam pewnego I jesiennego dnia i wyjęli starą księgę. Ojciec powiedział, że jeżeli Richard bezbłędnie napisze cały tekst, to obaj uznają, iż wspaniale wypełnił zadanie, i razem spalą księgę. Richard bez wahania napisał tekst od początku do końca. Sprawdził z księgą i potwierdził to, co i tak już wiedział - nie popełnił ani jednego błędu.

Wspólnie z ojcem rozpalili ognisko, dopóty dokładając drewna, dopóki żar nie kazał im się cofnąć. Ojciec podał Richardowi księgę i powiedział, że jeżeli jest pewny swojej pamięci, powinien wrzucić wolumin w ogień. Chłopak trzymał Księgę Opisania Mroków i wodził palcami po grubej skórzanej oprawie. Zawierzał mu nie tylko ojciec, ale i inni. Richard, czując cały ciężar owej odpowiedzialności, cisnął księgę w płomienie. W tamtej chwili przestał być dzieckiem.

Księga płonęła, wydzielając jednocześnie żar i chłód, snopy barwnego światła i widmowych kształtów. Richard wiedział, że po raz pierwszy ujrzał wtedy magię - nie jakiejś tam sztuczki czy omamy mistycznej, ale prawdziwą magię, która istniała i działała wedle własnych praw, jak wszystko to, co naprawdę istnieje. A niektóre z tych praw spisano w księdze, której się nauczył na pamięć.

Lecz na samym początku, tamtego dnia w lesie, kiedy był chłopcem i po raz pierwszy otworzył księgę, w szczególny sposób spotkał Kahlan. Księga Opisania Mroków zaczynała się słowami:

Jedynie Spowiedniczka może zweryfikować prawdziwość słów Księgi Opisania Mroków, jeżeli są wypowiedziane przez kogoś, a nie odczytywane przez tego, kto dzierży szkatuły...

Kahlan była ostatnią Spowiedniczką.

Tego dnia, kiedy ją spotkał, Richard szukał dowodów na to, kto zamordował jego ojca. Rahl Posepny zamierzał się posłużyć szkatułami Ordenu i żeby je otworzyć, potrzebował informacji zawartych w Księdze Opisania Mroków. Nie wiedział, że w owym czasie informacje te istniały już tylko w pamięci Richarda i że do ich weryfikacji będzie potrzebował Spowiedniczki - Kahlan.

Tak więc Richard i Kahlan zostali złączeni przez tajemną księgę i związane z nią wydarzenia, a stało się to w chwili, kiedy po raz pierwszy tę księgę otworzył i zobaczył osobliwe słowo „Spowiedniczka”.

Kiedy tamtego dnia spotkał w lasach Kahlan, miał wrażenie, że zna ją od zawsze. I na swój sposób tak było. Od jego chłopięcych czasów stanowiła część jego życia i myśli.

I kiedy ją tamtego dnia zobaczył stojącą na ścieżce w lasach Hartlandu, jego życie nagle się dopełniło, chociaż wtedy nie miał pojęcia, że jest ona ostatnią żyjącą Spowiedniczką. Z własnej woli postanowił jej wtedy pomóc - zanim proroctwo zdążyło się na ten temat wypowiedzieć.

Kahlan była częścią jego samego, częścią jego świata i życia - nie potrafił sobie wyobrazić, że mógłby bez niej istnieć. Musiał ją odnaleźć. Nadszedł czas wykroczenia poza problem i poszukania rozwiązania.

Poryw lodowatego wichru zmusił Richarda do zmrużenia oczu, wyrwał go ze wspomnień.

- O, tam. - Wskazał.

Cara zatrzymała się za nim i spojrzała ponad jego ramieniem w wirujący śnieg; po chwili udało się jej wypatrzeć wąską ścieżkę nad krawędzią stoku. Kiedy Richard się na nią obejrzał, skinęła głową, dając mu znak, że widzi szlak wiodący skrajem śniegowych płacht.

Śnieg zaczynał już tworzyć zasy, tarasujące i zakrywające ścieżkę. Richard chciał jak najszybciej tędy przejść, dostać się na niżej położone

obszary. Warunki coraz bardziej się pogarszały i jedynie rzeźba terenu zdradzała położenie szlaku. Gromadzący się śnieg wyznaczał go łagodnym łukiem pod wznoszącym się po lewej górskim zboczem. Leciuteńko się zapadał na samym szlaku i wybrzuszał po prawej, na nigdy nie topniejącym lodowcu.

Brnęli po kostki w białym puchu. Richard obejrzał się przez ramię.

- To najwyższy punkt. Wkrótce teren zacznie się obniżać i zrobi się cieplej.

- Chcesz powiedzieć, że znowu się dostaniemy w deszcz, zanim zdążymy zejść niżej i się rozgrzać - burknęła Cara.

Richard świetnie rozumiał jej frustrację, ale nie mógł obiecać, że będzie im lżej.

- Chyba tak - odparł.

Nagle z białych tumanów śniegu wypadło coś małego i ciemnego. I zbiło Richarda z nóg w chwili, kiedy to dostrzegł, ale nie zdążył zareagować.

ROZDZIAŁ 38

Nogi Richarda znalazły się w górze, przed oczami mignęła mu ścieżka, a potem widział już tylko biel. Na chwilę stracił poczucie kierunku. Łupnął o ziemię i potoczył się w dół stoku. Śnieg nie był miękką poduszką. Powietrze uszło mu z płuc. Turlał się w dół, ziemia migąła mu przed oczami. Świat wirował szaleńczo. Nie mógł ani kontrolować, ani powstrzymać staczania się po coraz bardziej stromym zboczu.

To wszystko stało się tak nieoczekiwanie i tak szybko, że Richard nie zdążył się przygotować na upadek. Ale nieuwaga była słabą wymówką i żadnym pocieszeniem. Przeleciał przez jakąś twardą bryłę i wylądował na piersi. Dech mu zaparło; starał się złapać oddech, zjeżdżając na brzuchu, głową w dół po stoku, ale zamiast powietrza nabrał w usta lodowatego śniegu.

Coraz szybciej zjeżdżał po stromiźnie, a w pobliżu nie było czego się uchwycić, by choć trochę wyhamować. A ślizganie się głową w dół jeszcze bardziej utrudniało jakiegokolwiek skuteczne działania. Richard rozpostarł ramiona, rozpaczliwie usiłując powstrzymać lub przynajmniej spowolnić ten szaleńczy ślizg. Z całych sił starał się wbić w śnieg stopy i dłonie, ale biały puch i skalny rumosz zsuwały się razem z nim.

Mignął mu jakiś cień. Wśród szumu wichru dosłyszał dzikie wrzaski. Coś twardego walnęło go w plecy. Głębiej wbił palce i buty w pokryty śniegiem skalny rumosz, bezskutecznie usiłując wyhamować. Dokoła piętrzyły się zasy, więc Richard widział tylko biel.

Z tumanów śniegu znów wyskoczył ciemny kształt. Znów coś walnęło chłopaka - tym razem cios był o wiele mocniejszy, w nerki; miał jeszcze przyspieszyć ślizg. Richard krzyknął z bólu. Przekręcił się na prawy bok i usłyszał charakterystyczny dźwięk Miecza Prawdy - ktoś wyszarpywał go z pochwy. Chłopak zwinął się, cały czas się zsuwając i sięgnął po miecz, który ktoś mu wrywał. Wiedział, że jeżeli złapie za ostrze, klinga z łatwością przetnie mu dłoń, więc chciał złapać za rękojeść, ale nie zdążył. Napastnik zarył piętami w ziemię i zatrzymał się, a Richard pomknął w dół. Próby pochwylenia miecza jeszcze bardziej wytrąciły Richarda z równowagi. Podskakiwał na nierównym gruncie i wreszcie zaczął koziołkować w dół.

Akurat zaczął rozpościerać ręce i nogi w połowie przewrotu, żeby skończyć choć z koziołkowaniem, kiedy łupnął plecami o ośnieżone skalne wybrzuszenie. I znów gwałtownie go to pozbawiło tchu, ale tym razem boleśniej. Siła uderzenia zaś przerzuciła go przez przeszkodę.

Z przerażeniem stwierdził, że znalazł się w powietrzu. Z całych sił wyciągnął ręce i złapał się skałki, o którą uderzył. Trzymał się jej z całej mocy, a nogami machał nad przepaścią.

Richard z szaleńczym wysiłkiem trzymał się skałki. Wisiał tak przez chwilę, chciwie chwytając powietrze i dochodząc do siebie. Przynajmniej już nie spadał. Po stromiźnie wciąż się zsuwał śnieg i kawałki rumoszu - odbijały się od skałki, której się trzymał, oraz od jego ramion i głowy.

Ostrożnie zakołysał nogami, starając się o coś zaczepić, znaleźć jakieś podparcie. Nie udało się. Chwiał się bezradnie jak żywe wahadło przytwierdzone do oblodzonej skałki.

Spojrzał przez ramię i zobaczył tumany śniegu i płynące pod nim ciemne chmury. Przez lukę w chmurach dojrzał kawałki rumoszu spadające ku widocznym daleko w dole drzewom i skałom.

Ponad Richardem stała na rozstawionych nogach mała ciemna postać o długich rękach, łysej głowie i popielatej skórze. Wyłupiaste żółte ślepia - niczym dwie latarnie błyszczące w mrokach śnieżnej burzy - patrzyły gniewnie na chłopaka. Bezkrwiste wargi odsłaniały ostre zęby. To był Samuel, kompanion Shoty.

Trzymał w garści miecz Richarda i był ogromnie z siebie zadowolony. Jego ciemnobrązowa peleryna łopotiała na wicherze niczym sztandar zwycięstwa. Cofnął się parę kroków; chciał zobaczyć, jak Richard spadnie.

Palce Richarda ześlizgiwały się. Usiłował otoczyć ramionami skałkę, żeby się wciągnąć albo przynajmniej lepiej przytrzymać. Nie udawało się. Wiedział jednak, że jeśli nie zdoła się lepiej uchwycić, Samuel jest gotów użyć miecza, żeby go zwalić w dół.

Nogi Richarda dyndały nad tysiącstopową przepaścią, on zaś ledwo mógł uwierzyć, że Samuel tak sobie z nim poradził i jeszcze zdołał zabrać mu miecz. Wpatrzył się w gnane ze śniegiem szare pasma mgły, ale nie dojrzał Cary.

- Samuelu! - wrzasnął, przekrzykując wiatr. - Oddaj miecz! Nawet jemu samemu to żądanie wydało się śmieszne.

- Mój miecz - syknął Samuel.

- A co powie na to Shota?

Bezkrwiste wargi rozciągnęły się w szerokim uśmiechu.

- Pani nie tu.

Za Samuelem pojawiła się ciemna postać, jakby jakaś zjawą zmaterializowała się z mroków. To była Cara; wydęta wiatrem ciemna peleryna nadawała jej wygląd mściwego ducha. Richard zdał sobie sprawę, że musiała iść jego śladem w śniegu. Samuel - ogłuszony wichrem i wpatrzony w Richarda - nie zauważył stojącej za nim kobiety.

A ona jednym spojrzeniem oceniła sytuację - Samuel trzymał Miecz Prawdy i stał nad wiszącym nad przepaścią chłopakiem. Richard przekonał się niegdyś, że uwagą i działaniami Samuela kierowały jego nieokiełznane emocje; robił, co mu nakazały. Samuel, zachwycony, że ma na wyciągnięcie miecza, który niegdyś nosił i który nieodmiennie chciał odzyskać, obiekt swojej zacieklej nienawiści, zbyt był pochłonięty triumfowaniem, żeby zauważyć, iż za nim pojawiła się Mord-Sith.

Cara, bez słowa, bezceremonialnie wbiła Agiel w kark Samuela, u podstawy czaszki. Było ślisko, więc nie mogła długo go tak utrzymać.

Samuel wrzasnął z bólu i nagłego przerażenia, upuścił miecz i upadł. Wił się w straszliwym bólu, nie pojmując, co się stało, i obmacywał miejsce na karku, w które Cara wbiła Agiel. Skrzeczał i rzucał się na śniegu niczym ryba na piasku. Richard wiedział, że Agiel wbity w tym miejscu wywołuje ból jak od uderzenia pioruna.

Odczytał z miny Cary, powoli pochylającej się nad miotającym się Samuelem, że zamierza go wykończyć.

Richarda raczej by nie obeszło, gdyby zabiła podstępного i zdradzieckiego kompaniona więdźmy, ale miał teraz ważniejszy problem.

- Caro! Wiszę nad przepaścią. Nie utrzymam się dłużej. Ześlizguję się.

Natychmiast chwyciła miecz leżący obok rzucającego się Samuela, żeby go nie mógł pochwycić, i pospieszyła na pomoc Richardowi. Wbiła ostrze w ziemię obok siebie, padła na śnieg, zapała się butami o skały i złapała Richarda za ramiona. W samą porę.

Z jej pomocą zdołał się mocniej uchwycić występu. Wspomagany przez Carę, objął ramieniem sterczącą skałkę. Dopiero wtedy mógł podciągnąć nogę i zaczepić ją o głazy. Cara złapała go za pas i pomogła mu się wciągnąć

w górę. Powoli, z wysiłkiem, wspiął się na skałkę. Potem opadł na ziemię, na boku, i chciwie chwycił rozrzedzone powietrze.

- Dzięki - wykrztusił z trudem.

Cara oglądała się przez ramię, pilnując Samuela. Richard zaś szybko zebrał siły i chwiejnie wstał, wyciągając z ziemi miecz.

Ledwie mógł uwierzyć, że Samuelowi tak się udało go zaskoczyć. A przecież wypatrywał go od chwili, kiedy rankiem opuścili obóz. Zdawał sobie jednak sprawę, że trudno jest uprzedzić taki atak, choć człowiek się go spodziewa - tak samo nie można było odbić każdej strzały owego ranka, kiedy zniknęła Kahlan.

Richard otarł śnieg z twarzy. Niekontrolowane koziółkowanie po stoku, nagły upadek w przepaść i wiszenie na krawędzi urwiska nie tylko nim wstrząsnęły, ale przede wszystkim go rozgniewały.

Samuel wciąż leżał na śniegu, kulił się i wił, mamrotał coś, co skutecznie zagłuszał wiatr. Kiedy zobaczył nad sobą chłopaka, wstał z trudem, ciągle jeszcze obolały. Ale i tak wypatrywał przedmiot swego pożądanego.

- Moje! Dawaj! Dawaj miecz!

Richard skierował ostrze ku paskudnemu człowieczkowi. Samuel, widząc klingę, od razu stracił odwagę i cofnął się parę kroków w górę stoku.

- Proszę - zaskomlał, wyciągając ręce i osłaniając się nimi przed gniewem Richarda. - Nie zabij!

- Co tu robisz?

- Pani przysłała.

- Shota cię przysłała, żebyś mnie zabił? - zakpił Richard. Chciał, żeby Samuel wyznał prawdę.

Samuel energicznie pokręcił głową.

- Nie, nie żeby zabić.

- Czyli to był twój pomysł. Samuel nie odpowiedział.

- Więc po co? - ponaglił go Richard. - Po co Shota cię przysłała?

Samuel łypnął na Carę - zaszła go z boku, tak że czuł się niemal okrążony. Zasyczał na nią, szczerząc zęby. Na Carze nie zrobiło to wrażenia; pokazała mu Agiel. Wytrzeszczył oczy ze strachu.

- Samuelu!!! - ryknął Richard.

Żółte ślepie znów na niego spojrzały - była w nich nienawiść.

- Po co Shota cię przysłała?

- Pani... - zaskomlał; jego gniew się rozplynął. Samuel tęsknie się zapatrzył ku kotlinie Agaden. - Pani przysłała kompaniona.

- Po co?

Samuel drgnął, kiedy Richard wrzasnął i groźnie ku niemu postąpił. Starając się z obydwójga nie spuszczać oka, wskazał długim palcem Carę.

- Pani mówić, żebyś przyprowadził śliczną panienkę.

To była niespodzianka - i to z dwóch powodów. Po pierwsze, Samuel zawsze nazywał Kahlan „śliczną panienką”. Po drugie, Richard nigdy by się nie spodziewał, że Shota zechce, by Cara szła z nim do kotliny Agaden. Trochę go to zaniepokoiło.

- Czemu chce, żeby śliczna panienka ze mną przyszła?

- Nie wiedzieć. - Bezkrwiste wargi Samuela rozciągnęły się w uśmiechu. - Może ją zabić.

Cara pomachała Agielem.

- Jeśli spróbuje, to może oberwie bardziej niż ty. Może to ja ją zabiję.

Samuel kwiknął z przerażenia, szeroko otwierając wyłupiaste ślepia.

- Nie! Nie zabić pani!

- Nie przychodzimy, żeby skrzywdzić Shotę - uspokoił go Richard. - Ale będziemy się bronić.

Samuel wbił kłykcie w ziemię, pochylił się ku Richardowi.

- Przekonać się - warknął pogardliwie - co pani z tobą zrobi, Poszukiwaczu.

Zanim Richard zdążył odpowiedzieć, Samuel nagle zniknął w tumanach śniegu. Zadziwiające, jak szybko potrafił się poruszać. Cara ruszyła za nim, ale Richard chwycił ją za ramię i zatrzymał.

- Nie mam ochoty za nim gonić. Poza tym i tak go nie złapiemy. Zna szlak, a my nie. Nie nadążymy też za nim po śladach. No i na pewno wróci do Shoty, a my i tak tam idziemy. Szkoda marnować siły, skoro i tak go w końcu spotkamy.

- Trzeba było mi pozwolić go zabić. Richard ruszył ku szlakowi.

- Zrobiłbym to, ale nie umiem latać.

- Fakt - przyznała z westchnieniem. - Nic ci nie jest? Richard kiwnął głową na znak, że nic mu nie jest; wsunął miecz do pochwy, a z nim i gniew.

- Dzięki tobie.

Cara uśmiechnęła się zadowolona.

- Stale ci powtarzam, że nie poradziłbyś sobie beze mnie. - Rozejrzała się dokoła w sinawym mroku. - A jeżeli znów spróbuje?

- Samuel to tchórz. Atakuje tylko wtedy, kiedy uzna, że ofiara jest bezbronna. O ile wiem, nie ma żadnych zalet.

- Czemu wiedźma trzyma go przy sobie?

- Nie wiem. Może jest przymilny, a ona lubi takie płaszczenie się. Może służy jej jako chłopiec na posyłki. A może tylko Samuel chce być jej kompanem. Większość ludzi panicznie się Shoty boi i omija to miejsce z daleka. Choć Kahlan mi mówiła, że wiedźmy nie mogą się powstrzymać od czarowania ludzi, takie już po prostu są. Poza tym Shota i tak jest pełna uroku i uwodzicielska, więc gdyby naprawdę chciała godnego towarzystwa, toby je miała. Skoro już przepędziliśmy Samuela, to wątpię, żeby miał odwagę na ponowny atak. Dostarczył wieść od Shoty. Przestraszyliśmy go i skrzywdziliśmy, więc pewnie pobiegnie się schronić u wiedźmy. Poza tym chyba uważa, że ona nas zabije, a to go na pewno uszczęśliwia.

Cara przez chwilę patrzyła w wirujący śnieg, a potem poszła za Richardem w górę stromego stoku.

- Jak myślisz, dlaczego Shota chciała mieć pewność, że pójde z tobą do kotliny Agaden?

Richard znalazł szlak i ruszył nim. Widział ślady Samuela, szybko ginące pod świeżym śniegiem.

- Nie wiem. Zdziwiło mnie to.

- A czemu Samuel uważa, że twój miecz należy do niego? Richard powoli wypuścił powietrze z płuc.

- Samuel nosił ten miecz przede mną. Był wtedy Poszukiwaczem, chociaż nie został nim obwołany zgodnie z prawem. Nie wiem, jak zdobył Miecz Prawdy. Zedd zjawił się w kotlinie Agaden i odebrał mu go. Samuel zaś uważa, że nadal należy on do niego.

Cara spojrzała z niedowierzaniem.

- On był ostatnim Poszukiwaczem? Richard spojrzał na nią znacząco.

- Nie miał magicznej mocy, temperamentu i charakteru, wymaganych, żeby władać mieczem i być prawdziwym Poszukiwaczem Prawdy. Nie był w stanie okiełznać mocy miecza, więc go przemieniła w to, co widziałaś.

ROZDZIAŁ 39

Richard otarł z czoła pot i mżawkę. Niewiele słonecznego światła rozjaśniało mrok panujący na moczarach, ale nawet bez prażącego słońca było tu parno i duszno. Po wędrowce w śnieżnej burzy, szalejącej w górskiej przełęczy, skwar aż tak bardzo jednak Richardowi nie przeszkadzał. Cara też się nie skarżyła, ale ona rzadko narzekała na niewygodę. Wystarczało jej, że była w pobliżu Richarda; choć wpadała w złość, ilekroć robił coś, co uważała za ryzykowne - dlatego tak ją irytowało, że się uparł iść do Shoty.

Tu i tam Richard dostrzegał w błocie i miękkiej leśnej ziemi świeże ślady Samuela. Wyczytał z nich, że kompan Shoty bardzo się spieszył pod jej ochronę i podążał szlakiem dobrym tempem. Cara też widziała ślady. Zaimponowała Richardowi, kiedy pierwsza je dostrzegła i wskazała mu je. Baczniej wypatrywała śladów od ranka zaginięcia Kahlan, kiedy to Richard pokazał jej, Nicci i Victorowi, co tropy potrafią ujawnić.

Choć ślady Samuela jasno wskazywały, że się spieszył, Richard i Cara zachowywali czujność, na wypadek gdyby w mrokach czaił się albo on, albo coś innego. W końcu moczary miały odstraszać intruzów. Richard nie wiedział, co się czaіło pod osłoną liści i w mrokach, ale Midlandczycy, w tym i czarodzieje, woleli nie zachodzić do sanktuarium Shoty bez ważnych powodów.

Już nie padało, ale od mgły i wilgoci było równie mokro jak od deszczu. Leśne sklepienie zbierało mgłę i mżawkę, a potem co jakiś czas je uwalniało wielkimi kroplami. Szerokie liście na długich wygiętych łodygach sterczących z chaszczy na dnie lasu i liany oplatające gałęzie drzew kołysały się pod grubymi kroplami i cały las nieustannie drżał w nieruchomym powietrzu.

Drzewa na moczarach były sękaty i powykręcane, jakby przytłoczone ciężarem zwieszających się z nich lian i festonów mchu, dodatkowo obciążonych wilgocią. Na korze rosły skorupiaste porosty i miejscami czarna pleśń. Richard dostrzegł w oddali siedzące na gałęziach i czuwające ptaki.

Tuż nad powierzchnią ciemnej stojącej wody, zasilanej strumykami z gór, unosiły się opary. Z brzegu ześlizgiwała się w głębinę płatanina korzeni. Coś się tam poruszało, kożuchem rzęsy wodnej kołysały powolne fale. Z

mroków po drugiej stronie wody patrzyły jakieś oczy.

W wilgotnym powietrzu rozbrzmiewała kakofonia ptasich wołań; Richard i Cara musieli się opędzać od brzęczących wokół owadów. We mgle jakieś zwierzęta posapywały i poświstywały. Gęsta roślinność i ciężkie, duszne powietrze nadawały temu miejscu jakiś niepokojący bezruch. Richard widział, jak Cara kręci nosem na wszechobecny odór zgnilizny.

Roślinność była tak bujna, że ścieżka wiodła żywym, rozrastającym się tunelem. Richard był zadowolony, że nie muszą z niej zbaczać i zapuszczać się na bagna. Aż za dobrze potrafił sobie wyobrazić, jakie kły i pazury mogły tam czekać cierpliwie na świeży posiłek.

Dotarli na skraj mrocznych moczarów i Richard przystanął w głębokim cieniu. Wyglądanie zza ciemnej płataniny gałęzi, wiszących festonów mchu i gęstych chaszczki przypominało patrzenie z pieczary na wspaniałą dzień na zewnątrz. Choć moczary zasnuwała mgła i mżawka, to tutaj słońce miejscami przebiło się przez chmury i dolinę wyłaczały snopy promieni, niczym wystawiony na pokaz klejnot.

Okalające zieloną kotlinę skalne ściany wznosiły się niemal pionowo ku ciemnym chmurom. O ile Richard wiedział, jedyna droga do siedziby Shoty wiodła przez moczary. Dno kotliny wyściełała bujna trawa, usiana kwiatami. Dęby, klony i brzozy porastały niektóre pagórki oraz niższe partie brzegów strumienia; ich liście połyskiwały w słońcu późnego popołudnia.

Richard i Cara stali w mrocznym lesie - tkwili w nocy i spoglądali na dzień. W pobliżu, za osłoną lian i zarośli, woda spadała z urwistej skały na skraju moczarów i znikwała w pionowych kolumnach mgły, lecąc ku leżącym daleko w dole jasnym stawom i strumieniom - wpadała do nich z grzmiącym hukiem, który na tej wysokości brzmiał jak cichy syk. Patrzyli na wszystko z krawędzi urwiska, stojąc we mgle zwilżającej im twarze.

Richard poprowadził Carę wąską ścieżką, odchodzącą od głównego szlaku, który się kończył tuż nad urwiskiem. Wątpliwe, czyby znalazł tę dróżkę, gdyby ostatnim razem nie zapamiętał, gdzie jej szukać. Wiodła wśród labiryntu gładów, ledwo widocznych spod jasnozielonych paproci. Liany, mech i krzewy jeszcze bardziej ją przesłaniały.

Wreszcie zaczęli schodzić. Drogę ku kotlinie tworzyły głównie stopnie, tysiące schodków wyciętych w skalnej ścianie. Wiły się, biegingy w tunelach i zawracały, cały czas wiodąc w dół, wykorzystując naturalny układ skał -

niekiedy okrężały olbrzymie skalne kolumny, potem zawracały i przechodziły pod swoim górnym poziomem.

Widok z urwiska był wspaniały. Strumienie, niosące spływającą z gór wodę, meandrowały wśród łagodnych wzgórz i były najpiękniejsze ze wszystkiego, co Richard w życiu widział. Drzewa, miejscami tworzące skupiska, gdzie indziej rosnące samotnie na szczycie wzgórz, nadawały całości spokojny i przyjazny wygląd.

Pośrodku kotliny, wśród wspaniałych, wielkich drzew, stał prześliczny, urokliwy pałac. Ku niebu wznosiły się delikatne, strzeliste iglice, koronkowe mosty spinały wieże, schody wiły się spiralą wokół wieżyczek. Barwne chorągwie i proporce zdobiły każdą z nich. Jeżeli o jakimkolwiek wspaniałym pałacu można byłoby powiedzieć, iż jest kobiecy, to z całą pewnością o tym. Był idealną siedzibą dla takiej kobiety jak Shota.

Wedle Richarda z tą doliną mogły się równać jedynie lasy jego ojczystego Hartlandu i góry na zachód od Agaden, gdzie tamtego lata zabrał Kahlan, żeby wydobrzała po ciężkim pobiciu. Widok łagodził jego sąd o Shocie, zanim ją pierwszy raz spotkał. Kiedy wówczas szedł przez moczary, uznał, że to znakomite miejsce dla wiedzy. A kiedy mu powiedziano, że jej siedzibą jest kotlina, pomyślał sobie, że osoba, która nazywa domem tak spokojne i piękne miejsce, musi mieć jakieś pozytywne cechy. Kiedy potem zobaczył wspaniałości Pałacu Ludu, siedziby Rahla Posępnego, już nie był skłonny do takich pobłażliwych sądów.

U stóp urwiska, przy wodospadzie, zaczynała się droga do wnętrza kotliny - wiła się przez trawiaste łąki, wśród niewysokich wzgórz. Zanim ruszyli, Cara spytała, czy nie mogliby się najpierw wykąpać.

Richard uznał, że to dobry pomysł, więc się zatrzymał i zdjął z ramion plecak. Przede wszystkim chciał obmyć piekące oparzenia, żeby się lepiej goiły. Był spocony i brudny i wyobrażał sobie, że pewnie wygląda jak żebrak.

Kahlan powiedziała mu kiedyś, jak ważne jest wywierane na ludziach wrażenie. Chciała, żeby nosił strój odpowiedniejszy dlań niż odzienie leśnego przewodnika. Starła mu się wtedy wytłumaczyć, że jeżeli chce, żeby ludzie mu wierzyli i szli za nim, że jeżeli chce być lordem Rahlem i władać imperium D'Hary, to powinien odpowiednio wyglądać.

W końcu wygląd świadczy o tym, co dana osoba myśli o sobie - no i o innych. Osoby przytłoczone niewiarą w siebie i nienawidzące się zdradzały

te uczucia swoją powierzchownością. Takie wizualne sygnały nie sprzyjały zdobywaniu zaufania innych, bo choć nie zawsze były do końca trafne, to jednak przeważnie odzwierciedlały osobowość takiego człowieka, czy sobie zdawał z tego sprawę czy nie.

Żaden zdrowy, szanujący się ptak nie będzie miał nastroszonych piórek. Żadna pewna siebie puma nie dopuści, żeby jej sierść była zmierzwiona i brudna. Ten, kto chce oddać hołd szlachetności człowieka, nie wyrzeźbi brudasa i niechlujka.

Richard pojmował punkt widzenia Kahlan i, prawdę mówiąc, zaczął się stosować do tych zasad, jeszcze zanim o tym wspomniała. W Wieży Czarodzieja znalazł prawie kompletny strój dawnego czarodzieja wojny. Korzystał z najważniejszych jego elementów oraz z innych, które dodał. Nie wiedział, jakie to robi wrażenie na ludziach, ale świetnie pamiętał, jak podziało na Kahlan.

Znalazł sobie miejsce do kąpieli za skałkami u stóp wodospadu, Cara też wybrała sobie ustronny zakątek. Obiecała, że to długo nie potrwa.

Woda koła, ale Richard nie chciał tracić czasu. Miał na głowie o wiele ważniejsze sprawy. Obmył się z potu i brudu, oczyścił oparzenia, a potem ubrał się w wyjęty z plecaka strój czarodzieja wojny. Pomyślał, że właśnie dziś powinien się zaprezentować Shocie jako przybywający na rozmowy wódz, a nie jako bezbronny i bezradny żebrak.

Włożył czarne spodnie i czarną koszulę bez rękawów, a na to także czarną, rozciętą po bokach tunikę, obramowaną złotą szeroką taśmą, na której wiły się rozmaite symbole. Przepasał się szerokim, wielowarstwowym skórzanym pasem, zdobnym w starożytnie srebrne znaki; po bokach zwisały dwie pozłociste sakiewki. Cholewy czarnych butów opasywały rzemienie, nabijane srebrnymi blaszkami, na których wryto te same co na pasie znaki. Przez prawe ramię przełożył starodawny, tłoczony skórzany pendent, podtrzymujący srebrno-złotą pochwę z Mieczem Prawdy.

Choć dla większości ludzi Miecz Prawdy był jedynie budzącym grozę orężem, to dla Richarda był czymś więcej. Jego dziadek, Zedd, korzystając z uprawnień Pierwszego Czarodzieja, dał mu miecz i obwołał go Poszukiwaczem. Pod wieloma względami było to równie zaszczytne jak prośba ojca, żeby się wyuczył na pamięć księgi. Dużo czasu zabrało Richardowi dokładne zrozumienie wszystkiego, co się łączy z władaniem

Mieczem Prawdy. Ten groźny oręż wiele razy ocalił mu życie. Ale nie dlatego, że wiązała się z nim potężna moc i potrafił dokonywać godnych podziwu czynów, lecz dlatego, że pomógł mu się wiele nauczyć nie tylko o nim samym, ale i o życiu. Miecz Prawdy nauczył go walki, tańca ze śmiercią, wychodzenia obronną ręką z pozornie nie mających wyjścia sytuacji. Pomagał, kiedy Richard musiał dokonać tego, co najgorsze - zabić, ale i pomógł zrozumieć, kiedy można przebaczyć.

W taki to sposób miecz pomógł mu pojąć, jakie wartości są w życiu najważniejsze. Nauczył, jak ważne i konieczne jest ich osądzanie i rozpatrywanie każdej we właściwym kontekście.

I jak wyuczenie się Księgi Opisanie Mroków uświadomiło Richardowi, że już nie jest dzieckiem, tak miecz pomógł mu pojąć, że jest częścią świata i jakie w nim zajmuje miejsce.

A także dał mu Kahlan.

I z powodu Kahlan chciał się zobaczyć z Shotą.

Richard zamknął plecak. Była tam jeszcze peleryna, utkana ze złotych nici, którą znalazł w wieży z resztą stroju czarodzieja wojny - ale nie włożył jej, bo dzień był gorący. Na koniec wsunął na nadgarstki szerokie, podbite skórą srebrne obręcze; widniały na nich szczipione niczym ogniwa pierścienie, okalające starodawne symbole. Owe obręcze służyły między innymi do budzenia ze snu sylfy.

Kiedy Cara zawołała, że już jest gotowa, Richard podniósł plecak i wyszedł zza skałek. Zobaczył wtedy, czemu się chciała tu zatrzymać. Nie tylko się pospiesznie wykąpała.

Włożyła czerwony skórzany uniform.

Richard spojrzał porozumiewawczo na krwistoczerwony uniform Mord-Sith.

- Shota pewnie pożałuje, że cię zaprosiła.

Uśmiech Cary wyraźnie mówił, że jeżeli będą jakieś kłopoty, to już ona się z nimi upora.

Kiedy ruszyli drogą, Richard powiedział:

- Nie wiem dokładnie, jaką moc ma Shota, ale coś mi się zdaje, że powinnaś dziś spróbować czegoś, do czego się nigdy wcześniej nie uciekałaś.

Cara się nachmurzyła.

- A czegoż to niby?

- Ostrożności.

ROZDZIAŁ 40

Richard i Cara znaleźli się wśród porastających szczyt wzniesienia wspaniałych buków i klonów; chłopak przyjrzał się okolicznym wzgórzom, wypatrując oznak zagrożenia. Proste, wysokie pnie rozgałęziały się coraz szerszymi, łagodnie się wznoszącymi łukami, przypominając Richardowi potężne kolumny, podtrzymujące sklepiony strop olbrzymiej, zielonej katedry, łagodny wiatr niósł woń kwiatów. Poprzez baldachim szeleszczących liści kusząco przebłyskiwały strzeliste iglice pałacu Shoty.

Snopy słonecznych promieni przenikały wśród listowia i hasały w niskiej trawie. Z pęknięcia w płaskim głazie biło bulgoczące źródółko; woda spływała po gładkich bokach głazu i tworzyła płytki, wijący się strumyk. Sterczały w nim kamienie, pokryte kosmatym zielonym mchem.

Na skałce przy strumyku siedziała kobieta z gęstą grzywą blond włosów, ubrana w długą czarną suknię; podpierała się smukłym ramieniem i przebierała palcami w przejrzystej wodzie. Powietrze wokół niej jaśniało.

Choć siedziała tyłem, wyglądała aż nadto znajomo.

Cara pochyliła się ku Richardowi i spytała:

- Czy to Nicci?

- Chciałbym, żeby tak było, ale to nie ona.

- Na pewno? Richard potaknął.

- Shota już wcześniej coś takiego zrobiła. Kiedy ją po raz pierwszy zobaczyłem, dokładnie w tym samym miejscu, wyglądała jak moja zmarła matka.

Cara obejrzała się na niego.

- Dość okrutne oszustwo.

- Powiedziała, że to był dar, przysługa, że tylko chciała na krótko tchnąć życie w umiłowane wspomnienie.

Cara prychnęła z powątpiewaniem.

- Po co by miała budzić w tobie wspomnienia o Nicci? Richard przyjrzał się Carze, ale nie odpowiedział. Kiedy w końcu podeszli do skałki, kobieta z wdziękiem wstała i obróciła się ku Richardowi. Znajome błękitne oczy napotkały jego wzrok.

- Richardzie - powiedziała. Jej głos był tak samo aksamitny jak głos Nicci.

Dekolt sznurowanego stanika sukni wydał się Richardowi jeszcze głębszy, niż zapamiętał.

- Tak się cieszę, że cię znów widzę. - Oparła ręce na jego ramionach, splótła palce na karku chłopaka; powietrze wokół niej migotało, co lekko rozmywało kontury postaci i nadawało jej nierealny wygląd. - Ogromnie się cieszę - dodała z czułością.

Sama Nicci nie mogłaby być bardziej do siebie podobna. Złudzenie było tak przekonujące, że Cara stała z rozdziawioną buzią. Richard niemal poczuł ulgę, że znów widzi Nicci.

Niemal.

- Przyszedłem z tobą porozmawiać, Shoto.

- Rozmowa jest dla kochanków - powiedziała i wstydlivy uśmiech rozjaśnił piękną twarz.

Wsunęła palce we włosy Richarda, uśmiech stał się czuły i tkliwy. Oczy, również uśmiechnięte, zdradzały, jak jest zachwycona jego widokiem. Jeszcze nigdy nie widział jej tak ucieszonej, zadowolonej i spokojnej: jej, to znaczy Nicci. Wiedźma tak bardzo przypominała Nicci, że Richard z trudem przekonywał sam siebie, że to Shota. W końcu zachowywała się bardziej jak Shota niż jak Nicci. Nicci nigdy by nie była taka bezczelna. Czyli to musiała być Shota.

Łagodnie przyciągnęła go do siebie. Richard nie znalazł powodu, żeby stawić opór. Nic mu nie przyszło na myśl. Nie mógł odwrócić wzroku od jej urzekających oczu. Tak przyjemnie było patrzeć na uroczą twarz Nicci.

- I przyjmuję propozycję, skoro pochodzi od ciebie, Richardzie. Znalazła się tak blisko, że czuł na twarzy słodkie tchnienie jej słów. Zamknęła oczy. Miękkie wargi dotknęły jego ust w niespiesznym, rozkosznym pocałunku, którego nie odwzajemnił. Ale i nie odepchnął jej.

Mocniej go przytuliła, nie przerywając pocałunku, co splątało mu myśli i kompletnie go sparaliżowało. Bo to uścisk, a nie sam pocałunek, obudził w nim straszliwą tęsknotę za wiernym wsparciem, oddaniem i czułą akceptacją. Obezwładniła go sama obietnica dawno nie zaznanej pociechy.

Czuł każdy cał, każdą wypukłość i zagłębienie gibkiego, przyciśniętego doń ciała. Wiedział, że stara się myśleć o czymś innym niż ten pocałunek, ten uścisk i to ciało - lecz nie mógł sobie przypomnieć, co to było. Prawdę mówiąc, z bardzo wielkim trudem w ogóle się zmuszał do myślenia.

To przez ten pocałunek. To on sprawiał, że Richard zapomniał, kim jest, po co się tutaj zjawiał - choć, o dziwo, wcale nie obiecywał miłości czy nawet pożądania. Nie wiedział, co ów pocałunek oznaczał. Właściwie raczej uzależniał i obezwładniał.

Z całą pewnością był zupełnie inny niż pocałunek Nicci w stajni w Altur'Rang, tuż przed jego odejściem. W tamtym również były niezwykle, ofiarowane przez magię, rozkosz i ukojenie.

Za tamtym pocałunkiem była prawdziwa Nicci. Ten zaś był przytłaczający, jak niekiedy bywa olbrzymi ciężar, ale nie było w nim nic... zmysłowego. Jednak i tak oplątywał Richarda powściągliwymi próbami i milczącymi obietnicami.

- Nicci, Shoto, czy kim tam jesteś - warknęła przez zaciśnięte zęby wsparta pięściami pod boki Cara - a cóż ty wyczyniasz?

Cofnęła się nieco, leciutko odwróciła głowę i - przytulona policzkiem do policzka Richarda - z zaciekawieniem spojrzała na Carę. Smukłe palce błędziły we włosach chłopaka. Richardowi kręciło się w głowie.

Cara odsunęła się trochę, kiedy Shota-w-skorze-Nicci czule dotknęła jej podbródka.

- Tylko to, czego sama chciałaś.

Cara zrobiła kolejny krok w tył, żeby jej twarz znalazła się poza zasięgiem pocieszającej dłoni.

- Co takiego?

- Przecież tego właśnie chcesz, nieprawdaż? A myślałam, że się ucieszysz z pomocy w realizacji twojego wspaniałego planu.

Cara znowu wsparła się pięściami pod boki.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- I po co się tak złościysz? - Uśmiech stał się teraz przebiegły. - To nie mój pomysł. Ale twój. Twój plan, sama go wymyśliłaś. Ja ci tylko pomagam go zrealizować.

- Na jakiej podstawie myślisz... - Carze zabrakło słów. Błękitne oczy, tak podobne do oczu Nicci, spojrzały na Richarda. Z uśmiechem przypatrywała się jego twarzy.

- Ta młoda kobieta jest taką dobrą przyjaciółką i lojalną strażniczką. Czy twoja kochana przyjaciółka i lojalna strażniczka powiedziała ci, Richardzie, co dla ciebie zaplanowała? - Dotknęła jego nosa. - Cóż to za plany. Obmyśliła

i urządziła ci resztę życia. Naprawdę powinieneś ją czasem zapytać, co dla ciebie knuje.

Cara nagle zrozumiała i zrobiła się purpurowa.

Richard złapał Shotę za ramiona, odsunął od siebie; ręka wiedźmy zsunęła się z jego barku. Z wysiłkiem starał się nad sobą zapanować.

- Jak powiedziałaś, Cara jest moją przyjaciółką. Nie obawiam się tego, czego może dla mnie chcieć. Bo to jest moje życie i bez względu na to, czego pragną dla mnie przyjaciele i najbliżsi, to ja decyduję, co zrobię i jakie ono będzie. Ludzie mogą sobie planować i żywić nadzieje, związane z tymi, na których im zależy, ale w końcu każdy musi sam wziąć odpowiedzialność za własne życie i sam dokonać wyboru.

Odstłoniła zęby w szerokim uśmiechu.

- Jakżeś rozkosznie naiwny, skoro coś takiego przychodzi ci do głowy. - Znów przecesała mu włosy palcami. - Szczerze bym radziła, żebyś ją wypytał, co knuje w twoich sercowych sprawach.

Richard popatrzył na Carę. Była bliska i panicznej ucieczki, i wybuchu wściekłości. Ale twardo się trzymała; milczała. Richard nie wiedział, o czym Shota mówi, lecz pojmował, że to ani czas, ani miejsce, żeby się tego dowiedzieć. Nie mógł pozwolić, żeby wiedźma go odwiodła od celu. Zauważył również, jak zbiegały knykcie zaciśniętych wokół Agiela palców Cary.

- Dosyć tych zagadek, Shoto. Pragnienia i zamiary Cary to moja sprawa, a nie twoja.

Nicci smutno się uśmiechnęła.

- Tak ci się zdaje, Richardzie. Tak ci się zdaje. Otaczające ją zamglone powietrze załśniło i Nicci już nie była sobą, tylko Shotą. Już nie była fantomem, ale realną osobą. Włosy - równie gęste - już nie blond, lecz kasztanowe i faliste. Czarna suknia zmieniła się w powiewną szatę we wszystkich odcieniach szarości, także mocno wydekoltowaną. Była równie piękna jak otaczająca ją kotlina.

Shota znów spojrzała na Carę i jej twarz groźnie stężała.

- Skrzywdziłaś Samuela.

- Przepraszam. - Cara wzruszyła ramionami. - Nie chciałam mu zrobić nic złego.

Shota uniosła brew ponad groźnie patrzącym okiem, jakby dawała znak,

że ani trochę w to nie wierzy.

- Chciałam go zabić - dodała Cara.

Gniew Shoty stopniał. Olśniewająco się uśmiechnęła, a potem szczerze, choć krótko, roześmiała. Spojrzała z ukosa na Richarda, ciągle się uśmiechając.

- Podoba mi się. Możesz ją sobie zatrzymać.

Richard przypomniał sobie, że kiedyś Cara powiedziała mu to samo o Kahlan.

- Mówiłem ci, Shoto, że muszę z tobą porozmawiać. Błyszczące, przejrzyste migdałowe oczy spojrzały na niego z zachwytem.

- Przyszedłeś oznajmić, że chcesz być moim kochankiem? Richard zauważył, że zza drzew przygląda im się Samuel; żółtawe ślepią pały nienawiścią.

- Wiesz, że nie.

- Ach. - Znów się uśmiechała. - A więc chcesz powiedzieć, że przyszedłeś, bo czegoś ode mnie chcesz. - Chwyciła jedną połą powiewnej szaty. - Czyż nie tak, Richardzie?

Musiał się napomnieć, by nie patrzeć w jej wiecznie młode oczy. Ale tak mu było trudno odwrócić od nich spojrzenie. Zupełnie jakby Shota kontrolowała, na co on patrzy, a on miał kłopoty z patrzeniem tam, gdzie powinien.

Kahlan powiedziała kiedyś, że Shota go czarowała. Mówiła też, że robi to bezwiednie, bo więdźmy juź takie są. Czarują zupełnie odruchowo.

Kahlan.

Myśl o niej go zelektryzowała.

- Kahlan zaginęła.

Shota leciuteńko zmarszczyła czoło.

- Kto?

Richard westchnął.

- Dzieje się coś strasznego. Kahlan, moja żona...

- Żona! A kiedy się ożeniłeś?

Rozzłościła się. Po jej minie i po tym, jak ciężki oddech unosił jej piersi, Richard poznał, że więdźma nie udaje zdumienia. Naprawdę nie pamiętała Kahlan.

Przeczesał palcami włosy, zebrał myśli i zaczął od nowa.

- Parę razy widziałaś Kahlan, Shoto. Całkiem dobrze ją znasz. Coś zatarło u wszystkich pamięć o niej. Nie pamięta jej nikt, nawet ty i...

- Z wyjątkiem ciebie? - spytała z niedowierzaniem. - Ty jeden ją pamiętasz?

- To długa historia.

- Ale nie znaczy, że prawdziwa.

- Jest prawdziwa - upierał się Richard. - Byłaś na naszym ślubie.

Skrzyżowała ramiona na piersiach.

- Nie sądzę.

- Gdy się pierwszy raz tu zjawiłem, porwałaś Kahlan i okryłaś ją wężami...

- Wężami. - Uśmiechnęła się Shota. - Twierdzisz, że lubiłam tę kobietę, i sugerujesz, że traktowałam ją z pobłażaniem.

- Niezupełnie. Chciałaś, żeby umarła.

Uśmiech stał się szerszy. Znów oparła mu rękę na ramionach.

- Ależ Richardzie, przecież to okropnie niemiłe, nieprawdaż? Richard ujął ją w pasie i łagodnie odsunął. Wiedział, że jeżeli jej nie powstrzyma, to znów mu pomiesza myśli.

- Z całą pewnością - odparł. - No i nie chciałaś, żebyśmy się pobrali.

Shota przesunęła po jego piersi pomalowanym na czerwono paznokciem. Spojrzała nań spod oka.

- Może miałam po temu swoje powody.

- Taak; nie chciałaś, żebyśmy mieli dziecko. Powiedziałaś, że spółdzilibyśmy potwora, bo po mnie odziedziczyłoby dar, a po Kahlan byłoby Spowiednikiem.

- Spowiedniczka! - Shota się cofnęła, jakby nagle stał się odpychający. - Spowiedniczka? Czyś ty oszalał?

- Shoto...

- Spowiedniczek już nie ma. Wszystkie nie żyją.

- Wcale nie. Wszystkie oprócz Kahlan. Spojrzała na Carę.

- Miał może gorączkę?

- Hmm... został trafiony strzałą. Prawie umarł. Nicci go uzdrowiła, ale przez wiele dni był nieprzytomny.

Shota uniosła palec, jakby odkryła coś podejrzanego.

- Posłużyła się magią subtraktywną.

- Tak - odpowiedział zamiast Cary Richard. - I dlatego zdołała mi ocalić

życie.

Postąpiła krok ku niemu.

- Użyła magii subtraktywnej... - mruknęła do siebie; znów spojrzała na Richarda. - Po co to zrobiła?

- Żeby usunąć strzałę z grotem z zadziorami.

- Musiała coś więcej uczynić. - Gestem dała mu znak, by mówił dalej.

- Użyła magli subtraktywnej, żeby usunąć mi z piersi krew, która się tam nagromadziła. Mówiła, że w inny sposób nie można się było pozbyć ani strzały, ani krwi i że umarłbym, gdyby to tak zostawiła.

Shota odwróciła się od nich, wsparła się jedną ręką pod bok i odeszła parę kroków, rozmyślając nad tym, co usłyszała.

- To bardzo wiele wyjaśnia - wyszeptała ze smutkiem.

- Dałaś Kahlan naszyjnik - odezwał się Richard. Spojrzała nań chmurnie przez ramię.

- Naszyjnik? Jakież naszyjnik mogłabym jej dać? I czemuż, drogi chłopcze, wyobrażasz sobie, że zrobiłabym coś takiego dla twojej... kochanki?

- Żony - poprawił ją Richard. - Spędziłyście razem jakiś czas i doszłyście do porozumienia. Podarowałaś Kahlan naszyjnik, żebyśmy mogli... być razem. Co prawda nie zgadzam się z twoją wizją przyszłości, wojny i w ogóle, ale postanowiliśmy przyjąć twój podarunek i rozejm, który oznaczał.

- Nie mam pojęcia, skąd ci mogło przyjść do głowy, że zrobiłabym choć jedno z tego, o czym mówisz. - Shota znowu popatrzyła na Carę. - Czy zranieniu towarzyszyła silna gorączka?

Richard mógłby uznać, że Shota sobie drwi, lecz jej mina wskazywała, że pyta poważnie.

- To nie była wysoka gorączka - odparła z wahaniem Cara. - Nicci jednak mówiła, że po części wynika to z tego, jak bliski był śmierci, ale że główną przyczyną jest to, iż tak długo był nieprzytomny. - Miała opory przed wyjawieniem tego osobie, którą uważała za potencjalne zagrożenie, ale wreszcie dokończyła: - Powiedziała, że cierpiał na delirium.

Shota skrzyżowała ramiona i ciężko westchnęła; przyjrzała się Richardowi migdałowymi oczami.

- I co ja mam z tobą zrobić - szepnęła właściwie do siebie.

- Kiedy tu ostatnio byłem - odezwał się Richard - oznajmiłaś mi, że mnie zabijesz, jeżeli jeszcze kiedyś wrócę do kotliny Agaden.

Nie zrobiło to na niej wrażenia.

- Doprawdy? I czemuż to miałabym coś takiego powiedzieć?

- Bo byłaś na mnie zła za to, że nie chciałem zabić Kahlan i nie pozwoliłem, żebyś ty to zrobiła. - Kiwnął głową ku górskiej przełęczy. - Sądziłem, że chcesz dotrzymać słowa i wysłałaś Samuela, żeby spełnił twoją groźbę.

Shota spojrzała na kryjącego się za drzewami kompana. Wyraźnie się zaniepokoiła.

- O czym ty mówisz? - spytała, marszcząc brwi i znów patrząc na Richarda.

- Chcesz powiedzieć, że o niczym nie wiedziałaś?

- O czym?

Richard spojrzał przelotnie na wpatrzone w niego gniewne żółtawe ślepie.

- Samuel się zaczął na przełęczy i wyskoczył na mnie z tumanów śniegu. Wyrwał mi miecz i byłby mnie zrzucił z urwiska, bo podciął mi nogi. Ledwo się zdołałem ucześcić krawędzi. Gdyby nie Cara, toby użył miecza, żeby mnie zepchnąć w dół. Omal mnie nie zabił. Nie udało mu się, choć chciał tego i próbował.

Gniewne spojrzenie Shoty spoczęło na przycupniętej wśród drzew ciemnej postaci.

- Czy to prawda?

Samuel nie wytrzymał jej badawczego spojrzenia. Opuścił ku ziemi załzawione z żalu nad samym sobą ślepie. To wystarczyło za odpowiedź.

- Później o tym porozmawiamy - przyobiegała Shota cichym głosem, który przyprowadził Richarda o gęsią skórkę.

- Zapewniam cię, że nie miałam takiego zamiaru i nie nakazałam tego - wyjaśniła po chwili. - Powiedziałam jedynie Samuelowi, żeby zaprosił twoją wierną strażniczkę.

- Wiesz co, Shoto? Już mam dość tych zamachów Samuela na moje życie i twoich późniejszych tłumaczeń, że mu tego wcale nie nakazywałaś. Raz można byłoby w to uwierzyć, ale to się już za często powtarza. I to twoje szczere zdumienie po każdym takim wypadku zaczyna mi się wydawać udawane. Uznałaś takie wypieranie się za bardzo wygodne i w kółko to stosujesz.

- To nieprawda, Richardzie - odparła spokojnie Shota; opuściła ramiona i splotła dłonie, patrzyła w ziemię. - Nosisz jego miecz. A to Samuela irytuje. Nie oddał miecza z własnej woli, zabrano mu go, a to oznacza, że wciąż do niego należy.

Richard już miał zaoponować, ale sobie przypomniał, że nie przyszedł tu po to, żeby się spierać o miecz. Shota podniosła na niego oczy. Gniewne.

- I jak śmiesz mi się skarżyć na to, co Samuel robi bez mojej wiedzy, jeżeli świadomie sprowadzasz do mojej siedziby śmiertelne zagrożenie?

Richard osłupiał.

- O czym ty mówisz?

- Nie udawaj głupiego, Richardzie, to ci nie przystoi. Ściga cię coś ogromnie niebezpiecznego. Tylu ludzi już zginęło, bo na swoje nieszczęście znajdowali się w pobliżu ciebie, kiedy bestia się po ciebie zjawiła. A jeżeli postanowi przyjąć tutaj, żeby cię zabić? Zjawiasz się bez mojego pozwolenia i niefrasobliwie narażasz moje życie tylko dlatego, że akurat czegoś ode mnie chcesz? Uważasz, że z powodu twoich zachcianek można mnie narażać? Że jeśli twoim zdaniem mam coś, czego potrzebujesz, to wolno ci ryzykować moje życie?

- Jasne, że nie. - Richard przełknął ślinę. - Nigdy tak nie myślałem.

Shota wyrzuciła ręce w górę.

- Ach tak, czyli mam być wystawiona na niebezpieczeństwo, bo nie myślisz.

- Potrzebuję twojej pomocy.

- Chcesz powiedzieć, że się zjawiłeś niczym bezradny żebrak, błagając o pomoc, nie dbając, na jakie niebezpieczeństwo mnie to Wystawia, bo zwyczajnie czegoś chcesz.

Richard potarł palcami czoło.

- Słuchaj, nie wiem wszystkiego, ale zapewniam cię, że mam po-Wody wierzyć, iż mam słusność, że Kahlan istnieje i że zniknęła.

- Jak już powiedziałam, chcesz czegoś i nic cię nie obchodzi, że innym może coś grozić.

Richard postąpił ku niej.

- To nieprawda. Nie rozumiesz? Nie pamiętasz Kahlan. Nikt prócz mnie jej nie pamięta. Pomyśl, Shoto; pomyśl, co to oznacza, jeżeli mam rację.

Shota patrzyła nań ze zdumieniem; zmarszczyła czoło.

- O czym ty mówisz?

- Jeżeli mam rację, to dzieje się coś bardzo złego, co sprawia, że wszyscy o niej zapomnieli. Została wymazana również z twojej pamięci. Lecz to jeszcze poważniejsza sprawa. Nie tylko Kahlan zniknęła z pamięci wszystkich. Zatarło się również to, co kiedykolwiek ty lub ktoś inny wspólnie z nią robiliście. Część owych brakujących fragmentów może być zupełnie błaha, za to inne mogą mieć zasadnicze znaczenie. Nie pamiętasz, że zapowiedziałaś, iż mnie zabijesz, jeśli kiedykolwiek tu wrócę. A to znaczy, że w twojej pamięci ta groźba musiała się jakoś łączyć z Kahlan. To z jej powodu mi groziłaś. A skoro nie pamiętasz Kahlan, to sobie nie przypominasz, że to powiedziałaś. A co, jeżeli zapomniałaś również i o czymś ogromnie ważnym? Zapominając Kahlan, utraciłaś część tego, czego dokonałaś we własnym życiu, zapomniałaś o podjętych decyzjach. Ile wiążących cię z Kahlan spraw zupełnie zniknęło z twojej pamięci? Jak ważne są owe brakujące elementy? Jaka część twojego życia została zmieniona, bo sobie nie przypominasz, jak pod jej wpływem zmieniałaś swój sposób myślenia? Czyż nie pojmujesz wagi tego problemu, Shoto? Czyż nie widzisz, jaki to ma wpływ na życie innych? Jeżeli wszyscy zapomnieli, jak Kahlan odmieniła ich życie, to zniknie korzystny wpływ, jaki wywarła na ich sposób myślenia.

Richard chodził tam i z powrotem; jedną rękę wsparł na biodrze, drugą gestykułował.

- Pomyśl o kimś, kogo znasz. - Spojrzał jej w oczy. - Pomyśl o swojej matce. I spróbuj sobie wyobrazić, co byś straciła, gdyby ci zabrano każde o niej wspomnienie, pamięć o tym, czego cię nauczyła, o wszystkich twoich decyzjach, na które miała wpływ, tak bezpośrednio, jak i pośrednio. A teraz sobie wyobraź, że każdy zapomina kogoś tak dlań ważnego jak matka dla ciebie; kogoś, kto odgrywa kluczową rolę w ważkich dla nich wydarzeniach. Pomyśl przez chwilę, jak zmieniłoby się twoje życie i twój sposób myślenia, gdybyś zapomniła, że istnieję, i nie pamiętała o naszych wspólnych czynach, o tym, co robiłaś z mojego powodu. Czy zaczynasz dostrzegać, jakie to ma znaczenie? Dałaś Kahlan w prezencie ślubnym ów naszyjnik, żeby nie mogła zająć w ciążę. Był to nie tylko podarek, ale i znak rozejmu. Pokój pomiędzy tobą i mną, pomiędzy tobą i Kahlan. Jakież inne, mające związek z Kahlan, rozejmy, sojusze i przysięgi są teraz zapomniane, podobnie jak ten naszyjnik? Ile ważnych misji zostanie zarzuconych? Nie rozumiesz? To może

wywołać chaos na świecie. Nie mam pojęcia o wszystkich możliwych skutkach wydarzenia o takim zakresie, lecz przeczuwam, że mogłoby odmienić przebieg walki o wolność. Mogłoby zapoczątkować erę Imperialnego Ładu. A nawet kres samego życia.

- Kres życia? - zdumiała się Shota.

- Coś tak ważkiego nie zdarza się przypadkiem. To nie jest nieszczęśliwy wypadek ani przypadkowy błąd. Musi być jakaś konkretna przyczyna; a wszystko, co mogłoby spowodować wydarzenie o takim zasięgu i wadze, jest obarczone złowieszczymi implikacjami.

Shota przyglądała mu się przez jakiś czas z nieodgadnioną miną. Wzięła w palce luźny koniec jednej z szarf cieniutkiej, tworzącej jej szatę materii i odwróciła się, rozmyślając nad tym, co usłyszała. Na koniec znów spojrzała na Richarda.

- A jeżeli tylko cierpisz na urojenia? To najprostsze z wyjaśnień, a więc zapewne prawdziwe.

- Choć najprostsze wyjaśnienie jest najczęściej prawdziwe, to wcale nie oznacza, że tak jest zawsze.

- To nie jest takie proste, jak mówisz, Richardzie. To coś ogromnie skomplikowanego. Trudno mi sobie wyobrazić całą złożoność i wszystkie skutki takiego zdarzenia. Tak wiele spraw straciłoby swoje rozwiązanie i towarzyszyłoby temu tak wielkie zamieszanie, że każdy by się wkrótce zorientował, iż dzieje się coś bardzo złego, choćby i nie wiedział co. A tak się nie dzieje.

Shota zrobiła zamaszysty gest.

- A jaką szkodę wyrządzisz światu ty sam, miotając się szaleńczo w poszukiwaniu nie istniejącej kobiety? Za pierwszym razem przyszedłeś do mnie po pomoc w powstrzymaniu Rahla Poępnego. Pomogłam ci w tym i zarazem pomogłam ci zostać lordem Rahlem. Szaleje wojna, imperium D'Hary desperacko walczy, a ciebie tam nie ma; nie ma cię tam, gdzie powinieneś być jako lord Rahl. Dla swoich urojeń i bezrozumnych działań zrezygnowałeś z władzy. Miejsce, które powinieneś zajmować, jest puste. Pozbawiłeś należnej pomocy tych, co walczą o sprawę, za którą się opowiadałeś.

- Wierzę, że mam rację - powiedział Richard. - A jeśli tak, to wszystkim zagraża poważne niebezpieczeństwo, którego wyłącznie ja jestem

świadomy. Czyli nikt oprócz mnie nie zdoła go zwalczyć. Wyłącznie ja się przeciwstawiam jakiejś nieznaney, lecz nieuchronnie nadciągającej katastrofie. Nie mogę z czystym sumieniem ignorować tego, co uważam za realne, ukryte zagrożenie, potworniejsze, niż się komukolwiek zdaje.

- To wygodna wymówka, Richardzie.

- To nie wymówka.

Shota drwiąco potaknęła.

- A jeżeli w tym czasie upadnie nowo ustanowione imperium D'Hary? Jeżeli barbarzyńcy z Imperialnego Ładu podniosą swoje okrwawione miecze nad ciałami tych dzielnych ludzi, którzy zginą, broniąc wolności, kiedy ich przywódca goni za urojeniami? Czy owi ludzie będą mniej martwi, ponieważ ty jeden dostrzeżasz jakieś zagadkowe zagrożenie? Czy świat będzie wtedy gotów radośnie poszybować w długie mroczne wieki, kiedy to miliony będą się rodzić do nędznego życia w jarzmie, w głodzie i cierpieniu? Czy gonienie za powstałymi w twoim umyśle urojeniami pozwala ci zaakceptować pogrzebanie swobody? Czy słusznie z takim uporem trwasz przy swoich mrzonkach, skoro wszystko świadczy przeciwko nim?

Richard nie miał na to odpowiedzi. A nawet bał się podejmować próbę dyskusji. Shota tak to ujęła, że wszelkie jego słowa brzmiałyby nieszczerze i samolubnie. Był przekonany, że ma poważne powody, by się trzymać swoich przekonań, lecz wiedział również, że dla innych byłyby one zupełnie nieprzekonujące, więc uznał, że lepiej zmilczeć.

Poza tym gdzieś w głębi czaił się okropny cień strachu, że Shota mogłaby mieć rację, że to tylko jakieś zrodzone w jego umyśle urojenie, niemające nic wspólnego z innymi ludźmi.

Skąd pewność, że on ma rację, a wszyscy inni się mylą? Jakżeż sam jeden mógłby mieć słuszność? Jakże taka rzecz mogłaby w ogóle być możliwa? Jaki miał dowód, poza swoimi wspomnieniami? Nie mógł się podeprzeć niczym konkretnym, na nic konkretnego wskazać.

Przeraziła go owa rysa na niezłomnym przeświadczeniu. Jeżeli pęknięcie się poszerzy, jeżeli to nieugięte przeświadczenie się załamie - to wędrze się weń całe brzemie świata i zmiążdży go. Nie zniesie ciężaru rzeczywistości, jeżeli Kahlan nie będzie istnieć.

Jedynie jego słowo chroniło ją od nieistnienia.

Nie mógłby bez niej żyć. Nie chciałby żyć w świecie, w którym by nie

istniała. Była dla niego wszystkim. Aż do tej chwili odsuwał na bok osobiste, intymne, czułe wspomnienia o niej i zajmował się szczegółami, żeby kolejny dzień móc wytrzymać ból wywołany jej brakiem; kolejny dzień wypełniony próbami odnalezienia jej. Teraz zaś owo bolesne cierpienie rozdzierało mu serce, powalało na kolana.

Bolesnej tęsknocie towarzyszyło poczucie winy. W nim była jedyna nadzieja Kahlan. On jeden chronił wspomnienie o niej przed mrokiem, który chciał zatrzeć wszelki ślad po niej. On jeden trudił się, żeby ją odnaleźć i sprowadzić z powrotem. Ale jeszcze nie dokonał niczego, co by go do tego celu zbliżyło. Dni mijały, a on nie uzyskał niczego, co by go choć trochę do niej zbliżyło.

A sprawę jeszcze pogarszało to, iż Richard wiedział, że Shota w jednej ważnej sprawie ma rację. Kiedy się tak trudił nad odszukaniem Kahlan, to zawodził we wszelkich innych sprawach. To on, przede wszystkim on, sprawił, że ludzie uwierzyli w możliwość ustanowienia wolnej D'Hary, miejsca, gdzie wszyscy będą mogli swobodnie żyć i realizować własne cele.

No i świetnie sobie zdawał sprawę, że to głównie on był odpowiedzialny za zniknięcie wielkiej bariery, co pozwoliło imperatorowi Jagangowi poprowadzić Imperialny Ład do Nowego Świata i zagrozić jego świeżo odkrytej wolności.

Ilu ludzi znajdzie się w niebezpieczeństwie lub umrze, w czasie gdy on szuka tej, którą kocha? Czego by oczekiwała od niego Kahlan? Wiedział, jak bardzo się troszczyła o mieszkańców Midlandów, którymi niegdyś władała. Chciałaby, żeby o niej zapomniał i próbował ich ocalić. Powiedziałyby, że stawka jest za wysoka, żeby rzucił wszystko i gonił za nią.

Ale gdyby to on zaginął, toby go dla niczego ani dla nikogo nie opuściła.

Bez względu na to, co Kahlan by powiedziała, dla niego ważne było jej życie, bo stanowiło dlań cały świat.

Zastanawiał się, czy - o ile Shota miała rację - istotnie nie wykorzystuje jako wymówki założenia, że zniknięcie Kahlan jest zagrożeniem dla reszty świata.

Uznał, że na razie najlepiej będzie - dopóki nie znajdzie lepszego sposobu na uzyskanie potrzebnej mu pomocy oraz żeby zapewnić sobie czas na to, by zebrać się na odwagę i utwierdzić w postanowieniu - zmienić temat.

- No a co z tym „czymś”? - spytał Richard. - Z tą bestią, która mnie ściga? - Gniew zniknął z jego głosu; uświadomił sobie, jak bardzo go wyczerpała wędrówka przez przełęcz, nie mówiąc już o dniach szaleńczej jazdy ze Starego Świata. - Czy możesz mi coś o niej powiedzieć?

Teraz czuł się pewniej, bo bestia mogła przeszkodzić nie tylko w poszukiwaniach Kahlan, ale i w wypełnieniu zadania, do którego nakłaniała go Shota.

Przyglądała mu się przez chwilę; odpowiedziała równie spokojnym głosem, jakby nie zauważyła, że zawarli milczący rozejm.

- Bestia, która cię ściga, nie jest już taka, jaka była na początku. Wydarzenia sprawiły, że się przemieniła.

- Przemieniła? - spytała zaniepokojona Cara. - Co masz na myśli? Czym się stała?

Shota spojrzała na obydwój, jakby się upewniała, że bacznie słuchają.

- Stała się bestią krwi.

ROZDZIAŁ 41

Bestią krwi? - spytał Richard. Cara stanęła tuż obok niego.

- A cóż to takiego ta bestia krwi?

Shota odetchnęła, a potem zaczęła wyjaśniać.

- To już nie jest bestia związana z zaświatami, taka jak w chwili, kiedy ją stworzono. Przypadkowo pozwolono jej posmakować I twojej krwi, Richardzie. Co gorsza, stało się to za pośrednictwem magii subtraktywnej, również powiązanej z zaświatami. I to ją zmieniło w bestię krwi, związaną z tobą poprzez krew.

- I... co to oznacza? - spytała Cara.

Shota pochyliła się ku nim i zniżyła głos do szeptu.

- To oznacza, że jest teraz o wiele niebezpieczniejsza. - Wyprostowała się, upewniwszy się najpierw, że wywarła na nich odpowiednie wrażenie. - Nie jestem znawczynią starożytnego oręża tworzonego podczas wielkiej wojny, lecz uważam, że kiedy bestia taka jak ta raz posmakuje krwi swojego „celu”, to już nic jej nie powstrzyma.

- Czyli nie zrezygnuje. - Richard położył dłoń na rękojeści miecza. - Czy możesz mi doradzić, jak ją zabić? A przynajmniej powstrzymać lub odesłać w zaświaty. Skąd ona wie...

- Nie, nie. - Shota zbyła to machnięciem ręki. - Myślisz o niej jak o jakimś zwykłym zagrożeniu. Starasz się przypisać jej określoną naturę i zachowanie. Lecz w jej wypadku niczego takiego nie ma. I to jest właśnie dla niej charakterystyczne: nie można jej przypisać żadnych konkretnych cech, a przynajmniej takich, które by można jakoś wykorzystać. Dlatego jest nieprzewidywalna.

- To bez sensu. - Richard skrzyżował ramiona; zastanawiał I się, czy Shota rzeczywiście wie wszystko o prawdziwej naturze bestii. - Coś musi nią kierować. Musi mieć jakieś metody postępowania. Gdybyśmy je znali, moglibyśmy próbować przewidywać, co może zrobić. Po prostu musimy to rozgryźć. To niemożliwe, że nie ma żadnego usposobienia, żadnych charakterystycznych cech.

- Nie rozumiesz, Richardzie? Od samego początku usiłujesz ją zrozumieć. Nie sądzisz, że Jagang by wiedział, że będziesz się starał ją pojąć,

by mocją potem pokonać? Czyż nie tak postępowałaś w przeszłości? Poznał twój charakter i dlatego stworzył żywy oręż, nie mający żadnych szczególnych cech; bo w ten sposób chciał ci się przeciwstawić. Jesteś Poszukiwaczem. Szukasz cech charakteryzujących ludzi, rzeczy, sytuacje. W mniejszym lub większym stopniu postępują tak wszyscy ludzie. Gdyby bestia krwi miała jakieś szczególne cechy, to można byłoby zrozumieć jej działanie. A jeśli można by ją było na tyle zrozumieć, żeby przewidywać jej czyny, to można by podjąć środki ostrożności, przeciwstawić się jej. Rozpoznanie jej charakteru umożliwiłoby skuteczne przeciwdziałanie. I dlatego ów stwór nie ma żadnej natury: żebyś go nie mógł powstrzymać.

Richard przeczesał włosy palcami.

- To zupełnie bezsensowne.

- Bo i nie miało być sensowne. Brak charakterystycznych cech jest jej właściwością, a brak logiki ma udaremnić twoje wysiłki zrozumienia jej.

- Zgadza się z lordem Rahlem - odezwała się Cara. - Musi mieć jakieś cechy, jakiś sposób działania i reagowania. Nawet ludzie, którzy sądzą, że są na tyle przebiegli, że zdołają ukryć swoje motywy i metody, nieświadomie postępują wedle jakichś schematów. Ta bestia nie może przecież ot, tak biegać sobie w nadziei, że wreszcie zaskoczy lorda Rahla.

- Tę bestię umyślnie stworzono jako istotę chaosu, żeby nie można było jej zrozumieć i powstrzymać. Wyczarowano ją, żeby cię zaatakowała i zabiła, lecz ma osiągnąć swój cel właśnie poprzez chaotyczne działania - Shota, mówiąc to, przesuwała w palcach kolejną luźną szarfę swojej szaty. - Dziś atakuje pazurami. Jutro zatruje jadem. Następnym razem spali cię ogniem lub powali silnym ciosem, albo też wbije w ciebie kły. Atakuje na chybił trafił. Nie kieruje się wcześniejszymi doświadczeniami, nie planuje, a nawet nie wykorzystuje sprzyjającej sytuacji.

Richard ścisnął palcami grzbiet nosa i dumiał nad wyjaśnieniami Shoty. Jak dotąd wszystko wskazywało na to, że wiedźma ma słuszność i że ataki nie mają żadnego schematu. Zupełnie się od siebie różniły - i to do tego stopnia, że mieli wątpliwości, czy to ta sama bestia, przed którą ostrzegała Nicci.

- Ale lord Rahl już się przecież kilka razy jej wymknął. Udowodnił, że można ją pokonać.

Shota się uśmiechnęła, jakby słuchała chępliwego dziecka. Odeszła parę

kroków w zadumie, potem ku nim wróciła. Po jej minie Richard poznał, że wymyśliła lepsze wyjaśnienie.

- Wyobraź sobie, że bestia krwi to deszcz. Że chcesz się schronić przed deszczem, jak chciałbyś uniknąć schwymania przez bestię. Że chcesz pozostać suchy. Dziś możesz być w domu, kiedy zacznie padać, więc nie zmokniesz. Innego dnia może padać po drugiej stronie kotliny i znów nie zmokniesz. A innym razem opuścisz ową okolicę przed deszczem. Potem z kolei zrezygnujesz z podróży i deszcz cię nie zaskoczy. Jeszcze innego dnia, kiedy będziesz szedł drogą, deszcz spadnie na pole po prawej, droga i pole po lewej pozostaną zaś suche. Za każdym razem deszcz cię ominął i nie zmokłeś; czasami dlatego, że się przed nim uchroniłeś, a czasem przez czysty przypadek. Ale zdajesz sobie sprawę, że prędzej czy później deszcz cię zmoczy. Czyli możesz uznać, że na dłuższą metę lepiej dokładnie zrozumieć, z czym masz do czynienia. I żeby lepiej poznać swojego przeciwnika, zaczynasz obserwować niebo, żeby się nauczyć przewidywać deszcz. Pewne oznaki okazują się dość wiarygodne, więc zaczynasz się nimi kierować i czasami przewidujesz nadciągający deszcz. Będziesz więc mógł zostać w domu, kiedy zacznie padać, i nie zmokniesz. Czyli z sukcesem zastosujesz to, czego się nauczyłeś o przewidywaniu deszczu.

Przenikliwe, wiecznie młode oczy Shoty spojrzały na Carę, a potem na Richarda z taką mocą, że niemal przestał oddychać.

- Lecz prędzej czy później - powiedziała takim głosem, że chłopaka przeszył dreszcz - deszcz cię dopadnie. Może cię zupełnie zaskoczyć. Albo możesz przewidywać, że nadciąga, lecz uznasz, że się zdążysz przed nim schować, a tymczasem zacznie padać wcześniej, niż się spodziewałeś. Albo spadnie znienacka w taki dzień, kiedy się zapędzisz daleko od schronienia, bo uznasz, że nic na deszcz nie wskazuje. Wszystkie te odmienne wydarzenia będą miały ten sam skutek. A jeżeli to będzie bestia, a nie deszcz, to nie zmokniesz, lecz zginiesz. Wiara w to, że potrafisz przewidzieć deszcz, doprowadzi do twojej zguby, bo choć możesz to zrobić prawidłowo w wielu przypadkach, to nie znaczy, że będzie tak zawsze. Im częściej zaś unikniesz deszczu, tym bardziej się utwierdzisz w fałszywej pewności siebie, przez co staniesz się bardziej podatny na niespodzianki. Wszystkie twoje wysiłki poznania natury deszczu spełzną na niczym, bo nawet jeśli ci się uda kilka razy go przewidzieć, to i tak w końcu deszcz spadnie i zmoczy cię wtedy,

kiedy się go zupełnie nie będziesz spodziewał.

Richard spojrział na zatroskaną minę Cary, ale nic nie powiedział.

- Bestia krwi właśnie taka jest - rzekła stanowczo Shota. - Nie ma żadnych charakterystycznych cech, żebyś nie mógł przewidzieć jej postępowania ani wykryć schematów jej działania.

Richard głęboko odetchnął, żeby się uspokoić. Nie mógł dłużej milczeć.

- Ale przecież wszystko, co istnieje, ma jakąś naturę, żyje wedle jakichś praw, chociaż byśmy ich nie pojmowali; z tego, co mówisz, wynika zaś, że mogłyby być w sprzeczności same z sobą, a przecież nie mogą. To, że czegoś nie rozumiesz, nie oznacza wcale, że możesz to sobie dowolnie tłumaczyć. Nie możesz twierdzić, że to czy tamto nie ma swojej natury, tylko dlatego, że jej nie znasz. Możesz jedynie powiedzieć, że jeszcze nie poznałeś natury tego czegoś.

Shota, leciutko się uśmiechając, wskazała ku niebu.

- Tak jak w wypadku deszczu? W teorii możesz mieć rację, Richardzie, lecz niektóre sprawy tak dalece wykraczają poza nasze zrozumienie, iż wydaje się nam, że są zupełnie przypadkowe: jak właśnie deszcz. Pogodą mogą oczywiście kierować odpowiednie prawa, lecz są one tak skomplikowane i mają taki zakres, że raczej nigdy ich do końca nie poznamy i nie pojmiemy. Z bestią krwi jest podobnie. Jeżeli istotnie, jak wierzysz, działa wedle jakichś praw, to dla ciebie nie ma to znaczenia. Mogę ci tylko powiedzieć, na podstawie tego co wiem, że umyślnie stworzono ją tak, żeby działała chaotycznie, i że ów zamysł tak się powiódł, że bestia postępuje tak, jakby nie miała żadnych konkretnych cech; a przynajmniej takich, które by ją pomogły zrozumieć i powstrzymać. Przyznaję, że możesz mieć słuszność, iż za pozornie bezładnym postępowaniem bestii kryje się jakaś złożona natura; lecz powiadam, że nawet jeśli tak jest, to wykracza to poza nasze zdolności pojmowania - dla nas bestia działa bezładnie.

- Nie wiem, czy dobrze cię zrozumiałem - powiedział Richard. - Daj mi jakiś przykład.

- Na przykład bestia nie wyciąga nauk ze swego postępowania. Może trzy razy z rzędu zastosować ten sam nieskuteczny sposób, lub kolejnym razem wybrać jeszcze gorszy, który jej na pewno nie da przewagi. Jej działania wydają się zupełnie przypadkowe, jeżeli jednak coś nimi mimo wszystko kieruje, nie widać tego po nich; dla nas są one zupełnie chaotyczne. Co

więcej, nie ma ona świadomości, przynajmniej w naszym rozumieniu. Nie ma duszy. Ma swój cel, lecz nie dba o to, czy zdoła go zrealizować. Nie złości się, kiedy przegrywa. Jest pozbawiona litości, empatii, ciekawości, zapału i troski. Dostała zadanie zabić Richarda Rahla i na chybił trafił wykorzystuje swoje niezliczone umiejętności, żeby ów cel zrealizować, lecz nie jest w to zaangażowana ani emocjonalnie, ani rozumowo. Żywe istoty są zainteresowane powodzeniem swoich działań, czy to będzie ptak lecący ku krzaczkowi jagód, czy wąż ścigający mysz aż do jej norki.

Chcą zaspokoić swoje życiowe potrzeby. Bestia krwi taka nie jest. To bezrozumny stwór, dążący do zrealizowania zadania, które mu zlecono. Można by rzec, iż jest jak deszcz, któremu nakazano, żeby zmoczył Richarda. Deszcz próbuje i próbuje: ulewa, mżawka, przelotny deszczyk; i wszystko na nic. Deszczu nie obchodzi, że mu się nie udało cię przemoczyć. Może się zamienić w suszę. Nie złości się, nie Niecierpliwi. Nie podwaja wysiłków. Po prostu pada sobie na różne sposoby, dopóki cię w końcu nie przemoczy. Nie cieszy się, kiedy mu się to wreszcie uda. Bestia jest bezrozumna w takim właśnie sensie; lecz wiedz, że jest bezwzględna, groźna i bezdusznie okrutna.

Richard ze znużeniem przesunął dłonią po twarzy.

- Dla mnie to dalej nie ma sensu, Shoto. Jakżeż może taka być? Skoro jest bestią, coś musi nią kierować.

- O tak, coś nią kieruje: potrzeba uśmiercenia ciebie. Stworzono ją, by działała na chybił trafił, żebyś nie zdołał jej powstrzymać. Okazałeś się tak trudnym do pokonania przeciwnikiem, że Jagang musiał się uciec do czegoś, co nie tyle przewyższy twoje znakomite umiejętności, ile je „ominie”.

- Lecz jeżeli stworzono ją, żeby mnie zabiła, to ma przecież jakiś cel.

Shota wzruszyła ramionami.

- To prawda, lecz ten jeden znany fakt nie pomoże ci przewidzieć, jak, kiedy i gdzie spróbuje cię zabić. Jak się już przekonałeś, na oślep dąży do wykonania swojego zadania. Powinieneś w tym dostrzec olbrzymie niebezpieczeństwo. Jeżeli wiesz, że wróg użyje dzid, to zabierasz tarczę. Jeśli wiesz, że dybie na ciebie asasyn z łukiem, to całej armii nakazesz odszukanie człowieka z łukiem. Jeżeli wiesz, że czai się na ciebie wilk, to zastawisz pułapkę lub zostaniesz w domu. Bestia krwi nie ma ulubionych metod zabijania czy tropienia, a więc bardzo trudno jest się przed nią bronić.

Jednego dnia może zaatakować i spokojnie zabić tysiąc strzegących cię żołnierzy, następnym razem zaś może się wstydliwie wycofać, pokieraszowawszy najpierw drepczące przed tobą dziecko. To, co zrobi za pierwszym razem, w żaden sposób nie wskazuje na to, co uczyni za drugim. I to również przyczynia się do paniki: boisz się jeszcze bardziej, bo nie wiesz, kiedy zaatakuje. Jest groźna właśnie dlatego, że nie odznacza się niczym szczególnym. Nie jest ani silna, ani słaba, ani szybka, ani powolna. Nieustannie się zmienia, lecz niekiedy może pozostać taka sama, a nawet powrócić do poprzedniego stanu, chociażby i nieudanego. Po jej wyczarowaniu konieczne było tylko jedno: musiałeś się posłużyć swoją mocą. Wtedy się do ciebie dostroiła. Teraz już nigdy nie będziesz wiedział, co robi następnym razem albo kiedy to robi. Wiesz tylko jedno: że cię ściga i nie spocznie, choćbyś wiele razy się jej wymknął; czasem parę razy w ciągu jednego dnia, czasem po miesiącu czy roku, ale znów na ciebie ruszy. Nigdy nie zrezygnuje.

Richard był ciekaw, ile z tego Shota na pewno wiedziała, a czego się tylko domyślała lub sobie wyobrażała.

- Przecież jesteś wiedźmą - odezwała się Cara. - Na pewno możesz mu powiedzieć coś, co pomoże nam poradzić sobie z bestią.

- Potrafię zobaczyć, jak wydarzenia płyną w rzece czasu, dokąd zmierzają. Skoro zachowania bestii krwi nie można przewidzieć, to nie potrafię niczego więcej o niej powiedzieć. Moje umiejętności w pewien sposób wiążą się z Prorokowaniem. Richard jest kimś, kto również istnieje niezależnie od prorocstwa; kimś, kogo inni często uważają za irytująco nieprzewidywalnego. Nie mogę mu powiedzieć, czego się może po bestii spodziewać, a czego powinien unikać.

- Czyli księgi prorocstw na nic by się nie przydały? - zapytał Richard.

- Prorocstwa są równie ślepe na bestię jak i ja. Prorocstwo nie dostrzeże bestii krwi, podobnie jak każdego innego chaotycznego, przypadkowego wydarzenia. Prorocstwo może zapowiedzieć, że ktoś zginie od strzały rankiem deszczowego dnia, lecz nie wymieni wszystkich deszczowych dni ani nie wskaże, w którym z owych dni strzała wyprzedzi deszcz. Można by rzec, że większość prorocstw zapowie, iż prędzej czy później będzie padać i że przemokniesz.

Richard, z lewą ręką na rękojeści miecza, niechętnie potaknął.

- Muszę przyznać, że i ja podobnie myślę o prorocत्वach: przepowiedzą, iż jutro też wszędzie słońce, ale zmilczą o tym, czym ty się zajmiesz.

Spojrzał chmurnie na wiedźmę.

- Czyli nic więcej mi nie powiesz o tej bestii krwi, bo twoje umiejętności to obserwowanie rzeki czasu? - A kiedy przytaknęła, zapytał: - To skąd tyle o niej wiesz?

- Potrafię nie tylko widzieć płynące w rzece czasu wydarzenia - odparła enigmatycznie.

Richard westchnął, ale nie miał ochoty się z nią sprzeczać.

- I tyle tylko możesz mi powiedzieć. Shota potakująco skinęła głową.

- Tylko tyle mogę ci powiedzieć o bestii krwi i o tym, co cię czeka. Jeżeli dalej będzie istnieć, to wcześniej czy później cię dopadnie. Lecz nawet tego nie można z całą pewnością zapowiedzieć, bo bestia jest nieprzewidywalna. Nie ma sposobu, by się dowiedzieć, kiedy, gdzie lub jak szybko cię dopadnie. Może się to zdarzyć dzisiaj, a równie dobrze możesz umrzeć ze starości, zanim cię znajdzie i zabije.

- Czyli istnieje i taka możliwość - mruknął Richard.

- Ale nie pokładaj w tym zbyt wielkich nadziei - rzekła współczująco. - Bestia krwi będzie cię ścigać, póki żyjesz, dopóki twoje serce pompuje krew.

- Czyżbyś podpowiadała, że odnajduje mnie dzięki mojej krwi? Podobnie jak sercowy pies odnajduje ludzi, bo słyszy bicie ich serca?

Shota gestem zaprzeczyła.

- Tylko w pewnym sensie. W pewnym sensie posmakowała twojej krwi. Lecz nie idzie tu o krew w potocznym znaczeniu tego słowa. Bestia wyczuła we krwi twoje dziedzictwo. Już wiedziała, że istniejesz. Już cię ściagała. Pierwsze posłuszenie się darem związało ją z tobą na wieczność. Wyczuła dar, który odziedziczyłeś, i to ją odmieniło.

Richard miał tyle pytań, że nie wiedział, które zadać najpierw. Zaczął więc od tego, co mu się wydało najłatwiejsze.

- Czemu jest związana z zaświatami? Czy istnieje jakaś tego przyczyna?

- O kilku wiem. Zaświaty są wieczne. A w wieczności czas nie istnieje. I dlatego dla bestii czas nic nie znaczy. Nie będzie nią kierować nagłą potrzebą uśmiercenia cię. Pośpiech kazałby jej działać ze świadomym zamiarem, a to by jej nadało jakąś osobowość. Ani jeden z kończących się dni nie zdopinguje bestii do szybszego działania. Wszystkie dni są takie same. I

są niezliczone. A skoro nie ma poczucia czasu, to nie potrzebuje żadnej osobowości. Czas nadaje nowy wymiar wszystkiemu, co żyje. Pozwala ci odłożyć uciążliwe obowiązki, które możesz wykonać później. Każe ci się spieszyć z rozbiciem obozu, zanim się na dobre ściemni. Sprawia, że generał rozmieszcza siły obronne, zanim nadejdzie wróg. Że kobieta pragnie mieć dziecko, póki jeszcze jest zdolna je począć. Jednak czas to element kształtujący naturę wszystkiego. Nawet ćma, która po wyjściu z kokonu poczwarki żyje tylko jeden dzień, musi owego dnia znaleźć partnera i złożyć jajeczka, bo inaczej jej gatunek wyginie. Czas nie ma wpływu na bestię. Jej elementem składowym jest wiecznotrwałość zaświatów, stojąca w sprzeczności z samym pojęciem stworzenia, ponieważ zaświaty są jego odwrotnością. To połączenie, ta wewnętrzna sprzeczność, stanowi część mechanizmu kierującego jej działaniem i sprawiającego, że jest ono bezładne. Kiedy Nicci magią subtraktywną usunęła skutki krwotoku, bestia dzięki swym zaświatowym korzeniom poznała twój smak, a właściwie rozpoznała twoją magię. W twojej krwi jest zarówno magia subtraktywna, jak i addytywna. Bestię stworzono tak, żeby potrafiła cię rozpoznać poprzez twoją kwintesencję, magię, co jej pozwoli wykroczyć poza typowe ograniczenia tego świata. Żeby bestia mogła się z tobą zestroić i dzięki tej więzi cię ścigać, musiałeś użyć magii. Lecz od kiedy poznała smak twojej krwi, potrafi cię rozpoznać w zupełnie odmienny sposób. Posmakowała bowiem obecnej w twojej krwi jedynej w swoim rodzaju magii, odziedziczonej tak po Zeddzie, jak i Rahlu Posępnym. I to sprawiło, że nie jest już tą samą bestią, jaką stworzyli sługusi Jaganga. Wyczuwa teraz nie tyle twoją krew, ile zawarte w niej oba magiczne elementy. I dlatego, gdy tylko posłużysz się magią, w dowolnym miejscu na świecie, przywabisz ją. Magiczny dar każdej osoby jest jedyny w swoim rodzaju, ponieważ jednak bestia poznała twój dar, dlatego nie powinieneś z niego korzystać. Z tego właśnie powodu Siostry, które stworzyły bestię na rozkaz Jaganga, bardzo chętnie posłużyłyby się twoją krwią, lecz nie były w stanie zdobyć ani kropelki. Mogły więc jedynie związać bestię z twoim darem. Bez twojej krwi była to jednak bardzo słaba więź, bo nie wykorzystano do jej stworzenia całej mocy twojej magii.

Nicci dała bestii to, czego ta naprawdę potrzebowała, i to w chwili, kiedy przebudziło ją pierwsze użycie przez ciebie twojego daru. Mogła to była

uczynić, nie widząc innego sposobu uratowania ci życia, lecz nie zmienia to faktu, iż to zrobiła. Teraz każde następne użycie magii łatwiej przywabi do ciebie bestię. Można by rzec, że Nicci w pewnym sensie wypełniła swój obowiązek Siostry Mroku.

Richardowi zjeżyły się włosy na karku. Rozpaczliwie pragnął znaleźć jakiś dowód na to, że Shota się myli, wykryć jakiś słaby punkt bestii, którą Shota opisała.

- Ale przecież tamtego ranka w obozie bestia zaatakowała, chociaż wcale nie posługiwałem się magią.

Shota rzuciła mu jedno z tych spojrzeń, które sprawiały, że czuł się beznadziejnie tępy.

- Korzystałeś z magii tego ranka.

- Wcale nie - upierał się. - Przecież spałem. Jakżeż mógłbym...

Zamilkł. Popatrzył na dalekie wzgórza kotliny i wznoszące się za nimi góry. Przypomniawszy sobie, jak się obudził, wspominając ów okropny ranek, kiedy zniknęła Kahlan, i jak się zorientował, że zaciska dłoń na rękojeści miecza do połowy wyciągniętego z pochwy. Przypomniawszy sobie, jak wrzał w nim jego magiczny gniew.

- Ale to była magia miecza - powiedział wreszcie. - Trzymałem go. To nie była moja magia.

- To była twoja magia - stanowczo stwierdziła Shota. - Dobycie Miecza Prawdy przywołuje jego moc, która się zespała z twoim darem, twoją magią, a tę z kolei rozpoznaje bestia krwi. Magia miecza jest teraz częścią ciebie. Korzystanie z niej może przywabić bestię.

Richard miał wrażenie, że wszystko to go przytłacza, że nie ma wyboru, nie jest w stanie powstrzymać tego, co mu zagraża. Już wcześniej miał takie uczucie - kiedy się obudził i stwierdził, że się znalazł w zaciskającej się sieci.

- Ale miecz mi pomoże pokonać bestię. Nie umiem się posługiwać moim darem. Mogę liczyć wyłącznie na miecz.

- Bardzo możliwe, że w niektórych wypadkach miecz może cię ocalić. Lecz ponieważ bestia krwi nie ma żadnego konkretnego usposobienia i po części należy do zaświatów, to może się i tak zdarzyć, że miecz cię nie ochroni, mimo że będziesz się spodziewać jego wsparcia. Przekonanie, że będziesz wiedzieć, kiedy magia miecza okaże się skuteczna wobec bestii, da ci jedynie fałszywą pewność siebie. Musisz się więc wystrzegać nie tylko

przesadnego polegania na mieczu, ale i uważać, żeby niechący nie przywabił bestii. Ona nieustannie cię tropi i może w każdej chwili zaatakować, każde zaś użycie przez ciebie daru zwiększa prawdopodobieństwo takiego ataku. Magia wabi bestię.

Richard uświadomił sobie, że tak mocno zaciska dłoń na rękojeści miecza, że wypukłe litery słowa PRAWDA wbijają mu się w jej wnętrze. Czuł też, jak magia miecza usiłuje w niego wniknąć, żeby go chronić przed zagrożeniem. Cofnął dłoń z rękojeści, jakby go parzyła. Zastanawiał się, czy magia miecza zbudziła jego dar, czy właśnie przywabił nieświadomie bestię.

Shota splotła dłonie.

- Jest coś jeszcze.

Richard bacznie spojrział na wiedźmę.

- No to wspaniale. A cóż to takiego?

- To nie ja stworzyłam tę bestię, Richardzie. Nie jestem odpowiedzialna za to, że ci zagraża. - Odwróciła wzrok. - Jeżeli chcesz mnie znienawidzić za to, że mówię prawdę, i wolisz, żebym zamilkła, po prostu mi to powiedz, a umilknę.

Richard wykonał przeproszający gest.

- Ależ nie. Przepraszam. Wiem, że to nie twoja wina. Po prostu trochę mnie to wszystko przytłoczyło. Mów, proszę, dalej.

- Jeżeli się posłużysz magią, jakkolwiek, bestia to wyczuje. Ponieważ działa chaotycznie, wcale nie musi od razu na ciebie uderzyć. W tym konkretnym wypadku może nie zareagować. Lecz już następnym razem może zaatakować. Więc niech cię nie zwiedzie to, że się nie pojawiła.

- Już mi to mówiłaś.

- Owszem, ale jak dotąd nie do końca pojmujesz znaczenie tego, co mówię. Musisz zrozumieć, że każde posłużenie się magią pozwoli bestii poczuć twoją krew, że tak to ujmę.

- I to też mi już mówiłaś.

- To oznacza każde posłużenie się twoim darem. - Patrzył na nią bez zrozumienia, więc Niecierpliwie postukała go palcem w czoło. - Myśl.

A kiedy nadal nie pojmował, dodała:

- To dotyczy i prorocтва.

- Prorocтва? Co masz na myśli?

- Prorokują czarodzieje, mający odpowiedni dar. Zwykli ludzie, czytający

proroctwa, widzą tylko słowa. Nawet Siostry Światła, uważające się za strażniczki proroctw, nie dostrzegają ich prawdziwej formy. Jesteś czarodziejem wojny. A to oznacza, że twój dar obejmuje wiele utajonych zdolności. Między innymi i taką, że potrafisz właściwie wykorzystać proroctwa, w pełni je zrozumieć. Teraz rozumiesz? Pojmujesz, jak łatwo możesz się nieświadomie posłużyć darem? I nie ma znaczenia, w jaki sposób go wykorzystasz; nie ma znaczenia, czy użyjesz miecza, uzdrowisz kogoś lub przywołasz błyskawicę, to i tak przywabi bestię. Dla bestii krwi każde posłużenie się przez ciebie darem ma jednakie znaczenie: rozpoznaje cię po tym. Dla bestii dar to dar.

Richard nie mógł w to uwierzyć.

- Chcesz powiedzieć, że jeżeli kogoś uzdrowię za pomocą mojego daru lub dobędę miecza, przywabię bestię?

- Tak. I to raz-dwa, wskażesz jej bowiem, gdzie się dokładnie znajdujesz. Bestia jest tworem subtraktywnym, więc jedynie po części funkcjonuje na tym świecie; a to z kolei oznacza, że choć nie istnieją dla niej odległość czy jakiegokolwiek przeszkody, to jednak nie może całkiem swobodnie działać w tym świecie. Nie potrafi w pełni pojąć jego praw, czasu. Za to się nie męczy, nie ogarnia jej lenistwo, gniew ani zapał. Lecz wcale nie chcę powiedzieć, że bestia zareaguje, gdy tylko posłużysz się swoim darem. Jak już wspominałam, jej działań nie można przewidzieć, więc magia nie może służyć do ich prognozowania. Po prostu użycie magii ułatwia bestii odnalezienie cię, lecz nie wiadomo, czy wykorzysta tę okazję czy nie.

- No to wspaniale - mruknął Richard i znów zaczął chodzić tam i z powrotem.

- Jak mógłby ją zabić? - spytała Cara.

- Bestia nie jest żywa - odparła Shota. - Nie możesz zabić bestii krwi, tak samo jak nie możesz uśmiercić głazu, który ma cię przywalić, czy deszczu, który ma cię przemoczyć.

Cara była równie sfrustrowana jak Richard.

- Ale musi być coś, czego się boi.

- Tylko żywe istoty się boją.

- No to może czegoś nie lubi. Shota zmarszczyła brwi.

- Nie lubi?

- No wiesz: woda, ogień, światło. Coś, czego nie lubi, i dlatego unika.

- Dzisiaj może unikać wody. Jutro zaś mogłaby wypełznąć z mokradła, złapać go za nogę, wciągnąć pod wodę i utopić. Ten świat stanowi dla niej obcą scenerię, z czego jednak niewiele sobie robi.

- Skąd można się było dowiedzieć, jak stworzyć taką bestię? - zapytał Richard.

- Wydaje mi się, że podstawowe wiadomości Jagang znalazł w starożytnych księgach o rozmaitych typach oręża, wykorzystywanego w wielkiej wojnie. Z zapalem studiuje wszystko, co dotyczy dawnej sztuki wojennej; zbiera takie wiadomości, skąd tylko może. Podejrzewam jednak, że do znalezionej „przepisu” dodał detale, które mają mu umożliwić pokonanie cię. A potem nakazał mającym dar Siostron uformowanie tego monstrum. Korzystały z magii subtraktywnej i skradzionej czarodziejom mocy, więc mogły użyć innych mających dar jako budulca bestii; wydierały im dusze, zostawiając wyłącznie to, co było im potrzebne do wyczarowania bestii. To oręż przewyższający wszystko, z czym się do tej pory zetknęliśmy. Jagang doprowadził do stworzenia owej bestii. Należy go powstrzymać, zanim zdąży stworzyć coś równie potwornego.

- Muszę się z tym zgodzić - mruknął Richard.

- Nie powstrzymasz go, póki się będziesz uganiać za fantomami - powiedziała Shota.

Richard przestał chodzić i wpatrzył się w nią.

- A może byś mi, Shoto, powiedziała też coś, co by mi pomogło?

- To ty przyszedłeś zadawać mi pytania. Ja cię nie szukałam. A poza tym już ci pomogłam. Powiedziałam ci to, co wiem. Może przeżyjesz kolejny dzień, jeżeli wykorzystasz informacje, które teraz posiadasz.

Richard dość już usłyszał. Bestia krwi nie miała żadnej natury - ale to zarazem było jej naturą, czyli jego zdaniem jednak jakąś miała. Mogło istotnie być tak, jak twierdziła Shota: że nie da się przewidzieć, co bestia następnym razem zrobi, ale brak zrozumienia czy wiedzy nie stanowi braku natury. Ale o to nie warto się sprzeczać. Pomyślał, że choć teraz nie ma to znaczenia, wcześniej czy później może się stać ważnym rozróżnieniem. Słowa Shoty w dużym stopniu potwierdziły to, co już wiedział od Nicci. Choć wiedźma dodała nie znane Nicci szczegóły, nie zasugerowała jednak żadnego rozwiązania.

A właściwie to dołożyła wszelkich starań, żeby wszystko przedstawić w

jak najczarniejszych barwach.

Mało brakowało, żeby Richard znów położył dłoń na rękojeści miecza. Ale nie zrobił tego, tylko przeczesał włosy palcami. Był w kropce. Odwrócił się i zapatrzył na rozsiane po kotlinie drzewa, których liście lśniły w słońcu późnego popołudnia.

- Czyli w żaden sposób nie mogę się ochronić przed bestią krwi.

- Tego nie powiedziałam.

Odwrócił się ku niej.

- Co takiego? Chcesz powiedzieć, że jest jakiś sposób? Shota spokojnie patrzyła mu w oczy.

- Sądzę, że jest jeden sposób ocalenia ci życia.

- Jaki?

Złączyła dłonie, splótła palce. Przez chwilę patrzyła w ziemię, a potem - jakby się namyśliła - z determinacją znów spojrzała mu w oczy.

- Mogłbyś tutaj zostać.

Zobaczył, jak Samuel podrywa się na nogi. Spojrzał w wyczekujące oczy Shoty.

- Jak to?

Shota wzruszyła ramionami, jakby to była ot, taka sobie propozycja.

- Zostań tutaj, a ja cię ochronię. Cara zeszywniała, opuściła ramiona.

- A mogłabyś?

- Tak sądzę.

- To chodź z nami - zaproponowała Cara. - To by rozwiązało problem.

Richardowi wcale się pomysł Cary nie spodobał.

- Nie mogę - odrzekła Shota. - Mogłabym go chronić, gdyby został w tej kotlinie, w moim domu.

- Nie mogę zostać. - Starał się, żeby to swobodnie zabrzmiało. Shota delikatnie ujęła ramię Richarda, nie pozwalając tak lekko zbyć całej sprawy.

- Możesz, Richardzie. Czy zostanie ze mną byłoby takie złe?

- Nie to chciałem powiedzieć...

- Więc zostań tutaj.

- Na jak długo?

Odrobinę mocniej zacisnęła palce, jakby się bała to powiedzieć, bała się jego reakcji - lecz jednocześnie uparcie dążyła do celu.

- Na zawsze.

Richard przełknął ślinę. Miał uczucie, że nie wiedząc kiedy znalazł się na cienkim lodzie i teraz czeka go długi powrót w bezpieczne miejsce. Wiedział, że niewłaściwa odpowiedź go pogrąży. Przeszył go dreszcz, bo nagle zrobiło się ogromnie niebezpiecznie.

Chybaby wolał stawić czoło bestii niż badawczemu spojrzeniu Shoty.

Rozpostarł ramiona, jakby prosząc o zrozumienie.

- Jak mogę tu zostać, Shoto? Wiesz, że ludzie na mnie liczą, potrzebują mnie. Sama to mówiłaś.

- Nie jesteś ich niewolnikiem, spętanym ich potrzebami. To twoje życie, Richardzie. Zostań i żyj.

Cara, nagle podejrzliwa, stuknęła się kciukiem w pierś.

- A co ze mną?

Shota, nie odrywając wzroku od Richarda, odrzekła:

- Jedna kobieta zupełnie tu wystarczy.

Cara wodziła oczami po wpatrzonych w siebie Shocie i Richardzie, a potem postąpiła zgodnie z jego wcześniejszą radą: stała się ostrożna i nic nie powiedziała.

- Zostań - szepnęła żarliwie Shota.

Jej spojrzenie, twarz, wyrażały nieskrywaną czułość i tęsknotę; jeszcze nigdy się tak przed Richardem nie odsłoniła.

Kątem oka widział łypiącego nań wściekle Samuela. Skinął ku niemu głową.

- A co z nim?

Nie uchyliła się od odpowiedzi - wyglądało na to, że spodziewała się tego pytania.

- Jeden Poszukiwacz też zupełnie tu wystarczy.

- Shoto...

- Zostaniesz, Richardzie? - przerwała mu, zanim odmówił, zanim przekroczył granicę, o której istnieniu nie miał pojęcia.

To była propozycja i zarazem ultimatum.

- A co z bestią krwi? Sama mówiłaś, że nie znasz jej natury. Skąd wiesz, że bylibyśmy bezpieczni, gdybym tu został? Kiedy zaatakowała po raz pierwszy, zginęło wielu znajdujących się w pobliżu mnie ludzi.

Shota dumnie uniosła głowę.

- Znam siebie, swoje możliwości i ograniczenia. Wierzę, że tutaj, w tej

kotlinie, zapewnię ci bezpieczeństwo. Nie mogę być tego do końca pewna, lecz szczerze wierzę, iż tak właśnie jest. Wiem, że jeśli stąd odejdiesz, nie będziesz miał żadnej ochrony. To twoja jedyna szansa.

Wiedział, że ostatnie zdanie ma nie tylko jedno znaczenie.

- Zostań, Richardzie... Proszę cię. Zostaniesz ze mną?

- Na zawsze?

Łzy napłynęły jej do oczu.

- Tak, na zawsze. Błagam. Zostaniesz? Zawsze będę się o ciebie troszczyć. Postaram się, żebyś nigdy nie pożałował, żebyś nigdy nie zatęsknił za resztą świata. Zostaniesz?

To już nie była wiedźma Shota. To była kobieta, desperacko odsłaniająca przed nim swoje uczucia, czego nigdy wcześniej nie zrobiła; ofiarowująca mu serce; stawiająca wszystko na jedną kartę. Po raz pierwszy pojął, jak bardzo jest samotna. Dobrze wiedział, jaka to udręka, bo i on doświadczał takiego poczucia osamotnienia.

Richard przełknął ślinę i wszedł na ów cienki lód.

- Chyba nigdy nic miłszego od ciebie nie usłyszałem, Shoto. Świadomość, że szanujesz mnie na tyle, by mi coś takiego zaofiarować, znaczy dla mnie więcej, niż przypuszczasz. I ja darzę cię większym szacunkiem, niż sądzisz; dlatego ty jedna przyszłaś mi na myśl, kiedy potrzebowałem odpowiedzi na pewne pytania. Ogromnie cenię sobie to, co mi zaofiarowałaś, lecz nie mogę tego przyjąć. Muszę odejść.

Wyraz jej twarzy sprawił, że Richard zlodowaciał, jakby wpadł do przeraźliwie zimnej wody.

Shota bez słowa się odwróciła, zamierzając odejść.

ROZDZIAŁ 42

Richard chwycił Shotę za ramię i zatrzymał. Nie mógł pozwolić, żeby to się tak skończyło - i to z paru powodów.

- Przepraszam, Shoto... Ale sama powiedziałaś, że to moje życie. Jeżeli choć w niewielkim stopniu uważasz mnie za przyjaciela, jeśli choć trochę ci na mnie zależy, to przecież chcesz, żebym je przeżył według swojej woli, a nie twojej.

Ciężko westchnęła.

- Świetnie. Dokonałeś wyboru, Richardzie. Odejdź. Odejdź i przeżyj to, co ci jeszcze zostało z życia.

- Przyszedłem do ciebie, bo potrzebuję twojej pomocy. Odwróciła się ku niemu i rzuciła mu tak złowrogie spojrzenie jak jeszcze nikt przedtem. Teraz bez wątpienia była w całej okazałości wiedźmą. Prawie widział, jak powietrze wokół niej iskrzy.

- Udzieliłam ci pomocy i bardzo wątpię, czy potrafisz sobie wyobrazić, ile trudu włożyłam w zdobycie tych wiadomości. Wykorzystaj tę pomoc wedle swej woli. A teraz odejdź.

Chociaż ogromnie pragnął spełnić jej wolę i nie chciał jej do ni- czego zmuszać, nie miał innego wyjścia: przyszedł tu z konkretnego powodu, o którym ona nawet nie wspomniała. Nie mógł więc odejść, dopóki nie zdobędzie niezbędnych informacji.

- Potrzebna mi twoja pomoc w odnalezieniu Kahlan. Patrzyła jeszcze chłodniej.

- Jeżeli masz rozum, to wykorzystasz uzyskane ode mnie wiadomości, żeby jak najdłużej zachować życie i walczyć z Jagangiem lub gonić za fantomami; mnie już nie obchodzi, co zrobisz. A te raz odejdź, zanim się dowiesz, dlaczego czarodzieje boją się przychodzić do mojej siedziby.

- Mówiłaś, że potrafisz dostrzec zdarzenia unoszone przez rzekę czasu. Co widzisz w mojej przyszłości?

Shota przez chwilę milczała, a potem odwróciła wzrok od uporczywego spojrzenia Richarda.

- Z jakichś przyczyn rzeka czasu jest przede mną zasłonięta. To się zdarza. - Znów patrzyła mu w oczy, z jeszcze większą determinacją niż

poprzednio. - Widzisz? Już nie mogę ci pomóc. Odejdź.

Nie mógł pozwolić, żeby go tak zbyła.

- Wiesz, że przyszedłem tutaj po informacje, dzięki którym mógłbym się dowiedzieć, co się właściwie dzieje. To bardzo ważne. I to nie tylko dla mnie czy dla ciebie. Nie odprawiaj mnie tak, Shoto. Potrzebuję twojej pomocy.

Uniosła brew.

- A od kiedy to postępujesz zgodnie z tym, co ode mnie usłyszysz?

- Przyznaję, że w przeszłości nie zawsze się zgadzałem ze wszystkim, co sugerowałaś, ale dziś nie byłoby mnie tutaj, gdybym cię nie uważał za bystrą kobietę. Chociaż część z tego, co mi niegdyś powiedziałaś, okazało się prawdą, to gdybym postępował dokładnie według twoich rad, nie korygując swoich czynów w miarę rozwoju sytuacji, przegrałbym i teraz albo żylibyśmy pod władzą Rahla Posepnego, albo byśmy wpadli w bezlitosne ramiona Opiekuna zaświatów.

- To ty tak twierdzisz.

Richard nachylił się ku niej, z jego głosu zniknęła pobłażliwość.

- Pamiętasz, jak się zjawiałaś w wiosce Błotnych Ludzi, żeby się ze mną zobaczyć? Jak błagałaś, żebym zapieczętował zasłonę, byśmy wszyscy nie wpadli w łapy Opiekuna? Przypominasz sobie, jak mi mówiłaś, że Opiekun pragnie, by wszyscy mający dar niewyobrażalnie cierpieli przez całą wieczność? Żebyś ty, wiedźma, przeżywała wieczne męki? - Dźgał ją palcem dla podkreślenia swoich słów. - To nie ty przeżyłaś te wszystkie okropności związane z powstrzymaniem tego, co się działo. To ja, a nie ty, musiałem walczyć z okropnościami Opiekuna, żeby zapieczętować zasłonę. To ja cię uratowałem przed Opiekunem.

Obserwowała go chmurnie.

- Pamiętam.

- Powiodło mi się. Ocaliłem cię od okrutnego losu.

- Ocaliłeś samego siebie, a przy okazji i mnie, choć nie było to twoim głównym celem.

Westchnął, starając się zachować cierpliwość.

- Shoto, jestem przekonany, że musisz coś wiedzieć. Na pewno wiesz coś o tym, co się przytrafiło Kahlan.

- Już ci mówiłam, że nie przypominam sobie żadnej Kahlan.

- Tak. Zdaję sobie sprawę, że jej nie pamiętasz, bo dzieje się coś bardzo

złego. Lecz powinnaś wiedzieć coś, co mi pomoże odkryć prawdę. Musisz znać choćby jakiś strzęp informacji, który mi pozwoli odkryć, co się właściwie dzieje.

- I spodziewasz się, że możesz ot, tak sobie, bez zaproszenia, zjawić się u mnie, narazić moje życie, powdzięczyć się i dostać to, co ci potrzebne?

Richard wpatrywał się w nią. Nie zaprzeczyła, że wie coś, co by mu mogło pomóc. Uświadomił więc sobie, że miał rację.

- Shoto, przestań robić groźne miny i udawać, że nie wiadomo czego od ciebie chcę. Przecież sama wiesz, że nigdy cię nie okłamałem. Powiadam ci, że to jest równie ważne i dla ciebie, choć może sobie tego jeszcze nie uświadamiasz. Być może zainicjował to sam Opiekun, żeby nas wszystkich dopaść. Muszę się dowiedzieć wszystkiego, co ty wiesz, żebym mógł pokonać rozprzestrzeniające się zło. I dowiem się tego! To nie są żarty.

- I uważasz, że takie żądanie cię do tego upoważnia? - Zmrużyła oczy. - Że skoro mam coś, czego potrzebujesz, powinnam ci ustąpić i to przekazać? Że masz prawo żądać ode mnie tego, czego potrzebujesz? Że nie mam prawa do własnego życia, że powinnam ci służyć? Że mam ci się podporządkować, ilekroć raczysz mieć do mnie jakąś sprawę? Uważasz, że możesz się tu zjawiać i żądać tego czy tamtego, lecz się obruszasz, kiedy ja śmiem o coś poprosić?

- Wcale się nie oburzyłem - odrzekł, starając się panować nad głosem. - Bardzo jestem wdzięczny za twoją wspaniałomyślną propozycję. Dobrze rozumiem, co to znaczy czuć się samotnym. Lecz jeżeli jesteś taką kobietą, za jaką cię uważam, tobyś mnie nie chciała wbrew mojej woli. Zasługujesz na kogoś, kto cię pokocha. Przykro mi, Shoto, lecz nie mogę skłamać i powiedzieć, że będę dla ciebie kimś takim, bo w rezultacie tylko bardziej bym cię zranił. Nie mogę cię oszukiwać. Już kogoś pokochałem. Naprawdę chciałabyś kogoś, kto by złamał słowo i natychmiast się rzucił na taką ofertę? Uważam, że pragniesz kogoś równego sobie, prawdziwego życiowego towarzysza, kogoś, z kim mogłabyś dzielić radości i smutki. Niepotrzebna ci zabaweczka, służalec. I myślę, że już wiesz, iż taki służalec nie może dać ci szczęścia. Jeżeli naprawdę ci na mnie zależy, jeżeli mi to szczerze, z serca zaproponowałaś, bo coś dla ciebie znaczę, to mi pomóż.

Nie wyglądało na to, że Shota zamierza odpowiedzieć, więc Richard drążył dalej:

- Shoto, muszę się dowiedzieć wszystkiego, co możesz mi powiedzieć. To ważne. Równie ważne jak dla ciebie było zapieczętowanie rozdarcia zasłony. Za mało wiem, żeby rozwikłać tę kwestię. Jeżeli przegram, przegramy wszyscy. Nie mam czasu na krygowanie się. Potrzebne mi są informacje, które ty masz.

- Jak śmiesz tak bezczelnie czegoś ode mnie żądać? Już ci odpowiedziałam. To moja umiejętność, moje życie. Nie masz do nich prawa.

Richard ścisnął skronie palcami, głęboko oddychał, by się uspokoić. Niechętnie przyznał, że może Shota ma rację. Odwrócił się od niej i odszedł parę kroków, dumając, co zrobić. Jednego był pewien - nie odejdzie, póki wszystkiego z niej nie wydusi.

- Powiadasz więc, że wiesz coś, co by mi pomogło w poszukiwaniu prawdy.

- Sporo wiem o rozmaitych sferach prawdy.

- I wiesz coś, co ja też powinienem wiedzieć, żeby odkryć prawdę o tym, co mnie do ciebie przywiodło.

- Tak.

Wiedział o tym. Dalej stojąc do niej tyłem, powiedział:

- Wymień cenę.

- Nie będziesz chciał jej zapłacić.

Spodziewał się, że wiedźma ponowi swą ofertę. Odwrócił się ku niej. Shota patrzyła nań tak, jakby był przezroczystry. Nie odejdzie bez informacji i już. Od tego zależy życie Kahlan. Zrobi wszystko, co będzie trzeba, żeby ocalić jej życie, choćby miał poświęcić własne.

- Wymień cenę.

- Miecz Prawdy. Świat znieruchomiał.

- Co takiego?!

- Pytałeś o cenę. Jest nią Miecz Prawdy. Richard stał jak skamieniały.

- Nie mówisz poważnie.

Kąciki ust Shoty leciuteńko się uniosły.

- Ależ tak.

Richard dojrzał, jak za drzewami podniósł się z ziemi Samuel, nagle czujny i uważny.

- Co zrobisz z mieczem?

- Pytałeś o cenę, więc ją wymieniłam. A co potem zrobię, to już nie twoja

sprawa.

Richard poczuł, jak po plecach spływa mu zimny pot.

- Shoto...

Nie był w stanie się poruszyć ani mówić. Tego się zupełnie nie spodziewał.

Shota się odwróciła i ruszyła ku drodze.

- Żegnaj, Richardzie. Miło było cię zobaczyć. Nie wracaj.

- Zaczekaj!

Przystanąła i spojrzała nań przez ramię; fale kasztanowatych włosów połyskiwały w złotych słonecznych promieniach.

- Tak czy nie, Richardzie? Już dość ci ofiarowałam, nic w zamian nie otrzymując. Więcej tego nie uczynię. Jeżeli czegoś chcesz, zapłać za to. Drugiej szansy już ci nie dam.

Przez chwilę go obserwowała, a potem chciała się odwrócić. Richard zgrzytnął zębami.

- W porządku. Zatrzymała się.

- A więc się zgadzasz?

- Tak.

Zwróciła się ku niemu, czekała.

Richard chciał od razu zdjąć pendent. Cara jednym skokiem znalazła się przy nim i oburącz chwyciła go za nadgarstek.

- Co ty wyprawiasz?! - warknęła; czerwony skórzany uniform gorzał w słońcu równie mocno jak gniew w jej oczach.

- Shota wie coś o tym paskudztwie - wyjaśnił. - Muszę usłyszeć wszystko, co może mi powiedzieć. Nic innego mi nie pozostało. Nie mam wyboru.

Cara oderwała jedną dłoń od przegubu Richarda i przycisnęła ją sobie do czoła, starając się zebrać myśli, uspokoić przyspieszony oddech.

- Nie możesz tego zrobić, lordzie Rahlu. Nie możesz. Nie myślisz teraz jasno. Władą tobą chwilowe pragnienie, chęć zdobycia tego, co twoim zdaniem ma Shota. Wbiłeś sobie do głowy, że musisz to uzyskać bez względu na wszystko. Nawet nie wiesz, co za to dostaniesz. Jest na ciebie taka zła, że pewnie nie powie ci nic naprawdę wartościowego.

- Muszę wiedzieć coś, co mi pomoże odkryć prawdę.

- Ale nie ma żadnej pewności, że tak będzie. Wysłuchaj mnie, lordzie Rahlu. Nie myślisz jasno. Powiadam ci, że cena jest za I wysoka.

- Nie ma zbyt wysokiej ceny za życie Kahlan, zwłaszcza jeśli ceną jest jakiś przedmiot.

- To nie jej życie kupisz. Masz tylko słowo wiemy, że powie ci coś użytecznego, wiemy, która chce ci dopiec za to, że ją odrzuciłeś. Sam mówiłeś, że w przeszłości nic nie było dokładnie tak, jak przepowiedziała. Teraz też nie będzie inaczej. Stracisz miecz dla czegoś bezwartościowego.

- Muszę to zrobić, Caro.

- To wariactwo, lordzie Rahlu.

- A jeżeli to ja oszalałem?

- O czym ty mówisz?

- A jeżeli macie rację i naprawdę nie ma Kahlan? Nawet ty myślisz, że zwariowałem. Muszę się przekonać, co Shota może mi powiedzieć. Jeżeli się we wszystkim myślę, to po co miecz szaleńcowi? Jeśli to wy macie rację i tylko to sobie uroiłem, to jaki ze mnie pożytek dla innych? Co ze mnie w ogóle za pożytek?

Oczy Cary dziwnie się zaszklily.

- Nie jesteś szalony.

- Nie? Więc wierzysz, że naprawdę istnieje kobieta o imieniu Kahlan i że jest moją żoną? - Kiedy nie odpowiedziała, odsunął jej drugą dłoń. - Nie sądzę.

Cara obróciła się gniewnie ku Shocie, mierząc w nią Agielem.

- Nie możesz mu zabrać miecza! Wiesz, że to nieuczciwe! Wykorzystujesz okoliczności! Nie możesz mu zabrać broni!

- Zażądałam znikomej ceny... Miecz nawet nie jest jego. Nigdy nie był.

Shota skinęła palcem na Samuela, obserwującego ich z cienia drzew. Pospiesznie podbiegł.

Cara stanęła pomiędzy Richardem a Shotą.

- Dał go lordowi Rahlowi Pierwszy Czarodziej. Lord Rahl został obwołany Poszukiwaczem i dostał Miecz Prawdy. Jest jego!

- A jak myślisz, skąd Pierwszy Czarodziej wziął miecz? - Shota wskazała ziemię długim, pomalowanym na czerwono paznokciem. - Tutaj go zdobył. Przyszedł tutaj, do mojej siedziby, i ukradł miecz. W ten sposób Zedd go zdobył. Richard nie nosi go na mocy prawa, lecz dzięki złodziejstwu. Zwrócenie miecza prawowitemu właścicielowi to niewielka cena za to, co chce wiedzieć.

Cara uniosła Agiel, jej oczy groźnie pały. Richard łagodnie chwycił jej przegub i skłoniła, by opuściła zbrojne w Agiel ramię, zanim zaczęła coś, co mogłoby mieć niemiłe konsekwencje. Nie był pewien wyników takiej konfrontacji, wolał więc nie ryzykować utraty tego, co Shota mogła mu powiedzieć... lub utraty Cary.

- Robię, co muszę - rzekł spokojnie Carze. - Nie utrudniaj mi jeszcze bardziej.

Widział już w oczach Cary wszystkie możliwe uczucia: szczęście, smutek, zniechęcenie, zdecydowanie, determinację, gniew. Ale nigdy do tej pory jej gniew nie był bezpośrednio skierowany ku niemu.

I wtedy nagle ujrzał ją ogarniętą okrutnym gniewem, kiedyś, dawno temu.

Nie mógł sobie teraz pozwalać na takie wspomnienia, więc wyrzucił je z pamięci. Teraz szło o Kahlan, o przyszłość, a nie o przeszłość.

Richard zdjął pendent przez głowę. Samuel stał w pobliżu swojej pani i w milczeniu wszystko obserwował, nie odrywając zachłannego wzroku od rękocyfki.

Richard ujął oburącz połyskliwą srebrno-złotą pochwę i starodawny pendent z wytłaczanej skóry i podał je Shocie.

Sięgnęła po nie.

- Miecz należy do Samuela, mojego wiernego kompaniona. - Uśmiechnęła się triumfalnie. - Daj mu go.

Richard stał jak skamieniały. Nie mógł oddać Samuelowi Miecza Prawdy. Po prostu nie mógł.

Dopiero teraz się zastanowił, co też wedle niego Shota miała z mieczem zrobić, jeśli nie oddać Samuelowi. Uznał, że zwyczajnie starał się nie myśleć, co tak naprawdę oznacza oddanie miecza Shocie.

- Przecież to miecz go tak odmienił. Zedd mi powiedział, że magia miecza tak na niego podziałała, zmieniła go w to, czym teraz jest.

- I kiedy odzyska swoją własność, znów będzie tym, kim był niegdyś, zanim twój dziadek ukradł mu miecz.

Richard znał charakter Samuela. Wiedział, że jest on zdolny do wszystkiego, nawet do morderstwa. Jakżeż mógłby komuś takiemu oddać tak niebezpieczny oręż jak Miecz Prawdy?

Zbyt wielu podobnych Samuelowi nosiło miecz, walczyło o niego, kradło

go, sprzedawało temu, kto dał najwięcej, i potem zostawało Poszukiwaczami, których usługi mógł sobie kupić każdy, kto odpowiednio płacił. Miecz przechodził skrycie z rąk do rąk, wykorzystywano go w złej sprawie. Zanim Zedd w końcu odzyskał Miecz Prawdy i dał go potem Richardowi, Poszukiwacz stał się obiektem szyderstwa i pogardy, uważano go za przestępcę, i był równie niebezpieczny.

Jeżeli odda miecz Samuelowi, to znów tak będzie. Wszystko zacznie się na nowo.

Lecz jeżeli tego nie zrobi, nie będzie mógł powstrzymać o wiele większego zła, wypuszczonego na świat, już nigdy może nie ujrzeć Kahlan. Kahlan była dlań najważniejsza. Był również przekonany, że jej zniknięcie oznacza zagrożenie dla wszystkich; zagrożenie tak wielkie, że aż bał się o tym myśleć.

Jako Poszukiwacz miał obowiązki wobec Prawdy, a nie wobec Miecza Prawdy.

Samuel ostrożnie przysunął się bliżej, wpatrzony w miecz; wyciągnął zwrócone wnętrzem ku górze dłonie, czekał.

- Moje, moje, oddawaj - warknął zniecierpliwiony; pełne nienawiści ślepie jarzyły mu się gniewnie.

Richard spojrział na Shotę. Skrzyżowała ramiona, jakby na znak, że to jego ostatnia szansa. Ostatnia okazja poznania prawdy.

Gdyby znał jakiś inny sposób znalezienia rozwiązania, choćby niewielką szansę na coś innego - toby zabrał miecz i zaryzykował. Lecz nie mógł przepuścić tej okazji, nie uzyskać od Shoty informacji. Nic innego mu nie pozostało.

Richard wyciągnął trzęsące się ręce, w których trzymał miecz.

Samuel nie chciał już czekać ani chwili dłużej - skoczył i wyrwał chłopakowi miecz, wreszcie przycisnął do piersi odzyskany skarb.

I wtedy jego twarz przybrała osobliwy wyraz. Spojrział Richardowi w oczy wytrzeszczonymi w podziwie ślepiami; usta miał rozdziawione. Richard nie miał pojęcia, co dojrzał Samuel, biorąc w ręce Miecz Prawdy. Pomyślał, że może po prostu oniemiał z wrażenia, że go w końcu odzyskał.

Samuel nagle pospiesznie odbiegł, zniknął pośród drzew. Miecz Prawdy rozplynął się w cieniu.

Richard czuł się obnażony, zaszokowany. Wpatrywał się w miejsce, gdzie

zniknął Samuel, żałował, że nie ubił kompana Shoty, kiedy ten pierwszy raz go zaatakował. Samuel parę razy napadał na Richarda, lecz on przepuszczał wszelkie okazje zabicia go.

Spojrzał gniewnie na Shotę.

- Jeżeli kogoś skrzywdzi, odpowiedzialność spadnie na ciebie.

- To nie ja dałam mu miecz. Ty to zrobiłeś, z własnej woli. Nie wykręciłam ci ręki ani cię do tego nie zmusiłam moją mocą. Nie próbuj zrzucić z siebie odpowiedzialności za własne decyzje i działania.

- Nie jestem odpowiedzialny za jego czyny. Jeżeli kogoś skrzywdzi, zadbam, żeby tym razem odpowiedział za swój postępek.

Shota powiodła wzrokiem po trawiastej polaci, usianej drzewami.

- Nie ma tu nikogo, kogo mógłby skrzywdzić. Ma swój miecz. I teraz jest szczęśliwy.

Richard poważnie w to wątpił.

Powściągając gniew, wrócił do ważnej dlań sprawy. Nie chciał słuchać żadnych wymówek, więc przeszedł wprost do rzeczy.

- Zapłaciłem ci.

Długo mu się przypatrywała z nieodgadnioną miną. Na koniec cicho wymówiła jedno słowo:

- Chainfire.

Odwróciła się i poszła ku drodze.

Richard złapał ją za ramię i obrócił ku sobie.

- Co?

- Chciałeś usłyszeć, co wiem, a co by ci pomogło poznać prawdę.

Powiedziałam: Chainfire.

Richard nie dowierzał.

- Chainfire? A cóż to znaczy? Shota wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia. Wiem jedynie, że jest ci to potrzebne, żebyś odkrył prawdę.

- Co to znaczy, że nie masz pojęcia? Nie możesz mi rzucić jakiegoś słowa, którego nigdy nie słyszałem, i sobie pójść. To za mało za to, co ci dałem.

- Ale właśnie taki układ zawarłeś i ja słowa dotrzymałam.

- Musisz mi powiedzieć, co to oznacza.

- Nie mam pojęcia, co to oznacza, lecz wiem, że jest warte ceny, jaką zapłaciłeś.

Richard nie mógł uwierzyć, że przystał na układ, który mu nic wartościowego nie dał. Był równie daleki od znalezienia Kahlan jak przed wizytą u Shoty. Miał uczucie, że klapnął na mię i zrezygnował.

- Nasza sprawa dobiegła końca. Żegnaj, Richardzie. Odejdź,! proszę. Wkrótce będzie ciemno. A zapewniam cię, że wolałbyś tu nie być, kiedy jest ciemno.

Shota ruszyła drogą ku widocznemu w oddali pałacowi. Richard patrzył, jak odchodzi, i wyrzucał sobie, że przegrał, nawet nie próbując zwyciężyć. Teraz wiedział coś, co jest związane z ową tajemnicą. To był fragment układanki, część rozwiązania; coś tak cennego, że przedtem jedynie wiedźma o tym wiedziała. Potwierdzało to jego przekonanie, że Kahlan istnieje. Powiedział sobie, że jest o krok bliżej. Musiał w to wierzyć.

- Shoto! - zawołał.

Zatrzymała się i odwróciła, czekając, co jej powie; z miną, jakby się spodziewała jakiejś tyrady.

- Dziękuję - powiedział szczerze. - Nie wiem, co mi przyjdzie ze znajomości słowa „chainfire”, ale dziękuję. Przynajmniej dałaś mi powód, bym trzymał się tej sprawy. Kiedy tu przyszedłem, nie miałem żadnego; teraz mam. Dziękuję.

Wpatrywała się w niego. Nie miał pojęcia, co sobie myśli.

Na koniec powoli zrobiła krok ku niemu. Splotła przed sobą dłonie, przez chwilę patrzyła w ziemię, potem na drzewa - wyraźnie się nad czymś zastanawiała. Wreszcie przemówiła:

- To, czego szukasz, jest dawno pogrzebane.

- Dawno pogrzebane? - zapytał ostrożnie.

- Jak w przypadku słowa „chainfire”, nie mogę ci powiedzieć, co to znaczy. Widzę to, co się łączy ze sprawami, problemami, pytaniami. Ja tylko przekazuję informacje. Nie jestem ich źródłem. Nie mogę ci wyjaśnić znaczenia, lecz mogę powiedzieć, że to, czego szukasz, jest dawno pogrzebane.

- Chainfire i to, co jest dawno pogrzebane - powtórzył Richard, skinąwszy głową. - Mam. I nie zapomnę.

Zmarszczyła czoło, jakby coś jeszcze się jej objawiło.

- Musisz znaleźć miejsce kości w Głębokiej Głuszy.

Richardowi aż ścierpły nogi. Nie miał pojęcia, czym jest ta „Głęboka

Głusza”, ale nie przypadła mu do gustu ani nazwa, ani to, że musi szukać kości. Nie chciał się teraz nad czymś tak złowieszczym zastanawiać.

Shota znów ruszyła drogą w stronę swojego pałacu. Uszła może ze dwanaście kroków, kiedy się zatrzymała i odwróciła ku niemu. Nie znające wieku oczy napotkały spojrzenie Richarda.

- Strzeż się zmił o czterech łbach. Przekrzywił wyczekująco głowę.

- Nie wiem, co oznacza ta zmiła o czterech łbach.

- Nawet jeżeli teraz sobie tego nie uświadamiasz, uczciwie dopełniłam umowy. Przekazałam ci wiadomości, których potrzebowałeś. Jesteś Poszukiwaczem, a przynajmniej nim byłeś; powinieneś sam doszukać się znaczenia.

Odwróciła się po raz ostatni i odeszła zalaną złocistym blaskiem długą drogą.

- Ruszamy - oznajmił Richard Carze. - Nie mam zamiaru się dowiadywać, dlaczego nie chcielibyśmy tutaj być, jak się zrobi ciemno.

Mord-Sith spiorunowała go lodowatym spojrzeniem.

- Powiedziałałabym, że to ma coś wspólnego z opętanym żądzą mordu wariatem, który wyskoczy na ciebie z mroku z groźnym mieczem w garści.

Richard ponuro pomyślał, że Cara pewnie ma rację. Samuel zapewne nie zadowolili się samym odzyskaniem miecza i zechce usunąć prawowitego właściciela, by ten nie odebrał mu miecza po raz wtóry.

Jednakże Shota się myliła, gdyż to Samuel był złodziejem. Pierwszy Czarodziej decydował bowiem o Mieczu Prawdy. I to on wyznaczał Poszukiwaczy i wręczał im miecz, a obecnie Poszukiwaczem był Richard.

Ze zgrozą uświadomił sobie, że zawiódł zaufanie, jakim obdarzył go dziadek, dając mu Miecz Prawdy.

Lecz jaką wartość miałby dlań miecz, skoro zatrzymanie go oznaczałoby śmierć Kahlan?

Nic zaś nie miało dla Richarda większej wartości niż życie.

ROZDZIAŁ 43

Richard tak się zatopił w myślach, że prawie nie zwracał uwagi na trudy wspinaczki stromizną na skraju kotliny Agaden. W zalanej złocistym blaskiem dolinie pod nimi drzewa rzucały coraz dłuższe cienie na zielone łąki, lecz Richard nie widział piękna spokojnej kotliny okolonej górami, oświetlonej zachodzącym słońcem; chciał się znaleźć jak najdalej stąd, jak najdalej od mokradeł, zanim na dobre zrobi się ciemno. Wszystkie wysiłki kierował na stawianie jednej stopy przed drugą, na posuwanie się do przodu.

Kiedy dotarli na szczyt urwiska, do rozległych mokradeł strzegących dojścia do siedziby Shoty, w głębokiej kotlinie pośród gór zapanował już wczesny zmierzch. Skalne ściany wcześniej przesłaniały słońce, niebo było ciemnoniebieskie, a blask z trudem się przesączał przez zielone sklepienie, więc u schyłku dnia mokradła tonęły w niemal nocnym mroku. Głęboki mrok był tu zupełnie inny niż w kotlinie Shoty. Cienie mokradeł skrywały namacalne, lecz w gruncie rzeczy zwyczajne zagrożenie; te wokół Shoty kryły groźby trudne do pojęcia i zdaniem Richarda o wiele bardziej zgubne.

Prawie nie słyszał odgłosów wydawanych przez mieszkańców mokradeł - poświstywań, pohukiwań, ćwierkania, postukiwań, odległych wrzasków. Przebywał we własnym świetle, gdzie rozpacz zmagająca się z determinacją.

Shota wiele mu opowiedziała o ścigającej go bestii krwi, ale i Nicci już wcześniej go ostrzegła, że poluje nań bestia stworzona na rozkaz Jaganga. Szczegóły o tym monstrum nie były główną korzyścią wypływającą z wyprawy do Shoty. Naprawdę ważne było to, co wiedźma powiedziała na samym końcu. To po te informacje się do niej udał. To za nie zapłacił tak wysoką cenę, że dopiero teraz zaczynał w pełni pojmować, co uczynił. Chciał dla do dania sobie otuchy dotknąć palcami rękojeści miecza - lecz miał już przy sobie wiernego oręza.

Starał się o tym nie myśleć, lecz mu się to nie udawało. Cieszy się ze zdobycia tak ważnych i cennych informacji - i zarazem czuł gorycz osobistej porażki.

Tylko na tyle uważał, jak idzie, żeby nie nastąpić na żółto-czarnego węża, zwiniętego przy jakimś korzeniu, żeby włochate pająki, przywierające od

spodu do liści, nie wysnuły jedwabistych nici i nie wylądowały na nim. Omijał chaszczę, kiedy syczało na niego to, co się w nich kryło.

Richard szedł coraz bardziej nikiem w ciemnościach szlakiem tak szybko, jak na to pozwalały względy bezpieczeństwa, i w myślach analizował każde słowo Shoty, skupiając się na tym, za które zapłacił tak straszliwą cenę. Cara szła tuż za nim, oganiając się od owadów unoszących się chmarami w pobliżu ich twarzy. Czasami z mroku wylatywał nietoperz i trochę ich od nich uwalniał.

Richard przedzierał się przez splątana roślinność, rozgarniając pnącza i gałęzie i ostrożnie przekraczając kłębowiska korzeni - niektóre wiły się jak gniazda węży, kiedy podeszli do nich zbyt blisko. Gdy był tu poprzednio, Samuel pokazał mu, jak potrafią złapać kogoś nieostrożnego za kostkę. Richard był tak pochłonięty rozmyślaniami nad znaczeniem słowa „chainfire”, że mało brakowało, by wszedł w ledwo widoczne w mroku rozlewisko czarnej wody. Cara złapała go za ramię i w ostatniej chwili zatrzymała. Rozejrzał się i zobaczył kłodę, po której wcześniej przeszli, skrzył więc w jej stronę.

Wyteżał umysł, starając się sobie przypomnieć, czy już kiedyś słyszał słowo „chainfire” - lecz mu się to nie udawało. To było osobliwe słowo, więc by je zapamiętał, gdyby kiedyś je usłyszał. Żałował, że Shota nie znała jego pochodzenia czy znaczenia, lecz wierzył, że mówiła prawdę i że takie informacje objawiają się jej bez wyjaśnień.

Obawiał się również, że aż za dobrze wie, co Shota miała na myśli, mówiąc, iż to, czego szuka, jest dawno pogrzebane. Cierpiał na wspomnienie tego ostrzeżenia. Bał się, iż może ono oznaczać, że Kahlan już nie żyje i dawno ją pogrzebano.

Czuł się zagubiony od tamtego ranka, kiedy się obudził i przekonał, że jej nie ma. Bez Kahlan nic na świecie nie miało znaczenia.

Nie mógł sobie pozwolić na uwierzenie w to, że jest martwa. Wspominał jej piękne, mądre zielone oczy, przeznaczony wyłącznie dla niego uśmiech, to, jak pełna była życia.

Ale słowa Shoty wciąż do niego wracały. Jeżeli ma odnaleźć Kahlan, musi pojąć, co one oznaczają.

To ostatnie, że powinien się strzec żmii o czterech łbach, też mu się początkowo wydawało pozbawione sensu - lecz im dłużej się nad tym

zastanawiał, wychodziło mu na to, że ta cztero-głowa zmija w jakiś sposób musi być odpowiedzialna za zniknięcie Kahlan.

Zastanawiał się, czy jego domysły nie są bezpodstawne. Tylko by wtedy zmarnował cenny czas. Bał się, że i tak już nie zostało mu go zbyt wiele.

- Dokąd idziemy? - zapytała Cara, wyrывая go z zamyślenia. I uświadomił sobie, że to były pierwsze słowa, jakie wypowiedziała, od kiedy opuścili Shotę.

- Po konie.

- Zamierzasz nocą przejść przez przełęcz? Richard potakująco kiwnął głową.

- Tak, może nam się uda. Jeżeli burza śnieżna się skończyła, księżyc da dosyć światła.

Kiedy pierwszy raz przyszedł do Shoty, wiedźma uprowadziła Kahlan do swojej kotliny. Richard nocą szedł po ich śladach przez przełęcz. Nie było to łatwe, lecz wiedział, że jest możliwe. Czuł ogromne zmęczenie po trudach przebycia przełęczą za dnia, i wiedział, że Cara jest równie zmęczona - lecz nie zamierzał się zatrzymywać, dopóki jeszcze daje radę stawiać jedną stopę przed drugą.

Mina Cary świadczyła, że nie jest zachwycona perspektywą nocnej wędrówki, lecz zamiast się sprzeciwić, spytała:

- A kiedy już dotrzemy do koni? Gdzie wtedy?

- Spróbować wyjaśnić to, czego się do tej pory dowiedziałem.

Mgła powoli napłynęła pomiędzy sękaty drzewa, wiszące liany, nad rozlewiska nieruchomej wody - jakby chciała podsłuchać ich rozmowę. Nie było wiatru, więc festony mchu zwisały smętnie z powyginanych gałęzi. Pod lianami i chaszczami gęstniały cienie. Coś niewidocznego pluskało w czarnych rozlewiskach.

Richard nie miał ochoty rozwodzić się nad czekającą ich długą i ciężką jazdą, więc zanim Cara zdążyła coś powiedzieć, zapytał:

- Czy słyszałaś kiedykolwiek słowo „chainfire”?

- Nie - odparła z westchnieniem.

- I nie domyślasz się, co by mogło oznaczać? Potrząsnęła głową.

- A to miejsce kości w Głębokiej Głuszy? Mówi ci to coś? Cara przez chwilę milczała.

- Mam wrażenie, że „Głęboka Głusza” brzmi dość znajomo, jakbym to już

kiedyś słyszała.

Richard uznał, że brzmi to zachęcająco.

- A przypominasz sobie, gdzie to słyszałaś? Albo w ogóle cokolwiek na ten temat?

- Nie, niestety nie. - Zerwała sercowaty liść liany, kiedy tak szła obok Richarda. - Jedyne, co sobie przypominam, to, że musiałam być wtedy dzieckiem. Staram się, ale nie jestem pewna, czy naprawdę to słyszałam, czy też słowa „głusza” i „głęboka” są na tyle częste, że wydają mi się znajome.

Richard, zawiedziony, westchnął. Też się nad tym zastanawiał - czy to nie są po prostu na tyle pospolite słowa, że budzą w nim fałszywe wrażenie, iż powinien słyszeć o Głębokiej Głuszy.

- No a ta czterogłowa zmija? - spytał.

Cara potrząsnęła głową i zrobiła krok w tył - znalazła się teraz za Richardem, żeby ominąć zwieszający się nad ścieżką konar. Leżał na nim, zielony niby liść, niewielki wąż; obserwował, jak go mijali, i badał językiem powietrze, żeby wyczuć ich woń.

- Dla mnie to nie ma sensu - powiedziała, obracając w palcach ogonek zerwanego wcześniej liścia. - Nigdy nie słyszałam o takim zwierzęciu. Może ta czterogłowa zmija żyje w Głębokiej Głuszy.

Richard też brał pod uwagę taką możliwość, lecz wątpił w to, bo Shota mówiła o nich oddzielnie. Jakby się jej objawiły jako osobne fragmenty informacji. Przypuszczał, że mogą się wiązać ze sobą, jak to zasugerowała Cara, skoro miały związek z jego pytaniem o to, co by mu pomogło odkryć prawdę.

Cara zatrzymała się w miejscu, gdzie drzewa wokół szlaku się przerzedzały, ukazując wznoszące się przed nimi ciemne stoki gór.

- Może Nicci wkrótce do nas dołączy. Wiele wie o magii i innych rzeczach. Mogłaby wiedzieć, co oznacza chainfire, a może i reszta. Nicci z radością by ci pomogła.

Richard zatknął kciuk za pas.

- Może mi powiesz, co zeście z Nicci wymyśliły? - Domyślał się, ale chciał to od niej usłyszeć. Czekał, patrząc jej w oczy.

- Nicci nie ma z tym nic wspólnego. To był mój pomysł.

- A jakież dokładnie był to pomysł?

Cara odwróciła oczy od jego badawczego wzroku, zapatrzyła się na

przełęcz. Niebo było przeważnie czyste, zaczynały się pojawiać gwiazdy. Dopiero w wyższych partiach sunęły z wiatrem postrzępione chmury. Wkrótce powinien wzejść księżyc.

- Kiedy mnie uzdrawiałeś, wyczułam dręczącą cię straszliwą samotność. I uważam, że to właśnie owo osamotnienie sprawiło, że wymyśliłeś tę kobietę, Kahlan. Nie chcę, żebyś przeżywał tę udrękę, którą w tobie wyczułam. Ktoś, kto nie istnieje, nie zdoła bowiem wypełnić takiej pustki.

Zamilkła, więc on się odezwał.

- I chciałaś, żeby to Nicci wypełniła tę pustkę? Spojrzała mu w oczy, rozżalona i smutna.

- Ja tylko chciałam ci pomóc, lordzie Rahlu. Myślę, że potrzebujesz kogoś, kto by z tobą dzielił życie, podobnie jak Shota pragnęła ciebie. Ale Shota jest niewłaściwą osobą, nie pasujecie do siebie. Pomyślałam, że Nicci będzie dla ciebie odpowiednia, ot i tyle.

- Więc uznałaś, że możesz w moim imieniu ofiarować komuś serce?

- Nnnoo... jakoś niewłaściwie to zabrzmiało.

- Bo to jest niewłaściwe.

- Wcale nie - upierała się, zaciskając pięści. - Potrzebujesz kogoś. Wiem, że teraz czujesz się zagubiony. I myślę, że jest z tobą coraz gorzej. Drogie duchy, oddałeś swój miecz. Potrzebujesz kogoś, wiem, że tak. Jesteś jakiś taki... niepełny. Jeszcze nigdy mi się taki nie wydawałeś, a znam cię już kawałek czasu. Nigdy przedtem nawet nie pomyślałam, że lord Rahl mógłby być z jedną kobietą, a już w ogóle nie przychodziło mi do głowy, że mógłby się ożenić; ale tobie najwyraźniej jest potrzebna bratnia dusza. Nicci nadaje się do tego lepiej niż ktokolwiek inny. Jest bystra, na tyle że możecie naprawdę rozmawiać. Łączy was magia i w ogóle. Widziałam, jak rozmawiacie, jak się uśmiechacie. Pasujecie do siebie. Obydwoje jesteście mądrzy, macie dar. Ona jest piękna, powinieneś mieć kogoś takiego.

- A jaką rolę odgrywała Nicci w tym waszym spisku?

- Miała te same wątpliwości, co ty, a to tylko dowodzi, że miałam rację, uważając, że świetnie do siebie pasujecie.

- Czyli i jej się nie spodobało, że zaplanowałaś jej życie? Cara wzruszyła ramionami.

- Nie to chciałam powiedzieć. Ona zgłaszała wątpliwości w twoim imieniu, nie swoim. Troszczyła się o to, czego ty pragniesz. Wiedziała, że ci

się ten pomysł nie spodoba.

- No to co do jednego masz rację: jest bystra.

- Tylko próbowałam ją skłonić, żeby się nad tym zastanowiła. Nie namawiałam, żeby ci się rzuciła na szyję. Myślałam, że może się jakoś dopełnicie, wypełnicie tę pustkę, która w was jest. Że jeśli ją zachęcę, by się nad tym zastanowiła, to natura zrobi swoje.

Richard najchętniej by ją udusił, lecz panował nad sobą, bo postępek Cary, choć niestosowny, był tak ujmująco ludzki, płynął z takiej troski, że miał ochotę ją za to uściskać. Czy komuś w ogóle przyszłoby na myśl, że Mord-Sith się zainteresuje miłością i partnerstwem? Jemu na pewno. Ale i tak...

- Caro, próbujesz zrobić to samo co Shota: zdecydować za mnie, co powinienem czuć i jak powinienem żyć.

- Nie. To nie jest to samo. Richard zmarszczył brwi.

- A dlaczego to?

Cara zacisnęła usta. Czekał. Wreszcie wyszeptała:

- Bo ona cię tak naprawdę nie kocha. A ja tak. Ale nie w ten sposób - dodała pośpiesznie.

Richard nie miał ochoty ani się spierać, ani krzyżeć. Wiedział, że Cara miała dobre intencje. No i ledwo mógł uwierzyć w to, co głośno przyznała. W innych okolicznościach nie posiadałby się z radości.

- Jestem mężem kobiety, którą kocham, Caro. Ze smutkiem pokręciła głową.

- Przykro mi, lordzie Rahlu, ale Kahlan nie istnieje.

- Skoro nie istnieje, to dlaczego Shota dała mi wskazówki, które pomogą mi dotrzeć do prawdy?

Cara znów odwróciła wzrok.

- Bo prawda jest taka, że nie ma żadnej Kahlan. To, co ci powiedziała, pomoże ci jedynie odkryć tę smutną prawdę. Czy kiedykolwiek o tym pomyślałeś?

- Wyłącznie w koszmarach - odparł, ruszając ku górskiej przełęczy.

ROZDZIAŁ 44

Jillian usłyszała krakanie kruka, odwróciła się i spojrzała w niebo. Ptak kołysał się na szeroko rozpostartych skrzydłach, unosząc się na niewidocznych prądach na tle nieskazitelnie błękitnego nieba. Kiedy tak patrzyła, znów zakrakał i ostry, zgrzytliwy dźwięk poniósł się echem w głuchej ciszy rozpadliny i ponad spękaną, falistą okolicą, paloną popołudniowym słońcem.

Jillian chwyciła małą, martwą jaszczurkę, leżącą obok niej na kruszejącej skale, i ruszyła w górę pylistą dróżką. Kruk kołował majestatycznie, obserwując, jak dziewczynka biegnie pod górę. Wiedziała, że na pewno już dawno ją wypatrzył, dużo wcześniej nim ona go dostrzegła.

Stała na palcach i - trzymając jaszczurkę za ogon - wyciągnęła rękę i pomachała poczęstunkiem. Zaśmiała się, kiedy czarny jak smoła ptak na moment znieruchomiał w powietrzu, kiedy zobaczył dyndającą w jej palcach pasiastą jaszczurkę, po czym ostro zanurkował, częściowo składając skrzydła, żeby nabrać prędkości.

Jillian podskoczyła i usiadła na rozpadającym się kamiennym murku, przy obluzowanych płytach, które niegdyś stanowiły część drogi. Od niepamiętnych już czasów większość owej drogi niknęła pod warstwami pyłu. A na wierzchu tych naniesionych przez wiatry i smaganych deszczami warstw rosła teraz trawa i skarłate drzewa. Dziadek jej mówił, że należało to do szczególnego, bardzo starego miasta.

Nie potrafiła sobie wyobrazić, jakie to może być stare. Kiedy była młodsza, spytała dziadka, czy to jest starsze od niego - a on się wtedy roześmiał i powiedział, że choć jest stary, to daleko mu do wieku owego miejsca i że ziemia nie zakryłaby w ciągu czyjegoś życia tego, co zbudował człowiek. Mówił, że takie powolne działanie wymaga nie tylko czasu, ale i zaniedbania. Czasu było pod dostatkiem, a ponieważ nie został ani jeden człowiek, to i zaniedbanie zrobiło swoje.

Dziadek wyjaśnił Jillian, że w tym pustym, prastarym mieście mieszkali niegdyś ich przodkowie. Uwielbiała słuchać opowieści o tajemniczych ludziach, którzy tu niegdyś żyli i zbudowali zadziwiające miasto na jałowej ziemi za skalnymi iglicami.

Dziadek był bazarzem, a ponieważ zawsze chętnie słuchała jego opowieści o dawnych czasach, powiedział, że jeżeli Jillian się postara, zrobi z niej bazarę, która pewnego dnia zajmie jego miejsce. Dziewczynka bardzo się przejęła tym, że może się wyuczyć na bazarę, opanować tę całą wiedzę, stać się kimś szanowanym za znajomość pradawnych czasów i dziedzictwa; ale wcale się jej nie podobało, że zdobycie owej pozycji wiązało się z odejściem dziadka.

Lokey wylądował w pobliżu, złożył lśniące czarne skrzydła i wyrwał Jillian z zadumy nad poważnymi sprawami, pradawnymi ludźmi i budowanymi przez nich miastami, z zadumy o wojnach i doniosłych czynach.

Położyła na ziemi niedawno padła jaszczurkę, ujęła ją za ogon i kusząco pokręciła.

Lokey przekrzywił głowę i patrzył. Nie wziął poczęstunku, zamrugał czarnymi ślepkami. Przydreptał bliżej, pociągając lewą łapką, jak to zawsze robił, kiedy podchodził do padliny. Nie załopotał skrzydłami, nie odskoczył kilka razy, jak wtedy, gdy podchodził do czegoś, co się mogło okazać albo posiłkiem, albo zagrożeniem; podszedł zdecydowanie do Jillian i zacisnął dziób na jej skórzanym rękawie.

- Co robisz, Lokey?

Lokey uporczywie ciągnął ją za rękaw. Ciekawski ptak zwykle dziobał koraliki na rękawie lub ściągające mankiet rzemyki, ale teraz szarpał samym rękawem.

- No co? Czego chcesz?

Puścił rękaw i przekrzywił głowę, łypał na Jillian jednym połyskującym okiem. Kruki to mądre ptaki, lecz nigdy nie wiedziała, ile w nich tej mądrości. Czasami sobie myślała, że Lokey jest bystrzejszy od niektórych znanych jej ludzi.

Lokey bojowo nastroszył pióra na szyi i głowie.

Nagle wydał głośny okrzyk - zupełnie jakby się złościł, że nie potrafi mówić i nie może jej czegoś przekazać. Kraaaa. Znow nastroszył pióra i krzyknął. Kraaa.

Jillian pogładziła go po głowie i grzbiecie, drapiąc łagodnie pod nastroszonymi czarnymi piórami, co ogromnie lubił, a potem przyglądała nastroszone pióra. Zamiast stuknąć ją z zadowoleniem dziobem i leniwie

przymrużyć oczy, co zazwyczaj robił po takiej pieśczoście, odskoczył poza zasięg jej ręki i wydał trzy przenikliwe krzyki, od których zadzwoniło jej w uszach. Kraaa. Kraaa. Kraaa.

Zasłoniła uszy.

- Co w ciebie dzisiaj wstąpiło?

Lokey podskakiwał, bijąc skrzydłami. Kraaa. Potem podreptał starą brukowaną drogą, łopocząc skrzydłami i kracząc. Przeszedł przez drogę, wzbił się w powietrze, wylądował i znów się wzbił. Kraaaa.

Jillian wstała.

- Chcesz, żebym z tobą poszła?

Lokey rozgłośnie zakrakał, jakby na potwierdzenie, że wreszcie się domyśliła. Jillian się roześmiała. Była przekonana, że narwane ptaszysko rozumie, co do niego mówi, i że niekiedy potrafi czytać w jej myślach. Uwielbiała jego towarzystwo. Kiedy czasem do niego mówiła, stał spokojnie przy niej i słuchał.

Dziadek powiedział, żeby nie pozwalała Lokeyowi spać w swojej izbie, bo pozna jej sny. Sny Jillian przeważnie były wspaniałe więc nie miałyby nic przeciwko temu, żeby Lokey je poznał. Przypuszczała, że jej ptasi przyjaciel i tak zna jej sny: często po przebudzeniu widziała, jak siedzi na parapecie i słodko śpi.

Ale zawsze bardzo uważała, żeby mu nie przesłać żadnych koszmarów.

- Znalazłeś pyszną padła antylopę? A może królika? Dlatego nie jesteś głodny? - Pogroziła mu palcem. - Lokey, znowu okradłeś kryjówkę innego kruka?

Lokey zawsze był głodny. Często go nazywała swoim głodomorem. Zjadłby razem z nią obiad, gdyby na to pozwoliła, lub skradłby go, gdyby się nie chciała podzielić. Nawet gdyby był za bardzo syty, żeby zjeść jaszczurkę, toby ją sobie schował na później - Jillian była zaskoczona, że tego nie zrobił. Kruki zawsze chowają to czego nie dają rady zjeść - a zjeść mogą mnóstwo. Nie mogła pojąć, jak mu się udaje nie tyć.

Jillian otrzepała sukienkę i kanciaste kolana. Lokey już by w powietrzu - kołował i krakał, poganiając ją.

- No już, już - uspokajała go, rozpościerając dla równowagi ramiona i biegnąc po szerokim murku wzdłuż zasypanej gruzem drogi.

Zatrzymała się na szczycie niewielkiego wzgórza; jedną rękę wsunęła za

płócienny pas, opasujący jej biodra, drugą osłoniła oczy: patrzyła w jasne niebo, podziwiając, jak jej przyjaciel wyczynia powietrzne ewolucje. Lokey uwielbiał się bezwstydnie popisywać. Jeżeli nie mógł wyczyniać swych akrobacji, żeby olśnić nimi inne kruki, to się radośnie popisował przed nią.

- O tak - krzyknęła ku niebu - jesteś mądrym ptakiem, Lokey!

Lokey raz zakrakał i potem szybko odleciał. Jillian powiodła za nim wzrokiem, osłaniając oczy od słońca: leciał na południe ponad rozpościerającym się przed nią rozległym terenem. Tu i tam - bliżej leżących za dziewczynką gór i ich podnóża - od jałowej ziemi odcinała się ostro zieleń pastwisk. Po bokach zstępowały w spustoszoną równinę odległe góry o barwie fioletu; równina zdawała się bezkresna. Lecz Jillian wiedziała, że wcale się nie ciągnie bez końca. Dziadek mówił, że dalej na południu znajduje się wielka bariera, a za nią leży od dawna zakazane miejsce, zwane Starym Światem.

Daleko, wśród zielonych plam na równinie w pobliżu pogórza, widziała letnią siedzibę swoich. Drewniane płoty zamykały wyrwy w prastarych kamiennych murach; trzymali tam kozy, świnie i kury. Część bydła pasła się na letnich pastwiskach. Była tam woda i trochę drzew o liściach połyskujących w jaskrawym blasku słońca. Obok zwykłych ceglanych domów, które od niezliczonych stuleci opierały się zimowym wichrom i palącemu letniemu słońcu, widać było ogrody.

Jillian znów spojrzała na Lokeya i wtedy zobaczyła na horyzoncie, od zachodniej strony, wzbijający się w górę obłok kurzu.

Był tak odległy, że wydawał się maleńki. Smużka pyłu widoczna na tle ciemnoniebieskiego nieba zdawała się nieruchomo wisieć w powietrzu, lecz Jillian wiedziała, że to tylko złudzenie wywołane odległością. Nawet stąd widziała, jakim szerokim pasem się ciągnie, choć nie mogła dostrzec, co wzbija ów tuman kurzu. Gdyby nie Lokey, w ogóle by tego nie zauważyła.

Była pewna, że jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziała.

Najpierw pomyślała, że to burza piaskowa. Ale potem się zorientowała, że to za szerokie na trąbę powietrzną i że burza piaskowa nie unosi w ten sposób piachu ku niebu. Burza piaskowa, nawet jeżeli wznosi się wysoko, to i tak ma u podstawy wielkie, kłębiące się bure chmury, sunące tuż nad ziemią, gdzie porywisty wicher wzbija kurz.

Jednak to wcale tak nie wyglądało. Ten kurz wzbijało coś, co się zbliżało-

jeźdźcy. Obcy.

Więcej obcych, niż sobie potrafiła wyobrazić. Obcy tak liczni, jak z opowieści dziadka.

Pod Jillian ugięły się kolana. Wezbrał w niej strach i ulokował się w gardle, gdzie rodził się krzyk.

To byli oni. Obcy, o których nadejściu zawsze mówił dziadek. I właśnie nadciągali.

Ludzie nigdy nie zaprzeczali dziadkowi - przynajmniej w oczy - lecz Jillian wątpiła, czy się naprawdę przejmowali tym, o czym opowiadał. W końcu żyli spokojnie, gdyż nigdy nikt nie zakłócił spokoju ich ojczyzny.

Jednak Jillian zawsze wierzyła dziadkowi i dlatego zawsze wiedziała, że obcy w końcu się zjawią - lecz podobnie jak inni, spodziewała się, że to nastąpi w mglistej przyszłości, może kiedy już będzie stara, a może dopiero wiele pokoleń później.

I tylko czasami w koszmarach śniła, że obcy zjawią się teraz, a nie w odległej przyszłości.

Kiedy zobaczyła słupy wzbijanego kurzu, nie miała już wątpliwości, że nadchodzą.

Nigdy w życiu nie widziała obcych. Nikt poza jej pobratymcami nie zapuszczał się na niegościnne, jałowe, rozległe i posępne tereny, znane jako Głęboka Głusza.

Stała, drżąc ze strachu i wpatrując się w pasmo kurzu na horyzoncie. Wkrótce zobaczy takie mnóstwo obcych... ludzi z opowieści.

Ale to nadchodziło zbyt szybko. Jeszcze nie przeżyła zbyt wiele, nie zdążyła pokochać i mieć dzieci. Łzy napłynęły jej do oczu, rozmywając widok. Obejrzała się przez ramię na ruiny. Czy właśnie to ich spotkało, jak w dziadkowych opowieściach?

Po pokrytych pyłem policzkach dziewczynki zaczęły płynąć łzy. Wiedziała, wiedziała na pewno, że jej życie zaraz się odmieni, że jej sny już nie będą radosne.

Jillian zsunęła się ze sterty gruzu, na której stała, i zbiegła ze wzgórza, mijając mur, czworoboki zrujnowanych ceglanych domów, wyrwy, w których niegdyś wznosiły się budynki. Jej stopy też wzbijały kurz, kiedy tak biegła przez ruiny niegdysiejszych obrzeży prastarego miasta. Biegła ulicami, przy których już nie było domów.

Często próbowała sobie wyobrazić, jak tu było, kiedy w domach mieszkali ludzie, gotowali posiłki, chodzili ulicami, wieszali pranie, handlowali na placach. To już minęło. Wszyscy dawno pomarli. Całe miasto wymarło - jedynie w najdalej stojących starych domach pomieszkiwali czasem pobratymcy Jillian.

Kiedy się zbliżyła do budynków na obrzeżu, w których mieszkają latem, zobaczyła, że ludzie się uwijają, krzyżąc do siebie. Że zbierają rzeczy i spędzają zwierzęta. Jakby mieli stąd odejść - może wrócić pod osłonę gór, a może się zapuścić na jałowe pustkowi. Tylko parę razy wcześniej widziała coś takiego. I zagrożenie zawsze się okazywało urojone. Jillian wiedziała, że tym razem jest realne.

Nie była jednak pewna, czy wystarczy im czasu, żeby uciec przed nadciągającymi obcymi i się ukryć. Lecz jej pobratymcy byli szybcy i silni. Byli przyzwyczajeni do podróżowania po pustkowi. Dziadek mówił, że nikt poza nimi nie przeżyłby w takim opuszczonym i zapomnianym miejscu. Zнали górskie przełęcze i wiedzieli, gdzie jest woda; znali też ukryte szlaki przez pozornie nieprzebyte kaniony. Mogliby zniknąć w niegościnnych okolicach i przeżyć.

A przynajmniej większość z nich. Niektórzy, jak jej dziadek, już nie byli sprawni.

Strach powrócił i biegła jeszcze szybciej, wybijając stopami równy rytm na pylistej ziemi. Znalazła się jeszcze bliżej i zobaczyła, jak mężczyźni ładują dobytek na muły. Kobiety zbierały sprzęt kuchenny, napełniały wodą pojemniki, wnosiły odzież i namioty z letnich domów i magazynów. Jillian miała wrażenie, że już od jakiegoś czasu wiedzieli o nadciągających obcych, bo przygotowania do drogi były już mocno zaawansowane.

- Mamo! - zawołała Jillian, kiedy zobaczyła matkę, ładującą garnek na i tak już mocno obciążonego muła. - Mamo!

Matka uśmiechnęła się do niej, wyciągnęła ku niej rękę. Choć już właściwie z tego wyrastała, to teraz wtuliła się pod matczyne ramię jak pisklę pod skrzydło.

- Zbierz swoje rzeczy, Jillian - ponagliła ją matka. - Pospiesz się. Jillian wiedziała, że w takiej chwili lepiej się nie sprzeciwiać.

Otarła łzy i pobiegła do niewielkiego, prostokątnego, starego domostwa, w którym mieszkali, kiedy spędzali lato na równinach w pobliżu rubieży.

Czasami trzeba było naprawiać dachy, kiedy zerwała je wichura - lecz reszta przysadzistej, mocnej konstrukcji trwała nienaruszona od czasów, kiedy ją zbudowali przodkowie, twórcy i mieszkańcy opustoszałego teraz miasta Caska.

Dziadek, blady i wymizerowany, czekał w mroku, tuż za drzwiami. Nie spieszył się. Dziewczynkę ogarnęło przerażenie. Zdała sobie sprawę, że dziadek nie może pójść z nimi. Był stary i kruchy. I jak niektórzy inni starsi ludzie nie byłby w stanie dotrzymać reszcie kroku, gdyby trzeba było uciekać. Wyczytała w jego oczach, że nawet nie ma zamiaru próbować.

Padła dziadkowi w ramiona i rozplakała się, a on ją pocieszał.

- No, no, dziecinko - powiedział, gładząc jej krótkie włosy. - Nie czas na to.

Chwycił ją za ramiona i delikatnie odsunął, Jillian zaś z całej siły starała się zdławić szloch. Wiedziała, że jest już za duża, żeby tak płakać, ale nie mogła się powstrzymać. Dziadek przykucnął, uśmiech pogłębił jego zmarszczki; otarł łzę z policzka wnuczki.

Jillian otarła twarz; starała się być dzielna i zachowywać, jak przystało na dużą dziewczynkę.

- Dziadku, Lokey pokazał mi nadciągających obcych. Potaknął.

- Wiem. Wysłałem go.

- Och.

Tyle tylko potrafiła powiedzieć. Cały jej świat stawał na głowie i trudno jej było zebrać myśli, a jednak jakąś cząstką umysłu pojęła, że dziadek nigdy wcześniej czegoś takiego nie zrobił. Nawet nie wiedziała, że potrafi to zrobić; ale wcale się nie zdziwiła, bo dobrze знаła swojego dziadka.

- Posłuchaj mnie, Jillian. To nadchodzą ci, o których zawsze ci mówiłem. Ci z nas, którzy mogą, muszą się na jakiś czas ukryć.

- Na jak długo?

- Ile będzie trzeba. Ci, co ku nam jadą, to zaledwie mała część tych, którzy w końcu się zjawiają.

Szeroko otworzyła oczy.

- Mówisz, że jest ich więcej? Ale tych przecież jest całe mnóstwo. Wzbijają takie tumany kurzu, jakich w życiu nie widziałam. Może być jeszcze więcej obcych?

Uśmiech dziadka był przelotny i gorzki.

- To oddział zwiadowczy, przednia straż tych, którzy zjawiają się później. Nie znają tej rozległej i odludnej krainy. Uważam, że szukają wiodących przez nią dróg i sprawdzają, czy natkną się na jakiś opór. Opowieści mówią, że przeprowadzają zwiady dla armii tak licznej, że nawet mnie trudno to pojąć.

Ta niezliczona armia nadciągnie dopiero za jakiś czas, lecz nawet ci ze straży przedniej są groźni i nie znają litości. Dlatego ci z naszego ludu, którzy mogą, powinni teraz uciec i się ukryć. Lecz ty, Jillian, nie możesz z nimi odejść.

Rozdziawiła buzię.

- Cooo...?

- Wysłuchaj mnie. Nadeszły czasy, o których ci opowiadałem.

- Ale mama i tata nie pozwolą...

- Pozwolą, jeżeli im każę; jeżeli powiem, na co musi przystać nasz lud - rzekł stanowczo. - To dotyczy poważnych spraw, w które nigdy dotąd nie byliśmy wmieszani. Teraz to wszystko dotyczy i nas.

Jillian z powagą potaknęła.

- Tak, dziadku.

Była przerażona, ale budziło się w niej poczucie obowiązku. Skoro dziadek zamierzał jej powierzyć tak ważne zadanie, to nie mogła go zawieść.

- Co mam zrobić?

- Będiesz kapłanką kości, zsyłającą sny. Jillian znów rozdziawiła buzię.

- Ja?

- Tak, ty.

- Ale jestem jeszcze za młoda. No i nie uczyłam się tego.

- Już nie ma czasu, dziecko. - Pochylił się ku niej. - To twoje zadanie, Jillian. Już cię nauczyłem większości opowieści. Możesz myśleć, że jeszcze nie jesteś gotowa do tego i za młoda, ale wiesz więcej, niż ci się wydaje. Poza tym nie ma nikogo innego. Musisz to zrobić.

Jillian sparaliżowało. Czuła się zupełnie niezdatna do tego zadania, a jednocześnie była trochę podekscytowana i odrobinę podniesiona na duchu. Jej lud na nią liczył. A co ważniejsze, dziadek na nią liczył i wierzył, że ona sobie poradzi.

- Dobrze, dziadku.

- Przygotuję cię do pobytu pośród zmarłych, a potem musisz się wśród

nich ukryć i czekać.

Znów zaczął ją ogarniać strach. Jeszcze nigdy nie została sama pośród zmarłych.

Jillian przeknęła ślinę.

- Jesteś pewny, dziadku, że jestem gotowa do czegoś takiego? Że mogę sama jedna przebywać pośród zmarłych? Czekać na jednego z nich?

Wpadające przez otwarte drzwi światło nadawało twarzy dziadka osobliwy wyraz.

- Jesteś na tyle gotowa, na ile cię zdołałem do tego wyszkolić. Miałem nadzieję, że zdążę cię jeszcze wiele nauczyć, no ale przynajmniej przekazałem ci choć część tego, co powinnaś wiedzieć.

Na zewnątrz ludzie krzętałi się pospiesznie w słonecznym blasku, przygotowując się do drogi. Bardzo uważali, żeby nie spojrzeć w mrok, na dziadka, kiedy już ją od nich odciągnął i tłumaczył, co ją czeka.

- Prawdę mówiąc i mnie to zaskoczyło. Opowieści przekazywano sobie od tysięcy lat, lecz nie wspominały, kiedy to się może wydarzyć. Właściwie nigdy nie wierzyłem, że to się stanie za mojego życia. Pamiętam, jak mój dziadek opowiadał mi to, co przekazałem tobie, a ja raczej nie wierzyłem, że to się w ogóle stanie: chyba że w tak odległej przyszłości, że nie będzie już miało żadnego związku z moim życiem. Lecz ów czas właśnie nadszedł i musimy zrobić, co w naszej mocy, żeby wypełnić wolę naszych przodków. Musimy być gotowi, jak nas uczono poprzez opowieści.

- Jak długo mam czekać?

- Tego nie potrafię ci powiedzieć. Musisz się skryć wśród duchów. Ty i ja, jak to przez wieki czynili wszyscy opowiadacze, jak to robi Lokey, ukryliśmy zapasy żywności właśnie na taką okazję. Będziesz miała czym napełnić brzuszki. A kiedy będziesz mogła bezpiecznie wyjść z kryjówki, to złowisz coś lub zapolujesz.

- Dobrze, dziadku. A nie mógłbyś się ukryć razem ze mną?

- Zaprowadzę cię tam, pomogę się przygotować i powiem ci, co tylko zdołam. Ale potem muszę tutaj wrócić i pomóc przekonać obcych, że ich serdecznie witamy, żeby reszta naszych zdążyła uciec, a ty żebyś mogła się ukryć. Nie jestem ani tak szybki jak ty, ani tak mały, żeby się mógł wśliznąć w na tyle wąskie przejścia, by oni nie mogli tam za mną wejść. Muszę tu wrócić i zrobić, co do mnie należy.

- A jeśli cię skrzywdzą? Dziadek westchnął.

- Może się tak zdarzyć. Ci, co nadchodzą, będą do tego zdolni, dlatego to wszystko jest takie ważne. Są okrutni, ale my musimy być silni i nie wolno nam się poddać. Nawet jeżeli umrę - pogroził jej palcem - a możesz być pewna, że zrobię wszystko, żeby się tak nie stało, to kupię wam czas, którego potrzebujecie. Jillian przygryzła wargę.

- Boisz się śmierci?

Z uśmiechem kiwnął głową.

- I to bardzo. Ale już długo żyłem i bardzo cię kocham, więc chciałbym, żebyś i ty miała długie życie.

- Dziadku - powiedziała, łykając łzy - chcę być z tobą przez całe życie.

Wziął ją za rękę.

- I ja też, dziecinko. Chcę zobaczyć, jak wyrastasz na kobietę i masz własne dzieci. Ale nie chcę, żebyś się za bardzo o mnie martwiła; nie jestem ani bezradny, ani głupi. Będę siedział spokojnie z innymi i w niczym nie zagrożę obcym. Opowiemy im, że reszta naszych w panice uciekła, ale my nie mogliśmy. Obcy pewnie będą mieć ważniejsze rzeczy do roboty i nie zechcą marnować energii na krzywdzenie nas. Nic się nam nie stanie. Chcę, żebyś myślała o tym, co musisz zrobić, a nie martwiła się o mnie.

Jillian trochę ulżyło, że będzie bezpieczny.

- Dobrze, dziadku.

- Poza tym Lokey będzie z tobą i będzie niósł mojego ducha, więc będzie prawie tak, jakbym to ja cię strzegł. - Kiedy się uśmiechnęła, słysząc to, dodał: - A teraz chodź. Musimy się przygotować.

Rodzice Jillian mogli się z nią pospiesznie pożegnać po tym, jak dziadek zdecydowanie im oznajmił, że ją zabiera, by przebywała pośród duchów ich przodków i zadbała o bezpieczeństwo ich ludu.

Albo pojmwali, że powinni pozwolić córce odejść, albo zbyt się bali dziadka, żeby protestować. Uściskali ją i życzyli, by wytrwała, aż znów będą mogli być razem.

Potem zabrał ją dziadek, ludzie zaś długo patrzyli za nimi. Prowadził ją pradawnymi drogami i poprzez wąwozy, obok opuszczonych przyczółków i tajemniczych budowli, stale pod górę. Wspinali się, a słońce na zachodzie schowało się za złocistym obłokiem pyłu, który powoli, lecz nieustannie się zbliżał. Wiedziała, że większość jej ludu odejdzie, zanim słońce zajdzie.

Cienie w wąwozach gęstniały i wydłużały się. Gładki kamień, obramowany wijącymi się pasmami skał, kusił, żeby się przekonali, co się kryje za każdym kolejnym zakrętem. Na żwirze leżały tu i ówdzie kości niewielkich zwierząt. Wiedziała, że większość to resztki pozostawione przez kojoty i wilki. Bardzo się starała przepędzić z myśli obraz własnych zbieleńszych kości, rozsypanych na żwirze.

Lokey leniwie kołował na ciemniejącym błękitnie nieba i patrzył, jak Jillian idzie z dziadkiem na przedgórze. Kiedy dotarli do kamiennych iglic, ptak cicho wśliznął się pomiędzy owe kolumny, jakby były łowną zwierzyną. Tak wiele razy towarzyszył im do pradawnego miasta, że pewno go to już w ogóle nie dziwiło. Za to dla Jillian tym razem było zupełnie inaczej - chociaż dziadek tak często ją prowadził przez ten labirynt wąwozów, żlebów i głębokich kanionów.

Bo tym razem szła jako kapłanka kości, zsyłająca sny.

W miejscu, gdzie cichy potok wił się po zwirowatym dnie bardzo głębokiego kanionu, dziadek podprowadził ją do niewielkiego głazu, leżącego w chłodnym cieniu, i posadził ją na nim. Dokoła nich gładkie ściany wznosiły się niemal pionowo w górę - nie można byłoby się po nich wdrapać, gdyby nagle po deszczu wezbrała woda. To było niebezpieczne miejsce - i to nie tylko z powodu ewentualnej nagłej powodzi. Była to płatanina bocznych kanionów i wąwozów, miejscami tak meandrujących wokół olbrzymich skalnych kolumn, że można byłoby tu bez końca krążyć i nigdy nie znaleźć wyjścia. Ale Jillian знаła drogę nie tylko przez ten labirynt, lecz i przez inne.

Siedziała spokojnie, a dziadek otworzył mieszek, który zawsze miał przytroczone do pasa. Wyjął z niego małe zawiniątko z impregnowanego płótna i otworzył je, trzymając w dłoni. Zanurzył palec wskazujący w mazistej czarnej substancji. Uniósł Jillian głowę.

- Teraz się nie ruszaj, pomaluję ci twarz.

Jeszcze nigdy nie była malowana. Wiedziała o tym wymogu z dziadkowych opowieści, ale nigdy nawet nie pomyślała, że to właśnie ona zostanie kapłanką kości, że to ją pomalują. Siedziała zupełnie nieruchomo i miała wrażenie, że to wszystko stało się za szybko - zanim się naprawdę zdążyła nad tym zastanowić. Jeszcze niedawno obchodziło ją tylko schwytanie jaszczurki dla Lokeya. Teraz czuła na barkach brzemień całego świata.

- No już - rzekł dziadek. - Przyjrzyj się sobie.

Uklękła koło nieruchomej sadzawki i nachyliła się. Wstrzymała oddech. Zobaczyła coś przerażającego. Patrzyła na nią twarz przecięta czarną wstęgą, niczym przepaską na oczy, lecz taką, która pozwala widzieć. Z czarnej maski spoglądały na nią własne, miedzianej barwy, oczy.

- Teraz złe duchy cię nie dostrzegą - powiedział dziadek, wstając. - Możesz bezpiecznie przebywać pośród naszych przodków.

Jillian też wstała; bardzo dziwnie się czuła. Czuła się odmieniona. Twarz, którą zobaczyła, była twarzą kapłanki. Słyszała o czymś takim w opowieściach dziadka, ale nigdy nie widziała; a już zupełnie się nie spodziewała, że to będzie jej twarz.

Pochyliła się i zerknęła na spokojną taflę wody.

- I to naprawdę mnie ukryje?

- Zapewni ci bezpieczeństwo - odparł, kiwnąwszy potakująco głową.

Zastanawiała się, czy Lokey ją pozna, czy się jej nie wystraszy. Boją samą odbicie w lustrze wody na pewno wystraszyło.

- Chodź - odezwał się dziadek - muszę cię tam zaprowadzić i potem wrócić, żeby obcy znaleźli mnie z naszymi, którzy zostali.

Kiedy wyszli pomiędzy iglic i skalnych kanionów, znaleźli się wreszcie w pobliżu miasta, tuż przed wielkim głównym murem, ale w granicach jednego z zewnętrznych kręgów niższych murów.

Wyszli w pobliżu cmentarza.

- Prowadź, Jillian - zaprosił ją gestem dziadek. - Teraz jesteś tu u siebie.

Jillian skinęła głową i ruszyła ku miastu, połyskującemu w złocistym blasku chylącego się ku zachodowi słońca. Widok był równie piękny jak zawsze, lecz dziś wydał się jej również niesamowity. Jakby patrzyła na miasto innymi oczami. Teraz naprawdę czuła więź z przodkami.

Wspaniałe budowle wyglądały tak, jakby wciąż mieszkali w nich ludzie; jakby mogła ich dostrzec w pustych otworach okiennych, jak się krzątają przy codziennych zajęciach. Niektóre budynki były olbrzymie; strzeliste kolumny podtrzymywały wysunięte łupkowe dachy. Inne domy miały na każdym piętrze rzędy łukowatych okien. Dziadek zaprowadził ją do paru z nich. Dziwnie było zobaczyć domy, mające w środku kilka kondygnacji, tak że trzeba było wchodzić po schodach, żeby się dostać do pomieszczeń na górze. Dawni budowniczowie musieli mieć niemal magiczne zdolności,

skoro potrafili czegoś takiego dokonać. Z oddali, w złocistym blasku słońca, wyglądało to naprawdę majestatycznie.

Teraz będzie sama chodzić ulicami; towarzyszyć jej będą wyłącznie duchy tych, którzy tu niegdyś żyli. Czuła się mimo to bezpieczna, bo dziadek namalował jej maskę kapłanki kości.

To ona ześle sny na obcych.

Jeżeli dobrze się sprawi, obcy będą tak wystraszeni, że uciekną i jej lud będzie bezpieczny.

Starła się nie myśleć o tym, że dawni mieszkańcy miasta zrobili niegdyś to samo, lecz bez powodzenia.

- Myślisz, że będzie ich zbyt wielu? - spytała, nagle wystraszona opowieściami o owej pradawnej porażce.

- Zbyt wielu? - zdziwił się dziadek.

Szli obok muru, obrośniętego pnączami, które spajały kruszące się kamienie.

- Zbyt wielu na sny. Jestem sama, no i ani nie jestem doświadczona, ani starsza i w ogóle. To po prostu ja.

Poklepał ją uspokajająco po plecach.

- Liczebność nie ma znaczenia. On da ci siły, których potrzebujesz. - Ostrzegawczo uniósł palec. - I pamiętaj, Jillian, że opowieści mówią, iż musisz mu być oddana. To twój władca.

Skinęła głową; weszli na rozległy cmentarz. Na samym dole były zwykłe kamienne płyty. Wchodzili coraz wyżej, mijając kolejne rzędy grobów, aż doszli do większych i bardziej ozdobnych nagrobków. Na niektórych stały wspaniałe posągi w dumnych pozach. Na innych wyrzeźbiono płomień życia, symbolizujący chwałę Stwórcy. Na jeszcze innych widniały bardzo stare inskrypcje o wiecznotrwałej miłości. Na paru był tylko starodawny symbol - dziadek powiedział, że nazywano to Grace. Na niektórych wspaniałych grobowcach widniało tylko imię.

Daleko w głębi cmentarza, w pobliżu najwyższego punktu, gdzie rosły większe i powykręcane drzewa, dotarli wreszcie do wielkiego, wspaniale rzeźbionego, kamiennego grobowca. Stała na nim urna z cętkowanego szarego granitu, z oliwkami, gruszkami i innymi owocami oraz zwisającymi z jednej strony kiściami winogron - wszystko zostało wyrzeźbione z jednego kamiennego bloku. Dziadek - który wiele razy przyprowadzał Jillian do tego

grobowca, kiedy ją uczył opowieści - mówił, że urna ma symbolizować dostatnie życie, jakie człowiek zdobywa dzięki twórczym wysiłkom i ciężkiej pracy.

Dziadek przyglądał się Jillian, kiedy się zatrzymała, a potem zbliżyła do wielkiego grobowca kogoś dawno zmarłego, grobowca wyrzeźbionego z jednego kamiennego bloku w czasach, kiedy prastare miasto tętniło życiem. Zastanawiała się, jaki był ów człowiek. Czy był miły czy okrutny, młody czy stary.

Lokey usiadł na kamiennych winogronach i nastroszył lśniące czarne pióra; wygodniej się usadowił. Cieszyła się, że Lokey dotrzyma jej towarzystwa w tak odludnym miejscu.

Jillian wyciągnęła rękę i powiodła palcem po wyrzeźbionych w szarym granicie literach imienia.

- Myślisz, dziadku, że opowieści są prawdziwe? Że na pewno mówią prawdę?

- Nauczono mnie, że tak.

- To on na pewno wróci do nas ze świata umarłych? Naprawdę znów ożyje?

Obejrzała się przez ramię. Dziadek, stojący tuż za nią, wyciągnął rękę i ze złości dotknął kamiennego grobowca. Z powagą skinął głową.

- Tak.

- To będę na niego czekać, kapłanka kości będzie tutaj, żeby go powitać i służyć mu, kiedy powróci do życia.

Jillian przelotnie spojrzała na chmurę pyłu na horyzoncie i znów popatrzyła na grobowiec.

- Pospiesz się, proszę - błagała zmarłego.

Dziadek patrzył, jak delikatnie powiodła paluszkami po wyrzeźbionych w granicie wypukłych literach.

- Bez ciebie nie mogę zesać snów - powiedziała cicho. - Pospiesz się, błagam, Richardzie Rahlu, i wróć do świata żywych.

ROZDZIAŁ 45

Koń Nicci, Sa'din, przemierzał puste miasto; stukot kopyt o kamienny bruk niósł się echem pomiędzy opuszczonymi domami niczym żałosny krzyk, na który nikt nie reaguje. Barwne okiennice czasem były otwarte, czasem zaś zamknięte. Z wielu budynków wystawały nad ulicę małe balkony o balustradach z kutego żelaza, zasłony w drzwiach balkonowych były dokładnie zasunięte. Nie było wiatru, który by powiewał nogawkami spodni, wiszących na sznurze rozciągniętym pomiędzy domami stojącymi naprzeciwko siebie przy opustoszałej uliczce. Właściciel spodni już dawno stąd odszedł.

Cisza była tak niesamowita, że aż złowieszcza. Dziwnie było znajdować się w opuszczonym przez mieszkańców mieście - niegdyś dawało schronienie życiu, teraz było pustą skorupą. Jakby się patrzyło na zwłoki - niby tak bliskie życia, a przecież tak nieruchome, że nie było wątpliwości co do okrutnej prawdy. Jeżeli miasto takie pozostanie, jeżeli nie powróci tu życie, to w końcu popadnie w ruinę.

Przez wąskie prześwity pomiędzy budynkami Nicci dostrzegła Wieżę Czarodzieja, wtopioną w skalny stok olbrzymiej góry. Rozległa, ciemna budowla wznosiła się wysoko na stoku niczym groźny sęp, gotowy zerować w szczątkach ucichłego miasta. Iglice, baszty i wysokie mosty wieży zahaczały o chmury, wolno płynące obok urwistej, spękanej skalnej ściany. Nicci jeszcze nigdy nie widziała tak złowrogo wyglądającej, olbrzymiej budowli. Wiedziała, że w rzeczywistości nie jest to wcale złowrogie miejsce, i cieszyła się, że wreszcie tu dotarła.

Podróż ze Starego Świata do Aydindril była długa i trudna. Czasem Nicci się bała, że nie zdoła się wymknąć porozstawianym wzdłuż drogi oddziałom. Bywało i tak, że poświęcała czas na zabijanie ich. Było ich jednak tak wiele, że wiedziała, iż nie może mieć nadziei na to, że zdoła w znaczący sposób zmniejszyć liczebność żołnierzy. Wściekało ją, że nie może bardziej im się dać we znaki. No ale przecież chodziło jej przede wszystkim o dotarcie do Richarda. Oddziały Ładu były jedynie zawadą utrudniającą podróż.

Dzięki magicznej więzi, którą się połączyła z Richardem, wiedziała, że wreszcie jest blisko niego. Jeszcze go nie odnalazła, lecz wiedziała, że już

wkrótce to nastąpi.

Zanim wyruszyła w podróż, przez pewien czas wątpiła, czy go w ogóle jeszcze kiedyś zobaczy.

Walka o Altur'Rang była ciężka. Oddziały napastników, początkowo, z nastaniem zmierzchu, zaskoczone i porządnie wykrwawione - lecz niestety doświadczonych i zaprawionych w bojach - szybko odzyskały kontenans, przegrupowały się i w blasku wywołanych przez siebie pożarów starały się odmienić losy bitwy.

Choć Nicci dobrze wiedziała, jak Jagang by postąpił z rebelią w Altur'Rang, to nie spodziewała się, że rzuci na nich aż takie siły. Przez pewien czas się wydawało, że oddziały Ładu - dzięki pomocy trzeciego czarodzieja, którego obecności nikt się nie spodziewał - pokonają niedoświadczonych obrońców. Przez okropną, beznadziejną chwilę zdawało się, że wysiłki broniących się mieszkańców Altur'Rang pójdą na marne. Przegrana i późniejsza rzeź wydawały się nieuniknione i bliskie. Przez pewien czas Nicci i ci, co byli przy niej, sądzili, że nie przeżyją tej nocy.

Była poraniona i wyczerpana, lecz myśl, że już nigdy nie zobaczy Richarda - właśnie ta myśl, a nie szczere pragnienie wspomnienia ludzi, których poznała w Altur'Rang, oraz tych niewinnych i bezradnych istot, które by zostały zamordowane, gdyby przegrali - dodała Nicci sił i woli do dalszej walki. Wykorzystała lęk przed tym, że już nigdy nie ujrzy Richarda, żeby na nowo rozbudzić w sobie dziką wściekłość, którą ugasić mogła jedynie krew wroga.

W krytycznym momencie bitwy, w ostrym, migotliwym blasku ryczących płomieni z płonących wokół budynków, kiedy czarodziej nieprzyjaciela stał na pokrywie miejskiej studni na otwartym placu, zsyłając śmierć i cierpienie i poganiając do walki swoich, Nicci pojawiła się niczym demon zemsty wśród szeregów wroga i również wskoczyła na pokrywę studni. Było to tak niespodziewane, że przyciągnęło uwagę wszystkich. I w owej króciutkiej chwili, kiedy wszyscy, osłupiali ze zdumienia, się na nią gapili, na oczach wszystkich żołnierzy Ładu Nicci zniemacka rozplatała pierś zdumionego czarodzieja i gołą ręką wyrwała mu ciągle jeszcze bijące serce. Z dzikim okrzykiem gniewu uniosła krwawe trofeum, żeby wszyscy jego ludzie mogli je zobaczyć, i przyobiegała, że ich czeka to samo.

I wtedy w tłum napastników wdarł się Victor Cascella ze swoimi ludźmi.

On również kipiał gniewem - szło mu nie tylko o to, ta banda zbirów mogłaby wymordować mieszkańców i złupić Altur'Rang, ale przede wszystkim o to, że odebrali mu z trudem zdobytą wolność. Gdyby miał magiczny dar, to jego pałające gniewem spojrzenie położyłoby trupem przeciwników. I tak jego odważny atak był nieoczekiwany i zaciekły. Owe dwa wydarzenia złamały ducha napastników. Żaden z nich nie chciał stawić czoła gniewnemu kowalowi i paść pod wściekłymi ciosami jego maczugi; żaden nie miał też ochoty, żeby mu wyrwała serce rozszalała czarodziejka, wyglądająca niczym demon zemsty i wcielona śmierć.

Dobrowolne oddziały Ładu zawróciły i starały się uciec z miasta przed rozeźlonymi ludźmi. Nicci - zamiast pozwolić się mieszkańcom Altur'Rang cieszyć ze zwycięstwa - nalegała, żeby wroga ścigać i wybić do nogi.

Ona jedna rozumiała, jak ważne było, żeby ani jeden żołnierz nie uciekł i nie rozpoviedziało o przegranej. Imperator Jagang będzie czekać na wieść, że jego rodzinne miasto znów wróciło pod jego władzę, że buntowników zadźwżono na śmierć, że mieszkańców miasta powalono na kolana, że miała miejsce taka rzeź, która już na zawsze będzie ostrzeżeniem dla innych.

Choć Jagang spodziewał się sukcesu, Nicci wiedziała, że nie przejąłby się zbyt wiele o przegranej. Już wcześniej przegrywał bowiem bitwy. To by go nie powstrzymało. Po stratach poznawał siłę oporu. Po prostu następnym razem wysłałby liczniejsze oddziały, żeby wykonały zadanie i zrobiły to najokrutniej jak można - nie tylko dlatego, żeby sobie zapewnić zwycięstwo, ale żeby dodatkowo ukarać ludzi za stawianie mu oporu.

Nicci dobrze go znała. Nic go nie obchodziło życie jego żołnierzy. Skoro walczyli dla Ładu i zginęli, to dostąpią nagrody na tamym świecie. Na tym świecie powinni się poświęcać.

Lecz jeżeli do Jaganga nie dotrze żadna wieść o bitwie o Altur'Rang, to zupełnie co innego.

Nicci wiedziała, że brak wiadomości irytował Jaganga bardziej niż jakikolwiek przeciwnik. Nie cierpiał nieznanego. Wiedziała, że brak wieści o doborowych oddziałach i towarzyszących im trzech niezwykle cennych czarodziejach będzie go dręczyć bez końca. Że bezustannie będzie obrabiał w myślach tę tajemnicę, tak jak ktoś nerwowo nieustannie przesuwa w palcach sznur paciorków.

I w końcu brak wieści o wyniku bitwy o Altur'Rang wystraszy go bardziej niż zwyczajna porażka. Nie lękał się tracić żołnierzy - życie niewiele dlań znaczyło - więc z porażką łatwo by sobie poradził, lecz zdecydowanie nie lubił nieznanego. A co gorsza, jego armia, składająca się z ludzi przesądnych, mogłaby takie wydarzenie uznać za zły omen.

Nicci jechała krętą, wąską, brukowaną ulicą; wyjechała z za zakrętu i podniosła wzrok - pomiędzy stojącymi po obu stronach budynkami ujrzała widok, który zaparł jej dech w piersi. Na odległym wzgórzu, w blasku słońca, otoczony szmaragdową zielenią, stał przepiękny pałac z białego kamienia. Jeszcze nigdy nie widziała tak wytwornej budowli. Tak dumnej, mocnej i pełnej kobiecego wdzięku. Od razu się domyśliła, że to musi być Pałac Spowiedniczek.

Ta wspaniała, władcza i jasna budowla ostro kontrastowała z widoczną za nią olbrzymią górą, na której stoku wznosiły się ciemne i ogromne mury Wieży Czarodzieja. Nicci nie miała wątpliwości, że Pałac Spowiedniczek miał być majestatem, który wspiera groźba.

W końcu to stąd przez tysiąclecia władano Midlandami. Większe krainy Midlandów miały w mieście pałace dla swoich ambasadorów i członków Naczelnej Rady, która rządziła całą wspólnotą krain. Matka Spowiedniczka przewodziła nie tylko Spowiedniczkom, ale i Naczelnej Radzie. Podlegali jej królowie i królowe oraz władcy wszystkich krain Midlandów. Z tej wąskiej uliczki Nicci nie widziała poszczególnych pałaców, lecz wiedziała, że żaden z nich nie był tak wspaniały jak Pałac Spowiedniczek, mający w tle wyniosłą wieżę.

W luce pomiędzy stojącymi z boku domami dostrzegła jakiś ruch. Przyjrzała się baczniej - to pył wzbijał się w nieruchome powietrze; ściągnęła wodze, zawracając Sa'dina, i skierowała go w boczną uliczkę. Puściła go w cwał. Pognął wąską uliczką o gruntowej nawierzchni. Pośród domów widziała wzbijany w oddali kurz. Ktoś pędził drogą ku górze, na której stała wieża. Dzięki łączącej ją z nim więzi wiedziała, kto to.

Nicci pomogła mieszkańcom rozprawić się z groźbą wiszącą nad Altur'Rang głównie po to, żeby bez zwłoki wyruszyć za Richardem. To wcale nie znaczyło, że nie dbała o mieszkańców, że nic jej nie obchodziło pozbycie się łotrów, wysłanych, żeby ich zmasakrować - po prostu dla niej najważniejsze było jak najszybsze dołączenie do Richarda. Początkowo

chciała jechać co koń wyskoczy i dogonić jego i Careę, ale raz-dwa się okazało, że to niemożliwe. Zbyt szybko podróżował. Kiedy Richard miał przed sobą konkretny cel i był zdecydowany go osiągnąć, nic go nie mogło powstrzymać.

Nicci zrozumiała, że jeżeli chce się z nim znowu spotkać, to nie powinna go ścigać, lecz jechać tam, dokąd miał się później udać. Wiedziała, że wiedźma nie pomoże mu odszukać kobiety, która nie istnieje, więc doszła do wniosku, że potem Richard skieruje się ku północy i spróbuje uzyskać pomoc od jedyne go znanego mu czarodzieja - od własnego dziadka, Zedda, w Wieży Czarodzieja w Aydindril. Ciągle jeszcze była daleko na południowym wschodzie, więc postanowiła wybrać najkrótszą drogę do Aydindril - miała do przebycia o wiele krótszą trasę niż on i na pewno się z nim tam spotka.

Wyjechała z miasta i jej serce przyspieszyło rytm - miała rację, to był on; nareszcie zobaczyła Richarda.

Wraz z Cara gnali drogą, ciągnąc za sobą długą wstęgę kurzu. Nicci przypomniała sobie, że wyjechali z Altur'Rang mając sześć koni; teraz mieli tylko trzy. Widząc, jak jadą, domyśliła się, dlaczego tak się stało. Kiedy Richard coś sobie wbił do głowy, nic go nie mogło powstrzymać. Pewnie zajeździł konie na śmierć.

Kiedy Nicci wypadła z miasta i pognąła ku nim, Richard natychmiast ją zobaczył i zwolnił. Sa'din niósł ją szybko przez niewielkie wzniesienia, obok padoków, stajni, warsztatów, porzuconych straganów, kuźni i ogrodzonych pastwisk ze stajniami dla zwierząt, których już tutaj nie było. Umykały w tył sosnowe zagajniki, Nicci mknęła pod rozłożystymi koronami białych dębów, rosnących miejscami tuż przy drodze.

Już się nie mogła doczekać spotkania z Richardem. Znów miała w życiu cel. Ciekawa była, czy wizyta u wiedźmy w końcu go przekonała, że kobieta z jego snów nie istnieje. Nawet miała cichą nadzieję, że pozbył się urojeń i znów był dawnym Richardem. Tak się ucieszyła, widząc, jak dumnie siedzi na koniu, że przez chwilę się nie głowiła, po co tak gna do wieży.

Podczas tej rozłąki Nicci przemyślała wszystko, co się wydarzyło, starając się precyzyjnie ustalić źródło jego urojeń, i doszła do przerażających wniosków. Nicci - trawiąc to tysiące razy w myślach, starając się przypomnieć sobie każdy szczegół - zaczęła się obawiać, że to ona go w to wpędziła.

Działała wtedy w pośpiechu, starając się uratować mu życie. Rozpraszała ją kręcący się w pobliżu ludzie. Martwiła się, że wróg może w każdej chwili ponownie zaatakować, więc nie śmiała zwolnić tempa swoich działań. Co gorsza, spróbowała czegoś, czego nigdy wcześniej nie robiła - o czym nawet nie słyszała. W końcu magia subtraktywna miała niszczyć, a nie uzdrawiać. Nie miała pojęcia, czy jej działania w ogóle przyniosą jakieś efekty. Wiedziała też jednak, że nie ma innej nadziei, więc nie miała wyboru.

Lecz teraz się obawiała, że przez tę niebezpieczną mieszaninę przypadkowo wywołała kłopoty z pamięcią Richarda, z jego umysłem. Jeżeli to prawda, to nigdy sobie tego nie wybaczy.

Jeżeli popełniła jakiś błąd, stosując magię subtraktywną, i uszkodziła jakiś fragment umysłu Richarda, coś niezbędnego do właściwego kontaktu z rzeczywistością, to już nie będzie można tego naprawić. Magia subtraktywna działała równie nieodwracalnie jak śmierć. Jeśli Nicci uszkodziła Richardowi umysł, to on już nigdy nie będzie taki jak dawniej, zawsze już będzie pozostawał w świecie swoich urojeń i nigdy nie zaakceptuje rzeczywistości... i to będzie jej wina.

Ta myśl doprowadzała ją do rozpaczki.

Richard i Cara zatrzymali się na poboczu, czekali, żeby Nicci do nich dołączyła. U stóp zalesionych wzgórz rozciągały się porośnięte wysoką letnią trawą łąki. Konie skorzystały z okazji i szczypały trawę, podchodzącą aż do drogi.

Nicci uradowała się na widok Richarda. Miał trochę dłuższe włosy i był zakurzony po długiej jeździe, lecz poza tym był równie skupiony, silny, przystojny, władczy, przenikliwy i zdeterminowany jak zawsze; miało się wrażenie, że nic nie uchodzi jego uwagi. Choć był ubrany w zwykły, podróżny strój, to w każdym calu wyglądał na lorda Rahla.

A jednak odnosiła wrażenie, że coś jest z nim nie w porządku.

- Richardzie! - zawołała, gnając ku niemu i Carze, mimo że ją przecież widzieli.

Znalazła się przy nich i zatrzymała Sa'dina. Dopiero teraz zaczął przepływać obok nich kurz, który wzbili. Richard i Cara czekali. Skoro Nicci tak krzyknęła, to się najwyraźniej spodziewali, że powie coś ważnego; a przecież była to tylko oznaka radości.

- Cieszę się, że widzę was całych i zdrowych - powiedziała Nicci. Richard

wyraźnie się rozluźnił, wsparł ręce na łęku siodła. Jego koń otrząsnął się, spędzając muchy z zadu. Cara wyprostowała się w siodle; jej koń stał tuż za wierzchowcem Richarda i lekko potrząsał łbem, dziwując się, że go tak energicznie zatrzymała w galopie.

- I ja się cieszę, że cię widzę w dobrym zdrowiu - rzekł Richard; ciepły uśmiech świadczył, że mówi szczerze.

Nicci chętnie by się radośnie roześmiała na widok tego uśmiechu, ale się opanowała i tylko go odwzajemniła.

- Jak poszło w Altur'Rang? - spytał. - Czy miasto jest bezpieczne?

- Zniszczyliśmy napastników. - Ściągnęła wodze, żeby uspokoić podekscytowanego Sa'dina, i poklepała konia po szyi. - Teraz miasto jest bezpieczne. Victor i Ishaq kazali ci powiedzieć, że są wolni i tak pozostanie.

Richard z zadowoleniem skinął głową.

- Czyli nic ci nie jest? Martwiłem się o ciebie.

- Wszystko w porządku - odrzekła, uśmiechając się szeroko na wieść, że się o nią martwił.

W ogóle nie miała zamiaru wspominać o odniesionych ranach, teraz już wyleczonych. To już nie miało znaczenia. Znow była przecież przy Richardzie.

Sprawiał wrażenie porządnie zmęczonego, jakby wraz z Cara mało co spali w trakcie swej podróży na północ. W krótkim czasie przejechali szmat drogi, więc istotnie nie mieli kiedy wypoczywać.

Nicci nagle pojęła, co jest nie tak. Richard nie miał miecza.

- Richardzie, gdzie jest...

Siedząca za nim Cara łypnęła na nią groźnie i przeciągnęła palcem po gardle, każąc Nicci ugryźć się w język.

- Gdzie pozostałe konie? - spytała pospiesznie Nicci, zmieniając treść pytania i chcąc przerwać paskudną ciszę, jaka nagle zapadła.

Richard westchnął, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy, o co naprawdę chciała spytać.

- Zbyt je przemęczyliśmy. Parę okulało, a reszta padła. Musieliśmy zdobyć nowe konie. Te ukradliśmy z obozu Imperialnego Ładu w pobliżu Galei. Rozkwaterowali oddziały po całych Midlandach. Pożyczyliśmy sobie od nich konie i żywność.

Cara uśmiechnęła się z łobuzerskim zadowoleniem, ale milczała.

Nicci zastanawiała się, jak mu się to udało, skoro nie miał miecza. Potem sobie uświadomiła, jakie to niemądre; przecież to nie miecz czynił Richarda tym, kim był.

- A bestia? - zapytała Nicci.

Richard obejrzał się przez ramię na Carę.

- Spotkaliśmy się parę razy.

Nicci z jakiegoś powodu wyczuła coś niepokojącego w jego głosie, choć nie w słowach.

- Parę spotkań? - spytała. - Jakiego rodzaju? O co chodzi? Co jest nie tak?

- Poradziliśmy sobie, ot i tyle. Porozmawiamy o tym później, kiedy będziemy mieć czas. - Gniewny błysk w oczach Richarda zdradził jej, że bagatelizuje sprawę i nie ma ochoty akurat teraz jeszcze raz tego przeżywać; ściągnął wodze, odwracając uwagę konia od trawy. - Teraz muszę się dostać do wieży.

- A co z wiedźmą? - zapytała Nicci, prowadząc swojego konia obok wierzchowca Richarda. - Czego się dowiedziałeś? Co powiedziała?

- Że to, czego szukam, zostało dawno pogrzebane - mruknął ponuro do siebie; przesunął dłonią po twarzy, otrząsnął się z sekretnych myśli i utkwiał w Nicci przenikliwy wzrok. - Czy mówi ci coś słowo „chainfire”? - Kiedy przecząco potrząsnęła głową, zapytał: - A Głęboka Głusza?

- Głęboka Głusza? - Nicci zastanawiała się przez chwilę. - Nie. A co to takiego?

- Nie mam pojęcia, ale muszę się dowiedzieć. Mam nadzieję, że Zedd zdoła to wyjaśnić. Ruszajmy.

I pognał przed siebie. Nicci natychmiast puściła Sa'dina w galop, żeby nie zostać w tyle.

ROZDZIAŁ 46

Z drogi wiodącej do wieży otwierał się wspaniały widok na rozpościerające się w dole Aydindril, chociaż od gór napłynęły chmury i trochę przyćmiły późnopołudniowe słońce; zrobiło się parno. Gdyby Nicci nie była taka zatroskana, na pewno by uznała, że widok z drogi do wieży należy do najpiękniejszych, jakie w życiu widziała; a dopiero niedawno nauczyła się doceniać takie piękno - Richard ją tego nauczył.

A tak - rozmyślała nad jego nieustającym pragnieniem odnalezienia tej kobiety, Kahlan, którą tylko on jeden pamiętał. Jeszcze o niej nie wspomniał; pewnie dlatego, że po poprzednich nieporozumieniach zezłościły go daremne próby przekonania jej, że musi odnaleźć kobietę, która wedle niej w ogóle nie istniała. Choć nawet nie mruknął o Kahlan, Nicci nie miała wątpliwości, że jest równie zdecydowany odnaleźć ją, jak wtedy, kiedy się ostatni raz widzieli. Rozwiały się jej nadzieje, że spotka już uleczonogo z urojeń Richarda. Wspaniały widok już jej tak bardzo nie cieszył.

Coś się jednak zmieniło, świadczył o tym wyraz jego oczu. Nicci nie potrafiła powiedzieć, co dokładnie ani co by ta zmiana mogła oznaczać. Zawsze miał przenikliwe spojrzenie, ostre i drapieżne - a teraz to się jeszcze bardziej nasiliło i kiedy patrzył jej w oczy, miała wrażenie, że sięga aż do dna jej duszy. Nicci nie miała nic do ukrycia, a już zwłaszcza przed Richardem. Chciała, żeby był szczęśliwy, i zrobiłaby wszystko, żeby mu pomóc odnaleźć szczęście.

Sądziła, że pewnie dlatego popsuł się jej humor; bo choć Richard wciąż był zdecydowany zrealizować swój cel, to Nicci wiedziała, że staje się coraz bardziej przygnębiony. Iskra życia w jego oczach była dla niej bezcenna. Nie chciała, żeby jego oczy straciły ten blask.

Starła się jechać tuż przy nim i nie bardzo potrafiła zapytać, jak przebiegło spotkanie z wiedźmą. Z milczenia Cary wywnioskowała, że nie poszło tak dobrze, jak się Richard spodziewał. Nicci to nie zdziwiło. Jakżeż wiedźma - choćby nie wiem jak chciała pomóc - mogła się na coś przydać w poszukiwaniach kobiety istniejącej wyłącznie w wyobraźni Richarda?

Nicci nie miała pojęcia, czym mogło być owo chainfire, lecz po tonie głosu Richarda i po pełnym napięcia wyrazie twarzy poznała, jak bardzo mu

zależy na odszyfrowaniu znaczenia tego słowa. Tak długo z nim przebywała, że bezbłędnie odczytywała jego uczucia, choćby się o nich nie zająknął. Nie miała wątpliwości, że do znaczenia słowa „chainfire” przywiązuje wielką wagę.

Nicci trapiła się też o to, co się stało z Mieczem Prawdy. Nie mogła pojąć, dlaczego Richard go nie ma. A to, jak Cara natychmiast jej przerwała i że Richard w ogóle o tym nie wspomniał, tylko nasilało jej niepokój. Richard tak łatwo by nie zapomniał o swoim mieczu.

Wjechali wyżej i wijąca się zakosami droga wynurzyła się z gęstego świerkowego lasu - dotarli do kamiennego mostu, spinającego brzegi niemal bezdennej otchłani. Nicci miała wrażenie, że górę rozłupano aż do samej podstawy i tę część, na której się znajdowali, odciągnięto od reszty skały. Kiedy jechali jedno za drugim przez most ponad otchłanią, wyjrzała za balustradę i zobaczyła, że po obu stronach strome skalne ściany opadają w dół, w przesuwane się poniżej wełniste obłoki. Aż jej się zakręciło w głowie.

Chód Sa'dina zdradzał, jak bardzo koń jest zmęczony. Kiedy jechali przez most, leniwie strzygł uszami ku przepaściom po obu stronach. Konie Richarda i Cary były pokryte pianą i ciężko dyszały. Nicci wiedziała, jak dobrze Richard traktował zwierzęta - lecz dla tych był bezlitosny. Najwyraźniej uważał, że w grę wchodziły wartości wyższe niż życie zwierząt. Wiedziała jakie: ludzkie życie. A szczególnie jedno.

Mury wieży, zbudowane z misternie złączonych bloków ciemnego granitu, wznosiły się przed nimi niczym góra. Nicci - po minięciu mostu jadąca za Richardem a przed Cara - wpatrywała się w gmatwaninę rampartów, bastionów, wież, łączników i mostów. Miało się wrażenie, iż wieża żyje, obserwuje, jak się zbliżają do łukowatego wjazdu w tunel u podstawy zewnętrznych murów.

Richard bez wahania wprowadził konia pod podniesioną, masywną kratę. Nicci - gdyby mogła - zachowałaby większą ostrożność. Czowała bijącą z wnętrza wieży moc. Nigdy przedtem nie widziała budowli emanującej tak potężną magiczną mocą. Zupełnie jakby stała samotna na równinie i czekała, aż ją ogarnia potężna burza. To uczucie powiedziało Nicci, jak potężne osłony strzegą wieży. Osłony w Pałacu Proroków były przy nich dziecinną igraszką. Tamte były głównie addytywne, no i pałac zbudowano w zupełnie innym celu niż wieżę. Tutaj osłony subtraktywne były równie częste

jak addytywne. A ich zgubnej mocy wcale nie starano się zamaskować przed tymi, którzy powinni o nich wiedzieć - wprost przeciwnie.

Chmury niepostrzeżenie zasnuły niebo: było teraz stalowoszare. Mrok zastąpił słoneczny blask i kamienne mury wieży zdawały się jeszcze ciemniejsze, jeszcze bardziej złowrogie, jakby sama wieża ciasno się otuliła opończą chmur, patrząc, jak się zbliżają czarodziejka i czarodziej, zdolni rozkazywać mocom, które nadal tu się znajdowały.

Wyjechali z łukowatego wylotu tunelu w grubym zewnętrznym murze i teraz droga wiodła głębokim wewnętrznym kanionem wieży. Dalej znów znikła w tunelu prowadzącym przez kolejny ciemny mur, stanowiący drugą zaporę. Richard, nie zatrzymując się, wjechał w długie, mroczne przejście. Odgłos końskich kopyt odbijał się echem od wilgotnych kamieni pod łukowatym, ciemnym sklepieniem.

Z tego tunelu wyjechali obok rozległego padoku, porośniętego gęstą, bujną trawą. Żwirowana droga biegła wzdłuż ściany po prawej, w której widać było kilkoro drzwi. Te pierwsze, które minęli zaraz za kratą w bramie, były pewnie wejściem dla gości. Nicci przypuszczała, że te tutaj, za drugim murem, były służbowym wejściem do wieży. Biegący wzdłuż drogi płot zamykał padok od tej strony, z lewej zaś padok dochodził do murów wieży. W głębi znajdowały się stajnie.

Richard bez słowa zsiadł, otworzył bramkę na padok i wpuścił tam konia, nie rozsiodławszy go. Nicci i Cara, choć zdumione, poszły za jego przykładem. Potem pomaszerowały za nim ku wejściu z tuzinem szerokich granitowych stopni, wytartych i wydeptanych. Prowadziły do niszy, w której już się zaczęły uchylać ciężkie dwuskrzydłowe drzwi do wieży.

Wyrżał z nich - niczym zaskoczony przez gości gospodarz - starzec ze sterczącymi na wszystkie strony siwymi falistymi włosami. Chciwie łapał powietrze - najwyraźniej zdyszał się, biegnąc przez wieżę, kiedy się zorientował, że ktoś nadjeżdża. Na pewno ostrzegły go magiczne sieci, zapowiadające każdego, kto skręcił na drogę ku wieży. W dawnych czasach na pewno w pobliżu wejścia znajdowali się ludzie, zajmujący się każdym nowo przybyłym. Teraz był tu tylko ów starzec. Tak się zadyszał, że widocznie musiał być gdzieś daleko w wieży, kiedy dotarło doń ostrzeżenie.

Chudą, pomarszczoną twarz zmienił wyraz zdumienia, lecz Nicci i tak rozpoznała rysy. Wiedziała, że mógł to być jedynie dziadek Richarda, Zedd.

Był wysoki, lecz wiotki jak młode drzewko. Orzechowe oczy, teraz rozszerzone zdziwieniem, pełne były dziecięcej wprost ekscytacji i niewinności. Proste, pozbawione ozdób szaty świadczyły, że jest wielkim czarodziejem. Dobrze wyglądał jak na swój wiek. Stanowiło to miłą zapowiedź tego, jak czas potraktuje Richarda.

Starzec wyrzucił w górę ramiona.

- Richard! - Radosny uśmiech rozjaśnił mu twarz. - Kurczę, to naprawdę ty, mój chłopcze?

Zedd zaczął schodzić po zniszczonych stopniach.

Richard podbiegł do dziadka i podniósł go ze schodów; ścisnął go tak mocno, że jeszcze dodatkowo pozbawiał tchu i tak już zasapanego starca. Obaj śmiali się radośnie, okazując, jak silna łączy ich więź.

- Zedddzie! Nawet nie masz pojęcia, jak się cieszę, że cię widzę!

- A jak ja się cieszę... - W głosie Zedda słychać było łzy. - To już trwało za długo. O wiele za długo.

Sięgnął patykowatą ręką za Richarda i poklepał Carę po ramieniu.

- Co u ciebie, moja droga? Wyglądasz na wykończoną. Nic ci nie jest?

- Jestem Mord-Sith - oburzyła się. - Jasne, że nic mi nie jest. A niby czemu uważasz, że nie wyglądam wspaniale?

Zedd zachichotał, odsunął się od Richarda.

- Pewnie bez powodu. Po prostu obydwójecie sprawiacie wrażenie, że przydałby się wam odpoczynek i coś do jedzenia. Ale ty wyglądasz wspaniale i ogromnie się cieszę, że cię znowu widzę.

Cara się uśmiechnęła.

- Tęskniłam za tobą, Zeddzie. Pogroził jej palcem.

- To nie w stylu Mord-Sith tęsknić za starcem. Rikka się zdziwi, gdy to usłyszy.

- Rikka? - zdumiała się Cara. - To Rikka tu jest? Zedd skinął ku uchylonym drzwiom.

- Jest gdzieś tam... pewnie patroluje. Ma w życiu dwa główne cele: patrolowanie i dręczenie mnie. Mówię ci, nie mam przez tę kobietę ani chwili spokoju. Co gorsza, jest zbyt bystra, żeby jej to wyszło na dobre. No ale przynajmniej dobrze gotuje.

Cara uniosła brwi.

- Rikka umie gotować?

Zedd się skrzywił i wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby.

- Nie mów jej, że to powiedziałem, bo nigdy mi nie da spokoju. Ta kobieta...

- Zeddzie - przerwał mu Richard - mam kłopoty i potrzebna mi twoja pomoc.

- Nic ci nie jest? Byłeś chory? Nie jesteś całkiem sobą, mój chłopcze. - Zedd przycisnął dłoń do czoła wnuka. - Letnie gorączki są najgorsze, wiesz. Gorąc na gorącu. Zła kombinacja.

- Tak... nie... to nie to. Muszę z tobą porozmawiać.

- Więc rozmawiamy. To już tak długo. O wiele za długo. Ileż to? Dwa lata minionej wiosny, o ile się nie mylę. - Zedd nieco się odsunął, uścisnął ramię Richarda, obejrzał go od stóp do głów. - Gdzie twój miecz, Richardzie?

- Potem o tym porozmawiamy - odparł Richard, nerwowo się wyrывая Zeddowi, żeby machnięciem ręki zbyć to pytanie.

- Mówiłeś, że chcesz porozmawiać. Więc rozmawiamy i powiedz mi, gdzie jest twój miecz. - Zedd uśmiechnął się szeroko do Nicci. - A kimże jest ta urocza czarodziejka, którą ze sobą przywiodłeś?

Richard ze zdumieniem łypnął na uśmiech dziadka, a potem zerknął na Nicci.

- O, przepraszam. Zeddzie, to jest Nicci. Nicci, to...

- Nicci! - zaryczał Zedd i odskoczył o dwa schodki w górę, jakby dojrzał żmiję. - Siostra Mroku, która cię zabrała do Starego Świata?! Ta Nicci?! A cóż ty robisz w towarzystwie tej podłej istoty?! Jak śmiesz sprowadzać taką kobietę...

- Zeddzie - Richard zdecydowanie uciszył dziadka - Nicci jest przyjaciółką.

- Przyjaciółką! Rozum ci odebrało, Richardzie? Jak, u licha, możesz oczekiwać...

- Zeddzie, ona jest teraz po naszej stronie. - Richard z ożywieniem gestykulował. - Podobnie jak Cara czy Rikka. Wszystko się zmienia. Przedtem każda z nich... - zamilkł, a dziadek wlepił w niego oczy. - Wiesz, co mam na myśli. Teraz bezgranicznie ufam Carze, a ona dowiodła, że jest godna mojego zaufania. Nicci ufam tak samo. Obu wierzę bez zastrzeżeń.

Zedd w końcu chwycił Richarda za ramię i czule nim potrząsnął.

- Wiem, co masz na myśli. Wiele rzeczy zmieniłeś na lepsze, od kiedy

dałem ci Miecz Prawdy. Cóż, zupełnie się nie spodziewałem, że pewnego dnia będę radośnie zajadał posiłek przygotowany przez Mord-Sith. A są to pyszne posiłki, nawiasem mówiąc. - Ugryzł się w język i wskazał na Careę. - Jeżeli jej powtórzysz, co mówiłem, to cię żywcem obedrę ze skóry. Ona i tak jest nieznośna.

Cara tylko się uśmiechnęła.

Zedd znów spojrzał na Nicci. Nie miał drapieżnego spojrzenia Rahla, lecz na swój sposób było ono równie rozbijające i na pewno potrafiłoby przerazić.

- Witaj, czarodziejko. Skoro Richard twierdzi, że jesteś przyjaciółką, to nią jesteś. Przepraszam, że się tak uniosłem.

Nicci się uśmiechnęła.

- To zupełnie zrozumiałe. I ja wtedy sama siebie nie lubiłam.

Byłam pod wpływem mrocznych urojeń. Nie bez powodu nazywano mnie Panią Śmierci. - Spojrzała w szare oczy Richarda. - Twój wnuk pomógł mi ujrzeć piękno życia.

Zedd uśmiechnął się z dumą.

- Tak, właśnie tak. Piękno życia. Richard wykorzystał okazję. - I właśnie o życie chodzi. Posłuchaj, Zeddzie, potrzebuję...

- Tak, tak. - Zedd machnięciem ręki ukrócił niecierpliwość wnuka. - Zawsze czegoś potrzebujesz. Jeszcze nie zdążyłeś wejść do środka, a już się chcesz czegoś dowiedzieć. Jeżeli sobie dobrze przypominam, to twoim pierwszym słowem było „dlaczego”. Wejźmy do środka. Chcę wiedzieć, czemu nie masz ze sobą Miecza Prawdy. Wiem, że nie pozwoliłbyś, by się z nim stało coś złego, ale chcę usłyszeć całą historię. Nie pominię niczego. Wejźmy.

Dziadek Richarda, zachęcając ich gestami, żeby szli za nim, ruszył schodami ku wejściu.

- Zeddzie! Potrzebuję...

- Tak, tak, mój chłopcze. Potrzebujesz czegoś. Słyszałem to już za pierwszym razem. Chyba zaczyna padać. Nie ma co tu zaczynać rozmowy i moknąć. Wejź do środka, a wysłucham, co masz do powiedzenia. - Głos Zedda zaczął rozbrzmiewać echem, kiedy czarodziej zniknął w ciemnościach. - Na pewno przyda ci się posiłek. Czy ktoś jeszcze jest głodny? Spotkania zawsze dodają mi apetytu.

Richard opuścił ręce, zirytowany, uderzył dłońmi o uda. Westchnął, a potem pospiesznie wszedł schodami za dziadkiem. Nicci wiedziała, że gdyby chodziło o kogoś innego, Richard zupełnie inaczej by to załatwił. Trudno być bezwzględny wobec kogoś, kto cię kocha, kto cię od małego wychowywał, kto cię pocieszał, kiedy płakałeś ze strachu przed burzą czy wyciem wilka. W wypadku Richarda było tak samo. Miłość do dziadka wiązała mu ręce.

Takiego Richarda Nicci jeszcze nigdy nie widziała; uznała, że to bardzo ujmujące. Lord Rahl, władca imperium D'Hary, Poszukiwacz Prawdy, człowiek, pod którego wzrokiem każdy by zadrzał, uciszony życzliwym, choć peszącym napomnieniem. Gdyby nie szło o poważną sprawę, Nicci nie mogłaby powstrzymać uśmiechu, widząc, jak zupełnie bezbronny jest Richard wobec tego kruchego starca.

W ciemnym przedpokoju słychać było plusk wody. Zedd skinął ręką i zapalił się kinkiet. Kiedy zapalał się płomyk, Nicci rozpoznała zwielokrotniony błysk iskry mocy - była to lampa inicjująca. Z sykiem zaczęły się zapalać kolejne lampy po obu stronach wejścia - setki lamp wokół rozległego pomieszczenia rozświetlały się parami. Każdemu sykowi zapalającej się pary lamp niemal natychmiast towarzyszył kolejny, w miarę jak rozmieszczone wokół rozległego pomieszczenia lampy rozświetlały się od magicznej iskry, wzbudzanej przez lampę inicjującą; zupełnie jakby westybul okalał pierścień ognia. Nicci wiedziała, że byłoby tak samo, gdyby ktoś zapalił lampę inicjującą zwykłym ogniem, a nie magią. Blask narastał i w ciągu kilku sekund w westybulu było jasno jak w dzień.

Pośrodku wyłożonej płytami posadzki wznosiła się fontanna w kształcie liścia koniczyny. Woda tryskała wysoko z najwyższej misy, następnie spływała kaskadą do coraz szerszych, przypominających muszle mis, by w końcu ściekać przez łuki rozmieszczone równomiernie na dnie najniższej położonej misy do dolnego zbiornika. Otaczająca zbiornik ścianka z nakrapianego białego marmuru była na tyle szeroka, że mogła służyć jako ławka.

Lśniące, ciemnoczerwone marmurowe kolumny podtrzymywały łuki pod galerią okalającą owalny westybul. Przez przeszklony strop, znajdujący się setki stóp nad głową, wpadało nieco późnopołudniowego światła jako przeciwwaga dla blasku płonących na dole lamp. Nocą szklany strop na pewno wpuszczał do wnętrza chłodną księżycową poświatę, nadając

ciemnemu westybulowi widmowy wygląd - lecz tej nocy nie będzie księżycowej poświaty, bo księżyc był w nowiu, a niebo i tak zasnuły chmury. Patrząc na niebo przez szklany strop, Nicci pomyślała, że Zedd miał rację - wyglądało na to, że zanoszą się na deszcz.

Westybul zadawał kłam pierwszemu wrażeniu, wywieranemu przez wieżę - był pięknym, przyjaznym wejściem do budowli, która z zewnątrz zdawała się chłodna i surowa. Świadczył o kwitującym tu niegdyś życiu. Nicci zasmuciła panująca tu teraz - podobnie jak w mieście w dolinie - pustka.

- Witajcie w Wieży Czarodzieja. Może powinniśmy...

- Zeddzie - warknął Richard, przerywając dziadkowi - muszę z tobą porozmawiać. Natychmiast. To ważne.

Ukochany dziadek czy nie, Richard był u kresu cierpliwości, Nicci nie miała co do tego wątpliwości. Zbielałe knykcie mocno zaciśniętych pięści ostro kontrastowały z opaloną skórą; na grzbietach zaciśniętych dłoni nabrzmiały żyły. Jego wygląd zdradzał, że przez ostatnie dni mało spał i równie mało jadł. Nicci jeszcze nigdy nie widziała go tak wyczerpanego, tak odchodzącego od zmysłów. Cara też była bliska wyczerpania, ale dobrze to ukrywała; Mord-Sith uczono nie zwracać uwagi na niewygodę i dolegliwości. Richard ogromnie się cieszył ze spotkania z dziadkiem, lecz zaabsorbowanie odnalezieniem tej urojonej kobiety raz-dwa zakończyło wzajemne powitalne uprzejmości.

Szaleńczy pośpiech, który zdominował życie od dnia, kiedy Richard został trafiony strzałą i ledwo uszedł śmierci, skupił się w tej jednej chwili.

Zedd zamrugnął z niewinnym zdumieniem.

- Ależ oczywiście, Richardzie, oczywiście. - Rozłożył ręce i dodał łagodnie: - Wiesz, że zawsze możesz ze mną porozmawiać. Wiesz, że bez względu na to, co cię zaprzęta...

- Co to jest chainfire?

Nicci też o to prawie natychmiast zapytał. Zedd stał bez ruchu, skonsternowany.

- Chainfire - powtórzył bezbarwnym tonem.

- Tak, chainfire.

Zedd z zatroskaną miną rozmyślał nad tym pytaniem; odwrócił się ku fontannie. Oczekiwanie sprawiało ból. Ciszę westybulu przerywał jedynie plusk wody.

- Chainfire - mruknął przeciągle pod nosem Zedd, gładząc patykowatym palcem gładką brodę, zapatrzony w wodę, spływającą kaskadą z kolejnych poziomów fontanny.

Nicci zerknęła na Carę, lecz Mord-Sith miała nieprzeniknioną minę. Ściągnięta twarz była równie zmęczona i zdradzała niedożywienie jak twarz Richarda, lecz Cara, jak to ona, stała dumnie wyprostowana, nie pozwalając, żeby wyczerpanie wzięło górę.

- Właśnie, chainfire - powiedział niecierpliwie Richard przez zaciśnięte zęby. - Wiesz, co to znaczy?

Zedd odwrócił się ku wnukowi, uniósł otwarte dłonie. Minę miał nie tylko zdumioną, ale i przepraszającą.

- Przykro mi, Richardzie, ale nigdy przedtem nie słyszałem słowa „chainfire”.

Gniew nagle opuścił Richarda i chłopak sprawiał wrażenie, że zaraz upadnie. W jego oczach widać było rozczarowanie. Przygarbił się, westchnął. Cara ostrożnie przysunęła się o krok, gotowa go podtrzymać. Nicci taka możliwość wydawała się bardzo prawdopodobna.

- Richardzie - odezwał się Zedd ostrzejszym tonem - gdzie twój miecz?

- To tylko kawałek stali! - wybuchnął Richard. - Tylko kawałek...

Twarz Richarda spurpurowiała.

- To tylko głupi kawałek metalu! Nie sądzisz, że mogą być poważniejsze sprawy?

Zedd przekrzywił głowę.

- Poważniejsze sprawy? O czym ty mówisz?

- Chcę odzyskać swoje życie!

Zedd wpatrywał się w niego, ale milczał i przez to niemal rozkazywał wnukowi, by powiedział coś więcej.

Richard chodził w kółko od fontanny do trzech szerokich stopni, prowadzących w górę pomiędzy dwiema czerwonymi marmurowymi kolumnami. Długi, czerwono-złoty chodnik, obramowany prostymi, czarnymi geometrycznymi deseniami, biegł pomiędzy kolumnami pod galerię i znikał w ciemnościach. Richard przeczesał włosy palcami obu dłoni.

- A co to za różnica? Nikt mi nie wierzy. Nikt nie chce mi pomóc jej odnaleźć.

Nicci ogromnie mu współczuła. Żałowała teraz tych wszystkich ostrych

słów, które mu powiedziała, usiłując go przekonać, że tylko sobie wymyślił Kahlan. Potrzebował pomocy w przewyciężeniu tych urojeń, ale w tej chwili chętnie by mu pozwoliła przy nich trwać, gdyby to tylko przywróciło blask jego oczom. Chciałaby go przytulić i pocieszyć, zapewnić, że wszystko będzie dobrze, lecz nie mogła, i to z wielu powodów.

Cara, z luźno opuszczonymi ramionami, z równym smutkiem patrzyła na cierpienie Richarda. Nie było widać wyjścia z tej sytuacji. Nicci podejrzewała, że Mord-Sith by się z nią zgodziła, że należy Richardowi zostawić ten piękny sen o ukochanej kobiecie. Lecz kłamstwo nie ukołoby tak realnego cierpienia.

- Nie wiem, o czym mówisz, Richardzie, ale co to ma wspólnego z Mieczem Prawdy? - W głosie Zedda znów pobrzmiwały ostre tony.

Richard na chwilę zamknął oczy, przytłoczony koniecznością powtórzenia tego, co już tyle razy mówił i w co nikt mu nie wierzył.

- Muszę znaleźć Kahlan.

Nicci widziała, jak się zbiera w sobie, szykując na zwykle irytujące pytania. Widziała, że z najwyższym trudem zniesie kolejne zarzuty, że wszystko sobie wyobraził, że traci rozum. Że jeszcze bardziej się obawia takich słów od swojego dziadka.

Zedd nieco pochylił głowę.

- Kahlan?

- Tak - odparł z westchnieniem Richard, nie podnosząc wzroku. - Kahlan. Ale pewnie nie wiesz, o kim mówię.

Richard zwykle wszystko dokładnie tłumaczył, ale tym razem był zbyt przygnębiony, żeby znów wyjaśniać, znów się spotykać z niedowierzaniem i nieufnymi pytaniami.

- Kahlan. - Zedd zmarszczył brwi, namyślając się. - Kahlan Amnell? O tej Kahlan mówisz?

Nicci zdrętwiała.

Richard podniósł na dziadka szeroko otwarte oczy.

- Coś powiedział? - wyszeptał.

- Kahlan Amnell? Ta Kahlan?

Serce Nicci na moment stanęło. Cara rozdziawiła usta.

Richard gwałtownie zacisnął w dłoniach szaty Zedda i podniósł starca z podłogi. Pokryte kroplami potu mięśnie chłopaka lśniły w blasku lamp.

- Powiedziałeś dokładnie, jak się nazywa: Kahlan Amnell. Nie powiedziałem ci tego. Sam ją znałeś.

Zedd był jeszcze bardziej skonfundowany.

- Ależ to dlatego, że znam tylko jedną Kahlan, Kahlan Amnell.

- Znasz Kahlan i wiesz, o kim mówię?

- Matka Spowiedniczka?

- Tak, Matka Spowiedniczka!

- No oczywiście. Spodziewam się, że prawie wszyscy ją znają. Richardzie, co w ciebie wstąpiło? Postaw mnie.

Nicci kręciło się w głowie. Nie mogła uwierzyć własnym uszom. Jakżeż to możliwe? Było to tak całkowicie, niewyobrażalnie niemożliwe, iż myślała, że zaraz zemdleje.

Richard drżącymi rękami postawił dziadka na podłodze.

- Jak to wszyscy ją znają?

Zedd kolejno obciągnął rękawy na chudych rękach. Poprawił na biodrach szaty; cały czas obserwował wnuka. Zachowanie Richarda naprawdę go zdumiewało.

- Co z tobą, Richardzie? Jakżeż mogliby jej nie znać? Jest Matką Spowiedniczką, na litość Stwórcy.

Richard przełknął ślinę.

- Gdzie ona jest?

Zedd, speszony, łypnął na Carę, potem na Nicci, a wreszcie znów spojrzał na Richarda.

- No przecież w Pałacu Spowiedniczek. Richard krzyknął z radości i objął dziadka.

ROZDZIAŁ 47

Richard złapał dziadka za kościste ramiona i potrząsał nim.

- Jest tam? Kahlan jest w Pałacu Spowiedniczek?

Na pomarszczonej twarzy Zedda pojawiło się zatroskanie; powściągliwie przytaknął. Richard grzbietem dłoni startł z policzka łzy.

- Jest tam - powiedział do Cary; chwycił ją za ramiona i mocno potrząsał. - Jest w Aydindril. Słyszałaś? Niczego sobie nie wymyśliłem. Zedd ją pamięta. Zna prawdę.

Cara ze wszystkich sił starała się powściągnąć zdumienie, nie chcąc, żeby to zostało odczytane jako niezadowolenie z tak zadziwiających wieści.

- Lordzie Rahlu... ogromnie się cieszę... ale nie rozumiem, jak...

Richard zdawał się nie zauważać niepewności Mord-Sith; znów odwrócił się ku czarodziejowi.

- Co ona tam robi? - spytał podekscytowany.

Zedd, ogromnie zakłopotany, ponownie spojrział na Carę i Nicci, a potem czule położył dłoń na ramieniu Richarda.

- Tam ją pochowano, Richardzie. Świat znieruchomiał.

Nicci znienacka uświadomiła sobie prawdę.

Nagle wszystko było jasne. Słowa Zedda stały się zrozumiałe. Kobieta, o której mówił czarodziej, nie była Kahlan, Matką Spowiedniczką z urojeń Richarda, kobietą, która w jego marzeniach go kochała i wyszła za niego.

To była prawdziwa Matka Spowiedniczka.

Nicci ostrzegała Richarda, w jak niebezpiecznej sytuacji się postawił, wyobrażając sobie jako swoją żonę nie jakąś zwykłą kobietę, lecz taką, o której wcześniej słyszał - kobietę, która, jak się okazało, była dobrze znana w Midlandach. W Pałacu Spowiedniczek pochowano prawdziwą Kahlan Annell, prawdziwą Matkę Spowiedniczkę, a nie urojoną ukochaną Richarda. A Nicci cały czas się obawiała, że coś takiego się wydarzy i zniszczy świat Richarda.

Ostrzegała go, że coś takiego musi nastąpić. Że pewnego dnia stanie oko w oko z okrutną prawdą. I oto nadeszła chwila, przed którą usiłowała go uchronić.

Lecz Nicci wcale się nie cieszyła, że miała rację. Myśl o tym, co musi

odczuwać Richard, budziła w niej ogromny smutek. Nawet nie usiłowała sobie wyobrazić, jakie to musi być dla niego straszne. Dla kogoś tak mocno stąpającego po ziemi jak przedtem Richard musiało to być wyniszczające doświadczenie.

Richard był w stanie jedynie się wpatrywać w dziadka.

- Richardzie - spytał na koniec Zedd, delikatnie ściskając ramię wnuka - nic ci nie jest? Co się dzieje?

Richard powoli zamrugął. Był zszokowany.

- Jak to jest pogrzebana w Pałacu Spowiedniczek? - zapytał drżącym głosem. - Kiedy to się stało?

Zedd zwilżył wargi.

- Nie wiem, kiedy umarła. Kiedy tam byłem, widziałem płytę nagrobną. Nie znałem jej. Po prostu widziałem jej grób. To spory nagrobek, więc trudno go nie zauważyć. Bojówki nasłane przez Rahla Posępnego zabiły wszystkie Spowiedniczki. Wtedy musiała umrzeć. Nie mogłeś znać tej kobiety, Richardzie. Musiała umrzeć i zostać pochowana, zanim opuściliśmy nasz dom w Westlandzie, zanim zniknęła granica. Wtedy jeszcze byłeś leśnym przewodnikiem w hartlandzkich lasach.

Richard przycisnął dłonie do czoła.

- Nie, nie, nic nie rozumiesz. Jest z tobą tak samo jak z innymi. To nie ona. Znasz Kahlan.

Zedd wykonał pełen współczucia gest.

- To niemożliwe, Richardzie. Bojówki zabiły Spowiedniczki.

- Tak, ci asasyni zabili inne Spowiedniczki, ale nie ją, nie Kahlan. - Richard machnięciem ręki zbył argument dziadka. - Zeddzie, to ona przyszła cię prosić, żebyś obwołał Poszukiwacza, i to dlatego opuściliśmy Westland. Znasz Kahlan.

Zedd spochmurniał.

- O czym ty, u licha, mówisz? Musieliśmy odejść, kiedy Rahl Posępny zaczął nas ścigać. Musieliśmy uciekać, żeby ocalić życie.

- I to też jest prawdą, ale najpierw Kahlan cię szukała. To ona nam powiedziała, że Rahl Posępny chce wykorzystać szkatuły Ordenu. Był po drugiej stronie granicy. Skąd byśmy się o tym dowiedzieli, gdyby Kahlan się nie zjawiała?

Zedd patrzył na Richarda, jakby podejrzewał, iż ten jest chory.

- Richardzie, kiedy ktoś sięga po szkatuły Ordenu, to rośnie wężowa liana. Zapisano to również w Księdze Opisania Mroków. Doskonale o tym wiesz. Byłeś w Górnym Venie i ukłuła cię wężowa liana. Dostałeś gorączki i przyszedłeś do mnie po pomoc. Stąd się dowiedzieliśmy, że szkatuły Ordenu weszły do gry. Potem Rahl Posępny zjawił się w Westlandzie i nas zaatakował.

- Po części tak było, ale to Kahlan nam powiedziała, co się dzieje w Midlandach, potwierdziła to - burknął zirytowany Richard. - Rzecz nie tylko w tym, że przyszła cię prosić, żebyś obwołał Poszukiwacza. Znasz ją.

- Obawiam się, Richardzie, że jej nie znam.

- Drogie duchy, Zeddie, spędziłeś minioną zimę wraz z nią i d'harańską armią. Kiedy Nicci zabrała mnie do Starego Świata, Kahlan była przy wojsku z tobą i Cara. - Wskazał z naciskiem na Carę, jakby to mogło potwierdzić jego słowa i zakończyć koszmar. - Ona i Cara walczyły razem z tobą całą zimę.

Zedd spojrział na Carę. Mord-Sith, stojąca za plecami Richarda, rozłożyła ręce i wzruszyła ramionami, dając czarodziejowi znak, że wie tyle samo co i on.

- A skoro już wspomniałeś, że jesteś Poszukiwaczem, to gdzie jest...

Richard pstryknął palcami, twarz mu nagle pojaśniała.

- To nie jest grób Kahlan.

- Ależ oczywiście, że jest. Nie można tego grobu pomylić z innym. Rzuca się w oczy i dobrze pamiętam, że jej imię jest wyryte w kamieniu.

- Tak, to jej imię, ale nie jej grób. Teraz już wiem, o czym mówisz. - Richard zaśmiał się z ulgą. - Mówię ci, że to nie jej grób.

Zedd wcale nie uważał, że to zabawne.

- Widziałem jej imię na kamieniu, Richardzie. To ona: Matka Spowiedniczka, Kahlan Amnell.

Richard z uporem potrząsnął głową.

- Nie, to nie jej grób. To była sztuczka.

- Sztuczka? - Zedd przekrzywił głowę, marszcząc brwi. - O czym ty mówisz? Jaka sztuczka?

- Ścigali ją. Ład chciał pojmać Kahlan, kiedy zajęli Aydindril. Przejęli władzę nad radą, skazali Kahlan na śmierć i ścigali ją. Żeby ich zmylić, rzuciłeś na nią czar śmierci...

- Co takiego?! Czar śmierci? Richardzie, czy ty w ogóle masz pojęcie, o czym mówisz?

- Oczywiście, że tak. Ale to prawda. Musiałeś upozorować jej śmierć, żeby Ład uznał, że im się udało, i już jej nie ścigał; żeby mogła uciec. Nie pamiętasz? Zrobiłeś nagrobek, a przynajmniej kazałeś go zrobić. Zjawiłem się tutaj, szukając jej, to było parę lat temu. Twój czar zwiódł nawet mnie. Sądziłem, że nie żyje. Ale żyła.

Zedd już nie był speszony, ale głęboko zatroskany.

- Nie pojmuję, Richardzie, co ci się stało, ale to po prostu...

- Obydwoje uciekliście w bezpieczne miejsce, a mnie zostawiłeś wiadomość na jej nagrobku - powiedział Richard, dźgając palcem pierś dziadka - żebym wiedział, że tak naprawdę ona żyje. Żebym nie rozpaczał. Żebym się nie poddał. Mało brakowało do tego, ale potem się wszystkiego domyśliłem.

Zedd wprost kipiał frustracją, zniecierpliwieniem i niepokojem. Nicci dobrze to znała.

- Kurczę, chłopcze, o jakiej wiadomości mówisz?

- O słowach na nagrobku. O inskrypcji. To była wiadomość dla mnie.

Zedd wsparł się pięściami pod boki.

- O czym ty mówisz? Jaka wiadomość? Co w niej było? Richard zaczął chodzić tam i z powrotem, ściskając palcami skronie i mrużąc coś do siebie - najwyraźniej starał się dokładnie przypomnieć sobie treść wiadomości.

Albo też, pomyślała Nicci, starał się ją sobie wyobrazić; jak zawsze wymyślał preteksty pozwalające mu uniknąć spojrzenia prawdzie w oczy. Wiedziała, że tym razem mu się nie uda. Rzeczywistość coraz bardziej go osaczała, choć on jeszcze sobie z tego nie zdawał sprawy. Ale wkrótce się o tym przekona.

Nicci obawiała się takiego zderzenia urojeń i prawdy. Choć chciała, żeby Richardowi się polepszyło, żeby pozbył się tych wymyślonych wspomnień, przez które tak cierpiał, to obawiała się udręki, jaka na niego spadnie, kiedy w końcu stanie oko w oko z prawdą. Lecz jeszcze bardziej się bała tego, co by się z nim stało, gdyby nie potrafił pojąć prawdy lub odmówił jej uznania, gdyby się coraz bardziej pogrążył w swych urojeniach.

- Nie tutaj - mrużąc. - Coś o tym, że jej tu nie ma. I coś o moim sercu.

Zedd wypchnął policzek językiem, usiłując zachować spokój;

obserwował, jak wnuk chodzi tam i z powrotem, i starał się pojąć, co się właściwie dzieje z chłopakiem.

- Nie - powiedział nagle Richard, przystając. - Nie, nie moje serce. Nie tak tam było napisane. To duży nagrobek. Już sobie przypominam. Napis głosił: „Kahlan Amnell. Matka Spowiedniczka. Jest nie tutaj, lecz w sercach tych, którzy ją kochają”. To była wieść dla mnie, żebym nie tracił nadziei, bo ona wcale nie jest martwa i tak naprawdę nie ma jej w tym grobie.

- Richardzie - powiedział łagodnie Zedd - często się pisze na nagrobku, że ktoś nie umarł, lecz żyje w sercach tych, co go kochają. Grabarze pewnie mają zapas nagrobków z takimi napisami.

- Ale ona nie była tam pochowana! Nie była! Napis nie bez powodu głosił, że jej tam nie ma.

- A więc kto jest pochowany w jej grobie? - spytał Zedd. Richard przez chwilę milczał.

- Nikt - odparł w końcu, błędząc wzrokiem i zastanawiając się. - Pałacowa kucharka, pani Sanderholt, jak wszyscy została oszukana twoim czarem śmierci. Kiedy tu wreszcie dotarłem, powiedziała mi, że stałeś na podwyższeniu, kiedy Kahlan ścinano głowę; bardzo rozpacziała i była tym okropnie wstrząśnięta, ale pojąłem, że nie zrobiłbyś czegoś takiego, a więc to musi być jedna z twoich sztuczek. Sam mi to powiedziałeś, pamiętasz? Czasami zwykła sztuczka jest najlepszą magią.

Zedd potaknął.

- Istotnie, tak powiedziałem.

- Pani Sanderholt powiedziała mi, że ciało Kahlan spłonęło na stosie pogrzebowym, że wszystkiego pilnował sam Pierwszy Czarodziej. Że potem pogrzebano popioły Kahlan pod tym wielkim nagrobkiem. Pani Sanderholt zaprowadziła mnie nawet na ustronny dziedziniec za pałacem, gdzie są chowane Spowiedniczki. Pokazała mi grób. Byłem wstrząśnięty, bo sądziłem, że ona nie żyje, aż wreszcie pojąłem przesłanie wyryte w kamieniu, wiadomość, którą mi obydwójce zostawiliście.

Richard znów chwycił dziadka za ramiona.

- Rozumiesz? To była tylko sztuczka mająca zmylić wroga, sprawić, żeby zgubił jej trop. Ona wcale nie była martwa. Wcale tam nie była pochowana. Nikogo tam nie pochowano, chyba że garść popiołów.

Nicci pomyślała, że Richard sprytnie to sobie wykoncypował: kremacja

po tym niby-czarze-śmierci, czyli zostały popioły, których nie można zidentyfikować. Zawsze wymyślał coś, co tłumaczyło brak dowodu. Nicci nie wiedziała, czy Spowiedniczki naprawdę palono, lecz jeżeli istotnie tak było, to by mu tylko dostarczyło pretekstu do uprawdopodobnienia całej historyjki i mógłby twierdzić, że Kahlan tam nie pochowano. Znow by mu nie mogli udowodnić, że jest inaczej.

Chyba że sobie wymyślił ten pogrzebowy stos, a Spowiedniczek zazwyczaj nie palono.

- Twierdzisz, że tam poszedłeś? - spytał Zedd. - Do nagrobka?

- Tak, a potem zjawiała się Denna...

- Denna nie żyje - po raz pierwszy wtrąciła się Cara. - Zabiłeś ją, żeby móc uciec od niej i z Pałacu Ludu. Nie mogła tu być... chyba że jako duch.

- Tak, to prawda - stwierdził Richard, zwracając się ku niej. - Zrobiła to. Zjawiała się jako duch i zabrała mnie do miejsca pomiędzy światami, gdzie mogłem być z Kahlan.

Cara zerknęła na czarodzieja. Nie była w stanie ukryć niedowierzania, więc odwróciła wzrok od Richarda i zaczęła się drapać po karku.

Nicci miała ochotę krzyczeć. Historyjka stawała się coraz bardziej zawikłana. Pamiętała, że jako nowicjuszka wysłuchiwała nauk Ksieni, iż ziarno kłamstwa, raz zasiane, wydaje coraz bardziej splątaną roślinę, której wzrost z czasem wymyka się spod kontroli.

Zedd podszedł do wnuka i delikatnie chwycił go za ramiona.

- Chodź, chłopcze. Uważam, że powinieneś wypocząć, a potem możemy...

- Nie! - krzyknął Richard i wyrwał się mu. - Nic sobie nie wyobrażam! Nic nie zmyślam!

Nicci wiedziała, że właśnie to robi. W pewnym sensie zasługiwało na podziw, że tak wspaniale potrafi wpleść nowe wydarzenia w te swoje pierwotne urojenia i dzięki temu unikać konfrontacji z rzeczywistością.

Lecz nie może tego robić bez końca. Teraz wyniknęła sprawa prawdziwej Matki Spowiedniczki pochowanej w grobie i było to aż za bardzo realne - chyba że się okaże, iż w Midlandach naprawdę kremowano Spowiedniczki, bo wtedy Richard będzie mógł się trochę dłużej czepiać swoich fantazji: dopóki nie wyskoczy coś nowego. Wcześniej czy później coś zniszczy te urojenia. Zedd znow spróbował:

- Jesteś zmęczony, Richardzie. Wyglądasz, jakbyś nie zsiadał z konia przez...

- Mogę to udowodnić - oznajmił wyzywająco Richard. Wszyscy umilkli. - Wiem, że mi nie wierzycie. Żadne z was nie wierzy. Ale mogę to udowodnić.

- Co masz na myśli? - zapytał Zedd.

- Chodźcie. Pójdziemy do grobu Kahlan.

- Już ci mówiłem, Richardzie, że na nagrobku może być ten napis, który pamiętasz, lecz to niczego nie dowodzi. Tak się często pisze na nagrobkach.

- Czy zawsze palą ciało Matki Spowiedniczki na pogrzebowym stosie? Czy też stanowiło to część twojej sztuczki, bo nie chciałeś pokazywać jej ciała podczas tego rzekomego pogrzebu.

Zedd był coraz bardziej oburzony.

- Za czasów, kiedy tu mieszkałem, nigdy nie profanowano ciała Spowiedniczek. Matkę Spowiedniczkę, odzianą w białą szatę, umieszczano w pokrytej srebrem trumnie i ludzie mogli ją ostatni raz zobaczyć, mogli się z nią pożegnać, zanim została pochowana.

Richard przeszył gniewnym spojrzeniem dziadka, Carę i na koniec Nicci.

- Dobrze. Skoro muszę rozkopać grób, żeby wam udowodnić, że pod nagrobkiem nikt nie leży, zrobię to. Załatwimy tę sprawę, żebyśmy się mogli zająć wyjaśnieniem tego, co się tu dzieje. Ale najpierw musicie mi uwierzyć. Zedd rozłożył ręce.

- To nie jest konieczne, Richardzie.

- A właśnie że jest! To konieczne! Chcę odzyskać życie! - Nikt się nie sprzeciwił. - Czy cię kiedyś w złej wierze okłamałem, Zeddzie?

- Nie, mój chłopcze, nigdy.

- I teraz też nie kłamię.

- Richardzie - odezwała się Nicci - nikt nie twierdzi, że kłamiesz, uważamy jedynie, że cierpisz z powodu następstw delirium wywołanego zranieniem. To nie twoja wina. Wszyscy wiemy, że nie robisz tego rozmyślnie.

Richard popatrzył na dziadka.

- Nie rozumiesz, Zeddzie? Zastanów się nad tym. Coś złego dzieje się na świecie. Coś bardzo złego. Z jakiegoś nie znanego mi powodu wyłącznie ja zdaję sobie z tego sprawę. Ja jeden pamiętam Kahlan. Coś się musi za tym kryć. Coś przewrotnego. Może to sprawka Jaganga.

- Jagang kazał stworzyć bestię, żeby cię ścigała - odezwała się Nicci. - To ona ma urzeczywistnić jego plany. Imperator nie musi robić niczego innego. No a skoro bestia już cię ściga, to niby czemu miałyby to służyć?

- Nie wiem. Nie znam wszystkich odpowiedzi, lecz znam część prawdy.

- A jak to możliwe, że ty jeden znasz prawdę, wszyscy inni zaś są w błędzie? Że wszystkich zawodzi pamięć, a ciebie jednego nie? - zapytał Zedd.

- Nie umiem na to odpowiedzieć, lecz mogę udowodnić, że mówię prawdę. Mogę wam pokazać grób. Chodźcie.

- Mówiłem ci, Richardzie, że na nagrobkach często tak piszą. Richarda można się było teraz przestraszyć.

- Więc rozkopujemy grób, żebyście mogli się przekonać, że jest pusty i że nie oszalałem.

Zedd zrobił gest ku wciąż otwartym drzwiom.

- Ale zaraz będzie ciemno. A poza tym będzie padał deszcz. Richard odwrócił się od drzwi.

- Mamy dodatkowego konia. Zdążymy tam dojechać jeszcze za dnia. A jeżeli będzie trzeba, to zapalimy latarnie, a jeśli będę musiał, to będę kopał po ciemku. To o wiele ważniejsze niż lęk przed deszczykiem czy ciemnością. Chcę to zakończyć raz na zawsze, żebyśmy się mogli zabrać do rozwiązywania prawdziwego problemu i żebyśmy zdążyli odnaleźć Kahlan, zanim będzie za późno. W drogę.

Zedd gestykulował z ożywieniem.

- Richardzie, to jest...

- Pozwól mu zrobić, co chce - przerwała mu Nicci, przyciągając spojrzenia wszystkich. - Już dość się nasłuchaliśmy. To dla niego ważne. Musimy mu pozwolić na to, co uważa za konieczne. To jedyna szansa, żeby wreszcie zakończyć tę całą sprawę.

Zanim Zedd zdążył jej odpowiedzieć, pomiędzy dwóch czerwonych kolumn po drugiej stronie westybulu wyszła Mord-Sith. Blond włosy - jak u Cary - miała splecione w warkocz. Nie była tak wysoka jak Cara i nie tak szczupła, jednak onieśmiała swoją postawą, dającą do zrozumienia, że Mord-Sith niczego się nie lęka i tylko szuka okazji, żeby to udowodnić.

- Co się dzieje? Słyszałam... - Spojrzała ze zdumieniem. - Cara? To naprawdę ty?

- Rikka - powiedziała Cara z uśmiechem i skinęła głową - miło cię znów

zobaczyć.

Rikka schyliła głowę niżej niż Cara, a potem wlepiała oczy w Richarda. Weszła głębiej do westybulu. Oczy zrobiły jej się wielkie.

- Lordzie Rahlu, nie widziałam cię od... Richard skinął głową.

- Od Pałacu Ludu w D'Harze. Kiedy przyszedłem zamknąć wejście do zaświatów, byłaś jedną z Mord-Sith, które pomogły mi się dostać do Ogrodu Życia. To ty trzymałaś mnie za koszulę na lewym ramieniu, kiedy mnie bezpiecznie przeprowadzałyście przez pałac. Jedna z twoich Sióstr oddała owej nocy życie, żebym mógł wypełnić to zadanie.

Rikka uśmiechnęła się ze zdziwieniem.

- Pamiętasz. Byłyśmy w naszych czerwonych uniformach. Nie mogę uwierzyć, że masz tak świetną pamięć, że nie tylko mnie sobie przypomniałeś, ale pamiętasz również, iż byłam przy twoim lewym ramieniu. - Skłoniła głowę. - Czynisz nam wszystkim zaszczyt, pamiętając tę, która zginęła w walce.

- Mam dobrą pamięć. - Richard łypnął ponuro na Nicci i potem na Zedda. - To było tuż przed moim powrotem do Aydindril i ujrzeniem płyty nagrobnej z imieniem Kahlan. - Znów popatrzył na Rikkę. - Pilnuj wieży, dobrze, Rikko? Musimy na jakiś czas zjechać do miasta.

- Oczywiście, lordzie Rahlu - odparła Rikka, znów skłaniając głowę; obecność Richarda i to, że ją pamiętał, najwyraźniej przyprawiało ją o zawrót głowy.

Richard znów powiódł po pozostałej trójce swoim spojrzeniem drapieżnego ptaka.

- W drogę.

I zniknął za drzwiami. Zedd chwycił Nicci za rękaw i zatrzymał ją.

- Był ranny, prawda? - Kiedy się zawahała, dodał: - Sama mówiłaś, że cierpi na urojenia po tym, jak go raniono.

Nicci potaknęła.

- Trafili go strzałą. Był bliski śmierci.

- Nicci go uleczyła - szepnęła Cara. - Uratowała życie lordowi Rahlowi.

Zedd uniósł brew.

- Zaiste, przyjaciółka.

- Uleczyła go - potwierdziła Nicci - ale to było trudniejsze od wszystkiego, co wcześniej robiłam. Może i uratowałam mu życie, ale teraz

się obawiam, czy mu przy okazji nie zaszkodziłam.

- Co to znaczy? - zapytał Zedd.

- Boję się, czy to nie było przyczyną urojeń.

- To nieprawda - stwierdziła Cara.

- Zastanawiam się - dodała Nicci - czy nie można było postąpić inaczej, zrobić więcej.

Miała ściśnięte gardło. Bała się, że to prawda, że to przez nią Richard ma kłopoty z pamięcią, że zbyt późno zadziałała lub że popełniła jakąś fatalną w skutkach pomyłkę. Nieustannie się zamartwiała, że owego strasznego ranka kazała przenieść Richarda w bezpieczne miejsce i dopiero wtedy się nim zajęła. Obawiała się wówczas, że kolejny atak wroga mógłby przerwać jej próby uleczenia go, co miałyby zgubne następstwa; ale może gdyby zaczęła od razu, na polu walki, to Richard nie goniłby teraz za urojeniami.

Kolejny atak nie nastąpił, więc błędnie uznała, że trzeba przenieść chłopaka do opuszczonej chaty. Nie wiedziała wówczas, że już nic im nie grozi, ale może gdyby kazała ludziom Victora rozejrzeć się po okolicy, to mogłaby się zająć uzdrawianiem Richarda o wiele wcześniej. Nie kazała im iść na zwiady, bo się bała, że jeżeli żołnierze wroga są w pobliżu, to i tak trzeba będzie przenieść Richarda - a wtedy mogło już być dla niego za późno. To ona wtedy podjęła decyzję, a teraz Richard cierpiał na urojenia. Owej okropnej nocy coś poszło nie tak.

Nikt na świecie nie znaczył dla Nicci tyle co Richard. Trapiła się, że to ona niechcący wyrządziła mu krzywdę, która teraz rujnuje mu życie.

- Co mu się wtedy właściwie stało? - spytał Zedd. - Gdzie dostał strzałę?

- W lewą pierś. To był grot z zadziornymi i nie przebił go na wylot, lecz ugrzązł w ciele. Richard za pomocą magii zdołał częściowo zmienić kierunek lotu strzały, więc grot nie przebił serca, jednak płuco i klatka piersiowa szybko wypełniały się krwią.

Zedd był zdumiony.

- I potrafiłaś wydobyć strzałę i uleczyć go?

- Właśnie - potwierdziła zdecydowanie Cara. - Uratowała lordowi Rahlowi życie.

- Bo ja wiem... - Nicci z trudem dobierała słowa. - Nie podróżowaliśmy razem. Kiedy go teraz znów zobaczyłam i pojęłam, jak mocno się uczepił swoich urojeń, że nie jest w stanie dostrzec prawdy, to nie jestem pewna, czy

mu naprawdę pomogłam. Jak będzie mógł żyć, skoro nie potrafi dostrzec otaczającego go rzeczywistego świata? Jego ciało jest uleczone, lecz on powoli umiera, w miarę jak umysł coraz bardziej go zawodzi.

Zedd po ojcowsku poklepał ją po ramieniu. Nicci dojrzała w jego oczach płomień życia. Taki sam jak u Richarda. A przynajmniej taki sam jak niegdyś u Richarda.

- Po prostu musimy mu pomóc dostrzec prawdę.

- A jeżeli to mu złamie serce?

Zedd się uśmiechnął. To też jej przypomniało uśmiech Richarda - uśmiech, za którym tak bardzo tęskniła.

- To wtedy będziemy musieli uleczyć jego serce. Nicci, bliska łez, zdołała jedynie wyszeptać:

- A jakżeż to uczynimy?

Zedd znów się uśmiechnął i mocno ścisnął jej ramię.

- Znajdziemy jakiś sposób. Najpierw sprawimy, że pojmie prawdę, a potem będziemy się martwić, jak uleczyć jego zranione serce.

Nicci jedynie skinęła głową. Nie chciała, żeby Richard cierpiał.

- A co to za bestia, o której wspomniałaś? Dzieło Jaganga?

- To broń stworzona przy udziale Sióstr Mroku - powiedziała Nicci. - Coś z czasów wielkiej wojny.

Zedd zaklął pod nosem, słysząc to. Cara wyraźnie miała coś do powiedzenia na temat bestii, ale się rozmyśliła i ruszyła ku drzwiom.

- Chodźmy. Nie chcę, żeby lord Rahl za bardzo nas wyprzedził.

Zedd się z tym zgodził i dodał:

- Chyba zmokniemy.

- Jeżeli się rozpada - oznajmiła Mord-Sith - to przynajmniej deszcz zmyje ze mnie choć trochę końskiego zapachu.

ROZDZIAŁ 48

Zaczęło mżyć, zanim wyjechali z padoku. Richarda już nie było. Nie wiedzieli, jak bardzo ich wyprzedził. Cara chciała go dogonić, ale Zedd jej powiedział, że przecież wiedzą, dokąd pojechał, i nie ma sensu ryzykować, że jeden ze zmęczonych koni złamie nogę - bo wtedy musieliby zejść z góry za Richardem i potem, po wizycie na cmentarzu Spowiedniczek, z powrotem się wdrapać aż do wieży.

- A poza tym i tak go nie dogonisz - dodał.

- Pewnie masz rację - odparła Cara, spinając konia i przynaglając go do cwału - ale nie chcę, żeby za długo był sam. Jestem jego ochroną.

- Zwłaszcza że nie ma miecza - mruknął kwaśno Zedd.

Nie mieli innego wyjścia - musieli pognać za Cara. Zanim zjechali z góry i dotarli do miasta, zrobiło się ciemniej i mocniej się rozpadało. Nicci wiedziała, że przemokną, zanim się to wszystko skończy, na szczęście było dość ciepło, więc przynajmniej nie zmarzną na deszczu.

Wiedzieli, gdzie powinien być Richard, więc pojechali ku terenom Pałacu Spowiedniczek i tam raz-dwa znaleźli jego konia, przywiązane do jednego z pierścieni podtrzymujących łańcuchy rozpięte pomiędzy dekoracyjnymi granitowymi słupkami. Nie było żadnego przejścia, więc łańcuchy musiały odgradzać zamkniętą dla ogółu część pałacowych terenów. Przywiązali swoje konie obok wierzchowca Richarda, a potem Cara i Nicci poszły za przykładem Zedda, który przekroczył łańcuch.

Nie było to miejsce dostępne dla obcych. Rząd wysokich wiązów i gęsta ściana wiecznie zielonych jałowców zasłaniały ustronny dziedziniec przed ich wzrokiem. Poprzez gęste gałęzie okazałych drzew przeblyskiwały białe ściany Pałacu Spowiedniczek, wznoszącego się tuż obok, otaczające i osłaniające zadrzewiony cmentarz.

Był taki odseparowany od reszty terenów, że Nicci sądziła, iż będzie niewielki, lecz miejsce pochówku Spowiedniczek okazało się całkiem obszerne. Drzewa rozmieszczono tak, żeby przedzielały otwartą przestrzeń i nadawały każdemu sektorowi cmentarza kameralny charakter. Dróżka i niewielka obrośnięta pnączami kolumnada dla osób nadchodzących od strony pałacu wskazywały wyraźnie, że dostać się tu można było wyłącznie z

budynku, przez dwuskrzydłowe przeszklone drzwi. W przyćmionym, szarawym świetle, pod baldachimem ulistnionych gałęzi panowały cisza i podniosła atmosfera.

Znaleźli Richarda na niewielkim pagórku - stał w mżawce przed kamiennym nagrobkiem i wodził palcami po wyrytych w granicie literach tworzących imię KAHLAN.

W pobliżu leżały łopaty i kilofy, które Richardowi udało się znaleźć na terenie Pałacu Spowiedniczek. Nicci się rozejrzała - wśród żywopłotów, częściowo ukryte za narożnikiem pałacu, stały składziki dla robotników; uznała, że to stąd Richard musiał wziąć narzędzia.

Podeszła cicho do niego i zorientowała się, że chłopak jest bliski czegoś niezmiernie niebezpiecznego... dla niego. Stanęła za nim, skrzyżowała ramiona i czekała, a on czule gładził wyryte w kamieniu imię Kahlan.

- Richardzie - odezwała się w końcu łagodnie i cicho, bo takie miejsce wymagało skupienia i pełnego czci tonu - mam nadzieję, że pomyślisz o wszystkim, co ci mówiłam, i jeżeli cała ta sprawa nie zakończy się tak, jak ufasz, że powinna się zakończyć, to wiedz, że wszyscy zrobimy co w naszej mocy, żeby ci pomóc.

Odwrócił się od wyrytych w kamieniu liter.

- Nie martw się o mnie, Nicci. Tu pod ziemią niczego nie ma. Zamierzam wam to pokazać i wtedy będziecie musieli mi uwierzyć. Chcę odzyskać swoje życie. A kiedy to zrobię, to wszyscy zrozumiecie, że dzieje się coś bardzo złego. Będziemy musieli odkryć, co to takiego, i odnaleźć Kahlan.

Przez chwilę patrzył jej w oczy, czekając, czy ośmieli mu się sprzeciwić, a potem bez słowa chwycił łopatę i energicznie wbił ją w leciutko wybrzuszoną, porośniętą trawą ziemię przed nagrobkiem Matki Spowiedniczki.

Zedd stał w pobliżu i milcząco, niewzruszenie się przyglądał. Przyniósł dwie latarnie. Stały tuż obok na kamiennej ławie, świecąc słabo, ale nieustannie. Mżawka sprawiała, że od ziemi podnosiła się mgiełka. Niebo całkowicie zasnuwały stalowoszare chmury, ale było tak ciemno, że Nicci uznała, iż słońce musiało już zejść. Miała to być najciemniejsza noc nowiu, a ponieważ gruba warstwa chmur przesłaniała gwiazdy, będzie to też zapewne najczarniejsza z nocy. Wykopywanie zmarłych zaś było wystarczająco przygnębiające nawet bez mżawki i nadciągającej ciemności.

Richard pracował, gniewny, lecz opanowany; Cara w końcu chwyciła za drugą łopatę.

- Im wcześniej z tym skończymy, tym lepiej.

Wbiła łopatę w mokrą ziemię i zaczęła kopać razem z Richardem. Zedd stał w pobliżu, ponury i milczący, przyglądając im się. Nicci też chętnie by pomogła, ale uznała, że więcej niż dwoje ludzi tylko by sobie w kopaniu przeszkadzało. Mogłaby się posłużyć magią, żeby otworzyć grób, lecz czuła, że Zedd by tego nie pochwalił, chciał, by to był wysiłek Richarda, jego pot. Żeby to zrobił własnoręcznie.

Robiło się coraz ciemniej; Richard i Cara stali w coraz głębszym wykopie. Musieli się posłużyć kilofami, żeby się przebić przez gęstwą splątanych korzeni. Nicci pomyślała, że grube korzenie świadczą, iż grób jest starszy, niż Richard uważał. Ale nawet jeśli to sobie uświadomił, nic nie powiedział, tylko kopał dalej. Nicci przypuszczała, że on może mieć rację i że to nie jest prawdziwy grób, co by tłumaczyło, dlaczego korzenie są takie grube i splątane. Jeżeli Richard miał rację, to wykopano by pomiędzy nimi jedynie niewielki dół, w którym by pochowano urnę z prochami; ale ani przez chwilę w to nie wierzyła. Łopata za łopatą powiększał się kopczyk czarnej ziemi obok wykopu.

Choć Zedd przyglądał się temu w milczeniu, to z głębokich bruzd na jego twarzy Nicci wyczytała, że jest coraz bardziej rozsierdzony zakłócaniem wiecznego spoczynku Matki Spowiedniczki, nawet gdyby to miało załatwić sprawę. Wyglądał, jakby za chwilę miał eksplodować. Nicci uznała, że czarodziej zaczeka, aż Richard odnajdzie pogrzebaną prawdę, ale kiedy wreszcie powie to, co ma do powiedzenia, nie będą to słowa miłe ani pełne wyrozumiałości. Dla niego to już było zbyt wiele.

Kiedy głowy Richarda i Cary, ociekające potem i deszczem, zrównały się z poziomem ziemi, łopata chłopaka uderzyła nagle w coś twardego. Przeszali kopać. Richard sprawiał wrażenie zdumionego i zdezorientowanego; wedle jego słów w grobie powinna być co najwyżej mała urna z prochami, a trudno było uwierzyć, iż pochowano by ją aż tak głęboko.

- To musi być urna z prochami - powiedział wreszcie, patrząc na Zedda. - To musi być to. Nie wepchnąłbyś prochów w jakiś płytki wykop. Musieli pochować jakieś naczynie z prochami, które dzięki tobie uważali za prochy Kahlan.

Zedd milczał.

Cara przez chwilę przyglądała się Richardowi, a potem wbiła w ziemię łopatę. Też rozległ się stuk. Mord-Sith odsunęła grzbietem dłoni kosmyk blond włosów z twarzy, spojrzała na Nicci.

- Wygląda na to, że coś znaleźliście. - Złowieszczy głos Zedda niósł się po zalegającej tuż nad ziemią cmentarza mgle. - Musimy się przekonać, co to takiego.

Richard przez chwilę wpatrywał się w dziadka, a potem na nowo zaczął kopać. Już po chwili on i Cara odsłoniли jakąś płaską powierzchnię. Było za ciemno, żeby wyraźnie widzieć, lecz Nicci już wiedziała, co to takiego.

To była prawda, którą zaraz ujrzą.

To był kres urojeń Richarda.

- Nie rozumiem - mruknął chłopak, zaskoczony rozmiarami tego, co odsłaniali.

- Dokładnie oczyśćcie wierzch - nakazał Zedd, ze słabo skrywanym niezadowoleniem.

Richard i Cara szybko, lecz ostrożnie usuwali ziemię z tego, co z całą pewnością było trumną. Kiedy odsłoniли całe wieko, Zedd kazał im wyjść z wykopu.

Stary czarodziej wysunął ręce nad otwarty grób i skierował wnętrza dłoni ku górze. Richard, Cara i Nicci patrzyli, jak ciężka trumna zaczyna się unosić. Wylaniała się z czarnego dołu, osypywała się z niej ziemia. Zedd - cofając się od rany w uświęconej ziemi - dzięki swemu magicznemu darowi łagodnie złożył trumnę na trawie obok otwartego grobu.

Była rzeźbiona w pierzaste liście paproci, pokryte warstwą srebra. Przepojone smutkiem piękno. Richard wpatrywał się w nią, przerażony tym, co mogła zawierać.

- Otwórz - nakazał Zedd.

Richard przez chwilę mu się przyglądał.

- Otwórz - powtórzył Zedd.

Chłopak wreszcie ukląkł przy posrebrzanej trumnie i czubkiem łopaty ostrożnie obluzowywał wieko. Cara wzięła obie latarnie, jedną podała Zeddowi. Uniosła światło ponad ramieniem Richarda, żeby lepiej widział.

W końcu uniósł wieko na tyle, żeby zsunąć na bok ciężką pokrywę.

Światło latarni Cary padło na rozłożone zwłoki, będące już niemal

samym szkieletem. Starannie wykonana trumna chroniła aż do tej chwili ciało przed wilgocią, pozwalając mu stopniowo zmieniać się w proch. Kości pokrywały przebarwienia - efekt tak długotrwałego pogrzebania, jak i nieuniknionego procesu rozkładu. Długie włosy, nadal jeszcze trzymające się czaszki, spływały na ramiona. Tkanek pozostało niewiele; przeważnie była to tkanka łączna, zwłaszcza ta spajająca kości palców. Nawet tak długo po śmierci nadal się one zaciskały wokół dawno zbutwiałego bukietu kwiatów.

Zwłoki Matki Spowiedniczki były odziane we wspaniałą, choć prostą białą atlasową szatę; dekolt odsłaniał teraz jedynie zebra.

Zaciśnięty w dłoniach bukiet owinięto w perłową koronkę, przewiazaną szeroką złotą szarfą. Na złotej szarfie zaś wyhaftowano srebrnym szychem: „Ukochana Matka Spowiedniczka, Kahlan Amnell. Na zawsze pozostanie w naszych sercach”.

I już nie mogło być żadnych wątpliwości co do prawdziwego losu Matki Spowiedniczki oraz co do tego, że to, co Richard z takim uporem uważał za realne wspomnienia, było jedynie słodkimi urojeniami, które teraz rozsypały się w pył.

Richard, ciężko i z trudem oddychając, mógł się jedynie wpatrywać w otwartą trumnę ze szczątkami, w białą szatę, w złotą szarfę zawiązaną wokół poczerniałych resztek czegoś, co niegdyś było wspaniałym bukietem kwiatów.

Nicci zrobiło się niedobrze.

- Jesteś zadowolony? - spytał Zedd pełnym gniewu głosem.

- Nie rozumiem - wyszeptał Richard, nie mogąc oderwać oczu od koszmarnego widoku.

- Nie rozumiesz? A ja uważam, że wszystko jest zupełnie jasne - odparł Zedd.

- Przecież wiem, że nie została tu pogrzebana. Nie umiem tego wytłumaczyć. Nie pojmuję owej sprzeczności ze znaną mi prawdą.

Zedd splótł dłonie.

- Nie ma tu żadnej sprzeczności. Sprzeczności nie istnieją.

- Tak, ale wiem...

- Dziewiąte prawo magii: W rzeczywistości nie może być antynomii. Ani częściowej, ani całkowitej. Uwierzyć w antynomię to odrzucić wiarę w

istnienie otaczającego nas świata i w naturę tworzących go elementów; to poddać się przypadkowym impulsom pobudzającym wyobraźnię i uwierzyć, że coś jest prawdziwe, tylko dlatego, że się pragnie, by takie było. To, co istnieje, istnieje, samo w sobie. Nie może być żadnej antynomii.

- Ale, Zeddzie, ja muszę wierzyć...

- Ach, wierzysz. Masz na myśli, iż realność tej trumny i od dawna pogrzebanego ciała Matki Spowiedniczki ukazały ci coś, czego się nie spodziewałeś i czego nie chcesz zaakceptować, wolisz więc szukać schronienia w otumaniającej mgłę wiary. Czy właśnie to zamierzałeś powiedzieć?

- Cóż, w tym wypadku...

- Wiara to samooszukiwanie się, szalbierstwo czynione za pomocą słów i emocji, bazujące na każdym irracjonalnym pomysłem, jaki można sobie uroić. Wiara to próba podporządkowania prawdy zachciankom. To próba tchnienia życia w kłamstwo poprzez przyćmienie rzeczywistości urokiem pragnień. Wiara to schronienie głupców, ignorantów i naiwnych, a nie myślących, rozumnych ludzi. Bo antynomie nie mogą naprawdę istnieć. Żeby w nie uwierzyć, musisz się wyrzec tego, co dla ciebie najważniejsze: racjonalnego umysłu. A stawką jest twoje życie. I zawsze na takiej zamianie stracisz.

Richard przeczesał palcami mokre włosy.

- Ale coś się tutaj nie zgadza, Zeddzie. Nie wiem co, lecz wiem, że tak jest. Musisz mi pomóc.

- Już to zrobiłem. Pozwoliłem ci pokazać nam dowód, o którym sam wspomniałeś. Oto i on, w tej trumnie. Przyznaję, że nie jest pociągający jak to, w co wierzyłeś, lecz jego realności nie można odrzucić. Tego właśnie szukałeś. To Kahlan Amnell, Matka Spowiedniczka, jak to napisano na nagrobku.

Zedd uniósł brew i lekko się pochylił ku wnukowi.

- Chyba że potrafisz udowodnić, że to jakaś sztuczka, że ktoś tu z jakiegoś powodu pogrzebał zwłoki, że to część skomplikowanej intrygi, mająca przekonać wszystkich, że to oni mają rację, a ty się mylisz. Moim zdaniem to bardzo mało prawdopodobne. Obawiam się, że to oczywiste potwierdzenie prawdy, dowód, którego szukałeś, i że nie ma tu żadnej antynomii.

Richard wpatrywał się w leżące przed nim od dawna pozbawione życia szczątki.

- Coś jest nie tak. To nie może być prawda. Po prostu nie może.

Zedd na moment zacisnął zęby.

- Richardzie, pozwoliłem ci na ten straszliwy czyn, chociaż nie powinienem był. Teraz powiedz mi, dlaczego nie masz miecza. Gdzie jest Miecz Prawdy?

Deszcz bębnił cicho w liściaste sklepienie ponad ich głowami; dziadek Richarda czekał na odpowiedź.

- Dałem miecz Shocie w zamian za potrzebną mi informację. Oczywiście Zedda otworzyły się szeroko.

- Co zrobiłeś?!

- Musiałem - dodał Richard, nie patrząc na dziadka.

- Musiałeś? Musiałeś!

- Tak - odparł potulnie Richard.

- W zamian za jaką informację?

Richard wsparł łokcie o skraj trumny i ukrył twarz w dłoniach.

- W zamian za to, co by mi pomogło odkryć, co się właściwie dzieje. Muszę się tego dowiedzieć. Muszę wiedzieć, jak odnaleźć Kahlan.

Rozwścieczony Zedd wskazał palcem trumnę.

- Tu jest Kahlan Amnell! Pod nagrobkiem z jej imieniem! I jakąż to bezcenną informację dostałeś od Shoty, kiedy już wyłudziła od ciebie miecz?

Richard nie próbował tłumaczyć, że nie wyłudziła miecza.

- Chainfire - powiedział. - Podała mi słowo „chainfire”, lecz nie wiedziała, co ono znaczy. Dodała, że muszę odnaleźć miejsce kości w Głębokiej Głuszy.

- Głęboka Głusza - powtórzył drwiąco Zedd; spojrzał na pociemniałe niebo i głęboko odetchnął. - Nie sądzę, by Shota potrafiła ci powiedzieć, co oznacza ta Głęboka Głusza.

Richard pokręcił głową, ale nie spojrzał na dziadka.

- Powiedziała mi też, żebym się strzegł zmii o czterech łbach. Zedd znów gniewnie westchnął.

- I pewnie ani ona, ani ty nie macie pojęcia, co to oznacza. Richard znowu pokręcił głową, nie patrząc na dziadka.

- To wszystko? Cała cenna wiadomość, jaką dostałeś za Miecz Prawdy?

Richard się zawahał.

- Jest jeszcze coś - mówił tak cicho, że deszcz prawie go zagłuszał. - Shota powiedziała... że to, czego szukam... jest od dawna pogrzebane.

Zedd z trudem hamował wybuch gniewu.

- Tutaj - energicznie wskazał palcem - tutaj jest to, czego szukasz: Kahlan Amnell, Matka Spowiedniczka, pogrzebana dawno temu.

Richard zwiesił głowę, milczał.

- I na to wymienilesz Miecz Prawdy. Oręż o nieocenionej wartości. Oręż mogący uśmiercić nie tylko złych, ale i dobrych. Oręż przekazywany nam, począwszy od czarodziejów z pradawnych czasów, który można powierzyć jedynie wybrancom. Oręż, który powierzyłem tobie. A ty oddalesz go wiedźmie. Czy ty w ogóle masz pojęcie, przez co przeszedłem, żeby odzyskać od Shoty Miecz Prawdy, kiedy ostatnio wpadł w jej ręce?

Richard potrząsnął głową; wpatrywał się w ziemię obok trumny i wyraźnie wolał się nie odzywać.

Nicci wiedziała, że Richard mógłby wiele powiedzieć na swoją obronę, wytłumaczyć, na czym opiera swoje przekonania i działania - ale nic nie mówił, chociaż dano mu po temu okazję. Dziadek złościł się na niego, a on klęczał, milcząc, ze zwieszoną głową, obok otwartej trumny zawierającej kres jego marzeń.

- Powierzyłem ci coś ogromnie cennego. Uważałem, że taki groźny przedmiot będzie w twoich rękach bezpieczny. Zawiodłeś mnie, Richardzie, wszystkich zawiodłeś, po to tylko, byś mógł gonić za ułudą. Oto i one, dawno temu pogrzebane kości. Mam nadzieję, że uważasz wymianę za uczciwą, bo ja na pewno tak nie sądzę.

Cara stała w pobliżu, trzymając latarnię, zmoczone deszczem blond włosy kleiły się jej do głowy. Wyraźnie miała ochotę coś powiedzieć w obronie Richarda, ale nie bardzo wiedziała co. Nicci bała się odezwać. Wiedziała, że w tej chwili każde słowo tylko by pogorszyło sprawę. Ciszę mglistej nocy zakłócał jedynie szmer uderzającego o liście deszczu.

- Zeddzie - odezwał się niepewnie Richard - przepraszam.

- Przeprosiny nie wyrwą miecza ze szponów Shoty. Nie ocalą tych, na których Samuel go podniesie. Kocham cię jak syna, Richardzie, i zawsze będę cię kochać, ale jeszcze nigdy się tak na tobie nie zawiodłem. Nigdy bym nie uwierzył, że zrobisz coś tak bezmyślnego.

Richard kiwnął głową, nie miał ochoty usprawiedliwiać swojego

postępowania.

Nicci pękało z żalu serce.

- Zostawię cię, żebyś pogrzebał Matkę Spowiedniczkę, a sam spróbuję wymyślić sposób wydostania miecza od wiedźmy, która się okazała o wiele sprytniejsza od mojego wnuka. Powinieneś być świadom, że będziesz odpowiedzialny za wynikłe z tego skutki.

Richard kiwnął głową.

- Dobrze. Cieszę się, że choć tyle z tego rozumiesz. - Odwrócił się ku Carze i Nicci, spojrzenie zaś miał równie groźne jak Rahl. - Chcę, żebyście obie wróciły ze mną do wieży. Muszę się wszystkiego dowiedzieć o tej bestii. Wszystkiego.

- Powinnam zostać i czuwać nad lordem Rahlem - oznajmiła Cara.

- Nie - odparł Zedd. - Pojedziesz ze mną i opowiesz mi ze szczegółami, co się wydarzyło u wiedźmy. Muszę znać każde słowo, które padło z ust Shoty.

Cara była w rozterce.

- Zeddzie, nie mogę...

- Jedź z nim, Caro - spokojnie nakazał Richard. - Zrób, jak chce. Proszę.

Nicci zrozumiała, jak bezradny czuł się Richard, kiedy usprawiedliwiał swoje postępowanie przed dziadkiem; i nie miało znaczenia, iż był przekonany, że zrobił wyłącznie to, co w swoim mniemaniu musiał. Rozumiała to, bo zawsze czuła się równie bezradna w obecności matki, wtedy, kiedy matka - jak to często robiła - mówiła jej, że postąpiła źle. Nigdy nie potrafiła się w takich wypadkach bronić, sprzeciwić się jej opinii. Matka zawsze, bez najmniejszego wysiłku, potrafiła wykazać, że decyzje Nicci są egoistyczne i mało ważne. Dla tej, która ją wychowała, Nicci zawsze była dzieckiem, bez względu na to, ile miała lat. Nawet kiedy już od dawna mieszkała w Pałacu Proroków, matka wciąż potrafiła sprawić, iż czuła się głupiutką dziesięciolatką.

A wszystko było o wiele trudniejsze, ponieważ Richard kochał i szanował dziadka. Dlatego przeżywał to o wiele bardziej niż Nicci. Pomimo wszystkich swoich dokonań, siły, wiedzy, umiejętności, nie potrafił się sprzeciwić, nie potrafił wyjaśnić, że wcale dziadka nie zawiódł - a ponieważ kochał i szanował Zedda, raniło go to wszystko jeszcze bardziej.

- Jedź - powiedziała do Cary, delikatnie dotykając jej ramienia. - Zrób, jak chce. Sądzę, że Richardowi przyda się chwila samotności, żeby to

przemyśleć i się pozbierać.

Cara popatrzyła na Nicci i na Richarda; uznała, że Nicci lepiej sobie z tym poradzi, więc kiwnęła głową, że się zgadza.

- Ty też jedziesz - oznajmił Nicci Zedd. - Matkę Spowiedniczkę należy złożyć na spoczynek; niech się tym zajmie Richard. Muszę się dokładnie dowiedzieć, jaki masz w tym udział, żebym spróbował wymyślić, jak się pozbyć kłopotów spowodowanych i przez to, i przez dzieło Jaganga.

- W porządku - odparła Nicci. - Odwiążcie konie, a ja zaraz do was dołączę.

Zedd rzucił okiem na wciąż klęczącego przy trumnie Richarda i skinieniem głowy wyraził zgodę.

Kiedy wraz z Cara zniknęli za jałowcami, we mgle, Nicci przykucnęła obok Richarda i położyła mu dłoń na przygarbionych ramionach.

- Wszystko będzie dobrze, Richardzie.

- Zastanawiam się, czy kiedykolwiek coś znów będzie dobrze.

- W tej chwili może się wydawać, że nie, ale na pewno będzie. Zedd przestanie się złościć i zrozumie, że robiłeś co w twojej mocy, żeby postępować odpowiedzialnie. Wiem, że cię kocha i nie chciał cię tak mocno zranić swymi słowami.

Richard kiwnął głową, nie podnosząc wzroku; klęczał w błocie, przy otwartej trumnie z ciałem dawno zmarłej Kahlan Amnell, kobiety, która w jego marzeniach była jego ukochaną.

- Zrobisz coś dla mnie, Nicci? - spytał wreszcie tak cicho, że ledwo go usłyszała przez szmer deszczu.

- Co tylko zechcesz, Richardzie.

- Ostatni raz... bądź dla mnie Panią Śmierci.

Pogładziła go po plecach i wstała. Płynące po jej twarzy łzy mieszały się z kroplami deszczu. Całą siłą woli stłumiła szloch i opanowanym głosem powiedziała:

- Nie mogę, Richardzie. Nauczyłeś mnie kochać życie.

ROZDZIAŁ 49

U chyliły się ciężkie drzwi, po czym Rikka wsunęła głowę do cichej komnaty.

- Ktoś się zbliża.

Nicci odsunęła wyściełane krzesło od bibliotecznego stołu.

- Zbliża się?

- Do wieży.

- Wiesz kto? - spytała, wstając. Rikka potrząsnęła głową.

- Zedd powiedział mi tylko, że osłony go ostrzegły, że ktoś jedzie drogą ku wieży. Uznał, że powinnaś się o tym dowiedzieć. Mówię ci, ta cała kłębiąca się tu magia przyprawia mnie o gęsią skórkę.

- Poszukam Richarda.

Rikka kiwnęła głową i znikła. Nicci szybko odstawiła czytana przed chwilą księgę na jedną z mahoniowych półek, wypełniających zaciszną bibliotekę. Było to nudnawe sprawozdanie z tego, co się działo w wieży w czasie wielkiej wojny. Nicci dość dziwnie się czuła, czytając o tych wszystkich ludziach, którzy przed tysiącami lat mieszkali w Wieży Czarodzieja. Musiała sobie nieustannie przypominać, że mówili o budowlu, w której właśnie się znajdowała, bo wciąż odnosiła wrażenie, że to historia zupełnie nie związana z wieżą. Dumiała, że Pałac Proroków był przecież przez tak długi czas pełen życia, i nie potrafiła go sobie wyobrazić zamieszkanego zaledwie przez parę osób - a wieża była o wiele większa. Pałacu jednak już nie było, a wieża ciągle stała.

Tak naprawdę Nicci wcale nie ciekawiła czytana księga, była wręcz nudna, ale ona się tym nie przejmowała. Po prostu chciała czymś wypełnić czas, a nie mogła się zmusić do wykonywania czegoś bardziej pasjonującego, przy czym musiałyby myśleć. Za bardzo się bowiem martwiła.

Nów z wieczoru, kiedy to rozkopali grób Matki Spowiedniczki, przeszedł w pełni i teraz księżyc znów się zbliżał do ostatniej kwadry, ale nic poza tym się nie zmieniło. Parę dni po wykopaniu zwłok Zedd powiedział Richardowi, że go kocha i że żałuje, iż był dla niego taki twardy, zamiast się czegoś więcej dowiedzieć, zanim go tak bezlitośnie zrugał. Obiecał, że spróbują wymyślić, jak odzyskać miecz Richarda, i że wszystko będzie

dobrze.

Mogło to być szczere i prawdziwe, ale Richardowi trudno było przezwyciężyć dogłębne cierpienie, spowodowane podwójną porażką. Nie tylko bowiem zawiódł i rozgniewał dziadka, ale i nie zdołał dowieść prawdziwości swoich wspomnień. Położył wszystko na jedną szalę. Był taki pewny swego, a na koniec udowodnił jedynie, że się mylił.

Richard tylko kiwnął głową, kiedy wysłuchał Zedda. Nicci myślała, że niewiele go obchodzi, że Zedd zmiękł. Dotarł do kresu swych planów, nadziei i starań. Znikąd nie dostał pomocy. Po owej nocy stracił chęć do życia.

Tamtej nocy Zedd całymi godzinami wypytywał Carę i Nicci. Czarodziejka ze zdumieniem usłyszała od Cary, co Shota powiedziała o bestii: że stała się ona bestią krwi, bo Nicci przypadkowo dała jej poznać rodowy dar Richarda. Przeraziła się, słysząc, iż to przez nią wzrosło zagrożenie.

Zedd, zdumiony tym, czego Nicci dokonała, żeby ratować życie jego wnuka, uspokoił ją, mówiąc, że gdyby tego nie zrobiła, Richard najpewniej by wtedy umarł. Powiedział, że uratowała chłopakowi życie i że teraz powinni się zająć sprawą bestii stworzonej przez Siostry Mroku, osobliwymi urojeniami Richarda i odzyskaniem Miecza Prawdy. Nicci - na podstawie tego, co sama wiedziała, i tego, co o bestii powiedziała Shota - uważała, że mają nikłą szansę na sukces w tej sprawie. W ogóle nie miała pojęcia, jak choć trochę zaszkodzić bestii, stworzonej przez ciemne moce.

Speszyła ją też opowieść Cary o tym, że Shota zdradziła Richardowi plany Mord-Sith, żeby Nicci postarała się wzbudzić w nim uczucie. Na szczęście Zedd powstrzymał się od wszelkich komentarzy w tej kwestii.

To wszystko sprawiało, że Nicci czuła się bezsilna i pozbawiona nadziei. Imperialny Ład bezkarnie grasował po Nowym Świecie, bestia polowała na Richarda, on zaś - delikatnie mówiąc - nie był sobą.

W pewien sposób przypominało to jej dawne podejście do życia, to sprzed poznania Richarda. Nauczono ją, że urodziła się hojnie obdarowana i że dlatego ma obowiązek poświęcić się dla będących w potrzebie. I choćby nie wiadomo jak się starała, to potrzeby zawsze przewyższały jej zdolność ich zaspokojenia, przez co nieustannie rósł jej dług wobec tych, których sytuacja życiowa stale się pogarszała; ona zaś nie była panią własnego życia.

Zupełnie inaczej odbierała teraz sprawy związane z bestią i urojeniami Richarda, lecz wywoływały one w niej znajome poczucie całkowitej bezradności.

Po otwarciu grobu i ujrzeniu tego, co zawierał, Richard całe dni spędzał sam, nie licząc milczącego towarzystwa Cary. Mord-Sith bowiem, kiedy już odpowiedziała na wszystkie dociekliwe pytania Zedda o to, co zaszło u Shoty, zdecydowanie odmówiła opuszczenia swojego miejsca u boku chłopaka; a ponieważ Richard nie miał ochoty z kimkolwiek rozmawiać, stała się jego milczącym cieniem.

Dziwnie było widzieć ich razem, czujących się zupełnie swobodnie w swoim towarzystwie nawet w takich chwilach. Nicci miała wrażenie, że w ogóle nie potrzebują słów, bo do porozumiewania się wystarczyło im spojrzenie, lekki gest albo w ogóle nie wiadomo co.

Nicci czuła się niepożądanym świadkiem udręki Richarda, więc zostawiła go w spokoju. Trzymała się jedynie najbliżej jak mogła, żeby być pod ręką na wypadek ataku bestii - ale pozostawała poza zasięgiem jego wzroku, nie zakłócając mu samotności.

Pierwsze cztery lub pięć dni po zjawieniu się w wieży Richard spędził w Pałacu Spowiedniczek, snując się po wspaniałych komnatach i korytarzach. Nicci siedziała w gościnnej komnacie pałacu, nie pokazując mu się, a on bez celu włóczył się po opustoszałej budowli. Potem wyszedł z pałacu i przez jakieś sześć dni krążył po Aydindril; chodził ulicami i uliczkami, jakby na nowo przeżywał to, co tu się niegdyś działo. Nicci trudniej było się trzymać w pobliżu, kiedy tak przez cały dzień błąkał się po mieście. Później przez jeszcze dłuższy czas chodził po lasach i górach wokół Aydindril; czasami nawet nie wracał na noc. Richard w lasach był u siebie, więc Nicci postanowiła tam za nim nie chodzić; wiedziała, że trudno by jej było ukryć przed nim swoją obecność. Nieco pocieszenia czerpała z łączącej ją z nim magicznej więzi, dzięki której zawsze wiedziała, w którą stronę poszedł i jak mniej więcej jest daleko. Ale kiedy nie wracał na noc, chodziła tam i z powrotem, nie mogąc zasnąć.

Zedd w końcu poprosił Richarda, żeby został w wieży, gdyż w razie ataku bestii on i Nicci mogliby pomóc ją przepędzić. Richard bez sprzeciwu zrobił to, o co go poproszono, ostatnie dni spędzał już nie w pałacu, mieście czy lasach, ale na zewnętrznych rampartach wieży, zapatrzony gdzieś w dal.

Nicci desperacko pragnęła mu pomóc, ale Zedd z uporem powtarzał, że nie ma nic do zrobienia, że można jedynie czekać i przekonać się, czy z czasem Richard zacznie pojmować, iż ów związek z Kahlan uroił sobie, kiedy był nieprzytomny. Nicci nie sądziła, że czas cokolwiek tu zmieni. Na tyle długo towarzyszyła chłopakowi, by wiedzieć, że to coś poważniejszego. Uważała, że potrzebna mu pomoc, lecz nie miała pojęcia jaka.

Nicci pospiesznie szła wyłożonym boazerią korytarzem przy bibliotece, wysłanym grubymi dywanami. Wykorzystując więź z Richardem, spieszyła przez labirynt schodów i przejść. Coraz bardziej się do niego zbliżała; wspominała ów pocałunek, który ich połączył magiczną więzią. Cudownie było móc go ofiarować, a przecież budził w niej spore poczucie winy, wcale bowiem nie musiała się do tego uciekać. Wystarczyłoby, gdyby dotknęła palcem grzbietu dłoni Richarda czy jego ramienia - i już by ich połączyła więź, a on by nawet nic nie poczuł. Lecz Cara wtedy tłumaczyła jej, że powinna bardziej zwrócić na siebie jego uwagę, i wbiła jej do głowy rozmaite ekscytujące pomysły. Tamten pocałunek z pewnością zapadł mu w pamięć. A jednak czuła, że był zbyt śmiały, zbyt nie na miejscu, zważywszy na uczucia Richarda. Kochał inną, choć tylko w marzeniach, a Nicci tego nie uszanowała. Niekiedy trochę żałowała, że go w ogóle pocałowała, czasem zaś uważała, że powinna była pocałować go w usta, a nie w policzek.

Tak jak Shota.

Aż się skręcała, słuchając opowieści Cary o tym, jak Shota go całowała i namawiała, żeby z nią został. Nicci dobrze wiedziała, co czuła wiedźma - ale to jej wcale nie pocieszało.

Dałaby wszystko, żeby go teraz przytulić, dodać mu otuchy, powiedzieć, że wszystko będzie dobrze - po to tylko, żeby się choć trochę lepiej poczuł, żeby go zapewnić, iż są w pobliżu ludzie, którzy się o niego troszczą.

Lecz wiedziała, że nie czas na coś takiego.

Równocześnie zdawała sobie sprawę, że to nie może tak trwać. Richard po prostu nie mógł dalej tak egzystować. Nie mógł żyć bezwolnie, z dnia na dzień. Musiał się opamiętać.

Nicci przyspieszyła kroku - prowadzona przez magię, podążała przez nie mający końca labirynt korytarzy i pustych choć wspaniałych komnat, bo nagle z jakiegoś powodu poczuła, że musi być przy nim.

Richard stał na brzegu muru, wsparty ramionami o masywne blanki i

wyglądał za krenelaż. Jakby stał na krawędzi świata. Szare łaty cienia, rzucanego przez chmury, przesuwały się powoli przez leżące daleko w dole wzgórza i pola.

Stracił poczucie czasu. Każdy dzień stał się dla niego jednakowo monotony, pusty i niepotrzebny. Nawet nie wiedział, jak długo stoi przy prześwicie w blankach, właściwie na nic nie patrząc.

Kahlan umarła i nie było jej, więc wszystko straciło sens. Nawet już nie pojmował, czemu kiedyś to było takie ważne, ani nie był już tak całkiem pewien, czy ona rzeczywiście kiedykolwiek istniała.

Ale czy istniała naprawdę czy nie, i tak już wszystko się skończyło.

Cara była w pobliżu. Ona zawsze była blisko niego. To go w pewien sposób pocieszało, gdyż zawsze mógł na nią liczyć. Ale z drugiej strony jej stała obecność męczyła go, bo nigdy nie był ani chwili sam.

Ciekaw był, czy sądziła, że jest na tyle blisko, że zdążyłaby go chwycić, gdyby skoczył. Wiedział, że nie.

Spojrzał na maleńkie, stłoczone daleko w dole dachy Aydindril. Byli do siebie podobni. Miasto było puste. I w nim była pustka. Życie ich opuściło.

Od rozkopania grobu - nawet w myślach, a co dopiero na głos, nie potrafił go nazwać grobem Kahlan - uważał, że nie ma po co żyć. Gdyby można było umrzeć z własnej woli, to już by nie żył - lecz śmierć, choć zapraszana, nagle się zaczęła wzbraniać przed zabraniami go. Dni wlokły się bez końca.

Zawartość grobu tak go zaskoczyła, że pomieszało mu się w głowie. Miał wrażenie, że nie potrafi myśleć. Wszystko mu się zdawało bezsensowne. To, co uważał za prawdę, już nią nie było. Cały jego świat stanął na głowie. Jakżeż mógł żyć, jeżeli nie wiedział, co jest prawdą, a co nie?

Nie miał pojęcia, co dalej robić. Wydarzenia po raz pierwszy zbiły go z tropu i przerosły. Zawsze miał do wyboru wiele możliwości. Teraz nie. Spróbował wszystkiego, co zdołał wymyślić. Nic to nie dało. Dotarł do końca liny, dalej nie było już nic. Cały czas pamięć podsuwała mu jej obraz w trumnie. Widział, słyszał, czuł, lecz nie mógł myśleć, nie potrafił się w niczym dopatrzeć sensu. To była namiastka śmierci - wedle Richarda, marna namiastka. Po co żyć, skoro nic nie ma sensu, nic nie cieszy? Pragnął, żeby go przyjęła mroczna nicość.

Przekroczył granice cierpienia i smutku; została mu już tylko straszliwa,

pozbawiająca tchu udręka, nie opuszczająca go ani na chwilę. Desperacko chciał uciec przed prawdą, nie chciał w nią uwierzyć - lecz nie mógł, i to go obezwładniało.

Wiatr targał włosy Richarda zapatrzonego w przepaść liczącą tysiące stóp.

I co komu po nim? Zawiódł Zedda. Za nic nie znaczące słowa oddał Shocie Miecz Prawdy. Nicci uważała, że oszalał i że ma urojenia. Nawet Cara mu nie wierzyła. On jeden wierzył w siebie i rozkopując grób, sam sobie udowodnił, że był w błędzie.

Pomyślał, że pewnie oszalał, że Nicci ma słuszość. Wszyscy mieli rację, a on sobie tylko to wszystko wyobraził. Widział to w ich oczach; ich spojrzenia mówiły mu, że stracił rozum.

Richard patrzył na gruby zewnętrzny mur wieży z ciemnego kamienia, stromo opadający ku leżącym tysiące stóp niżej lasom i skale. Czuł porywy wiejącego w górę muru wiatru. Widok przyprawiający o zawrót głowy. Zawrotny upadek.

I co komu po nim? Czym jest sam dla siebie?

Zerknął z ukosa na Carę. Była blisko, lecz niewystarczająco.

Richard nie widział żadnego powodu, żeby przedłużyć tę udrękę. Nie miał już rozumu, a rozum był jego życiem. Nie miał Kahlan. A była jego życiem. Z tego, co mu mówili, z tego, co owej straszliwej nocy zobaczył w trumnie, wynikało, że nigdy jej nie miał. To było jedynie urojenie szaleńca. Pragnienie. Kaprys.

Znów spojrział w dół - na stromizną potężnego bocznego muru wieży, na skały i drzewa daleko w dole. Droga w dół była bardzo, bardzo daleka.

Przypomniał sobie, jak mówiono, że przed śmiercią jeszcze raz przeżywa się całe życie. Jeżeli naprawdę jeszcze raz przeżyłby życie, to przeżyłby każdą cenną chwilę spędzoną z Kahlan. W rzeczywistości albo tylko w urojeniach.

To byłaby długa droga w dół.

Mnóstwo czasu na ponowne przeżycie cudownych, czułych chwil. Mnóstwo czasu na ponowne przeżycie każdej cennej spędzonej z nią chwili.

ROZDZIAŁ 50

Nicci otworzyła okute żelazem dębowe drzwi i znalazła się w jasnym świetle dnia. Białe, puchate obłoki płynęły tuż nad jej głową olśniewająco lazurowym niebie - wszystko to w innych okolicznościach dodałoby jej ducha. Dość silny wiatr zwał jej włosy na twarz. Odgarnęła je i spojrzała za wąski mostek, na odległy rampart. Richard stał za mostkiem, przy zewnętrznym murze, w prześwicie w krenelażu, i patrzył w dół. Cara odwróciła się, słysząc skrzypnięcie drzwi.

Nicci pospiesznie ruszyła mostkiem, rozpiętym ponad leżącymi daleko w dole dziedzińcami. W różanym ogrodzie u stóp wieży, w złączeniu kilku murów, zauważyła parę kamiennych ław. Kiedy wreszcie dotarła do Richarda, obejrzał się i leciutko do niej uśmiechnął. Ucieszył ją ten uśmiech, chociaż wiedziała, że to jedynie formalna grzeczność.

- Rikka mi powiedziała, że ktoś się zbliża do wieży. Pomyślałam, że powinnam pójść po ciebie.

Stojąca o trzy kroki dalej Cara przysunęła się nieco.

- Czy Rikka wie kto to? Nicci potrząsnęła głową.

- Nie, i dlatego się martwię.

Richard - bez jednego ruchu, nie odrywając oczu od odległego pejzażu - powiedział:

- To Ann i Nathan.

Nicci zrobiła zdziwioną minę. Spojrzała za krawędź muru. Richard wskazał ich daleko w dole - jechali drogą, która się wiała po stoku góry ku wieży.

- Jest troje jeźdźców - stwierdziła Nicci. Richard potaknął.

- Pewnie jest z nimi Tom. Przynajmniej na to wygląda. Nicci wychyliła się jeszcze trochę obok Richarda i spojrzała w dół kamiennej ściany. To był przerażający spadek. Uznała, że wcale się jej nie podoba, iż Richard tu stoi.

Wsparła się dla równowagi o jego ramię i znów spojrzała na trzy konie, ciężko idące pod górę zalaną słońcem drogą. Na krótko zniknęły pośród drzew i zaraz znów się pojawiły; jeźdźcy wytrwale podążali ku wieży.

Nagły podmuch wiatru o mało jej nie strącił z prześwitu w blankach olbrzymiego kamiennego muru. Richard objął ją ramieniem w pasie i

podtrzymał. Instynktownie cofnęła się od krawędzi. Kiedy już pewnie stała na nogach, zniknęło podtrzymujące ją ramię.

- Z tej odległości widzisz dokładnie, że to Ann i Nathan? - spytała Nicci.

- Tak.

Nicci wcale nie pałała chęcią ponownego ujrzenia Ksieni. Jako Siostra Światła i osoba, która większość życia spędziła w Pałacu Proroków, wiele doświadczyła od Sióstr i ich przewodniczki. Ksieni pod wieloma względami była dla niej jak matka, podobnie jak dla wszystkich Sióstr; była kimś, kto je napominał, kiedy sprawiały zawód, i rugał je, że muszą podwoić wysiłki w udzielaniu pomocy będącym w potrzebie. Kiedy była dzieckiem, matka zawsze zdecydowanie tłumiała wszelkie przejawy „egoizmu”. Potem to samo czyniła Ksieni, tyle że z uprzejmym uśmiechem. Lecz klaps czy uśmiech, szło o to samo - zniewolenie, tyle że ładniej nazywane.

Nathan Rahl to zupełnie inna sprawa. Nicci właściwie nie знаła Proroka. Były Siostry, które drżały na sam dźwięk jego imienia. Z tego, co o nim opowiadano, wynikało, że jest nie tylko niebezpieczny, ale i przypuszczalnie obłąkany, a jeżeli to ostatnie było prawdą, to miało zatrważające związki z obecnym stanem Richarda. Prorok niemal całe swoje życie spędził w dobrze strzeżonych komnatach, Siostry zaś nie tylko zaspokajały jego potrzeby, ale i dbały, żeby nie uciekł. Mieszkańcy Tanimury byli i podekscytowani obecnością Proroka, i bali się go; bali się tego, co mógłby im powiedzieć o ich przyszłości. Krążyły wśród nich opinie, że z całą pewnością jest grzeszny i niegodziwy, skoro potrafi zobaczyć ich przyszłość. Talent zwykle wzbudza gniew bardzo wielu ludzi, zwłaszcza jeżeli nie mogą go wykorzystać do zaspokojenia swoich potrzeb.

Ale Nicci nie bardzo się przejmowała tym, co ludzie opowiadali o Nathanie. Miała bowiem do czynienia z naprawdę niebezpiecznymi osobnikami - a na czele jej listy znajdował się Jagang.

- Lepiej zejdźmy na dół - powiedziała do Cary i Richarda. Richard wciąż patrzył na okolicę.

- Idźcie, jeśli chcecie.

Jakby go w ogóle nie obchodziło, że ktoś nadjeżdża. Myślni był gdzie indziej i chciał tylko, żeby Nicci sobie poszła. Nicci odgarnęła z twarzy włosy.

- Może powinienes się przekonać, czego chcą? W końcu odbyli długą podróż, żeby się tutaj dostać. Jestem przekonana, że nie zrobili tego z

powodu jakiejś błahostki.

Richard wzruszył ramionami, nic go nie obeszła jej uwaga.

Nicci tak brakowało blasku w jego oczach. Już nie mogła dłużej tego wszystkiego znieść. Obejrzała się na Mord-Sith i tonem polecenia zapytała:

- Może byś się przespacerowała, Caro? Co ty na to?

Cara, zdumiona tym poleceniem, spojrzała na stojącego w prześwicie w blankach Richarda, zapatrzonego w dal, po czym porozumiewawczo kiwnęła Nicci głową. Czarodziejka patrzyła, jak Cara odchodzi rampartem, a później bez ogródek powiedziała do chłopaka:

- Musisz z tym skończyć, Richardzie.

Nie odezwał się, nadal patrzył na tereny wokół wieży.

Nicci wiedziała, że nie może zawieść, że musi osiągnąć swój cel. Dałaby niemal wszystko, żeby Richard zechciał z nią dzielić życie, lecz nie chciała go zdobyć w ten sposób. Nie chciała być namiastką zmarłej, substytutem marzenia, którego nie zdołał zrealizować. Jeżeli miałaby kiedykolwiek z nim być, to tylko wtedy, gdyby ją sam wybrał, a nie dlatego, że już nic mu nie pozostało. Niegdyś by się na to zgodziła, ale teraz już nie. Teraz bardziej się szanowała - i to dzięki Richardowi.

A poza tym nie był to Richard, którego znała i kochała. I gdyby nawet nigdy nie miała z nim być, to nie mogła dopuścić, żeby się już na zawsze pogрузzył w tym strasliwym mroku. Jeżeli jest szansa, że zdoła w nim znów obudzić chęć do życia, zrobi to, choćby miało to być jedyne, co może dla niego uczynić.

Jeżeli ma odegrać rolę przeciwniczki, żeby go wytrącić z tego osuwania się w nicość, to ją odegra.

Położyła dłoń na kamiennej blance, żeby Richard nie mógł jej zignorować, i wojowniczo zapytała:

- Czy zamierzasz walczyć o to, w co wierzysz?

- Niech walczą, jeżeli chcą. - W jego głosie nie słyszało się nawet przygnębienia, był zupełnie głuchy, jakby martwy.

- Nie o to mi chodzi. - Nicci chwyciła go za ramię i łagodnie, choć stanowczo odwróciła go od przepaści, zmuszając, żeby na nią spojrzał. - Czy nie zamierzasz walczyć o własną sprawę?

Spojrzał jej w oczy, ale milczał.

- To dlatego, że Zedd ci powiedział, iż go zawiodłeś.

- Powiedziałbym raczej, że rozkopany przeze mnie grób ma z tym coś wspólnego.

- To ty tak uważasz, ale nie ja. A niby dlaczego miałyby mieć? Już wcześniej bywałeś w poważnych opałach. Porwałam cię i zabrałam do Starego Świata, i co wtedy zrobiłeś? Nie poddałeś się, postępowanie po swojemu, wedle swoich zasad, w takich granicach, jakie ci zakreśliłam. Ponieważ jesteś sobą, zarażałeś wszystkich swoim umiłowaniem życia i to mnie odmieniło. Ukazałeś mi prawdziwą radość i wszystko, co się z tym łączy. Tym razem wróciłeś do życia znad krawędzi i przekonałeś się, że ani ja, ani Cara, ani w ogóle nikt nie wierzy w twoje wspomnienia o Kahlan, ale to cię nie powstrzymało. Bronieś swoich przekonań bez względu na to, co od nas słyszałeś.

- Zawartość trumny to co innego i coś więcej niż zwykle zaprzeczenie tych, co ci nie wierzą.

- Czyżby? Wcale tak nie uważam. To był szkielet. I co z tego?

- I co z tego? - zaczął się irytować. - Zwariowałaś? Jak to „i co z tego”?

- Nie mam zamiaru bronić twojej sprawy, skoro w nią nie wierzę, ale nie chcę ci bezpodstawnie wmawiać, że mam rację. Chciałabym cię przekonać konkretnymi faktami, a nie jakimś marnym dowodem.

- Co to znaczy?

- Czy ujrzałeś twarz Kahlan, co cię przekonało, iż to rzeczywiście jest ona? Nie, bo twarzy już nie było. Tylko czaszka: żadnej twarzy, żadnych rysów, żadnych oczu. Szkielet był w szacie Matki Spowiedniczki. No i co? Byłam w Pałacu Spowiedniczek i pełno tam podobnych strojów. Czy wystarczającym dowodem było imię, wyhaftowane na złotej szarfie? To wystarczyło, żebyś zrezygnował z poszukiwań, uwierzył, że się mylisz? Po tym wszystkim, co ci obie z Cara powiedziałyśmy, jak cię przekonywałyśmy, jak ci tłumaczyłyśmy, dopiero teraz, na podstawie tak marnego dowodu, uznałeś, że to ci się uroiło? Leżący w trumnie szkielet z szarfą z wyhaftowanym jej imieniem wystarczył, żeby cię przekonać, że ją sobie wyśniłeś? Nie wydaje ci się, że ta szarfa jest odrobinę zbyt przekonująca?

Richard spojrzał na nią, marszcząc brwi.

- Do czego zmierzasz?

- Nie wierzę, że to jest przyczyną twojego nastroju. Uważam, że twoje wspomnienia nie są prawdziwe, lecz nie wierzę, że Richard, którego znam,

dałby się tak łatwo przekonać wątpliwemu dowodowi z rozkopanego grobu. Tu nawet nie idzie o to, że Zedd, podobnie jak ja i Cara, nie wierzy w twoje wspomnienia.

- No to o co chodzi?

- O to, że uwierzyłeś, iż ciało w grobie jest jej ciałem, bo się bałeś, że to prawda, po tym jak dziadek ci powiedział, że go zawiodłeś i że się tobą rozczarował.

Richard zaczął się od niej odwracać, ale Nicci chwyciła go za koszulę i zmusiła, żeby znów na nią spojrzeć.

- Moim zdaniem właśnie o to chodzi - powiedziała zdecydowanie. - Zamartwiasz się, bo dziadek ci powiedział, że się mylisz i że go zawiodłeś.

- Może i zawiodłem.

- No i co?

Spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Jak to „no i co”?

- No i co z tego, że się na tobie zawiódł. No i co z tego, że uważa, iż głupio postąpiłeś. Jesteś panem samego siebie. Zrobiłeś to, co uznałeś za słuszne. Uznałeś, że musisz działać i zrobić właśnie to, co zrobiłeś.

- Aleja...

- Ty co? Zawiodłeś go? Rozgniewałeś swoim czynem? Więcej się po tobie spodziewał, a ty go rozczarowałeś? Straciłeś w jego oczach?

Richard przełknął ślinę; nie miał ochoty tego potwierdzać. Nicci uniosła mu podbródek, zmuszając go, żeby jej spojrzeć w oczy.

- Richardzie, nie masz obowiązku spełniać czyichkolwiek oczekiwań.

Zamrugnął, odebrało mu mowę.

- To twoje życie - rzekła twardo. - Sam mnie tego nauczyłeś. Zrobiłeś to, co uznałeś za konieczne. Czy odrzuciłeś propozycję Shoty, bo Cara się z tobą nie zgodziła? Nie. Czy odmówiłbyś Shocie, wiedząc, że ja uważam, iż źle byś postąpił, dając jej miecz? Czy odrzuciłbyś jej ofertę, gdybyśmy ci obie z Cara powiedziały, że będziesz głupcem, jeżeli się zgodzisz? Nie, uważam, że nie. A dlaczego? Bo czyniłeś to, co uznałeś za konieczne, i choćbyś nawet liczył, że się z tobą zgodzimy, to nasze zdanie i tak w gruncie rzeczy nie było istotne. Musisz działać w zgodzie ze swoimi przekonaniem. Nie bałeś się podjąć decyzji i zrobiłeś to, co twoim zdaniem musiałeś. Podjąłeś decyzję na podstawie tego, w co wierzysz, z powodów znanych przede wszystkim tobie

samemu, dlatego, iż uważałeś, że właśnie to trzeba zrobić. Czyż nie tak?

- Nnnnooo... tak.

- Więc cóż za różnica, że twój dziadek uważa, że się myliłeś. Był tam? Wie to wszystko, co ty wówczas wiedziałeś? Byłoby wspaniale, gdyby uznał, że dobrze postąpiłeś, gdyby cię poparł i powiedział: „Bardzo dobrze, Richardzie”. Ale tego nie zrobił. Czy to nagle sprawiło, że twoja decyzja stała się zła? Tak?

- Nie.

- Więc nie możesz pozwolić, żeby to cię dręczyło. Czasami ci, co nas najbardziej kochają, wiążą z nami bardzo wielkie nadzieje i czasem się okazuje, że nas za bardzo idealizowali. Zrobiłeś to, co musiałeś, biorąc pod uwagę to, o czym jesteś przekonany i co wiesz, żeby dostać informacje potrzebne ci do rozwiązania tej sprawy. Gdyby nawet wszyscy na świecie uważali, że się mylisz, lecz ty byś wierzył, że masz rację, to powinienes się kierować własnym mocno ugruntowanym przekonaniem. Liczba tych, co są przeciwko tobie, nie zmieni faktów, a ty musisz owe fakty odkryć, nie zaś zadowolić tłum. Nie masz obowiązku kierować się czyimiś przekonaniem. Powinienes się kierować swoim zdaniem. Skupione szare oczy nabrały odrobinę blasku.

- Czy to oznacza, że mi wierzysz, Nicci? Ze smutkiem potrząsnęła głową.

- Nie, Richardzie. Uważam, że twoja wiara w Kahlan to skutek twojej rany. Że ją sobie wyśniłeś.

- A grób?

- Chcesz prawdy? - Kiedy potaknął, Nicci głęboko zaczerpnęła powietrza.

- Myślę, że to prawdziwa Matka Spowiedniczka, Kahlan Amnell.

- Rozumiem.

Nieci znów obróciła mu głowę, żeby na nią patrzył.

- Ale to wcale nie znaczy, że mam rację. Opieram swoje przekonanie na czym innym, na tym, co wiem. Ale wcale nie uważam, że to, co zobaczyłam w trumnie, naprawdę udowodniło, że to ona. Już się przedtem myliłam. Ty uważasz, że się mylę w tej sprawie. Czy zamierzasz ustąpić tym, co uważają, że nie masz racji? Dlaczego miałbyś to zrobić?

- Ale tak ciężko jest, kiedy nikt ci nie wierzy.

- Na pewno, ale co z tego? To nie sprawia, że oni mają rację, a ty się mylisz.

- Ale kiedy wszyscy mówią, że jesteś w błędzie, to zaczynasz mieć wątpliwości.

- Tak, życie czasami jest bardzo ciężkie. Dawniej wątpliwości zawsze kazały ci tym energiczniej poszukiwać prawdy, upewniać się, że masz rację, bo świadomość, że znasz prawdę, daje ci siłę do walki. Tym razem wstrząs na widok zwłok w grobie Matki Spowiedniczki, który przecież powinien być wedle ciebie pusty, nałożył się na przykrość z powodu nadspodziewanie ostrych słów dziadka, wygłoszonych w owej koszmarnej chwili; i to już było dla ciebie za wiele. Rozumiem, że to była ostatnia kropla, która przepełniła czarę, i że już sobie nie mogłeś dać z tym rady. Każdy czasami dociera do kresu wytrzymałości i się poddaje: nawet i ty, Richardzie Rahlu. Jesteś śmiertelnikiem i jak wszyscy masz swoje ograniczenia. Ale musisz to przezwyciężyć i iść dalej. Mogłeś się na jakiś czas poddać, ale teraz znów musisz odzyskać kontrolę nad własnym życiem.

Widziała, jak się namyśla, zastanawia. Wspaniale było widzieć, jak umysł Richarda znów zaczyna pracować. Jednak jeszcze się wahał. Nie chciała, żeby się na powrót pogrążył w desperacji, skoro już przebył tak długą drogę.

- Ludzie musieli ci już wcześniej nie wierzyć, w innych sprawach. Czyż czasami nawet ta twoja Kahlan ci nie wierzyła? Rzeczywista osoba czasem by się z tobą nie zgadzała, wątpiła w ciebie, sprzeczała się z tobą. I kiedy tak się działo, musiałeś postępować tak, jak uważałeś za słuszne, chociaż ona sądziła, że się mylisz, a może i że ci rozum odebrało. Przecież nie pierwszy raz uważam cię za wariata, Richardzie.

Richard uśmiechnął się przelotnie, potem się zadumał. Na koniec szeroki uśmiech rozjaśnił mu twarz.

- O tak, na pewno były chwile, kiedy Kahlan mi nie wierzyła.

- A ty i tak robiłeś to, co uważałeś za stosowne, czyż nie? Uśmiechnięty Richard przytaknął.

- Więc nie pozwól, żeby ten incydent z twoim dziadkiem zniszczył ci życie.

Podniósł rękę, a potem pozwolił jej opaść.

- Ale...

- Poddałeś się, bo usłyszałeś to wszystko od Zedda, i nawet nie wykorzystałeś tego, co uzyskałeś od Shoty.

Gwałtownie podniósł na nią wzrok, nagle zaintrygowany.

- Co masz na myśli?

- W zamian za Miecz Prawdy Shota podała ci informacje, które mają ci pomóc odkryć prawdę. Między innymi powiedziała, że to, czego szukasz, zostało dawno pogrzebane. Ale to przecież nie wszystko. Cara powtórzyła mi i Zeddowi, co mówiła Shota. Najważniejsze z tego było zapewne słowo „chainfire”, skoro wymieniła je na samym początku. Racja?

Richard, wsłuchany w jej słowa, przytaknął.

- Potem powiedziała, że powinieneś odnaleźć miejsce kości w Głębokiej Głuszy. Wspomniała też, że masz się strzec żmii o czterech łbach. Co to takiego chainfire? I Głęboka Głusza? A żmija o czterech łbach? Drogo zapłaciłeś za te informacje, Richardzie.

I co z nimi zrobiłeś? Zjawiłeś się tutaj i spytałeś Zedda, czy coś o tym wie, a on odparł, że nie, i potem ci oznajmił, że go zawiodłeś. No i co? Masz zamiar z tego powodu zaprzepaścić to wszystko, co zdobyłeś? Z powodu starca, który nie ma pojęcia, ile Kahlan dla ciebie znaczy i co przeszedłeś przez parę ostatnich lat? I nie wiedząc tego, uważa, że głupio postąpiłeś? Chcesz się tu wprowadzić i stać się jego potulnym wnusiem? Zamierzasz przestać myśleć i pozwolić mu myśleć za ciebie?

- Pewnie, że nie.

- Przy grobie Zedd był rozgniewany. Nie mamy pojęcia, przez co przeszedł, żeby odzyskać od Shoty Miecz Prawdy. Spodziewałeś się, że co powie? „O tak, Richardzie, to wspaniały pomysł, dobrze zrobiłeś, żeś go jej oddał”? Sporo go kosztowało wydobyć od niej tego miecza, więc uznał, że głupio postąpiłeś. I co z tego? To jego zdanie. Może nawet ma rację. Ale ty uznałeś, że to na tyle ważne, by poświęcić coś, co on ci zawierzył, coś bardzo dla ciebie cennego. Uważałeś, że to uczciwa wymiana. Cara mówiła, że początkowo podejrzewałeś, iż Shota cię oszukuje, ale potem uwierzyłeś, że postąpiła uczciwie. Czy Cara mówiła prawdę?

Richard potaknął.

- Co Shota powiedziała o waszej umowie?

Richard zapatrzył się na widoczne za Nicci olbrzymie wieże, przypominał sobie słowa Shoty.

- Powiedziała: „Chciałeś usłyszeć, co wiem, a co by ci pomogło odkryć prawdę. Powiedziałam to: Chainfire. Nawet jeżeli teraz sobie tego nie uświadamiasz, uczciwie dopełniłam umowy. Przekazałam ci wiadomości,

których potrzebowałeś. I jesteś Poszukiwaczem, a przynajmniej nim byłeś, więc powinieneś się sam doszukać znaczenia”.

- Wierzysz jej?

Richard odwrócił wzrok, przez chwilę się namyślał.

- Tak.

Kiedy ponownie spojrział na nią, w jego oczach znów był płomień.

- Tak, wierzę.

- To powinieneś powiedzieć mnie, Carze i swojemu dziadkowi, żebyśmy ci zeszli z drogi i przestali przeszkadzać, skoro nie zamierzamy ci pomóc.

Uśmiechnął się, choć smutno.

- Jesteś niezwykłą kobietą, Nicci, skoro namawiasz mnie, żebym walczył o swoje, chociaż nie wierzysz, że mam rację.

Pochylił się i pocałował ją w policzek.

- Chciałabym, naprawdę, Richardzie... dla twojego dobra.

- Wiem. Dziękuję, przyjaciółko. Nazwałem cię przyjaciółką, bo tylko prawdziwa przyjaciółka bardziej by się troszczyła o ułatwienie mi stawienia czoła rzeczywistości niż o swoje dobro. - Dotknął dłonią jej twarzy, otarł palcem spływającą po policzku łzę. - Nawet nie wiesz, ile dla mnie zrobiłaś, Nicci. Dziękuję.

W Nicci radość mieszała się z żalem, że znowu wrócili do punktu wyjścia.

Tak chciała go przytulić, ale tylko położyła obie dłonie na jego ręce, którą dotykał jej policzka.

- A teraz chodźmy się spotkać z Ann i Nathanem, potem zaś muszę się dowiedzieć, jaką rolę odgrywa w tym wszystkim chainfire. Pomożesz mi?

Nicci uśmiechnęła się i potakująco kiwnęła głową, bo wzburzenie odebrało jej głos; a potem już się nie zdołała powstrzymać - objęła Richarda i bardzo mocno go przytuliła.

ROZDZIAŁ 51

Ann miała dziwną minę, kiedy weszła przez wielkie drzwi i zobaczyła Nicci, wchodzącą do westybulu pomiędzy dwóch czerwonych kolumn. Czarodziejka byłaby się w głos zaśmiała, gdyby rozmowa z Richardem tak jej nie wyczerpała emocjonalnie.

Nicci wiedziała, że Prorok jest bardzo stary, ale świetnie się trzymał. Był wysoki, barczysty, długie białe włosy sięgały mu do ramion. Sprawiał wrażenie kogoś, kto zegnę żelazną sztabę, i to bez uciekania się do magicznej mocy. Drapieżne spojrzenie lazurów oczu czyniło go zarazem groźnym i pociągającym. To były oczy Rahla.

Ann wpatrywała się w nią szeroko otwartymi oczami.

- Siostra Nicci...

Ksieni nie powiedziała: „Jak miło cię znów widzieć” czy innych serdecznych słów. Przez chwilę wyraźnie nie wiedziała, co powiedzieć. Nicci uznała, że to niezwykle, iż ta przysadzista kobieta, stojąca obok rosłego Proroka, tak długo się jej wydawała kimś wielkim. Nowicjuszek i Siostry często bardzo długo nie widywały Ksieni w Pałacu Proroków. Nieobecność, domyślała się Nicci, przyczyniała się do jej wyimaginowanej wielkości.

- Cieszę się, Ksieni, że cię widzę w dobrym zdrowiu, zwłaszcza po twej nieszczęsnej śmierci i pogrzebie? - Zerknęła na Richarda i dokończyła: - Słyszałam, iż wszyscy uwierzyli, że umarłaś. Zdziwiałam, że po tak przekonującej ceremonii pogrzebowej stoisz przed nami cała i zdrowa.

Cień uśmiechu Richarda powiedział jej, że chłopak pojął aluzję. Zedd - stojący na skraju trzech stopni, wiodących do centralnej części westybulu, z fontanną - spojrzał na nią dziwnie. I on zrozumiał.

- To było niestety konieczne, moje dziecko - Ann spochmurniała - skoro w szeregach naszych Sióstr Światła załęgły się Siostry Mroku. - Spojrzała przelotnie na Richarda, Carę i Zedda i nieco się rozjaśniła. - Sądząc po twoim obecnym towarzystwie, Siostrze Nicci, wróciłaś do owczarni. Brak mi słów, żeby wyrazić, jak ogromnie mnie to cieszy. Myślę, że sam Stwórca przyczynił się do uratowania twojej duszy.

Nicci splótła dłonie za plecami.

- Prawdę mówiąc, Stwórca nie ma z tym nic wspólnego. Coś mi się zdaje,

że Stwórca był bardzo zajęty, kiedy mnie zmuszano, bym służyła każdemu, kto uzna, że może wykorzystywać mój talent. I nic go nie obchodziło, kiedy mnie wykorzystywali pobożni ludzie, wmawiający mi, iż moim obowiązkiem jest służenie im, podporządkowywanie się i płaszczenie przed nimi oraz zabijanie tych, co się Stwórcy sprzeciwiają. Że Stwórca nie pojmował całej ironii losu, kiedy jego wojownicy mnie gwałcili. Richard pomógł mi pojąć, jaką wagę ma dla mnie moje własne życie. I nie jestem już Siostrą Nicci, ani Światła, ani Mroku. Nie jestem też Panią Śmierci ni Królową-Niewolnicą. Jestem po prostu Nicci, czy ci się to podoba czy nie.

Twarz Ann poczerwieniała, malowały się na niej na przemian to niedowierzenie, to oburzenie.

- Kiedy już raz się stałaś Siostrą, to zawsze nią będziesz. Postąpiłaś wspaniale i wyrzekłaś się Opiekuna, więc znowu jesteś Siostrą Światła. Nie możesz ot, tak samodzielnie zdecydować o wyrzeczeniu się swych obowiązków wobec Stwórcy...

- Jeżeli ma coś przeciwko temu, to niech teraz przemówi! - Echo gniewnych słów Nicci przebrzmiało i ciszę panującą w westybulu zakłócał jedynie szmer fontanny. Rozejrzała się demonstracyjnie dokoła, jakby oczekiwała, że Stwórca kryje się za którąś z kolumn, gotów się ukazać i objawić swoje życzenia.

- Nie? - Znów splotła dłonie i uśmiechnęła się wyzywająco. - Cóż, skoro nie zgłosił sprzeciwu, to po prostu Nicci.

- Ja nie...

- Wystarczy, Ann - odezwał się głębokim, rozkazującym głosem Nathan. - Mamy ważną sprawę, a ta nią nie jest. Nie przebyliśmy tej drogi tylko po to, żeby nieżyjąca Ksieni strofowała nawróconą Siostrę Mroku.

Nicci trochę się zdumiała, że ta rozsądna uwaga została wygłoszona przez Proroka. Pomyślała, że pewnie zbyt wierzyla plotkom.

Ann skrzywiła się z rezygnacją, wsunęła kosmyk włosów w luźny kok na karku.

- Pewnie masz rację. Przez te wszystkie kłopoty jestem trochę nie w sosie, moja droga. Wybacz moją szorstkość, Nicci, proszę.

Nicci skłoniła głowę.

- Z radością, Ksieni.

Pomyślała, że Ann bardziej szczerze się uśmiechnęła.

- Po prostu Ann. Verna jest teraz Ksienią. Przecież nie żyję, pamiętasz?
Nicci się uśmiechnęła.

- A więc Ann. Verna to dobry wybór. Siostra Cecilia zawsze twierdziła, że Verny na pewno nie da się przeciągnąć na stronę Opiekuna.

- Kiedy pewnego dnia będziemy miały czas, to chętnie posłucham o Siostrze Cecylii i byłych nauczycielkach Richarda - westchnęła. - Nigdy nie byłam pewna, że to ty i pięć pozostałych jesteście Siostrami Mroku.

Nicci skinęła głową.

- Chętnie ci opowiem, co o nich wiem, w każdym razie o tych, które wciąż żyją. Liliana i Merissa zmarły.

- Tomie, jak moja siostra? - spytał Richard, korzystając z krótkiej przerwy w rozmowie; Nicci wiedziała, że już dość się nasłuchał i daje znak, że chce przejść do ważniejszych spraw.

- Cała i zdrowa, lordzie Rahlu - odparł stojący w pobliżu drzwi wielkolud o jasnych włosach.

- To świetnie. Co się dzieje, Nathanie? - spytał niespokojnie Richard, przechodząc od razu do rzeczy. - Jakie kłopoty was tu sprowadziły?

- Hmm... między innymi chodzi o prorocтва. Richard wyraźnie się odprężył.

- Aha, w tym to ci nie pomogę.

- Nie byłbym taki pewny - rzekł zagadkowo Nathan.

Zedd zszedł z czerwono-złocistego dywanu i znalazł się w westybulu.

- Niech zgadnę. Przyjechaliście z powodu pustych miejsc w księgach z proroctwami.

Nicci musiała sobie w myślach powtórzyć słowa Zedda, żeby się upewnić, że dobrze usłyszała. Nathan potaknął.

- Trafiłeś w samo sedno.

- Co to znaczy, że jesteście tu z powodu pustych miejsc w księgach prorocत्व? - W Richardzie zbudziła się podejrzliwość. - Jakich pustych miejsc?

- Duże fragmenty prorocत्व, tych spisanych w księgach, zniknęły ze stronic wielu tomów, które przeglądaliśmy - rzekł z zatroskaną miną Nathan. - Porozumieliśmy się z Verną i potwierdziła, że księgom prorocत्व w Pałacu Ludu w D'Harze przytrafiło się to samo. I to nas tak martwi. Przyjechaliśmy między innymi po to, żeby sprawdzić, czy księgi prorocत्व w

wieży pozostały niezmiennione.

- Niestety nie - odparł Zedd. - Spotkało je to samo. Nathan przesunął dłońią po znużonej twarzy.

- Drogie duchy - mruknął. - A żywiliśmy nadzieję, że to, co tak spustoszyło proroctwa, zostawiło w spokoju przynajmniej tutejsze księgi.

- Chcesz powiedzieć, że brakuje całych fragmentów proroctw? - spytał Richard, wychodząc na środek westybulu.

- Właśnie tak - potwierdził Nathan.

- A czy coś łączy te brakujące fragmenty? - zapytał Richard. Nicci dobrze wiedziała, że ten tok rozumowania doprowadzi go do czegoś związanego z jego własnymi poszukiwaniami. W innym wypadku byłaby znudzona lub poirytowana tym, że on nie potrafi myśleć o niczym oprócz tej swojej zaginionej kobiety, ale tym razem się cieszyła, że powrócił dawny Richard.

- A owszem. Wszystkie dotyczą wydarzeń zaczynających się mniej więcej wtedy, kiedy się narodziłeś.

Richard wpatrywał się w niego z osłupieniem.

- A czego konkretnie? Chodzi mi o to, czy dotyczą określonych wydarzeń, czy po prostu tego samego okresu?

Nathan skrobał się po podbródku, namyślał się.

- Właśnie dlatego to wszystko jest takie dziwne. Wiemy, że powinniśmy móc sobie przypomnieć wiele tych brakujących proroctw, ale nagle zniknęły z naszej pamięci, tak jak ze stron ksiąg. Nie możemy sobie przypomnieć ani jednego słowa. Nie pamiętamy, czego dotyczyły, a ponieważ zniknęły i z ksiąg, to nie umiem ci odpowiedzieć, czy łączą je wydarzenia czy czas, a może jeszcze coś innego. Wiemy jedynie, że zniknęły, nic więcej.

Richard spojrzał na Nicci, jakby pytał, czy dostrzegła związek. Pomyślała, iż się domyślił, że tak. Głos miał spokojny, ale dobrze wiedziała, ile napięcia kryje się za jego słowami.

- Dość dziwne, że zniknęło wam nagle z pamięci coś, co znaliście całe życie, nieprawdaż?

- Zgadzam się z tobą - rzekł Nathan. - Co o tym powiesz, Zeddzie?

Zedd, który milczał i bacznie obserwował Richarda, skinął głową.

- Wiem, co to spowodowało, więc może wam się to na coś przyda.

Uśmiechał się niewinnie. Nicci zauważyła, że uśmiecha się również Rikka, stojąca w cieniu za czerwonymi kolumnami. Nathan najpierw się

zdziwił, a potem zapalał ciekawością. Richard lekko pociągnął Zedda za ramię.

- Wiesz?

- Wiesz? - spytał Nathan, odsuwając Richarda i podchodząc bliżej starego czarodzieja; Ann pospieszyła za nim. - Co to jest? Co się dzieje? Powiedz nam.

- Podejrzewam, że to profetyczny robak.

Ann i Nathan zamrugali, nie mając pojęcia, o czym Zedd mówi.

- Co takiego? - odważył się na koniec ostrożnie zapytać Nathan.

- To profetyczny robak sprawia, że tekst znika. Kiedy gałąź przepowiedni zostanie zainfekowana, to robak przegryza się przez nią, wchłaniając po drodze tekst. Ponieważ zjada przepowiednię, oznacza to, że z czasem ulegną zniszczeniu wszelkie jej przejawy, takie jak zapisany tekst i wszelka o nim pamięć. Jest bardzo zjadliwy. - Zedd uśmiechnął się uprzejmie do wlepionych w niego oczu. - Jeżeli chcecie, to wam pokażę odpowiednie źródła.

- Przydałoby się - stwierdził Nathan.

- Zeddzie, to ważne - odezwał się Richard. - Czemu o tym nie wspomniałeś?

Zedd poklepał go po ramieniu i zamierzał odejść.

- No cóż, mój chłopcze, kiedy się tu zjawiłeś, to raczej nie miałeś ochoty słuchać o niczym innym niż to, co cię tu przywiodło. Pamiętasz? Z uporem powtarzałeś, że masz kłopoty i że chcesz o tym ze mną porozmawiać. A potem raczej nie miałeś już ochoty na rozmowy. Byłeś... nieobecny.

- Pewnie tak. - Richard złapał dziadka i zatrzymał, zanim ten zdążył zbyt daleko odejść. - Posłuchaj, Zeddzie, muszę ci coś powiedzieć o tym wszystkim, o owej nocy.

- A co, mój chłopcze?

- Wiem, że antynomia nie może istnieć.

- Nigdy nie sądziłem, że jest inaczej, Richardzie.

- Ale owej nocy szło nie tylko o to. Wtedy, nad tym rozkopanym grobem, zadziałało inne prawo niż to, które zacytowałeś. Wówczas mogło ci się wydawać, że idzie o to, lecz ja popełniłem błąd wiążący się z innym prawem: z tym, które między innymi mówi, że ludzi można skłonić, by uwierzyli w kłamstwo, ponieważ się obawiają, że może ono być prawdą. I to właśnie

zrobiłem. Nie uwierzyłem w antynomię, lecz w kłamstwo, ponieważ za bardzo się obawiałem, że może być prawdą. Swoje domysły powinienem był zweryfikować między innymi za pomocą prawa o nieistnieniu antynomii. Nie zrobiłem tego i to był mój błąd. Rozumiem, jak to musiało wyglądać w twoich oczach, skoro nie wiedziałeś o tym wszystkim, co się działo, lecz to nie znaczy, że powinienem był zrezygnować z poszukiwania prawdy tylko po to, żeby cię uszczęśliwić lub z obawy, co o mnie pomyślisz. - Przez chwilę patrzył Nicci w oczy. - Nicci pomogła mi zrozumieć, że popełniłem błąd. - Znów spojrzał na dziadka. - Myślę, że chciałeś mi wykazać, że to prawo mówi o czymś jeszcze. Wykazuje ono również, że nie można się kierować przeciwstawnymi, sprzecznymi celami i zasadami. Nie możesz na przykład głosić, że uczciwość to szczególna wartość, i jednocześnie okłamywać ludzi. Nie możesz twierdzić, że dążysz do sprawiedliwości, i jednocześnie nie obarczać winnych odpowiedzialnością za ich czyny. A jeżeli chodzi o naszą sprawę, to szkodliwość rządów Imperialnego Ładu bierze się właśnie stąd, że sprzeczności nie mogą istnieć. Głoszą oni, że najważniejszą normą ich postępowania jest altruizm. A przecież głosząc bezinteresowną troskę o jednych, poświęcają innych i usprawiedliwiają tę rzeź sloganami, że takie poświęcenie jest moralnym obowiązkiem kozłów ofiarnych. To nic innego jak zalegalizowane łupiestwo, chęć uszczęśliwienia złodziei i morderców, bez żadnej troski o ich ofiary. Próby zrealizowania tak sprzecznych celów mogą prowadzić jedynie do uogólnionego cierpienia i zatracenia. To oszukańcze opowiadanie się za prawem do życia realizowanego poprzez zatracenie. Wedle cytowanego przez ciebie prawa nie mogę, jak to czynią poplecznicy Jaganga, powiedzieć, że chcę prawdy, i potem bez sprawdzania swoich domysłów ochoczo uwierzyć w kłamstwo, nawet ze strachu. Tak złamałem wymienione przez ciebie prawo. Powinienem był odsiać przeciwieństwa i odnaleźć prawdę. I właśnie w tym sam siebie zawiodłem.

- Chcesz powiedzieć, że teraz już nie wierzysz, że to była Kahlan Amnell?
- zapytał Zedd.

- Kto mówi, że to muszą być zwłoki kobiety, o której myślisz? Żadne fakty nie podważyły mojego przekonania, że to nie ona. Uwierzyłem, bo się bałem, że to prawda, że to może być ona. Ale tak nie jest.

Zedd głęboko zaczerpnął powietrza i powolutku je wypuścił.

- Przesadnie naginasz fakty, Richardzie.

- Czyżby? Na pewno by ci się nie spodobało, gdybym powiedział, że proroctwo nie istnieje, i stwierdził, że dowodem na to są właśnie owe puste karty ksiąg. Twoim zdaniem nie ma sprzeczności w wierze w istnienie przepowiedni i białych kartach ksiąg. To zdumiewająca sprawa, której nie można chwilowo wyjaśnić, bo brak informacji, dlaczego tak się dzieje. Nie musisz wyciągać żadnych wniosków ani godzić się z opinią, której nie akceptujesz, dopóki nie zakończysz swoich dociekań, póki nie zdobędziesz potrzebnych ci informacji. Jakimże byłbym Poszukiwaczem, gdybym inaczej postąpił? W końcu to umysł czyni człowieka Poszukiwaczem, a nie miecz. Sam mi to powiedziałaś. W przypadku Kahlan zaś jest jeszcze bardzo wiele nie rozwiązanych spraw, brakujących informacji, dlatego nie jestem przekonany, że to, co widzieliśmy owej deszczowej nocy, ostatecznie przesądza, że to jej zwłoki. Dopóki będą co do tego wątpliwości, dopóty będę szukać odpowiedzi, prawdy, ponieważ jestem przekonany, że to, co się dzieje, jest o wiele groźniejsze, niż się wam wydaje, że już nie wspomnę o tym, że chcę odnaleźć osobę, którą kocham, a która potrzebuje mojej pomocy.

Ze dd uśmiechnął się po dziadkowemu.

- Słusznie, Richardzie, słusznie. Lecz oczekuję, że mi to udowodnisz. Nie uwierzę ci na słowo.

Richard energicznie kiwnął głową.

- Na początek powinieneś przyznać, że to dość podejrzane, iż zniknęły proroctwa wiążące się z życiem moim i Kahlan. Zniknęła pamięć o niej. Zniknęły proroctwa, mogące zawierać jakieś odnośniki do niej. W obu przypadkach uległa zatarciu pamięć i o osobie, i o odnoszących się do niej proroctwach. Rozumiesz, do czego zmierzam?

Nicci ogromnie się cieszyła, że Richard znów logicznie myśli. Uderzyło ją również, że to, co właśnie powiedział, jest całkiem sensowne.

- Tak, mój chłopcze, rozumiem, ale czy ty rozumiesz, że jest pewien problem z twoją teorią?

- Jaki problem?

- Wszyscy pamiętamy ciebie, nieprawdaż? A brakuje dotyczących cię przepowiedni. Z czego wynika, że kłopot z proroctwami nie ma nic wspólnego z tym, co twoim zdaniem powinno wyjaśnić lub dowieść istnienia Kahlan Amnell.

- A dlaczego nie? - spytał Richard. Zedd zaczął wchodzić po schodach.

- Bo się łączy z tym, co odkryłem, kiedy się zająłem sprawą ksiąg proroczych. Ja też jestem ciekawski, jak wiesz.

- Wiem, Zeddie. Ale jedno z drugim może się łączyć - upierał się Richard, idąc obok dziadka.

Nicci pospieszyła za nim. Pozostali nie mieli innego wyjścia, jak dołączyć do nich.

- Tobie się może tak wydawać, mój chłopcze, ale twoje rozumowanie jest błędne, bo fakty zwyczajnie nie pasują do twoich wniosków. Próbujesz włożyć pozornie dobre buty, które w rzeczywistości są zbyt małe. Starasz się pogodzić ogień z wodą. - Zedd klepnął Richarda w ramię. - Kiedy już będziemy w bibliotece, to ci pokażę, o co mi chodzi.

- Kto to ta Kahlan? - zapytał Nathan.

- Ktoś, kto zaginął i kogo jeszcze nie odnalazłem - rzucił przez ramię Richard. - Ale odnajdę.

Richard przystanął i odwrócił się ku Nathanowi i Ann.

- Czy któreś z was wie, co to jest chainfire? - Potrząsnęli głowami. - A zmija o czterech łbach i Głęboka Głusza?

- Nie, Richardzie - odparła Ann. - Ale skoro już przeszliśmy do poważnych spraw, to musimy z tobą porozmawiać o innych kwestiach.

- Jak tylko zobaczymy zapiski Zedda o proroczych - dodał Nathan.

- No to idziemy - oznajmił Zedd i ruszył, łopocząc skromnymi szatami.

ROZDZIAŁ 52

W zacisznej bibliotece Richard stanął za Zeddem i ponad kościstym ramieniem dziadka patrzył, jak otwiera on opasłą księgę, oprawioną w podniszczoną jasnobrązową skórę. Pokój był dość słabo oświetlony przez srebrne odbłyśnikowe lampy, przymocowane do czterech boków każdej z pięciu solidnych mahoniowych podpór, stojących rzędem pośrodku biblioteki. Podtrzymywały one skraj galerii, biegnącej wzdłuż całego pomieszczenia. W pobliżu mahoniowych podpór stały masywne stoły z ciemnego drewna, o lśniących blatach. Wokół stołów ustawiono drewniane krzesła. Grube dywany o wymyślnych wzorach były miękkie i tłumiły odgłos kroków. Półki z książkami stały dość ciasno, prostopadle do dłuższych ścian biblioteki. Na galerii zaś półki stały równie blisko siebie i upchnięto na nich jeszcze więcej książek.

Przez pojedyncze okno, umieszczone wysoko w ścianie w głębi pokoju, wpadał ukośny snop szarobłękitnych słonecznych promieni, oświetlając kurz wiszący w dusznym powietrzu. Dopiero co zapalone lampy wydzielały oleistą woń. Było tu cicho i spokojnie.

Cara i Rikka stały na osobności, w głębi pokoju, w cieniach pod oknem - skrzyżowały ramiona, pochyliły ku sobie głowy i rozmawiały przyciszonymi głosami. Nicci stała obok Zedda, w trójkącie słonecznego blasku, Ann i Nathan zaś przystanęli, niecierpliwiąc się, naprzeciwko czarodzieja i czekali na jego wyjaśnienia, jak doszło do zniknięcia prorocत्व. Stali w plamie światła, a dalej zalegał mrok.

- Tę księgę skompilowano moim zdaniem krótko po zakończeniu wielkiej wojny - rzekł Zedd, stukając w odchyloną okładkę tuż obok tytułu Zmienniki kontinuum a prognozowanie witalności. - Ówcześni mający dar odkryli, że z jakiegoś powodu rodzi się coraz mniej czarodziejów oraz że nie mają już oni daru obu magii, jak to niemal zawsze było do tej pory. Co więcej, wszyscy ci nowi czarodzieje mieli jedynie dar magii addytywnej. Magia subtraktywna zaś zanikała.

Ann spojrzała nań chmurnie.

- Nie nowicjuszkę i nie młodziutkiego czarodzieja masz przed sobą, starcze. Wiemy o tym wszystkim. Całe życie borykaliśmy się z tym

problemem. Do rzeczy.

Zedd odchrząknął.

- Jak wiecie, oznaczało to również, że rodziło się coraz mniej Proroków.

- Jakież to zaskakujące - zadrwiła Ann. - Sama bym z pewnością na to nie wpadła.

Nathan gniewnie ją uciszył.

- Mów dalej, Zeddzie.

Zedd podciągnął rękawy, łypiąc przy tym z irytacją na Ann.

- Zdali sobie sprawę, że skoro się rodzi coraz mniej czarodziejów-Proroków, to rzecz jasna zacznie się zmniejszać i liczba przepowiedni. Żeby pojąć, jakie to może mieć następstwa, uznali, że muszą dogłębnie zbadać wszystko, co się wiąże z Prorokowaniem, póki jeszcze mogą to uczynić, póki jeszcze mają Proroków i innych czarodziejów z darem obu magii. Podeszli do sprawy z wielką powagą, bo pojmowali, że może to być ostatnia sposobność zrozumienia przyszłości samego Prorokowania i ofiarowania przyszłym pokoleniom możliwości pojęcia tego, co wedle nich zostanie kiedyś poważnie zniekształcone lub nawet zaniknie.

Zedd spojrział na Ann, sprawdzając, czy aby nie ma zamiaru wygłosić jednego z tych swoich lekceważących komentarzy. Nie miała. O tym najwyraźniej nie wiedziała.

- No a teraz - orzekł Zedd - przejdziemy do ich dzieła.

Richard przesunął się bliżej Nicci i przewracał stronicę, słuchając Zedda. Szybko się przekonał, że księga jest napisana dziwacznym fachowym żargonem, odnoszącym się nie tylko do zawitości magii, ale i do prorokowania; prawie nic nie rozumiał. Zupełnie jakby była w obcym języku.

Zaskakujące dlań było już to, że zawierała ciągi skomplikowanych matematycznych wzorów. Przedzierały je schematy Księżyca i gwiazd, oznaczone kątami deklinacji. Richard jeszcze nigdy nie widział księgi o magii, zawierającej takie równania, obserwacje astronomiczne i pomiary - chociaż, prawdę mówiąc, nie widział zbyt wielu ksiąg o magii i przypomniał sobie, że Księga Opisania Mroków, której się jako chłopiec wyuczył, podawała wiele punktów położenia Słońca i gwiazd, które należało znać przy otwieraniu szkatuł Ordenu.

Jeszcze więcej wzorów nabazgrano na marginesach, ale innym charakterem pisma, jakby ktoś sprawdzał dane z księgi lub zestawiał je z

nowszyimi informacjami. W pewnym przypadku skreślono kilka liczb w rozbudowanej tabeli, a strzałki łączyły miejsca skreśleń z nowymi, wypisanymi na marginesie, liczbami. Zedd niekiedy nie pozwalał Richardowi odwrócić karty, bo chciał wskazać jakieś równanie i wyjaśnić symbole użyte do obliczeń.

Nathan, niczym pies wpatrzony w kość, wodził lazurowymi oczami po stronicach, powolutku odwracanych przez Richarda, który starał się znaleźć coś dlań zrozumiałego. A Zedd nudził o częściowo się nakładających transpozycyjnych rozgałęzieniach i trojakich dupleksach wiążących się ze sprzężonymi pierwiastkami wyeksponowanymi przez precesję i sekwencyjną, proporcjonalną, binarną inwersję przesłaniającą wadliwe rozgałęzienie, które - jak wyjaśniała formuła - można było wykryć jedynie dzięki subtraktywnej lewoskrętności.

Nathan i Ann nawet nie mrugnęli okiem. W pewnej chwili Nathan nawet wstrzymał oddech, Ann zaś stopniowo szarzała. Nawet Nicci niezwykle uważnie się przysłuchiwała.

Richardowi kręciło się w głowie od tych niezrozumiałych pojęć. Nie znosił, kiedy go zalewały skomplikowane informacje, a on musiał się bronić przed kompletnym zamętem w głowie. Czuł się wtedy jak głupek.

Zedd od czasu do czasu powoływał się na liczby i równania z księgi. Nathan i Ann tak się zachowywali, jakby Zedd lada moment miał im wyjawić nie tylko to, jak zginie świat, ale i dokładną godzinę owego smutnego zdarzenia.

- Zeddzie - spytał na koniec Richard, przerywając dziadkowi w środku zdania, które zdawało się nie mieć końca - czy możesz te mądrości tak przyrządzić, żebym i ja miał z tego jakiś pożytek?

Zedd zamarł z otwartymi ustami i przez chwilę gapił się na Richarda, a potem popchnął księgę ku Nathanowi.

- Lepiej sam sobie przeczytaj.

Nathan tak ostrożnie wziął księgę, jakby się spodziewał, że z jej kart rzuci się na niego sam Opiekun. Zedd zaś zajął się teraz Richardem.

- Posłużmy się więc terminami, które lepiej zrozumiesz, choć grozi to zbyt daleko idącymi uproszczeniami. Wyobraź sobie, że prorocstwo jest niczym drzewo, że ma korzenie i gałęzie. I podobnie jak drzewo, stale się rozrasta. Dawni czarodzieje twierdzili, że prorocstwo zachowuje się tak,

jakby było obdarzone pewnym rodzajem życia. Weź pod uwagę, iż nie twierdzili, że jest żywą istotą, lecz że pod wieloma względami imituje lub powiela niektóre cechy żywego organizmu. I owa właściwość pozwoliła im wysnuć tę teorię i na jej podstawie dokonać obliczeń; podobnie jak istnieją parametry, dzięki którym możesz ocenić wiek i zdrowie drzewa, i na tej podstawie wnioskować o jego przyszłości. Wcześniej, kiedy było wielu Proroków i czarodziejów, Prorokowanie i jego liczne działy rozwijały się bujnie. Dzięki Prorokom, którzy się tym zajmowali, owo drzewo miało żyzną ziemię i głęboko sięgające korzenie. Nowi prorocy bezustannie dodawali kolejne wizje do zbiorowej pracy, więc stale się pojawiały nowe rozgałęzienia, które, w miarę jak coraz to inni prorocy się nimi zajmowali, bujnie i zdrowo się rozrastały. Owo drzewo się rozrastało, a prorocy nieustannie je badali, obserwowali i interpretowali wydarzenia, co im pozwalało usuwać zeszcłe gałęzie i pielęgnować zdrowe. Potem zaczęło się rodzić coraz mniej Proroków i z każdym rokiem zmniejszała się liczba tych, co pielęgnowali drzewo. I zaczęło się ono coraz wolniej rozrastać.

Można by rzec, że drzewo proroctwa w pewnym sensie dojrzało. Owi czarodzieje wiedzieli, że niczym stary królewski dąb, drzewo proroctwa ma przed sobą jeszcze wiele lat życia, lecz jednocześnie zdawali sobie sprawę, co kryje przyszłość.

Proroctwo, podobnie jak wszystko inne, nie może istnieć wiecznie. W miarę upływu czasu przepowiedziane wydarzenia zachodzą i stają się przeszłością. Ich zapowiedzi stają się bezużyteczne. W ten sposób wystarczy sam upływ czasu, żeby się skończyły wszelkie przepowiednie. Innymi słowy, jeżeli nie będzie nowych proroctw, to wszystkie już istniejące zrealizują się w miarę upływu czasu. A wtedy ich pora minie i staną się nieprzydatne.

I tak zespół zajmujący się tą sprawą wywnioskował, że drzewo proroctwa - pozbawione stałego dopływu nowych przepowiedni, zasilających rozliczne gałęzie - obumrze z czasem. Ich zadaniem i motywem powstania tej książki, Zmienniki kontinuum a prognozowanie witalności, była próba przewidzenia, jak i kiedy to się stanie.

Najteższe umysły Prorokowania badały tę sprawę, oceniały zdrowie i żywotność drzewa proroctw. Za pomocą znanych wzorów i prognoz, opartych nie tylko na zaobserwowanych wzorcach zmniejszania się przyrostu proroctw, ale i na zmniejszaniu się liczby zapewniających go

Proroków, ustalili, że z czasem owo drzewo wiedzy będzie miało coraz więcej „suszu” fałszywych i spełnionych proroctw, kiedy zmiany dotrą do profetycznych rozgałęzień i będą ogarniać ciągle jeszcze żywotne gałęzie. A kiedy to się stanie - kiedy drzewo proroctw osłabnie z powodu wieku i obumarłych gałęzi, których już nie będzie komu obcinać - to stanie się podatne na rodzaj choroby, na próchnienie, podobnie jak zwykle stare drzewa. Odkryli, że ów spadek żywotności wyda z czasem Prorokowanie na stale narastającą liczbę kłopotów. Doszli do wniosku, że najpierw pojawi się najprawdopodobniej coś w rodzaju zarobaczenia. Uważali, że zagnieździ się to w nadal żywych częściach drzewa proroctwa i zacznie je niszczyć; zacznie niszczyć te gałęzie, które są chronologicznie zbieżne z czasem owego zakażenia. Nawet nazwali to profetycznym robakiem.

Zapadła głucha cisza.

Richard wsunął dłonie do tylnych kieszeni, wzruszył ramionami.

- A jakie jest na to lekarstwo?

Zedd, zaskoczony pytaniem, wpatrywał się we wnuka, jakby ten nagle zapytał, jak uleczyć burzę.

- Lekarstwo? Richardzie, eksperci, którzy napisali tę książkę, przepowiedzieli, że na to nie ma żadnego lekarstwa. Na koniec doszli do wniosku, że bez witalności zapewnianej przez nowych Proroków drzewo proroctw spróchnieje i zginie. Głosili, że Prorokowanie odrodzi się na nowo dopiero wtedy, kiedy na świecie znów będą nowi prorocy, kiedy wykiełkuje i rozrośnie się drzewo nowego Prorokowania. Stare drzewa obumierają i robią miejsce nowym kiełkom. Owi uczeni czarodzieje ustalili, że los znanego nam drzewa proroctw jest taki jak prawdziwych drzew: dorastanie, starzenie się, choroby i śmierć.

Richard musiał radzić sobie z wieloma problemami powodowanymi przez proroctwa, lecz ponury nastrój zgromadzonych wokół stołu był bardzo zaraźliwy. Miało się uczucie, że z tylnego pokoju właśnie wyszedł uzdrowiciel i oznajmił, że wiekowy krewny lada chwila odejdzie.

Chłopak rozmyślał o tych wszystkich mających dar Prorokach, oddanych swojemu powołaniu, całe życie trudzących się nad wzbogaceniem tego wielkiego wspólnego dzieła, które teraz usychało i obumierało. Myślał o posągu, nad którym tyle się napracował, i o tym, jak się czuł, kiedy posąg zniszczono. Pomyślał, że to pewnie samo pojęcie śmierci, pod każdą

postać, jest tak ponure, bo przypomina mu o tym, że i on jest śmiertelnikiem... że i Kahlan nie jest nieśmiertelna.

Pomyślał też, że może to najlepsze, co by się mogło wydarzyć. Bo jeżeli ludzie przestaną wierzyć, że proroctwo z góry określa, co ich spotka, to może uświadomią sobie wreszcie, że muszą samodzielnie myśleć i decydować, co dla nich najlepsze. Może kiedy się już pozbędą takiego skostniałego sposobu myślenia, to pojmą, że to oni sami decydują o swojej przyszłości.

Jeżeli pojmą, o co tak naprawdę chodzi, to może zrozumieją, że warto się kierować rozumem przy podejmowaniu decyzji, a nie bezmyślnie czekać, żeby się stało to, co ma się stać.

- Z tego, co ustaliliśmy razem z Ann - przerwał panującą w bibliotece ciszę Nathan - wynika, że obumiera ta gałąź proroctw, która się odnosi do czasów po narodzinach Richarda. Jest to oczywiście zrozumiałe, bo doczesne dusze zasilają żywą tkankę proroctwa, którą się karmi ów profetyczny robak. Ale udało mi się ustalić, że jeszcze nie wszystko zniknęło.

Zedd przytaknął.

- Obumiera, lecz od korzenia, więc część jest jeszcze żywotna. Znalazłem dobrze zachowane ustępy.

- Właśnie, zwłaszcza partie od teraźniejszości w przyszłość, tak jak sugerowałaś, wygląda na to, że zaraza zaatakowała rdzeń owych gałęzi, zaczynających się jakieś dwie, trzy dekady temu, i jeszcze się nie przegryzła do przyszłych wydarzeń. Dzięki temu fragmenty dotyczącej ciebie gałęzi proroctwa są nadal żywe - rzekł Prorok, wspierając się na dłoniach i pochylając ku Richardowi - lecz kiedy i one obumrą, utracimy je oraz pamięć o tym, jakie były doniosłe.

Richard przeniósł wzrok z ponurej twarzy Nathana na nadzwyczaj poważną twarz Ann. Wiedział, że wreszcie dotarli do sedna sprawy, z którą tu przybyli.

- To dlatego cię odszukaliśmy, Richardzie Rahlu - odezwała się z powagą Ann - zanim będzie za późno. Przybyliśmy z powodu proroctwa, które jeszcze istnieje i ostrzegło nas, że zbliża się najpoważniejszy kryzys od czasów wielkiej wojny.

Richard zmarszczył brwi, niezadowolony, że proroctwo znowu wpędzi go w tarapaty.

- Jakież to proroctwo?

Nathan wyciągnął z kieszeni niewielką książkę i otworzył ją. Trzymał tomik w obu dłoniach i bacznie się przyglądał Richardowi, chcąc się upewnić, że będzie uważnie słuchał. Kiedy już uznał, że przykuł uwagę wszystkich, zaczął:

- „Gdy w roku cykad głosiciel poświęcenia i cierpienia tak pod sztandarem ludu, jak i Światła... - Spojrzał spod krzaczastych brwi i dodał od siebie: To na pewno Jagang - ...rozdzieli wreszcie swoje liczne hufce, będzie to znak, że prorocstwo zostało zainicjowane i że czeka nas ostatnia i rozstrzygająca bitwa. Zachowajcie ostrożność, albowiem wszelkie istotne rozwidlenia i ich derywaty splatają się w owej wróżbie. Gałęzie wyłącznie jednego pnia łączą się zaś z pierwotnym źródłem. Jeżeli fuer grissa ost drauka nie poprowadzi do owej ostatecznej walki, to świat, stojący już wszak na skraju ciemności, zasnuje straszliwy mrok”.

- Drogie duchy - wyszeptał Zedd. - Fuer grissa ost drauka jest kardynalnym łącznikiem z prorocstwem zapoczątkowującym główne rozgałęzienie. Złączenie go z tym prorocstwem ustanawia sprzężoną bifurkację.

Nathan uniósł brew.

- Otóż to.

Richard nie do końca zrozumiał, co powiedział Zedd, lecz wyłapał ogólny sens. I wcale mu nie musieli mówić, kim jest fuer grissa ost drauka, dawca śmierci - bo to on nim był.

- Jagang rozdzielił swoje wojska - rzekła dobitnie Ann, wbijając w Richarda twarde spojrzenie. - Doprowadził armię aż pod Aydindril, w nadziei, że to zakończy walki, ale wojska D'Hary i mieszkańcy miasta wykorzystali zimę i uciekli przez przełęcz do D'Hary, wymykając się ze szponów Jaganga.

- Wiem o tym - odezwał się Richard. - Zimowa ucieczka przez przełęczę była pomysłem Kahlan; to ona ją nakazała. I ona mi o niej opowiedziała.

Cara spojrzała ze zdumieniem, najwyraźniej zamierzała się sprzeciwić jego słowom, ale zerknęła na Nicci i postanowiła milczeć... przynajmniej chwilowo.

- W każdym razie - podjęła Ann, zirytowana, że jej przerwał - Jagang, nie mogąc wykorzystać swoich przeważających sił do przedarcia się przez mocno bronione, bardzo wąskie przełęczce, postanowił w końcu rozdzielić

wojska. Zostawił część z nich, żeby pilnowały przełęczy, a sam poprowadził główne siły na południe; cofał się przez Midlandy, chcąc obejść góry i od południa wdrzeć się do D'Hary. Nasze wojska idą ku południu, na spotkanie tamtym. To dlatego Verna mogła nas powiadomić o stanie ksiąg z proroctwami w Pałacu Ludu w D'Harze, wyprzedziła bowiem ciągnące na południe wojska i zajrzała do ksiąg.

- A w tym roku powróciły cykady - powiedziała zaniepokojona Nicci. - Widziałam je.

- Właśnie - odezwał się Nathan, wciąż wsparty na obu dłoniach. - A to ustala chronologię. Wszystkie proroctwa się połączyły i ułożyły w całość. Wydarzenia zostały zdefiniowane. Grozi nam zagłada.

Zedd cicho gwizdnął.

- Co ważniejsze - stwierdziła władczo Ann - oznacza to, iż nadszedł czas, żeby lord Rahl dołączył do wojsk D'Hary i poprowadził je do rozstrzygającej bitwy. Proroctwo wyraźnie stwierdza, że bez ciebie, Richardzie, wszystko będzie stracone. Przyjechaliśmy, żeby ci towarzyszyć do twoich wojsk, żeby mieć pewność, iż zdążysz na czas. Nie możemy ryzykować opóźnienia; powinniśmy natychmiast wyruszyć.

Pod Richardem ugięły się kolana, po raz pierwszy, od kiedy zaczęli rozmawiać o proroctwach.

- Ale ja nie mogę. Muszę odnaleźć Kahlan. - Miał uczucie, że woła na wicherze.

Ann odetchnęła głęboko, jakby się chciała ugryźć w język, poszukując w sobie gwałtownie jej potrzebnej cierpliwości, a może słów, które by go przekonały i raz na zawsze załatwiły sprawę. Obie Mord-Sith wymieniły spojrzenia. Zedd mocno zacisnął wąskie wargi i namyślał się. Zirytowany Nathan rzucił na stół trzymaną w ręce książkę; lewą pięść wsparł o biodro, prawą przesunął po twarzy.

Richard nie miał pojęcia, co powiedzieć, żeby ich przekonać, że ze światem dzieje się coś bardzo złego i że Kahlan jest zaledwie częścią owej układanki-zagadki - najważniejszą, rozumie się, ale jednak tylko częścią czegoś o wiele większego. Od owego ranka, kiedy zniknęła, do znudzenia perorował o absolutnej konieczności jej odnalezienia i nikogo nie udało mu się przekonać, że wie, o czym mówi. Nie powinien marnować energii na kolejne bezowocne wyjaśnienia.

- Ty co? - spytała Ann, nie kryjąc już niezadowolenia; w tej chwili znów była Ksienią, przysadzistą kobietą, która potrafiła wyglądać na wielką.

- Muszę odnaleźć Kahlan - powtórzył Richard.

- Nie wiem, o czym mówisz. Nie mamy czasu na takie bzdury. - Ann zlekceważyła jego pragnienia, potrzeby, interesy, żeby już nie wspominać o racjonalnych i ważnych przyczynach jego postępowania; zupełnie je pominęła. - Zjawiliśmy się po to, żeby dopilnować, byś natychmiast wyruszył do d'harańskiej armii. Wszyscy na ciebie czekają. Liczą na ciebie. Nadszedł czas, kiedy musisz poprowadzić nasze siły do rozstrzygającej bitwy, która jest coraz bliżej.

- Nie mogę - odparł spokojnie i stanowczo Richard.

- Proroctwo tego żąda! - wykrzyknęła Ann.

Richard uświadomił sobie, że Ann się zmieniła. Wszyscy się trochę zmienili od zniknięcia Kahlan, lecz Ann wyraźniej niż inni. Kiedy ostatni raz zjawiała się dokładnie w tym samym celu - żądając, żeby Richard z nią poszedł i walczył, Kahlan rzuciła w ogień jej podrózną książeczkę, mówiąc byłej Ksieni, że proroctwo nie kieruje wydarzeniami, lecz że to sama Ann usiłuje zmusić ludzi, żeby ślepo kierowali się proroctwem, bo chce je urzeczywistnić; że Ann wymusza spełnienie przepowiedni. Wykazała jej, że to właśnie ona sama, Ksieni, ślepo służąc proroctwu, mogła doprowadzić świat na skraj przepaści. Po tej przemowie Kahlan Ann głęboko przemyślała całą sprawę, stała się rozsądniejsza i lepiej pojmowała, że to Richard powinien podejmować decyzje i czynić to, co uzna za słuszne.

Teraz pamięć o Kahlan zniknęła, a wraz z nią to wszystko, co się jakoś z Kahlan łączyło. Ann, podobnie jak wszyscy inni, stała się taka, jaka była przed ową ważną rozmową z Kahlan. Richardowi czasem aż głowa pękała od prób przypominania sobie, co ludzi łączyło z Kahlan - a o czym oni teraz zupełnie nie pamiętali - żeby mógł to uwzględnić w swoich rozmowach z nimi. W przypadku niektórych - jak Shota - to mu nawet w pewien sposób pomogło. Bo Shota, zapominając o Kahlan, zapomniała również, iż mu zapowiedziała, że go zabije, jeżeli kiedykolwiek powróci do kotliny Agaden. Za to w przypadku takich osób jak Ann wszystko się stawało trudniejsze.

- Kahlan wrzuciła do ognia twoją książkę podrózną - przypomniał jej. - Miała powyżej uszu twoich prób kontrolowania mojego życia.

Ann zmarszczyła brwi.

- Sama przypadkiem wrzuciłam w ognisko moją książkę podróżną.
Richard westchnął.

- Rozumiem.

Nie miał ochoty się sprzeczać, bo wiedział, że to do niczego dobrego nie doprowadzi. Nikt z obecnych mu nie wierzył. Cara zrobi wszystko, co jej nakaze, ale mu nie wierzy. Nicci też mu nie wierzy, lecz chce, żeby postępował, jak swoim zdaniem musi. I to właśnie ona najbardziej dodała mu otuchy od zniknięcia Kahlan.

- Richardzie - odezwał się łagodniejszym, życzliwszym tonem Nathan - to nie jakaś błażostka. Narodziłeś się, żeby dopełnić proroctwa. Światu zagrażają niezwykle mroczne czasy. Ty jeden możesz powstrzymać osunięcie się w ową długą, straszliwą noc. To o tobie proroctwo mówi, że możesz ocalić naszą sprawę, tę, w którą i ty wierzysz. Musisz wykonać swój obowiązek. Nie możesz nas zawieść.

Richard miał już powyżej uszu takiego poddawania się wydarzeniom. Odchodził od zmysłów, bo nie pojmował, co się dzieje, bo miał uczucie, że zawsze jest o krok w tyle za resztą świata i dwa kroki za tym, co się przydarzyło Kahlan. Zaczynało go złościć, że wszyscy mu mówili, co ma robić, ale nikogo nie obchodziło to, co dla niego było tak ogromnie ważne. Nawet nie chcieli mu pozwolić, żeby decydował o własnym losie. Uważali, że proroctwo już za niego zadecydowało.

A właśnie, że nie.

Musiał się dowiedzieć, co się przydarzyło Kahlan. Musiał odnaleźć Kahlan, koniec i kropka. Miał serdecznie dosyć marnowania czasu na to, co wedle proroctwa i mnóstwa ludzi powinien czynić. Ci, co mu nie pomagali, tak naprawdę powstrzymywali go przed czymś ogromnie ważnym.

- Nie mam obowiązku spełniać cudzych oczekiwań - oznajmił Ann, podnosząc ze stołu małą książeczkę, którą przyniósł ze sobą Nathan.

Ann i Nathan wpatrywali się w niego ze zdumieniem. Poczul na plecach dodające otuchy dotknięcie dłoni Nicci. Może i nie wierzy w jego wspomnienia o Kahlan, ale przynajmniej pomogła mu zrozumieć, że powinien pozostać wierny swoim zasadom. Nie pozwoliłaby mu przegrać bez walki. Okazała się wspaniałą przyjaciółką wtedy, kiedy najbardziej kogoś takiego potrzebował.

Wiedział, że poza nią jedynie Kahlan tak by go wsparła, tak by go

przywołała do porządku.

Kartkował puste stronicie przyniesionej przez Nathana książki. Chciał się przekonać, czy jest tam coś, co by odmieniło sprawę, czy nie mówią mu przypadkiem tylko tego, co mu pragnęli wmówić. Chciał też znaleźć coś - cokolwiek - co by mu pomogło pojąć, co się dzieje.

A na pewno coś się działo. Wyjaśnienia Zedda o tym profetycznym robaku wyglądały na niepodważalne, ale coś w nich Richarda niepokoiło. Wyjaśniały braki w tekstach proroczych w sposób, który bardzo im wszystkim odpowiadał. Było to dla nich zbyt dogodne i - co gorsza - nawinęło się aż za bardzo w porę.

A takie szczęśliwe zbiegi okoliczności zawsze wzbudzały w Richardzie podejrzliwość.

Nicci też miała rację: to aż nazbyt oczywiste, że ciało pogrzebane przy Pałacu Spowiedniczek miało szarfę z wyhaftowanym imieniem Kahlan... Żeby nie było żadnych wątpliwości, gdyby przypadkiem ktoś je odkopał.

Po kilku pustych stronicach natrafił na tekst. Ten sam, który odczytał Nathan.

Gdy w roku cykad głosiciel poświęcenia i cierpienia tak pod sztandarem ludu, jak i Światła rozdzieli wreszcie swoje liczne hufce, będzie to znak, że prorocstwo zostało zainicjowane i że czeka nas ostatnia i rozstrzygająca bitwa. Zachowajcie ostrożność, albowiem wszystkie istotne rozwidlenia i ich derywaty splatają się w owej wróżbie. Gałęzie wyłącznie jednego pnia łączą się zaś z pierwotnym źródłem. Jeżeli fuer grissa ost drauka nie poprowadzi do owej ostatecznej walki, to świat, stojący już jednak na skraju ciemności, zasnuje straszliwy mrok.

Parę rzeczy zdumiało Richarda. Po pierwsze, wymienienie cykad. Wydawały się zbyt mało znaczącymi stworzeniami, żeby sobie zasłużyć na pojawienie się w przepowiedni, a już na pewno, żeby odgrywać tak ważną rolę w najważniejszym od trzech tysięcy lat prorocztwie. Pomyślał, że być może miało to pomóc właściwie umiejscowić wydarzenia w czasie - ale z tego, co mu mówili, wynikało, że prorocstwo nigdy się nie troszczyło o chronologię, przez co tak trudno było się w nim połapać.

Poza tym niepokoiło go, że i to prorocstwo - tak różne od tych, które czytał w Pałacu Proroków - także określało go górnod'harańskim terminem fuer grissa ost drauka. Uznał, że może istotnie jest tak, jak powiedział Zedd,

i że to podkreśla znaczenie przepowiedni.

Lecz odnośnik do proroctwa, które Richard widział w Pałacu Proroków, z terminem grissa ost drauka, bardzo mocno wiązał się z czymś jeszcze: ze szkatułami Ordenu.

W starym proroctwie, nazywającym Richarda dawcą śmierci, słowo „śmierć” miało trzy odmienne znaczenia, zależnie od tego, w jakim kontekście zostało użyte: ten, który sprowadza zaświaty, krainę zmarłych; ten, który sprowadza duchy, duchy zmarłych; dawca śmierci, który ma zabijać. Każde znaczenie było odmienne, lecz wszystkie trzy były celowe.

Drugie znaczenie wiązało się z użyciem przezeń Miecza Prawdy, trzecie zaś oznaczało jedynie, że musi zabijać ludzi. Lecz pierwsze łączyło się ze szkatułami Ordenu.

Uważał, że w kontekście tej tu przepowiedni trzecie znaczenie wydaje się oczywiste, że musi poprowadzić wojska i zabijać wroga, więc nazwanie go fuer grissa ost drauka miało sens. Ale znów za bardzo to pasowało do ich pragnień.

Wszystkie te poręczne wyjaśnienia i szczęśliwe zbiegi okoliczności budziły w Richardzie podejrzliwość. Czuł, iż zniknięcie Kahlan wskazuje, że chodzi tu o coś więcej.

Wrócił do stronicy przed tekstem, potem do kolejnej, sprawdził. Były puste.

- Mam z tym pewien problem - rzekł, spoglądając we wpatrzone w niego oczy.

- A niby jaki? - spytała Ann, splatając ręce.

Tym samym tonem przemówiłaby do niedoświadczonego, niedouczonego, niewyszkolonego chłopca, świeżo sprowadzonego do Pałacu Proroków, gdzie miano go nauczyć posługiwać się darem.

- Przed tymi słowami i po nich niczego nie ma - odparł. - Wszystkie strony są puste.

Nathan ukrył twarz w dłoniach, Ann zaś z ogromnym oburzeniem uniosła ręce.

- No pewnie! Przecież zniknął i ten tekst, i całe mnóstwo innych. To o tym dopiero co rozmawialiśmy. To dlatego ten fragment jest taki ważny!

- Ale skoro nie znasz kontekstu, to nie możesz mieć pewności, że jest taki ważny, czyż nie? Żeby w pełni zrozumieć informację, należy znać kontekst.

Ann i Nathan się oburzyli, Zedd zaś uśmiechnął się do siebie, rad, że wnuk pamięta jego dawne nauki. Nathan spojrzał na Richarda.

- A co to ma wspólnego z tym proroctwem?

- Mógł je poprzedzać lub mieścić się za nim tekst umniejszający jego znaczenie. Jak się mamy tego dowiedzieć, skoro się nie zachował? Cokolwiek może je podważyć. Zedd się uśmiechnął.

- Chłopak ma rację.

- Nie jest chłopakiem - burknęła Ann. - Jest mężczyzną i lordem Rahlem, władcą imperium D'Hary, które sam stworzył, żeby walczyć z Imperialnym Ładem, i ma dowodzić wojskiem. Życie nas wszystkich zależy od tego.

Richard znów wertował książkę i zobaczył tekst, którego nie zauważył za pierwszym razem. Wrócił do tej stronicy.

- Jest tu jeszcze coś, co nie zniknęło.

- Co takiego? - spytał z niedowierzaniem Nathan i obrócił się, żeby spojrzeć. - Nic innego nie było. Na pewno.

- O tutaj - powiedział Richard, stukając palcem w słowo. - „Nadchodzimy”. Cóż by to mogło znaczyć? I dlaczego to nie zniknęło?

- „Nadchodzimy”? - Nathan był wyraźnie zdumiony. - Nie widziałem tego przedtem.

Richard cofnął się o jeszcze kilka stron.

- Spójrz. Jest tu znowu. To samo. „Nadchodzimy”.

- Jeden zapis mogłem przegapić - rzekł Nathan - ale dwóch na pewno nie. Musisz się mylić.

- Nie. Spójrz. - Richard obrócił książkę, żeby Prorok lepiej widział; przerzucił puste kartki, aż natrafił na kolejny wpis. - Znowu jest. Powtórzony na całutkiej stronie.

Nathan aż otworzył usta, a zdumienie odebrało mu mowę. Nicci spojrzała ponad ramieniem Richarda. Zedd pospiesznie podszedł, żeby też zobaczyć. Nawet obie Mord-Sith się przybliżyły, by rzucić okiem.

Richard odwrócił stronicę, wracając do tej, która przed chwilą była pusta. A teraz była cała zapisana jednym słowem: „Nadchodzimy”.

- Obserwowałam, jak ją odwracałeś. - W jedwabistym głosie Nicci brzmiał nieskrywany niepokój. - I jestem pewna, że ta stronica przed chwileczką była pusta.

Richard dostał gęsiej skórki. Zjeżyły mu się włosy na karku.

Podniósł wzrok i zobaczył, jak coś ciemnego materializuje się w głębokim mroku za padającym z umieszczonego w głębi biblioteki okna snopem promieni słonecznych.

Zbyt późno przypomniał sobie ostrzeżenie Shoty, żeby nie czytał proroctw, że jeżeli to zrobi, to bestia krwi będzie mogła go odnaleźć.

Sięgnął po miecz.

Miecza nie było.

ROZDZIAŁ 53

Rozległo się wycie, jakby jednocześnie zawodziło tysiąc potępionych dusz, i mrok ożył - z ciemności zmaterializowały się i zlały w jedno jeszcze mroczniejsze zawirowania i pasma.

Stoły w przeciwległym końcu biblioteki runęły, wywrócone do góry nogami przez mroczne kłębowisko. W powietrze poleciały kawałki drewna.

Zrodzona z mroku bestia rzuciła się ku Richardowi, niszcząc po drodze kolejne stoły. Słysząc było trzask pękającego drewna.

Cara i Rikka skoczyły przed Richarda; każda zaciskała w pięści Agiel. Aż za dobrze wiedział, co by się stało, gdyby się zetknęły z bestią. Pomyślał, że Cara znów by doświadczyła tego samego co poprzednio, i obudził się w nim gniew. Zanim obie zdążyły skoczyć ku przebijającej się przez masywne biblioteczne stoły bestii, złapał je za warkocze i z gniewnym okrzykiem odciągnął.

- Nie stawajcie jej na drodze! - wrzasnął do Mord-Sith.

Ann i Nathan wyrzucili ramiona ku stworowi i uwolnili magię, która sprawiła, że wszystko zaczęło falować, jakby w falach żaru bijących od ryczących płomieni. Richard wiedział, że sprężają powietrze, starając się odepchnąć prącą ku niemu bestię. Ich wysiłki nie zrobiły najmniejszego wrażenia na plamie mroku, toczącej się przez bibliotekę i niszczącej po drodze stoły. Wszyscy się cofnęli, odsuwając się od zagrożenia.

Richard się uchylił, bo długa deska - cały brzeg jednego z rozbitych stołów - śmignęła mu koło głowy i lupnęła w postument. Jedna z lamp pękła i płonąca oliwa wylała się na wiekowy dywan, który natychmiast się zapalił. Za ich plecami zakłębił się bury dym, przed sobą zaś mieli sunącą ku Richardowi bestię.

Zedd posłał ku stworowi błyskawicę, która przeszła przez sam środek mrocznego kłębowiska, jakby go tam wcale nie było, i trafiła w półki z książkami w drugim krańcu biblioteki. W powietrze poleciały księgi i płonące karty. Wzbiły się tumany kurzu i kłęby dymu, rozległ się ogłuszający huk.

Bestia parła ku Richardowi, jęcząc i zawodząc - przypominało to wycie potępionych, dochodzące z głębin zaświatów - i niszcząc mahoniowe

postumenty. Lampy latały w powietrzu, ich srebrne odbłyśniki rozsiewały po bibliotece migoczące odblaski i tworzyły cienie, które zlewały się z bestią, przez co robiła się jeszcze bardziej spoista i mroczna.

Richard nie widział przejawów pospiesznie rzucanych przez Ann i Nathana zaklęć, ale nie robiły one bestii żadnej krzywdy - przenikały przez nią, jakby była jedynie kłębowiskiem mroku, a przecież ów mrok, prąc ku nim, rozbijał po drodze masywne stoły i postumenty. Zaskrzypiały belki, jęknęły deski - pękł kolejny postument. Skraj galerii osunął się o kilka stóp. Mroczny stwór rozwalił następny postument. Skraj galerii opadł o kolejne kilka stóp. Półki zakołysały się na pochylej podłodze i wywróciły, w dół posypały się sterty książek.

Richard cofał się w tym całym zamieszaniu, zniszczeniu i hałasie, obserwując zbliżające się zagrożenie i starając się wymyślić, jak mu przeciwdziałać, gdy nagle Nicci złapała go za ramię i z zadziwiającą siłą wywlokła przez otwarte drzwi. Stojący w korytarzu Tom złapał Richarda za drugie ramię i pomógł go wywlec z biblioteki, Cara i Rikka zaś osłaniały odwrót.

W bibliotece bestia dalej parła naprzód, niszcząc wszystko po drodze, i teraz kierowała się ku drzwiom, ku Richardowi.

Ann, Nathan i Zedd przyzwali moce, których Richard nawet nie potrafił dostrzec, wyczuwał je tylko w szarpiącym powietrzem buczeniu i falach mdłości, które go ogarnęły. Wszystko na nic. Równie dobrze mogliby atakować cienie.

Nicci odwróciła się ku bibliotece i skierowała pięść ku pracemu w jej stronę kłębowisku cieni. Wszyscy skrzywili się i uchylili, słysząc nagły grzmot; posłała ku bestii grot mocy jednocześnie oślepiająco jaskrawy i lodowato mroczny. Grzmot wyładowania wstrząsnął wieżą; wszędzie uniosły się w powietrze tumany kurzu. Magiczny grot przebił bestię. Posypał się deszcz iskier, rozpadły się półki. W powietrze poleciały drzazgi, rozmaite szczątki, książki i karty. Zupełnie jakby w bibliotece rozszalała się papierowa burza.

Straszliwy grot mocy, uwolnionej przez Nicci, który zakołysał wieżą, przebił się przez kamienne ściany niczym płomień przez papier. Przez szczeliny wycięte w masywnym kamieniu dostały się do biblioteki szarawe snopy słonecznego blasku. Ostry kontrast pomiędzy nimi a panującym w

bibliotece mrokiem utrudniał wypatrzenie siejącego zniszczenie kłębowiska cieni.

Wszyscy zasłonili uszy, bo rozległo się straszliwe wycie, jakby uwolniona przez Nicci moc wdarła się w zaświaty i osmałiła potępione dusze.

Wprawdzie nie powstrzymało to bestii, ale przynajmniej jakoś na nią podziałało. Bo nic innego do tej pory nie zrobiło na niej wrażenia.

Nicci wybiegła i pociągnęła Richarda ze sobą korytarzem. Niechętnie zostawiał Zedda w takim niebezpieczeństwie, lecz wiedział, że bestii chodzi o niego, a nie o dziadka. Zedd będzie bezpieczniejszy, jeżeli on ucieknie. Ale wcale nie uważał, że ucieczka jemu samemu zapewni bezpieczeństwo.

- Nie wchodź jej w drogę - ostrzegł Toma. - Rozszarpałaby cię na strzępy. Was to też dotyczy - pouczył Carę i Rikkę, holujące go w głąb korytarza.

- Rozumiemy, lordzie Rahlu - odparła Cara.

- Jak ją zabijemy? - zapytał Tom, kiedy tak biegli korytarzem, popatrując nieufnie ku bibliotece.

- Nie możesz jej zabić - powiedziała mu Nicci. - Już jest martwa.

- Ale numer - mruknął i razem z nimi trzema pilnował, żeby Richard się nie zatrzymywał.

Ale Richard nie potrzebował zachęty do biegu. Wystarczało samo potępieńcze wycie.

Z otwartych drzwi błyskało światło i dobiegały gniewne krzyki, kiedy ci, którzy pozostali w bibliotece, starali się zniszczyć lub przynajmniej zatrzymać to, co wyglądało jak ożywiony mrok. Richard wiedział, że tylko marnują czas. Bestię bowiem tworzyła po części magia subtraktywna, a przeciwko niej nie mieli oręza. Stwór już im to wystarczająco udowodnił, ale oni zapewne starali się choć odwrócić jego uwagę, żeby Richard miał czas na ucieczkę. Ich wysiłki nie robiły na bestii żadnego wrażenia. Shota ostrzegała przed tym Richarda.

Na skrzyżowaniu Richard skręcił w prawo, w wyłożony drewnianą boazerią korytarz. Pozostali pobiegli za nim. Co pewien czas mijali komnaty z fotelami, kanapami i wygasłymi teraz lampami. Niegdyś musiały się tu toczyć ożywione, serdeczne rozmowy.

Kiedy ponownie skręcili i pobiegli szerszym korytarzem, o jasnobrązowych tynkowanych ścianach i złocistej dębowej podłodze, nagle pękła przed nimi ściana. Poleciały ku nim pył i odłamki. Richard zatrzymał

się z poślizgiem na wygładzonej do połysku drewnianej podłodze i zawrócił, bo z białej chmury wyłoniło się kłębowisko cieni. Przedtem biegł na przdzie, więc teraz znalazł się na końcu, bestia zaś szybko się zbliżała.

Mroczne kłębowisko najwyraźniej zagarnęło po drodze jeszcze więcej cieni - małych i kanciastych, szerokich i liściastych, czarnych jak smoła mroków z zakamarków, mglistych wieczornych półmroków - i wymieszało je razem. Cienie odchyłały się i odwijały, bezustannie były w ruchu, tworzyły coraz to nowe kształty. Richardowi aż się kręciło w głowie, kiedy biegnąc, popatrywał na stwora.

A przy tym bestia była tak niematerialna, że kiedy się oglądał przez ramię, widział przez nią światło wpadające przez okna daleko w głębi korytarza. Gnali, biorąc zakręty, a bestia tymczasem „puchła” i ocierała się o ściany, rozrywając drewno, tynk lub kamień równie łatwo jak rogacz krzaki jeżyn.

Richard nie miał pojęcia, jak walczyć z kłębowiskiem mroku, które - nawet nie zwalniając - potrafiło się przebić przez grubą kamienną ścianę.

Przypomniawszy sobie ludzi Victora, tak brutalnie rozszarpanych wtedy w lasach; tak brutalnie i tak szybko. Zastanawiał się, czy to stwór się przez nich przebił, czy taki właśnie los spotkał ich owego straszliwego ranka, kiedy bestia krwi przyszła po niego.

Dwaj czarodzieje i dwie czarodziejki starali się dopiero co, i to bezskutecznie, zatrzymać wyczarowaną na rozkaz Jaganga bestię. A Nicci nie była przecież zwyczajną czarodziejką. W nagrodę za mroczne przysięgi, o których Richard nawet bał się pomyśleć, nauczono ją korzystania z magii subtraktywnej. Jednak nawet i jej moc nie powstrzymała bestii, choć przynajmniej wywołała - jakąś reakcję.

Nicci zatrzymała się i odwróciła ku mrocznemu kłębowisku cieni, kolebiącemu się za nimi wykładanymi dębową boazerią korytarzami. Wyglądało na to, że zamierza stawić bestii opór. Richard zrównał się z nią i - nie zwalniając biegu - uniósł ją z podłogi i przerzucił sobie przez ramię, pozbawiając tchu tym gwałtownym manewrem.

Okoliczne korytarze rozbłysły oślepiającym blaskiem, kiedy Nicci - szybko odzyskawszy oddech - skierowała ku bestii swoją moc. Podłoga się zatrzęsła i mało brakowało, żeby Richard upadł. Na moment ogarnęła ich ciemność, kiedy czarodziejka cisnęła ku ścigającej ich bestii straszliwy czar.

Rozległo się upiorne wycie i Richard pomyślał, że wysiłki Nicci nie poszły na marne, ta zaś złapała go oburącz za koszulę i zaczęła się wrywać.

- Postaw mnie, Richardzie! Pozwól mi bieć! Tylko cię spowalnim, a stwórz nas dogania! Szybko!

Richard natychmiast obrócił ją przez swoje prawe ramię, żeby była zwrócona twarzą we właściwym kierunku. Opuścił ją na podłogę i podtrzymywał, dopóki się nie upewnił, że złapała równowagę i biegnie tym samym tempem co oni.

Tom, Cara i Rikka na przedzie, za nimi Richard z Nicci - gnali korytarzami, nie mając pojęcia dokąd. Skręcali to w lewo, to w prawo; jedne skrzyżowania mijali, na innych skręcali. Słyszał, że bestia ich ściga. Czasem posuwała się ich tropem korytarzami, innym razem, kiedy skręcali, przebijała się przez ściany, starała się zmniejszyć dzielącą ich odległość, chciała go dopaść. Z równą łatwością przebijała się przez kamień, zaprawę murarską i drewno. Zdawał sobie sprawę, że stwór wyczarowany przez Siostry Mroku i sprzężony z zaświatami będzie miał właściwości niedostępne zwyczajnym istotom, toteż nie miał pojęcia, jaki jest ich zakres. Biegając, wrzasnął do obu Mord-Sith i Toma:

- Wszyscy troje biegnijcie prosto! Postarajcie się, żeby stwór ruszył za wami!

Obejrżeli się, nie zwalniając, i potakująco kiwnęli głowami.

- Ten stwór za nimi nie pójdzie - powiedziała cicho Nicci, pochylając się ku niemu.

- Wiem. Mam pewien pomysł. Trzymaj się mnie, zamierzam się dostać na tamte schody przed nami.

Tamta trójka pędem minęła schody, a Richard oparł dłoń o czarną kamienną kulę na granitowym słupku poręczy i okręcił się na niej w prawo. Nicci zrobiła to samo i obydwójce ile sił w nogach pognali schodami w dół. Bestia ścięła zakręt, przebiła się przez słupek - kula poturlała się korytarzem, granitowe odłamki rykoszetowały od ścian. Cara, Rikka i Tom, którzy już minęli schody, zatrzymali się z poślizgiem na marmurowej posadzce. Zostali powyżej bestii. Natychmiast pognali za nią schodami.

Richard i Nicci zbiegali po trzy, cztery stopnie. Słyszał tuż za nimi potężniejsze wycie stwora. Bestia była tak blisko, że miał wrażenie, iż czuje na karku jej oddech.

U dołu schodów pobiegł w prawo, kamiennym przejściem. Bestia rozdeła się, uderzyła o jasnobrązową lśniącą marmurową ścianę. Kawał marmuru rozpadł się z hukiem, ale bestii to nie powstrzymało. Dotarli do pierwszych schodów i znów zbiegli w dół, potem jeszcze dwa razy.

Szeroki korytarz, prowadzący od schodów, był w regularnych odstępach wyłożony dywanami, co utrudniało utrzymanie tempa.

Górne części ścian były otynkowane na gładko, dolne pokrywała drewniana okładzina. Ponad każdym dywanem umieszczono kinkiet, w którym tkwiła szklana kula - rozbłyskiwały jedna po drugiej, kiedy Richard je mijał. Biegł najszybciej jak mógł, Nicci u jego boku - a bestia następowała im na pięty niczym sama śmierć.

Dobiegłszy do spiralnych żelaznych schodów, Richard usiadł na poręczy i z ogromną szybkością zaczął się ślizgać w dół. Nicci zrobiła to samo, obejmując go ramieniem za szyję dla zachowania równowagi. Spływali w dół, oddalając się choć trochę od ścigającego ich stwora.

U dołu schodów spadli z poręczy na chłodną, wyłożoną płytami posadzkę i potoczyli się po gładkich zielonych płytach. Richard szybko się podniósł i chwycił jedną z jarzących się kul, osadzonych na kinkietach. Nicci zrobiła to samo.

- Pospieszmy się - ponaglił ją.

Gnali przez nie kończący się korowód komnat i korytarzy, wybierając tak skomplikowaną trasę, jak tylko się dało, i starając się zgubić prześladowcę. Czasami zyskiwali kilka cennych stóp. Innym razem, zwłaszcza w korytarzach, bestia nadrabiała straty i przybliżała się. Niektóre z komnat były przytulne, wyłożone boazerią. Bestia zdawała się wysysać mroki z zimnych, ciemnych kominków, kiedy je mijała. Kule, które nieśli, rozsiewały ciepły blask po misternie tkanych dywanach i bogato tapicerowanych fotelach. W biblioteczkach stały oprawne w skórę tomy. Richard niekiedy zaczepiał stopą o regał, ale utrzymywał równowagę i nie zwalniał biegu.

Zbiegli na łeb, na szyję po jeszcze wielu schodach - niektóre były szerokie, z podestami, inne wąziutkie; komnaty były coraz mniej okazałe. Niektóre korytarze były całe wyłożone płytami, tworzącymi osobliwe wzory. Jedno z pomieszczeń było olbrzymie, z równomiernie rozmieszczonymi grubymi kamiennymi kolumnami. Blask niesionych przez nich kul nie docierał do najdalszych zakątków. Od czasu do czasu korytarze były po

prostu wydrążonymi w litej skale szczelinami.

Pewne pokoje i korytarze chroniły osłony, przez które Richard rozmyślnie przebiegał. Nie chciał, żeby Cara, Rikka i Tom znaleźli się zbyt blisko ścigającego go stwora. Nie chciał, żeby ich spotkał ten sam los co ludzi Victora. Wiedział, że Cara się na niego wścieknie, kiedy ją zatrzymają osłony. Miał nadzieję, że przeżyje i wysłucha jej połajanki.

Dotarli do magazynu materiałów budowlanych, gdzie po obu stronach leżały sterty płóciennych worków i kamienia. Richard rozpoznawał materiały, bo przecież w Altur'Rang musiał pracować przy budowie pałacu imperatora Jaganga. A teraz ścigała go Jagangowa bestia.

Z magazynu wybiegli w długi korytarz o łupkowej posadzce. Gładkie ściany z kamiennych bloków wznosiły się ku odległemu o co najmniej sto pięćdziesiąt stóp stropowi, tworząc wąskie, strzeliste rozcięcie przez wnętrze wieży. Richard poczuł się tutaj niczym mrówka.

Natychmiast skręcił w prawo i pobiegł ogromnym korytarzem. Towarzyszył mu dudniący odgłos własnych kroków, kiedy tak gnał ile sił w nogach. Wkrótce musiał nieco zwolnić ze względu na Nicci. Obydwoje zbliżali się do kresu wytrzymałości, jednak w potępieńczym wyciu ścigającej ich bestii nie było słycać znużenia.

Richard nie mógł dostrzec końca wysokiego korytarza, a był to tylko jeden z wielu, co dawało pojęcie o ogromie wieży.

Dotarli do odchodzącej w lewo odnogi - Richard skręcił tam i po chwili dobiegli do żelaznych schodów. Obejrzał się, próbując złapać oddech - kłębowisko cienia było tuż za rogiem. Popchnął Nicci przed siebie i pognali schodami w dół.

Na dole znaleźli się w niewielkim, prostokątnym pomieszczeniu, będącym właściwie zbiegiem trzech rozchodzących się w różne strony kamiennych korytarzy. Richard uniósł jarzącą się kulę, rzucił okiem w każdy z nich. W dwóch niczego nie dostrzegł. W tym po prawej chyba zauważył jakieś lśnienie. Był już przedtem w wieży i natknął się na bardzo dziwne miejsca - jedno z nich by się teraz przydało.

Razem z Nicci pobiegli właśnie tym korytarzem. Tak jak sądził, nie był on zbyt długi - przeprowadził ich pod tym olbrzymim i trochę dalej zakończył się czymś w rodzaju przedsionka o ścianach pokrytych wymyślnymi geometrycznymi wzorami, pracowicie ułożonymi ze szklanych

kolorowych płytek. Blask kul odbił się od owych płytek, a całe pomieszczenie rozjarzyło się barwnymi refleksami. Wyjście było tylko jedno - w przeciwległej ścianie.

Richard przystanął. W tym osobliwym połyskliwym pomieszczeniu miał uczucie, że ocierają się o niego pajęczyny. Nicci odwróciła głowę i ocierała twarz, jakby się chciała czegoś z niej pozbyć. Wiedział, że było to ostrzeżenie, żeby się trzymać z daleka.

Po obu stronach drugiego wejścia stały niewielkie kolumny z gładkiego, złoto nakrapianego kamienia, podtrzymujące poprzeczną belkę. Za kolumnami, trochę tylko wyższymi od Richarda, znajdował się korytarz ze zwykłych kamiennych bloków, niknący w ciemnościach. Zadziwiająco wymyślny i imponujący przedsionek jak na taki zwyczajny korytarz w trzewiach wieży.

Richard miał nadzieję, że się dobrze domyślał, dlaczego tak było.

Kiedy minęli przedsionek i podeszli do wejścia, w powietrzu przed kolumnami pojawił się czerwony poblask. Rozległo się niepokojące buczenie.

Włosy stanęły Nicci dęba, jakby zaraz miała w nią uderzyć błyskawica. Chwyła Richarda za rękę i odciągnęła w tył.

- To osłona.

- Wiem - odparł, wlokąc ją za sobą.

- Nie powinieneś, Richardzie. To nie jest zwyczajna, tylko addytywna osłona. Jest tu i magia subtraktywna. Takie osłony są śmiertelnie groźne, a ta szczególnie.

Obejrzał się i zobaczył, że mroczna bestia toczy się ku nim korytarzem.

- Wiem. Już bywałem w takich miejscach.

Miał nadzieję, że się nie myli, że ta osłona jest taka jak te, przez które przechodził. Potrzebował takiej, jaką już przedtem napotkał, strzegącej najbardziej zakazanego pomieszczenia. Jeżeli ta osłona była słabsza lub potężniejsza od tych, na które wcześniej natrafił, to znajdą się w poważnych tarapatach.

Stąd można się było wydostać albo korytarzem, którym toczyła się ku nim bestia, albo poprzez tę osłonę.

- Idziemy. Szybko. Nicci ciężko oddychała.

- Nie przedostaniemy się tędy, Richardzie. Ta osłona obedrze nas z ciała

aż do kości.

- Przecież ci mówię, że już przez takie przechodziłem. Władasz magią subtraktywną, więc i ty się przedostaniesz. - Ruszył biegiem ku przejściu. - Jeśli tego nie zrobimy, to na pewno umrzemy. To nasza jedyna szansa.

Jęknęła i pobiegła za nim wśród barwnych odbłasków padających od pokrywających ściany szklanych mozaik.

- Lepiej, żebyś się nie mylił.

Chwyił jej dłoń i mocno trzymał - na wypadek, gdyby się okazało, że konieczny jest wrodzony dar magii subtraktywnej. Nicci się z takim darem nie urodziła, jedynie zdobyła możliwość posługiwania się tą magią. Nie znał się za bardzo na magii, ale z tego, czego się nauczył, wynikało, że istniała ogromna przepaść pomiędzy urodzeniem się z darem a umiejętnością posługiwania się czarami. Już przedtem pomagał przejść przez osłony osobom nie mającym daru, więc uważał, że Nicci również przejdzie, skoro ma dar, umiejętności, no i on ją trzyma za rękę - o ile on sam da radę przejść.

Otoczające ich powietrze przybrało purpurową barwę. Richard rzucił się w drzwi, wlokąc za sobą Nicci.

Mieli wrażenie, że zmiążdży ich nagły ucisk. Nicci zachłysnęła się oddechem. Richard musiał mocno napierać na niewidoczną przeszkodę. Pomiędzy kamiennymi kolumnami otoczył go żar. Był tak intensywny, że chłopak przez chwilę sądził, iż popełnił poważny błąd, że Nicci miała rację i osłona ich spali. Choć się wzdrygnął, czując tak nieoczekiwany żar, to impet przeniósł go przez wejście. Trochę się zdziwił, że przeżył, nic mu się nie stało i że korytarz wygląda zupełnie inaczej, niż się z tamtej strony zdawało. Kiedy zaglądał weń pomiędzy kolumnami, wyglądał jak zwyczajny korytarz z kamiennych bloków. Teraz wygładzony kamień połyskiwał falistą, srebrzystą powierzchnią, nadającą mu trójwymiarowy wygląd.

Obejrzał się za siebie - kłębowisko cieni sunęło ku wejściu. Richard, wciąż trzymając Nicci za rękę, cofnął się głębiej w roziskrzony korytarz.

Był zbyt wyczerpany, żeby dalej biec.

- Tutaj zginiemy albo przeżyjemy - powiedział, z wysiłkiem łapiąc oddech.

ROZDZIAŁ 54

Mroczna bestia uderzyła w przejście z takim łomotem, że Richard pomyślał, iż rozpadnie się korytarz, w którym się znajdowali. Spoisty ciemny kształt rozprysł się niczym szklane naczynie rzucone o granit, rozpadł się na tysiące odłamków. W korytarzu rozbrzmiały przenikliwe wycia przeraźliwego bólu, nastąpił oślepiający szkarłatny rozbłysk. Czarne odłamki odbiły się od osłony i poleciały w głąb pomieszczenia, wśród migotliwych refleksów odbijających się od szklanych mozaik. Wyglądało to tak, jakby całoroczny deszcz meteorytów skupił się w tej jednej chwili; mroczne szczątki buchnęły jaskrawym blaskiem, rozlatując się we wszystkie strony, i zniknęły.

Nagłą ciszę zakłócały jedynie utrudzone oddechy Nicci i Richarda.

Bestia zniknęła. Przynajmniej na razie.

Richard puścił dłoń Nicci i obydwójce ciężko się osunęli na podłogę; oparli się o opalizującą srebrną ścianę i dyszeli z wyczerpania.

- Szukałeś jednej z takich osłon, prawda? - spytała Nicci, na tyle odzyskując oddech, że mogła mówić.

Richard potakująco kiwnął głową.

- Żadne zaklęcia Zedda, Nathana czy Ann nie zatrzymały bestii. Tylko twoja moc choć trochę na nią podziałała. To mi nasunęło myśl, że musi tu być coś, co by ją odparło, przynajmniej w takim kształcie, jaki tym razem przybrała. Wiedziałem, że czarodzieje z czasów budowy wieży musieli powstrzymać wszystko, co było tu obce, a bestia jest w końcu czymś z tamtych czasów, czymś, co Jagang znalazł w księgach. No i uznałem, że ci, co postawili tutejsze osłony, musieli brać pod uwagę i takie możliwości. A skoro osłony miały powstrzymać takie zagrożenia, to żeby się przez nie przedostać, trzeba mieć choć odrobinę magii subtraktywnej. Lecz ponieważ wróg również mógł dysponować mocą subtraktywną, to uważam, że osłony muszą w jakiś sposób rozpoznawać naturę tych, co się chcą przez nie przedostać, i w ten sposób oceniać rozmiary zagrożenia. Może być i tak, że kiedy uciekaliśmy poprzez wieżę, przechodząc przez osłony, to jakoś zbierały one informacje nie tylko o nas, ale i o bestii; dlatego, kiedy wreszcie dotarliśmy do osłon wyższego rzędu, uznały one bestię za zagrożenie i

zatrzymały ją.

Nicci zastanawiała się nad tym, co powiedział; odgarnęła z twarzy pasma zlepionych potem włosów.

- Nikt nie wie zbyt wiele o mających dar z tamtych czasów, ale to zupełnie logiczne, że ówczesne osłony muszą sobie radzić z ówczesnymi zagrożeniami? - Zmarszczyła brwi, jakby coś jej nagle przyszło na myśl. - Może takie osłony dałyby radę cię obronić, gdyby bestia wróciła.

- Pewnie tak - odparł - gdybym chciał tutaj żyć jak kret. Rozejrzała się.

- Domyślasz się, gdzie jesteśmy?

- Nie - odparł, wzdychając ze znużeniem - ale lepiej się tego dowiedzmy.

Podnieśli się z wysiłkiem i przeszli resztę krótkiego korytarza. Weszli do zwyczajnego pokoju o ścianach z kamiennych bloków, pokrytych kruszącym się teraz tynkiem. Pokój miał nie więcej niż piętnaście stóp długości i nieco mniej szerokości; prawie całą ścianę po lewej zajmowały półki z książkami. Nie była to jednak biblioteka podobna do tych, które Richard widział w wieży. Po pierwsze, była zbyt mała. Po drugie, nie była miła i przytulna, lecz raczej ascetyczna. Co najwyżej można by ją było nazwać funkcjonalną. Poza półkami starczało tu miejsca na stół, stojący po przeciwległej stronie, przy wyjściu. Na stole stała gruba świeca, pod nim zaś drewniany taboret. Drugi korytarz zdawał się przypominać ten, którym tu przyszli.

Richard przyjrzał mu się uważnie i stwierdził, że ma takie same połyskliwe srebrne ściany i osłonę, przypominającą tę, przez którą dopiero co przeszli - czyli, w przeciwieństwie do innych pomieszczeń w wieży, też chronionych przez osłony, tutaj nie można się było dostać okrężną drogą, omijającą potężne blokady. Trzeba było przejść przez jedną z nich.

- Tyle tu kurzu - odezwała się Nicci - jakby nikt tu nie sprzątał od tysięcy lat.

Miała rację. Wszystko pokrywała szara warstwa pyłu, skutecznie tłumiąc wszelkie inne barwy. Richard pojął, dlaczego tak było, i zjeżyły mu się włosy na karku.

- Bo nikt tu od tysięcy lat nie zaglądał.

- Naprawdę?

Wskazał na korytarz, któremu się właśnie przyjrzał.

- Jedyne dwa wejścia chronią osłony, przez które można przejść tylko wtedy, jeżeli ma się dar magii subtraktywnej. Nie wchodził tu więc nikt, bo

nawet Zedd, Pierwszy Czarodziej, nie może przejść przez subtraktywne osłony. Nicci potarła dłonią.

- A zwłaszcza te tutaj. Przez większość życia miałam do czynienia z osłonami. Wyczułam, że te są śmiertelne. Podejrzewam, że bez twojej pomocy miałabym spore kłopoty z przedostaniem się przez nie po raz pierwszy.

Richard przekrzywił głowę, żeby mu było wygodniej odczytywać tytuły książek na półkach. Niektóre nie miały tytułów na grzbietach. Inne były w nieznanych mu językach. Jeszcze inne wyglądały na diariusze. Niektóre go zainteresowały. Jedna z niewielkich książek miała tytuł Gegendrauss, co w górnod'harańskim znaczyło Przeciwdziałania. Zdjął też z półki inną, podobnego formatu, zatytułowaną Ordeniczna teoria. Zdmuchując grubą warstwę kurzu, doszedł do wniosku, że książeczka przyciągnęła jego uwagę, bo określenie „Ordeniczna” przypominało mu Ordenu, jak przy szkatułach. Ciekaw był, czy to się jakoś łączy.

- Spójrz na to, Richardzie - zawołała Nicci z drugiego korytarza.

Położył książkę na stole i ruszył ku korytarzowi z osłoną.

- Co to jest?

- Nie wiem - dobiegł go jej głos, a potem szkarłatny poblask rozbłysł i znów przybladł.

Zorientował się, że musiała przejść przez osłonę. Najpierw się zaniepokoił, ale zaraz ochłonął, bo nie miało to żadnych okropnych następstw. Nicci była doświadczoną czarodziejką. Uznał, że po przejściu przez przedostatnią osłonę wiedziała, jakich znaków wypatrywać, żeby wiedzieć, czy i przez tę może przejść.- Doszedł też do wniosku, że ta pierwsza osłona, przez którą jej pomógł przejść, jakoś się do niej dostroiła, dzięki czemu mogła przejść i przez tę.

Przeszedł przez falę nacisku i krótkotrwałego żaru i znalazł się w pomieszczeniu ze szklanymi mozaikami, podobnym do przedsionka przed małą czytelnią. Oba pomieszczenia musiały być właśnie rodzajem przedsionków przed osłoną, ostrzegającymi każdego, kto się do niej zbliżał, a może i jakoś wspomagającymi same osłony. Nicci stała tuż za osłoną, w otwartych żelaznych drzwiach, tyłem do niego; gęste blond włosy spływały jej na ramiona.

Richard stanął obok niej, na ograniczonej barierką platformie, i spojrzął

w okrągłe pomieszczenie wieży, o średnicy co najmniej stu stóp. Wokół ściany pięły się schody, w nieregularnych odstępach poprzerywane podestami, na każdy z podestów zaś wychodziły drzwi. Wieża wznosiła się na ponad dwieście stóp. W górze przecinały mrok smugi światła.

Cuchnęło tu zgnilizną. Na samym dole, blisko podestu, na którym stali, biegł wokół ściany chodnik, ograniczony żelazną barierką. Wpadający górnymi świetlikami deszcz i przeciekająca szczelinami skalnymi woda utworzyły pośrodku rozlewisko. Ponad stojącą czarną wodą kłębiły się owady. Inne ślizgały się po jej powierzchni.

- Znam to miejsce - powiedział Richard, rozglądając się dokoła i odświeżając pamięć.

- Znasz?

- Tak. Chodź. - Ruszył schodami w dół.

Na dole podszedł przy barierce do szerokiego podestu w chodniku, do miejsca, w którym niegdyś były drzwi. Zniszczył je wybuch i otwór był teraz ze dwa razy większy niż poprzednio. Poszarpane krawędzie rozłupanego kamienia były miejscami poczerniałe, gdzie indziej kamień był nadtopiony niczym wosk. Od wyrwy biegły we wszystkie strony zygzakowate smugi, jakby wypaliła je błyskawica.

Nicci przyglądała się temu ze zdumieniem.

- Cóż się tutaj stało?

- To pomieszczenie było niegdyś zapieczętowane, tak jak Stary Świat. Kiedy zniszczyłem barierę odgradzającą Stary Świat, pękła i ta pieczęć.

- Dlaczego? Co tam jest?

- Studnia sylfy.

- Tej, o której opowiadałeś? Którą czarodzieje z pradawnych czasów wykorzystywali do podróżowania na wielkie odległości? W której i ty podróżowałeś?

- Właśnie - odparł i wszedł w wyrwę, która niegdyś była drzwiami.

Za wyrwą było okrągłe pomieszczenie o średnicy jakichś sześćdziesięciu stóp, o ścianach pokrytych zygzakowatymi śladami, jak gdyby szalała tu błyskawica. Na środku znajdowała się kolistka kamienna ścianka okalająca studnię.

Sklepiony strop znajdował się niemal sześćdziesiąt stóp powyżej. Nie było tu okien ani innych drzwi. Po przeciwległej stronie studni sylfy stał stół

i kilka pótek. To tutaj Richard znalazł szczątki czarodzieja, który w pradawnych czasach zapieczętował owo pomieszczenie, kiedy wzniesiono bariery, które położyły kres wielkiej wojnie. Znalazł się tu w pułapce i zmarł w zapieczętowanym pomieszczeniu. Zostawił jednak po sobie pamiątnik, który miała teraz Mord-Sith Berdine. Ów pamiątnik, przetłumaczony przez Richarda i Berdine, dostarczył niegdyś cennych informacji. Ze względu na to nazwali jego autora Koloblicin, co w górnod'harańskim oznacza „przekonujący doradca”. Berdine i Richard zaczęli w końcu nazywać tajemniczego czarodzieja Kolo.

Nicci przechyliła się nad sięgającym pasa murkiem, poświeciła sobie kulą i spojrzała w głąb studni. Gładkie kamienne ściany spadały w bezdenną czeluść; blask oświetlał je na setki stóp, a potem nikał w czerni.

- Mówisz, że uspięś sylfę?

- Tak. O, tym. - Poklepał podbite skórą srebrne bransoletki, które nosił jedna na drugiej. - Powiedziała mi, że kiedy, jak to nazwała, „śpi”, to się spotyka ze swoją duszą. Że dla niej sen to ukojenie.

- I możesz ją tak samo przywołać? Za pomocą tych bransoletek?

- Tak, ale podobnie jak przy usypianiu jej, musiałbym się posłużyć swoim darem. A wcale nie mam na to ochoty. A już zwłaszcza w tym pomieszczeniu, z jednym wyjściem, gdzie budząc darem sylfę mógłbym też przywabić bestię krwi.

Nicci potaknęła, świetnie to rozumiejąc.

- Myślisz, że bestia mogłaby cię ścigać i w sylfie? Richard przez chwilę się nad tym zastanawiał.

- Nie jestem całkiem pewny, ale wydaje mi się, że to możliwe. Ale jeżeli nawet nie, to i tak może się pojawić wszędzie tam, gdzie jestem, więc pewnie nawet by nie próbowała wykorzystać sylfy. Z tego, co mi o niej powiedziałyście obie z Shotą, i z mojego doświadczenia wynikałoby, że bestia może podróżować zaświatami.

- A inni ludzie? - spytała Nicci. - Czy ktoś może podróżować sylfą?

- Żeby podróżować sylfą, trzeba mieć choć cząstkę daru obu magii. To właśnie stanowiło problem za czasów wielkiej wojny i dlatego w tym pomieszczeniu zawsze czuwał czarodziej, no i dlatego musieli je wreszcie zapieczętować, żeby wróg się nie przedostał do samego serca wieży. Ponieważ konieczne są elementy obu magii, to obecnie jedynie paru ludzi

może podróżować sylfą. Cara brała w niewolę osoby z darem magii addytywnej, a raz pojmała kogoś, kto wedle Kahlan nie był całkowicie człowiekiem i kto przypadkiem miał cząstkę magii subtraktywnej. To wystarczyło, żeby Cara mogła podróżować sylfą. Moc Spowiedniczek jest pradawna i ma w sobie element subtraktywny, więc Kahlan może podróżować sylfą. Tylko one dwie ze znanych mi osób mogą w ten sposób się przemieszczać. No i Siostry Mroku. Jedna z moich byłych nauczycielek, Merissa, doścignęła mnie sylfą. Ty też mogłabyś tak podróżować. Ale gdyby ją obudzić, i tak stanowiłaby zagrożenie, bo Jagang mógłby nią wysłać każdą ze swoich Sióstr Mroku.

- A co się stanie, jeżeli ktoś nie ma choć cząstki obu magii? - spytała Nicci. - Jeżeli próbowałby podróżować sylfą ktoś taki jak Zedd, z darem wyłącznie magii addytywnej?

Richard chciał oprzeć dłoń na głowni miecza, lecz miecza nie było. Bolało, kiedy odruchowo oczekiwał, że nań natrafi, a potem sobie uświadamiał, że dał go Shocie, a właściwie Samuelowi. Zepchnął na samo dno umysłu tę nieustającą, dręczącą go troskę.

- Sylfa przenosi cię na wielkie odległości, ale to trochę trwa, nie jest to natychmiastowy przeskok. Wydaje mi się, że czas zależy od odległości, ale wiem, że taka podróż trwa co najmniej parę godzin. Sylfa przypomina żywe srebro. Żeby przeżyć tę podróż, musisz nią oddychać, musisz wciągnąć w płuca to żywe srebro. Oddychasz sylfą, owym srebrzystym płynem, a to cię jakoś utrzymuje przy życiu. Jeżeli nie masz cząstki obu magii, to się nie udaje i umierasz. I tyle.

Richard przez chwilę miał ochotę obudzić sylfę i spytać, czy pamięta Kahlan, lecz pradawni czarodzieje, ludzie o olbrzymich talentach i umiejętnościach, stworzyli sylfę z ekskluzywnej, drogiej kurtyzany. Wplątała się w polityczną intrygę, co ją mogło kosztować życie. Sylfa zachowała niektóre cechy owej kobiety: nigdy na przykład nie zdradzała tożsamości swoich klientów.

- Lepiej wróćmy, żeby Zedd wiedział, że nic się nam nie stało. - Myśli Richarda powróciły do bieżących spraw. - Cara pewno szaleje z niepokoju.

- Richardzie - odezwała się cicho Nicci, kiedy już zamierzał odejść.

Odwrócił się i stwierdził, że mu się przygląda.

- Tak?

- Co zamierzasz w sprawie Ann i Nathana? Wzruszył ramionami.

- Nic. A o co ci chodzi?

- O to, co zamierzasz zrobić w sprawach, o których mówią? W sprawie wojny? Nadszedł czas i myślę, że o tym wiesz. Nie możesz się uganiać za urojeniami, kiedy reszcie świata grozi utrata wszystkiego, co wartościowe, kres marzeń i nadziei.

Przez chwilę się w nią wpatrywał. Nie odwróciła wzroku.

- Jak sama powiedziałaś, ciało w grobie niczego nie udowodniło.

- Na pewno dowiodło jednego: że się myliłeś co do tego, co tam znajdziemy. Rozkopanie grobu nie udowodniło tego, co wedle ciebie udowodnić powinno. To nasuwa pytanie dlaczego? Dlaczego było tam co innego, niż mówiłeś? Jedyne możliwe wyjaśnienie, jakie przychodzi mi na myśl, jest takie: ktoś to tam włożył po to, żebyś to znalazł. Ale po co? Dlaczego? Od owej nocy przy grobie upłynęło już trochę czasu. A ty niczego nie dokonałeś. Może nadszedł czas, żebyś pomyślał o poważniejszych sprawach. A proroctwo nie pozostawia wątpliwości. Rozumiem, jaką wartość ma dla ciebie życie ukochanej, ale czy nie uważasz, że powinieneś szacować wartość tego jednego życia w odniesieniu do wartości życia wszystkich innych ludzi?

Richard powoli odszedł parę kroków, wodząc palcami po powierzchni okalającego studnię sylfy murku. Kiedy ostatnio podróżował sylfą, zabrał Kahlan do wioski Błotnych Ludzi, gdzie się pobrali.

- Muszę ją odnaleźć. - Spojrzał na Nicci. - Nie jestem bezwolnym narzędziem proroctwa.

- Dokąd pójdziesz? Co teraz zrobisz? Byłeś u Shoty, zjawiłeś się u Zedda. Nikt nic nie wie ani o Kahlan, ani o chainfire, ani o całej reszcie. Wykorzystałeś wszystkie pomysły, wszystkie możliwości. Jeżeli nie teraz, to kiedy wreszcie stawisz czoło rzeczywistości?

Richard potarł palcami czoło. Chociaż nie chciał tego przyznać, obawiał się, że Nicci ma słuszość. Cóż ma teraz zrobić? Sam nie wiedział, dokąd iść, co uczynić. A przynajmniej nic mu w tej chwili nie przychodziło na myśl. Miotanie się zaś bez celu, bez konceptu, gdzie szukać Kahlan, nie doprowadzi go do niczego.

W pomieszczeniu panowała głucha cisza. Studnia sylfy była pusta, sylfa bawiła gdzieś ze swoją duszą. Zastanawiał się, czy Kahlan jeszcze żyje.

Przełknął ślinę, bo znów doświadczył tej przelotnej, lecz przerażającej chwili zwątpienia, kiedy to się zastanawiał, czy ona w ogóle kiedykolwiek istniała. Był już ogromnie zmęczony tymi narastającymi wątpliwościami nie tylko co do Kahlan, ale i jego samego.

Przygniatało go również poczucie winy, że lekceważy wezwanie, by poprowadził ludy D'Hary do walki z zagrożeniem wiszącym nad ich wolnością. Często rozmyślał o tych wszystkich nie znanych mu ludziach, których ukochanym i bliskim też zagrażał Imperialny Ład. Czyż może ich opuścić i bez końca poszukiwać Kahlan?

Nicci podeszła bliżej.

- Richardzie - odezwała się łagodnie i współczująco - wiem, jak ciężko powiedzieć, że to koniec... powiedzieć, że to koniec, i uświadomić sobie, że trzeba iść dalej.

Richard pierwszy odwrócił wzrok.

- Nie mogę tego zrobić, Nicci. Wiem, że nie potrafię wam tego przekonująco wytłumaczyć, ale po prostu nie mogę tego zrobić. Gdyby zachorowała i umarła, to byłbym zrozpaczony i załamany, ale wiedziałbym, że muszę sobie dalej radzić z życiem. Ale to zupełnie co innego. Jakbym wiedział, że unosi ją jakaś mroczna rzeka, że woła o pomoc i że ja jeden ją słyszę, i tylko ja jeden wiem, że grozi jej utonięcie.

- Richardzie...

- Czy naprawdę uważasz, że nic mnie nie obchodzą ci wszyscy ludzie, których hordy Ładu chcą wymordować lub przemienić w niewolników? Bardzo mnie obchodzą. Ta zgryzota nie pozwala mi spać; nie tylko niepokój o Kahlan mnie dręczy. Czy w ogóle potrafisz pojąć, jaki jestem rozdarty? Jak byś ty się czuła, gdybyś musiała wybierać pomiędzy kimś, kogo kochasz, a spełnieniem obowiązku, który ci wszyscy wmawiają? Budzę się złany potem w środku nocy i widzę nie tylko twarz Kahlan, ale i twarze tych wszystkich, którzy nie przeżyją, nie narodzą się, jeżeli nikt nie powstrzyma Jaganga. Pęka mi serce, kiedy słyszę, jak oni wszyscy na mnie liczą: zarówno dlatego, że chcę im pomóc, jak i dlatego, że im się wydaje, że mnie potrzebują, bo uważają, że ja jeden mogę przeważać szalę w wojnie angażującej miliony ludzi. Jak śmiało obciążać mnie taką odpowiedzialnością?

Podeszła jeszcze bliżej i pokrępiąco pogładziła po ramieniu.

- Wiesz przecież, Richardzie, że nie chciałabym, żebyś zrobił coś, co

uważasz za złe. Nawet jeżeli miałoby to być pozostawienie cię w przekonaniu, że ona nie żyje, skoro wiedziałam, że to nie był wystarczający dowód; choć sama uwierzyłam, ale z zupełnie innych przyczyn.

- Wiem.

- Ale i ja wiele rozmyślałam od owej nocy, kiedy rozkopałeś grób, kiedy się potem zastanawiałeś, co masz zrobić.

Richard, nie chcąc na nią spojrzeć, strącał z powierzchni murku drobne kamienne odłamki.

- I do jakich wniosków doszłaś?

- Kiedy tak patrzyłam, jak chodzisz po rampartach, przyszła mi do głowy niepokojąca myśl. Nic o tym nie wspominałam, bo po pierwsze, nie jestem pewna, czy to wyjaśnia, co ci się przytrafiło; a po drugie, bo jeżeli to prawda, byłoby to jeszcze gorsze niż twoje urojenia. Nie wiem, czy to właściwe wyjaśnienie, ale się obawiam, że może tak być. A przede wszystkim milczałam dlatego, że dowód zniknął, więc nie mogę tego udowodnić. Lecz uważam, że nadszedł czas, żeby to rozważyć.

- Dowód? - spytał Richard. - Powiedziałaś, że dowód zniknął?

Nicci potaknęła.

- Strzała, którą cię zraniono. Obawiam się, że to wszystko przez tę strzałę, lecz nie w ten sposób, jak się nam początkowo zdawało.

Poważna mina Nicci zdumiała Richarda.

- Co masz na myśli?

- Czy widziałeś, kto wystrzelił strzałę, która cię raniła? Richard głęboko zaczerpnął powietrza i zapatrzył się przed siebie; przywoływał mgliste wspomnienia owej porannej walki, samego poranka. Właśnie się zbudził, słysząc wycie wilka. Cienie gałęzi drzew poruszały się w mroku. Wszędzie dokoła byli żołnierze. Nacierali nań ze wszystkich stron, musiał się bronić. Żywo pamiętał, że trzymał w dłoni Miecz Prawdy, czuł dotyk owiniętej cienkim drutem rękojeści, czuł szalejące w nim gniew i moc miecza. Przypomniał sobie, że widział wśród drzew żołnierzy, szyjących weń strzałami. Większość miała łuki, ale było i paru z kuszami. To normalne u takich patroli wojsk Imperialnego Ładu.

- Nnnie... nie pamiętam, kto wystrzelił strzałę, która mnie trafiła. A co? Co ci przyszło do głowy?

Nicci przez całą wieczność patrzyła mu w oczy. Jej kryjące odwieczną

mądrość oczy czasami przypominały mu o innych mających dar: o dawnej Ksieni, Ann; o nowej Ksieni, Vernie; o Adie; i o... Kahlan.

- Grot tej strzały miał zadziory, przez co nie można jej było wyciągnąć z ciała żadnym zwykłym sposobem. Rozpaczliwie się spieszyłam. W ogóle nie pomyślałam, żeby sprawdzić strzałę, zanim się posłużyłam magią subtraktywną, żeby się jej w ogóle pozbyć.

Richardowi wcale się nie podobało to, do czego zmierzała.

- Pod jakim względem ją sprawdzić?

- Czar. Perfidnie prosty czar, który może być jednak ogromnie niszczycielski.

Teraz był już zupełnie pewny, że mu się jej domysł nic a nic nie podoba, choć go jeszcze nie usłyszał.

- Jaki czar?

- Czar urzeczenia.

- Urzeczenia? - nachmurzył się. - A jak by to podziałało?

- Hmm... wyobraź sobie, że to napój miłosny. Richard patrzył na nią ze zdziwieniem.

- Napój miłosny?

- Tak, na swój sposób. - Stukała leciutko palcami o palce, zastanawiając się, jak mu to najlepiej wytłumaczyć. - Czar urzeczenia sprawiłby, że śniłbyś o kobiecie, realnej kobiecie, z którą by cię związał; ale kiedy się nad tym zastanowiłam, to uświadomiłam sobie, że podziałałby również w przypadku urojonej kobiety. Sprawiłby, że zakochałbyś się w niej. Ale to bardzo uproszczony opis tak potężnego czaru. Dla osoby, na którą go rzucono, kobieta może się stać obsesją. Usunąć w cień wszystko inne. Czar urzeczenia to mroczny sekret czarodziejek, przekazywany zwykle przez mającą dar matkę. Używa się go, żeby konkretna osoba sfiksowała na punkcie obiektu uroku, zazwyczaj realnej osobie. Niektóre mające dar kobiety nie mogą się oprzeć pokusie rzucania czaru urzeczenia na mężczyzn. Jest on tak skuteczny, że w Pałacu Proroków nawet samo podejrzenie o posłużenie się nim mogło wpędzić każdą z Sióstr w tarapaty. Posłużenie się urokiem urzeczenia było poważnym występkiem, odpowiednikiem gwałtu. Kara więc za to była surowa. Czarodziejkę w najlepszym wypadku wypędzano, ale mogła też zostać powieszona. Były Siostry skazywane za to przestępstwo. Jak sobie przypominam, ostatnią przyłapano na tym w pałacu jakies

pięćdziesiąt lat temu. To była nowicjuszka, Valdora. Sąd się wahał pomiędzy powieszeniem a wypędzeniem. Ksieni przeważała sprawę i doprowadziła do wypędzenia młodej nowicjuszki. Zakładam, że Siostry Jaganga wiedzą, jak rzucić czar urzeczenia. Jedna z nich mogłaby z łatwością „przyczepić” czar do tej strzały, albo i wielu strzał. Gdyby strzała cię nie zabiła, to przynajmniej by cię zaczarowała.

- To nie urok - oświadczył chmurnie Richard. Nicci zignorowała i ton, i zaprzeczenie.

- To by wiele tłumaczyło. Urok urzeczenia wydaje się ofierze czymś absolutnie realnym. Skupia jej umysł i myśli na obiekcie obsesji.

Richard przeczesał włosy palcami, starał się nie rozzłościć na Nicci.

- A po cóż miałyby coś takiego robić? Jagang chce mnie zabić. Sama mi powiedziałaś, że specjalnie w tym celu kazał wyczarować bestię. Ten cały czar wydaje się więc zupełnie bezsensowny.

- Wprost przeciwnie, to bardzo logiczne. Uczyniłby o wiele więcej niż zwyczajne uśmiercenie cię, Richardzie. Nie rozumiesz? Zniszczyłby twoją wiarygodność. Sprawiłby, że sam byś zniszczył własną sprawę.

- Sam? Jak to?

- Sprawiłby, że poza obiektem urzeczenia nic by cię nie obchodziło. Doprowadziłby do tego, że ludzie by uznali, że coś jest z tobą nie tak, że oszalałeś. Zaczęliby wątpić w ciebie, a tym samym w twoją sprawę. Taki czar sprawiłby, że byłbyś martwy za życia. Zniszczyłby wszystko, co cokolwiek dla ciebie znaczy. Wpoiłby w ciebie szaloną obsesję, że wierzysz w coś realnego, ale nigdy nie zaznałbyś zadowolenia. Czar urzeczenia nie bez powodu uważany jest za poważne przestępstwo. W twoim wypadku, szukając obiektu swoich sfabrykowanych wspomnień, nie widzisz, jak twoja sprawa zaczyna podupadać, bo ci, których zainspirowałeś i którzy w ciebie wierzyli, zaczynają teraz myśleć, że skoro jesteś szalony, to prawdopodobnie naopowiadałeś im bzdur.

Richard pomyślał, że ofiara takiego czaru na pewno by go w sobie nie rozpoznała. I z całą pewnością prawie wszyscy zaczęli uważać, że zwariował.

- Prawda pozostaje prawdą bez względu na to, kto ją wygłasza. Pozostaje prawdą nawet wtedy, kiedy ją wypowiada osoba, której nie szanujesz.

- Pewnie tak, Richardzie, ale inni niekoniecznie się kierują taką zasadą.

Westchnął.

- Pewnie tak.

- A co do bestii, to Jagang nie ogranicza się do jednego sposobu osiągnięcia celu i nie cofa się przed niczym, żeby zmiażdżyć przeciwnika. Mógł nawet uznać, że dwie plagi lepiej niż jedna wykończą Richarda Rahla.

Richard nie wątpił w to, co mówiła o Jagangu, ale jakoś nie wierzył w ten czar.

- Jagang nawet nie wiedział, gdzie jestem. Te oddziały po prostu się na mnie przypadkiem natknęły, kiedy się przemykały przez las, sprawdzając, czy coś nie zagraża ich transportowi z zaopatrzeniem.

- Wie, że wywołałeś rewoltę w Altur'Rang. Mógł rozkazać, żeby żołnierze w tamtych okolicach nosili zakłute przez Siostry strzały, żeby móc je wykorzystać, kiedy się na ciebie natkną.

Przekonał się, że naprawdę solidnie to przemyślała. Na wszystko miała odpowiedź. Szeroko rozpostarł ramiona, uniósł głowę.

- Więc połóż na mnie swoje dłonie, czarodziejko. Pochwyć czar i wyrwij ze mnie jego jadowite macki. Przywróć mi rozum. Jeżeli naprawdę uważasz, że przyczyną tego wszystkiego jest czar urzeczenia, to użyj swojego daru, wykryj urok i połóż temu kres.

Nicci odwróciła wzrok i zapatrzyła się przez wyrwę po drzwiach w mrok zalegający u podstawy wielkiej wieży.

- Musiałabym mieć strzałę, żeby to uczynić, a ona już nie istnieje. Przykro mi, Richardzie. Nie przyszło mi na myśl, żeby sprawdzić strzałę na obecność czaru, zanim ją usunęłam. Spieszyłam się, żeby ją wyciągnąć i uratować ci życie. A jednak powinnam była sprawdzić.

Położył dłoń na jej ramieniu.

- Nie zrobiłaś niczego złego, przyjaciółko. Ocaliłaś mi życie.

- Ocaliłam? - Odwróciła się ku niemu. - A może cię skazałam na śmierć za życia?

Pokręcił głową.

- Nie wydaje mi się. Sama powiedziałaś, że nie pozwoliłabyś mi uwierzyć w coś, na co twoim zdaniem nie byłoby wystarczających dowodów. Pogrzebane ciało nie było wystarczającym dowodem. A zarazem w ogóle nie powinno go tam być. Więc jestem przekonany, że świadczy to o tym, że naprawdę coś się dzieje. Tylko się jeszcze nie domyśliłem co.

- Albo dowodzi jedynie tego, że twoja opowieść jest tylko częścią urojeń wywołanych obsesją, spowodowaną czarem urzeczenia.

- Nikt poza mną nie pamięta, co się stało i że Kahlan nie jest tam pochowana. To coś konkretnego, co przynajmniej mnie przekonuje, że sobie tego wszystkiego nie wymyśliłem.

- Albo jest jedynie częścią iluzji, bez względu na jej przyczynę. Richardzie, to nie może trwać wiecznie. Kiedyś musi się zakończyć. Zabrnąłeś w ślepią uliczkę. Wiesz już, co teraz robić? Czego próbować?

Oparł dłonie o kamienną ścianę studni sylfy.

- Słuchaj, Nicci, przyznaję, że kończą mi się pomysły, ale nie mam zamiaru z niej zrezygnować, poświęcić jej życia. Ona zbyt wiele dla mnie znaczy.

- A jak długo masz zamiar tak się miotać, nie rezygnując z niej, kiedy Imperialny Ład jest coraz bliżej naszych wojsk? Podobnie jak ty nie znoszę, kiedy Ann wtrąca się w moje życie, ale ona nie robi tego złośliwie. Stara się ocalić wolność. Próbuje uchronić niewinnych ludzi przed śmiercią z rąk bestialskich żołdaków.

Richard miał uczucie, że się dławi.

- Muszę parę spraw rozważyć, zebrać myśli. W tamtym pokoju znalazłem kilka książek. Chcę je przejrzeć, tylko przejrzeć, i dokładnie wszystko przemyśleć, przekonać się, czy zdołam dojść do tego, co i dlaczego się dzieje. Jeżeli niczego nie wymyślę... Po prostu muszę pomyśleć, co dalej.

- A jeżeli nic nie wymyślisz?

Richard oparł się na rękach i zajrzał w mrok studni, z całych sił powstrzymując łzy.

- Proszę...

Gdybyż tylko wiedział, z kim walczyć, gdyby mógł uderzyć na wroga. Nie miał pojęcia, jak walczyć z mrokiem w umyśle. Nicci łagodnie dotknęła jego ramienia.

- W porządku, Richardzie. W porządku.

ROZDZIAŁ 55

Nicci zapukała w zaokrąglone dębowe drzwi. Za nimi stała Rikka.

- Wejdz - powiedział stłumiony głos.

Nicci pomyślała, że bardziej przypomina głęboki, władczy głos Nathana niż Zedda. W małym, kolistym pokoju, tak lubianym przez dziadka Richarda, zobaczyła Proroka i Ann; Ksieni wsunęła ręce w rękawy prostej, ciemnoszarej szaty i stała, spokojnie czekając na zaproszonego przez nich gościa. Nathan - w ciemnobrązowych spodniach, wysokich butach, koronkowej białej koszuli, obszernej pelerynie - bardziej przypominał poszukiwacza przygód niż Proroka.

Zedd, w swojej pozbawionej ozdób szacie, stał przy okrągłym oknie z szybkami w ołowianych ramkach, pomiędzy dwiema szafkami na książki o oszklonych drzwiach; ręce splótł za plecami. Patrzył na leżące daleko w dole Aydindril i zdawał się pogrążony w myślach. Widok był wspaniały; Nicci rozumiała, dlaczego czarodziej tak lubił tę przytulną komnatę. Rikka zaczęła zamykać ciężkie dębowe drzwi.

- Rikko, kochanie - odezwała się Ann z właściwym Ksieni uśmiechem, przyciągając uwagę Mord-Sith - mam okropnie wysuszone gardło po tym wczorajszym dymie, kiedy to owa straszliwa istota podpaliła bibliotekę. Czy nie zechciałabyś mi zrobić herbaty, może z odrobiną miodu?

Rikka, przytrzymując przymknięte do połowy drzwi, wzruszyła ramionami.

- Ależ oczywiście.

- A może zostało trochę twoich bułeczek? - spytał z szerokim uśmiechem Nathan. - Są przepyszne, zwłaszcza jeszcze gorące.

Rikka obrzuciła ich wszystkich spojrzeniem.

- Przyniosę bułeczki, herbatę i miód.

- Stokrotne dzięki, kochanie - powiedziała uśmiechnięta Ann, kiedy Rikka zniknęła za drzwiami.

Zedd, cały czas patrzący przez okno, nie powiedział ani słowa. Nicci zignorowała Ann i Nathana i zwróciła się wprost do Zedda.

- Rikka powiedziała, że chcesz się ze mną zobaczyć.

- To prawda - odpowiedziała zamiast niego Ann. - Gdzie Richard?

- W pomieszczeniu, o którym wam opowiedziałam, tym, które znalazł pomiędzy dwiema osłonami, gdzie jest bezpieczny. Czyta, szuka informacji, czyli robi to, co zwykł robić Poszukiwacz, jak się domyślam. - Nicci z teatralną przesadą splotła palce. - Czyli wszyscy troje chcecie ze mną porozmawiać o Richardzie.

Nathan parsknął śmiechem, który się zmienił w pokasywanie, kiedy tylko łypnęła na niego Ann. Zedd stał przy oknie, tyłem do nich, i nic nie mówił.

- Zawsze byłaś bystra - stwierdziła Ann.

- Nie trzeba geniuszu, żeby się tego domyślić - odparła Nicci; nie miała zamiaru pozwolić Ann się wykręcić takim czczym pochlebstwem. - Powstrzymaj się, proszę, od pochwał, póki nie zasłużę na nie.

Nathan i Ann się uśmiechnęli. Prorok nawet szczerze.

Pochlebstwa towarzyszyły Nicci przez całe jej życie. „Jesteś takim mądrym dzieckiem, Nicci, musisz się bardziej postarać”. „Jesteś taka piękna, Nicci, najpiękniejsza ze wszystkich. Muszę cię przytulić”. „Nicci, mój skarbie, pozwól mi zakosztować twoich wdzięków, bo inaczej umrę”. Dla Nicci takie pochlebstwa brzmiały jak zgrzyt łomu włamywacza, który usiłuje się dostać do tego, co jest jej własnością.

- Co mogę dla was zrobić? - spytała rzeczowo.

Ann, nadal chowając dłonie w rękawach, wzruszyła ramionami.

- Chcemy z tobą porozmawiać o żalonym stanie Richarda. Odkrycie, że cierpi na urojenia, wstrząsnęło nami.

- Nie mogę się z tym nie zgodzić - rzekła Nicci.

- Masz jakieś pomysły? - spytała Ksieni.

Nicci musnęła palcami lśniący blat wspaniałego biurka.

- Pomysły? Co przez to rozumiesz?

- Nie udawaj głupiej. - Wyrozumiałość ulotniła się z głosu Ann. - Dobrze wiesz, o co nam idzie.

Zedd wreszcie się ku nim odwrócił; najwyraźniej nie spodobała mu się taktyka Ann.

- Bardzo się o niego martwimy, Nicci. Tak, trapimy się z powodu proroctwa, mówiącego, że to on musi dowodzić naszymi siłami i w ogóle, ale... - Uniósł rękę i pozwolił jej opaść, przygnębiony. - Ale martwimy się też o niego. Dzieje się z nim coś bardzo złego. Znam go od chwili narodzin.

Spędziłem z nim całe lata: tylko z nim, albo z nim pośród ludzi. Nawet nie wiesz, jaki byłem dumny z tego chłopaka. Od czasu do czasu zawsze robił coś dziwnego, co mnie zdumiewało i irytowało, ale nigdy się nie zachowywał tak jak teraz. Nigdy nie wierzył w takie zwariowane historie. Nawet nie pojmujesz, co czuję, widząc go w takim stanie.

Nicci potarła czoło, wykorzystując to jako pretekst do odwrócenia wzroku od pełnych bólu orzechowych oczu. Siwe włosy Zedda zdawały się jeszcze bardziej zmierzwiłone niż zazwyczaj.

Był też chudszy, wydawał się wręcz wymizerowany. Jakby od tygodni mało co jadł i spał.

- Rozumiem, co czujesz - zapewniła go, po czym głęboko odetchnęła i z wolna potrząsnęła głową. - Nie wiem, Zeddzie. Staram się to rozwikłać od owego ranka, kiedy go znalazłam z trudem łapiącego oddech i już niemalże w szponach Opiekuna.

- Mówiłaś, że stracił dużo krwi - odezwał się Nathan. - I że przez kilka dni był nieprzytomny.

Nicci potaknęła.

- Całkiem możliwe, że właśnie to wszystko - ów okropny lęk, że nie może oddychać, i myśl, że przez to umrze - sprawiło, że wymarzył sobie kogoś, kto go kocha; taka próba uspokojenia się. Czasami robiłam to samo, kiedy się bałam; uciekałam myślami w inne, miłsze miejsce, gdzie byłam bezpieczna. Przy tak ogromnej utracie krwi i nienormalnie długim śnie po uleczeniu, kiedy to odzyskiwał trochę sił, choć tyle, by móc przeżyć tę mękę... no cóż, myślę, że przez cały ten czas urojenia narastały w jego umyśle.

- I opanowały wszystkie jego myśli - dokończyła Ann. Nicci spojrzała jej w oczy.

- I ja tak uważam.

- A teraz? - zapytał Zedd.

Nicci podniosła wzrok na ciężkie dębowe belkowanie stropu, szukała słów.

- Już sama nie wiem. Nie znam się na takich sprawach. Nie byłam uzdrowicielką. Uważam, że wy troje powinniście więcej ode mnie wiedzieć o takich chorobach.

- No cóż, prawdę mówiąc - rzekła Ann, rada, że Nicci sama to przyznała - musimy się z tobą zgodzić.

- Wciąż jeszcze nie możemy wykluczyć wielu spraw, które... - zaczął Zedd.

- Brałaś pod uwagę urok urzeczenia? - spytała Ann, wbijając w Nicci nieruchome spojrzenie, którym zwykła wprawiać w panikę nowicjuszek i zmuszać je do przyznania, iż się wymigują od obowiązków.

Nicci nie była nowicjuszką i takie próby onieśmiania i zastraszania już od dawna nie robiły na niej wrażenia. A od kiedy Jagang jedną mięsistą łapą ją dusił, a drugą walił w twarz, niczyje spojrzenie nie wprawiało jej w popłoch. A gdyby temat nie był tak poważny, gdyby nie była tym wszystkim tak szczerze zatroskana, to pewnie by się w głos roześmiała z tych prób wymuszenia spojrzeniem jakiejś nieostrożnej odpowiedzi.

- Przyszło mi to na myśl - odparła, nie widząc powodu, by to negować. - Ale musiałam usunąć strzałę magią subtraktywną, żeby mu uratować życie. W tamtej chwili zaś nie zaprzętałam sobie głowy takimi pomysłami. Rozpaczliwie starałam się zapobiec jego śmierci. Może i powinnam pomyśleć, że strzała może być zaczarowana, ale nie zrobiłam tego. Strzały już nie ma, więc nie można stwierdzić, czy rzeczywiście tak było, no i nawet gdyby to było prawdą, to bez strzały nie można nic zrobić.

Zedd pocierał gładko wygolony policzek, patrzył gdzieś w bok.

- To bardzo utrudnia całą sprawę.

- Utrudnia? - odezwała się Nicci. - Taki czar niełatwo odczytać nawet wtedy, kiedy masz w ręku to, co zaraziło ofiarę urzeczeniem. A bez owego przedmiotu czar może odczytać jedynie czarodziejka, która go rzuciła. Musisz mieć nośnik czaru, żeby żeń uleczyć. A i to tylko wtedy, kiedy nie ma wątpliwości, że to czar urzeczenia. Bo mogło to być równie dobrze coś zupełnie innego. A czy to jakiś urok, czy urojenie, to i tak musisz znać przyczynę, żeby z tego uleczyć.

- Niekoniecznie - wtrąciła Ann, znów przewiercając Nicci wzrokiem. - W tej chwili przyczyna nie ma wielkiego znaczenia.

Nicci zmarszczyła brwi.

- Nie ma wielkiego znaczenia... o czym ty mówisz?

- Jeżeli ktoś złamie rękę, to ją nastawiasz i unieruchamiasz. Nie marnujesz czasu na miotanie się w kółko, zadawanie pytań i próby ustalenia, jak właściwie do tego doszło. Musisz usunąć dolegliwość, a gadanie tego nie załatwi.

- Potrzebujemy twojej pomocy - powiedział pojednawczo Zedd. - Wiemy, że to, co on opowiada, jest zupełnie nieprawdopodobne. Kiedy powiedział, że oddał Miecz Prawdy Shocie, początkowo myślałem, że zrobił coś kompletnie głupiego, ale potem się zorientowałem, że jego działania nie były przemyślane i że wcale nie tak łatwo pojąć ich pobudki. Zareagowałem na nie gniewną reprimendą, a powinienem był dojrzeć, jaki jest chory, i tym się kierować. Czasami się przekonujesz, że ktoś sobie wymyślił coś dziwnego, lecz zachowanie Richarda wykracza poza wszelkie granice dziwności. Nie ma wątpliwości, że cierpi na urojenia, wszyscy się co do tego zgadzamy. - Błagalnie rozłożył ręce. - Czy wiesz o czymś, co by nadało sens jego postępowaniu i wykazało, że to my się mylimy?

Zedd był naprawdę zrozpaczony. Szczerze się martwił o wnuka. Nicci spuściła wzrok, nie mogąc wytrzymać pełnego bólu spojrzenia Zedda.

- Przykro mi, Zeddzie, ale o niczym takim nie wiem. Niestety, nie uważam, że zwłoki, które wykopał, czegokolwiek dowodzą; gdyby było inaczej, moglibyśmy go zmusić, żeby uznał ów dowód. Z drugiej jednak strony myślę, że to naprawdę były zwłoki Matki Spowiedniczki, Kahlan Amnell, kobiety, z którą związek sobie uroił w cierpieniu. Prawdopodobnie usłyszał gdzieś jej imię, kiedy się po raz pierwszy znalazł w Midlandach, i utkwilo mu ono w pamięci. Pewnie to była przyjemna fantazja. Wydaje mi się, że dla kogoś, kto jest leśnym przewodnikiem, zupełnie zrozumiałe byłoby rojenie sobie, że pewnego dnia znajdzie się w dziwnej krainie i poślubi królową; lecz kiedy go raniono, stało się to snem, który się przerodził w obsesję.

Nicci zamilkła. Ogromnie cierpiała, mówiąc innym takie rzeczy o Richardzie, chociaż oni też go kochali, martwili się o niego i chcieli mu pomóc. Nawet Ann - chociaż Nicci zawsze podejrzewała, że kieruje się ona jakimiś ukrytymi motywami - naprawdę bardzo się troszczyła o Richarda. Niezachwianie wierzyła, że on jeden może dopełnić proroctwa, lecz żywiła doń naprawdę ciepłe uczucia.

Nicci wiedziała, że słusznie postępuje, mówiąc to wszystko o Richardzie, lecz i tak miała uczucie, że go zdradza. Widziała w myślach jego twarz - przyglądał się jej w milczeniu, urażony tym, że mu zupełnie nie wierzy.

- Uważamy, że bez względu na to, co skłoniło Richarda do tych urojeń - rzekła Ann - należy go przywołać do rzeczywistości.

Nicci milczała. Chociaż sądziła, że mają rację, to nie miała pojęcia, co można by zrobić poza pozwoleniem mu, żeby sam z czasem odkrył prawdę.

Nathan zrobił krok ku Nicci i uśmiechnął się do niej. W małej komnacie był jeszcze postawniejszy, bardziej imponujący. Ale to jego lazururowe oczy przede wszystkim przykuwały uwagę. Błagalnie rozłożył ręce.

- Czasami sprawiamy komuś ból, pomagając mu, lecz w końcu on zrozumie, że innego sposobu nie było, i kiedy już wyzdrowieje, to się cieszy, że zrobiliśmy, co było trzeba.

- To jak nastawienie złamanej ręki - orzekła Ann, kiwnięciem głowy potwierdzając słowa Nathana. - Nikt nie chce doświadczać towarzyszącego temu bólu, lecz jest to konieczne, jeżeli ktoś chce wyzdrowieć i wieść życie jak dawniej.

- Czyli chcecie go uleczyć? - zapytała Nicci, marszcząc brwi.

- Otóż to - odparł Zedd i uśmiechnął się. - Znalazłem proroctwo dotyczące Richarda, które zapowiada, że „najpierw będą się z nim zmagać, potem zaś się zmawiać, żeby go uzdrowić”. Nawet mi nie przyszło do głowy, że to tak szybko i w taki sposób się ziści. Wszyscy kochamy Richarda i chcemy, żeby był zdrowy i znów był sobą.

Nicci pomyślała, że musi się z tym łączyć coś, o czym żadne z nich nie wspomniało. Zaczęła się zastanawiać, dlaczego wysłali Rikkę po herbatę; dlaczego nie chcieli, żeby jedna z przybocznych strażniczek lorda Rahla była świadkiem ich rozmowy.

- Już mówiłam, że nie jestem uzdrowicielką.

- Wspaniale się spisałaś, lecząc go po tym zranieniu strzałą - odezwał się Zedd. - Nawet ja bym czegoś takiego nie dokonał. Spośród nas wszystkich ty jedna, Nicci, mogłaś tego dokonać. Możesz sobie uważać, że nie jesteś dobrą uzdrowicielką, ale byłaś w stanie zrobić to, z czym nie dałoby sobie rady żadne z nas.

- Udało mi się tylko dlatego, że się posłużyłam magią subtraktywną.

Nikt się nie odezwał. Tylko się w nią wpatrywali.

- Chwileczkę - powiedziała, wodząc po nich wzrokiem - czyżbyście chcieli, żebym znów podziałała na Richarda magią subtraktywną?

- Właśnie tego chcemy - odrzekł Zedd. Ann skinęła dłonią ku Zeddowi i Nathanowi.

- Gdyby któreś, z nas mogło to zrobić, toby zrobiło, lecz żadne z nas tego

nie potrafi. Jesteś nam do tego potrzebna.

Nicci skrzyżowała ramiona.

- A co właściwie miałabym zrobić? Nie rozumiem, czego ode mnie oczekujecie.

Ann położyła dłoń na jej ramieniu.

- Wysłuchaj nas, Nicci. Nie wiemy, co powoduje chorobę Richarda. Nie możemy leczyć, skoro nie wiemy, co wymaga leczenia. Nawet gdybyśmy byli pewni, że strzała była skażona czarem urzeczenia, to bez strzały lub osoby, która rzuciła czar, żadne z nas nie mogłoby go odczynić. Lecz przecież nie wiemy, czy to był ten czar czy jakiś inny, czy też jest to obsesja wywołana zranieniem. Nie znamy przyczyny. I możemy jej nigdy nie poznać. Teraz zaś musimy - powiedziała poważnie, szczerze i uczciwie - zlikwidować tę obsesję, bez względu na jej przyczynę. Nie ma znaczenia, czy wywołał ją czar, urojenie czy nagle pomieszanie zmysłów. Pamięć o tej kobiecie, Kahlan, to fałszywe wspomnienia, które wypaczają jego rozumowanie i dlatego muszą zostać usunięte z jego umysłu.

Nicci osłupiała, słysząc to. Przeniosła spojrzenie z byłej Ksieni na Zedda.

- Czy naprawdę chcesz, żebym podziałała magią subtraktywną na umysł twojego wnuka? Żebym usunęła część jego świadomości? Część tego, kim jest?

- Nie, nie część tego, kim jest, w żadnym wypadku. - Zedd zwilżył wąskie wargi, w jego głosie słyhać było rozpacz i bezsilność. - Chcę, żebyś go uleczyła. Chcę odzyskać Richarda, którego znam, którego wszyscy znamy; prawdziwego Richarda, a nie tego z dziwnymi urojeniami, które opanowały jego umysł i go niszczą.

Nicci pokręciła głową.

- Nie mogę tego uczynić człowiekowi, którego... - Zamknęła usta, zanim dokończyła zdanie.

- Chcę odzyskać Richarda, którego kocham - powiedział błagalnie Zedd. - Którego wszyscy kochamy.

Nicci cofnęła się, kręcąc głową, nie mając pojęcia, co odpowiedzieć komuś tak zdesperowanemu. Musiał istnieć jakiś inny sposób przywrócenia Richardowi rozumu.

- Pokaż jej - powiedział do Ann Nathan; jego głos zabrzmiał nagle jak głos potężnego Proroka, którym przecież był, jak głos Rahla.

Ann z rezygnacją skinęła głową i wyciągnęła coś z kieszeni. Podała to Nicci.

- Przeczytaj.

Ann wsunęła przedmiot w dłoń Nicci i okazało się, że to książka podróżna. Nicci spojrzała na Nathana, na Ann i w końcu na Zedda.

- No dalej - ponaglił Prorok. - Przeczytaj wieść, jaką Ann dostała od Verny.

Książki podróżne były niesłychaną rzadkością. Prawdę mówiąc, Nicci sądziła, że zostały zniszczone wraz z Pałacem Proroków. Wiedziała, że to, co zostało napisane w jednej z bliźniaczych książek, pojawiała się w drugiej. Schowany w grzbiecie książki rysik służył tak do pisania, jak i wymazywania starych zapisków. Dzięki temu książki podróżne nigdy nie zużywały się i nie niszczyły. Nicci otworzyła bezcenny wytwór pradawnej magii i przekartkowała aż do ostatniego listu.

Ann, niechętnie powiadamiam, że z naszym wojskiem nie jest dobrze. Gdzie jest Richard? Czy już go odnalazłaś? Przepraszam, że Cię ponaglam, choć przecież wiem, że się nie ociągasz w podróży, lecz problemy z wojskiem nasilają się z dnia na dzień. Żołnierze zdezerterowali, na szczęście niewielu, a teraz jesteśmy w D'Harze i nasilają się pogłoski, że lord Rahl nie poprowadzi ich do bitwy, którą wszyscy uważają za samobójczą. Stała nieobecność Richarda tylko potwierdza ich obawy. Dzień za dniem narasta w nich poczucie, że zostali opuszczeni przez swojego lorda Rahla. Żaden z żołnierzy nie wierzy, że zwyciężą wroga, jeżeli Richard ich nie poprowadzi do walki.

Generał Meiffert i ja coraz bardziej się trapimy, co mamy mówić podupadłym na duchu wojakom. Nawet gdyby były po temu poważne powody, to i tak żołnierzom patrzącym w oczy śmierci trudno jest się pogodzić z brakiem wieści od pierwszego wodza, w którego naprawdę uwierzyli i któremu zaufali.

Błagam Cię, Ann, gdy tylko zobaczysz Richarda, to od razu mu powiedz, jak bardzo go potrzebują ci wszyscy dzielni młodzi ludzie, którzy od tak dawna bronią naszej sprawy i tyle już wycierpieli. Dowiedz się, proszę, kiedy do nas dołączy. Poproś go, żeby się pospieszył.

Niecierpliwie wyglądająca odpowiedzi,

Twoja w chwale Stwórcy,

Verna

Nicci opuściła dłoń z książeczką. Oczy zapiekły ją od łez. Ann wyjęła książkę podróżną z drżących palców Nicci.

- Co mam odpowiedzieć Vernie? Co ma powiedzieć wojsku? - pytała Ksieni spokojnym, nawet łagodnym głosem.

Nicci zamrugła, strącając łzy.

- Chcecie, żebym opanowała jego umysł? Żebym go zdradziła?

- Nie... wcale nie - zapewnił ją Zedd, mocno zaciskając palce na jej ramieniu. - Chcemy, żebyś mu pomogła... żebyś go uleczyła.

- Nawet się obawiamy zbliżyć do Richarda, kiedy jest w tym stanie - powiedziała Ann. - Obawiamy się, że mógłby coś podejrzewać. Boję się, że przez moją ostrą reakcję na jego urojenia ponoszę za to część odpowiedzialności. Oby Stwórca mi wybaczył, ale całe życie strawiłam na kierowaniu życiem ludzi i wymaganii od nich uległości, a tak trudno jest pozbyć się starych nawyków. Richard teraz uważa, że staram się go zmusić do wypełnienia proroctwa. Coraz bardziej nam nie ufa... lecz tobie tak.

- Zaufa ci - dodał Zedd. - Możesz go dotknąć, nie będzie niczego podejrzewać.

Nicci wpatrzyła się w niego.

- Dotknąć go...? Zedd potaknął.

- Zdobędziesz nad nim kontrolę, zanim się zorientuje, co się dzieje. Nic nie poczuje. A kiedy się ocknie, to pamięć o Kahlan Amnell już zniknie, a on znowu będzie naszym Richardem.

Nicci przygryzła wargę, nie ufała własnemu głosowi, więc wołała milczeć.

Orzechowe oczy Zedda wypełniły się łzami.

- Gorąco wnuka kocham. Wszystko bym dla niego zrobił. Gdybym potrafił, to sam bym to uczynił. Chcę, żeby odzyskał rozum. Wszyscy tego chcemy. - Znowu ścisnął ramię Nicci. - Jeżeli też go kochasz, Nicci, to zrób to, błagam. Błagam, zrób to, co ty jedna możesz uczynić, i ulecz go jeszcze raz.

ROZDZIAŁ 56

Prowadź nas, mistrzu Rahlu. Nauczaj nas, mistrzu Rahlu. Ochroniaj nas, mistrzu Rahlu - wyszeptała ponownie Kahlan. - Rozkwitamy w twojej chwale. Oślania nas twoje miłosierdzie. Twoja mądrość przerasta nasze zrozumienie. Żyjemy tylko po to, żeby ci służyć. Nasze życie należy do ciebie.

Ramiona bolały ją od klęczenia na posadzce, z czołem przyciśniętym do płyt; wciąż na nowo powtarzała modły. Po prawdzie nie dbała o bolesne znużenie.

- Prowadź nas, mistrzu Rahlu - zaczęła znów Kahlan, w harmonijnej zgodzie z chórem głosów, niosących się cicho poprzez marmurowe korytarze. - Nauczaj nas, mistrzu Rahlu. Ochroniaj nas, mistrzu Rahlu. Rozkwitamy w twojej chwale. Oślania nas twoje miłosierdzie. Twoja mądrość przerasta nasze zrozumienie. Żyjemy tylko po to, żeby ci służyć. Nasze życie należy do ciebie.

Nieustanne powtarzanie tych słów sprawiało jej przyjemność. Wypełniały jej umysł, pomagały zagłuszyć straszliwą pustkę. Dzięki nim nie czuła się taka samotna.

Taka zagubiona.

- Prowadź nas, mistrzu Rahlu. Nauczaj nas, mistrzu Rahlu. Ochroniaj nas, mistrzu Rahlu. Rozkwitamy w twojej chwale. Oślania nas twoje miłosierdzie. Twoja mądrość przerasta nasze zrozumienie. Żyjemy tylko po to, żeby ci służyć. Nasze życie należy do ciebie.

Słowa modłów poruszyły w niej jakąś strunę, dodały jej otuchy: bezpieczne, wspaniałe życie, w którym dominowały wiedza i mądrość. Spodobało jej się to. To było cudowne marzenie.

Jej towarzyszki bardzo się spieszyły, ale kiedy ujrzały, że kierują się ku nim żołnierze, uznały, że lepiej iść za ludźmi zbierającymi się na placu otwartym na zachmurzone niebo. Pod owym pochmurnym niebem rozciągał się spłachetek białego piasku, zagrabionego w kręgi otaczające ciemną dziobatą skałkę. Na skałce zaś, w mocnej ramie, wisiał dzwon. To jego dźwięk zwoływał ludzi.

Otwór w stropie otaczały łuki wsparte na kolumnach. Wszędzie dokoła Kahlan klęczeli na wyłożonej płytami posadzce ludzie, dotykając czołem płyt.

Chórem odmawiali modły do lorda Rahla.

Tuż przed końcem kolejnej powtórki modłów dzwon zabrzmiał dwa razy. Głosy wokół Kahlan dopowiedziały: „Nasze życie należy do ciebie” i ucichły.

W nagłej ciszy ludzie podnosili się na kolana, wielu ziewało i przeciągało się, zanim na dobre wstali. Znów rozbrzmiały rozmowy, a ludzie zaczęli się rozchodzić do swoich zajęć, do tego, co robili, zanim zwołał ich dzwon.

Towarzyszki dały jej znak i Kahlan posłusznie ruszyła korytarzem, oddalając się od otwartego placu. Minęły posągi i jedno skrzyżowanie i dopiero potem skręciły. Kobiety się zatrzymały. Kahlan stała w milczeniu, czekając i obserwując mijających ją ludzi.

Ogromnieją wyczerpała wspinaczka po nie kończących się schodach, przejście całych mil korytarzy i wspinanie się po kolejnych stopniach; cała ta podróż, która je aż tu doprowadziła. Chętnie by usiadła, ale wołała o to nie prosić. Sióstr nie obchodziło, czy była wykończona czy nie. Co gorsza, wyczuwała, jakie teraz były spięte i rozeźlone, zwłaszcza po tej niespodziewanej przerwie na modły. Nie zareagowałyby ani uprzejmie, ani współczująco na taką prośbę i na pewno nie miałyby najmniejszych oporów przed pobiciem jej. Raczej nie zrobiłyby tego teraz, przy tych wszystkich ludziach, ale później... Stała więc spokojnie, starając się nie rzucać w oczy i nie ściągać na siebie ich gniewu.

Domyślała się, że klęczenie powinno być wystarczającym wypoczynkiem; jedynym, na jaki jej pozwolono.

Korytarze patrolowali żołnierze w szykownych mundurach, z różnorodną bronią; obserwowali wszystkich. Ilekroć przechodzili, czy to dwójkami czy grupą, bacznie obserwowali trzy stojące z Kahlan kobiety. Siostry wtedy udawały, że oglądają posągi albo któryś gobelin z sielskimi scenkami. Raz nawet, żeby uniknąć żołnierzy, zbiły się w grupkę i udając, że ich nie widzą, pokazywały sobie wspaniałą posąg kobiety, wspartej na włócznie i trzymającej snopek pszenicy. Uśmiechały się, cicho rozmawiając, niby to o artystycznych walorach posągu, dopóki żołnierze nie przeszli.

- Lepiej wy obie usiądźcie na tamtej ławie - burknęła Siostra Ulicia. - Wyglądacie jak koty pchające się pod nos psom.

Siostry Tovi i Cecilia, obie w podeszłym wieku, rozejrzały się i zobaczyły ławę kilka kroków za sobą, przy białej marmurowej ścianie. Zebrały spódnice

i usiadły obok siebie. Zwłaszcza Tovi, taka otyła, wyglądała na zmęczoną. Jej pomarszczona twarz, po klęczeniu z czołem opartym o posadzkę, była czerwona jak burak. Cecilia, zawsze schludna, wykorzystwała odpoczynek do poprawienia siwych włosów.

Kahlan ruszyła ku ławie, rada, że w końcu usiądzie.

- Ty nie - warknęła Siostra Ulicia. - Nikt nie zwróci na ciebie uwagi. Stań obok nich, żebym cię mogła mieć na oku.

Siostra Ulicia ostrzegawczo uniosła brew.

- Tak, Siostró Ulicio - odparła Kahlan.

Siostra Ulicia oczekiwała odpowiedzi, kiedy coś powiedziała.

Kahlan wbity to do głowy w przykry sposób i byłaby odpowiedziała wcześniej, gdyby nie przestała słuchać, kiedy jej powiedziano, że ta propozycja jej nie dotyczy. Napomniała się, że jeżeli nawet jest zmęczona, to powinna baczniej zwracać na wszystko uwagę, bo inaczej zarobi cios teraz, a coś gorszego potem.

Siostra Ulicia nie odwróciła wzroku, nie pozwoliła też na to Kahlan; oparła czubek solidnej dębowej laski pod brodą Kahlan i siłą uniosła jej głowę.

- Dzień się jeszcze nie skończył. Masz coś do zrobienia. I lepiej nawet nie myśl o tym, żeby mnie zawieść. Zrozumiałaś?

- Tak, Siostró Ulicio.

- To dobrze. Jesteśmy równie zmęczone jak ty.

Kahlan chciała powiedzieć, że może i są zmęczone, ale za to jechały konno, ona zaś zawsze szła pieszo i musiała dotrzymać kroku koniom. Czasami musiała truchtać albo nawet biec, żeby nie zostać w tyle. Siostra Ulicia nigdy nie była zadowolona, kiedy musiała zawrócić konia i podjechać po guzdrzącą się niewolnicę.

Kahlan rozejrzała się po korytarzu, po tych wszystkich wspaniałościach. Ciekawość przeważała nad ostrożnością.

- Co to za budowla, Siostró Ulicio?

Siostra uderzyła się laską o udo, pobieżnie się wszystkiemu przyglądając.

- To Pałac Ludu. Piękna budowla. - Znów patrzyła na dziewczynę. - To siedziba lorda Rahla.

Czekała, chcąc się przekonać, czy Kahlan coś powie. Ale Kahlan nie miała nic do powiedzenia.

- Lorda Rahla?

- Tego człowieka, wiesz, do którego się modliłyśmy. Dokładnie mówiąc, Richarda Rahla. On jest teraz lordem Rahlem. - Oczy Siostry Ulicii się zwęziły. - Słyszałaś kiedy o nim, moja droga?

Kahlan szukała w pamięci. Lord Rahl. Lord Richard Rahl. Umysł miała pusty. Chciała pomyśleć, przypomnieć coś sobie, ale nie mogła. Pomyślała, że pewnie nie ma sobie czego przypominać.

- Nie, Siostrze. Nigdy nie słyszałam o lordzie Rahlu.

- No cóż - rzekła Siostra Ulicia z przebiegłym uśmiechem, który od czasu do czasu pojawiał się na jej wargach - nie sądzę, żebyś słyszała. Kimże ty w końcu jesteś? Nikim. Niczym. Niewolnicą.

Kahlan stłumiła chęć sprzeciwienia się. Jakże mogłaby zaprotestować? Co by mogła powiedzieć?

Uśmiech Siostry Ulicii stał się szerszy. Miało się wrażenie, że może zajrzeć wprost w duszę Kahlan.

- Czyż nie tak, moja droga? Jesteś nic niewartą niewolnicą, która powinna być wdzięczna za miskę strawy.

Kahlan chciała zaprotestować, powiedzieć, że jest kimś więcej, że jej życie jest cenne - lecz była przekonana, że tak sobie tylko wyobraża. Była straszliwie zmęczona. A teraz jeszcze ciężko jej było na sercu.

- Tak, Siostrze Ulicio.

Ilekc próbowała myśleć o sobie, natrafiała na pustkę. Jej życie było tak nijakie. Wiedziała, że nie takie powinno być, ale było.

Siostra Ulicia odwróciła się, kiedy zauważyła, że Kahlan patrzy na powracającą Siostrę Arminę, dojrzałą kobietę, bardzo prostolinijną. Armina pospiesznie szła korytarzem, szeleszcząc ciemnoniebieską suknią i omijając spacerujących po pałacu, zatopionych w rozmowie ludzi, którzy nie patrzyli, gdzie idą.

- No i? - spytała Siostra Ulicia, kiedy Siostra Armina do nich dotarła.

- Utknęłam w tłumie modlącym się do naszego lorda Rahla.

- My też - westchnęła Siostra Ulicia. - I co znalazłaś?

- To tutaj, w prawo na skrzyżowaniu za mną. Ale musimy być ostrożne.

- Dlaczego? - spytała Siostra Ulicia, a Siostry Tovi i Cecilia pospiesznie podeszły, żeby posłuchać.

Cztery Siostry pochyliły ku sobie głowy.

- Drzwi są zaraz tutaj, z boku holu. Nie można się tam dostać niezauważenie. Przynajmniej my nie możemy. I nie ma wątpliwości, że nikt nie powinien tam wchodzić.

Siostra Ulicia rozejrzała się po korytarzu, upewniając się, że nikt nie zwraca na nie uwagi.

- Dlaczego uważasz, że nie ma co do tego wątpliwości?

- Drzwi mają odstraszać ludzi. Wyrzeźbiono na nich węże. Kahlan się cofnęła. Nie zносиła węży.

Siostra Ulicia uderzyła się laską w nogę, mocno zacisnęła wargi. Gotując się ze złości, zwróciła ku Kahlan wykrzywioną twarz.

- Pamiętasz instrukcje?

- Tak, Sostro Ulicio - odparła natychmiast Kahlan.

Chciała już to mieć za sobą. Im szybciej Siostry będą zadowolone, tym lepiej. Robiło się późno. Długa droga pod górę wewnątrz płaskowyzu i modły zajęły więcej czasu, niż się Siostry spodziewały. Myślały, że do tej pory załatwią sprawę i znikną stąd. Kahlan miała nadzieję, że kiedy zrobi swoje, rozbiją obóz i trochę się prześpią. Nigdy nie pozwalały jej porządnie się wyspać. Rozbijanie obozu oznaczało dla niej więcej pracy, ale miała przynajmniej nadzieję na sen - o ile nie rozzłościła Sióstr i nie dostała lania.

- No dobrze, właściwie nie robi to większej różnicy. Po prostu staniemy trochę dalej, niż planowałyśmy. - Siostra Ulicia podrapała się w policzek, maskując tym baczne wypatrywanie gwardzistów, potem znów się pochylila.

- Cecilio, zostań tutaj i obserwuj ten koniec korytarza. Armino, wróć i obserwuj tamtą stronę. Idź od razu, żeby nie wyglądało, iż jesteście razem, kiedy podejdziemy do drzwi; na wypadek gdyby je obserwowano.

Siostra Armina błysnęła przebiegłym uśmiechem.

- Będę się niespiesznie przechadzać, niczym zdjęta podziwem turystka, dopóki ona nie zrobi, co trzeba.

I rażno odeszła.

- Ty idziesz ze mną, Tovi - poleciła Siostra Ulicia. - Będziemy dwiema przyjaciółkami, spacerującymi i plotkującymi, zwiedzającymi wspaniały pałac lorda Rahla. A Kahlan zajmie się swoją robotą.

Siostra Ulicia złapała Kahlan za ramię i odwróciła.

- Chodź.

Popchnęła Kahlan. Dziewczyna poprawiła plecak, szła szybko. Obie

Siostry podążały za nią korytarzem. Kiedy dotarły do skrzyżowania, na którym miały skręcić w prawo, wyszło ku nim dwóch wysokich żołnierzy. Przelotnie spojrzeli na Siostrę Tovi i odwzajemnili uśmiech Siostry Ulicii. Siostra Ulicia, kiedy chciała, potrafiła być czarująca i była na tyle ładna, że mężczyźni ją zauważali.

Na Kahlan nikt nie zwracał uwagi.

- Tutaj - odezwała się Siostra Ulicia. - Zatrzymaj się. Kahlan stanęła, patrząc przez hol na ciężkie mahoniowe drzwi.

Wyrzeźbione na nich węże odwzajemniły jej spojrzenie. Ogony miały owinięte wokół wyrzeźbionych u góry gałęzi i zwisały z nich, tak że łby miały na poziomie jej oczu. Z rozdziawionych szeroko szczęk sterczały kły, jakby węże gotowe były ukąsić. Kahlan nie mogła pojąć, po co ktoś wyrzeźbił na drzwiach takie ohydne stwory. Wszystko w pałacu było piękne - oprócz tych drzwi. Siostra Ulicia nachyliła się ku niej.

- Pamiętasz wszystkie instrukcje? Kahlan kiwnęła głową.

- Tak, Sostro.

- Jeżeli masz jakieś pytania, to zadaj je teraz.

- Nie, Sostro. Pamiętam wszystko, co mi powiedziałaś. - Zastanawiała się, czemu jedno tak dobrze pamiętała, tak wiele innych rzeczy zaś rozpływało się we mgle.

- I nie mitręż czasu - odezwała się Tovi.

- Dobrze, Sostro Tovi, nie będę.

- Potrzebne nam to, po co cię wysyłamy, i masz nam to koniecznie dostarczyć. - Oczy Siostry Tovi zalśniły złowrogo. - Rozumiesz, dziewczyno?

Kahlan przełknęła ślinę.

- Tak, Sostro Tovi.

- Lepiej, żeby tak było - rzekła Tovi. - Bo inaczej odpowiesz przede mną i na pewno ci się to nie spodoba.

- Rozumiem, Sostro Tovi.

Kahlan wiedziała, że Tovi nie żartuje. Kobieta była zwykle dość zrównoważona, ale kiedy się ją sprowokowało, w mgnieniu oka stawała się wredna. Co gorsza, kiedy już wpadła w taki nastrój, to uwielbiała patrzeć na bezsilność i cierpienie innych.

- No to ruszaj - nakazała Siostra Ulicia. - I pamiętaj, żebyś z nikim nie rozmawiała. Jeżeli żołnierze coś do ciebie powiedzą, to ich zignoruj, a

zostawią cię w spokoju.

Spojrzenie Siostry Ulicii zmroziło Kahlan. Kiwnęła głową i pospieszyła przez hol. Zapomniała o zmęczeniu, wiedziała, co ma zrobić, i była świadoma, że jeżeli nie wypełni swego zadania, to się znajdzie w nie lada opałach.

Dotarła do drzwi i chwyciła jedną z klamek z brązu, szczerząc się w uśmiechu czaszkę. Specjalnie nie patrzyła na węże, z wysiłkiem otwierając ciężkie drzwi.

Zatrzymała się za nimi, żeby oczy przywykły do słabego światła lamp. Grube dywany, złote i błękitne, wygłuszały pomieszczenie, nie było tu żadnego pogłosu, jak w wielu innych korytarzach. Ustronny pokój, wyłożony tym samym mahoniem, z którego były drzwi, dawał schronienie przed rozgwarem pałacu.

Drzwi były zamknięte i Kahlan uświadomiła sobie, że nareszcie jest odseparowana od Sióstr. Nie przypominała sobie, by kiedykolwiek była zupełnie sama. Zawsze obserwowała ją co najmniej jedna z nich. Nie miała pojęcia, dlaczego jej tak pilnują, w końcu nie miała zamiaru uciekać. Często rozważała taką możliwość, ale nigdy nie próbowała jej wprowadzić w czyn.

Już sama myśl o ucieczce od Sióstr zsyłała na nią tak okropny ból, że miała wrażenie, iż krew pocieknie jej z uszu i z nosa i że wypłyną jej oczy. Kahlan jednak nie potrafiła wystarczająco szybko pozbyć się tej myśli, więc wszechogarniający ból trwał nieskończenie długo. Po takich atakach była tak wyczerpana, że przez całe godziny nie mogła nawet stanąć, a co dopiero iść. Siostry zawsze wiedziały, kiedy to się działo - pewno dlatego, że znajdowały ją zwiniętą w kłębek na ziemi. Kiedy ból głowy wreszcie mijał, biły ją. Najgorsza była Siostra Ulicia, bo używała tęgiej laski, którą zawsze ze sobą nosiła. Uderzenia zostawiały na ciele Kahlan ślady, które powoli się goiły. Niektóre jeszcze były świeże.

Jednak tym razem Siostry jej powiedziały, że może je zostawić i iść sama. Że to nie sprowadzi na nią bólu, póki się będzie trzymać instrukcji. Tak wspaniale było nie widzieć tych czterech wstrętnych kobiet, że Kahlan chciało się płakać z radości.

Ale w głębi pokoju stało czterech wielkich gwardzistów, zastępców czterech Sióstr. Zawahała się, niepewna, co robić.

Węże po jednej stronie rzeźbionych drzwi i zmije po drugiej. Już nigdy

nie zazna spokoju.

Kahlan przez chwilę stała nieruchomo, bojąc się ominąć gwardzistów, bojąc się, co ją z ich strony spotka za to, że się znalazła tam, gdzie nie powinna przebywać.

Bardzo dziwnie się jej przyglądali.

Zebrała się na odwagę, odgarnęła za ucho pasmo długich włosów i ruszyła ku schodom w głąbi.

Dwaj gwardziści zastąpili jej drogę.

- A dokąd to się wybierasz? - zapytał jeden z nich.

Kahlan nie podniosła głowy, nie zatrzymała się. Ustawiała się nieco bokiem, żeby łatwiej się pomiędzy nimi prześliznąć. Kiedy ich minęła, drugi zapytał pierwszego:

- Co mówiłeś?

Ten, który pytał Kahlan, dokąd się wybiera, popatrzył na niego.

- Słucham? Nic nie mówiłem.

Szła ku schodom, a do tamtych podeszli pozostali dwaj gwardziści.

- O czym plotkujecie? - zapytał jeden z nich. Ten pierwszy machnął ręką.

- O niczym.

Wchodziła po schodach tak szybko, jak jej na to pozwalały utrudzone nogi. Przystanęła na szerokim podeście, żeby złapać oddech, ale wiedziała, że nie powinna się na długo zatrzymywać. Chwyciła się lśniącej kamiennej poręczy i pospieszyła dalej.

Stojący na górze żołnierz natychmiast się odwrócił, słysząc jej kroki. Patrzył na nią, kiedy zmierzała ku korytarzowi. Przeszła obok niego, on zaś prawie od razu ruszył w dalszą drogę.

Było tam więcej strażników. Wszędzie byli. Lord Rahl miał mnóstwo żołnierzy - rośli, bacnych.

Kahlan przełknęła ślinę, przerażona, że tak wielu gwardzistów stoi jej na drodze, odgradza od tego, co jej kazano zrobić. Jeżeli się przez nich spóźni, to Siostra Ulicia nie będzie wyrozumiała i wybacząca. Kilku z nich zauważyło Kahlan i ruszyło ku niej, ale kiedy się z nią zrównali, minęli ją z obojętnymi minami. Kiedy pospiesznie szła korytarzem, inni gwardziści zwracali się, zaniepokojeni, ku oficerom - ale potem, pytani o co chodzi, odpowiadali, że o nic, że nic się nie stało. Niektórzy unosili rękę, żeby ją wskazać, ale potem opuszczali dłoń i spokojnie szli w swoją stronę.

Żołnierze dostrzegali ją i w tej samej chwili o niej zapominali, a Kahlan szła korytarzem tam, dokąd kazano jej pójść. Niepokoilo ją, że tak wielu gwardzistów miało kusze. Ci z kuszami byli w czarnych rękawicach. W kuszach tkwiły złowrogo wyglądające strzały z czerwonymi piórami.

Siostra Ulicia wyjaśniła Kahlan, że rzucone na nią zaklęcie nie tylko sprowadza ból powstrzymujący ją od ucieczki, ale i otula ją magiczną pajęczyną, sprawiającą, że ludzie jej nie dostrzegają. Próbowala zrozumieć, po co Siostry zrobiły coś takiego, ale jej myśli nie chciały się logicznie ułożyć. To było najgorsze - nie móc myśleć o konkretnych sprawach, kiedy tego chciała. Zaczynała od jakiejś wątpliwości, pojawialo się wyjaśnienie - i rozmywało się, jakby już nic więcej w tym nie było.

Kahlan wiedziala jednak, że gdyby któryś z żołnierzy wycelowal w nią kuszę i poslal bełt, zanimby o niej zapomnial, toby ją zabil, a magiczna pajeczyna nie ochronilaby jej przed śmiercią.

Nawet nie mialaby nic przeciwko śmierci, bo to by przynajmniej zakonczylo udręke, jaką bylo jej zycie, lecz Siostra Ulicia ostrzegla ją, że Siostry maja rozlegle wpływy u Opiekuna zmarlych. Oznajmila, że gdyby Kahlan przyszlo do głowy uciec od obowiazkow wobec Sióstr, zrywajac więzi ze światem zycia i ruszajac w dluga podróz do świata umarlych, toby się przekonala, że nie znalazlaby tam schronienia, że bylaby tam o wiele gorzej. Zeby uwierzyla w to ostrzezenie, Siostra Ulicia powiedziala jej, że one są Siostrami Mroku.

Kahlan nie potrzebowała tego zapewnienia, gdyż zawsze była przekonana, że każda z czterech Sióstr z łatwością by ją dopadła nawet na dnie najmniejszej szczeliny, nawet w takim grobie jak ten, który rozkopały pewnej ciemnej nocy z przyczyn, których nie znała i poznać nie chciała.

Patrzyła w okrutne oczy Siostry i wiedziala, że ta mówi prawdę. I potem, chociaż śmierć kusila ją wyzwoleniem, to jednocześnie zbyt przerażala mrocznymi groźbami, by odważyla się jej ulec.

Nie miała pojęcia, czy jej zycie zawsze tak wygladalo, czy zawsze była czyjś własnością. Ale choćby nie wiem jak się starała, nie potrafilo sobie przypomniec niczego innego.

Prześlizgiwala się pomiędzy patrolujacymi żołnierzami, idąc trasą, którą Siostra Ulicia tyle razy rysowala jej na ziemi, kiedy już rozbiły obóz. Siostra swoja dębową laską zaznaczala skrzyżowania i korytarze, żeby Kahlan

dokładnie wiedziała, gdzie ma iść.

Szła trasą wyuczoną na pamięć i nikt jej nie próbował zatrzymać. Trochę ją przygnębiało, że nie zwracają na nią uwagi.

Zawsze i wszędzie tak było - nikt jej nigdy nie zauważał, a jeżeli nawet to się zdarzyło, to natychmiast o niej zapominał i wracał do swoich spraw. Była niewolnicą, nie miała własnego życia. Należała do innych. Przez to czuła się niewidzialna, mało ważna, bez znaczenia. Taki nikt. Takie nic.

Czasem - jak podczas tej długiej podziemnej wspinaczki do wnętrza pałacu - widziała uśmiechających się do siebie mężczyznę i kobietę, pary, które się obejmowały, i usiłowała sobie wyobrazić, jak to jest, kiedy ktoś się o ciebie troszczy, kiedy ktoś cię kocha... kiedy się kogoś kocha.

Otarła łzę z policzka. Wiedziała, że nigdy tego nie doświadczy. Niewolnicy nie mają własnego życia, służą swoim panom; Siostra Ulicia nie pozostawiła jej co do tego wątpliwości. Pewnego dnia, posyłając jej to swoje wredne spojrzenie, oznajmiła, że ma zamiar Kahlan rozmnożyć, żeby im urodziła młode.

Ale jakżeż do tego doszło? Skąd pochodziła? Z całą pewnością z pamięci innych - tak jak z jej - nie zniknęła cała przeszłość.

Myśli się jej plątały, nie potrafiła zmusić umysłu do rozwiązania tej sprawy. Stawiała pytania, lecz odpowiedzi się rozplýwały w mglistej nicości. Złościło ją, że nie potrafi myśleć. Dlaczego inni to potrafią, a ona nie? Nawet i to pytanie szybko się rozplýwało i zniknęło, zupełnie jak ona zniknęła z pamięci tych, którzy ją zobaczyli.

W końcu dotarła do wielkich, dwuskrzydłowych, pokrytych złotem drzwi. Wyglądały tak, jak je opisała Siostra Ulicia - wzgórze i lasy, pokryte złotem. Rozejrzała się, a potem uwiesiła na ciężkich drzwiach, starając się je na tyle uchylić, żeby móc się wśliznąć do środka. Jeszcze się obejrzała - ale żaden z gwardzistów na nią nie patrzył. Zamknęła drzwi za sobą.

Tutaj było o wiele jaśniej niż w korytarzu. Chociaż dzień był pochmurny, przez świetliki wpadał blask, oświetlający zdumiewający ogród. Siostra Ulicia opowiedziała jej pokrótce o tym ogrodzie, ale rzeczywistość przewyższyła wszelkie wyobrażenia Kahlan. Był niezwykle i cudowny.

Richard Rahl był szczęśliwym człowiekiem, mając taki wspaniały ogród, do którego mógł zachodzić, kiedy tylko zechciał. Zastanawiała się, czy może on się tu teraz zjawi - zobaczy ją... i zapomni.

Przypomniała sobie o swoim zadaniu i nakazała sobie myśleć tylko o tym, co ma zrobić. Pospieszyła jedną z wijących się pomiędzy rabatami kwiatów ścieżek. Ziemia była zasłana czerwonymi i żółtymi płatkami. Ciekawa była, czy Richard Rahl zrywa tu kwiaty dla swojej ukochanej. Lubiła dźwięk jego imienia. Brzmiało tak pocieszająco. Richard Rahl. Richard. Zastanawiała się, jaki jest; czy równie miły jak jego imię dla jej ucha.

Szła ścieżką i patrzyła na rosnące wokół niewielkie drzewa. Kochała drzewa. Przypominały jej o... o czymś. Jęknęła z rozpaczą. Złościło ją, kiedy nie mogła sobie przypomnieć tego, co na pewno było ważne. Irytowało ją, że zapomina, nawet jeżeli byłyby to jakieś głupstwa. Jakby zapominała samą siebie.

Pospiesznie mijała krzewy i porośnięte pnączami murki, aż doszła do trawiastej polaci - Siostra Ulicia poinstruowała ją, że coś takiego będzie pośrodku ogrodu. W trawie stał głaz, a na nim leżała granitowa płyta, co przypominało stół.

Na tej granitowej płycie miało stać to, co Kahlan powinna zabrać. Nagle to zobaczyła i struchlała. Trzy przedmioty były czarne jak sama śmierć. Miała uczucie, iż wysysają światło z ogrodu, ze świetlików, z samego nieba, że próbują je połknąć.

Kahlan, z łomoczącym ze strachu sercem, pospieszyła przez trawiastą polać do granitowej płyty. Bliskość tych złowieszczo wyglądających przedmiotów budziła w niej lęk. Zsunęła z ramion rzemienie i postawiła plecak obok czarnych szkatulek, po które ją przysłano. Przypięty pod spodem śpiwór przewracał plecak, więc musiała go trochę przechylić.

Przez chwilę trzymała dłoń na śpiworze, wyczuwając zarysy tego, co było weń zawinięte. To był jej największy skarb.

Przypomniała sobie, że powinna się wziąć do roboty. Natychmiast się zorientowała, że będzie z tym kłopot. Pudełka były większe, niż się Siostra Ulicia spodziewała. Każde było prawie tak duże jak bochenek chleba i niemożliwe było, żeby się wszystkie zmieściły do plecaka.

Ale właśnie tak jej nakazano. Życzenie Sióstr wyraźnie kolidowało z faktem, że pudełka nie zmieszczą się do plecaka. Tej sprzeczności nie można było rozwiązać.

Przemknęły jej przez myśl wspomnienia wcześniejszych kar i aż się spociła. Nawiedziły ją wizje tortur; otarła zalewający oczy pot. Że też właśnie

to potrafiła zapamiętać.

Kahlan uznała, że nie ma innego wyjścia; musi spróbować.

Niepokoilo ją równocześnie to, że kradnie te przedmioty z ogrodu lorda Rahla. W końcu nie były one własnością Sióstr, a lord Rahl nie ustawiłby tylu żołnierzy wokół ogrodu, gdyby te pudełka nie były dla niego ważne.

Nie była złodziejką. Ale czy warto odmową narażać się na tak dotkliwą karę? Czy skarb lorda Rahla jest wart jej krwi? Czy lord Rahl chciałby, żeby zrezygnowała z kradzieży i żeby Siostry ją za to skatowały?

Nie wiedziała dlaczego - może się tak tylko pocieszała - ale uznała, że Richard Rahl kazałby jej zabrać pudełka i ocalić życie.

Otworzyła plecak i starała się bardziej upchać jego zawartość, ale bez skutku. Wszystko już było tak ściśnięte, jak się tylko dało.

Coraz bardziej zaniepokojona, że zabiera jej to zbyt dużo czasu, pociągnęła za ubrania, starając się wybrać coś, w co by mogła zawinąć pierwsze czarne pudełko.

Wysunął się kawałek białej atłasowej sukni.

Wpatrywała się w gładki materiał. To była najpiękniejsza suknia, jaką w życiu widziała. Skądże ją ma? Przecież jest nikim. Niewolnicą. Po co niewolnicy taka piękna biała suknia? Nie mogła rozwikłać tej zagadki.

Myśli nie chciały się ułożyć w wyjaśnienia.

Kahlan złapała jedno z pudełek, zawinęła je w suknię i wepchnęła do plecaka. Napała na pudełko, starając się je głębiej wepchnąć, i zamknęła na próbę plecak. Kłapa ledwo zakrywała ściankę pudełka, a w środku było przecież dopiero jedno. Musiała zaczepić rzemyk, żeby kłapa się nie odchylała. Pozostałe pudełka za nic się w plecaku nie zmieszczą.

Siostra Ulicia wyraźnie powiedziała, że Kahlan ma ukryć pudełka w plecaku, bo inaczej żołnierze je zobaczą. Samą Kahlan zapomną, ale rozpoznają pudełka, które zabiera z ogrodu, i podniosą alarm. Jasno zapowiedziała, że wszystkie trzy pudełka mają się znaleźć w plecaku. Ale one z całą pewnością się tam nie zmieszczą.

Parę nocy temu, przy ognisku, Siostra Ulicia przysunęła twarz tuż do twarzy Kahlan i szeptem dokładnie jej wyjaśniła, co robi, jeżeli dziewczyna nie wykona poleceń.

Kahlan zaczęła się trząść na wspomnienie okropności zapowiedzianych przez Siostrę Ulicję. Pomyślała o Siostrze Tovi i jeszcze mocniej zadygotała.

Co ma zrobić?

ROZDZIAŁ 57

Kahlan otworzyła jedno skrzydło drzwi z wyrzeźbionymi węzami. Siostry Ulicia i Tovi natychmiast ją wypatrzyły i ukradkowymi gestami nakazały, żeby do nich podeszła; czekały w głębi korytarza. Nie chciały, żeby je widziano w pobliżu tych drzwi.

Dziewczyna ruszyła ku nim, wpatrzona we wzory na marmurowej posadzce, nie chcąc spojrzeć w oczy Siostrze Ulicii.

Kiedy tylko znalazła się dostatecznie blisko, Siostra Ulicia złapała ją za ramię i wciągnęła do niszy. Obie z Tovi zablokowały tam dziewczynę.

- Czy ktoś próbował cię zatrzymać? - spytała Siostra Tovi. Kahlan pokręciła przecząco głową.

Siostra Ulicia odetchnęła.

- To dobrze. Pokaż je.

Kahlan zsunęła plecak z jednego ramienia i przesunęła ku przodowi, żeby Siostry mogły go otworzyć. Obie szarpały rzemyk. Wreszcie go rozplatały i odchyliły klapę.

Trzymały się tuż przy sobie, żeby ludzie w holu nie widzieli, co robią, jakie okropieństwo zaraz wydobędą na światło dnia. Siostra Ulicia ostrożnie odsunęła białą tkaninę upchniętej w plecaku sukni Kahlan, żeby zobaczyć otulone w nią czarne pudełko.

Stały w milczeniu i z respektem się w nie wpatrywały.

Siostra Ulicia zaczęła grzebać w plecaku trzęsącymi się z ekscytacji rękami, szukając następnych szkatuł. Kiedy ich nie znalazła, cofnęła się z groźną miną.

- Gdzie dwie pozostałe? Kahlan przełknęła ślinę.

- Tylko jedną udało mi się zmieścić w plecaku, Siostro. Tamte już nie chciały wejść. Kazałaś mi je schować w środku, ale były za duże. Ja...

Zanim zdołała jeszcze coś dodać, wyjaśnić, że pójdzie i po tamte pudełka, rozwścieczona Siostra Ulicia tak się zamachnęła dębową laską, że aż zaświszczało powietrze.

Kiedy laska z całej siły uderzyła ją w głowę, Kahlan usłyszała ogłuszający trzask. Świat pociemniał i ucichł.

Dziewczyna zdała sobie sprawę, że jest na podłodze, na kolanach,

skulona. Przytknęła dłoń do lewego ucha, dławiąc się ze straszliwego bólu. Zobaczyła na podłodze plamy krwi. Cofnęła rękę - miała teraz ciepłą, krwawą rękawicę.

Mogła się jedynie wpatrywać w dłoń i spazmatycznie chwytać płytki oddech. Ból był tak porażający, że głos odmówił jej posłuszeństwa. Nawet nie mogła krzyczeć z przeraźliwej udręki. Miała wrażenie, że patrzy przez długi, rozmazujący się czarny tunel. Mdlilo ją.

Siostra Ulicia złapała znienacka Kahlan za koszulę i postawiła na nogi - ale tylko po to, żeby nią łupnąć o ścianę. Głowa dziewczyny walnęła o marmur, ale to był drobiazg w porównaniu z bólem promieniującym z bocznej części głowy, zuchwy i ucha.

- Ty głupia suko! - wycharczała Siostra Ulicia i znów łupnęła nią o ścianę.
- Ty głupia, niezdarna, nic nie warta suko!

Tovi najwyraźniej też chciała dostać Kahlan w swoje szpony. Dostrzegła pod ścianą odłamany kawałek laski Siostry Ulicii. Dziewczyna z całych sił starała się odzyskać głos, wiedząc, że w tym jej jedyny ratunek.

- Nie wepchnęłabym wszystkich trzech do plecaka, Siostrze Ulicio - wykrztusiła, czując smak łez i krwi. - Kazłaś mi je ukryć w plecaku. Nie chciały się zmieścić. Miałam po nie pójść. Pójdę po nie. Przysięgam, że ci je przyniosę.

Siostra Ulicia się cofnęła, w jej oczach płonął straszliwy gniew. Wycelowała palec w pierś Kahlan, dziewczyna poleciała na ścianę i tak została. Przyszpilający ją do ściany nacisk był tak potężny, że z trudem chwytiała oddech. Ledwo widziała, bo krew zalewała jej oczy.

- Powinnaś była zawinąć tamte dwie szkatuły w śpiwór i wtedy byś je od razu zabrała. Czyż nie?

Kahlan w ogóle tego nie wzięła pod uwagę, bo to nie było przecież możliwe.

- Ale ja już coś mam w śpiworze, Siostrze.

Siostra Ulicia znów się ku niej pochyliła. Kahlan się wystraszyła, że każe jej umrzeć, że i tak umrze. Sama nie wiedziała, co by było gorsze. Poczowała, że do jej głowy wnika ból, dorównujący temu od uderzenia. Przyszpilona do ściany nie mogła upaść na podłogę, zakryć uszu i krzyczeć, a chętnie by to zrobiła.

- Nie obchodzi mnie, co zawinęłaś w śpiwór. Powinnaś była to zostawić.

Szkatuły są ważniejsze.

Kahlan była w stanie tylko się w nią wpatrywać - siła przyciskająca ją do ściany uniemożliwiała jej ruch, druzgoczący umysł ból odbierał głos. Zupełnie jakby ktoś powoli wbijał jej w uszy lodowate ostrza i obracał nimi. Przeguby i kostki wykręcały się bez jej woli. Każda fala udręki odbierała jej oddech; nie mogła uciec od przeszywającego bólu, choć tak bardzo chciała.

- A teraz już to zrobisz? Jak ci się zdaje? - spytała Siostra Ulicia cichym, złowieszczym głosem. - Myślisz, że wrócisz tam, zawiniesz dwie pozostałe szkatuły w śpiwór i przyniesiesz je, co powinnaś zrobić już za pierwszym razem?

Kahlan spróbowała się odezwać, ale nie mogła. Kiwnęła głową, desperacko potakując i rozpaczliwie pragnąc końca udręki. Czuła, jak płynąca z ucha i boku głowy krew wsiąka w kołnierz koszuli. Stała na palcach, przyciśnięta do ściany; pragnęła się przecisnąć przez tę ścianę, żeby uciec od Siostry Ulicii. Ból nie pozwalał jej złapać tchu.

- Przypominasz sobie te setki i tysiące wielkich, osamotnionych żołnierzy, zakwaterowanych na niższych poziomach pałacu, przez które przechodziłyśmy? - spytała Siostra Ulicia.

Kahlan ponownie kiwnęła głową.

- Jeżeli mnie znów zawiedziesz, to najpierw połamię ci wszystkie kości i ześlę na ciebie udrękę Tysiąca śmierci, a potem cię podleczę i pošlę tym żołnierzom na koszarową dziwkę. I tam spędzisz resztę życia, wśród tych obcych, których nic nie będzie obchodziło, co się z tobą dzieje. I nikt w ogóle się o ciebie nie zatroszczy.

Dziewczyna wiedziała, że Siostra Ulicia nigdy nie rzuca słów na wiatr. Była całkowicie bezlitosna. Kahlan odwróciła wzrok i stłumiła szloch, nie mogąc już dłużej znieść przewiercającego ją na wylot spojrzenia Siostry.

Ulicia chwyciła Kahlan, zacisnęła palce na jej brodzie i odwróciła ku sobie twarz dziewczyny.

- Na pewno pojęłaś, jak zapłacisz za kolejny sprawiony mi zawód?

Kahlan zdołała kiwnąć głową.

Przyciskający ją do ściany napór nagle ustąpił. Osunęła się na kolana, spazmatycznie łapiąc oddech; całą lewą połowę jej twarzy przeszywał rozdzierający ból. Nie wiedziała, czy pękły jakieś kości, ale wszystko na to wskazywało.

- Co się tu dzieje? - zapytał jakiś żołnierz.

Siostry Ulicia i Tovi odwróciły się i uśmiechnęły do niego. Spojrzał na Kahlan, zmarszczył brwi. Patrzyła nań błagalnie, mając nadzieję, że ją wybawi od tych potworów. Podniósł wzrok na Siostry, otworzył usta, chcąc coś powiedzieć - ale tego nie zrobił. Przeniósł wzrok z jednej uśmiechniętej Siostry na drugą i też się uśmiechnął.

- Wszystko w porządku, moje panie?

- O tak - odparła z jowialnym chichotem Siostra Tovi. - Akurat miałyśmy odpocząć na tej ławie pod ścianą. Skarżyłam się, że mnie plecy bołą. Obie stwierdziłyśmy, że starość nie radość.

- Pewnie tak. - Skłonił głowę. - Miłego dnia, moje panie.

Odszedł, nie zdając sobie sprawy z obecności Kahlan. Nawet jeżeli dostrzegł dziewczynę, zapomniał o niej, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć. Uświadomiła sobie, że i ona w podobny sposób zapomina o tym, co jej dotyczy.

- Wstawaj - warknął nad nią głos.

Podniosła się z trudem. Siostra Ulicia szarpnęła plecak, znów przesuając go ku przodowi. Odchyliła klapę i wyciągnęła złowieszcze czarne pudełko, owinięte w suknię Kahlan. Podała zawiniątko Siostrze Tovi.

- I tak już zbyt długo tu jesteśmy. Zaczynamy przyciągać uwagę. Zabierz to i ruszaj.

- Ale to moje! - zawołała Kahlan, sięgając po suknię. Siostra Ulicia tak mocno uderzyła ją w twarz, że zadzwoniły jej zęby. Poleciała na podłogę. Leżała na boku, zwinięta w kłębek, i obejmowała rękami pękającą z bólu głowę. Posadzka była umazana jej krwią. Dygotała z bólu, który nie zamierzał ustąpić.

- Chcesz, żebym sama wyruszyła? - zapytała Siostra Tovi, trzymając pod pachą szkatułę, owiniętą w białą suknię.

- Uważam, że tak będzie najlepiej. Niech ta szkatuła już podąży ku miejscu przeznaczenia, a w tym czasie ta bezwartościowa suka przyniesie pozostałe. Jeśli jej to zajmie tyle samo czasu, to żołnierze mogą się nami zainteresować, widząc, że tak długo tu tkwimy. Nie jest nam potrzebna żadna potyczka; musimy się stąd wymknąć niezauważone.

- Źle by się stało, gdyby znaleźli przy nas jedną ze szkatuł Ordenu - przyznała Siostra Tovi. - Odejdę, ale gdzie mam na was poczekać? A może

mam jechać prosto do celu?

- Lepiej się nigdzie nie zatrzymuj. - Siostra Ulicia gestem kazała Kahlan wstać i dalej mówiła do Tovi. - Cecilia, Armina i ja spotkamy się tam z tobą, jak już dotrzemy na miejsce.

Siostra Tovi nachyliła się lekko ku z trudem utrzymującej się na nogach Kahlan.

- To ci da parę dni na przemyślenie, co z tobą zrobię, kiedy się wszystkie znów spotkamy, nieprawdaż?

- Tak, Siostrze - udało się wyszeptać Kahlan.

- Bezpiecznej podróży - powiedziała Siostra Ulicia.

Siostra Tovi pospiesznie odeszła, zabierając ze sobą piękną białą suknię Kahlan, a Ulicia złapała dziewczynę za włosy i przysunęła ku sobie jej głowę. Palce Siostry obmacały lewą połowę twarzy Kahlan, aż dziewczyna krzyknęła z bólu.

- Masz połamane kości - oznajmiła, zakończywszy oględziny. - Dokończysz robotę, a uzdrowię cię. Zawiedziesz mnie, a okaże się to dopiero początkiem. Ja i pozostałe Siostry mamy jeszcze wiele do zrobienia, zanim osiągniemy nasz cel. Ty także. Jeżeli dobrze się dziś spiszesz, to cię uzdrowię. Wolałybyśmy, żebyś wyzdrowiała przed wypełnieniem tych swoich przyszłych obowiązków. - Siostra Ulicia protekcjonalnie poklepała ją po policzku. - Ale zawsze mogę wymyślić coś innego, jeżeli mnie zawiedziesz. A teraz biegnij po pozostałe dwie szkatuły.

Rzecz jasna nie miała innego wyjścia. I tak już cierpiała, a wiedziała, że będzie jeszcze gorzej, jeżeli się nie podporządkuje. Siostra Ulicia wykazała jej, że o wiele gorsza udręka tylko czeka, żeby ją dopaść. Wiedziała też, że przed Siostrami nie ma ucieczki.

Żałowała, że nie może zapomnieć o bólu, jak zapomniała o reszcie swojego życia. W mrocznych zakamarkach jej pamięci pozostawały jedynie najgorsze wspomnienia.

Bliska łez, z trudem łapiąc oddech, przesunęła plecak do tyłu, wsunęła ramię w rzemienną pętlę.

- Lepiej zrób, jak kazałam, i przynieś obie - warknęła Siostra Ulicia.

Kahlan skinęła głową i odeszła szerokim korytarzem. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Jakby była niewidzialna. Ci nieliczni, którzy ku niej spojrzeli, dostrzegali ją jedynie przez ulotną chwilę, a potem o niej zapominali.

Złapała oburącz jedną z czaszek i otworzyła skrzydło węzowych drzwi. Pomknęła po miękkich dywanach i minęła strażników, zanim się zdążyli zastanowić, co właściwie widzą. Pognęła w górę schodami, ignorując żołnierzy patrolujących hole; niektórzy przez moment ku niej patrzyli, jakby chcieli zatrzymać w pamięci jej obraz, ale im się to nie udawało i wracali do swoich obowiązków. Czuła się jak duch pomiędzy żywymi - była tu i zarazem jej nie było.

Stęknęła z wysiłku, na tyle uchylając jedno skrzydło połączonych drzwi, żeby móc się wśliznąć do ogrodu. Tak cierpiała, że nie była w stanie działać tak szybko jak powinna. Chciała już wrócić, żeby Siostra ukoić ból. Ogród był równie cichy jak poprzednio, jak przystało na sanktuarium. Nie miała czasu cieszyć się kwiatami i drzewami. Zatrzymała się na trawiastej pości, patrząc na dwa czarne pudełka stojące na kamiennej płycie; na chwilę sparaliżował ją ich widok i myśl o tym, co jej kazano zrobić.

Wolniej przeszła ostatni odcinek drogi; nie chciała tam dojść, nie chciała zrobić tego, co jej kazano. Popychał ją naprzód straszliwy ból, szarpiący połową czaszki.

Stała przed płytą, zsunęła z ramion plecak i położyła go obok pudełek. Rękawem otarła ciekący nos. Delikatnie pogładziła policzek, bojąc się go dotknąć i nasilić ból, a jednocześnie pragnąc choć odrobinę ukoić cierpienie. O mało nie zemdlą, kiedy wyczuła coś ostrego. Nie wiedziała, czy to drzazga ze złamanej dębowej laski Siostry Ulicii, czy odłamek kości. Kręciło się jej w głowie i mdliło ją.

Wiedząc, że ma niewiele czasu, przycisnęła rękę do brzucha, a drugą zaczęła rozplątywać rzemienie mocujące śpiwór do plecaka. Palce miała śliskie od krwi, więc trudno jej było rozsypywać węzły. Musiała się posłużyć obiema rękami.

W końcu rozplatała węzły, ostrożnie rozwinęła śpiwór i wyjęła to, co w nim było; postawiła to na kamiennej płycie, żeby mieć miejsce na te przekłete pudełka. Stłumiła szloch, starając się nie myśleć o tym, co zostawiała.

Zmusiła się do zawinięcia w śpiwór obu pudełek. Potem zawiązała rzemienie, upewniając się, że pudełka nie wypadną, w końcu zarzuciła plecak na ramiona i opornie ruszyła przez pości ziemi pośrodku olbrzymiego wewnętrznego ogrodu.

Przeszła przez trawiasty krąg, przystanęła i obejrzała się.

Spojrzała pełnymi łez oczami na to, co zostawiała na kamiennej płycie zamiast pudełek.

To był jej największy skarb.

A ona go zostawiała.

Nie była w stanie odejść; przytłoczona smutkiem, bardziej bezradna i bezbronna niż kiedykolwiek, osunęła się na kolana. Padła na trawę i rozszołała się. Nienawidziła swojego życia. Nie cierpiała żyć. Przez te złe kobiety musiała zostawić to, co najbardziej kochała. Szłołała nieopanowanie, zaciskając w garściach trawę. Nie chciała tego zostawiać. Ale jeżeli tego nie zrobi, to Siostra Ulicia nie puści jej płazem złamania tak jednoznacznego nakazu. Szłołała z rozpaczony nad sobą, nad swoją bezradnością.

Tylko Siostry ją znały, wiedziały, że ona istnieje.

Gdybyż pamiętała ją choć jedna osoba.

Gdybyż lord Rahl zjawił się w swoim ogrodzie i ją ocalił.

Gdyby, gdyby, gdyby. Co jej przyjdzie z gdybania?

Podniosła się, przysiadła na piętach i zapatrzyła przez łzy na granitową płytę, na to, co tam zostawiała.

Nikt jej nie ocali.

Kiedyś taka nie była. Nie miała pojęcia, skąd to wie, ale wiedziała. Kiedyś, w zagubionej przeszłości, polegała na sobie, na własnych siłach. Nie marnowała czasu na lamentowanie.

Patrzyła przez ogród, piękny, pełen spokoju ogród lorda Rahla, i czerpała siły z tego, co tam teraz stało - i jednocześnie z głębi siebie. Teraz musiała być stanowcza - jak niegdyś. Dla własnego dobra musiała być silna.

Musiała sama siebie ocalić.

To, co tam stało, już nie było jej. To będzie jej dar dla Richarda Rahla - w podziękę za szlachetność życia, jej życia, o której sobie przypomniwała w jego ogrodzie.

- Prowadź nas, mistrzu Rahlu - zacytowała wers modłów. - Dzięki ci, mistrzu Rahlu, że mnie wiodłeś dzisiaj, że sprawiłeś, iż sobie przypomniiałam, ile sama dla siebie znaczę.

Przesunęła grzbietem dłoni po oczach, ocierając krew i łzy. Musiała być silna, bo inaczej Siostry ją pokonają. Wszystko jej odbiorą. Zwyciężą.

Kahlan nie mogła im na to pozwolić.

Coś sobie przypomniała i dotknęła naszyjnika. Obróciła w palcach mały kamyk. Przynajmniej to nadal należało do niej. Wciąż miała naszyjnik.

Podniosła się z trudem, odchyliła pod ciężarem plecaka. Najpierw musiała wrócić, żeby Siostra Ulicia uleczyła rany, które jej sama zadała. Chętnie przyjmie tę pomoc, bo wtedy da radę ciągnąć to dalej i znaleźć sposób poradzenia sobie z nimi.

Po raz ostatni spojrzała na płytę, odwróciła się i ruszyła ku drzwiom.

Wiedziała teraz, że nie może tamtym podporządkować swojej woli, nie wolno jej uwierzyć, że mają prawo do jej życia. Mogą ją pokonać, ale nie dlatego, że im na to pozwoli.

Wiedziała, że jeżeli nawet utraci życie, to nigdy nie złamią jej ducha.

ROZDZIAŁ 58

Richard powoli chodził po małej komnatce; pogrążył się w myślach i wciąż na nowo wspominał ów ranek, kiedy zniknęła Kahlan. Musiał rozwikłać tę zagadkę - i to szybko; z wielu powodów. Najważniejsze, rzecz jasna, to pomóc Kahlan. Musiał wierzyć, że wciąż jeszcze może jej pomóc, że wciąż jest na to czas, że ona nadal żyje.

On jeden ją pamiętał, wierzył w jej istnienie. Nikt poza nim nie zdoła jej pomóc.

A były przecież i ogólniejsze sprawy, łączące się z jej zniknięciem. Nie było wiadomo, jak głęboko to wszystko sięga. I znów tylko on jeden pojmował, że za tym wszystkim czai się coś mrocznego, i próbował temu przeciwdziałać.

Skoro Kahlan do tej pory nie zdołała uciec swoim porywaczom, to znaczyło, że nie była w stanie tego uczynić i że potrzebowała pomocy. Bestia lada moment mogła znów zaatakować, więc Richard był aż boleśnie świadomy tego, że w każdej chwili może zginąć i że wtedy zniknęłaby jedyna osoba łącząca Kahlan ze światem.

Musiał każdą chwilę przeznaczyć na próby ocalenia jej. Nawet nie mógł tracić czasu na wyrzucanie sobie, ile dni już mu przeciekło przez palce.

Wszystko się zaczęło owego ranka, tuż przed tym, kiedy dostał strzałą, więc postanowił na tym się skupić i zacząć od nowa. Wyrzucił z myśli ogrom sprawy, żeby się lepiej skoncentrować na jej rozwiązaniu. Nigdy nie domyślił się, kto ją porwał, jeżeli będzie tylko rwał sobie włosy z głowy i rozpaczał, że ktoś ją uprowadził, lub bezskutecznie próbował przekonać innych, że ona istnieje. To wszystko nic nie dało i nic nie da.

Nawet odłożył książki - Gegendrauss i Ordeniczną teorię - które znalazł w komnatce. Pierwsza z nich była w górnod'harańskim. Sporo czasu upłynęło od chwili, kiedy ostatnio czytał w tym języku, więc wiedział, że nie może sobie pozwolić na poświęcanie temu ani minuty. Przekartkował ją tylko i zorientował się, że książka może zawierać cenne informacje, ale nie zauważył żadnej, która by tu pasowała. Poza tym wyszedł z wprawy w tłumaczeniu z górnod'harańskiego. Nie miał teraz czasu na zajmowanie się tym, musiał najpierw rozwiązać inne kwestie.

Drugą książkę trudno się czytało, zwłaszcza że miał myśli zajęte czym innym, ale ustalił, że rzeczywiście dotyczyła szkatuł Ordenu. Była to druga książka - po Księdze Opisania Mroków, której się wyuczył na pamięć w dzieciństwie - omawiająca ten temat; żadna inna nigdy nie wpadła mu w ręce. Już samo to - nie wspominając o ogromnym zagrożeniu, jakie stanowiły szkatuły, przekonało go, że to niezmiernie cenna książka. Lecz w tej chwili szkatuły nie były jego sprawą. Teraz chodziło o Kahlan. I tę lekturę więc odłożył.

W małej, chronionej przez dwie osłony komnatce były i inne książki, ale nie miał ani czasu, ani ochoty ich przeglądać. Uznał, że zajęcie się książkami, zanim pojmie, co się tak naprawdę dzieje, byłoby tylko marnowaniem czasu. Musiał logicznie przemyśleć sprawę, a nie szukać odpowiedzi na oślep.

Bez względu na to, co było przyczyną zniknięcia Kahlan, wszystko się zaczęło tamtego ranka, tuż przed bitwą, podczas której ugodzono go strzałą. Kiedy Richard wieczorem przed walką wsunął się do swojego śpiwora, Kahlan z nim była. Wiedział, że była. Pamiętał, że trzymał ją w ramionach. Pamiętał jej pocałunek, jej uśmiech w ciemności. Nie wymyślił sobie tego.

Nikt mu nie wierzył, ale on sobie jej nie uroił.

I tę część sprawy odsunął na bok. Już nie mógł marnować czasu na przekonywanie innych. To tylko odwracało jego uwagę od prawdziwej natury tej kwestii. Nie mógł pozwolić, by opanował go lęk, iż oni mogą mieć rację, i to go tylko rozpraszało. Przypomniawszy sobie bardzo realny dowód: kwestię jej śladów.

Nawet jeżeli nie potrafił innych przekonać do tego, co sam po tak długiej praktyce z łatwością dostrzegał, czytając tropy, to doskonale wiedział, co widzi. Tropy mówiły. Inni mogli nie rozumieć ich języka, lecz Richard rozumiał. Tropy Kahlan zatarto, bez wątpienia jakimś czarami - poszycie lasu było nienaturalnie gładkie, a co ważniejsze, tamten kamień został poruszony. To ten kamień przekonał go, że ma rację. Że sobie nic nie uroił.

Musiał zrozumieć, dlaczego to spotkało Kahlan - i jakie znaczenie miało jej porwanie. Ten, kto to zrobił, miał magiczny dar - Richard był o tym przekonany. Świadczył o tym sposób zatarcia jej śladów. To zawężyło krąg podejrzanych. Musiał to być ktoś z magicznym darem, nasłany przez Jaganga.

Richard wspomniał, jak się zbudził z głębokiego snu, leżąc na boku. Pamiętał, że jedynie na mgnienie zdołał otworzyć oczy i że nie był w stanie unieść głowy. Dlaczego? Nie sądził, że z powodu otumanienia snem, musiało być w tym coś jeszcze. Choć przypominało to senność, było o wiele silniejsze.

Ale jedno wspomnienie sprawiało, że czuł, iż mu się stale coś wymyka, pozostaje tuż na granicy świadomości - widział coś w mroku przedświt, kiedy tak leżał, próbując się do końca wybudzić. To na tym wspomnieniu skupił teraz całą uwagę.

Pamiętał mgliste zarysy poruszających się gałęzi - jakby kołysał nimi wiatr. Ale owego ranka nie było wiatru. Wszyscy byli tego pewni. On sam pamiętał, jakie wszystko było nieruchome. Kołysały się jedynie ciemne kształty gałęzi.

Tkwiła w tym sprzeczność.

Ale jak wykazał Zedd dziewiątym prawem magii, sprzeczności, antynomie nie mogą istnieć. Istnieje jedynie rzeczywistość. Jeżeli coś samo sobie zaprzecza, to nie może być tym, czym się wydaje. To podstawowa zasada istnienia. W rzeczywistości nie mogą istnieć antynomie.

Gałęzie nie mogą się same poruszać, a przecież nie było wiatru, który mógłby nimi kołysać. To z kolei oznaczało, że błędnie ujmuje całą sprawę. Zawsze zbijało go z tropu to, jak gałęzie drzew mogły się poruszać na wietrze, skoro wiatru nie było. Zwyczajnie nie mogły. Chyba że ktoś nimi poruszał.

Chodzący po komnatce Richard znieruchomiał.

A może to nie gałęzie się poruszały. Widział, jak się poruszają jakieś kształty, i uznał, że to były gałęzie. A może nie były.

Aż wstrzymał oddech.

Zrozumiał.

Stał jak sparaliżowany, z szeroko otwartymi oczami, nie mogąc się poruszyć, a ciągi zdarzeń i strzępy informacji z owego ranka zaczęły się układać w jego myślach, tworząc zarys tego, co się wydarzyło. Porwali Kahlan, zapewne najpierw rzuciwszy na nią jakiś czar, jak przedtem na niego, żeby twardo spał; zebrali jej rzeczy, zawężili obóz, żeby zatrzeć ślady świadczące, że tam była. To ten ruch zapamiętał. To nie gałęzie drzew się kołysały w mroku, to poruszali się ludzie. Ludzie mający magiczny dar.

Richard zobaczył czerwony poblask. Kiedy podniósł wzrok, do komnatki

wchodziła Nicci.

- Muszę z tobą porozmawiać, Richardzie. Wpatrywał się w nią.

- Zrozumiałem to. Wiem, co oznacza zmija o czterech łbach. Nicci odwróciła wzrok, jakby nie mogła patrzeć mu w oczy. Wiedział, iż pomyślała, że dokłada kolejne urojenie do już istniejących.

- Wysłuchaj mnie, Richardzie. To ważne. Spojrzał na nią baczniej, zmarszczył brwi.

- Płakałaś?

Oczy miała zaczerwienione i podpuchnięte. Nicci nie była kobietą skłoną do łez. Widział już, jak płakała, ale miała po temu bardzo ważne powody.

- To nieważne. Musisz mnie wysłuchać.

- Powiadam ci, Nicci, zrozumiałem...

- Wysłuchaj mnie! - Wsparta pięściami pod boki wyglądała, jakby lada moment miała znów wybuchnąć płaczem; zdał sobie sprawę, że jeszcze nigdy jej takiej nie widział.

Nie chciał już marnować ani chwili, lecz uznał, że to może przyspieszy sprawę, jeżeli jej wysłucha.

- W porządku, słucham.

Podeszła i chwyciła go za ramiona. W skupieniu spojrzała mu w oczy. Była zatroskana.

- Musisz stąd uciekać, Richardzie.

- Co takiego?

- Już powiedziałaś Carze, żeby spakowała twoje rzeczy. Przyniesie je tutaj. Powiedziała, że zna drogę, która ją aż tu doprowadziła, a przynajmniej w głąb wieży, omijając osłony.

- Wiem, sam jej tę drogę pokazałem. - Richard zaczynał się niepokoić. - Co się dzieje? Zaatakowano wieżę? Nic się Zeddowi nie stało?

Nicci dotknęła jego policzka.

- Richardzie, oni postanowili uleczyć cię z urojeń.

- Kahlan nie jest urojeniem. Właśnie zrozumiałem, co się stało. Albo nie pojęła sensu tego, co powiedział, albo zlekceważyła to, co uznała za kolejną próbę wyjaśnienia nieprawdopodobieństwa. Ale tym razem wcale nie zamierzał jej niczego udowadniać.

- Powiadam ci, Richardzie, że musisz stąd uciekać. Chcieli, żebym magią

subtraktywną usunęła wspomnienia o Kahlan.

Richard aż zamrugał ze zdumienia.

- Chcesz powiedzieć, że Ann i Nathan tego chcą. Zedd nigdy by czegoś takiego nie pragnął.

- Zedd też. Przekonali go, że jesteś chory i że jedynym sposobem uleczenia cię jest usunięcie tego, co uznali za chorą część twoich myśli, odpowiadającą za fałszywe wspomnienia. Przekonali Zedda, że czas ucieka i że tylko tak można cię ocalić. Zedd tak cierpi, widząc cię w tym stanie, że przystał na to, co uznał za jedyną szansę uleczenia cię.

- I zgodziłaś się na to?

Z oburzeniem klepnęła go w ramię.

- Oszalałaś? Naprawdę uważasz, że zrobiłabym ci coś takiego? Sądzisz, że nawet gdybym uważała, że mają rację, to w ogóle bym brała pod uwagę zniszczenie części ciebie? Po tym, co zrobiłeś, żebym pokochała życie? Naprawdę myślisz, że zrobiłabym ci coś takiego, Richardzie?

- Nie, uważam, że nie posunęłabyś się do tego. Ale czemu Zedd się na to zgodził? Przecież mnie kocha.

- Ale i boi się o ciebie, o to, że jesteś we władzy urojeń albo czaru, tego czegoś, co cię wpędza w chorobę i sprawia, że chociaż żyjesz, to stajesz się obcym, którego nie znają. Zedd sądzi, że to jedyny sposób, żebyś znów był dawnym sobą. Żebyś znów się stał prawdziwym Richardem. Nie wydaje mi się, żeby któreś z nich, Ann, Nathan czy Zedd, naprawdę tego chciało, lecz Ann jest przekonana, że ty jeden możesz ocalić naszą sprawę. Ufa prorocत्वu głoszącemu, że w tobie nasza jedyna nadzieja, i desperacko chce, żebyś wyzdrowiał, zanim wszystko będzie stracone. Zedd się sprzeciwiał, ale pokazali mu wiadomość w książce podróźnej i przekonali go.

- Jaką wiadomość?

- Verna jest z armią D'Hary. Przysłała wieść, że nasi żołnierze podupadają na duchu, bo jeszcze do nich nie dołączyłeś. Obawia się, że mogą nie podjąć walki, jeżeli ich nie poprowadzisz. Przysłała rozpaczliwy list, chcąc się dowiedzieć, czy Ann już cię odnalazła i kiedy można oczekiwać, że staniesz na czele swoich wojsk, żeby im przewodzić w zbliżającej się bitwie z Imperialnym Ładem.

Richard był zaszokowany.

- Rozumiem, czemu wszyscy troje tak się zamartwiają, ale żeby cię prosić

o użycie magii subtraktywnej...

- Wiem. Uważam, że to wynika z ich desperacji, że nie przemyśleli tego dogłębnie. Co gorsza, obawiam się, że gdy się przekonają, że nie mam zamiaru spełnić ich żądania, uznają, że nie mogą przepuścić takiej szansy, i sami spróbują cię uleczyć. Takie ingerowanie na oślep w świadomość może wywołać zupełnie niespodziewane skutki. Są zrozpaczeni, bo się boją, że kończy nam się czas, że Jagang może nam odebrać to, co najbardziej cenimy. Uważają, że to jedyne wyjście. Już nie słuchają żadnych wyjaśnień ani jasno nie myślą. Musisz stąd natychmiast uciec, Richardzie. Zgodziłam się na ich plan tylko dlatego, żeby móc cię ostrzec i dać ci czas na ucieczkę. Jeżeli ucieczka ma się udać, to musisz stąd odejść natychmiast.

Richardowi kręciło się w głowie na samą myśl o tym, co chcieli zrobić.

- To stwarza pewne problemy. Nie umiem magicznie zatrzeć śladów, jak Zedd to potrafi. Jeśli są tacy zdecydowani, jak mówisz, to ruszą za mną. A jeżeli pójdą moim śladem i zaskoczą mnie, to co wtedy zrobię? Mam z nimi walczyć?

Zrobiła pełen desperacji gest.

- Nie wiem, Richardzie. Za to wiem, jak mocno są zdeterminowani. Żadne twoje słowa ich od tego nie odwiodą, bo uważają, że cierpisz na urojenia i nie potrafisz racjonalnie myśleć. Dlatego są zdania, że dla twojego dobra muszą przejąć kontrolę. Może i czynią to z miłości do ciebie, lecz postępują źle. Drogie duchy, i ja myślę, że chorujesz z jakiegoś powodu, ale zwyczajnie nie mogę im na to pozwolić.

Richard z wdzięcznością uściśnął jej ramię, a potem się odwrócił i usiłował to wszystko pojąć. Nie był w stanie zrozumieć, jak Zedd mógł się zgodzić na coś takiego. To zupełnie do niego niepodobne. Jakby nie był sobą.

Jakby nie był sobą.

No jasne. To również niepodobne do Ann, tak ślepo wierzyć, że Richard musi odegrać zapowiedzianą w prorocztwie rolę. Kahlan odmieniła wszystkich, którzy ją znali. Pomogła Ann zrozumieć, że Richard nie musi ściśle, słowo w słowo, trzymać się prorocztw, jakby to była książka z przepisami kulinarnymi.

Skoro Kahlan zniknęła, wszyscy się zmienili. Zedd też był inny, co wcale na dobre mu nie wychodziło. Nawet Cara się zmieniła. Była równie opiekuńcza jak zawsze, tyle że bardziej... po kobiecemu. Nicci też się

zmieniała, choć w jej wypadku przyniosło to korzystniejsze efekty - przynajmniej z punktu widzenia Richarda. Zapomniała wszystko, co miało związek z Kahlan, i teraz bardziej się o niego troszczyła, bez względu na własne interesy i oceny. Chętniej go broniła, niezależnie od tego, co mówił i robił. Była mu bardziej oddana, bardziej dbała o jego bezpieczeństwo.

Lecz Zedd zmienił się w bardziej niepokojący sposób; podobnie jak Ann, która się stała bardziej apodyktyczna i chciała wprost oddziaływać na decyzje Richarda, narzucając mu swoje zdanie.

Richard cały czas mówił ludziom, że skutki zniknięcia Kahlan są o wiele poważniejsze i bardziej złożone, niż mogłoby się wydawać; ale tylko on jeden to dostrzegał. Te zmiany w zachowaniu i postępowaniu innych - czasami niewielkie, czasami poważne - były kolejnym przejawem owych dalekosiężnych skutków. A przecież nawet on sam nie zdawał sobie sprawy ze wszystkich ukrytych następstw i konsekwencji.

Wszystko się zmieniło. Richard nie mógł już pozwalać, żeby to, co minione, zamazywało stan obecny. Powinien się kierować tym, co jest teraz, a nie tym, co było kiedyś. Nicci stała się cenną sojuszniczką. Cara chroniła go równie dobrze jak dawniej, choć może i kryło się w tym coś odmiennego. Lecz Zedd, Ann i chyba również Nathan nie byli już tak bezwzględnie godni zaufania. Musiał brać pod uwagę to, jak ludzie się zmienili, i działać zgodnie z tym. Musiał stale pamiętać o swoich celach i dążyć do nich, choćby już nie mógł w pełni ufać tym, którym wierzył niegdyś i których ceniał.

Zniknięcie Kahlan wszystko odmieniło. Zmieniły się zasady.

Znów spojrzał na Nicci.

- Że też to się musiało stać właśnie teraz. Wszystko zrozumiałem. Żmija o czterech łbach to Siostry Mroku.

- Siostry Jaganga?

- Nie. Moje były nauczycielki, Siostry Tovi, Cecilia, Armina i ich przywódczyni, Siostra Ulicia. To ona wyznaczyła mi nauczycielki, w tym i ciebie.

- To wariactwo, Richardzie. Ja nie...

- Wcale nie. Tego ranka myślałem, że gałęzie się kołyszą, a przecież nie było wiatru. Bo to nie były gałęzie. Zobaczyłem te Siostry, krzątające się w ciemności.

- Ale Jagang ma wszystkie Siostry Mroku.

- Nie.

- Jest Nawiedzającym Sny, Richardzie. Dzięki więzi z tobą nie może zawładnąć tymi Siostrami Światła, które są wolne, ale tamte pojmał. Byłam z nimi, kiedy Jagang po raz pierwszy wtargnął w nasze umysły. Są Siostrami Mroku; bez więzi są bezbronne wobec Nawiedzającego Sny. To moja... moje uczucia związały mnie z tobą i pozwoliły się wyrwać spod jego kontroli. Ale one nie mogą mu umknąć. Nie były wobec ciebie lojalne ani nie będą.

- Ależ są. Przysięgły mi.

- Co takiego?! To niemożliwe. Richard potrząsnął głową.

- Nie było cię z nimi, kiedy to się stało. To było wtedy, kiedy oddziały Jaganga próbowały zająć Pałac Proroków. Siostra Ulicia i moje były nauczycielki wiedziały, gdzie przetrzymywano Kahlan. Chciały się wyrwać spod dominacji Jaganga i złożyły mi propozycję. Wiadomość o miejscu przetrzymywania Kahlan za możliwość złożenia mi przysięgi wierności, co by je uwolniło spod władzy Nawiedzającego Sny.

Nicci aż się dławiała od duszonych w sobie zastrzeżeń. Sam ten pomysł wydawał się jej tak osobliwy, że nie miała pojęcia, od czego zacząć. Głęboko odetchnęła, chcąc opanować gonitwę myśli.

- Richardzie, przestań wymyślać takie bajeczki. Żadna z nich nie pasuje do twojej opowieści. Żmija powinna mieć w takim razie pięć łbów. Zapomniałeś o Merissie.

- Nie. Merissa nie żyje. Próbowала mnie zabić, ścigała mnie. Mówiła, że ma zamiar wykąpać się w mojej krwi.

Nicci skubała nerwowo pasmo włosów.

- Przyznaję, że często słyszałam, jak to mówiła.

- Starła się to zrealizować. Weszła za mną i za Kahlan w sylfę. Miecz Prawdy zabija w sylfie żywe istoty. Kiedy się wydostałem, chwyciłem miecz i zanurzyłem w sylfie, zanim Merissa zdążyła wyjść ze studni. Umarła w niej. Z tych Sióstr Mroku, które mi przysięgły wierność, żyją jeszcze cztery. I to one są żmiją o czterech łbach. To one zjawily się tamtego ranka i porwały Kahlan. Rzuciły na mnie urok, żebym się nie mógł łatwo obudzić. Musiało to być jakieś proste zaklęcie, coś nasilającego senność, żebym się nie zorientował, że to była magia. Ten jeden wilk, który zawył, wcale nie był wilkiem: to był sygnał dany przez nadchodzących żołnierzy. Przez to zaklęcie nie poznałem, co to naprawdę było; byłem taki śpiący, że nie potrafiłem

myśleć, ale i tak wyczuwałem w tym coś dziwnego. Potem Siostry magicznie zatarły swoje ślady, uprowadzając Kahlan.

Nicci chwyciła się za głowę i zajęczała.

- Przecież są Siostrami Mroku! Nie mogą być związane jednocześnie z tobą i z Opiekunem! To szalony pomysł.

- Też tak myślałem. Ale Siostra Ulicia mnie przekonała, że patrzę na to wyłącznie z mojego punktu widzenia. Chciała mi przysiąc wierność i w zamian powiedzieć, gdzie jest Kahlan. Powinny były powiedzieć prawdę, żeby uszanować więź. Potem miały odejść. Gdybym zapytał o coś jeszcze, złamałbym warunki ugody i znaleźlibyśmy się w punkcie wyjścia: one byłyby niewolnicami Jaganga, a Kahlan więźniem. Siostra Ulicia zapowiedziała, że odejdą, jak tylko przysięgną mi wierność, a ja zadam swoje pytanie. One zyskały więź, a ja odzyskałem Kahlan.

- Ale one są Siostrami Mroku!

- Siostra Ulicia mówiła, że jeżeli potem nie będą się starały mnie zabić, to w ich pojęciu będą działać dla mojego dobra, zgodnie z wymaganiami przysięgi zapewniającej więź. Nie chciałem zginać, więc one, powstrzymując się od zabicia mnie, zachowują więź.

Nicci się odwróciła.

- Na swój sposób to nawet ma sens. Siostra Ulicia jest bardzo przebiegła. To przypomina jej sposób rozumowania.

Znów na niego patrzyła.

- Co ja mówię?! Zaczynasz mnie zarażać swoimi urojeniami. Przestań, Richardzie. Musisz się stąd wydostać, i to zaraz. Idziemy. Cara za chwilę przyjdzie z twoimi rzeczami.

Richard wiedział, że Nicci ma słuszność. Nie zdoła odnaleźć Kahlan, jeżeli będzie się musiał strzec trojga ludzi z darem, którzy się świetnie potrafili nim posługiwać i chcieli odmienić jego myśli. Nie dadzą mu szansy wytłumaczenia czegokolwiek. Już próbował wyjaśniać i nic to nie dało.

Prawdopodobnie zrobią to, co uważają za swój obowiązek. Nie sądził, żeby go jakoś ostrzegli. Dopadną go i zrobią swoje, zanim się zorientuje, co się dzieje.

Bardzo niechętnie to przyznawał, lecz wiedział, że Zedd jest zdolny do czegoś takiego. Kiedy już dał Richardowi Miecz Prawdy i wyruszyli, by spróbować odzyskać szkatuły Ordenu, których magię zainicjował Rahl

Posępny, Zedd powiedział, że stawką jest życie tylu niewinnych ludzi, iż w razie potrzeby nie zawahałby się zabić Richarda, byle tylko ich uratować. Wyjaśnił wnukowi, że jako Poszukiwacz dzierżący Miecz Prawdy powinien być równie oddany ich sprawie i pojmować szerszy kontekst.

Zrozumiałe więc było, że Zedd chciał się teraz posłużyć magią i wymazać z umysłu Richarda pamięć o Kahlan; pamięć, która wedle niego była przyczyną choroby wnuka i zagrażała przez to ich sprawie, narażając życie milionów ludzi.

- Sądzę, że masz rację - przyznał przygnębiony Richard. - Spróbują mnie zatrzymać. - Wziął ze stołu dwie niewielkie książki i wsunął je do tylnej kieszeni. - Lepiej się stąd wydostańmy, zanim mnie dopadną.

- My? Chcesz, żebym z tobą poszła? Zatrzymał się i bezwiednie wzruszył ramionami.

- Ty i Cara jesteście teraz jedynymi naprawdę przyjaznymi mi osobami. Pomogłaś mi, kiedy tego najbardziej potrzebowałem. Nie mogę zostawić tak cennych przyjaciółek akurat wtedy, kiedy się wreszcie zaczynam domyślać, co się dzieje. Mogę potrzebować waszej pomocy, kiedy już wszystko się wyjaśni; ale gdybym nawet nie potrzebował, chciałbym, żebyście były przy mnie, służąc radą i wsparciem. Oczywiście, jeżeli zechcesz ze mną pójść. Nie będę cię zmuszał, ale naprawdę chciałbym, żebyś mi towarzyszyła.

Nicci uśmiechnęła się tym swoim specyficznym uśmiechem, zdradzającym, jaką była szlachetną, dumną osobą; uśmiechem, który Richard ujrzał dopiero wtedy, kiedy pokochała życie.

ROZDZIAŁ 59

Cara czekała Niecierpliwie po drugiej stronie osłony. Rikka, stojąca na warcie przy żelaznych drzwiach, patrzyła do wnętrza wieży. Obie się odwróciły, kiedy zobaczyły czerwony poblask i usłyszały nadchodzącego Richarda. Tuż przy drzwiach zobaczył porządnie ułożone plecaki i inny ekwipunek. Znalazł swój plecak i włożył do niego obie książki.

- Wyruszamy? - zapytała Cara. Richard zarzucił plecak na ramiona.

- Tak. Myślę, że nie powinniśmy zwlekać ani chwili. Wziął łuk i kołczan, one też zaczęły zbierać swoje rzeczy. Okazało się, że Cara przyniosła również rzeczy czarodziejki, bo chciała, żeby Nicci zawsze była w pobliżu i pomagała jej chronić Richarda. Ciekaw był, ile to chodzenie za nimi Nicci miało wspólnego z tym, co zdradziła Shota.

Przekonał się, że i Rikka miała plecak; omal jej nie zapytał, co jej strzeliło do głowy, ale przypomniał sobie, że przecież też jest Mord-Sith, więc pewnie uznała, że powinna być przy nim. Tak się przyzwyczaił do tego, że tylko Cara go chroni, iż pomyślał, że trochę dziwnie będzie mieć w pobliżu więcej niż jedną Mord-Sith.

- Gotowe? - spytał, widząc, jak poprawiają rzemienie i kłamry plecaków.

Kiedy każda z nich skinęła głową, Richard poprowadził zdeterminowaną grupkę za żelazne drzwi. Wiedział, że Cara poszłaby za nim bez wahania, ale że nie zastosowałyby się ślepo do poleceń Nicci czy kogokolwiek innego; podejrzewał więc, że zadała wiele dociekliwych pytań, by się dowiedzieć, dlaczego muszą uchronić.

W pomieszczeniu u podstawy wieży oparł dłoń o żelazną barierkę i ruszył chodnikiem, ale nagle coś sobie uświadomił i stanął.

Spojrzał w zdumione błękitne oczy Nicci.

- Nie zaufają ci.

- To znaczy? - spytała.

- To zbyt ważne. Nie zostawię tego wyłącznie tobie. Będą się zamartwiać, że może opuści cię odwaga albo że ich zawiedziesz i pozwolisz mi uciec.

Zbliżyła się do nich Cara.

- Uważasz, że przyjdą cię tu szukać?

- Nie, nie będą mnie szukać, ale założę się, że się zaczną gdzieś

pomiędzy tym pomieszczeniem a drogą ucieczki z wieży; na wypadek, gdybym się wymknął Nicci i próbował uciec. Jeśli się niespodziewanie na nich natkniemy, będzie za późno.

- Lordzie Rahlu - odezwała się Rikka - Cara i ja nikomu nie pozwolimy cię skrzywdzić.

Richard uniósł brew.

- I dlatego wolałbym, żeby do tego nie doszło. Ci troje myślą, że muszą mi pomóc. Nie mają zamiaru mnie skrzywdzić, przynajmniej celowo. Nie chcę, żebyście im coś zrobiły.

- Ale nie możesz oczekiwać, że pozwolimy im użyć magii przeciwko tobie - oznajmiła Cara.

Richard przez chwilę patrzył jej w oczy.

- Jak już powiedziałem, nie chcę, żeby do tego doszło.

- Lordzie Rahlu - powiedziała cicho Cara - na pewno nie pozwolę żadnemu z nich zaatakować cię w taki sposób, nawet jeżeli uważają, że ci przez to pomogą. W takiej sytuacji nie możesz szukać wykrętów. Jeżeli cię zaatakują, trzeba będzie ich powstrzymać, koniec i kropka. Jeżeli dopną swego, to już nigdy nie będziesz taki jak przedtem. Już nie będziesz lordem Rahlem, którego znamy, lordem Rahlem, jakim jesteś.

Cara jeszcze bardziej się ku niemu nachyliła i wbiła weń to spojrzenie Mord-Sith, pod którym się zawsze pocił.

- Jeżeli napadną na ciebie i pozwolisz im wygrać, bo się boisz ich skrzywdzić, to jak już z tobą skończą, nie będziesz pamiętać o tej kobiecie, o Kahlan. Tego właśnie chcesz?

Richard mocno zacisnął zęby, potem wypuścił z płuc powietrze.

- Nie, nie tego. Masz rację, za wszelką cenę musimy więc uniknąć spotkania. Jeśli jednak do niego dojdzie, to aby ich powstrzymać, użyjemy tylko tyle siły, ile będzie trzeba.

- Niezdecydowanie to błąd prowadzący do przegranej - rzekła Cara. - Gdybym się zawahała, kiedy byłam bardzo młoda, nie byłabym Mord-Sith.

Richard wiedział, że Cara ma słuszość. Miecz Prawdy przynajmniej tego go nauczył. Taniec ze śmiercią nie dopuszczał kompromisu pomiędzy życiem a śmiercią.

Położył dłoń na ramieniu Mord-Sith.

- Rozumiem.

Nicci popatrzyła w górę wieży, przyjrzała się wszystkim podestom i drzwiom.

- Jak myślisz, gdzie będą czekać?

- Nie wiem - odparł, wsuwając kciuk pod rzemienie plecaka. - Wieża Czarodzieja jest olbrzymia, ale tak naprawdę jest stąd tylko jedno wyjście. Możemy wybrać wiele tras, więc pewnie zobaczymy ich, kiedy się zbliżymy do dziedzińca albo kraty w bramie.

- Lordzie Rahlu - odezwała się Rikka i trochę się spłoszyła, kiedy jej spojrział w oczy - jest jeszcze jedno wyjście.

Richard popatrzył na nią chmurnie.

- O czym ty mówisz?

- Poza głównym wejściem jest jeszcze jedno. Można się do niego dostać wyłącznie korytarzami w głębi wieży.

- Skąd to wiesz?

- Twój dziadek mi je pokazał.

Richard nie marnował czasu na zastanawianie się nad takimi osobliwościami.

- A zdołasz tam trafić sama? Rikka przez chwilę się namyślała.

- Pewnie tak - powiedziała na koniec. - Z całą pewnością nie chciałabym wszystkich nas zgubić w trzewiach wieży, gdzie sędzę, że potrafię odnaleźć drogę. Właściwie to już spory kawałek trasy mamy za sobą i stąd nie będzie tak daleko.

Richard się zamyślił i chciał oprzeć dłoń na rękojeści miecza. Miecza nie było, więc tylko zatarł ręce.

- Może lepiej chodźmy już tą trasą.

Rikka odwróciła się zamasyście, powiewając blond warkoczem.

- Idźcie za mną.

Richard przepuścił przodem Nicci, Cara szła na końcu. Nie uszedł i dwunastu kroków, kiedy się zatrzymał. Odwrócił się i spojrział za siebie.

Wszystkie popatrzyły tam, gdzie on, a potem na niego, zdumione, co mu znów wpadło do głowy.

- Tamtędy też nie możemy pójść. - Spojrział na Rikkę. - Zedd ci pokazał to wyjście z wieży, a on zna Mord-Sith i wie, że choć się ze sobą zgadzacie, to w razie czego i tak staniesz po mojej stronie. Zedd uwielbia wszelkie sztuczki, pozwoli więc Ann i Nathanowi strzec dróg do głównego wyjścia z wieży, a

sam się zaczął na trasie, którą ci pokazał, Rikko.

- Skoro są tylko dwie drogi wyjścia - odezwała się Nicci - to oznacza, że będą się musieli rozdzielić, żeby obie zablokować. O ile Zedd dojdzie do tych samych wniosków co ty. Mógł zapomnieć, że pokazał Rikke to drugie wyjście, albo uznać, że ona ci o tym nie powie. Ta droga nadal może być wolna.

Richard z wolna pokręcił głową, zapatrzony na coś innego - szeroki podest znajdujący się za nimi, rozszerzający się chodnik okrążający stojącą wodę na dnie mrocznego wnętrza wieży.

- To całkiem prawdopodobne, ale szaleństwem byłoby oczekiwać, że Zedd popełni taki błąd.

Nicci się zatroskała.

- No cóż, ty nie możesz użyć swojej mocy, żeby nie przywabić bestii, za to ja z pewnością mogę skorzystać z mojej. A mam na swoje rozkazy moce o wiele większe niż Zedd. Jeżeli się rozdzielili, jak wspomniałeś, to nie będziemy mieli przeciwko sobie od razu całej trójki.

- Tak, ale nie chciałbym, żeby doszło do takiego pojedynku, a już zwłaszcza nie w wieży. Całkiem możliwe, że są tu środki ochronne, mające chronić Pierwszego Czarodzieja, gdyby został zaatakowany. Mogłabyś po prostu rzucić na niego zaklęcia spowalniające, żebyśmy zdążyli uciec, i przy okazji uruchomić coś śmiernego. Poza tym nawet gdyby ci się udało, to i tak mógłby nas ścigać.

Nicci skrzyżowała ramiona.

- Czyli co twoim zdaniem powinniśmy zrobić?

Odwrócił się ku niej i ponownie spojrzał w jej błękitne oczy.

- Powinniśmy wybrać drogę, z której oni nie będą mogli skorzystać.

Zmarszczyła nos.

- Słucham?

- Sylfę.

Obejrzały się, jakby sylfa mogła tam stać i czekać, żeby przyszli nią podróżować.

- No jasne - powiedziała Cara. - Uciekniemy, a oni nawet nie będą wiedzieć gdzie. Nie będzie śladów. I co ważniejsze, możemy się przenieść bardzo daleko od zagrożenia. Nigdy nas nie dogonią ani nie wyśledzą.

- Otóż to. - Richard klepnął ją w ramię. - Idziemy.

Poszły za nim pospiesznie chodnikiem i przez wyrwę w ścianie. W komnacie sylfy Nicci zaklęciem zapaliła tkwiące w przymocowanych do ścian uchwyty pochodnie. Stanęli przy studni i zajrzeli do środka.

- Jest tylko jeden problem - odezwał się patrzący w czarną otchłań Richard, bo właśnie sobie o tym przypomniał; popatrzył na Nicci. - Muszę się posłużyć magią, żeby przywołać sylfę.

Nicci głęboko odetchnęła, zniechęcona.

- Istotnie.

- Niekoniecznie - wtrąciła się Cara. - Shota powiedziała nam, że korzystając z magii, możesz przywabić bestię krwi. Logiczne byłoby, że cię wówczas odnajdzie, ale bestia nie kieruje się przecież logiką. Ona działa chaotycznie i może się zjawić, ale nie musi. Nie można przewidzieć, co zrobi.

- A poza tym wiemy z całą pewnością, że się stąd nie wydostaniemy bez starcia z tamtymi trzema - przypomniała Nicci.

- Próbie ucieczki towarzyszyłyby dwie trudności - stwierdził Richard - ominięcie ich i potem trzymanie się od nich z daleka, żeby mnie nie próbowali uleczyć. Ten sposób jest lepszy. Zedd, Ann i Nathan nie mogą podróżować sylfą, nie będą się też mogli dowiedzieć, gdzie się podzialiśmy. No i unikniemy starcia z nimi, ku mojej radości. Kocham dziadka i nie chciałbym się przed nim bronić.

- Niechętnie to mówię - odezwała się Cara - ale i mnie się to bardziej podoba.

- Zgadzam się - rzekła Rikka.

- Przywołaj sylfę - powiedziała Nicci, przytrzymując włosy i znów zagładając w studnię. - I pospiesz się. Zrób to, zanim przyjdą sprawdzić, co mnie tak długo zatrzymuje.

Richard się nie wahał. Wyciągnął zaciśnięte pięści ponad studnię. Musiał przywołać swój dar, żeby zbudzić sylfę, a nie był w tym zbyt dobry. Pomyślał, że już to przecież kiedyś zrobił, więc i teraz mu się uda.

Odprężył się. Wiedział, że musi to zrobić, bo inaczej może stracić szansę odszukania kobiety, którą kochał ponad życie. Wspomnił, jaką udręką był każdy dzień bez niej - i był bliski załamania.

Szczerze i gorące pragnienie zrobienia wszystkiego, co trzeba, żeby pomóc Kahlan, sprawiło, że obudził się dar Richarda. Czuł jak moc płynie z

najtajniejszej głębi jego istoty, jak zapiera mu dech. Napiął mięśnie brzucha, tak wielka była to moc.

Pomiędzy wyciągniętymi pięściami zapłonął blask. Już tak kiedyś było. Przycisnął jedną do drugiej wyściełane skórą srebrne bransoletki, które miał na przegubach. Nie miał ich za pierwszym razem, ale sylfa mu powiedziała, że powinien się nimi posłużyć, kiedy znów będzie ją wołać. Tak się rozjarzyły, że poprzez własne ciało i kość widział ich drugą stronę.

Zogniskował wolę. Pragnął wyłącznie tego, żeby sylfa do niego przyszła i żeby dzięki temu mógł uratować Kahlan. Chciał tego. Żądał, żeby tak się stało.

Przybądź do mnie!

Blask z wyciem runął w głąb studni, niczym błyskawica - lecz grom się nie rozległ, słychać było jedynie rozdzierające wycie ognia i blasku z niesamowitą prędkością pędzących w czarną czeluść.

Stojące przy studni kobiety zaglądały z niepokojem w rozświetloną głębię. Nicci popatrywała też wokół, najwyraźniej zatroskana, czy aby nie pojawi się bestia. Echo wzbudzone przez moc, którą Richard posłał w głąb studni, nie milkło przez długi czas, ale wreszcie zapanowała cisza.

Ciszę wieży, spokój piętrzącego się wokół nich i ponad nimi martwego kamienia, zakłóciło odległe, basowe dudnienie.

Odgłos czegoś, co się budziło do życia.

Podłoga zaczęła drzeć coraz mocniej, aż ze spoin i szczelin wzbił się kurz. Małe kamyki tańczyły na dygoczącej kamiennej posadzce. W czeluści studni pojawiło się coś, co z oszałamiającą prędkością mknęło ku górze, przy wtórze ryku rozdzieranego powietrza.

Nicci, Cara i Rikka cofnęły się, bo ze studni wystrzeliło migotliwe srebro i natychmiast się zatrzymało - było pełne gracji.

W rozfalowanym srebrnym stawku pojawiło się lśniąco metalicznie wybrzuszenie, które uniosło się powyżej obmurowania studni. W szklistej powierzchni, niczym w płynnym lustrze, odbijała się cała komnata; odbicia się deformowały, a wybrzuszenie rosło i przekształcało się. Wyglądało to jak żywe srebro. Uniesiony kształt wybrzuszał się i zapadał, pojawiały się na nim fałdy i krzywizny, płaszczyzny i krawędzie - aż wreszcie ukazała się kobieca twarz.

Srebrzysty uśmiech sugerował, że rozpoznała Richarda.

- Przywołałeś mnie, panie?

Nieziemski, kobiecy głos sylfy rozbrzmiał w komnacie echem, choć jej wargi się nie poruszyły.

Richard podszedł bliżej, nie zważając na zdumione miny Rikki i Nicci.

- Tak. Dzięki, że się zjawiałaś, sylfo. Jesteś mi potrzebna. Srebrny uśmiech świadczył o zadowoleniu.

- Chcesz podróżować, panie?

- Tak, chcę podróżować. Wszyscy chcemy. Musimy. Uśmiech stał się szerszy.

- A więc pójďte. Będziemy podróżować.

Richard zagonił je ku studni. Srebrzysty metal utworzył rękę, która się wyciągnęła i dotknęła jedną po drugiej.

- Już podróżowałaś - rzekła sylfa do Cary po muśnięciu jej czoła. - Możesz podróżować.

Połykliwa dłoń dotknęła czoła Nicci, pozostała tam nieco dłużej.

- Masz to, co niezbędne. Możesz podróżować.

Rikka zadarła brodę, opanowała swoją niechęć do magii i nawet nie drgnęła, kiedy sylfa dotknęła jej czoła.

- Ty nie możesz podróżować - oznajmiła sylfa.

- Ale... ale skoro Cara może, to dlaczego ja nie?! - oburzyła się Rikka.

- Nie masz obu wymaganych magii - wyjaśnił głos. Rikka wyzywająco skrzyżowała ramiona.

- Muszę iść z nimi. I pójdę. Tak ma być i już.

- To twoja decyzja, ale jeżeli spróbujesz we mnie podróżować, umrzesz i wtedy też z nimi nie będziesz.

Richard położył dłoń na ramieniu Rikki, zanim zdążyła coś jeszcze powiedzieć.

- Cara przejęła moc kogoś, kto miał dar z elementem potrzebnej tu magii. Dlatego może podróżować. Nie ma na to rady. Musisz zostać.

Rikka wcale nie była zadowolona, ale kiwnęła głową.

- No to już się lepiej zbierajcie.

- Pójdź - rzekła sylfa do Richarda - a będziemy podróżować. W jakim miejscu chcesz się znaleźć?

Richard już miał odpowiedzieć, ale się powstrzymał. Popatrzył na Rikkę.

- Nie możesz pójść z nami, myślę więc, że lepiej będzie, jeśli teraz

odejdiesz, żebyś nie słyszała, dokąd się wybieram. Nie chcę ryzykować, że jakoś z ciebie wyciągną tę informację. Mój dziadek, kiedy chce, potrafi być bardzo sprytny i stosuje różne sztuczki, żeby dopiąć swego.

- Nie musisz mi tego mówić - westchnęła z rezygnacją Rikka. - Masz rację, lordzie Rahlu. - Uśmiechnęła się do Cary. - Ochroniaj go.

Cara skinęła głową.

- Zawsze to robię. Beze mnie jest całkiem bezradny. Richard zignorował jej przechwałkę.

- Rikko, chcę, żebyś coś powiedziała ode mnie Zeddowi. Chcę mu przekazać wiadomość.

Rikka zmarszczyła brwi i w skupieniu słuchała.

- Powiedz mu, że cztery Siostry Mroku porwały Kahlan, prawdziwą Matkę Spowiedniczkę, nie zwłoki pogrzebane w Aydindril. Powiedz mu, że zamierzam wrócić najszybciej, jak zdołam, i przynieść mu dowód. Proszę, żeby po moim powrocie pozwolił mi zaprezentować ów dowód, zanim spróbuje mnie uleczyć. I przekaż mu, że go kocham i rozumiem jego troskę o mnie, ale że robię to, co powinien zrobić Poszukiwacz, którym mnie obwołał, dając mi Miecz Prawdy.

Kiedy Rikka odeszła, Cara spytała:

- Jaki dowód?

- Nie wiem. Jeszcze go nie znalazłem. - Spojrzał na Nicci. - Nie zapominaj o tym, co ci mówiłem. Musisz oddychać sylfą, kiedy się w niej zanurzymy. Początkowo będziesz się starała wstrzymać oddech, ale to niemożliwe. Kiedy dotrzemy na miejsce i wynurzymy się z sylfy, musisz ją wyrzucić z płuc i znów oddychać powietrzem.

Nicci była bardzo zdenerwowana, Richard wziął ją więc za rękę by dodać jej otuchy.

- Będę przy tobie, Cara też. Już to przedtem robiliśmy. Nie puszczę cię. Za pierwszym razem trudno się zmusić do oddychania sylfą, ale jak już to zrobisz, to się przekonasz, jakie to wspaniałe doznanie. Oddychać sylfą to upojenie.

- Upojenie - powtórzyła z niedowierzaniem Nicci.

- Lord Rahl ma rację - wtrąciła się Cara. - Przekonasz się.

- Ale o jednym pamiętaj - dodał Richard - choć na końcu wcale nie będziesz chciała wyrzucić sylfy z płuc i znów oddychać powietrzem, musisz

to zrobić. Bo inaczej umrzesz. Rozumiesz?

- Oczywiście - powiedziała Nicci i skinęła głową, żeby go upewnić.

- No to chodźmy. - Richard zaczął się wdrapywać na obmurowanie studni, ciągnąc za sobą Nicci.

- Dokąd będziemy podróżować, panie?

- Powinniśmy się udać do Pałacu Ludu w D'Harze. Znasz to miejsce?

- Oczywiście. Pałac Ludu to główna składnica.

- Główna składnica?

O ile żywe srebro mogło się zdumieć pytaniem, o tyle sylfa się zdumiała.

- Tak, główna składnica. To miejsce tutaj też jest główną składnicą.

Richard nic nie zrozumiał, ale uznał, że to nie ma znaczenia, więc nie drążył tematu.

- Rozumiem.

- Dlaczego właśnie Pałac Ludu? - spytała Nicci. Richard wzruszył ramionami.

- Gdzieś się musimy przenieść. W pałacu będziemy bezpieczni. A co ważniejsze, są tam biblioteki pełne unikatowych starych ksiąg. Mam nadzieję, że może znajdziemy tam coś o chainfire. Skoro Siostry więżą Kahlan, to myślę, że chainfire to jakiś rodzaj magii. Z tego, co słyszeliśmy, wynika, że idąca na południe d'harańska armia jest gdzieś w pobliżu. A co ważniejsze, Berdine, Mord-Sith, którą zostawiłem w Aydindril, powinna być albo przy wojsku, albo w pałacu. Potrzebna mi jej pomoc w przetłumaczeniu ksiąg, które ze sobą zabieram. No i to ona ma pamiętnik Kolo, więc może już coś pomocnego tam wyczytała.

Zerknął na Carę.

- Może spotkamy generała Meifferta i przekonamy się, jak się sprawy mają z naszymi wojskami.

Szeroki uśmiech i zdumienie rozjaśniły twarz Cary. Nicci z namysłem skinęła głową.

- Uważam, że to sensowne i że to miejsce równie dobre jak każde inne. Oddali cię od bezpośredniego zagrożenia, a to się w tej chwili najbardziej liczy.

- Sylfo - rzekł Richard - chcemy podróżować do Pałacu Ludu w D'Harze.

Wysunęło się srebrzyste ramię i objęło całą trójkę. Richard poczuł, jak wzmacnia się ciepły, płynny nacisk żywego srebra. Nicci kurczowo wczepiła

się w jego dłoń.

- Lordzie Rahlu? - spytała Cara.

Uniesieniem wolnej ręki powstrzymał sylfę, zanim zdążyła ich unieść w głąb studni.

- O co chodzi?

Cara przygryzła wargę i w końcu powiedziała:

- Czy mógłbyś i mnie trzymać za rękę? Nie chciałabym, żebyśmy się rozdzielili.

Richard z trudem powściągnął uśmiech, patrząc na jej zatroskaną minę. Cara bała się magii, nawet jeśli już raz tak podróżowała.

- Jasne - odparł i wziął ją za rękę. - Ja też nie chciałbym, żebyśmy się rozdzielili.

Nagle coś mu przyszło na myśl.

- Zaczekaj! - powstrzymał sylfę, zanim zdążyła cokolwiek zrobić.

- Tak, panie?

- Czy znasz osobę o imieniu Kahlan? Kahlan Amnell, Matkę Spowiedniczkę?

- To imię nic mi nie mówi.

Richard westchnął, rozczarowany. Właściwie to nie spodziewał się, że sylfa pamięta Kahlan. Nikt nie pamiętał.

- A może znasz miejsce zwane Głęboką Głuszą?

- Znam kilka miejsc w Głębokiej Głuszy. Niektóre miasta zostały zniszczone, lecz niektóre nadal istnieją. Mogę do nich podróżować, jeżeli chcesz.

Zdumionemu Richardowi mocno zabiło serce.

- A czy któreś z tych miejsc w Głębokiej Głuszy również jest główną składnicą?

- Tak, jedno z nich - odparła sylfa. - Caska, w Głębokiej Głuszy, jest główną składnicą. Czy pragniesz tam podróżować?

Richard popatrzył na Nicci i Carę.

- Czy któraś z was słyszała o Casce? Nicci potrząsnęła głową.

Cara zmarszczyła czoło.

- Przypominam sobie, że coś o tym słyszałam, kiedy byłam mała. Przykro mi, lordzie Rahlu, ale nie pamiętam dokładnie, co to było. Po prostu znajoma nazwa ze starych legend.

- Jak to legend?

Cara wzruszyła ramionami.

- Stare d'harańskie legendy... o zsyłających sny. Historie, które ludzie opowiadają. Coś z dziejów D'Hary. Caska to nazwa z dawnych czasów.

Dawne czasy. Zsyłający sny. Richard przypomniał sobie, że kiedy kartkował Gegendrauss, książkę, którą znalazł w komnacie za dwiema osłonami, natknął się na zapiski o zsyłających sny, ale nie przetłumaczył tego fragmentu. Był władcą imperium D'Hary, ale bardzo niewiele wiedział o tej tajemniczej krainie.

Choć Cara niczego więcej nie pamiętała, to Richard i tak czuł, że jest o krok bliżej odnalezienia Kahlan.

- Pragniemy podróżować - powiedział do sylfy. - Chcemy podróżować do Caski w Głębokiej Głuszy.

Od podróży w sylfie minęło sporo czasu i Richard miał trochę oporów, ale zagłuszyła je ekscytacja tym, że wreszcie zaczynał się zbliżać do poznania prawdy, do zdobycia informacji, które mu tak długo umykały.

- A więc podróżujemy do Caski - rzekła sylfa.

Jej głos odbił się echem w kamiennej komnacie, w której niegdyś zmarł pilnujący sylfy Kolo, kiedy dobiegła kresu wielka wojna.

Ramię uniosło ich wszystkich z obmurówki i zanurzyło w srebrnej pianie. Nicci jeszcze mocniej ścisnęła dłoń Richarda, kiedy nabrała powietrza przed zanurzeniem się.

ROZDZIAŁ 60

Richard z szybkością strzały mknął przez aksamitną ciszę sylfy, a jednocześnie płynął z powolną gracją kruka unoszonego powietrznymi prądami ponad olbrzymimi drzewami w księżycową noc. Nie było ni ciepła, ni chłodu. W otaczającej go ciszy jego umysł wypełniały słodkie dźwięki. Oczy widziały w jednej chwili blask i mrok, płuca wypełniała słodycz sylfy, którą wdychał aż do głębi swej duszy.

To było upojenie.

I nagle się skończyło.

Pojawił się ziarnisty mrok. Wynurzył się na powierzchnię, gdzie otaczały go jakieś kanciaste kształty. Dłoń Nicci w przerażeniu ścisnęła jego rękę.

- Oddychaj - nakazała mu sylfa.

Richard opróżnił płuca ze słodyczy, z upojenia. Gwałtownie wciągnął pełne obcości powietrze. Cara też spazmatycznie wdychała gorące, pełne kurzu powietrze.

Nicci, twarzą w dół, łagodnie się kołysała w srebrzystej cieczy.

Richard przerzucił ramię przez kamienną ściankę przy sylfie, pociągnął Nicci. Zdjął z pleców łuk, żeby mu nie przeszkadzał, i pospiesznie oparł go o murek. Z pomocą sylfy przeskoczył przez obmurówkę. A potem sylfa uniosła Nicci i jej głowa oraz ramiona wynurzyły się w gorące, mroczne powietrze.

Richard klepnął czarodziejkę w plecy.

- Oddychaj, Nicci. Oddychaj. No już. Musisz wypuścić sylfę z płuc i oddychać. Zrób to dla mnie.

I w końcu to zrobiła. Spazmatycznie łapała powietrze, młóćąc rękami, przerażona obcym otoczeniem. Richard przyciągnął ją ku sobie, pomógł jej przełożyć ręce przez murek i wydostać się z sylfy.

Na przyczepionych do ścian uchwytych leżały szklane kule, podobnie jak w Wieży Czarodzieja; rozjarzyły się, gdy tylko się wydostał ze studni sylfy.

- Gdzie jesteśmy, jak myślisz? - spytała Cara, rozglądając się dokoła w mglistym świetle.

- To było... upojenie - powiedziała Nicci, ciągle jeszcze pod wrażeniem tego, co właśnie przeżyła.

- Przecież ci mówiłem - odparł Richard, pomagając jej zejść z

obmurowania studni.

- To wygląda jak jakieś kamienne pomieszczenie - oznajmiła Cara, obchodząc je.

Richard ruszył w ciemność w jednym z krańców pomieszczenia i dwie większe kule, tkwiące w wysokich żelaznych stojakach, rozjarzyły się niezwykłym zielonym blaskiem. Stwierdził, że stoją po obu stronach schodów. Schodów wiodących wprost ku sufitowi.

- Jakie to dziwne - rzekła Cara, stojąc na drugim stopniu i badawczo się przyglądając ciemnemu stropowi.

- O, tu - odezwała się Nicci; pochylała się ku czemuś z boku schodów. - Tu jest metalowa płytka.

Richard widywał już takie metalowe płytki. Uruchamiały osłony. Nicci przytknęła do płytki dłoń, ale nic się nie stało. Teraz on przycisnął dłoń do lodowatego metalu i kamień zaczął się z chrzęstem przesuwac. Posypał się kurz.

Wszyscy troje się cofnęli i zaczęli się rozglądać po ciemnym pomieszczeniu, starając się wypatrzeć, co się właściwie przesuwa. Ziemia drżała. Miało się wrażenie, że całe pomieszczenie się przekrzywia, zmieniając kształt. Richard się zorientował, że to strop się odsuwa.

Na stopnie padła plama księżycowej poświaty, stawała się coraz większa.

Richard nie miał pojęcia, gdzie są, wiedział tylko, że stoją w kamiennym pomieszczeniu, prawdopodobnie znajdującym się pod ziemią. Nie wiedział, gdzie jest Caska. Sylfa powiedziała, że to w Głębokiej Głuszy, lecz nie miał pojęcia, gdzie to jest i czego się spodziewać. Czuł się nieswojo.

Sięgnął do miecza.

Miecza nie było. Po raz tysięczny poczuł żal, uświadamiając sobie, dlaczego go nie ma i gdzie teraz jest.

Wyciągnął więc z pochwy długi nóż i na ugiętych nogach ruszył w górę schodami; pochylał nisko głowę nie tylko dlatego, żeby nie zawadzić o ciągle jeszcze przesuwany strop, ale i z ostrożności - nie miał pojęcia, kto po drugiej stronie mógł usłyszeć zgrzyt przesuwanego kamienia. Cara, widząc, że wyciągnął nóż, zacisnęła w pięści Agiel. Próbowwała wyprzedzić Richarda, ale wyciągnął ramię i zatrzymał ją za sobą, po lewej. Nicci była tuż za nim, po prawej.

Kiedy się wynurzył spod ziemi, zobaczył ciemne kontury trojga stojących

w pobliżu ludzi. Wiedział, że dopóki się całkiem nie otrząsnął po podróży w sylfie, miał bardziej niż zwykle wyostrzony wzrok. Pewnie widział ich wyraźniej niż oni jego.

Dzięki temu ujrzał, że stojący pośrodku wielkolud trzyma przed sobą smukłą dziewczynę. Jedną dłonią zasłaniał jej usta. Richard widział, jak się szarpała. Ostrze noża, dotykające jej szyi, lśniło w księżycowej poświacie.

- Rzuć broń - warknął trzymający dziewczynę - i poddaj się Imperialnemu Ładowi albo giń.

Richard podrzucił nóż, pozwolił mu zrobić półobrót i chwycił za czubek. Na głowie tamtego nagle wylądował jakiś czarny kształt. Ptak przeraźliwie zakrakał. Żołnierz się zdrygnął. Richard nie marnował czasu na dziwienie się owemu nieoczekiwanemu atakowi. Cisnął nożem.

Ptak rozłożył szeroko skrzydła i wzbił się w powietrze. Nóż z głuchym łupnięciem trafił tamtego w środek twarzy. Richard wiedział, że ostrze było wystarczająco długie, żeby przebić mózg i wyjść z tyłu czaszki. Żołnierz padł za trzęsącą się dziewczyną - umarł, nim zdążył pomyśleć, żeby ją ranić.

Zanim żołnierze stojący po obu stronach dziewczyny zdołali zrobić choć pół kroku, Nicci uwolniła swoją moc i pozbawiła ich głów. Uderzyły o ziemię z głuchym stukiem. Ciała się osunęły po obu bokach dziewczyny.

Ciszę nocy zakłócała jedynie pieśń cykad.

Dziewczyna podeszła do nich niepewnie i upadła na kolana. Skłoniła się nisko przed stojącym na stopniach Richardem, dotknęła czołem kamieni u jego stóp.

- Jestem twoją pokorną sługą, lordzie Rahlu. Dziękuję, żeś przybył i ochronił mnie. Żyję tylko po to, żeby ci służyć. Moje życie należy do ciebie. Rozkazuj mi wedle swej woli.

Kiedy tak przemawiała drżącym głosem, Nicci i Cara ruszyły w przeciwnie strony, wypatrując innych zagrożeń. Richard dotknął palcem ust, nakazując im milczenie, żeby nie zaalarmowały innych żołnierzy, gdyby byli w pobliżu. Obie dostrzegły jego znak i potakująco kiwnęły głowami.

Richard czekał i nasłuchiwał. Pozwolił dziewczynie zostać na ziemi, poza zasięgiem ewentualnego zagrożenia. Usłyszał szelest piór, kiedy kruk lądował na pobliskiej gałęzi, i cichy szmer składanych ptasich skrzydeł.

- Pusto - oznajmiła Nicci, wyłaniając się z ciemności. - Moja Han mówi, że w pobliżu nie ma innych.

Uspokojony Richard rozluźnił mięśnie. Usłyszał, że dziewczyna cicho płacze ze strachu, i usiadł tuż obok niej, na szczycie schodów. Podejrzał, iż się boi, że mogą ją zabić jak tamtych trzech. Chciał ją zapewnić, że nie umrze.

- Już wszystko dobrze - powiedział, delikatnie ujmując ją za ramiona i podnosząc. - Nic ci nie zrobię. Teraz jesteś bezpieczna.

Kiedy się wyprostowała, objął ją opiekuńczo i przytulił jej głowę do swojego ramienia, kiedy zerknęła na trzech martwych żołnierzy, jakby mogli przyskoczyć i porwać ją. Była szczuplutkim stworzeniem, dziewczyną, która wkrótce stanie się kobietą, lecz wyglądała jak kruchy pisklak mający wyfrunąć z gniazda. Objęła Richarda szczupłymi ramionami, pełna wdzięczności, i szlochała z ulgi.

- Ten ptak to twój przyjaciel? - zapytał.

- Lokey - potwierdziła skinieniem głowy. - Czuwa nade mną.

- Dobrze się tej nocy spisał.

- Już myślałam, że się nie zjawisz, mistrzu Rahlu. Że to moja wina, bo nie byłam dobrą kapłanką.

Richard pogładził ją po głowie.

- Skąd wiedziałaś, że mam się zjawić?

- Opowieści to zapowiadały. Ale już tak długo czekałam, że zaczęłam myśleć, że to pewnie nieprawda. Byłam bliska rozpacz, że uznasz nas za niegodnych i że to przeze mnie.

Pomyślał, że te opowieści to pewnie jakiś rodzaj przepowiedni.

- Powiedziałaś, że jesteś kapłanką?

Potaknęła i odchyliła się, żeby popatrzeć na jego uśmiech. Dopiero wtedy zobaczył, że jej wielkie miedzianej barwy oczy patrzyły z wymalowanej na twarzy czarnej opaski. To było zatrważające oblicze.

- Jestem kapłanką kości. Wróciłeś, żeby mi pomóc. Jestem twoją służką. To ja mam zsyłać sny.

- Wróciłem?

- Do życia. Wróciłeś od zmarłych. Tylko się w nią wpatrywał.

Nicci przykucnęła obok dziewczyny.

- Dlaczego twierdzisz, że wrócił od zmarłych? Dziewczyna wskazała za nich, na budowlę, z której wyszli.

- Ze świata zmarłych... z powrotem do świata żywych. Imię jest wryte na

grobie.

Richard się odwrócił - rzeczywiście, na pomniku widniało jego imię. Natychmiast przypomniało mu się wyryte w kamieniu imię Kahlan. Obydwoje żyli, chociaż mieli swoje groby.

Dziewczyna spojrzała na Carę, potem na Nicci.

- Opowieści głoszą, że powrócisz do życia, lordzie Rahlu, ale nie wspominają, że sprowadzisz ze sobą duchy-towarzyszy.

- Nie wróciłem od zmarłych - wyjaśnił jej Richard. - Przybyłem sylfą, która jest na dole, w studni.

Skinęła głową.

- Studnia zmarłych. Opowieści wspominają o tej tajemniczej rzeczy, ale nigdy nie wiedziałam, co to oznacza.

- Czy mam się do ciebie zwracać „kapłanko” czy po imieniu?

- Jesteś mistrzem Rahlem, możesz mnie nazywać, jak ci się podoba. Mam na imię Jillian. Takie imię noszę przez całe życie. Nie jestem zbyt długo kapłanką i pewnie dlatego nie jestem w tym za dobra. Dziadek powiedział, że skoro nadszedł czas, to nieważne, ile mam lat, bo liczy się tylko to, że czas w końcu nadszedł.

- Mogę do ciebie mówić Jillian? - zapytał z uśmiechem. Była zbyt wystraszona, żeby odwzajemnić uśmiech.

- Byłoby mi miło, mistrzu Rahlu.

- Mam na imię Richard. Byłoby mi miło, gdybyś tak do mnie mówiła.

Kiwnęła głową, patrząc na niego wielkimi, pełnymi trwożliwego podziwu oczami. Richard nie wiedział, czy ona patrzy tak na mistrza Rahla czy na wskrzeszonego zmarłego, który wyszedł z własnego grobu.

- Nic nie wiem o twoich opowieściach, Jillian, ale musisz zrozumieć, że nie wróciłem ze świata zmarłych. Przybyłem tutaj, bo mam kłopoty i poszukuję odpowiedzi na moje pytania.

- No to znalazłeś kłopoty. Zabiłeś trzy z nich. A odpowiedź brzmi, żebyś mi pomógł zesać sny, którymi byśmy mogli przepędzić tych złych ludzi. Przez nich większość mojego ludu musiała się ukryć. Starsi są tam. - Wskazała ku ciemnemu stokowi. - Drżą z obawy, że ci ludzie ich zabiją, jeżeli nie znajdą tego, czego szukają.

- A czego szukają? - zapytał Richard.

- Nie wiem za dobrze. Ukrywałam się wśród duchów naszych przodków.

Musieli w końcu kogoś skłonić, żeby im o mnie powiedział, bo znali moje imię, kiedy mnie schwytali. Długo się przed nimi ukrywałam. Dziś zaczailli się w pobliżu miejsca, gdzie schowałam część żywności. Złapali mnie i chcieli, żebym im pokazała, gdzie są księgi.

- To nie są zwyczajni żołnierze Imperialnego Ładu - wyjaśniła Nicci, widząc pytającą minę Richarda. - To zwiadowcy.

Richard spojrział na leżące nieopodal ciała.

- Skąd wiesz?

- Bo regularne oddziały Imperialnego Ładu nigdy nie proszą, żeby złożyć broń i się poddać. Jeńców biorą tylko zwiadowcy, szukający dróg przez obce ziemie i starający się zdobyć jak najwięcej informacji. Przesłuchują ludzi. Tych, co nie chcą mówić, odsyłają na tortury. To właśnie zwiadowcy znaleźli kryjówki z księgami, które przesłano imperatorowi. Wyszukują oni nie tylko najdogodniejsze szlaki dla żołnierzy, ale mają za zadanie odnajdywać coś o wiele dla imperatora cenniejszego: wiedzę, a zwłaszcza tę zapisaną w księgach.

Richard wiedział, że istotnie tak jest. Jagang był znawcą dziejów i dokonań dawnych czasów i wykorzystywał tę wiedzę dla własnych celów. I dotychczas to Richard zawsze starał się odkryć to, co Jagang już wiedział.

- Czy ci żołnierze odnaleźli księgi? - spytał Jillian. Miedzianej barwy oczy zamrugały.

- Dziadek powiedział mi o księgach, ale nic nie wiem o tych, co niby mają tu być. Miasto jest opuszczone od bardzo, bardzo dawna. Jeżeli były tu księgi, to pewnie już dawno je zrabowano, razem ze wszystkim, co miało jakąś wartość.

Richard nie to miał nadzieję usłyszeć. Liczył, że może znajdzie tu coś, co mu umożliwi rozwiązanie paru kwestii. Przecież Shota mu powiedziała, że musi odnaleźć miejsce kości w Głębokiej Głuszy. A ten cmentarz wokół z całą pewnością był miejscem kości.

- Czy ta okolica zwie się Głęboką Głuszą? - spytał. Jillian potaknęła.

- To rozległy teren, na którym mało kto żyje. Tylko mój lud potrafi przeżyć w tej nieprzystępnej krainie. Ludzie zawsze bali się tu osiedlać. Zbielałe kości tych, co się tu zapędzili, leżą wszędzie dokoła i ku południu, do wielkiej bariery. Ziemie te nazywają Głęboką Głuszą.

Richard zorientował się, że musi to być coś podobnego do midlandzkiej

Dziczy.

- Wielka bariera? - spytała podejrzliwie Cara. Jillian popatrzyła na Mord-Sith.

- Wielka bariera, która chroni nas przed Starym Światem.

- To musi być południowa D'Hara - wyjaśniła mu Cara. - To dlatego w dzieciństwie słyszałam opowieści o Casce: bo to w D'Harze.

Jillian wskazała ręką.

- To siedziba moich przodków. W dawnych czasach zniszczyli ich ci ze Starego Świata. Oni też zsyłali sny. - Spojrzała w ciemność, ku południu. - Ale im się nie udało i zostali zniszczeni.

Richard nie miał czasu na zastanawianie się nad tym wszystkim. I tak miał dość kłopotów.

- Słyszałaś kiedyś o chainfire? Jillian zmarszczyła brwi.

- Nie. Co to jest chainfire?

- Nie wiem. - Stukał palcem o dolną wargę i zastanawiał się, co teraz robić.

- Richardzie - odezwała się Jillian - musisz mi pomóc zesłać sny, które by przepędziły tych ludzi, żeby mój lud był znów bezpieczny.

Popatrzył na Nicci.

- Może wiesz, jak mógłbym coś takiego zrobić?

- Nie. Ale zapewniam cię, że reszta żołnierzy wcześniej czy później się tu zjawi, żeby sprawdzić, co się stało z tymi trzema. To nie są zwykli żołnierze Imperialnego Ładu. Mogą być równie brutalni, ale są z nich wszystkich najbystrzejsi. Wydaje mi się, że przy zsyłaniu snów byłby ci potrzebny dar... w wiadomych okolicznościach nie byłoby to jednak wskazane.

Richard wstał, oparł rękę o biodro i zapatrzył się na mroczne miasto na przedgórzu.

- Szukaj tego, co od dawna pogrzebane... - szepnął do siebie; obrócił się ku Jillian. - Powiedziałaś, że jesteś kapłanką kości. Chcę, żebyś mi przekazała wszystko, co wiesz o kościach.

Jillian pokręciła głową.

- Najpierw musisz mi pomóc zesłać sny, żebym mogła przepędzić obcych i żeby mój dziadek i reszta ludu byli bezpieczni.

Richard westchnął z desperacją.

- Posłuchaj, Jillian, nie wiem, jak ci pomóc w zsyłaniu snów, i nie mam

czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Ale uważam, że do tego potrzebna jest magia, jak to już powiedziała Nicci, a ja nie mogę się nią posłużyć, bo mogłoby to przywabić bestię, która z kolei mogłaby zabić cały twój lud. Owa bestia zabiła już wielu towarzyszących mi przyjaciół. Chcę, żebyś mi pokazała wszystko, co wiesz o tym, co jest od dawna pogrzebane.

Jillian ocierała łzy.

- Oni trzymają tam dziadka i pozostałych. Zabiją go. Najpierw musisz ocalić dziadka. Poza tym on jest opowiadaczem i wie o wiele więcej ode mnie.

Richard pokrzepiająco dotknął jej ramienia. Sam też by się okropnie czuł, gdyby ktoś wedle niego potężny odmawiał ocalenia jego dziadka.

- Mam pomysł - odezwała się Nicci. - Jestem czarodziejką, Jillian. Wiem wszystko o tych żołnierzach, wiem, jak działają. Wiem, jak sobie z nimi poradzić. Ty pomóż Richardowi, a ja w tym czasie pójdę tam i się ich pozbędę. Kiedy z nimi skończę, to już nie będą groźni ani dla ciebie, ani dla twoich bliskich.

- Jeśli ja pomogę Richardowi, to ty pomożesz mojemu dziadkowi?

- Obiecuję. - Uśmiechnęła się Nicci. Jillian spojrzała na Richarda.

- Nicci zawsze dotrzymuje słowa - zapewnił ją.

- Dobrze. Pokażę Richardowi wszystko, a ty ich nakłonisz, żeby nas zostawili w spokoju.

- Caro - odezwał się Richard - idź z Nicci i strzeż jej.

- A kto będzie strzegł ciebie?

Richard postawił stopę na głowie zabitego żołnierza i wyszarpnął z buta nóż. Wskazał ostrzem.

- Lokey będzie nas strzegł.

Cara wcale nie wyglądała na rozbawioną.

- Kruk ma cię strzec?

Wytarł ostrze do czysta o koszulę zabitego, po czym wsunął nóż do wiszącej przy pasie pochwy.

- Kapłanka kości będzie mnie strzec. W końcu tak długo tu na mnie czekała. To Nicci będzie w niebezpieczeństwie. Byłbym ci wdzięczny, gdybyś jej pilnowała.

Cara zerknęła na Nicci, jakby pojęła jakiś głębszy sens.

- Będę jej strzec dla ciebie, lordzie Rahlu.

ROZDZIAŁ 61

Nicci i Cara ruszyły tam, gdzie wedle słów Jillian była reszta żołnierzy Imperialnego Ładu, Richard zaś zszedł do swojego grobu i wziął najmniejszą ze szklanych kul. Wsunął ją do plecaka, żeby mu nie przeszkadzała widzieć w mroku, a była pod ręką, kiedy wejdą do któregoś z budynków w mieście. Wcale mu się nie uśmiechało przeszukiwanie w ciemnościach prastarych, rozpadających się budowli.

Jillian przypominała kota, znajdującego wszystkie zakamarki starożytnego miasta na przedgórzu. Szli ulicami prawie całkowicie zasypanymi gruzem i fragmentami dawno zwalonych murów. Miejscami na szczątkach osiadł niesiony wiatrem kurz i pył, tworząc niewielkie wzniesienia; i teraz rosły tam pomiędzy budynkami drzewa. Do wielu domów Richard nie miał zamiaru wchodzić, bo widział, że są gotowe się zawalić przy mocniejszym podmuchu wiatru. Inne wciąż były w stosunkowo dobrym stanie.

Jeden z większych budynków, do których zaprowadziła go Jillian, miał wzdłuż fasady łuki, w których niegdyś zapewne były okna; a może były to podcienia otwarte na wewnętrzny dziedziniec. Kiedy Richard szedł po podłodze, skrzypiały mu pod butami okruchy zaprawy. Całą posadzkę pokrywała mozaika z niewielkich kolorowych płytek. Barwy już dawno wyblakły, ale Richard wciąż na tyle mógł je odróżnić, że widział, iż faliste linie tworzyły kształty drzew, rozsianych po otoczonej murem przestrzeni, poprzecinanej dróżkami biegnącymi pośród grobów.

- Ten budynek to wejście do jednej z części cmentarza - wyjaśniła Jillian.

Richard zmarszczył brwi i nieco się pochylił, przyglądając się mozaice. Było w niej coś dziwnego. Blask księżycy padał na wyrysowane postaci, niosące na cmentarz półmiski z chlebem i czymś, co wyglądało na mięsiwa, oraz na postaci wracające z pustymi półmiskami.

Wyprostował się, kiedy dobiegł ich z oddali przerażający wrzask; obydwójce z Jillian znieruchomieli, nasłuchując. W chłodnym nocnym powietrzu przypląnęły ku nim kolejne dalekie wrzaski i zawodzenia.

- Co to było? - wyszeptała Jillian, szeroko otwierając oczy.

- To Nicci pozbywa się napastników. Gdy skończy, twój będzie bezpieczny.

- Chcesz powiedzieć, że robi im krzywdę?

Zorientował się, że taki pomysł był dziewczynie zupełnie obcy.

- Ci żołnierze wyczynialiby różne okropieństwa z twoimi współbraćmi, także z twoim dziadkiem. Gdyby zdołali pewnego dnia wrócić, toby ich pozabijali.

Odwróciła się i spojrzała poprzez łuki.

- To nie byłoby w porządku. Ale sny by ich przepędziły.

- Czy zesłanie snów ocaliło twoich przodków? Ocaliło mieszkańców tego miasta?

Znów popatrzyła mu w oczy.

- Nie.

- Najważniejsze, żeby ludzie, którzy cenią życie, tacy jak ty, twój dziadek i twój lud, byli bezpieczni. A to czasami oznacza, że trzeba wyeliminować tych, którzy mogliby was skrzywdzić.

Przełknęła ślinę.

- Tak, lordzie Rahlu.

Położył dłoń na jej ramieniu i uśmiechnął się.

- Richardzie. Jestem lordem Rahlem, który pragnie, żeby ludzie żyli bezpiecznie i wedle swej woli.

Wreszcie się uśmiechnęła.

Richard ponownie spojrzał badawczo na mozaikę.

- Wiesz, co to oznacza? Ta mozaika?

Przestała nasłuchiwać płynących ku nim z oddali upiornych wrzasków bólu i też spojrzała na mozaikę.

- Widzisz te mury? Opowieści mówią, że otaczają one groby mieszkańców miasta. A tu teraz jesteśmy - mówiła, pokazując. - To przejście do świata zmarłych. Opowieści mówią, że zawsze tu byli umarli, tylko tu można ich było umieszczać w murach miasta. Ludzie nie chcieli, żeby ich bliscy byli daleko od nich, daleko od miejsca świętego dla ich przodków, więc porobili przejścia, w których mogli znaleźć miejsce spoczynku dla nich.

Richardowi przypomniały się słowa Shoty: „Musisz znaleźć miejsce kości w Głębokiej Głuszy. To, czego szukasz, dawno zostało pogrzebane”.

- Pokaż mi to miejsce - powiedział do Jillian. - Zaprowadź mnie tam.

Trudniej było się tam dostać, niż się spodziewał. W budynku mieścił się cały labirynt korytarzy i komnat. Niektóre zamiast sufitów miały gwiaździste niebo, a wchodziło się z nich wprost w ciemny mrok w głębi

budynku.

- To droga zmarłych - wyjaśniła Jillian. - Tędy ich przenoszono. Niesiono ich tą drogą w nadziei, że dusze zmarłych zostaną zmylone przez te wszystkie przejścia i nie będą w stanie powrócić. Zamknięte w tej budowli, nie mogąc wrócić pomiędzy żywych, miały się w końcu udać do świata duchów.

Wreszcie znów się znaleźli pod nocnym niebem. Sierp księżyca wisiał nad pradawnym miastem Caska. Lokey kołował w górze i wołał coś do swojej przyjaciółki. Pomachała mu. Rozciągający się przed Richardem cmentarz był spory, ale wydawał się niewystarczający dla tak dużego miasta.

Poszedł z Jillian dróżką pomiędzy stłoczonymi grobami. Tu i tam rosły sękate drzewa. Było to spokojne, zalane księżycową poświatą miejsce, usiane dzikimi kwiatami.

- Gdzie są te przejścia, o których mówiłaś?

- Przykro mi, Richardzie, ale nie wiem. Opowieści o nich wspominają, ale nie mówią, jak je odnaleźć.

Richard, z Jillian u boku, przeszukiwał cmentarz; księżyc był coraz wyżej, a on nie mógł odnaleźć żadnego przejścia. Był to taki sam cmentarz jak wszystkie inne. W jednym z sektorów, blisko siebie, znajdowało się sporo kamieni nagrobnych. Niektóre jeszcze stały, inne - dawno temu przewrócone - leżały na ziemi albo nawet obrosły je rośliny.

Miał coraz mniej czasu. Nie mógł tkwić w Casce i słuchać pieśni cykad. To go do niczego nie prowadziło. Musiał szukać odpowiedzi tam, gdzie potrafiłby je odnaleźć. To starodawne miasto nie było odpowiednim po temu miejscem.

W Pałacu Ludu w D'Harze będą cenne księgi, które jeszcze nie wpadły w szpony Jaganga. Prędzej tam znajdzie użyteczne informacje niż na tym opuszczonym cmentarzu.

Usiadł na stoku niewielkiego wzgórka, pod drzewkiem oliwnym, żeby się zastanowić, co dalej robić.

- Czy znasz jakieś inne miejsce, w którym by mogły być te przejścia, o których wspominają opowieści?

Jillian namyślała się, wykrzywiając usta.

- Żałuję, ale nie. Kiedy już będzie bezpiecznie, możemy porozmawiać z dziadkiem. On wie mnóstwo rzeczy, o wiele więcej niż ja.

Richard nie miał pojęcia, ile czasu musiałyby poświęcić na wysłuchanie opowieści jej dziadka. Lokey wylądował w pobliżu i ucztował, zajadając wychodzące spod ziemi cykady. Przez siedemnaście lat egzystowały pod powierzchnią, teraz wreszcie się wyłaniały - tylko po to, żeby je połknął kruk.

Richard przypomniał sobie proroctwo, które mu przeczytał Nathan. Były tam wspomniane cykady. Zastanawiał się dlaczego. Była tam mowa o tym, że gdy cykady się obudzą, to czeka ich rozstrzygająca walka. I że świat stanął na krawędzi mroku.

Krawędź mroku. Spojrzał na wyłaniające się cykady. Obserwował, jak się wynurzają spod ziemi.

I zorientował się, że wszystkie wychodzą ze szczeliny w kamieniu nagrobnym, leżącym na stoku niewielkiego wzniesienia. Lokey też to zauważył - wylądował tam i zajadał.

- Dziwne - powiedział do siebie.

- Co?

- Spójrz. Cykady nie wydostają się z ziemi, ale spod tego kamienia.

Richard ukląkł i wsunął palce w szczelinę. Pod spodem było pusto. Lokey przekrzywił łepkę i obserwował go. Szarpnął w górę, stęknąwszy z wysiłku. Kamień zaczął się podnosić i wtedy Richard się zorientował, że ma on z lewej zawiąsy. Wreszcie dał się podnieść.

Chłopak wpatrywał się w mrok. To nie był kamień nagrobny. To było kamienne zamknięcie przejścia. Natychmiast wyciągnął z plecaka szklaną kulę. Kiedy zaczęła się jarzyć, opuścił ją w mroczną czeluść.

Jillian aż się zachłysnęła oddechem.

- Schody!

- Chodź, ale ostrożnie.

Stopnie były kamienne, nieregularne, wąskie. Krawędź każdego z nich była starta przez niezliczone stopy, które tędy niegdyś chodziły. Przejście było wyłożone kamiennymi blokami, wytyczającymi szlak w głąb ziemi. Schody dochodziły do podestu i skręcały w prawo. Potem był kolejny podest, skręt w lewo - i schodziły jeszcze niżej. Kiedy wreszcie dotarli na sam dół, przejście otworzyło się na szersze korytarze, wycięte w miękkiej skale podłoża. Richard w jednej dłoni niósł jarzącą się kulę, drugą trzymał za rękę Jillian; pochylał się, żeby nie uderzać głową w niski strop. Wkrótce dotarli do skrzyżowania.

- Czy twoje opowieści mówią, jak tu odnaleźć drogę? - Potrząsnęła głową.
- Czego się nauczyłaś o tych wszystkich labiryntach? Czy to ci się teraz przyda?

- Bo ja wiem? Nawet nie wiedziałam, że to miejsce istnieje. Richard westchnął, zajrzał w oba korytarze.

- No dobrze. Zaczynam wchodzić głębiej. Powiedz, jeżeli coś rozpoznasz, jakąś trasę.

Przystąpiła na to i ruszyli lewym odgałęzieniem. Po obu stronach wąskiego przejścia zaczęły się pojawiać nisze, wydrążone w ścianach. W każdej tkwiły szczątki. Miejscami, jedna nad drugą, znajdowały się trzy nisze lub nawet pięć. W niektórych leżały szczątki dwóch osób, zapewne męża i żony.

Wokół niektórych wciąż jeszcze zachowały się pradawne malowidła. Miejscami wymalowano pnącza, ludzi niosących strawę lub pospolite wzory. Odmienne style i poziom zręczności autorów owych malowideł pozwoliły Richardowi się domyślić, że to bliscy je wykonali dla zmarłego członka rodziny.

Wąski korytarz doprowadził ich do pomieszczenia, z którego w różne strony rozbiegało się dziesięć przejść. Richard wybrał jedno z nich. I ono docierało do szerszych pomieszczeń, z których rozbiegał się labirynt przejść. Czasami schodzili niżej, niekiedy szlak się nieco wznosił.

Wkrótce zaczęli napotykać kości.

Były tam komnaty, gdzie w niszach złożono kości tego samego rodzaju. W jednej z nich pieczołowicie ułożono czaszki, w innej - kości nóg, w jeszcze innej - rąk. Wielkie kamienne zbiorniki, wydrążone w bocznych ścianach, wypełnione były porządnie ułożonymi mniejszymi kostkami. Richard i Jillian mijali kryptę po krypcie, widzieli ściany czaszek, których musiały być dziesiątki tysięcy. Było to tylko jedno przejście - i Richard nawet sobie nie potrafił wyobrazić, ilu ludzi musiano pogrzebać w tych katakumbach. Chociaż widok tylu szczątków przerażał, to wszystkie kości najwyraźniej złożono tu z wielką czcią. Żadnej nie rzucono w jakąś dziurę czy kąt. Każdą starannie ułożono, jakby była świadectwem cennego życia.

Przez ponad godzinę szli labiryntem tuneli. Każdy sektor był inny. Jedne były szerokie, inne wąskie, jeszcze inne miały po obu stronach spore pomieszczenia. Po pewnym czasie Richard uświadomił sobie, że każde takie wydrążone w miękkiej skale miejsce było przeznaczone dla jednej rodziny;

dlatego nisze w tak chaotyczny sposób wypełniały każdą odpowiednią po temu przestrzeń.

W końcu dotarli do miejsca, w którym przejście się częściowo zapadło. Upadł wielki kamienny blok, dokoła obsypał go rumosz. Richard przystanął i spojrzał na kamienne usypisko.

- No i tu się kończy nasza wędrówka.

Jillian przykucnęła, zajrzała pod ukośnie przegradzający przejście kamienny blok.

- Tam dalej jest droga. - Odwróciła się ku Richardowi; patrzące z czarnej, namalowanej na twarzy przepaski oczy barwy miedzi przerażały. - Jestem mniejsza. Chcesz, żebym tam przeszła i się rozejrzała?

Przysunął do otworu jarzącą się kulę, żeby lepiej widziała.

- Dobrze. Ale nie chcę, żebyś szła, jeżeli uważasz, że to niebezpieczne. Są tu tysiące tuneli, więc mamy gdzie szukać.

- Ale właśnie ten znalazł lord Rahl, więc musi być ważny.

- Jestem tylko człowiekiem, Jillian, a nie jakimś mądrym duchem, który powrócił ze świata zmarłych.

- Skoro tak mówisz, Richardzie. I wreszcie się uśmiechnęła.

Jillian zniknęła w kanciastym otworze niczym ptak przeciskający się przez kolczasty krzew.

- Lordzie Rahu! - rozległ się jej głos. - Tu są księgi!

- Księgi?! - zawołał.

- Tak. Całe mnóstwo. Ciemno tu, ale to wygląda jak wielkie pomieszczenie z księgami.

- Idę - odkrzyknął.

Musiał zdjąć plecak i popychać go przed sobą, kiedy tam wpełzał. Okazało się, że to nie takie trudne, jak się obawiał, i raz-dwa się przedostał. Kiedy wstał, będąc już po drugiej stronie, zorientował się, że blokujący przejście wielki kamienny blok był niegdyś drzwiami. Najwyraźniej miały się wysuwać ze szczeliny, wyciętej w bocznej ścianie - ale, być może z powodu jakiejś wady w kamieniu, ciężkie drzwi pękły i przewróciły się. Richard obejrzał całe to zawalisko, zmiotł dłonią kurz i zobaczył jedną z metalowych płytek, włączających osłonę.

Serce mu mocniej zabiło na myśl, że księgi przechowywano za osłoną.

Obrócił się ku pomieszczeniu. Ciepły blask, bijący od kuli, oświetlił pełną

ksiąg podziemną komnatę. Ściany tworzyły najdziwaczniejsze kąty, pozornie bez żadnego powodu. Richard i Jillian ruszyli przejściem, przyglądając się tym wszystkim księgom. Większość półek wycięto w skale, podobnie jak miejsca spoczynku zmarłych.

Richard uniósł kulę i zaczął przepatrywać półki.

- Posłuchaj - powiedział do Jillian. - Szukam czegoś konkretnego: „Chainfire”. To może być księga. Ty weź jedną stronę, ja zajmę się drugą. Sprawdź tytuł każdej księgi.

Jillian kiwnęła głową.

- Jeżeli tu jest, to ją znajdziemy.

Starożytna biblioteka była niesamowicie wielka. Szli powolutku, skręcili za róg i natknęli się na pomieszczenie wypełnione rzędami półek. Przesuwali się bardzo powoli. Musieli działać w tym samym sektorze, żeby się nie stracić z oczu.

Przez parę godzin wolniutko przesuwali się przez pomieszczenie. Natknęli się na boczne salki, mniejsze niż główna, ale również wypełnione księgami. Od czasu do czasu musieli zdmuchiwać kurz z grzbietów.

Kiedy dotarli do miejsca, w którym zobaczył kolejną metalową płytkę, Richard był już zmęczony i poirytowany. Przycisnął dłoń do płytki i kamienna ściana przed nimi zaczęła się odsuwać. Drzwi nie były duże i raz-dwa otworzyły się na mrok. Miał nadzieję, że osłony się wyłączały, kiedy rozpoznawały jego dar, że nie kazały jego mocy reagować na jakies niewyczuwalne polecenie. Wcale by mu się nie podobało, gdyby bestia się zmaterializowała w tych katakumbach.

Wsunął jarzącą się kulę w mrok i zobaczył małą izdebkę z księgami. Był tu też stół, który już dawno się załamał, bo spadła na niego część sufitu.

Jillian w skupieniu wodziła palcem po grzbietach ksiąg i odczytywała tytuły, a Richard pięcioma krokami przemierzył izdebkę i znalazł się przy przeciwległej ścianie. Zobaczył kolejną metalową płytkę i przytknął do niej dłoń.

Powoli odchyliły się kolejne wąskie kamienne drzwi, odsłaniając mrok. Richard pochylił się i stanął w nich, wsuwając kulę do wnętrza.

- Chcesz podróżować, panie? - zapytał kobiecy głos. Patrzył na światło odbijające się od srebrnej twarzy sylfy. To było pomieszczenie z jej studnią, do którego ich przywiodła. Drzwi znajdowały się w ścianie naprzeciwko

schodów, koło których znaleźli metalową płytkę otwierającą strop.

Większość nocy chodzili w kółko i wrócili tam, skąd zaczęli.

- Richardzie - odezwała się Jillian - spójrz.

Odwrócił się i ujrzał przed sobą księgę w czerwonej skórzanej oprawie, którą trzymała w rękach.

Tytuł brzmiał Chainfire.

Richard był tak wstrząśnięty, że aż odebrało mu mowę.

Jillian, uśmiechnięta, ucieszona znaleziskiem, weszła do komnaty sylfy za cofającym się Richardem, który wziął z jej rąk księgę.

Miał wrażenie, że obserwuje samego siebie, trzymającego księgę zatytułowaną Chainfire.

ROZDZIAŁ 62

Richard? - to był głos Nicci.

Wciąż jeszcze zaskoczony tym, że w końcu znalazł Chainfire, podszedł do schodów i spojrzał w górę. Nicci i Cara, oświetlone blaskiem poranka, patrzyły ku niemu.

- Znalazłem. To znaczy Jillian znalazła.

- Jak się tu dostaliście? - spytała Nicci, kiedy zaczęli wchodzić po schodach. - Dopiero co tam zaglądałyśmy i was nie było.

- Jillian? - rozległ się męski głos.

- Dziadek! - Jillian pędem wbiegła po schodach i padła w objęcia staruszka.

Richard wspiął się za nią. Nicci siedziała na najwyższym stopniu.

- Co się dzieje?

- To dziadek Jillian - powiedziała. - Jest opowiadaczem tego ludu, strażnikiem dawnej wiedzy.

- Miło cię poznać - rzekł Richard, ściskając dłoń starszego pana. - Masz wspaniałą wnuczkę. Bardzo mi pomogła.

- Sam byś to znalazł, gdybym pierwsza nie wypatrzyła - odparła z szerokim uśmiechem Jillian.

Richard odwzajemnił uśmiech. Spojrzał na Nicci.

- Co spotkało ludzi Jaganga? Nicci wzruszyła ramionami.

- Nocna mgła.

Jillian poszła z dziadkiem, żeby się przywitać z siedzącym na pobliskim murku Lokeyem, a Richard cicho rzekł do Nicci i Cary:

- Mgła?

- Tak. - Nicci splotła palce wokół kolana. - Dziwna dymna mgła ogarnęła ich i oślepiła.

- Nie ot, tak oślepiła - dodała z wyraźnym zachwytem Cara - ale sprawiła, że im oczy popękały w oczodołach. To była krwawa jatka. Podobało mi się.

Richard spojrzał na Nicci, marszcząc brwi i oczekując na wyjaśnienie.

- To zwiadowcy - powiedziała. - Znam ich, a oni znają mnie.

Wolałam, żeby mnie nie zobaczyli. A przede wszystkim chciałam, żeby się stali bezużyteczni dla Jaganga; to znaczy ci, którzy przeżyją. Dziadek

Jillian powiedział, że wątpi, by wielu z nich wróciło do armii Jaganga, ale zaczekałam, aż będą blisko koni, więc ich poniosą z powrotem. Chcę, żeby ci, co przeżyją tę mękę, byli w stanie opisać jedynie okropieństwo mgły spływającej ze wzgórz i niosącej im ślepotę w dziwnym, niegościnnym i nawiedzonym kraju. Takie wieści zasieją lęk wśród jego ludzi. Gwałcenie, rabowanie i mordowanie bezbronnych to sama przyjemność dla wojsk Jaganga, ale coś takiego jak to tutaj raczej im się nie spodoba. Umrzeć dla Stwórcy w wielkiej bitwie i dostać nagrodę w przyszłym życiu to jedno, zostać zaś napadniętym przez coś niewidzialnego, wyłaniającego się z ciemności i okaleczającego ich to zupełnie inna sprawa. Sądzę, że Jagang postanowi raczej ominąć te ziemie, niż pozwolić, żeby coś nieznanego siało panikę wśród jego ludzi, bo to mogłoby odmienić ich zapatrywania na walkę ku chwale Stwórcy i Imperialnego Ładu. A to oznacza, że będą musieli przejść spory dystans na południe. To wydłuży ich marsz i opóźni chwilę, kiedy wreszcie będą mogli zawrócić i wejść do D'Hary. Richard w zamyśleniu skinął głową.

- Znakomicie, Nicci. Znakomicie. Rozpromieniła się.

- Co tam masz?

- Chainfire. - Przebył resztę schodów i usiadł pomiędzy Nicci a Cara. - To księga. - Zawahał się przed otwarciem jej. - Wolałbym, żebyś ty pierwsza na to spojrziała, na wypadek gdyby to było jakieś prorocstwo lub coś w tym rodzaju.

Jej doskonałą twarz zaćmiła troska.

- Oczywiście, Richardzie. Daj mi ją.

Richard podał jej księgę i wstał. Gorąco pragnął zajrzeć do środka, jednak nade wszystko nie chciał ściągnąć tu bestii. A już zwłaszcza nie teraz, kiedy był tak bliski znalezienia odpowiedzi.

Nicci już kartkowała księgę, Cara zaglądała jej przez ramię.

- To bez sensu - oznajmiła Mord-Sith, czytając Chainfire. Richard nie sądził, by Nicci podzielała jej opinię, gdyż bladła coraz bardziej.

- Drogie duchy... - wyszeptała do siebie.

Czytała, nic do nich nie mówiąc; Richard usiadł z boku, pod rosnącym na wzgórkowi oliwnym drzewkiem. Pień oplatało jakieś pnącze. Odruchowo sięgnął, żeby zerwać zeń liść.

Znieruchomiał, z dłonią tuż obok przydymionych, pstrych liści. Przeszył

go lodowaty dreszcz. Wiedział, co to za pnącze.

Z pamięci napłynęły słowa Księgi Opisania Mroków, której ojciec kazał mu się wyuczyć na pamięć, zanim ją zniszczyli:

„A kiedy trzy szkatuły Ordenu zostaną włączone do gry, wyrośnie węzowa liana”.

- Co się stało? - wyszeptała Jillian, nachylając się ku niemu. - Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

- Czy widziałaś już kiedyś tę roślinę na waszych ziemiach?

- Nie, nie widziałam.

- Ona ma rację - odezwał się pełnym zdumienia głosem dziadek Jillian. - Przeżyłem w tych okolicach całe życie. Nie pamiętam, żebym przedtem widywał tę lianę, z wyjątkiem krótkiego okresu przed blisko trzema laty, jak mi się zdaje. Tak, tej jesieni będzie trzy lata. Potem zniknęła. I już jej nie widziałem.

Richard nie zauważył na świeżo wyrosłej lianie żadnych strączków. Sięgnął i ostrożnie oderwał odnóżkę.

- To niewiarygodnie niebezpieczna księga, Richardzie - odezwała się zmienionym głosem Nicci; była bardzo zaabsorbowana, czytała i nie zwracała uwagi na ich rozmowę. - Jest niebezpieczna ponad wszelkie wyobrażenia. - Czytała, mówiąc. - Dopiero zaczęłam, ale to... Nawet nie wiem, jak zacząć wam wyjaśniać...

Richard wstał - trzymał odnóżkę liany i wpatrywał się w nią.

- Musimy wyruszać. Natychmiast.

- Co się dzieje, lordzie Rahlu? - spytała Cara.

- Wyglądasz, jakbyś właśnie zobaczył ducha ojca - dodała Nicci.

- Nie, to coś o wiele gorszego - odparł Richard, wreszcie odrywając wzrok od liany. - Rozumiem. Wiem, co się dzieje.

Zbiegł po schodach w głąb swojego grobu.

- Sylfo! Musimy podróżować!

- Ależ Richardzie, przybyłeś pomóc mi zsyłać sny, żeby źli ludzie się tu nie zjawili.

- Słuchaj, muszę stąd odejść. Natychmiast.

- Lord Rahl już nam pomógł, ile tylko zdołał - powiedział dziadek Jillian, obejmując jej szczupłe ramiona. - Wróci do nas, jeżeli będzie mógł.

- Właśnie - potwierdził Richard - wrócę, gdy tylko będę mógł. Dziękuję,

Jillian, że mi pomogłaś. Nawet nie wiesz, jak doskonale się dziś spisalaś. Powiedz swoim, żeby się trzymali z daleka od tej liany.

- Richardzie - odezwała się Nicci - co w ciebie wstąpiło? Chwył ją za ramię, Carę także.

- Musimy się dostać do Pałacu Ludu. Natychmiast.

- Dlaczego? Co się dzieje? Co znalazłeś?

Richard pokazał jej odnóżkę liany, którą potem wepchnął do kieszeni; znów złapał Nicci za rękę i pociągnął po schodach.

- To wężowa liana. Wyrasta tylko wtedy, kiedy ktoś się posłuży szkatułami Ordenu.

- Przecież szkatuły Ordenu są bezpieczne w pałacu - zaprotestowała Cara.

- Już nie są bezpieczne. Te Siostry odwołały się do magii Ordenu. Sylfo! Musimy się dostać do Pałacu Ludu!

- Pójdźcie, będziemy podróżować. Włókł za sobą wyrywającą się Nicci.

- Richardzie, nie pojmuję, co to ma wspólnego z twoimi rojeniami o tej kobiecie.

Richard uderzył dłonią w metalową płytkę, strop grobowca zaczął się zasuwać.

- Do widzenia, Jillian. Dziękuję. Powrócę tu pewnego dnia. Dziewczynka pomachała mu na pożegnanie. Richard chwycił swój łuk i kołczan. Popatrzył na Nicci.

- Potrzebują Kahlan. Jest ostatnią żyjącą Spowiedniczką. Posłużyły się szkatułami Ordenu. Potrzebna im księga, której się wyuczyłem na pamięć. Napisano tam: „Jedynie Spowiedniczką może zweryfikować prawdziwość słów Księgi Opisania Mroków, jeżeli są wypowiedane przez kogoś, a nie odczytywane przez tego, kto dzierży w swej mocy szkatuły”.

Strop się zasunął. Richard usłyszał dalekie wołanie Jillian:

- Do widzenia, Richardzie! Bezpiecznej podróży!

- To wariactwo, Richardzie. To po prostu...

- Teraz nie czas na sprzeczki.

Po tonie jego głosu poznała, że mówi śmiertelnie poważnie. Wdrapał się na murek, wciągnął nań obie kobiety.

- Chwileczkę - powiedziała Nicci, otwierając plecak. - Lepiej to ukryj. - Wepchnęła Chainfire do plecaka i zamknęła go.

- O czym jest Chainfire? - spytał. Spojrzała mu w oczy.

- Z tej odrobinki, którą przeczytałam, wynika, że to teoretyczna formuła rzucania czaru mogącego wymazać istnienie.

- Wymazać istnienie? - spytała Cara. - A cóż to znaczy?

- Za dobrze nie wiem. Ale to wygląda na omawianie teorii specyficznej magii, która, gdyby ktoś ją zastosował, mogłaby nawet zniszczyć świat istot żywych.

- Po cóż by im to było? - zapytał Richard. - Przecież mają teraz szkatuły Ordenu.

Nicci nie odpowiedziała. Nie wierzyła w jego założenia, bo było w nich miejsce dla Kahlan.

Wyciągnęło się ku nim srebrne ramię.

- Pójdźcie, będziemy podróżować.

Nicci i Cara, zanim się zanurzyły w srebrzystej pianie, mocno uchwyciły dłonie Richarda.

ROZDZIAŁ 63

Nicci dopiero co się pozbierała, dopiero co stwierdziła, że są w marmurowej komnacie, dopiero co wypchnęła sylfę z płuc i chciwie wciągnęła w nie powietrze - a już Richard wciągał ją na obmurówkę studni.

Na przekór temu wszystkiemu jakąś tajemną cząstką umysłu cieszyła się tym, że Richard trzymają za rękę.

Spodziewała się, że podczas podróży sylfą do Pałacu Ludu będzie w stanie się zastanowić nad nowym, osobliwym pomysłem Richarda, który znalazł małe pnącze i od razu uznał, że ktoś się posłużył szkatułami Ordenu - wszystko po to, żeby udowodnić, że ta jego Kahlan naprawdę istnieje.

Komnatę, w której się znaleźli, chroniły osłony. Richard przeprowadził ją i Carę przez potężną osłonę. Przebiegli marmurowym korytarzem i przez dwuskrzydłowe posrebrzane drzwi, ozdobione obrazem jeziora.

- Znam to miejsce - odezwała się Cara. - Wiem, gdzie jesteśmy.

- To dobrze - odparł Richard. - Prowadź. I spieszmy się. Nicci czasami żałowała, że nie przystała na propozycję Ann, Zedda i Nathana, by usunąć z pamięci Richarda tę Kahlan.

Ale potem to się zdarzyło. Spróbowała tego w Casce na jednym z żołnierzy Jaganga. Spróbowała magią subtraktywną pozbawić go pamięci o imperatorze. Brzmiało to tak prosto i zwyczajnie. Zrobiła to, co tamci chcieli przy jej pomocy zrobić Richardowi.

Był tylko jeden problem.

To zabiło owego żołnierza. Zabiło go w najokropniejszy sposób.

Kiedy pomyślała, że mało brakowało, by zrobiła to samo Richardowi, że prawie pozwoliła im się namówić i obiecała, że to zrobi - tak się jej zakręciło w głowie, tak się jej zrobiło słabo, że musiała usiąść na ziemi, obok martwego żołnierza. Cara się wystraszyła, że Nicci zemdleje. Trzęsła się przez całą godzinę na samą myśl o tym, czego omal nie zrobiła.

- Tutaj - powiedziała Cara, prowadząc ich w górę schodów, wiodących do szerokiego korytarza z częściowo przeszklonym sufitem.

Wpadające światło było czerwone, więc albo zbliżał się zachód, albo dopiero co nastał świt. Nicci nie wiedziała, jaka to pora dnia. Dziwnie było nie wiedzieć, czy zbliża się noc, czy nastaje dzień.

Korytarze były pełne ludzi. Wielu z nich przystawało i patrzyło na biegnącą trójkę. Zauważyli ich też gwardziści i nadbiegali, trzymając w pogotowiu broń, ale się uspokajali, widząc czerwony uniform Cary. Wiele osób rozpoznawało Richarda i przyklękało, pochylając przed nim głowę, kiedy ich biegiem mijał. Nie zwolnił, żeby odwzajemnić pozdrowienia.

Bieгли płataniną korytarzy, mostkami, galeriami, pomiędzy kolumnami i przez komnaty. Co jakiś czas wbiegali po schodach. Niekiedy Cara prowadziła ich przez korytarze dla służby, najwyraźniej skrótami.

Nicci zauważyła, jak wspaniałe i piękny był pałac. Wzorzyste marmurowe posadzki ułożono nadzwyczaj starannie. Stały tu wspaniałe posągi - żaden nie dorównywał wyrzeźbionemu przez Richarda, ale i tak były imponujące. Tak wielkich gobelinów w życiu nie widziała. Na tym przedstawiono toczącą się bitwę, musiało tu być parę setek koni.

- Tędy - rzekła Cara, wskazując korytarz, ku któremu wybiegli z za rogu, przecięła go, prowadząc ich bliżej drugiej ściany. Nicci, wleczona za rękę, chciałaby porozmawiać o tylu sprawach, zadać tyle ważnych pytań, ale mogła tylko z trudem chwytać oddech. Przed spotkaniem z Richardem właściwie nigdy nie biegała.

Cara zatrzymała się z poślizgiem przed dwuskrzydłowymi, rzeźbionymi, mahoniowymi drzwiami. Nicci z obrzydzeniem patrzyła na wyrzeźbione na nich węże. Richard natychmiast chwycił jedną z klamek, czaszkę z brązu, i szarpnięciem je otworzył.

W cichej, wyłożonej dywanami komnatce natychmiast zablokowali mu drogę czterej gwardziści. Zobaczyli Carę i niepewnie popatrzyli na Richarda po raz drugi.

- Lord Rahl? - zapytał jeden z nich.

- Właśnie - warknęła Cara. - Z drogi. Natychmiast się cofnęli, każdy przyłożył pięść do serca.

- Czy coś się ostatnio wydarzyło? - spytał Richard, łapiąc oddech.

- Wydarzyło?

- Jacyś intruzi? Czy ktoś się tędy przemknął? Żołnierz się zaśmiał.

- Nie, lordzie Rahlu. Wiedzielibyśmy, gdyby coś takiego się działo, i nie pozwolilibyśmy na to.

Richard podziękował skinieniem głowy i pognał ku marmurowym schodom; omal przy tej okazji nie wyrywając Nicci ramienia ze stawu. Długi

bieg przez pałac tak ją wyczerpał, że z trudem się poruszała, a gdy gnali po schodach, bała się, że nogi odmówią jej posłuszeństwa. Ale przecież musiała biec - dla Richarda.

U szczytu schodów pędzili ku nim żołnierze, mierząc w nich z kusz, w których tkwiły czerwono upierzone bełty. Nie wiedzieli, że to lord Rahl. Sądził, że intruz próbuje się wedrzeć do zakazanego sektora. Nicci miała nadzieję, że ktoś ich przywoła do porządku, zanim któryś stanie się nieostrożny.

Zorientowała się jednak, że byli wspaniale wyszkoleni i nie mieli zamiaru strzelać, dopóki się nie przekonają, że to konieczne. Szczęśliwie dla nich, bo i tak byłaby szybsza.

- Naczelnny dowódca Trimack? - zapytał Richard oficera, przeciskającego się przez otaczający ich stalowy pierścień.

Tamten znieruchomiał, przyłożył pięść do serca.

- Lordzie Rahlu! - Po czym zauważył Mord-Sith. - Cara? Skinęła głową na powitanie.

Richard uściskał mu dłoń.

- Ktoś się tu dostał, generale. Zabrano z Ogrodu Życia szkatuły.

Generałowi na chwilę odebrało mowę.

- Co takiego? To niemożliwe, lordzie Rahlu. Musisz się mylić. Nikt nie mógłby się niepostrzeżenie przemknąć obok nas. Jeszcze nigdy nie było tu tak spokojnie. A, mieliśmy tylko jednego gościa.

- Gościa? Kogo?

- Ksienię. Vernę. Jakiś czas temu. Była w pałacu, mówiła, że szuka w księgach czegoś o magii. Powiedziała też, że skoro już tu jest, to chce sprawdzić, czy szkatuły są bezpieczne.

- I pozwoliłeś jej tam wejść?

Generał tak się obruszył, że długa biała blizna stała się jeszcze bardziej widoczna na jego poczerwieniałej twarzy.

- Nie, lordzie Rahlu. Nie pozwoliłbym jej tam wejść. Tylko uchyliliśmy drzwi, żeby mogła zajrzeć i przekonać się, że wszystko jest w porządku.

- Zajrzeć?

- Otóż to. Otaczali ją żołnierze, mierząc do niej tymi specjalnymi bełtami, które nam znalazł Nathan Rahl, żebyśmy mogli powstrzymać nawet mających dar. Otoczyliśmy ją stalowym pierścieniem. Biedaczka wyglądała

jak kandydatka na poduszkę do szpilek.

Wszyscy żołnierze kiwali głowami, potwierdzając słowa generała.

- Zajrzała do ogrodu i powiedziała, że z ulgą widzi, iż wszystko jest w porządku. Sam też zajrzałem i zobaczyłem trzy szkatuły stojące na kamiennej płycie. Ale nigdy bym nie pozwolił jej przejść przez próg, przysięgam. Richard westchnął.

- I to wszystko? Nikt inny nie otwierał drzwi?

- Nie, lordzie Rahlu. Nie było tu potem nikogo poza moimi ludźmi. Nikogo. Nawet nie pozwalamy zwiedzającym korzystać z korytarzy wokół Ogrodu Życia. Jak zapewne pamiętasz, bardzo na to nalegałeś, kiedy tu ostatnio byłeś.

Richard kiwnął głową, zamyślił się. Wreszcie spojrział na nich.

- No dobrze, zajrzyjmy tam.

Żołnierze, pobrzękując orężem i zbrojami, poszli za niespodziewanymi gośćmi lśniącym, granitowym korytarzem aż do wielkich, dwuskrzydłowych, połączonych drzwi.

Richard, nie czekając, aż ktoś to zrobi, otworzył jedno skrzydło ciężkich wrót i wszedł do środka. Żołnierze zatrzymali się przed progiem. To była najwyraźniej uświęcona ziemia, sanktuarium dostępne wyłącznie dla władcy pałacu - i żaden z nich nie wszedłby tam bez wyraźnego polecenia lorda Rahla, a ten nie zachęcił ich, żeby weszli.

Nicci, pomimo zmęczenia, pospieszyła za Richardem idącym wijącą się wśród kwiatnych rabat dróżką. Przez wysoki szklany strop widziała, jak mroczniejsze purpurowe niebo, uznała więc, że zbliża się raczej noc niż świt.

Tak jak i Richard, nie zwracała uwagi na obrośnięte pnączami murki, na drzewa, na wszystkie inne rośliny. Ogród z całą pewnością był cudowny, lecz ona nie odrywała oczu od widocznego w oddali kamiennego ołtarza. Nie zauważyła żadnej z trzech szkatuł, które powinny tam stać. Na granitowej płycie znajdowało się zaś coś innego, lecz z tej odległości nie widziała, co to było.

Nagle przyspieszony oddech Richarda wskazał, że on wie, co tam stoi.

Przeszli przez krąg trawy, przez piasek. Tu Richard zatrzymał się w pół kroku i wpatrzył w ziemię.

- Lordzie Rahlu - zapytała Cara - co to jest?

- Jej ślady - wyszeptał. - Poznają je. Tych nie zatarto zaklęciem. Była tu

sama. - Wskazał ziemię. - Dwa ciągi. Była tu dwa razy. - Popatrzył na trawę, wodząc wzrokiem za czymś, co tylko on dostrzegał. - Tu klęczała na trawie.

Resztę drogi do kamiennego ołtarza przebiegł. Nicci i Cara pognały za nim.

Dobiegli do granitowej płyty i Nicci wreszcie dojrzała, co tam stoi.

To była statuetka kobiety, odtworzona w marmurze i ustawiona na placu Wolności w Altur'Rang. Pierwowzór posągu wyrzeźbiony przez Richarda. Mówił im, że statuetkę miała Kahlan. Nicci zauważyła, że posązek pokrywają krwawe odciski palców.

Richard drżącymi rękami podniósł drewniany posązek i przycisnął do piersi, tłumiąc szloch. Nicci pomyślała, że upadnie, rzuci się na ziemię, on jednak tego nie zrobił. Tulił tak przez chwilę posązek, a potem się ku nim obrócił; łzy spływały mu po twarzy. Wyciągnął ku Nicci i Carze dumną postać z odrzuconą w tył głową, z dłońmi zaciśniętymi w pięści.

- To statuetka, którą wyrzeźbiłem dla Kahlan. To duch. To tego posązku nie mogło być w Altur'Rang, bo go miała ze sobą. Gdyby go odtworzyli w marmurze w Altur'Rang i potem zniszczyli, to skąd by się tu wziął?

Nicci wpatrywała się w posązek szeroko otwartymi oczami, starając się pogodzić z tym, co widzi. Nie była w stanie pojąć tej sprzeczności. Przypomniała sobie Richarda, usiłującego zrozumieć to, co zobaczył w grobie Matki Spowiedniczki. Teraz pojmowała, co czuł.

- Nie rozumiem, Richardzie, jak to się tu mogło dostać.

- Kahlan go tutaj zostawiła! Żeby go znalazł! Zabrała dla Sióstr szkatuły Ordenu! Nie rozumiesz? Nie potrafisz dostrzec bijącej w oczy prawdy?!

Nie był w stanie dodać ani słowa; znów przytulił posązek do piersi jak najcenniejszy na świecie skarb.

Nicci, widząc, jak cierpi, zastanowiła się, jak by to było, gdyby to ją tak bardzo kochał.

I pomimo konsternacji, pomimo zasmucenia tym, co widziała, zatroskania jego straszliwym cierpieniem, czuła radość - cieszyła się, że Richard ma kogoś, kto tak wiele dla niego znaczy, kto budzi w nim takie uczucia... choć ona przecież była tylko urojeniem. Nicci jeszcze nie była do końca przekonana, że Kahlan naprawdę istnieje.

- Rozumiesz już teraz? - zapytał. - Czy obie wreszcie rozumiałyście?

Cara, równie zdumiona jak Nicci, pokręciła głową.

- Nie, lordzie Rahlu. Nie rozumiem. Uniósł mały posążek.

- Nikt jej nie pamięta. Musiała przecież przejść obok tych żołnierzy, a oni o niej zapomnieli, tak jak ty zapomniałaś te tysiące chwil, w których ją widziałaś. Jest zupełnie osamotniona, w mocy czterech Sióstr; to one jej kazały tu przyjść po szkatuły. Widzisz krew na posążku? Jej krew? Powinnaś to zrozumieć. Czy potrafisz pojąć, co ona czuje, sama jedna, zapomniana przez wszystkich? Zostawiła to, zapewne mając nadzieję, że ktoś to zobaczy, i zrozumie, że ona istnieje. i

Podsunał posążek pod oczy Carze, potem Nicci.

- Spójrzcie na to! Jest okrwawione! Na ołtarzu też jest krew. I na ziemi. A to ślady jej stóp. Jak wedle was zniknęły szkatuły i jak to się tu dostało? Była tutaj.

W ogrodzie zaległa martwa cisza. Nicci była tak zdezorientowana, że nie wiedziała, w co wierzyć. Wiedziała, co widzi, ale to się jej wydawało niemożliwe.

- Czy teraz mi wierzycie? - zapytał Richard. Cara przełknęła ślinę.

- Wierzę w to, co mówisz, lordzie Rahlu, ale nadal jej nie pamiętam.

Przesunął drapieżny wzrok na Nicci i ona też przełknęła ślinę pod jego przenikliwym spojrzeniem.

- Nie mam pojęcia, co się dzieje, Richardzie. Twoje słowa dobitnie za tym przemawiają, ale podobnie jak Cara, również jej sobie nie przypominam. Przykro mi, ale nie mogę cię okłamać i powiedzieć tego, co chcesz usłyszeć; nie mogę cię okłamać tylko po to, żeby cię uszczęśliwić. Mówię prawdę. Nadal nie wiem, o czym mówisz.

- Rozumiem to - powiedział z nagłym współczuciem. - Właśnie cały czas o tym mówię. Dzieje się coś strasznego. Nikt jej nie pamięta. Cokolwiek to spowodowało, jest bez wątpienia potężnym i niezwykle groźnym zaklęciem, które mogli rzucić jedynie ludzie mający dar obu magii. Zaklęciem tak niebezpiecznym, że niegdyś czarodzieje ukryli zawierającą je księgę w chronionych osłonami katakumbach, mając nadzieję, że nikt jej tam już nigdy nie odnajdzie.

- Chainfire - wyszeptała Nicci. - Ale z tego krótkiego fragmentu, który przeczytałam, wynikało, że ma ono moc zniszczenia świata życia.

- A co to obchodzi Siostry? - zapytał gorzko Richard. - Już sięgnęły po szkatuły Ordenu. Chcą zniszczyć życie, żeby się przypodobać Opiekunowi

zmarłych. Powinnaś to rozumieć lepiej niż inni.

Nicci przycisnęła dłoń do czoła.

- Drogie duchy, myślę, że możesz mieć rację. - Palce jej zdrętwiały, czuła przeraźliwy lęk. - Z tej odrobiny, którą przeczytałam, wynika, że Chainfire przypomina to, co Zedd, Ann i Nathan kazali mi uczynić tobie: magią subtraktywną zatrzeć twoją pamięć o Kahlan. Jeżeli istotnie jest tak, jak mówisz, to Siostry mogły zrobić coś podobnego: sprawiły, że wszyscy o niej zapomnieli.

Nicci spojrzała w szare oczy, w oczy, w których tak chętnie by się zatraciła. Poczowała łzy spływające jej po policzkach.

- Spróbowałam tego, Richardzie.

- O czym ty mówisz?

- Wypróbowałam to, co nakazywali mi uczynić tobie. Tam, w Casce, wypróbowałam to na jednym z żołnierzy Jaganga. Kazałam mu zapomnieć o Jagangu. Umarł. A jeżeli chainfire tak na wszystkich podziała?

Richard gniewnie westchnął.

- Idziemy.

Ruszył przez ogród ku generałowi i jego gwardzistom, czekającym w lśniącym granitowym holu, stłoczonym przy wejściu do Ogrodu Życia.

- Lordzie Rahlu - odezwał się generał - nie widzę szkatuła.

- Ukradziono je.

Wszyscy żołnierze aż otworzyli usta ze zdumienia. Generał Trimack patrzył wielkimi oczami.

- Ukradziono... ale któż miałby to zrobić?

Richard uniósł posążek i zakołysał nim przed gwardzistami.

- Moja żona.

Generał Trimack sprawiał wrażenie, iż nie wie, czy ma gniewnie wrzeszczeć, czy może raczej natychmiast popełnić samobójstwo. Tarł dłonią usta i rozmyślał nad wszystkim, co usłyszał, starając się to pogodzić z tym, co już wcześniej wiedział. Popatrzył na Richarda tak, jak tylko generałowie potrafią patrzeć.

- Cały czas dostaję raporty, lordzie Rahlu. Żądam, żeby mi je wszystkie przekazywano, bo nigdy nie wiadomo, jaka informacja może się okazać użyteczna. Generał Meiffert również przysyła mi meldunki. Jest teraz blisko, więc docierają do mnie w parę godzin. On i jego wojska wkrótce ruszą na

południe, więc czas się wydłuży, ale na razie są to świeżutkie wieści.

- Słucham.

- Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, ale w najnowszym raporcie, który dostałem rankiem, napisał, że natrafili na kobietę, starą kobietę, przebitą mieczem. Twierdzili, że jest w złym stanie. Nie wiem, czemu mnie o tym powiadomił, ale generał Meiffert to bystry chłopak i myślę, że skoro chciał, żebym o tym wiedział, to musiał się w tym dopatrzeć czegoś nadzwyczaj dziwnego.

- Jak jest daleko? - spytał Richard. - Armia, rozumie się. Jak? Generał wzruszył ramionami.

- Konno? Jakies dwie godziny, może godzinę dość szybkiej jazdy.

- Więc przygotuj mi konie. Natychmiast.

Generał Trimack przyłożył pięść do serca, po czym gestem przywołał paru żołnierzy.

- Biegiem przygotować konie dla lorda Rahla. - Spojrzał na Richarda, potem na Carę i Nicci. - Trzy?

- Tak, trzy - potwierdził Richard.

- I eskortę Pierwszej Kompanii, żeby go poprowadziła i chroniła.

Obaj żołnierze skinęli głowami i pognali ku schodom.

- Nie wiem, co powiedzieć, lordzie Rahlu. Oczywiście złożę dymisję...

- Nie bądź głupi. W tej sprawie absolutnie nic nie mogłeś zrobić, bo zadziałało tu zaklęcie. To moja wina, że tak się stało. Jestem lordem Rahlem i to ja mam magią przeciwdziałać magii.

Nicci pomyślała, że przecież się starał, tyle że nikt nie chciał mu wierzyć.

Richard, Cara i Nicci, nie tracąc ani chwili na odpoczynek, eskortowani przez oddział pałacowej gwardii, szli pospiesznie wspaniałymi, szerokimi korytarzami rodowej siedziby Richarda. Ustawieni w klin gwardziści usuwali na boki ludzi. Tuż za nimi, a przed Richardem, kroczyła Cara. Nicci szła u jego boku.

Kiedy przemierzali węższy korytarz, nie tak ludny, Richard zwolnił, a potem się zatrzymał. Gwardziści też stanęli - na tyle blisko, żeby być pod ręką, a zarazem na tyle daleko, żeby mu zapewnić prywatność. Wszyscy czekali, a on patrzył w boczny korytarz. Cara czuła się nieswojo.

- Kwatery Mord-Sith - odpowiedziała Cara na pytające spojrzenie Nicci.

- Pokój Denny był w tamtym korytarzu. - Richard wskazał. - Twój, Caro,

tam.

Cara zamrugwała.

- Skąd wiesz?

Patrzył na nią przez chwilę z nieodgadnioną miną.

- Pamiętam, jak tam byłem, Caro.

Zrobiła się czerwona jak jej skórzany uniform.

- Pamiętasz? - Richard potaknął. - Wiesz? - wyszeptała i w jej oczach pojawił się strach.

- Jasne, że wiem, Caro - powiedział łagodnie. Łzy napłynęły jej do oczu.

- Skąd wiesz?

Wskazał jej prawy przegub.

- Kiedy dotykam twojego Agiela, zadaje ból. Agiel zadaje ból tylko wtedy, kiedy nim „szkolono” osobę, która go dotyka, lub kiedy Mord-Sith chce, żeby tak było.

Zamknęła oczy.

- Lordzie Rahlu... tak mi przykro. Przepraszam.

- To było dawno temu, byłaś wtedy zupełnie inną osobą, a ja byłem wrogiem twojego lorda Rahla. Wszystko się zmienia, Caro.

- Jesteś pewien, że się wystarczająco zmieniłam?

- To inni uczynili cię tym, kim byłaś. A ty sama stałaś się taka, jaka jesteś teraz. - Uśmiechnął się. - Pamiętasz, jak bestia cię zraniła, a ja cię uleczyłem?

- Jakżeż mogłabym o tym kiedykolwiek zapomnieć?

- No to wiesz, co czuję. - Uśmiechnęła się, słysząc to, Richard zaś zmarszczył brwi. - Dotknięcie... - Oczy pojaśniały mu nagłym zrozumieniem. - Miecz.

- Co takiego? - spytała Nicci.

- Miecz Prawdy. Tamtego ranka, kiedy spałem, Siostry rzuciły jakiś czar, żeby głębiej zasnął i żeby one mogły porwać Kahlan. Położyłem dłoń na mieczu. Dotykałem Miecza Prawdy, kiedy ją zabierały i rzucały czar, zacierający u wszystkich pamięć o niej. Miecz ochronił mnie przed tym czarem. To dlatego ją pamiętam. Miecz Prawdy był antidotum na to, co zrobiły. - Ruszył w dalszą drogę. - Idziemy, musimy dotrzeć do obozu i sprawdzić, kim jest ta ranna kobieta.

Zdumiona i skonsternowana Nicci poszła za nim.

ROZDZIAŁ 64

Obóz zaskoczył Nicci. Była tak przyzwyczajona do armii Jaganga, że tak po prawdzie nawet się nie zastanowiła, jak odmienni mogą być tutejsi żołnierze. Było to, rzecz jasna, logiczne, tyle że ona po prostu nigdy o tym nie pomyślała.

Ciemność rozjaśniał blask ognisk i spodziewała się, że jako kobieta wzbudzi chorobliwe zainteresowanie, że żołnierze będą wykrzykiwać wszystkie świństwa, jakie im przyjdą na myśl - żeby ją zaszokować, upokorzyć i przestraszyć. Żołnierze w obozie Ładu zawsze do niej pokrzykiwali i pohukiwali, robili sprośne gesty i ryczeli ze śmiechu, kiedy między nimi przechodziła.

Jasne, że i ci żołnierze na nią patrzyli. Pomyślała, że rzadko widzą wjeżdżającą do ich obozu kobietę taką jak ona. Ale oni tylko patrzyli. Spojrzenie, pełne podziwu, tu i tam uśmiech z powitalnym skłonieniem głowy - i nic więcej. Początkowo sądziła, że to może dlatego, że jechała u boku lorda Rahla, w towarzystwie Mord-Sith w czerwonym uniformie, ale szybko zmieniła zdanie. Ci żołnierze byli zupełnie inni. Oczekiwano, że będą się zachowywać z godnością.

Jak tylko zobaczyli Richarda, od razu przykładali pięść do serca, salutując mu, i stali dumnie wyprostowani lub przez chwilę biegli przy jego koniu. Cieszyli się, że przyjechał do ich obozu, że znowu jest z nimi ich lord Rahl.

Obóz też był lepiej zorganizowany. Brak deszczu na pewno to ułatwiał, niewiele jest bowiem rzeczy gorszych od obozującej w bloku armii. W tym obozie zwierzęta trzymano tam, gdzie nie mogły przypadkowo napytać biedy. Wozy stały z dala od głównej obozowej drogi. I w tym obozie naprawdę wytyczono drogi.

Żołnierze byli utrudzeni długim marszem, ale ich namioty rozbito regularnie, a nie byle jak i byle gdzie, jak w obozie Imperialnego Ładu. Ogniska były niewielkie, akurat takie jak trzeba - a nie wielkie ognie, przy których pijani żołdacy śpiewali, tańczyli i awanturowali się.

Inną wielką różnicą był brak namiotów do torturowania. W Ładzie zawsze był sektor tortur. Wpływał tam stały strumień ludzi na przesłuchania, wypływała taka sama liczba zwłok. Nieustające wrzaski ofiar

potęgowały panujący w obozie hałas.

Tu było raczej cicho, żołnierze kończyli posiłek i szykowali się do snu. Spokojna pora, w obozie Ładu zaś żadna pora nie była spokojna.

- O tam - powiedział jeden z eskortujących ich żołnierzy, wskazując widoczne w mroku namioty dowództwa.

Usłyszawszy konie, z jednego z owych namiotów wyszedł wielki jasnowłosy oficer. Na pewno już go powiadomiono, że lord Rahl jest w drodze.

Richard zeskoczył z siodła i powstrzymał tamtego od padnięcia na kolana.

- Dobrze cię znów widzieć, generale Meiffercie, ale na to nie mamy teraz czasu.

Generał skłonił głowę.

- Wedle twego życzenia, lordzie Rahlu.

Nicci widziała, jak błękitne oczy generała zerknęły na Carę, kiedy ta stanęła u boku Richarda. Przygładził blond włosy.

- Pani Caro.

- Generale.

- Życie jest zbyt krótkie, byście tracili czas na udawanie, że nic dla siebie nie znaczą - rzekł gniewnie Richard. - Musicie zrozumieć, jak cenna jest każda spędzona razem chwila i że nie ma niczego złego w tym, iż się kogoś wysoko ceni. I o taką wolność walczymy. Czyż nie?

- Tak, lordzie Rahlu - odrzekł nieco zbity z tropu generał Meiffert.

- Przyjechaliśmy tu z powodu raportu o pchniętej mieczem kobiecie. Żyje jeszcze?

Młody generał potaknął.

- Przez jakąś godzinę tego nie sprawdzałem, ale wcześniej żyła. Moi lekarze polowi się nią zajęli, ale na niektóre rany nie ma sposobu. To właśnie jedna z nich. Dostała w brzuch i czeka ją powolna i bolesna śmierć. Żyje dłużej, niż się spodziewałem.

- Wiesz, jak się nazywa? - spytała Nicci.

- Nie chciała powiedzieć, kiedy była przytomna, ale jak ją zmoęła gorączka, to znów zapytaliśmy i powiedziała, że ma na imię Tovi.

Richard spojrział na Nicci, a potem zapytał:

- Jak wygląda?

- Starsza, otyła niewiasta.
- Wygląda na to, że to ona. - Richard przesunął dłonią po twarzy. -
Musimy się z nią zobaczyć. Natychmiast.

Generał skinął głową.

- Poprowadzę.

- Czekaście - odezwała się Nicci. Richard obrócił się ku niej.

- O co chodzi?

- Jeżeli do niej pójdziesz, to i tak nic ci nie powie. Mnie zaś Tovi nie widziała od wieków. Wie, że kiedy uciekała, byłam niewolnicą Jaganga. Może uda mi się wyciągnąć z niej prawdę.

Widziała, jak Richard się Niecierpliwi, chcąc dostać w swoje ręce jedną z tych, co jego zdaniem porwały jego ukochaną. Sama jeszcze nie była całkiem pewna, w co wierzy. Zastanawiała się, czy to aby jej własne uczucia nie sprawiają, iż nadal wierzy, że on sobie Kahlan tylko uroił.

- Richardzie - powiedziała, podchodząc na tyle blisko, by mogli poufnie porozmawiać - pozwól mi to zrobić. Jeżeli cię zobaczy, to całe moje wysiłki na nic się nie zdadzą. Myślę, że zdołam ją skłonić do mówienia, lecz jeżeli cię zobaczy, to po sprawie.

- A jak zamierzasz to zrobić?

- Chcesz się dowiedzieć, co się przytrafiło Kahlan, czy chcesz się sprzeczać o to, jak zamierzam wydobyć tę informację?

Przez chwilę mocno zaciskał wargi.

- Nic mnie nie obchodzi, czy cał po calu wyprujesz jej wnętrzności, bylebyś ją skłoniła do mówienia.

Nicci przelotnie dotknęła jego ramienia i poszła za generałem. Kiedy nieco się od tamtych oddalili, przyspieszyła i już u jego boku szła przez niemal ciemny obóz. Rozumiała, czemu się podobał Carze. Miał bowiem przystojną twarz, która by nie potrafiła ukryć kłamstwa.

- A tak w ogóle - odezwał się, spoglądając na nią - to jestem generał Meiffert.

Nicci skinęła głową.

- Benjamin.

Przystanął na mrocznej obozowej dróżce.

- Skąd wiesz?

Nicci się uśmiechnęła.

- Cara mi o tobie opowiedziała. - Nadal się w nią wpatrywał, ujęła go więc pod ramię i pociągnęła w dalszą drogę. - Mord-Sith rzadko tak dobrze się o kimś wyraża.

- Cara się o mnie pochlebnie wyrażała?

- Oczywiście. Bardzo cię lubi. Przecież wiesz. Splótł dłonie za plecami.

- Czyli wiesz pewnie, że i ja mam o niej dobre zdanie.

- Oczywiście.

- A kim jesteś, o ile wolno mi spytać? Przepraszam, ale lord Rahl nas sobie nie przedstawił.

Nicci spojrzała nań z ukosa.

- Może słyszałeś o mnie jako o Pani Śmierci.

Generał Meiffert potknął się i zaraz się zatrzymał, tak się bowiem zachłysnął oddechem, że omal się nie udusił. Kaszłał i kaszłał, aż mu twarz spurpurowiała.

- Pani Śmierci? - wykrztusił wreszcie. - Ludzie bardziej się ciebie boją niż Jaganga.

- I nie bez powodu.

- To ty porwałaś lorda Rahla i uprowadziłaś go do Starego Świata.

- Owszem - rzekła i ruszyła w dalszą drogę. Szedł obok niej i dumał nad tym wszystkim.

- Pewnie się zmieniłaś, bo inaczej lord Rahl nie miałby cię przy sobie.

Uśmiechnęła się do niego łagodnie, szelmowsko. Poczul się nieswojo. Wskazał w prawo.

- Tam stoi namiot, w którym ją umieściliśmy.

Nicci chwyciła go za ramię, zatrzymując go. Nie chciała, żeby Tovi przypadkowo ją usłyszała.

- To zabierze sporo czasu. Czy zechciałbyś powiedzieć Richardowi, iż uważam, że powinien odpocząć? Carze też przyda się odpoczynek. Może i o to byś zadbał?

- Tak, mógłbym się tym zająć.

- A, generale, jeżeli moja przyjaciółka Cara nie będzie się rankiem omdlewająco uśmiechać, to cię żywcem wypatroszę.

Spojrzał na nią wielkimi oczami. Nie mogła się nie uśmiechnąć.

- To tylko taka figura retoryczna, Benjaminie. - Uniosła brew. - Masz całą noc z Cara. Nie zmarnuj jej.

Wreszcie się uśmiechnął.

- Dziękuję...

- Nicci.

- Dziękuję, Nicci. Cały czas o niej myślę. Nawet nie wiesz, jak za nią tęskniłem, jak się o nią martwiłem.

- Chyba wiem. Ale to jej powinieneś o tym powiedzieć, a nie mnie. Gdzie jest Tovi?

Wskazał.

- O tam, po prawej. Ostatni namiot w szeregu. Nicci skinęła głową.

- Zrób coś dla mnie. Zadbaj, żeby nikt nam nie przeszkodził. Nawet lekarze. Muszę być z nią sama.

- Nakazę to. - Odwrócił się i podrapał po głowie. - To nie moja sprawa, ale czy ty... - wskazał na nią i na drogę, którą tu przyszli - ...czy ty i lord Rahl... no wiesz.

Nicci nie znalazła na to odpowiedzi.

- Czasu jest mało. Nie pozwól Carze czekać.

- Tak, rozumiem, o co ci chodzi. Dzięki, Nicci. Mam nadzieję, że się rankiem zobaczymy.

Patrzyła, jak pospiesznie znika w ciemnościach, a potem wróciła do swego zadania. Właściwie wcale nie chciała wyprowadzać generała z równowagi gadaniem o Pani Śmierci, ale musiała znów obudzić tę część siebie, myśleć jak wtedy, odnaleźć tę lodowatą obojętność na wszystko.

Odchyliła połę namiotu i wśliznęła się do środka. Na stojaku z kutego żelaza, wbitym w ziemię przy polowym łóżku, paliła się jedna świeca. Było duszno i gorąco. Czuć było zastarzały pot i skrzepłą krew.

Tovi leżała na plecach, oddychała z wielkim trudem.

Nicci przysiadła na składanym krześle obok niej. Tovi nawet tego nie zauważyła. Nicci położyła dłoń na jej przegubie i wolniutko przesłała strumyczek mocy, mającej ulżyć jej w cierpieniu.

Tovi rozpoznała magiczną pomoc i natychmiast spojrzała w tę stronę. Oczy się jej rozszerzyły, oddech przyspieszył. Potem jęknęła z bólu i chwyciła się za brzuch. Nicci przesłała więcej mocy i Tovi w końcu opadła na łóżko z pełnym ulgi westchnieniem.

- Skąd się tu wzięłaś, Nicci? Co ty tutaj robisz?

- A od kiedy to cię obchodzi? Siostra Ulicia i wy wszystkie zostawiłyście

mnie w mocy Jaganga jako jego osobistą niewolnicę, wydałyście mnie na pastwę tego wieprza.

- Ale uciekaś.

- Uciekałam? Rozum ci odebrało, Siostró Tovi? Nikt się nie wymknał Nawiedzającemu Sny, nikt oprócz waszej piątki.

- Czwórki. Siostra Merissa już nie żyje.

- Co się stało?

- Ta głupia suka chciała się po swojemu rozprawić z Richardem Rahlem. Pamiętasz, że tak go nienawidziła, iż chciała się wykąpać w jego krwi?

- Pamiętam.

- Co tutaj robisz, Siostró Nicci?

- Zostawiłyście mnie Jagangowi. - Nicci pochyliła się, żeby Tovi mogła widzieć jej gniewne spojrzenie. - Nie macie pojęcia, co musiałam znosić. Potem wyruszyłam w długą misję dla Jego Ekscelencji. Potrzebuje informacji i wie, że umiem je zdobyć.

Tovi się uśmiechnęła.

- Każe ci się puszczać, żebyś się dowiedziała tego, co chce wiedzieć.

Nicci nie odpowiedziała, pozwoliła, żeby te słowa mówiły same za siebie.

- Przypadkiem usłyszałam o jakiejś głupiej babie, która pozwoliła się nie tylko okraść, ale i na dokładkę dźgnąć mieczem. Coś w jej opisie nasunęło mi myśl, że to możesz być ty, więc uznałam, że warto to sprawdzić. Tovi kiwnęła głową.

- Boję się, że ze mną nie jest dobrze.

- Mam nadzieję, że cię boli. Przyszłam się upewnić, że będziesz długo umierać. Chcę, żebyś cierpiała za to, co mi uczyniłaś, zostawiając mnie w szponach Jaganga, kiedy wy sobie uciekłyście, nawet nie racząc mi powiedzieć, że jest to możliwe.

- Nie mogłyśmy nic na to poradzić. Trafiła się nam okazja i musiałyśmy ją wykorzystać, ot i tyle. - Uśmiechnęła się przebiegle. - Ale i ty możesz się wyzwolić od Jaganga.

Nicci jeszcze bardziej się nachyliła.

- Jak? Jak mogę się od niego uwolnić?

- Ulecz mnie, to się dowiesz.

- To znaczy ulecz mnie, a ja cię zdradzę jak przedtem. Mowy nie ma, Tovi. Powiesz mi albo będę tu siedzieć i patrzeć, jak w mękach idziesz w

objęcia Opiekuna. Zawsze mogę cię odrobinę dłużej utrzymać przy życiu. - Pochyliła się ku tamtej. - Żebyś dłużej czuła ból rozrywający ci trzewia.

Tovi zacisnęła dłoń na jej sukni.

- Błagam, Siostrze Nicci, pomóż mi. To okropnie boli.

- Mów, Siostrze.

Tovi puściła jej suknię, odwróciła głowę.

- To więź z lordem Rahlem. Złożyłyśmy przysięgę.

- Jeżeli uważasz, Siostrze Tovi, że jestem aż taka głupia, to zaraz każę ci cierpieć, żebyś do śmierci żałowała, żeś tak pomyślała.

Tamta odwróciła głowę i spojrzała na Nicci.

- To prawda, nie okłamuję cię.

- Jak mogłyście złożyć przysięgę temu, kogo chcecie wyeliminować?

Tovi uśmiechnęła się szeroko.

- Ulicia to wymyśliła. Złożyłyśmy mu przysięgę, ale skłoniłyśmy go, żeby nas wypuścił, zanim zdążył nas wziąć pod swoje rozkazy.

- Ta historia robi się coraz bardziej niedorzeczna. - Nicci cofnęła dłoń z ramienia Tovi, a wraz z tym i kojącą moc. Wstała, a Tovi zajęczała w męce.

- Błagam cię, Siostrze Nicci! To wszystko prawda. - Złapała Nicci za rękę. - Wypuścił nas w zamian za coś, czego chciał.

- A czegoż to tak pragnął lord Rahl, żeby aż wypuścić na wolność Siostry Mroku? To największe wariactwo, jakie w życiu słyszałam.

- Kobiety.

- Co takiego?

- Pragnął kobiety.

- Jako lord Rahl może mieć każdą kobietę, która mu się spodoba. Wystarczy, że ją wybierze i każe sobie przysłać do łóża; chyba że ona będzie wołała zamiast niego katowski pieniek, ale to się chyba jeszcze nie zdarzyło. Nie potrzebuje Sióstr Mroku do dostarczania mu kobiet do łóża.

- Nie, nie, nie taką kobietę. Kobietę, którą kochał.

- No dobrze - Nicci sapnęła z oburzeniem. - Żegnaj, Siostrze Tovi. Przekaż ode mnie pozdrowienia Opiekunowi, gdy już tam dotrzesz. Przykro mi, ale to chyba tak szybko nie nastąpi. Pewnie się pomęczysz jeszcze kilka dni. Współczuję.

- Błagam! - Na oślep wyciągnęła rękę, chcąc dotknąć jedynej osoby, która mogłaby ją ocalić. - Błagam cię, Siostrze Nicci. Wysłuchaj mnie, błagam,

wszystko ci opowiem.

Nicci usiadła i znów zacisnęła dłoń na ramieniu Tovi.

- Dobrze, Siostrze, ale pamiętaj, że moc potrafi jedno i drugie. Tovi wygięła się w łuk, wrzasnęła z bólu.

- Nie! Błagam!

Nicci nie miała żadnych skrupułów. Wiedziała, że choć na pozór wyglądało to tak samo, w istocie nie było żadnego moralnego podobieństwa pomiędzy torturowaniem przez nią Siostry Tovi a działaniami Imperialnego Ładu. Ona chciała jedynie ocalić życie niewinnych ludzi. Imperialny Ład torturował, żeby podbijać i podporządkowywać sobie krainy oraz siać strach w sercach nieprzyjaciół. A czasami po prostu dla przyjemności, bo czuli się potężni, panując nie tylko nad udręką, ale i samym życiem.

Imperialny Ład torturował, bo nie cenił życia. Nicci - bo ludzkie życie wiele dla niej znaczyło. Chociaż kiedyś nie dopatrzyłaby się w tym żadnej różnicy, od kiedy pokochała życie, widziała ją bardzo wyraźnie.

Nicci przestała wsączać w starą kobietę cierpienie i Tovi opadła na łóżko, szlochając z ulgą, pełna wdzięczności, złana potem.

- Ulżyj mi w bólu, Siostrze, błagam, a wszystko ci powiem.

- Zaczynaj od tego, kto cię zranił.

- Poszukiwacz.

- Richard Rahl jest Poszukiwaczem. Naprawdę sądzisz, że uwierzę w tę bajeczkę? Richard Rahl jednym cięciem pozbawiłby cię czerepu.

Tovi przechyliła głowę na bok.

- Nie, nie, nie rozumiesz. Ten człowiek miał Miecz Prawdy. - Wskazała na brzuch. - Trudno, żebym nie rozpoznała wbijającego się we mnie Miecza Prawdy. Drań mnie zaskoczył i dźgnął, zanim się zorientowałam, kto to i czego chce.

Skołowana Nicci przycisnęła dłoń do czoła.

- Lepiej zacznij od początku.

Tovi zaczynała tracić świadomość, Nicci nasiliła więc przepływ magii, sprawiając tamtej ulgę, lecz nie uleczyła rany. Nie chciała jej wyleczyć; Tovi musiała być bezradna. Choć wyglądała jak miła babunia, była okrutną zmiją.

Nicci założyła nogę na nogę. Zapowiadała się długa noc.

Kiedy Tovi znów odzyskała przytomność, Nicci się wyprostowała.

- Czyli przysięgłyście Richardowi jako lordowi Rahlowi - powiedziała,

jakby nie było żadnej przerwy w rozmowie - i to was wszystkie ochroniło przed Nawiedzającym Sny.

- Tak.

- I co potem?

- Mogłyśmy uciec. Wypełnialiśmy wolę naszego pana, nie tracąc z oczu Richarda. Musiałyśmy znaleźć na niego haka.

Nicci świetnie wiedziała, kto był ich panem.

- Jakiego haka?

- Żeby wypełnić wolę Opiekuna, musiałyśmy sprawić, by Richard Rahl nie mógł nam przeszkodzić. Znalazłyśmy sposób.

- To znaczy?

- Coś, co nie zerwie naszej z nim więzi bez względu na to, co zrobimy. To było genialne.

- I co to jest?

- Życie.

Nicci zmarszczyła brwi, nie była pewna, czy dobrze usłyszała. Położyła dłoń na ramię Tovi, zesłała trochę ukojenia. Kiedy Tovi się uspokoiła po fali bólu, Nicci spytała:

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Życie - wyjaśniła wreszcie Tovi - ceni najwyżej.

- I?

- Zastanów się, Sostro. Żeby pozostawać poza zasięgiem Nawiedzającego Sny, musimy być cały czas związane z Richardem Rahlem. Ani na moment nie możemy zerwać więzi. A któż jest naszym prawdziwym panem?

- Opiekun zmarłych. Przysięgałyśmy mu.

- Właśnie. A gdybyśmy zrobiły coś takiego, co by narażało życie Richarda, jak na przykład wpuszczenie Opiekuna do świata istot żywych, to złamałybyśmy daną Richardowi przysięgę, zerwałybyśmy więź. I zanim byśmy zdążyły się uwolnić z więzów Opiekuna w świecie zmarłych, to na tym świecie dopadłby nas Jagang.

- Sostro Tovi, lepiej zacznij mówić do rzeczy, bo stracę cierpliwość, a zapewniam cię, że wcale ci się to nie spodoba. Ani trochę. Chcę wiedzieć, co się dzieje, i wziąć w tym udział.

- Oczywiście, oczywiście. Widzisz, życie jest dla Richarda najwyższą

wartością. Nawet stworzył jego posąg. Byłyśmy w Starym Świecie. Widziałyśmy tę poświęconą życiu statwę.

- Tyle już zrozumiałam z twoich słów.

Tovi znów odwróciła głowę tak, żeby patrzeć na Nicci.

- Co przysięgałyśmy uczynić, moja droga?

- Uwolnić Opiekuna.

- A co miało być naszą nagrodą? Nicci patrzyła w zimne oczy tamtej.

- Nieśmiertelność.

- Właśnie. - Uśmiechnęła się szeroko Tovi.

- Richard najwyżej ceni życie. Twierdzisz, że chcecie mu zapewnić nieśmiertelność?

- Tak. Staramy się zrealizować jego ideał: życie.

- Ale on może nie chcieć nieśmiertelności. Tovi zdołała wzruszyć ramionami.

- Może. Ale nie mamy zamiaru go o to pytać. Czyż nie dostrzegasz genialności planu Siostry Ulicii? Wiemy, że najwyżej ceni życie. I nie ma znaczenia, co byśmy zrobiły wbrew jego życzeniom, bo to nigdy nie zrówna się z jego ideałem. I w ten oto najwznioślejszy sposób dopełniamy przysięgi złożonej lordowi Rahlowi, utrzymujemy łączącą nas z nim więź i jednocześnie działamy na rzecz sprowadzenia Opiekuna do świata życia. Widzisz, jak to się ładnie spleta. Każde ogniwo mocniej spaja pozostałe.

- Ale to Opiekun obiecał wam nieśmiertelność. Wy nie możecie jej zagwarantować.

- Nie, jeżeli chcemy ją uzyskać dzięki Opiekunowi.

- A jak inaczej możecie obiecywać nieśmiertelność? Nie macie odpowiedniej mocy.

- Ależ mamy, mamy.

- Jakim sposobem?

Tovi się rozkaszała i Nicci musiała pospieszyć popracować nad raną, żeby utrzymać kobietę przy życiu. Minęły blisko dwie godziny, zanim Tovi znów była przytomna i spokojna.

- Siostro Tovi - powiedziała Nicci, kiedy tamta wreszcie otworzyła oczy. - Musiałam częściowo uleczyć twoją ranę. Teraz, zanim całkiem cię ulecę i zasklepię ranę, żebyś mogła cieszyć się życiem, muszę się dowiedzieć reszty. Dlaczego uważasz, że możesz zagwarantować nieśmiertelność? Nie macie

takiej mocy.

- Ukradliśmy szkatuły Ordenu. Zamierzamy się nimi posłużyć, żeby zniszczyć wszystko, co żyje... rzecz jasna oprócz tych, których chcemy mieć przy sobie. Dzięki mocy Ordenu będziemy mieć władzę nad życiem i śmiercią. Będziemy mieć moc zagwarantowania Richardowi Rahlowi nieśmiertelności. Rozumiesz? Dochowamy przysięgi.

Nicci aż się zakręciło w głowie.

- Tovi, to nieprawdopodobne. Bardziej skomplikowane, niż mówisz.

- Cóż, są i inne części planu. Znalazliśmy pod Pałacem Proroków katakumby.

Nicci nie miała pojęcia o istnieniu takich katakumb, ale chciała usłyszeć resztę, więc pozwoliła Tovi mówić.

- Właśnie wtedy wszystko się zaczęło. Wtedy wpadliśmy na ten pomysł. Wędrowaliśmy po różnych krainach, szukając możliwości zadowolenia Opiekuna... - Tak mocno złapała rękę Nicci, że aż zabołało. - Zjawia się w naszych snach. Wiesz o tym. Do ciebie też przychodzi. Zjawia się i dręczy nas, zmuszając nas do wykonania swojej woli, do uwolnienia go.

Nicci zsunęła z ramienia szponiastą dłoń.

- Katakumby?

- Tak. Katakumby. Znalazliśmy pradawne katakumby, a w nich księgi. Między innymi Chainfire.

Nicci dostała gęziej skórki.

- Chainfire... co to znaczy? Czy to zaklęcie?

- O, to o wiele więcej niż zwyczajne zaklęcie. Pochodzi z prastarych czasów. Ówczesni czarodzieje wymyślili, jak zmienić pamięć; inaczej mówiąc, jak odmienić magią subtraktywną fakty, tak żeby wszystkie rozłączone elementy samorzutnie się modyfikowały niezależnie od siebie nawzajem. A mianowicie, jak sprawić, żeby dana osoba „zniknęła” innym, bo wszyscy by ją zapominali natychmiast po spojrzeniu na nią. Lecz czarodzieje, którzy to wymyślili, byli strachliwymi ludźmi i bali się coś takiego rozpętać; nie tylko dlatego, iż zdawali sobie sprawę, że mogłoby to wyrządzić nieodwracalne szkody danej osobie, ale i dlatego, że nie mieliby żadnej kontroli nad raz rozpoczętym procesem: byłby on zupełnie samorzutny, samopodtrzymujący się.

- To znaczy? Co się wtedy dzieje?

- Pamięć ludzi o danej osobie zostaje wymazana, lecz zapoczątkowanie tego procesu uruchamia ciąg zdarzeń, którego nie można przewidzieć ani kontrolować. Wypala powiązania z innymi ludźmi, potem ze znajomymi tych kolejnych i tak bez ustanku. Szerzy się jak pożoga. Wymazuje wszystkie powiązania, wszystko niszczy i zmienia. Dla nas to nie ma znaczenia, bo i tak chcemy zniszczyć życie. Bojąc się, że ktoś mógłby odkryć, co zrobiliśmy, zniszczyliśmy i tę księgę, i katakumby.

- Ale po co miałybyście niszczyć pamięć o kimś?

- Nie o kimś, lecz o kobiecie, dzięki której zyskałyśmy więź. O Kahlan Amnell, ukochanej Richarda. Zapoczątkowałyśmy chainfire, pożogę, i mamy teraz kobietę, której nikt nie pamięta.

- I co wam to da?

- Szkatuły Ordenu. Wykorzystałyśmy ją do zdobycia szkatuły, dzięki którym będziemy mogły uwolnić Opiekuna. I jednocześnie zapewnić Richardowi Rahlowi nieśmiertelność. Opiekun szeptał w naszych snach, że Richard wie, jak otworzyć szkatuły, że wyuczył się na pamięć potrzebnych tekstów. Wiedza ta istnieje wyłącznie w jego pamięci. Rahl Posępny powiedział o tym Opiekunowi. Richard wie, jak dotrzeć do tajemnic Ordenu, my zaś znamy sztuczkę, którą doprowadził do zguby Rahla Posępnego. W księdze, którą zapamiętał, napisano, że do otwarcia szkatuły potrzebujemy Spowiedniczki. A teraz mamy Spowiedniczkę, której nikt nie pamięta, więc nikt nie będzie nam nią zawracał głowy.

- A znikanie proroctw? Czy to też efekt chainfire?

- To element chainfire. Nazywali to owocem chainfire. Faza inicjująca powinna obejmować „zapalenie” proroctwa, które, podobnie jak pamięć ludzi, również zostaje ogarnięte pożogą. Cykl chainfire trwa, wykorzystując tę pamięć, więc musi ogarnąć i proroctwa. Znajduje się puste miejsce we właściwym odgałęzieniu, zostawione przez Proroka dla tych, którzy w przyszłości chcieliby uzupełnić jego dzieło. Wypełnia się to miejsce uzupełnieniem, zawierającym formułę chainfire. I tak pożoga szerzy się po sprzężonych proroctwach tej gałęzi, poczynając od proroctwa powiązanego z osobą lub chronologią; w tym wypadku jednym i drugim: Kahlan, kobieta, którą wymazałyśmy z życia, jest również wymazana z proroctw dzięki owocom chainfire.

- Dobrze to sobie przemyślałyście - rzekła Nicci. Tovi się uśmiechnęła

pomimo bólu.

- To jeszcze lepsze.

- Lepsze? Jak może być jeszcze wspanialsze niż to, o czym mi powiedziałaś?

- Jest remedium na chainfire. - Tovi zachichotała z zachwytu.

- Remedium? Podjęłyście ryzyko, że Richard znajdzie to remedium i zniszczy wasze plany?

Tovi próbowała stłumić chichot, ale bez skutku. Choć bardzo cierpiała, była zbyt rozradowana, żeby przestać się śmiać.

- To właśnie jest najlepsze! Dawni czarodzieje, którzy wymyślili chainfire, wiedzieli, że może to zniszczyć życie. Więc stworzyli remedium, na wypadek gdyby chainfire zostało kiedyś zapoczątkowane.

Nicci zgrzytnęła zębami.

- Jakie remedium?

- Szkatuły Ordenu.

Nicci szeroko otworzyła oczy.

- Szkatuły Ordenu stworzono po to, żeby stanowiły remedium na chainfire, gdyby pożoga zaczęła się kiedyś rozszerzać?

- Właśnie. Czyż to nie wyborne? Co więcej, włączyłyśmy szkatuły do gry.

Nicci głęboko zaczerpnęła powietrza.

- Jak już mówiłam, dobrze to sobie obmyśliłyście. Tovi się skrzywiła.

- Prawie. Jest tylko jeden mały szkopuł.

- Jaki?

- Kiedy ją po nie wysłałyśmy, ta głupia suka za pierwszym razem przyniosła tylko jedną szkatułę. Nie mogłyśmy pozwolić, żeby ktoś zobaczył szkatuły, bo ludzie by je zapamiętali, w przeciwieństwie do ukochanej Richarda. Kahlan twierdziła, że się jej nie mieściły do plecaka. Siostra Ulicia się wściekła i pobiła ją do krwi, podobałoby ci się to, Siostrze Nicci. Kazała jej coś zostawić, żeby było miejsce na szkatuły, i odesłała ją po pozostałe dwie... - Tovi skrzywiła się z bólu. - Bałyśmy się dłużej czekać, więc Siostra Ulicia posłała mnie z pierwszą szkatułą i powiedziała, że potem do mnie dołączy - jęknęła, bo znów ogarnęła ją fala bólu. - Miałam ze sobą pierwszą szkatułę. Zaskoczył mnie i przebił mieczem Poszukiwacz, ten człowiek z Mieczem Prawdy, i zabrał mi szkatułę. Kahlan przyniosła Siostrze Ulicii dwie pozostałe, a ona myślała, że mam trzecią, więc zanim opuściła pałac,

zainicjowała magię Ordenu.

Nicci podniosła się chwiejnie. W głowie jej wirowało. Teraz wiedziała, że to wszystko prawda. Richard cały czas miał rację. Domyślił się wszystkiego, choć miał tak niewiele przesłanek. I absolutnie nikt nie chciał go wysłuchać... nikt na świecie niszczonego przez niekontrolowaną pożogę chainfire.

ROZDZIAŁ 65

Ciszę nocy rozdarł wrzask, od którego Richardowi zjeżyły się włosy na karku. Już był w śpiworze, ale zerwał się na równe nogi, kiedy usłyszał ów przerażający krzyk. Nie milknący wrzask przyprawił go o lodowaty dreszcz i sprawił, że pot wystąpił mu na czoło.

Richard, z łomoczącym sercem, wyskoczył z namiotu, a upiorny wrzask wciąż niósł się przez obóz, jakby chciał dotrzeć do każdego mrocznego zakamarka, wszędzie zanieść swoje okropieństwo.

Stojąc przed namiotem zobaczył wpatrujących się w ciemności żołnierzy. Kawalek dalej patrzył w noc generał Meiffert.

Richard stwierdził, że to był przedświt, jak owego ranka, kiedy zniknęła Kahlan. Kobieta, którą kochał, o której wszyscy inni zapomnieli, która nikogo nie obchodziła. Jeżeli krzyczała, nikt jej nie słyszał.

A potem wrzask umilkł i świat stał się mroczniejszy. Jakby się zanurzyli w atramentowoczarnej pustce świata zmarłych, opuszczeni i na zawsze zagubieni. Richard zadrzał, bo wyczuł, jak coś obcego musnęło świat żywych, zapowiadając się, obiecując.

Czerń zniknęła równie szybko, jak się pojawiła. Żołnierze popatrywali na siebie, żaden się nie odezwał.

Richardowi przyszło na myśl, że zmija ma teraz tylko trzy łby.

- Opiekun zabrał kogoś ze swoich - wytłumaczył wpatrzonym weń pytająco żołnierzom; widział, jak generał obserwuje, słucha. - Cieszcie się, że tak złej osoby nie ma już wśród żywych. Oby wszystkich takich ludzi zabrała śmierć, której służą.

Generał Meiffert spojrział Richardowi w oczy, przyłożył pięść do serca i zniknął w swoim namiocie.

W słabo oświetlonym obozie, składającym się nagle wyłącznie z namiotów i wozów, ukazała się Nicci, szła wprost ku Richardowi. W jej wyglądzie było coś ogromnie niepokojącego. Może dlatego, że właśnie dała upust furii, której raczej nikt oprócz Richarda nie potrafiłby naprawdę pojąć czy docenić.

Szła z rozwianymi długimi włosami, przypominając drapieżnego ptaka - same mięśnie i szpony - opadającego ku niemu z mroku nocy. Kiedy

podeszła bliżej, zobaczył łzy płynące jej po twarzy, zaciśnięte zęby, furię i cierpienie, groźną potęgę i kruchą bezradność, spojrzenie, które mówiło więcej, niż mógł zrozumieć - cofnął się do namiotu i wciągnął ją za sobą, żeby nikt inny jej nie zobaczył.

Wpadła do środka niczym burza. Cofał się, dopóki mógł, nie mając pojęcia, co się dzieje, co ona zamierza.

Ze szlochem, pełnym tak straszliwej rozpacz, że o mało nie wybuchnął podobnym, padła mu do stóp, objęła ramionami jego nogi. W jednej dłoni coś zaciskała. Richard uświadomił sobie, że to była biała suknia Kahlan, suknia Matki Spowiedniczki.

- Tak mi przykro, Richardzie - zawodziła Nicci, wstrząsana łkaniem. - Przepraszam za to wszystko, co ci uczyniłam. Przepraszam. Przepraszam - powtarzała raz za razem.

Dotknął jej ramienia.

- O co chodzi, Nicci?

- Przepraszam - łkała, ściskając jego nogi niczym skazana na śmierć, błagająca króla o życie. - O drogie duchy, tak żałuję, przepraszam za wszystko, co ci uczyniłam.

Przysiadł, odsunął jej rękę.

- Co się stało, Nicci?

Trzęsła się od płaczu. Uniósł ją, więc spojrzała na niego. Była zupełnie bezwładna.

- Och, Richardzie, tak mi przykro. Nigdy ci nie wierzyłam. Przepraszam, że nigdy ci nie wierzyłam. Powinnam była ci pomagać, a ja ci tylko przeszkadzałam. Tak mi przykro. Przepraszam.

Rzadko widywał ludzi tak zbolątych i nieszczęśliwych.

- Nicci...

- Błagam - załkała. - Błagam, Richardzie, skończ z tym od razu.

- Co takiego?

- Nie chcę dłużej żyć. To za bardzo boli. Weź nóż i skończ to. Błagam. Przepraszam. Nie tylko ci nie wierzyłam. Gorzej. Na każdym kroku cię powstrzymywałam.

Wisiała mu w rękach niczym szmaciana lalka. Łkała, załamana i strasznie nieszczęśliwa.

- Przepraszam, że ci nie wierzyłam, choć miałeś co do wszystkiego rację.

Tak mi przykro. Teraz już po wszystkim, i to przeze mnie. Tak mi przykro. Powinnam była ci uwierzyć.

Zacząła mu się wysuwać z rąk. Usiadł przed nią na podłodze i przytulił ją, tak jak wcześniej Jillian.

- Nicci, ty jedna popchnęłaś mnie do działania, kiedy już miałem dać za wygraną. Ty jedna dałaś mi siły do dalszej walki.

Objęła go za szyję, kiedy ją mocniej przytulił. Była rozpalona od gorączki wywołanej męczarnią.

Richard, współczując Nicci z całego serca, przytulił jej głowę do ramienia i szeptał, że wszystko będzie dobrze, pocieszał ją, kołysał łagodnie i uspokajał.

Przypomniawszy sobie, jak pierwszy raz spotkał Kahlan i jak spędzili ową noc pod sosną-strażniczką. Omal nie została znów wciągnięta do zaświatów, w ostatniej chwili ją stamtąd wyciągnął. Kahlan też tak płakała, przerażona i nieszczęśliwa - a także z ulgi, że ktoś ją tuli i pociesza.

Nigdy wcześniej płaczącej Kahlan nie utulił ktoś dla niej ważny.

Teraz wiedział, że i Nicci też nie.

Tulił ją, ofiarowując tak potrzebne ukojenie, aż wreszcie zasnęła, wyczerpana płaczem, czując się tak bezpieczna jak pewnie nigdy przedtem. Tak wspaniale było jej ofiarowywać bezpieczne schronienie, że bezgłośnie płakał, tuląc śpiącą w jego ramionach kobietę.

Musiał na krótko zasnąć, bo kiedy otworzył oczy, przez ściany letniego namiotu przesączało się blade światło. Uniósł głowę, a Nicci poruszyła się w jego ramionach niczym dziecko, które nie ma ochoty się obudzić.

Ale się obudziła i to dość gwałtownie, kiedy zdała sobie sprawę, gdzie jest. Spojrzała mu w oczy, udręczona.

- Richardzie - wyszeptała i wiedział, że znowu zacznie płakać. Dotknął jej ust, uciszając ją.

- Mamy do załatwienia mnóstwo spraw. Powiedz mi, czego się dowiedziałaś, żebyśmy już to mieli za sobą.

Włożyła mu w dłonie białą suknię.

- Miałeś rację prawie we wszystkim, chociaż nie znałeś całej pajęczyny. Siostra Ulicia i jej grupka chciały się uwolnić od Nawiedzającego Sny, tak jak mówiłeś. Postanowiły, że podarują ci nieśmiertelność, ponieważ najwyżej cenisz życie. Wszystkie inne postęпки, choćby nie wiadomo jak szkodliwe,

uznały za drugorzędne. To pozwoliło im dążyć do uwolnienia Opiekuna.

Richard słuchał, coraz szerzej otwierając oczy.

- Odnalazły Chainfire i sprawiły, że wszyscy zapomnieli o Kahlan, i mogły ukraść szkatuły Ordenu. Twój ojciec, w zaświatach, doniósł Opiekunowi, że znasz na pamięć potrzebną im księgę. Wiedziały, że dla uzyskania prawdy potrzebują Spowiedniczki. Kahlan ma dwa zadania do wypełnienia: ukraść szkatuły i pomóc uwierzytelnić tekst, który znasz. To chainfire, a nie profetyczny robak, odpowiada za to, co się stało z prorocत्वami. Siostry mają dwie szkatuły Ordenu i już się nimi posłużyły. Rozpoczęły realizację tej części swojego planu z dwóch powodów: chcą wykorzystać magię Ordenu do przywołania Opiekuna do świata istot żywych, a także dlatego, że szkatuły Ordenu stworzono jako remedium przeciwko mocy rozpętanej przez chainfire.

Richard zamrugał.

- Jak to mają tylko dwie szkatuły? Myślałem, że kazały Kahlan ukraść wszystkie trzy. W Ogrodzie Życia były wszystkie trzy.

- Kahlan przyniosła jedną. Dały ją Tovi i kazały jej wyruszyć w drogę, a Kahlan wysłały po pozostałe...

- Odesłały ją jeszcze raz? - Richard zmarszczył brwi. - Co ty opowiadasz? Nicci zwilżyła wargi, ale nie odwróciła oczu.

- To był powód wrzasku Tovi.

Richard poczuł, jak łzy napływają mu do oczu. Poczuł ucisk w gardle. Nicci położyła mu dłoń na sercu.

- Odzyskamy ją, Richardzie. Zacisnął zęby i skinął głową.

- I co się wtedy stało?

- Nowy Poszukiwacz zaskoczył Tovi, pchnął ją mieczem i zabrał szkatułę Ordenu, którą wywoziła z Pałacu Ludu.

- Musimy rozpocząć poszukiwania. Nie oddaliły się zbyt daleko.

- Już dawno odjechały, Richardzie. I tak samo zatarły swoje ślady jak wówczas, kiedy porwały Kahlan. Tak ich nie odnajdziemy.

Richard podniósł wzrok.

- Samuel. Miecz Prawdy to remedium. Musiał poznać prawdę o Kahlan, kiedy dałem mu miecz. - Wodził oczami po wnętrzu namiotu, namyślając się. - Musimy się nad tym zastanowić. Zebrać wszystkie znane nam informacje i wyprzedzić Siostry, a nie zawsze pozostawać w tyle.

- Pomogę ci, Richardzie. Zrobię, co każesz. Pomogę ci ją odzyskać. Jej miejsce jest przy tobie. Teraz to wiem.

Skinął głową, rad, że Nicci znów jest sobą.

- Załatwmy parę spraw i poszukajmy doświadczonych pomocników.

Uśmiechnęła się krzywo.

- Oto prawdziwy Poszukiwacz.

Przed namiotem zaczęli się gromadzić żołnierze, chcący zobaczyć lorda Rahla.

Z tłumu wyszła Verna.

- Richard! Dzięki ci, Stwórco! Nasze modły zostały wysłuchane! - Objęła go. - Jak się masz, Richardzie?

- Gdzie byłaś?

- Zajmowałam się rannymi żołnierzami. Zwiadowcami, którzy się natknęli na paru nieprzyjaciół. Generał Meiffert przysłał wiadomość, że bym natychmiast wracała.

- A żołnierze?

- Wspaniale - odparła z uśmiechem. - Zwłaszcza że wreszcie dołączyłeś do nas na rozstrzygającą bitwę.

Ujął jej dłonie.

- Miałaś kiedyś ze mną ciężką przeprawę, Verno. Uśmiechnęła się, kiwnęła głową, potwierdzając, że tak było. Zobaczyła, że on się nie uśmiecha, więc i jej uśmiech zgasł.

- Teraz to się powtórzy. Będziesz musiała mi zaufać, uwierzyć w moje słowa, bo jeżeli nie, to równie dobrze od razu możemy się poddać Ładowi.

Richard puścił jej dłonie i stanął na skrzyni, żeby go wszyscy lepiej słyszeli. Zobaczył, że otacza go morze żołnierzy. Tuż obok znaleźli się Cara i generał Meiffert.

- Czy nas poprowadzisz, lordzie Rahlu? - spytał generał.

- Nie! - zawołał w ciszę świtu.

Żołnierze zaszepotali niespokojnie. Richard uniósł rękę.

- Wysłuchajcie mnie! - Ucichli. - Mam mało czasu. Nie zdążę wszystkiego wyjaśnić tak dokładnie, jak bym chciał. Ale tak już jest. Podam wam fakty i pozwolę podjąć decyzję. Marsz armii Imperialnego Ładu został zahamowany nie tak daleko stąd, na południu. - Uniósł rękę, uciszając radosne okrzyki. - Mam mało czasu. Słuchajcie. Wy, żołnierze, jesteście stałą

przeciwko stali. Ja zaś magią przeciwko magii. Muszę wybrać jedną z dwóch możliwości przed nadchodzącą bitwą. Jeżeli zostaną tutaj i poprowadzę was, to nie będziemy mieli zbyt dużej szansy. Wojska wroga są niezmiernie liczne, ale tego nie muszę wam przecież mówić. Jeżeli zostaną i pomogę wam z nimi walczyć, to większość z was umrze.

- Mogę ci od razu powiedzieć - odezwał się generał Meiffert - że nie odpowiada mi taka perspektywa.

Większość żołnierzy przyznała, że nie zachwyca ich ponura przyszłość, jaką właśnie zapowiedział Richard.

- A jaka jest inna możliwość? - zawołał jeden ze stojących blisko żołnierzy.

- Taka, że pozwolę wam wykonać waszą robotę i stałą powstrzymać Ład przed wtargnięciem na nasze ziemie, ja zaś wykonam moją robotę i będę magią przeciwko magii. Zrobię to, co tylko ja zrobić mogę, i znajdę sposób na pokonanie wroga tak, żeby żaden z was nie stracił życia w walce z nim. Chcę znaleźć sposób, który pozwoli mi moją magiczną mocą przepędzić ich lub zniszczyć, zanim dojdzie do walki. Nie mogę zagwarantować, że mi się to uda. Jeżeli nie, to umrę, wy zaś, żołnierze, będziecie musieli stawić czoło wrogowi.

- Uważasz, że zdołasz ich powstrzymać jakąś magią? - zapytał kolejny żołnierz.

Nicci wskoczyła na skrzynię tuż obok Richarda.

- Lord Rahl już walczył w Starym Świecie przeciwko wojskom Jaganga. Toczyliśmy bitwy na ich ojczystej ziemi, chcąc im odciąć posiłki i zaopatrzenie. Jeżeli zatrzymacie lorda Rahla tutaj, z wami, to zmarnujecie jego szczególny dar, wskutek czego możecie stracić życie. Proszę, jako jedna z tych, co walczą u jego boku, żebyście pozwolili mu być lordem Rahlem, pozwolili mu uczynić to, co musi, i sami zrobili to, co obowiązek wam nakazuje.

- Sam bym tego lepiej nie powiedział - zawołał do nich Richard. - Teraz już wszystko jasne. Oto decyzja, którą wam pozostawiam.

Żołnierze nieoczekiwanie zaczęli klękać. Wzbił się kurz, kiedy się przesuwali, znajdując sobie miejsce. Jednym głosem zaintonowali:

- Prowadź nas, mistrzu Rahlu. Nauczaj nas, mistrzu Rahlu. Ochroniaj nas, mistrzu Rahlu. Rozkwitamy w twojej chwale. Osłania nas twoje

miłosierdzie. Twoja mądrość przerasta nasze zrozumienie. Żyjemy tylko po to, żeby ci służyć. Nasze życie należy do ciebie.

Richard patrzył ponad morzem klęczących żołnierzy, jak słońce wylania się zza horyzontu. Modły powtórzono drugi i trzeci raz, jak to było w zwyczaju w polowych warunkach, po czym żołnierze wstali.

- Oto odpowiedź, lordzie Rahlu - rzekł generał Meiffert. - Dopadnij tych sukinsynów.

Żołnierze okrzykami potwierdzili jego słowa.

Richard zeskoczył ze skrzyni i podał Nicci rękę, żeby jej pomóc zejść. Nie skorzystała jednak z pomocy, też zeskoczyła. Richard popatrzył na Carę.

- Muszę natychmiast wyruszyć. Caro, chcę, żebyś wiedziała, że się zgodzę, jeżeli zechcesz zostać z... armią.

Skrzyżowała ramiona, spochmurniała.

- Rozum ci odjęło? - Obejrzała się przez ramię na generała. - Mówiłam ci, że to wariat. Widzisz, co muszę znosić?

Generał Meiffert z powagą pokiwał głową.

- Nie wiem, jak sobie z tym radzisz, Caro.

- Wprawa - zwierzyła się. Przesunęła palcami po policzku Beniamina i uśmiechnęła się doń uśmiechem, jakiego Richard jeszcze nigdy nie widział na jej twarzy. - Dbaj o siebie, generale.

- Wedle rozkazu, ma'am. - Uśmiechnął się do Nicci, skłaniając głowę. - Wedle twego życzenia, pani Nicci.

Richard już miał myśli zaprzątnięte czymś innym.

- Chodźcie. Wyruszamy.

ROZDZIAŁ 66

Szli wykładanym drewnem korytarzem - Rikka przodem, Cara i Nicci z tyłu; Richard dotarł do skrzyżowania i skręcił w kamienny korytarz o sklepionym, wysokim niemal na dwieście stóp, stropie. Po obu stronach, w jednakowych odstępach, stały żłobkowane kolumny. Przez szerokie okna w górze widać było masywne zewnętrzne przypory, podtrzymujące wyniosłe mury. Z góry wpadały ukosem snopy słonecznych promieni; światło dnia wlewało się również przez umieszczone niżej małe okrągłe okna. W chłodnym korytarzu rozbrzmiewał miarowy rytm ich kroków.

Peleryna Richarda, wyglądająca na utkaną ze złotych nici, powiewała za nim niczym na silnym wietrze. Złote symbole na czarnej koszuli dumnie lśniły w przytłumionym świetle. Kiedy przechodził przez każdy snop słonecznych promieni, od srebrnych ozdób przy jego butach, na szerokim wielowarstwowym skórzanym pasie i na podbitych skórą bransoletach na przegubach odbijały się świetlne iskry, otaczając ich blaskiem zapowiadającym nadejście czarodzieja wojny.

Gniew każdej z Mord-Sith wystarczał, żeby większości ludzi krew skrzepła w żyłach, lecz lodowata furia widoczna na pięknej twarzy Cary zmieniałaby tę znieruchomiałą krew w lód. Przy jego drugim boku równie groźnie wyglądała Pani Śmierci, w czerni. Richard od ich pierwszego spotkania wyczuwał, jak powietrze wokół Nicci iskrzy od jej mocy; teraz też tak było.

Richard mijał stojące w niszach tapicerowane krzesła i stoły. Miejscami wystawały na korytarz dywany, zapraszając ludzi do gościnnych, przytulnych zakątków. Richard omijał je, bo odpowiadał mu odgłos kroków na granitowej posadzce. Jego towarzyszki też nie szły po dywanach. Z długiego korytarza ich kroki wracały echem - dźwięk narastał, ogromniał i wkrótce brzmiało to tak, jakby przez wnętrze wieży maszerowała armia najeźdźców.

Rikka, nie zwalniając, odwróciła się ku niemu. Wskazała w prawo.

- Tam są, lordzie Rahlu.

Richard, idąc wciąż w tym samym tempie, skręcił i skierował się ku środkowi wielkich dwuskrzydłowych drzwi, otwartych na wspaniałą

bibliotekę. Grube, dębowe, krzyżujące się szprosy dzieliły każde skrzydło na dwanaście oszklonych kwater.

Przy liczącej trzydzieści stóp tylnej ścianie biblioteki stały półki wypełnione księgami, do których dostęp umożliwiała drabina, przesuwająca się po mosiężnej szynie. Grube mahoniowe filary lśniły w blasku słońca, wpadającym przez wysokie okna, lecz na dole światło było mroczniejsze, musiały je więc wspomagać lampy.

Naprzeciwko drzwi stał olbrzymi mahoniowy stół o kręconych nogach. Po obu stronach wznosiły się filary podtrzymujące sklepienie. Krańce komnaty, po lewej i prawej stronie, tonęły w mroku.

Ann miała zdziwioną minę.

- Richard! Co ty tutaj robisz? Powinieneś być z naszymi wojskami.

Richard zignorował ją, chwycił trzymaną pod pachą, oprawną w czerwoną skórę książkę i zmiotł nią na bok leżące przed nimi księgi, odsłaniając przed trojgiem mających dar szeroką połąć lśniącego blatu.

Rzucił na owo puste miejsce oprawną w czerwoną skórę księgę. Zabrzmiało to niemal jak odgłos gromu.

W mrocznym świetle połyskiwały złote litery Chainfire.

- Co to takiego? - spytał skonsternowany Zedd.

- Dowód - odrzekł Richard. - A przynajmniej jego część. Obiecałem, że wrócę z dowodem.

- To bardzo stara księga - poinformowała ich Nicci. - To formuła umożliwiająca zainicjowanie zjawiska zwanego chainfire.

Zedd podniósł na nią orzechowe oczy.

- A cóż to takiego to zjawisko chainfire?

- Kres takiego świata, jaki znamy - rzekł ponuro i zarazem dobitnie Richard. - Działania twórców tej formuły okazały się niestety próbą stworzenia antynomii, pogwałceniem dziewiątego prawa. Zdali sobie oni jednak na koniec sprawę, że gdyby ktoś kiedykolwiek spróbował zainicjować zjawisko chainfire, to miałyby to straszliwe skutki.

Nathan spojrział na Nicci, najwyraźniej oczekując od niej więcej mądrości i doświadczenia.

- O czym on mówi?

- Czarodzieje przed tysiącami lat wymyślili, jak za pomocą magii subtraktywnej zmieniać pamięć, tak żeby wszystkie rozłączone elementy

samorzutnie się modyfikowały niezależnie od siebie nawzajem, a fałszywe wspomnienia wypełniały pustkę po tych wymazanych. Badali, jak sprawić, by dana osoba „zniknęła” wszystkim ludziom poprzez skłonienie ich, by o niej zapominali zaraz po tym, jak ją zobaczą. A nawet kiedy na nią patrzą. To wymazuje pamięć o danej osobie, lecz odkryli, że zainicjowanie takiego zjawiska uruchamia zarazem kaskadę, której nie można przewidzieć ani kontrolować. Szerzy się to niczym pożoga, wypalając wszystko, poprzez powiązania takich osób z innymi, których pamięć nie została zmieniona. W końcu może to zniszczyć cały świat istot żywych.

- A profetyczny robak? - rzucił Richard. - Może i rzeczywiście istnieje, lecz tym razem to chainfire spowodowało znikanie prorocत्व. Osoba, która inicjuje to zjawisko, uzupełnia puste miejsce w prorocत्वie, miejsce zostawione przez Proroka dla następców. Wpisuje się w nie uzupełniające prorocत्व, w którym jest zawarta formuła chainfire. I tak pożoga szerzy się po wszystkich sprzężonych prorocत्वach tej gałęzi, poczynając od prorocтва powiązanego z daną osobą lub chronologią; w tym wypadku jednym i drugim: Kahlan. To dlatego została wymazana również z prorocत्व dzięki temu, co zwą otoczką lub owocem chainfire.

Nathan osunął się na oparcie.

- Drogie duchy.

Ann, jak zwykle trzymająca ręce w rękawach, nie wyglądała ani na zadowoloną, ani na będącą pod wrażeniem tych wieści.

- Wszystko to pięknie brzmi, ale musimy przestudiować tę księgę i sprawdzić, czy wasze domysły są słuszne i logiczne. Lecz nie ta księga jest teraz najważniejsza. Powinieneś być zostać z naszymi żołnierzami i poprowadzić ich do rozstrzygającej bitwy. Musisz tam natychmiast powrócić i prorocत्व wyraźnie to stwierdza. Zapowiada, że jeżeli tego nie uczynisz, to świat ogarną ciemności.

Richard zignorował Ann, spojrzął w oczy dziadka.

- Zgadnij, jakie jest remedium na zjawisko chainfire.

Zedd wzruszył ramionami, zdumiony linią „przesłuchania” wnuka.

- Skąd miałbym to wiedzieć?

- Jest tylko jedno. Stworzone specjalnie po to.

- Cóż to takiego? - spytał Zedd.

- Szkatuły Ordenu. Zedd aż rozdziawił usta.

- Richardzie, to przecież nie...

Richard sięgnął do kieszeni i wyjął to, co z sobą przyniósł. Cisnął to na stół przed nimi. Zedd zrobił wielkie oczy.

- Kurczę, Richardzie, przecież to węzowa liana.

- Może sobie przypominasz z Księgi Opisania Mroków: „A kiedy trzy szkatuły Ordenu zostaną włączone do gry, wyrośnie węzowa liana”.

- Ale... ale - zająknął się Zedd - szkatuły Ordenu są w Ogrodzie Życia, w Pałacu Ludu, pod niezwykle silną strażą.

- A poza tym - dodał Nathan - osobiście wyekwipowałem żołnierzy Pierwszej Kompanii w broń, śmiertcionośną nawet dla mających dar. Nikt się tam nie przedostanie.

- Zgadza się z nim - upierał się Zedd. - To niemożliwe.

Richard odwrócił się i ostrożnie wyjął coś z rąk Cary. Delikatnie postawił „Potęgę ducha” tak, że posążek był zwrócony twarzą ku tamtym trojgu.

- To jest Kahlan. Zostawiła to tam, w Ogrodzie Życia, w pustym miejscu po szkatułach, żeby ktoś się dowiedział, że ona istnieje. Zaklęcie chainfire wymazało ją z pamięci wszystkich ludzi. Ci, co ją dostrzegą, zapominają o niej, jeszcze zanim ich umysł zdąży zarejestrować, kogo widzą.

Ann machnęła ręką nad księgą, lianą i posążkiem.

- Ale to wszystko to nadal tylko przypuszczenia, Richardzie. Któż w ogóle byłby w stanie wymyślić taki spisek?

- Plan ułożyła Siostra Ulicia - odezwała się Nicci. - Miała do pomocy Siostry Cecilię, Arminę i Tovi.

Ann się zachmurzyła.

- Skąd wiesz?

- Tovi mi to wyznała.

Ann nie tuiła ogromnego zdumienia.

- Wyznała... Czemu miałyby uczynić coś takiego? Jak w ogóle udało ci się ją dopaść?

- Uciekała z jedną ze szkatuł Ordenu - odparł Richard. - Zaczaił się na nią człowiek, któremu dałem Miecz Prawdy. Pchnął ją i ukradł szkatułę, którą miała ze sobą.

Zedd uderzył się w czoło, nagle pozbawiony głosu, i ciężko padł na krzesło.

- Tovi powiedziała mi również - dodała Nicci - że były tutaj, w Aydindril i

złożyły tamto ciało w grobie Matki Spowiedniczki, żeby już na pewno nikt nie uwierzył Richardowi, gdyby mu przyszło do głowy rozkopać grób, by udowodnić, iż mówi prawdę. Suknię wzięły z Pałacu Spowiedniczek. Chciały mieć pewność, iż wszyscy uznają, że Richard cierpi na urojenia. Uważam, że powinniście również się dowiedzieć, iż dotarliśmy do ruin miasta zwanego Caska, w południowej D'Harze. Byli tam zwiadowcy Imperialnego Ładu. Na jednym z nich przeprowadziłam eksperyment. Posłużyłam się tym zaklęciem magii subtraktywnej, którym wszyscy troje nakazywaliście mi uleczyć domniemane urojenia Richarda.

Ann czujnie przekrzywiła głowę.

- I?

- Przeżył zaledwie parę chwil.

Zedd, równie biały jak jego zmierzwiłone włosy, ukrył twarz w dłoniach.

- Jestem przekonana, że część tego okaże się całkiem... użyteczna - stwierdziła speszona Ann - i dobrze, że to odkryliście. Lecz, jak już mówiłam, pozostaje faktem, że powinieneś być z naszymi wojskami, Richardzie. Zapoznaliśmy cię z nadzwyczaj doniosłym proroctwem: „Jeżeli fuer grissa ost drauka nie poprowadzi do owej ostatecznej walki, to świat, stojący już wszak na skraju ciemności, zasnuje straszliwy mrok”. To wszystko, o czym mówiłeś, Richardzie, jest na pewno zajmujące, lecz proroctwo pozostaje naszą najważniejszą misją. Nie możemy przegrać, bo inaczej świat zasnuje ciemność.

Richard ścisnął skronie palcami i wbił wzrok w podłogę, usiłując zachować cierpliwość. Napomniał się, że ci ludzie starają się zrobić to, co uważają za słuszne.

Wreszcie spojrział im w oczy.

- Nie pojmujecie? - Wskazał na leżącą na stole wężową lianę. - To jest rozstrzygająca bitwa. Siostry Mroku posłużyły się szkatułami Ordenu. Zamierzają sprowadzić Opiekuna zmarłych do świata istot żywych. Zamierzają podporządkować życie śmierci, żeby zdobyć dla siebie nieśmiertelność. Świat stoi na skraju ciemności. Nie pojmujecie? Gdybyście postąpili wedle swojej woli, narzucili mi proroctwo, spróbowali żyć według z góry przesądzonych zasad, to nie przeżyłbym prób uleczenia mnie. Byłbym teraz martwy. Starając się dopełnić proroctwa, zapewnilibyście zwycięstwo Siostrze Mroku, doprowadzilibyście do zagłady życia. Przez was zginąłby

cały świat istot żywych. Jedynie wolna wola, moja i Nicci, zapobiegła temu, co wy troje ściągnęlibyście na ludzi swoją ślełą wiarą w prorocstwa.

Ann - ostatnia stojąca osoba - padła na krzesło.

- Drogie duchy, on ma rację - wyszeptał do siebie Zedd. - Poszukiwacz właśnie ocalił troje starych głupców przed nimi samymi.

- Nie. Nikt z was nie jest głupcem - rzekł Richard. - Od czasu do czasu wszyscy nie myślimy i przez to głupio postępujemy. Należy wtedy uznać swój błąd i już go nie powtarzać. Uczyć się na błędach, by nie zawieść następnym razem. Nie przyszedłem tu po to, żeby wam powiedzieć, iż jesteście głupcami, bo wiem, że nie jesteście. Przyszedłem, bo potrzebuję waszej pomocy. Chcę, żebyście zaczęli logicznie myśleć. Na swój sposób jesteście bowiem genialni i macie wiedzę, jakiej zapewne nie posiada nikt z żyjących. Kobieta, którą kocham i z którą się ożeniłem, została porwana przez Siostry Mroku i chainfire niszczy jej życie. Ta pożoga szaleje teraz w życiu każdego, kto ją znał, i może pochłonać wszystko, co żyje.

Wskazał statuetkę „Potęgi ducha”.

- To obraz ducha żony twojego wnuka, Zeddzie. Bardzo to sobie ceniła. Zostawiła to w Ogrodzie Życia, na kamiennym ołtarzu, pokryte jej własną krwią. Chcę ją odzyskać, ale potrzebuję waszej pomocy. Nicci i Cara nie pamiętają Kahlan, lecz wiedzą, że to z powodu zawartości tej książki, Chainfire, a nie dlatego, że ona nie istnieje. Wszyscy straciliście coś niezmiernie cennego, kiedy odebrano wam pamięć o Kahlan. Straciliście coś, czego nie zdołacie zastąpić. Straciliście jedną z najlepszych...

Richard zamilkł, bo nie mógł wydobyć słów ze ściśniętego gardła. Z jego twarzy skapywały na stół łzy.

Nicci podeszła i położyła mu dłoń na ramieniu.

- Wszystko będzie dobrze, Richardzie. Odzyskamy ją. Cara położyła dłoń na jego drugim ramieniu.

- Wszystko będzie dobrze, lordzie Rahlu. Odzyskamy ją. Richard nie był w stanie mówić, jedynie skinął głową. Zedd wstał.

- Mam nadzieję, Richardzie, iż nie uważasz, że znów cię zawiedziemy. Nie zrobimy tego. Masz moje słowo, słowo Pierwszego Czarodzieja.

- Wolałbym słowo dziadka. Zedd się uśmiechnął poprzez łzy.

- I to też, mój chłopcze. To też. Nathan się poderwał.

- Mój miecz też jest w grze, mój chłopcze. Ann łypnęła na niego

gniewnie.

- Twój miecz jest w grze? A cóż to, u licha, znaczy?

- No wiesz - odparł Nathan, markując cięcia i pchnięcia - to oznacza, że sobie powalczę.

- Powalczysz? A może byś tak pomógł nam odnaleźć Kahlan.

- Kurczę, kobieto...

Ann posłała Zeddowi piorunujące spojrzenie.

- Czy to ty go nauczyłeś tak się wyrażać? Nigdy tak nie mówił, póki cię nie poznał.

Zedd z miną niewiniątka wzruszył ramionami.

- Jaaa? Ależ skąd. To nie ja.

Ann łypnęła kolejno, bardzo groźnie, na siedzących po obu jej stronach czarodziejów, a potem uśmiechnęła się do Richarda.

- Pamiętam, jak byłeś maleńki, Richardzie. Kiedy byłeś zaledwie drobiną życia w ramionach matki. Taka była z ciebie dumna, taka dumna, że już potrafisz choć płakać. Teraz też byłaby z ciebie dumna. Wszyscy jesteśmy, Richardzie.

Zedd otarł nos rękawem.

- Święta prawda.

- Jeżeli nam przebaczysz - dodała Ann - to chętnie się przyczynimy do powstrzymania tego zagrożenia. A już ja na pewno z ochotą bym się zajęła Siostrami.

Nicci ścisnęła ramię Richarda.

- Jeszcze się okaże, że się o to pokłócimy. Każde z nas chciałoby je dopaść.

Cara nachyliła się ku niej za plecami Richarda.

- Łatwo ci tak mówić. Zabiłaś Siostrę Tovi.

ROZDZIAŁ 67

Richard stał przy blankowaniu rampartu, oparł stopę na niskim kamiennym murku i patrzył na oświetlone słońcem Aydindril, położone daleko w dole, u stóp góry, i obserwował sunące doliną cienie puszystych białych obłoczków.

Podszedł Zedd i stanąwszy obok niego, przez jakiś czas również w milczeniu oglądał okolicę.

- Nie mogę sobie przypomnieć Kahlan - powiedział wreszcie. - Staram się ze wszystkich sił i nic z tego.

- Wiem - odparł Richard, nie patrząc nań.

- Musi być wspaniałą kobietą, skoro się z nią ożeniłeś. Richard nie mógł się nie uśmiechnąć.

- Z całą pewnością jest wspaniała.

Zedd położył kościstą dłoń na ramieniu wnuka.

- Odnajdziemy ją, mój chłopcze. Pomogę ci. Odnajdziemy ją. Przyrzekam.

Uśmiechnięty Richard otoczył ramieniem barki dziadka.

- Dzięki, Zeddzie. Na pewno skorzystam z twojej pomocy. Zedd uniósł palec.

- Zaczniemy natychmiast.

- To mi odpowiada - odparł Richard. - Muszę sobie znaleźć miecz.

- Ach, miecz nie jest ważny. To tylko narzędzie. Poszukiwacz jest orężem, a uważam, że nadal jesteś Poszukiwaczem.

- A co do miecza, Zeddzie. Rozmyślałem i doszedłem do wniosku, że może Shota wcale nie tak egoistycznie zażądała miecza w zamian za to, co mi powiedziała.

- Jak do tego doszedłeś?

- Miecz Prawdy czerpie z mojego daru. Kiedy wykorzystuję swój dar, jak wtedy w bibliotece, kiedy czytałem księgę proroctw, to może on do mnie przywabić bestię.

Zedd potarł gładko wygolony podbródek.

- Hmm, to prawda. Może w jakiś sposób to cię ochroniło. - Łypnął gniewnie na Richarda. - Ale ona go dała Samuelowi! A to złodziej!

- A cóż ukradł, od kiedy odzyskał miecz? Zedd zerknął na wnuka jednym okiem.

- Ukradł? Nie wiem. Co masz na myśli?

- O mało nie zabił Siostry Mroku i odebrał jej szkatułę Ordenu. Dzięki niemu nie mają wszystkich trzech i nie mogą przyzwać mocy Ordenu.

Zedd jeszcze bardziej się nachmurzył.

- A co wedle ciebie ten złodziejasek ma zamiar zrobić ze szkatułą?

Richard wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Ale przynajmniej kupił nam trochę czasu. Możemy teraz za nim ruszyć i postarać się, żeby Siostry nie miały wszystkich trzech szkatuł.

Zedd podrapał się w zapadnięty policzek i spojrzał z ukosa na wnuka.

- Przypomina mi to pewnego człowieka... Rahl Posępny chciał wtedy zdobyć ostatnią szkatułę.

Richard spojrzał z zaskoczeniem na dziadka.

- O czym ty mówisz?

- O niczym. - Zedd wzruszył ramionami. - Tak sobie mruczę.

- Co sobie mruczysz?

- Że mi to coś przypomina, to wszystko. - Zedd klepnął Richarda w ramię.

- Chodźmy, Rikka przygotowała obiad. Podjemy sobie, a potem się zastanowimy, co robić.

- Bardzo mi się ten pomysł podoba.

- A niby dlaczego? Przecież ci jeszcze nie powiedziałem, co gotuje.

- Nie, ja chciałem... Nieważne. Chodźmy.

Spis treści

ROZDZIAŁ 1
ROZDZIAŁ 2
ROZDZIAŁ 3
ROZDZIAŁ 4
ROZDZIAŁ 5
ROZDZIAŁ 6
ROZDZIAŁ 7
ROZDZIAŁ 8
ROZDZIAŁ 9
ROZDZIAŁ 10
ROZDZIAŁ 11
ROZDZIAŁ 12
ROZDZIAŁ 13
ROZDZIAŁ 14
ROZDZIAŁ 15
ROZDZIAŁ 16
ROZDZIAŁ 17
ROZDZIAŁ 18
ROZDZIAŁ 19
ROZDZIAŁ 20
ROZDZIAŁ 21
ROZDZIAŁ 22
ROZDZIAŁ 23
ROZDZIAŁ 24
ROZDZIAŁ 25
ROZDZIAŁ 26
ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28
ROZDZIAŁ 29
ROZDZIAŁ 30
ROZDZIAŁ 31
ROZDZIAŁ 32
ROZDZIAŁ 33
ROZDZIAŁ 34
ROZDZIAŁ 35
ROZDZIAŁ 36
ROZDZIAŁ 37
ROZDZIAŁ 38
ROZDZIAŁ 39
ROZDZIAŁ 40
ROZDZIAŁ 41
ROZDZIAŁ 42
ROZDZIAŁ 43
ROZDZIAŁ 44
ROZDZIAŁ 45
ROZDZIAŁ 46
ROZDZIAŁ 47
ROZDZIAŁ 48
ROZDZIAŁ 49
ROZDZIAŁ 50
ROZDZIAŁ 51
ROZDZIAŁ 52
ROZDZIAŁ 53
ROZDZIAŁ 54
ROZDZIAŁ 55
ROZDZIAŁ 56
ROZDZIAŁ 57
ROZDZIAŁ 58
ROZDZIAŁ 59

ROZDZIAŁ 60

ROZDZIAŁ 61

ROZDZIAŁ 62

ROZDZIAŁ 63

ROZDZIAŁ 64

ROZDZIAŁ 65

ROZDZIAŁ 66

ROZDZIAŁ 67